

Günter Hofé



**Czerwony
śnieg**

INSTITUT
WYDAWNICZY ERICA

Günter Hofé

Czerwony śnieg



Tytuł oryginału *Rotèr Schnee*

Projekt okładki

za zgodą *Verlag der Nation Ingwert Paulsen jr.*

Korekta

Katarzyna Bączkowska

Karolina Kawałkowska

Skład *Anna Szarko*

© Copyright by Günter Hofé, 1962

© Copyright by Verlag der Nation Ingwert Paulsen jr.

© Copyright for the Polish edition by Instytut Wydawniczy Erica, 2010

Wydanie pierwsze

ISBN: 978-83-62329-15-1

Instytut Wydawniczy ERICA,

Warszawa 2010

www.wydawnictwoerica.pl

tel 22 826 70 69

OSOBY WYSTĘPUJĄCE W POWIEŚCI:

FRITZ HELGERT - porucznik, dowódca 6 baterii

ILZA HELGERT - jego żona

EBERHARD BAUM - starszy szeregowiec, przyjaciel Helgerta

KLAUDIA SANDEN - narzeczona Bauma

CZŁONKOWIE BATERII:

GENGENBACH - podporucznik

SENFLEBEN - plutonowy

SÖCHTING - kapral

HEIDEMANN - plutonowy

ERDMANNSDORF - plutonowy

HEIZER - podoficer sanitarny

BURGER - starszy szeregowiec

MOMMER - starszy szeregowiec

RUDOLF BENDER - tokarz, przywódca grupy ruchu oporu

pani BENDER - jego matka

FERDYNAND BECKER - ślusarz

dr BÄRWALD - lekarz

PAWEŁ - blacharz

FIEDLER - Hauptsturmführer Sonderdienstu

SCHULTE - Oberscharführer SS

KARLFRIEDRICH KRUSEMARK - pułkownik, dowódca
pułku

ALOJZY ALTDÖRFER - porucznik, adiutant pułku

SCHNELLINGER - kapral, kierowca Krusemarka

MEUSEL - major, dowódca batalionu

PFEILER - major, dowódca batalionu

EISERBERG - podporucznik, dowódca 3 kompanii

von WENGLIN - podpułkownik I a dywizji

SCHEUBE - dywizyjny radca sądu wojennego

dr ROEBER - lekarz, kapitan, dowódca kompanii sanitarnej

SCHNEIDEWIND - pułkownik w urzędzie personalnym armii

KURT DÖRNBERG - kapitan, dowódca oddziału artylerii

przeciwlotniczej

SOMMERFELD - rachmistrz przy sztabie artylerii przeciwlot-
niczej

ARLT - podporucznik artylerii przeciwlotniczej

FLOTER - plutonowy baterii sztabu

WIELAND ALTDÖRFER inżynier, brat Alojzego Altdörfera

PIOTR CORNELIUS - inżynier, przyjaciel Wielanda Altdörf-
era

GENERAL - wojskowy dowódca Hamburga

dr van TORSTEN - sędzia Najwyższego Trybunału Wojenne-
go w Hamburgu

Rozdział 1

Wyjące messerschmitty zrzucały bomby nad ruiny Małsamarki i z lotu, koszącego ogniem z dział i karabinów maszynowych, raziły radziecką piechotę. Coraz to któryś z myśliwców podrywał się gwałtownie w górę, by z kolei lotem nurkującym runąć na następny cel. Równocześnie osiem focke-wulfów sunęło na bezpiecznej wysokości wzdłuż linii frontu, ledwo widocznej wśród głębokiego śniegu, i znikało za horyzontem między kocielskimi drzewami.

Oprócz terkotania broni maszynowej i wybuchów podskakujących to wyżej, to niżej obłoczków dymu wokół stanowisk artylerii przeciwlotniczej, w dniu 8 lutego 1943 roku z rana, na przestrzeni niemal stu kilometrów na południowy wschód od Orła, nie działo się właściwie nic niezwykłego.

Nagle pojawiły się na niebie trzy stalowoniebieskie samoloty szturmowe typu Il-2 i zaatakowały ciężkie moździerze. Pociski oświetlające zasypały stopy amunicji, ciała i sprzęt, odsłoniły grupkę źle zamaskowanych „miejscowych pojazdów”. Rozległ się świst odłamków. Następnie przyszła kolej na działa piechoty ustawione na skraju ośrodka maszyn rolniczych.

Wtedy właśnie, zatoczywszy szeroki łuk, nadleciały ME-109.

Kanonierów z obsługi lekkich haubic 6 baterii, stojących na wschodnim krańcu Małsamarki, ogarnęła myśliwska gorączka. Porucznik Fritz Helgert, dwudziestoosmioletni dowódca baterii,

obserwował sytuację przez wielką polową lornetę. Obok niego przycupnął starszy szeregowiec Eberhard Baum ze swym aparatem radiotelegraficznym.

- Nasi atakują Iła-2! - krzyknął Helgert. Radiotelegrafista odwiesił mikrofon, wyłączył aparat i wyprostował się.

Dwa radzieckie samoloty szturmowe najwidoczniej zorientowały się w sytuacji; z hukiem przeleciały nad falistym terenem w kierunku linii frontu, zgrabnie wymijając płoty i korony drzew. Towarzyszył im ogień karabinowy. Wkrótce znalazły się pod osłoną własnej artylerii przeciwlotniczej. Trzeci Ił-2 wykonał nad wjazdem do wioski zbyt ostry zwrot, tak, że stracił dużo na szybkości.

Wtedy zjawił się ze świstem pierwszy ME-109 i wypalił ze wszystkich luf jednocześnie. Pilot zręcznym manewrem wyprowadził maszynę z zasięgu ognia. Dwie gwiazdy załśniły purpurowo w jasnym blasku zimowego słońca.

Dwa następne myśliwce niemieckie najwidoczniej też wzięły Iła-2 na cel. Buchnęły z niego kłęby czarnego dymu; za motorem ciągnął się płomienisty ogon. Maszyna przechyliła się na bok. Nagle oderwały się od niej dwie postacie. Jedna z nich spadała w dół prosto jak kamień, aż otworzył się nad nią spadochron. Druga przybrała kształt parasola dopiero tuż przed zerknięciem ze śnieżną powierzchnią.

Daleko za szeregiem spiczasto sterczących topól wyłonił się grzyb dymu z eksplodującej maszyny. Jeden ze spadochronów wylądował o niecałe pięćset metrów od stanowiska ogniowego, spowijając skoczka swą fałdzistą płachtą, prawie niewidoczną wśród śniegu i migotliwych słonecznych promieni.

Baum odetchnął z wyraźną ulgą.

- Miał chłop szczęście.

Porucznik powiesił spieszenie wielką lornetę „10 X 50” na tarczy działa kierunkowego.

- Dalej, chłopcy, sprowadzić go tu.

Rzucił się w stronę rosyjskiego skoczka.

Kanonierzy i kaprale ruszyli za nim z karabinami i pistoletami maszynowymi. Ledwie wyszli poza obręb stanowiska ogniowego, ugrzęźli po pas w miękkim śniegu. Brnęli, dysząc z wysiłku. Mimo trzydziestu stopni poniżej zera, pot spływał im po czołach. Baum, długimi, mocnymi zrywami, torował sobie drogę przez zaspy, szybko nadrobił parę kroków dzielących go od Helgerta.

Żołnierzy biegnących przodem ogarnął sportowy duch rywalizacji. Jeszcze tylko czterysta metrów.

Nagle biała jedwabna płachta wzdęła się, wyłonił się spod niej tors w brązowym mundurze i równocześnie zaterkotał sucho pistolet maszynowy.

Żołnierze przypadli do śniegu. Odbezpieczyli karabiny. Spod spadochronu buchnęły obłoki dymu. Kilkanaście razy. Po chwili nastąpiła cisza. Ostrożnie podnieśli głowy, zaczęli posuwać się dalej, teraz dzieliło ich od przeciwnika już najwyżej sto metrów. Nagle gruchnęła ku nim nowa seria strzałów. Odpowiedzieli wielokrotnionym ogniem karabinów.

- Zatłuc wściekłego psa! - wrzasnął jakiś histeryczny głos.

- Gotowi to zrobić - mruknął Baum, usiłując szybciej przekopywać się przez śnieg. Padł jeszcze jeden pojedynczy strzał. Radiotelegrafista drgnął nagle, skulił się z jękiem.

Helgert natychmiast znalazł się przy nim.

- Eberhard! - spojrzał w wykrzywioną bólem twarz, dostrzegł krew sączącą się z ramienia. - Sanitariusze!

Parę gwałtownych serii z pistoletów maszynowych przeszły leżącą na śniegu jedwabną płamę. Czoło atakującej grupy dotarło do radzieckiego lotnika i zawlokło bezwładne ciało na stanowisko ogniowe.

Podoficer sanitarny Heizer, od 22 czerwca 1941 roku uczestniczący w walkach na froncie wschodnim, brutalnie, ale zręcznie ściągnął Baumowi panterkę, wełnianą kamizelkę i ciemnoszarą koszulę, a na rany założył mu opatrunki. Baum kulił się, pojękując z bólu, a Heizer burczał:

- No, no, nie narzekaj. Zwykły postrzał ramienia. Klasyczny przypadek kwalifikujący do odwiedzenia ojczyzny. Taki stary wyga jak ty powinien przecież... - mruknął jeszcze coś niezrozumiałego i zaczął owijać bandażem pierś i ramię rannego. Następnie poszedł zająć się lotnikiem.

Po schodkach wpadł do bunkra sanitarnego jeden z kanonierów i zameldował zdyszany:

- Panie poruczniku, Ruski ma przy sobie mapy sytuacyjne!

- Już idę! - zawołał Helgert, po czym zwrócił się do żołnierzy, którzy przynieśli Bauma: - Spakujcie raz dwa jego rzeczy! Zaraz wrócę!

Kiwnął głową Baumowi i lekko pochylony opuścił bunkier.

Fritz Helgert był ciemnym blondynem średniego wzrostu, szczupłym, ale szerokim w ramionach. Zawdzięczał tę barczystość lekkoatletyce i gimnastyce przyrządowej. Kanciasta broda i wysokie czoło przydawały jego twarzy pewnej ociężałości. Gęste brwi nad piwnymi oczami dzieliła krótka pionowa bruzda. Miał nieco wystające kości policzkowe.

W roku 1935 zdał maturę i wiązał pewne konkretne nadzieje ze swym przyszłym zawodem. Nie udało mu się jednak dostać poprzez Flieger Sturm SA do powstających właśnie lotniczych sił zbrojnych. Jakaś minimalna wada organiczna okazała się, na podstawie surowych kryteriów wyboru Hermanna Göringa, przeszkodą nie do pokonania, mimo bezgranicznego oddania „ruchowi” i niezmiennego entuzjazmu dla narodowego socjalizmu. Kiedy Fritz Helgert w roku 1936 zapadł się na dwa lata w jakichś brandenburskich koszarach, aby odbyć obowiązkową służbę wojskową, na

pytanie, czy zamierza przejść do służby czynnej, bez chwili wahania odpowiedział: tak. W roku 1939 został oficerem.

We wszystkich opiniach jego wojskowych zwierzchników powtarzało się stwierdzenie: „Nieprzeciętnie zdolny oficer. Urodzony dowódca. Niewygodny jako podwładny. Nadaje się najlepiej do służby liniowej”. To zadecydowało o toku jego kariery. Nie powoływano go nigdy do sztabu. Dowódcy służby czynnej woleli korzystać z pomocy rezerwistów, niż brać sobie na głowę tak kłopotliwy mebel.

Kanonierzy ułożyli radzieckiego lotnika na kocach i brezentowych płachtach w bunkrze radiotelegrafisty. Heizer otwierał właśnie ostrożnie zamek błyskawiczny futrzanego kombinezonu, kiedy wszedł Helgert i zaczął przyglądać się jeńcowi. Cztery palce lewej ręki wisiały, trzymając się już tylko na ścięgnach i strzępach ciała. Po zdjęciu kurtki, po której można było poznać, że ranny jest kapitanem lotnictwa Czerwonych, na jego piersi ukazała się wyszarpana jama wielkości dłoni obficie brocząca krwią. Na to wszystko Helgert mógł jeszcze patrzeć obojętnie - ale naprawdę potwornie wyglądała głowa lotnika. Najwyraźniej zetknęła się z płomieniami, które buchnęły z eksplodującego silnika. Skóra na twarzy była miejscami spalona aż do kości. Tylko oczy wydawały się nietknięte. Z uwagą przesuwają się po obecnych.

Heizer pracował szybko i pewnie. Dłoń była już obandażowana, opatrunek na piersi stał się natychmiast ciemnoczerwony, krew wsiąkała weń jak w gąbkę.

Helgertowi wręczono mapę. Skala 1:50 000. Całkiem świeże barwne wydanie przeznaczone dla celów wojskowych. Czterokrotnie powtarzał się taktyczny symbol oznaczający lotniska polowe znajdujące się w zasięgu własnej dywizji, poza tym ukazano tam linię zajmowaną przez czoło armii oraz rozmieszczenie

niektórych jednostek. Były to cenne dane! Porucznik odwrócił się.

- Sanki! Trzeba go natychmiast odstawić do sztabu dywizji. Zabierzcie także i Bauma!

Radziecki kapitan nie wydał dotychczas głosu. Podczas gdy Heizer pudrował mu twarz uśmierzającym ból pudrem, oczy miał zamknięte. Po chwili prawą ręką sięgnął do zewnętrznej kieszeni lotniczego kombinezonu i wyjął jakieś papiery. Wśród nich było zdjęcie młodej kobiety i dwóch dziewczynek. Kapitan długo przyglądał się fotografii.

Helgert rejestrował rzeczowo: najcięższe, straszliwie bolesne leśne rany i żadnych objawów cierpienia. W tak beznadziejnej sytuacji ani śladu lęku i w dodatku zupełna jasność myśli. Dowódca baterii chłodno rozważał: to są prawdziwi przedstawiciele komunizmu, których trzeba wytępić doszczętnie. Dopiero w momencie, kiedy ostatni z nich nie będzie mógł utrzymać broni, system ten upadnie. Przed armią niemiecką jeszcze kawał nie byle jakiej roboty. Każdy żołnierz musi zdobyć się na maksymalny wysiłek, spełniając swój obowiązek, ho inaczej... Inaczej? No cóż, nie jest wcale takie pewne, czy my wygramy tę wojnę.

Do bunkra wszedł Baum. Trochę pobladły, z zaciśniętymi ustami i obandażowanym lewym ramieniem.

Heizer wyprostował się. Na razie jego rola tutaj się skończyła. Kiedy zobaczył Bauma, ofuknął go:

- Nie mogłeś chwilę zaczekać, idioto? - I poczęstował go papierosem.

Baum wziął jednego. Błysnęły płomyki dwu zapalniczek. Radiotelegrafista zaciągnął się i podszedł do radzieckiego lotnika.

- Kolego...

Ranny pilot otworzył oczy. Na widok proponowanego papierosa usiłował się uśmiechnąć, ale twarz jego wykrzywił tylko okropny grymas. W bunkrze panowała głucha cisza. Lotnik odłożył fotografię i wziął papierosa.

Porucznik Helgert odwrócił się gwałtownie. Ten cholerny sentymentalizm! Gdyby Eberhard nie był moim przyjacielem, powiedziałbym mu parę słów do słuchu!

Woźnica zameldował, wydychając kłęby pary:

- Sanie gotowe do drogi! - Helgert skinął głową.

Pilot spuścił powoli nogi z pryczy, podniósł się z trudem i stanął.

- Idziemy!

Jasny głos, cichy, ale nie pozbawiony mocy. Powoli, krok za krokiem, ranny szedł o własnych siłach w kierunku drzwi.

Na chłopskich sankach leżały dwie wiązki słomy przeznaczone dla woźnicy i dwu pasażerów.

- Eberhard, bracie... - Helgertowi słowa przychodziły z wyraźnym trudem. - Wracaj prędko, zdrow. Będzie mi ciebie bardzo brak.

- Pospieszę się, zobaczysz. Zresztą, na pewno nie wyślą mnie dalej jak do Orła. Przecież na froncie każdy bohater jest na wagę złota!

Helgert nie mógł się powstrzymać od zgryźliwej uwagi. Baum odparł rześko:

- Masz przynajmniej nauczkę ze swoje idiotyczne rusofilskie ciągoty. Jeszcze ci kiedyś taki ptaszek zdmuchnie światło dzienne sprzed nosa, jak się zaczniesz z nim cackać.

Baum spojrzał na niego dobrodusznie.

- Niewykluczone, że kiedyś my będziemy potrzebowali ich opieki.

Helgert całym wysiłkiem woli zapanował nad gniewem. Nie pora teraz na pouczenia. Ale przy najbliższej okazji mój przyjaciel

Eberhard Baum, ten polityczny embrion, usłyszy ode mnie odpowiednie kazanie. Ze sztuczną swobodą powiedział tylko:

- Gdybyś jednak przypadkiem zawędrował do domu, pozdrów ode mnie swoją narzeczoną.

Konie grzebały niespokojnie kopytami. Baum położył się obok radzieckiego kapitana, wziął jego mapę lotniczą i raz jeszcze powtórzył, że odda ją I a przy sztabie dywizji. Uścisnęli sobie ręce. Kasztanki ruszyły.

Porucznik Helgert kręcił się jeszcze czas jakiś po całym stanowisku. Coraz to zamieniał z kimś parę obojętnych słów, wydawał polecenia i z lada powodu wyrażał niezadowolenie. Wydarzenia tego przedpołudnia nie dawały mu spokoju. Przedziwny Rusek! Ciekawe, czy tamci dużo mają takich. Dla ludzi tego typu istnieje tylko jeden cel, żeby rewolucja proletariacka objęła cały świat. Helgert wyduł usta z pogardą.

Owładnęła nim troska o Eberharda, przyjaciela, z którym znał się od szkolnych lat. Chyba wszystko pójdzie dobrze. Życzył mu przyjemnej rekonwalescencji u boku Klaudii. To wspaniała dziewczyna.

Miał w schronie zdjęcie ich obojga. Pochodziło z wiosny 1940 roku. Baum został powołany do Hollabrunn pod Wiedniem na ćwiczenia, a on, podporucznik Helgert, czekał tam na przeniesienie do wojsk frontowych. Którejś niedzieli zorganizowano inspirowaną przez władze imprezę na fundusz pomocy zimowej, z grochówką z kuchni polowej, z pokazem dział i Trimoli. Zobaczyli wtedy po raz pierwszy Klaudię w towarzystwie świeżo upieczonego podporucznika artylerii przeciwlotniczej Kurta Dörnberga, nawiązali z nimi rozmowę i wieczorem poszli do jakiegoś lokalu. Spotkanie przebiegało w atmosferze dziwnego napięcia. Wymiana zdań między dwoma podporucznikami, która wywiązała się z niewinnej dyskusji na tematy techniczno-wojskowe, przeistoczyła

się we wzajemne docinki i doprowadziła do szybkiego rozstania się współbiesiadników. Kiedy Helgert włókł się z Eberhardem z powrotem do koszar, zdawało mu się, że nie poznaje swego przyjaciela. Baum, zwykle taki rzeczowy, stanął nagle i powiedział:

- Możesz sobie myśleć, że zwariowałem, Fritz! Ale wszystkie kobiety poza Klaudią Sanden przestały dla mnie istnieć!

Helgert wybuchnął gromkim śmiechem:

- Tyś naprawdę zwariował! Przecież ona kocha tego firecyka z artylerii przeciwlotniczej!

Baum potrząsnął głową.

- Nic mnie to nie obchodzi. Muszę ją mieć za wszelką cenę! I to na zawsze! Żeby nie wiem co!

I więcej już o tym nie rozmawiali.

Po jakimś czasie Baum napisał do Helgerta długi list, w którym donosił, ile to razy odsiadywał karę za nieprzepisowy stosunek do zwierchników, a poza tym, że ozdobiono jego pierś Krzyżem Zasługi II klasy za rany odniesione w Rosji. Pisał też, że dzięki przypadkowi nawiązał znowu kontakt z Klaudią Sanden. Pracuje już nie w modzie, ale jako kreślarka w fabryce broni. Niestety, wciąż jeszcze jest związana z tym osłem, który zdążył się dochrapać porucznika.

Helgert miał jeszcze dość wyraźnie w oczach zblazowaną twarz tak obelżywie określonego osobnika, gdyż nazajutrz po owym wieczorze, spędzonym we czwórkę, otarł się niemal o Kurta Dörnberga przed Arsenalem w Wiedniu, tak że trącili się bagnietami. Oficer artylerii przeciwlotniczej spojrział wzrokiem pełnym nienawiści w przestrzeń ponad Helgertem, jakby ten był powietrzem. Helgerta raczej to zdziwiło, niż dotknęło. Co mogło wywołać takie nieopanowane uczucia?

W końcu jednak Eberhard dopiął swego i latem 1942 zaręczył się z Klaudią. Podczas jego następnego urlopu mieli się pobrać.

No i doczekał się urlopu - pomyślał Helgert - bo mu ten cholerny ruski lotnik rozwalił ramię. Klaudia się z początku zdrowo wystraszy. Kto wie, jak to długo potrwa? Może obejdzie się bez komplikacji.

Helgert klnąc, ściągnął przemoczone buty. Druga rosyjska zima! Nie była wprawdzie tak ostra jak owa fatalna zima 1941/1942, ale niewiele łżejsza. Klęska stalingradzka i jemu dała się porządnie we znaki. A co miała znaczyć tak gigantyczna zima ofensywa rosyjska, o której się właściwie nie mówi otwarcie, tylko szepcze? Coraz to wyływa słowo „odwrót”.

Naprzód, chłopcy! Czas wracać! - mówią żołnierze, ale już bez złośliwych uśmiechów. Tylko bez paniki! - myślał Helgert. - Przegrane bitwy zdarzają się we wszystkich wojnach świata. Obrócimy jeszcze koło Fortuny! W tej chwili nie ma to zresztą znaczenia! Jedynym słusznym posunięciem będzie godzinna drzemka.

Wyciągnął się na swojej pryczy i po paru minutach już mocno spał.

W nocy nadszedł tajny rozkaz. Przywiózł go podporucznik Altdörfer ze sztabu pułku. Siedzieli teraz obaj w ciasnym punkcie obserwacyjnym. Altdörfer poczęstował gospodarza attikami. A więc nawet takie rarytasy docierają jeszcze do dowództwa pułku! Ordynans Helgerta napełnił dwie szklanki polską monopolową. Porucznik sprzątnął ręką ze stołu drewniany korek i okruchy uszczelniającego laku. Altdörfer otrząsnął się, ale pociągnął jeszcze drugi łyk i wychylił szklankę do dna.

Helgert zaczął zgłębiać treść rozkazu: „Zmiana stanowiska w nocy z 9 na 10 lutego 1943 roku. Do godziny 7 zameldować gotowość do otwarcia ognia”. Zmarszczył brwi. Oznaczało to

potworną udrękę dla ludzi i zwierząt wśród śniegu i mrozu.

Altdörfer wybuchnął beczącym śmiechem, po czym wygłosił pouczające przemówienie:

- Wyrównanie frontu należy przeprowadzić jak najsprawniej. Gdyby tamci pod Stalingradem mieli więcej bojowej odwagi, to my nie musielibyśmy teraz wszystkiego za nich odrabiać. Miejmy nadzieję, że nam nie będzie można nigdy nic zarzucić. Führer dobrze wie, że na nas się nie zawiedzie.

Helgert nie darzył próżnego i pożeranego przez ambicję Altdörfera zbytnią sympatią. Jako oficer łącznikowy w sztabie pułku zdołał on tak omotać pułkownika Krusemarka, że ten nie mógł się już bez niego obejść. Altdörfer pochodził z Kolonii, ale przez ostatnich parę lat mieszkał w Wiedniu. Rozpoczynając studia prawnicze, a więc przed rokiem 1933, wstąpił do NSDAP. Skromna praktyka adwokacka przy Kärntner Ring, zorganizowana przez ojca, po aneksji Austrii, prosperowała znakomicie.

Altdörfer uchodził w sztabie pułku za kogoś w rodzaju oficera politycznego. Świetna pamięć i płynność wymowy, którą zawdzięczał swemu zawodowi, pozwalały mu przy każdej okazji z powodzeniem przytaczać wszystkie wyczytane narodowosocjalistyczne slogany. Moralność panów, lansowana przez NSDAP, imponowała mu od pierwszej chwili, ponieważ w pełni odpowiadała jego osobistym ambicjom. Bezkonkurencyjny talent wykazał w motaniu intryg. W danej chwili - wiedzieli o tym wszyscy aż po dowódców baterii - czekał na mający lada dzień nadejść awans na porucznika, aby móc wygryźć adiutanta pułku, kapitana Gerharda. Przed paru miesiącami, podczas urlopu pułkownika Krusemarka, Altdörfer tonem najgłębszego przekonania doradził Gerhardowi posunięcia, które okazały się w skutkach wręcz fatalne.

Krusemark nie mógł puścić płazem kompromitowania swego, w pruskim stylu, nieposzlakowanego pułku. Dlatego też Gerhards znalazł się na liście spalonych. Altdörfer zaś pragnął stać się prawą ręką dowódcy pułku, aby uzyskać punkt wyjścia do kariery w skali sztabu generalnego. Będąc wypróbowanym już zwolennikiem narodowego socjalizmu, nie miał wątpliwości, że uda mu się ten cel osiągnąć.

Helgert nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Nie dlatego, żeby sam był przeciwnikiem partii, ale Altdörfer go po prostu mierzył. Helgert zaś nie potrafił przejść obok rzeczy budzących jego sprzeciw obojętnie, a Altdörfer zawsze budził w nim sprzeciw. Tym razem punktem zapalnym stała się klęska nad Wołgą i jeszcze coś więcej.

- Szósta armia okryła się chwałą. Niemieccy bohaterowie walczyli tam do ostatniego naboju! - powiedział, patrząc na Altdörfera wyczekująco.

Oficer łącznikowy nie miał ochoty wygłaszać swego zdania na temat aktualnej sytuacji na froncie, chociaż wiedział, że Helgert jest zawodowym oficerem, bezgranicznie oddanym swojemu dowództwu. Wolał się więc zająć porównywaniem terenów ognia zaporowego na mapie Helgerta z oznaczeniami na własnym planie.

Helgert obserwował go z boku: gruszkowata głowa, mięsiste policzki prawie bez zarostu, rzadkie rzęsy nad pozbawionymi wyrazu niebieskimi oczami i usta świadczące o wielkiej pewności siebie. Niby żadnych cech szczególnych, a jednak w twarzy tej było coś odstręczającego, co kryło się nie tylko w tandetnych okularach w nikłowej oprawce. Porucznik skierował spojrzenie ku mapie. Usiłował uzmysłowić sobie sytuację na centralnym odcinku frontu: osaczając armię generała feldmarszałka Paulusa, wojska radzieckie

przystąpiły do obliczonej na szerszą skalę ofensywy, skierowanej zarówno na wysunięty cypel pod Woroneżem, jak i na obszar między Kurskiem i Charkowem. Jeśli można wierzyć komunikatom radia moskiewskiego, to w ramach tej ofensywy zlikwidowano już niemal dwadzieścia sześć niemieckich i węgierskich dywizji. Na przestrzeni pięciuset kilometrów front został przerwany albo poważnie osłabiony. Grupa B armii niemieckiej musiała porządnie ucierpieć.

Olbrzymie tereny Małoarchangielsk-Liwny, w obrębie stu kilometrów na południe od Orła, całkowicie opustoszały. Kiedy nieszczęsne miasto nad Wołgą zamieniło się w kupę gruzów, a ostatnie niedobitki skapitulowały drugiego lutego 1943 roku, ściągnięte pośpiesznie z sąsiednich odcinków i rzucone w ziejące wyrwy frontu jednostki poczuły następne dotkliwe ciosy. Wyścig z pułkami Armii Czerwonej, które nieubłaganie dążyły do oskrzydlenia nieprzyjaciela i zapędzenia go znów w kozi róg, gnał wszystkich na zachód.

Helgert zgrzytnął zębami i ponuro wpatrywał się w mapę.

W zasięgu własnej dywizji można było - według wytyczonej na mapie przedniej linii frontu - stworzyć sobie jakiś logiczny obraz sytuacji. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż tutaj właśnie zaczynał się ten odcinek centralnego frontu, który w ciągu roku 1942, poza nielicznymi wyjątkami, zaznał tylko wojny pozycyjnej. Jeśli ten cały głęboko umocniony, do maksimum rozbudowany system pozycyjny nie może oprzeć się atakowi, to co nas dalej czeka? - zadawał sobie pytanie. Najciekawszy zaś był fakt, że ta świńska awantura zaczęła się właśnie od sąsiedniej południowej dywizji, do której wzmocnienia miała być teraz przydzielona bateria Helgerta. Wszystko to było w stanie kompletnej degrengolady; na przestrzeni dwudziestu, trzydziestu, a może stu trzydziestu

kilometrów linia frontu została fantastycznie postrzępiona. Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się punkt styczny z południową grupą armii. Nikt też nie miał zresztą pojęcia, jak daleko Rosjanie posunęli się na zachód. Góra określa pewnie ten stan jako „walkę ruchową”, której taktyka polega na operowaniu przestrzenią, myślał Helgert. W rzeczywistości jest to od paru miesięcy „czerwona ofensywa zimowa” i „przesunięcie frontu na zachód”. W ciągu tego roku szczęście wojenne, mimo strat poniesionych przez 6 armię, musi się odwrócić. Trzeba będzie gwałtownym, błyskawicznym atakiem odzyskać tereny stracone nad Wołgą i aż po Don. Jeszcze da się to odrobić, powiedział sobie, czując przyptyw wojskowej dumy. Kiedyś osiedlimy tam naszych chłopów. My ich osiedlimy. Nie potrafię sobie właściwie wyobrazić innego zawodu poza wojskowym. Wkrótce dorobię się pewnie drugiej gwiazdki, zostanę kapitanem, dadzą mi własny oddział.

- Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, panie poruczniku?

Helgert wzdrygnął się.

Altdörfer uśmiechał się złośliwie, zakładając skórzane pętelki na drewniane kołeczki ciężkiego kozucha przeznaczonego właściwie dla wartowników.

Helgert nie miał już żadnych pytań.

- Niech pan pozdrowi panów ze sztabu.

Altdörfer skłonił się nieznacznie.

- Dziękuję uprzejmie.

Zamierzał właśnie unieść niedbale rękę do daszka wojskowej czapki, kiedy coś mu się widocznie jeszcze przypomniało.

- Właściwie to chyba zbędne, ale pozwolę sobie zwrócić uwagę pana porucznika, że również i oddziały naszego pułku mają w miarę swoich możliwości współdziałać w pustoszeniu strefy niczyjej.

- Spalona ziemia.

Helgert pokiwał głową w zadumie. A przed chwilą rozmyślał o triumfalnej niemieckiej ofensywie na centralnym odcinku frontu.

Mimo wczesnego popołudnia było już prawie ciemno. Gęste, skłębione chmury zapowiadały burzę śnieżną, białą-szarą zamieć, która ani trochę nie łagodziła chłodu. Helgert odprowadzał wzrokiem znikającą w mroku swoją baterię.

Ruszył za nią powoli, wspierając się machinalnie na bukowej lasce. Za nimi ciągnął oddział artylerii armii, który porucznik uważał za kupę złomu.

Działa ślizgały się po oblodzonej polowej drodze, zwanej dumnie „szlakiem manewrowym”. Coraz to któryś pojazd wpadał, koziółkując w jakiś podstępny dół, pociągając za sobą rozpaczliwie opierające się konie i wrzeszczących ludzi. A śnieg przysypywał wszystko białą powłoką.

To tu, to tam leżał na skraju drogi wyczerpany, zdychający koń. Z nozdrzy buchała para. Boki unosiły się w słabym oddechu. Śmierć długo jeszcze kazałaby na siebie czekać. Trzeba nabić pistolet 08, przyłożyć nad prawym okiem i wycelować w lewe ucho. Gwałtowny skurcz, drgające kopyta i spokój na zawsze.

Uciekinierzy usiłowali precyzyjnie przycisnąć się obok kolumny wojska. Tuż przed Helgertem potknął się jakiś staruszek. Jego rodacy pomogli mu się podnieść. Biedak uczepił się sanek, na których siedziały kobiety z płaczącymi dziećmi i ubogim dobytkiem. Ludzie ciągnący rozklekotany pojazd stękali z wysiłku.

Za sankami szła młoda kobieta o szerokiej chłopskiej twarzy, w brązowym półkożuszku i grubej wełnianej chustce owijającej głowę i szyję. Kiedy pochylała się ku choremu widocznie, maleńkiemu dziecku na saniach, Helgert zobaczył wyraz bólu w jej oczach.

Dla porucznika Helgerta wszystko to stanowiło jedynie fenomenalny kalejdoskop. Długimi krokami maszerował obok swoich chłopców i obserwował spod oka: na rzęsach, brwiach i brodach skorupa zamrożonego śniegu oraz kryształki lodu wciskające się boleśnie w brudne, niewyspane, wycieńczone twarze. Wiedział, że nogi i ręce żołnierzy są lodowate, że mróz z godziny na godzinę coraz głębiej przenikać będzie przez płaszcze i nędzną odzież, paraliżując resztki słabnących sił.

- Zastrane ofiermy, gdzie wasza krzepa? - usłyszał własny głos.

Gdzieś w pobliżu zaterkotały zniecka karabiny maszynowe. Wschodni horyzont rozświetlały płomienne luno.

Kiedy śnieżycy na chwilę ustała, wyłoniły się nieliczne chałupy przycupnięte w płytkiej kotlinie wioski. Pierwsze pojazdy właśnie do niej dotarły. Grasował tam oddział saperów, wysadzając w powietrze, co się tylko dało. Helgert nie znał tej jednostki. Należała prawdopodobnie do sąsiedniej dywizji. Kapral saperów podszedł do Helgerta, zameldował, że mają jednego lekko rannego i poprosił o pomoc sanitarną. Porucznik skinął przyzwalająco głową, Heizer zniknął ze swoją żółtą walizczką w dużym, krytym blachą budynku.

Helgert spoglądał za nim pogrążony w zadumie. Ci saperzy otrzymali rozkaz pozostawienia za sobą „spalonej ziemi”. Jak to Eberhard Baum określił ostatnio obecną sytuację? - Zgodnie z rozkazem należy zdławić wszelkie ruchy wroga w strefie śmierci. Zgodnie z rozkazem wszystko musi tu wymarznąć lub spłonąć. Musi! Jest to bowiem jedyna możliwość uzyskania jakiegoś oparcia. Inaczej planowy odwrót, z góry przewidziane „skracanie linii frontu”, zamieni się w niepowstrzymaną ucieczkę! A wtedy komunistyczny przeciwnik będzie wyznaczał tereny decydujących

starć. Właśnie tuż przed zranieniem Baum stwierdził cynicznie: - Pomagierzy Führera: Keitel, Jodl, Guderian, Haider i Krefos znowu wezmą ogon pod siebie i czmychną przed największym wodzem wszystkich czasów!

Dalszy zaś przebieg kampanii miał, jego zdaniem, wyglądać następująco:

- Możesz sobie gadać, co chcesz, ale odkąd Rosjanie na początku grudnia czterdziestego pierwszego ruszyli do przeciwnatarcia i w ciągu paru tygodni odzyskali, jak obszył, trzecią część zdobytych przez nas terenów, na północnym i środkowym odcinku frontu nie rozegrało się właściwie nic szczególnego. Nasz operatywny atak w czterdziestym drugim na Stalingrad, stepy, Kaukaz i Kubań wojska radzieckie nie tylko zlikwidowały, ale zniosły przy tym z powierzchni więcej naszych jednostek, niż zawiera jedna niemiecka armia. A na tym przecież jeszcze nie koniec. Niech żyje nasz sztab generalny ze zwykłym kapralem z pierwszej wojny światowej na czele!

Głucha detonacja wstrząsnęła śnieżną powierzchnią, wyrwywając porucznika Helgerta z jego rozmyślań.

Wszędzie dokoła pracowały pododdziały minerskie. Saperzy byli to mężczyźni w starszym wieku. Coraz to któryś spoglądał na płonący horyzont. Front zbliżał się w piorunującym tempie.

Bateria nie zatrzymując się, przeciągnęła przez wieś. Gwizdząc na Altdörfera i cały sztab pułku. Niech sobie saperzy produkują spaloną ziemię - myślał Helgert, brnąc dalej poprzez szaroniebieskawą śnieżną zawieję. - Gdyby moi ludzie zdążyli wypocząć, to proszę bardzo. Byłby to rodzaj odmiany, od czasu do czasu nawet konieczny. Ale tak?

Obejrzał się pełen napiętej uwagi.

Granaty pękały z głuchym łoskotem. Miny warczały. Piwnice z traskiem wylatywały w powietrze. Ładunki wybuchowe

podrywały całe domy, chałupy i na ziemię spadały już tylko gruzy. Benzyna lała się, sycząc. Płomienie wżerały się w drzewo i tkaniny, skakały po słomianych dachach, zagarniały po kolei wszystko ognistymi językami. Potem na nocnym niebie rozpościerała się szeroka łuna jakby olbrzymiej pochodni. Zamieć śnieżna pędziła przed sobą, deszcz iskier ku następnyim budynkom, niszcząc kraj, niszcząc nadzieję.

Wywoływało to wrażenie równie makabryczne jak pierwszej zimy - wtedy, na początku grudnia, pod Michajłowskiem, jakieś sto trzydzieści kilometrów na południowy wschód od Moskwy.

Kiedy w październiku 1941 r. Führer sporządzał bilans, oznajmił, że nieprzyjaciel, po ciosach wojny błyskawicznej i letnich walkach w okrążeniu, leży powalony na obie łopatki i pozostało już tylko pokonanie Moskwy, ostatniego czerwonego bastionu.

Tymczasem 8 grudnia spadł jak grom z jasnego nieba rozkaz odwrotu. Mijając Riazan, Jepifań i ziejącą ogniem, oblężoną, ale nigdy nie zdobytą Tułę, przedarli się wtedy do Nowosila.

Porucznik Helgert przypomniał sobie teraz owe dni odwrotu, całą ich grozę. Nie było dnia ani nocy, żeby słupek rtęci nie spadł do czterdziestu stopni poniżej zera. Ciężkie, zimnokrwiste konie pociągowe padały jeden po drugim.

Trzeba było wysadzać w powietrze pojazdy i przodki armat. Haubice ciągnięto na płozach, lufą w kierunku marszu. Odmrożenia drugiego i trzeciego stopnia sprawiały, że stan liczebny oddziałów kurczył się z dnia na dzień. Coraz więcej trupów zostawało po drodze. Na domiar wszystkich udręk nie ustawały ataki, okrążających niemieckie oddziały, jednostek Armii Czerwonej.

A wszędzie, którędy pełził gigantyczny wąż cofających się wojsk, wsie, osiedla i miasta zamieniały się w kupy gruzów i popiołu.

Niewielu członków jego obecnej baterii przeżyło tę pierwszą wielką kontrofensywę armii radzieckiej. Na trwałą pamiątkę owych przeżyć otrzymali w roku 1942 „medal wschodni” zwany przez żołnierzy lekceważąco „medalem mrożonego mięsa”, „medalem drogi manewrowej” albo „medalem wszarzy” i obnoszony przez nich w oryginale albo w miniaturze przy każdej okazji jako dowód bohaterstwa.

Później rozkazy dzienne, radio i gazetki frontowe przekonały Helgerta całkowicie, że jedynie owa strefa śmierci mogła pomóc niemieckiej armii w przechytrzeniu bolszewickich sprzymierzeńców, „generała Mroza” i „generała Szlama”.

Wtedy, w dziewięć miesięcy po rozpoczęciu wojny z Rosją, wydawało się to jedynie nieistotną zwłoką, potrzebną dla ostatecznego zwycięstwa. Ale dziś, po upływie roku? Po wstrząsającej klęsce 6 armii? Helgert coraz to słyszał szept na ten temat wśród własnych żołnierzy, wśród obcych oficerów. Czasem zdawało się, że rozlegają się one wszędzie. „Najzwyklejszy defetyzm - myślał. - Ale z jakiej racji ja mam sobie o to głowę łamać? Ostatecznie za co płacą tym bubkom ze sztabu!”

Za jego plecami rozległy się brnące przez śnieg spieszne kroki.

- Podoficer sanitarny Heizer melduje się z powrotem!

- No i co się tam stało?

- Nic takiego, panie poruczniku! Gość podkładał ładunek wybuchowy i rozwalił sobie siekierą rękę. - Heizer wzruszył pogardliwie ramionami. - Pojedzie do domu jako niezdolny do służby linowej. Ale... - Sanitariusz zawahał się.

- Co ale? - spytał Helgert, tylko żeby coś powiedzieć. Ten uparty Burgenlandczyk o lekko pochylonym karku nie budził w nim zbytnej sympatii. Miał o wszystkim swoje własne zdanie i

wyrażał je zwykle bez ogródek, nie zważając na obecność starszych rangą. Odznaczał się jajowatą czaszką i bystrymi szarymi oczami. Koledzy wyśmiewali się z niego, ponieważ anormalnie długi duży palec prawej nogi zmuszał go do noszenia gigantycznych wręcz butów. W rodzinnych stronach, niedaleko granicy węgierskiej, gdzie orało się jeszcze przy pomocy wołów, Heizer był nauczycielem i z zamiłowaniem ćwiczył swoich uczniów i uczennice w śpiewaniu pieśni ludowych ze Steiermark i Kärnten. Występował z nimi potem na rozmaitych uroczystościach i pękał z dumy, słysząc słowa uznania i czytając wzmianki w gazetach. Teraz jednak był wyraźnie zmartwiony.

- Ci saperzy to cholerne dranie - powiedział.

Porucznik nie dopytywał się dalej, ponieważ gadanina podoficera sanitarnego minimalnie go interesowała.

- Kiedy opatrywałem tego żołnierza, dwaj kaprale podkładali pod chałupę ładunki wybuchowe. Nagle jeden z nich stanął w drzwiach i wrzasnął: „Pospiesz się, bo za chwilę obaj wyleciecie w powietrze!” Pocałuj mnie gdzieś, pomyślałem i zabrałem się do wypisywania żołnierzowi skierowania...

- Jakiego znowu skierowania? - przerwał mu Helgert.

Heizer pokiwał głową nad takim bezmiarem niewiedzy.

- No takiej karty, którą ranny zabiera ze sobą w podróż na tyły.

- Aha, rozumiem - odparł Helgert. - I co dalej?

- Nagle w sąsiedniej izbie rozległ się jakiś szelest. Dwaj kaprale załadowali pistolety maszynowe i skoczyli tam. Za drzwiami klęczał siwobrody mężczyzna, głową dotykał ziemi. Przed ikoną palił się płomyk. Może stary się modlił. To dziwne, bo w Hollabrunn kazano nam uczyć młodzież, że w Rosji już tego nie ma. Jeden z kaprali szturchnął klęczącego i ryknął: „Hej, pan! Gospodin! Dawaj, dawaj!” Tamten jednak wyraźnie chciał zostać.

Wtedy kapral odwrócił się na pięcie, wypędził nas wszystkich z chałupy i zapalił lont. Musieliśmy wiać, żeby nas gruzy nie przysypały.

Porucznik nie przejął się tym zbytnio. Mój Boże, do czego by to doszło, gdyby człowiek w czasie wojny ze wszystkim chciał się liczyć! Przypomniawszy mu się pewien epizod z października 1941 roku, kiedy wysiadł na dworcu w pobliżu dworca w Homlu. Leżały tam pokotem na jednym polu tysiące rosyjskich jeńców wziętych podczas walk w okrążeniu. I jak tylko ktoś krzyknął, posterunek puszczał serię z karabinu maszynowego. Bo też mogły siedzieć Ruski cicho! Wydało mu się nonsensem poświęcać temu staruszkowi choćby jedną myśl. Czemu nie wylazł ze swojej lepianki?

Helgert wyprostował się, usiłując otrząsnąć się z tego wszystkiego. Wojna to nie przelewki. Wielkie Niemcy potrzebują przestrzeni życiowej. I to jest najważniejsze. Dlatego teraz wióry lecą, myślał.

W tym momencie działa zjechały z drogi manipulacyjnej na nowe stanowisko ogniowe obrane przez oficera baterijnego, podporucznika Gengenbacha.

W trzy dni potem starszy szeregowiec Baum siedział późnym wieczorem w nędznym baraczkach koło zburzonego budynku stacyjnego. Dzielili go jeszcze cztery godziny od odjazdu pociągu. Czekając, rozważał wydarzenia, jakie nastąpiły od chwili, gdy opuścił stanowisko ogniowe w Małsamarce.

W drodze, ilekroć sanki trafiły na jakiś dół czy gwałtowniej zarzucały, Baum czuł ostry ból w ramieniu. Spoglądał wtedy na radzieckiego kapitana, którego wyraz twarzy w ogóle się nie zmieniał. Wobec tego i on zaciskał zęby. Zaraz za Małsamarcką wjechała na drogę manipulacyjną. Starszy szeregowiec Biber popuścił

cugli obu wałachom, tak, że dziewiętnaście kilometrów dzielących ich od stanowiska dowodzenia dywizji przebyli w dwie godziny.

W I c załatwił Bauma jakiś sierżant. Pozbywszy się jeńca i jego mapy, ranny zgłosił się do kompanii sanitarnej. Kapral urzędujący w kancelarii był przedtem w pułku artylerii. Po trzech dniach wezwał do siebie Bauma i wcisnął mu do ręki kopertę ze skierowaniem do szpitala wojskowego w Briąnsku.

- A teraz szoruj stąd, łamago! - fuknęła na niego, mrugając przy tym lewym okiem. - Dziś o dwudziestej pierwszej będzie tędy przejeżdżał pociąg sanitarny z południa. Możesz się nim zabrać.

Do odległego o siedem kilometrów dworca podwiózł go wóz amunicyjny.

Mały piecyk ogrzewający barak był rozpalony do czerwoności. Mimo to skorupa lodowa na mlecznych szybach okiennych stawała się coraz grubsza. Baum chuchając, stworzył sobie w niej niewielki otwór. Nim jednak zdążył przezeń wyjrzeć, zasnuła go z powrotem marznąca para. Baum podniósł się i pchnął opornie ustępujące drzwi. Ich zgrzyt wświdrował mu się boleśnie w uszy. Niepewnym krokiem wyszedł na dwór. Ociężałe stada wron ciągnęły przez dziwnie jasną noc. Dookoła leżała skrzypiąca od mrozu równina tu i ówdzie przecięta pasmami żywoplotów. Nad nią skrzyło się wygwieżdżone niebo. Wśród kanciasto sterczących ruin klekotała krzywo wisząca tablica z nazwą miejscowości, której jednak nie można było odczytać.

Baum zapatrzył się na długie linie szyn. Połyskując błękitnawo, nadbiegały od południowego wschodu, zapewne od strony Liwn, przeciskały się wśród tarasujących drogę rozbitych lokomotyw, lejów po pociskach i zwałów zardzewiałego żelastwa. Za

nikłym zielonym światełkiem dążyły dalej na północny zachód. Kto wie, gdzie się kończyły, w ilu miejscach podminowali je partyzanci i czy dziś właśnie nie zostaną wysadzone w powietrze pod kołami jego pociągu. Zdawało się, że chłód przenika człowieka aż do kości. Termometr wskazywał znowu przeszło trzydzieści pięć stopni poniżej zera. Baum zawrócił pod osłonę drewnianego baraku.

W powietrzu słysząc było jakiś dziwnie obcy szum. Od strony drogi manipulacyjnej, odległej o niecały kilometr, dochodziło głucho dudnienie niezliczonych silników. Wojsko ciągnęło tamtędy zwartym, szerokim strumieniem. Była to przede wszystkim służba tyłów zaopatrująca wielkie sztaby, wycofywana teraz coraz dalej na północny zachód. Żołnierze tych jednostek mieli przeważnie solidną zimową odzież i nie musieli, jak wielu na froncie, owijać nóg szmatami, nosić chustek chroniących głowę i twarz ani opatulać się w koce i plandeki, byle tylko zabezpieczyć się przed zabójczym zimnem.

Nie sprawiało to jeszcze wrażenia ucieczki, ale stanowiło jakby złowrogi ślepy zaułek frontu. Dalej na zachód Rosjanie parli przez Kursk na Lgów. Podobno nawet pod Siewskiem dotarli już do briańskich bagien. Na południu zaś główna siła natarcia skierowana była wyraźnie na Charków. Wszystko to razem mogło się stać niebezpieczną pułapką. Ważna ze strategicznego punktu widzenia linia kolejowa Moskwa-Charków została pod Kurskiem przerwana i dopiero od Biełgorodu była w rękach Niemców.

Eberhard Baum siedział skulony na wiązce zgniłej słomy i zamknąwszy oczy, marzył, że jest bardzo daleko stąd. O Boże, być teraz w domu, na wycieczce w Alpach albo pod namiotami na jeziorach mazurskich. Wiele problemów należałoby może rozwiązać inaczej, poważniej zastanowić się nad pewnymi kwestiami z dziedziny polityki. Za każdym razem, kiedy rozmawiał na różne

tematy z podoficerem sanitarnym Heizerem i słuchał przy tej okazji jego śmiałych wypowiedzi w sprawach politycznych i militarnych, stwierdzał, że on sam bardzo słabo się w tym wszystkim orientuje. A zagadnienia nurtujące młodzież ze środowisk robotniczo-rzemieślniczych były mu właściwie całkiem obce. Eberhard Baum w młodości nie stykał się w ogóle z ludźmi tego pokroju. W stowarzyszeniu gimnastycznym, do którego należał, śpiewano patriotyczne pieśni, podczas gdy młodzież lewicowa spod znaku „Jodły” i „Dębu” zajmowała się, chyba, więcej polityką niż sportem. Od czasu do czasu grywali wprawdzie w siatkówkę z sąsiednią drużyną „Jodły”. Wtedy to spotkał się z tokarzem Rudolfem Benderem, którego nieraz potem wspominał.

Kiedy rozpoczął się wielki proces łączenia i ujednociania związków młodzieży, Baum nie miał już czasu na sport, ponieważ był pracującym studentem; musiał zbierać pieniądze na opłacenie swoich studiów, żeby kiedyś móc wrócić do rodzinnego domu z dyplomem ukończenia architektury w rękę.

A polityka? No cóż! Jego stosunek do oswobodzenia Zagłębia Sary był identyczny jak do zajęcia Nadrenii, wprowadzenia obowiązkowej służby wojskowej czy prądu „powrotu do Rzeszy”, w wyniku którego Austria przekształcona została w „Marchię Wschodnią”. Dla porządku kwitował to wszystko okrzykiem „heil”, chociaż nie uważał, że należenie do którejkolwiek z narodowosocjalistycznych formacji jest konieczne.

Kiedy zajęcie Sudetów doprowadziło bezpośrednio do aneksji Czechosłowacji, nad którą Wielka Rzesza Niemiecka objęła protektorat, między Eberhardem a jego ojcem, skromnym urzędnikiem, zaczęły się poważne nieporozumienia. „Staruszek”, jak go syn nazywał, jeszcze w czasach szkolnych, był wielkoniemieckim

nacjonalistą. Podobne posunięcia uważał za równie niezbędne jak „oczyszczanie” narodu niemieckiego z „elementów niższych ras”. Nie pochwalał wprawdzie metod, jakie zastosowano na przykład podczas „kryształowej nocy”, ale ostrzeżenie żydostwa było zasadniczo po jego myśli.

Od tego momentu stosunki między Eberhardem Baumem a jego ojcem na gruncie polityki stawały się coraz bardziej napięte. Ilekroć Eberhard odkrył na słupie z ogłoszeniami czerwone obwieszczenie podające do wiadomości publicznej, że ten a ten został stracony i że sądy ludowe czuwają nad tym, aby „bolszewicy Untermensche” nie pokrzyżowali planów Führera, wszczynał dyskusję, i to przeważnie w tonie wyraźnie prowokacyjnym, z ojcem, który na próżno usiłował sprowadzić swego jedyne go syna na właściwą drogę. Ten zaś z rozmaitych względów stawał uparcie w opozycji wobec wszystkiego, co brunatne i co organizowane było pod znakiem trupiej główki SS. Wtedy jednak miał jeszcze bardzo mętne pojęcie o tym, w imię czego występuje.

- Cholerne ramię - zaklął cicho, kuląc się pod wpływem przezywającego bólu.

Ten czerwony kapitan to diablo twarda sztuka, pomyślał. Ani słowa skargi. Żeby to mógł mu powiedzieć, że ja, starszy szeregowiec Baum z Wedding w Berlinie, przeklinałem tę piekielną wojnę hitlerowską, że przed wojną brałem skromny udział w pewnej nielegalnej robocie. Skończyło się to oczywiście z chwilą, kiedy mnie przyodziano w szarozielony strój narodowego bohatera. Wędrowałem z jednej jednostki do drugiej i nie spotkałem człowieka o podobnym nastawieniu. Szczerze powiedziawszy, świadomie go nawet nie szukałem. Przez ślepy przypadek trafiłem wreszcie do baterii Fritza Helgerta, przyjaciela z lat młodszych. Wobec niego z niczym się nie kryłem. Wydawało mi się

jednak, że byłoby to z mojej strony nie fair, gdybym zaczął coś organizować w baterii, która jest oczkiem w głowie Fritza. Helgert jest zawodowym wojskowym z zamiłowania, tak zwany obowiązek żołnierski stawia ponad wszystko. Na moje pytania o sens tej całej awantury, o to, „dla kogo” się to robi i „po co”, odpowiadał zawsze stereotypowo: - Musimy wygrać tę wojnę. Później można będzie coś niecoś zmienić w obecnej bonzokracji i wprowadzić prawdziwy narodowy socjalizm na co, w latach 1933-1939, z winy zachodnich plutokracji, nie było po prostu czasu.

Z drugiego końca baraku wyłonił się jakiś mężczyzna, stanął w czerwonym blasku padającym z pieca, dorzucił parę nędznych szczap do ognia, pogrzebał w paleniska aż buchnęły iskry i bez słowa zniknął z powrotem w ciemnościach.

Baum obrócił się na drugi bok. Kiedy historia stalingradzka zaczęła przybierać coraz bardziej niewątpliwy obrót, Helgert jakby się zmienił. - Gdyby nam oszczędzono 22 czerwca tej akcji „Barbarossy”, może bylibyśmy już w domu, rozkoszując się owocami zwycięstw odniesionych na zachodzie, południu i północy. - Na więcej nie pozwalał sobie w ich rozmowach. Wziął za to swoją zdyscyplinowaną baterię jeszcze bardziej do galopu. Została ona w konsekwencji odłączona od swego pułku i przydzielona na południe, od sąsiednich dywizji, jako osłona odwrotu z okręgu Woroneża. Gdzie się też Helgert teraz obraca? A radziecki pilot? Obie te postacie zlewały się teraz jakoś dziwnie w wyobraźni zasypiającego Bauma.

Nagle starszy szeregowiec Baum uniósł głowę, nasłuchując. I oto po raz drugi rozległo się na dworze wycie przypominające dźwięk syreny okrętowej: pociąg sanitarny!

Baum zerwał się, narzucił płaszcz, chwycił tornister i worek z bielizną, i wybiegł z baraku. Gwałtowny wiatr zdmuchnął mu parę

oddechu sprzed ust. Rana znowu dotkliwie bolała.

Ciężka maszyna sycząc, zbliżała się do zielonej latarni. Szerokie rosyjskie wagony towarowe z czerwonymi krzyżami zatrzymały się ze zgrzytem. Z dachów zwisały lśniące sopte, wagony wyglądały jak zamarzniete, zionęła z nich jakaś widmowa martwota wywołana przez szczelnie pozamykane drzwi. Tylko z samego końca pociągu wysiadło paru żołnierzy. Baum ruszył w ich stronę. Musiało się tam zwolnić trochę miejsca. Kiedy biegł, zdawało mu się, że słyszy jakieś jęki, ale nie miał czasu zwrócić na to uwagi. Nieznośne zimno zmuszało go do szukania czym prędzej osłony. Z całych sił szarpnął najbliższe, przymarzniete prawie drzwi i cofnął się, przerażony głośnym jękiem, jaki się z wnętrza wydobywał.

- Do diabła! Co się tam dzieje?!

Wąska smuga światła jego kieszonkowej latarki wdarła się w mrok wagonu. Baum zmartwiał. Na gołych deskach leżało tam trzydziestu, a może i więcej mężczyzn. Bojownicy o wielkoniemiecką Rzeszę! Niegdyś dumni żołnierze Führera. Leżeli niemal jeden na drugim. Ci ludzie o ziemistych, często kredowobiałych twarzach wili się w mękach, usiłując rozpaczliwie utrzymać się przy życiu. Niektórzy od dawna już nie żyli, inni byli bliscy śmierci. Prymarzniete zakrwawione opatrunki chrzęściły na piekielnym mrozie. I ze wszystkich stron jęki, nieprzytomny z bólu bełkot. Ani śladu pieca czy wiązki słomy! Nie pozatykano nawet otworów wentylacyjnych. Tu i ówdzie tylko jeden koc na trzech rannych. Nic więcej. Ściany pokryte grubymi płatami szronu.

Baum zatrzasnął drzwi z powrotem i rozejrzał się bezradnie dokoła. Nie czuł już zimna ani lodowato zacinającej śnieżycy.

Parę okutanych postaci wysiadło z eskortującego transport wagonu i przebiegło obok Bauma, nie zwracając na niego uwagi.

Żołnierze ci wdrapali się spiesznie do pierwszego wagonu i zaczęli wyciągać z niego trupy. Większość zeszywniała już od mrozu. Wlekli je do obitego żelazną listwą brzegu wagonu i wypychali na zewnątrz jak kłody drzewa. Inni układali je potem rzędem na ziemi, tak widocznie należało. Następnie drzwi zatrzaśkiwały się, głusząc wszelkie wołania o ratunek i przychodziła kolej na sąsiedni wagon. I tak dalej, i dalej.

Starszy szeregowiec Eberhard Baum, który odznaczony został Krzyżem Żelaznym I klasy i przeżył już niejedno we Francji i Rosji, patrzył na to bez ruchu, z bijącym sercem.

Ogarnęły go refleksje. To niemieccy żołnierze zdychali tu w ten sposób. Ludzie, którzy czując w sobie „niemieckie posłannictwo”, wierzyli, że na terenach odległych o tysiące kilometrów od granic Rzeszy muszą „bronić” swej brunatnej ojczyzny. Na godziny, na dni najwyżej, można liczyć trwanie frontu utrzymującego się za cenę ich zdrętwiałych od mrozu ciał. A potem pozostali w domu najbliżsi tego stosu trupów będą czekać i czekać, aż słowo „zaginał”, niby pełne grozy „mane, tekel, fares”, zaciąży nad paroma dziesiątkami lat ich życia. Zabraknie nawet danych na znormalizowaną notatkę w „Völkischer Beobachter” czy w innym narodowosocjalistycznym organie donoszącą o bohaterskiej śmierci na polu chwały i dumnej żałobie. Baum splunął. Führer dba o swoich żołnierzy, nie ma co.

Znalazł dla siebie miejsce w ostatniej lorze na stosie konserw owsianych, które, ze szkodą dla czworonożnych uczestników wojny, przez przeoczenie zapewne, wracały na tyły. Przycupnięci pod ścianami lekko ranni nie zwrócili na niego uwagi. Gwałtownie szarpnąwszy, wędrująca trumna ruszyła w dalszą drogę.

Ujrzane obrazy nie dawały Baumowi spokoju. Przecież trzeba jakoś temu zaradzić!

Koła toczyły się monotonnie po szynach.

Za-ra-dzić, za-ra-dzić, ja-koś te-mu za-ra-dzić! Zastanów się, Baum, mały podwładny wielkiego kaprała, tymczasem siedzisz tu i czekasz, aż ci tyłek do podłogi przymarznie! A jednak, póki jeszcze pomysłu nie człowiekowi całkiem nie zdrętwiał, powinien naprawdę jakoś temu zaradzić! Gwizd lokomotywy wyrwał go brutalnie z zamyślenia.

Podczas gdy pociąg przedzierał się przez pograżony w nocnym mroku zlodowaciały step, a w wagonach umierali kolejno jego towarzysze, trzydziestoletni starszy szeregowiec, Eberhard Baum, postanowił przyczynić się do tego, aby wojna prowadzona przez największego wodza wszystkich czasów zakończyła się, za jego zgodą czy też nie, ale w każdym razie jak najszybciej.

Następnej nocy chwyciła go gorączka wywołana przez jątrzącą się ranę.

Lekarz w Briańsku zrobił zafrasowaną minę, kiedy ją sobie w parę dni później obejrzał, stwierdziwszy na podstawie książki żołdu, że ten starszy szeregowiec, z zawodu architekt, wyszkolony radiotelegrafista i telefonista, urodził się tak jak on pod znakiem Koziorożca i tak jak on pochodzi z północnego Berlina. Wystawił mu wobec tego skierowanie do szpitala wojskowego Berlin-Tempelhof, dołączając list odręczny do kolegi ze studiów, który tam ordynował.

Rozdział 2

Klaudia Sanden powoli wspinała się po schodach na górę zmęczona gorączkową harówką w Zakładach Zbrojeniowych Berlin-Północ, gdzie spędzała dziesięć godzin dziennie przy jaskrawo oświetlonej rysownicy. Otworzywszy drzwi swojej kawalerki, zobaczyła leżący na podłodze telegram. Nerwowo rozdarła kopertę.

„Przyjeżdżam dworzec Friedrichstrasse dziewiętnastego lutego czternasta trzydzieści cztery pozdrowienia Eberhard”. Przez chwilę zdawało jej się, że pokój wokół niej wiruje. Przycisnęła rękę do serca, raz jeszcze przeczytała telegram. Nadany z Poznania. Przyśzedł do niej pocztą. A więc całkiem zwyczajną drogą. To, co trzymała w drżących dłoniach, nie było wobec tego żadnym złudzeniem. Jasna mroźna noc zapadła nad stolicą Rzeszy. Dziewczyna leżała na tapczanie, pełna niepokoju, wpatrując się w mrok zalegający pokój, tak, że z trudem można było rozróżnić kontury mebli. Spojrzenie jej coraz to wracało do tarczy budzika o nafosforzowanych cyferkach, śledząc leniwie posuwające się naprzód wskazówki. Dopiero minęła północ. Zaczęła liczyć godziny dzielące ją od przyjazdu Eberharda. Gdzie on może teraz być? Siedzi w jakimś pociągu wlokącym się poprzez noc. Pewnie wygląda przez okno, sprawdzając, ile ma przed sobą kilometrów. A dużo ich jeszcze zostało.

Była zupełnie rześka. Nie było sensu czekać na sen. Zaczęła przebiegać myślami okres swego związku z Eberhardem Baumem i poprzedzające go lata narzeczeństwa z Kurtem Dörnbergiem.

Dörnberga spotkała po raz pierwszy w klubie tenisowym „Biało-Zielone” w Wiedniu. Podczas jakiegoś święta na świeżym powietrzu nad starym Dunajem późnym latem 1938 roku przetańczyli razem cały wieczór. Było już dawno po północy, kiedy odłączyli się od tańczących i prawie niewidoczną ścieżką skierowali się w stronę rzeki. Tam Kurt zaczął ją całować. Klaudia dotychczas pamiętała, co jej wtedy powiedział: - Musisz dzielić ze mną całe życie, aż do końca. Czy zgadzasz się? - Kiedy żegnali się potem, bolała ją nieobowiązująca gładkość słów Dörnberga. Czyż nie mówił o miłości?

Nadeszła kampania polska, a z nią oczekiwanie; potem szumny powrót i nieustanne przebywanie razem; z atakiem armii niemieckiej na Francję znów okres lęku i dręczącej nadziei.

Za każdym razem, kiedy Dörnberg zjawiał się w Wiedniu, pokazywał się z nią w kręgu swoich kolegów oficerów albo zabiegał o zaproszenie wiedeńskiej śmietanki towarzyskiej. Czasami odnosiła wrażenie, że używa jej jako efektownego rekwizytu. Czują się tym dziwnie skrzępowana.

Dörnberg często dawał do zrozumienia, że skromny, ale jednak nie pozbawiony wartości majątek jej ojca przyda mu się po wygranej wojnie jako finansowe zabezpieczenie kariery. Twierdził, że wobec siły jego miłości nie ma to oczywiście żadnego znaczenia. Klaudia jednak nie chciała się jeszcze zgodzić na proponowane przez niego zaręczyny,

Owego wieczoru, w Hollabrunn, z Baumem i Helgertem, ścisnął brutalnie przeguby jej rąk, oświadczając, że nie będzie nikogo tolerował w swoim rewirze.

Potem nadszedł pamiętny dzień, kiedy na wiedeńskim Dworcu Wschodnim spotkała Bauma, który jechał do swojej nowej jednostki w Znaim nad Thoyą. Stamtąd miał zostać przeniesiony do Polski. Baum ucieszył się żywiołowo z tego niespodziewanego spotkania, spędzili razem godzinę w Cafe Mozart. Bez żenady wziął z jej ręki zwój rysunków, podziwiał, żartując od czasu do czasu, modele sukien i płaszczy, uznał, że ma olbrzymi talent i że po wojnie musi koniecznie przenieść się do Berlina.

Klaudia czuła, że z tego człowieka promieniuje wielki spokój - Dörnberg przeciwnie, stwarzał wokół siebie atmosferę napięcia i skłócenia. Pytanie Bauma, czy nie zechciałaby kiedy napisać do niego kartki, miało charakter niemal retoryczny. Kiwnęła nieznacznie głową i nabazgrała na serwetce parę słów, które miał przeczytać dopiero w pociągu. Opowiadał jej później, że długo rozmyślał nad tym zdaniem: *Prendre conge c'est toujours un peu mourir* - w każdym pożegnaniu jest coś z umierania.

Wciąż walczyła o swoją rzekomą miłość do Kurta Dörnberga, aż wreszcie sytuacja stała się dla niej jasna. Przestała się wahać i zaproponowała Dörnbergowi rozstanie. Nastąpiła gwałtowna wymiana zdań, podczas której Klaudia z czystej przekory wspomniała o swoim ostatnim spotkaniu z Eberhardem Baumem. Dörnberg zauważył wtedy cynicznie, że jej ojciec na pewno będzie wołał przyjąć do rodziny pruskiego oficera niż jakiegoś śmiesznego starszego szeregowca. Kazał jej wybić sobie z głowy tego rodzaju kaprysy, które mogłyby wywołać skandal czy przynieść uszczerbek jego karierze. Kiedy oświadczyła, że nieodwołalnie postanowiła się z nim rozstać, polecił jej szyderczo raz jeszcze się nad tym poważnie zastanowić.

Poza tym nie dawała jej spokoju pewna ponura historia, związana z Żydem Sallym Sternheimem i jego rodziną, o której starała

się za wszelką cenę zapomnieć, ale na próżno. W parę dni później Klaudia Sanden wysłała do ojca list, w którym między innymi pisała: „Dokładnie pamiętam, jak ty i mama ostrzegaliście mnie przed Kurtem Dörnbergiem. Mieliście rację i musiałam stwierdzić u siebie brak życiowego doświadczenia, które zresztą i teraz nie jest jeszcze chyba zadowalające. Wybieram się do Berlina i wkrótce postaram się wszystko wam wyjaśnić”.

Wyrzucała sobie, że wstyd skłonił ją do zamiany spokojnego schronienia w neutralnym kraju na faszystowską stolicę. Eberhard Baum odegrał jednak niebłahą rolę przy podejmowaniu tej decyzji. Została służbowo przydzielona do Zakładów Zbrojeniowych Berlin-Północ.

18 lipca 1942 roku Eberhard Baum włożył na jej palec wąską złotą obrączkę. Wysłała do rodziców telegram z wiadomością, że znalazła właśnie odpowiedniego człowieka i że jest bardzo szczęśliwa.

Białe światło zimowego ranka zaczęło niepewnie wnikać do pokoju. Dziewczyna zerwała się przerażona. Ubrała się spieszenie i pognęła do fabryki.

Cały dalszy ciąg rozegrał się szybko i rzeczowo. Dwa dni bezpłatnego urlopu. Kierownik działu personalnego z zimnym wyrazem twarzy oświadczył, że na tym koniec. Ostatecznie praca w Zakładach Zbrojeniowych to nie przelewki i panowie z frontu powinni najlepiej to rozumieć. Najważniejsze jest zwycięstwo, a nie jakieś tam gruchanie. I to w dodatku w stolicy Rzeszy, panno Sanden!

Pełna lęku Klaudia wkraczała na olbrzymią halę dworcową rozbrzmiewającą odgłosami podniecenia. Zadrżała na mroźnym przeciągu. Wielkie płaszczyzny ścian przeznaczone na ogłoszenia były pokryte reklamami: „Meble Höffnera”, „Dywany Emila Lefèvre”, „Czytajcie »Völkischer Beobachter«“. Dziewczyna nie

zwracała na to wszystko najmniejszej uwagi.

Jeszcze prawie pół godziny. Nagle Klaudię ogarnął niepokój, że on w ogóle nie przyjedzie. Albo znacznie później, albo... Myśli gonily jedna drugą. Wciąż miała przed oczami długą taśmę peronu z falującym tłumem oczekujących.

Usiadła na ławce. Jakiś starsuszek przyczłapał po chwili i zajął miejsce obok. Zaczął niezręcznie obierać jabłko i mówił coś zwracając się wyraźnie do niej.

- Tak, tak - odpowiedziała, wstając, żeby znów pochodzić po peronie.

Wzdrygnęła się. W głośniku odezwał się ochrypły głos:

- Uwaga, uwaga, pociąg wojskowy z Brześcia Litewskiego wjeżdża na peron trzeci.

Bezpośrednio potem długi czarny pociąg wtoczył się do hali i zatrzymał ze zgrzytem. Z jego drzwi wysypały się grupki ludzi w szarych mundurach. Klaudia biegła bez celu od jednego przedziału do drugiego. Zaczynały się już robić przerwy w jednostajnym szarym nurcie. Nagle dziewczyna usłyszała swoje imię i spojrzała w błądą, roześmianą twarz Eberharda Bauma. Szybkimi krokami podeszła do niego i przycisnęła swoje chłodne usta do jego spocznego, nieogolonego policzka.

Szli wolno obok siebie i rozmawiali o rzeczach obojętnych, używając zwykłych, codziennych słów. Kiedy Klaudia zapytała o przyczynę jego powrotu, Eberhard odpowiedział bagatelizującym tonem. Postrzał ramienia stał się w jego relacji lekkim draśnięciem. Nazajutrz będzie się musiał zameldować w okręgowym szpitalu wojskowym. Klaudia z trudem ukryła przerażenie. Śmiał się z niej.

- Ładnie tu u ciebie - powiedział, rozglądając się po małym pokoiku. Na ścianach wisały rysunki: kapryśne pomysły i dojrzałe artystycznie szkice. Z błyszczącymi oczami spojrzeli razem w

wielkie lustro. Stał tu oto jej smukły, wysoki Eberhard o gładkich, ciemnoblond włosach i szarych oczach, z których rzadko znikał wyraz ironii. Był właśnie taki, jak go sobie wyobrażała w te obezwładniająco długie zimowe wieczory.

Eberhard widział tylko ją. Ciemne włosy spadały jej na ramiona. Bardzo blada, subtelna twarzyczka o regularnych rysach i dużych, brązowych oczach promieniała.

Objął ją lekko ramieniem. Pochylił twarz nad jej twarzą, poczuł dotknięcie rozchylonych delikatnych warg i zapach jedwabistych włosów. Przyciągnął ją gwałtownie do siebie.

- Czy wyobrażałaś sobie, że tak będzie? - spytał po chwili.

- Nie - odparła zamyślona. - Nie wiedziałam, że w czasie tej barbarzyńskiej wojny istnieje jeszcze coś tak cudownego.

Przy świetle świecy przegadali zmierzch i wieczór aż do północy. Terazniejszość była słoneczna. Na przyszłość spuścili tymczasem zasłonę.

Eberhard Baum obejrzał w łazience zaklejone szerokim leucoplastem miejsca wlotu i wylotu kuli na swoim ramieniu. Palcami przycisnął ostrożnie brzegi plastra i skrzywił się boleśnie. Pulsujące w nim napięcie stłumiło jednak wszelki ból. Wytarł się mocno rękami, aż skóra się zaczerwieniła, i włożył szlafrok.

Podczas kiedy Klaudia gasiła światło, podnosiła zaciemniające zasłony i otwierała okna, wszedł do pokoju i położył się do łóżka ze świeżo obleconą pościelą.

Klaudia bez słowa wsunęła się obok niego.

Naturalność jej zachowania uszczęśliwiła go. Czuł ciepło jej skóry. Wyciągnął ku niej rękę. Narastało w nim pożądanie. Jakże często, tam na froncie, stawała mu przed oczyma jako roześmiana sportsmenka, w eleganckiej wieczorowej sukni, ale także naga; szalał wtedy z tęsknoty.

Jest zupełnie inna niż te wszystkie dziewczęta, które dotychczas do mnie należały, myślał. I ja jestem zresztą teraz inny, zwłaszcza tej nocy marzeń i oszołomienia.

- Słuchaj, Eberhard...

- Co, Klaudio? - Baum ocknął się ze swej zadumy. Objęła go ramieniem za szyję i przyciągnęła do siebie,

- Kocham cię, Eberhardzie.

Z przerażeniem poczuł wilgoć na swoim policzku.

- Płaczesz, Klaudio?!

- Boję się o ciebie.

- Ależ nic mi się nie stanie - usiłował ją uspokoić, czując jednak fałszywy patos w swoim głosie. - Potem, kiedy się to wszystko skończy, będę już zawsze z tobą.

Przytuliła się do niego z ufnością. Szukała wargami jego twarzy, jego ust.

Objął ją. Mimo silnego bólu w ranie przycisnął ją do siebie, czuł bliskość jej drżącego ciała. Ogarnęła go gwałtowna, nieoponowana żądza. Zaczął całować jej szyję, ramiona, piersi.

Klaudia leżała prawie bez ruchu, szybko oddychając.

Eberhard całą duszą pragnął spełnienia.

Starszy szeregowiec Baum zameldował się w okręgowym szpitalu wojskowym Berlin-Tempelhof. Lekarz, któremu miał być polecony, przebywał od paru tygodni na leningradzkim odcinku frontu. Odręczne pismo, z prośbą o szczególnie troskliwą opiekę, po pobieżnym przeczytaniu znalazło się w koszu. Badanie jego ramienia trwało zaledwie pięć minut.

- Zwykła rana postrzałowa - stwierdził rzeczowo lekarz w randze kapitana. - I takie przypadki przysyłają nam tu z frontu! Przy tym braku łóżek! Parę dni leczenia ambulatoryjnego, mój synu, i w drogę do jednostki zapasowej.

W kancelarii pulchny kapral wypisał mu kartę leczenia.

- No widzisz, bracie - powiedział uśmiechając się dobrodusznie - ani się obejrzysz i będziesz z powrotem na froncie. Z deszczu nie pod rynnę, a prosto w gówno - zachichotał z dowcipu, który widocznie należał do jego służbowego repertuaru.

Jednego z następnych wieczorów Eberhard poszedł z Klaudią do teatru na Gendarmenmarkt. W programie był „Egmont” Goethego. „Szczęsny - kto miłość zna!” Spotkały się ich oczy.

Kiedy bohater sztuki wzywał swych podwładnych do dochowania mu wierności, obiecując im wolność, Eberhard Baum pogrążył się w zadumie. Wolność - w Niemczech od dziesięciu lat nie było o niej mowy. Wytrzebiona została w Europie i Afryce, wszędzie tam, gdzie rozlegał się krok marszowy niemieckiej piechoty.

W nocy miał potem męczący sen; był Egmontem wtrąconym do cuchnącego zgnilizną ponurego więzienia. Obudził się z bijącym sercem i kroplami potu na czole. Cienki księżyc wisiał krzywo pośród bladych gwiazd.

„...tych popędza tylko pusty dźwięk rozkazu władcy, nie własna ochota!” Końcowa scena dramatu Goethego stanęła mu znów przed oczyma, nabierając coraz wyraźniej aktualnego charakteru.

Czyż te słowa nie odnoszą się do obecnej sytuacji: „...tych popędza tylko pusty dźwięk rozkazu władcy”? Czyż starsze pokolenie nie zachwyca się, jak „pięknie” Führer znowu przemawiał? Czyż wielu intelektualistom nie imponuje gładka retoryka Goebbelsa? A mowy marszałka Rzeszy tryskające jawną żądzą nieograniczonej władzy? Ja sam w ciągu ostatnich lat ulegałem przecież temu popędzaniu jak miliony innych. Ale nie zawsze tak było, zastanawiał się Baum. Kiedyś myślałem zupełnie inaczej, wtedy kiedy byłem w kontakcie z Rudolfem Benderem.

Przypomniął mu się ów przedziwny dzień, w którym członkowie jego stowarzyszenia gimnastycznego musieli na rozkaz z góry spełnić warunki na odznakę sportową SA. Spotkał wtedy znowu dawnego siatkarza spod znaku „Jodły”, Rudolfa Bendera. Ten zorientował się natychmiast, że Eberharda Bauma dzieli od Trzeciej Rzeszy wyraźna przepaść. Nawiązali ze sobą porozumienie. Po paru miesiącach pierwsza ulotka zawędrowała wreszcie na teren architektonicznej działalności Bauma.

Potem coraz to ktoś u niego nocował i następnego ranka znikał; po jakimś czasie on sam przekazywał temu lub owemu zaszyfrowaną wiadomość.

Słuchał cichego oddechu Klaudii. Wezbrała w nim fala gorącej czułości. Klaudia była teraz treścią jego życia. Musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za jej szczęście. A to zależało od losów Niemiec. Nie mógł więc dłużej poddawać się wszystkiemu biernie, jak dotychczas. Bender dość często i wyraźnie wykazywał wtedy, czego i w jaki sposób można dokonać dla lepszej przyszłości.

Baum postanowił więc skomunikować się znów z tokarzem Rudolfem Benderem. Jeżeli Rudi jest jeszcze w Berlinie, znajdzie go na pewno.

Nazajutrz powiedział o tym Klaudii. Bez wnikania w szczegóły, ale też nie budząc w niej niepokoju. Określił Bendera jako człowieka z otwartą głową, od którego można się było spodziewać mądrej rady.

Z wielkich zakładów zbrojeniowych w dzielnicy Oberschöneweide wysypywała się nocna zmiana. Potok robotników przepływał przez Wilhelminenhofstrasse i mosty na Szprewie aż do

miejskiej kolejki, mijając nieliczne ruiny domów zburzonych przez bomby amerykańskie. Nie narażano na straty kapitału Stanów Zjednoczonych, który miał być najwyraźniej inwestowany w powojenne spekulacje. Fabryki były prawie nienaruszone.

Bramy Zakładów Zbrojeniowych Berlin-Północ były ostro strzeżone: ze względu na cenną produkcję, ze względu na cudzoziemskich robotników i częste wypadki sabotażu, wobec których Gestapo okazywało się właściwie bezsilne. Jeden z ostatnich opuścił wielką bramę tokarz Rudolf Bender, zwany przez kolegów „cichym Rudim”. Zamieniał jeszcze z innymi robotnikami spojrzeń, które mogły oznaczać zwykłe „do widzenia”, ale także i coś więcej. Ruszył potem na dworzec Schoneweide, aby dojechać do Jannowitzbrücke. Stamtąd miał już tylko parę kroków do ciemnego, ponurego mieszkania na Holzmarktstrasse, które zajmował z matką.

Rudolf otworzył drzwi i powiedział bezbarwnym głosem:

- Dzień dobry.

Matka spojrzała na niego badawczo.

- Zabrali dzisiaj Eryka.

Pani Bender w milczeniu postawiła na stole chudą zupę fasolową. Nigdy o nic nie pytała. Jej twarz była zasnutą siecią drobnych zmarszczek. Pasma siwych włosów otaczały jasne czoło. Oczy wyrażały dobroć i zrozumienie.

- Ktoś tu był przed południem - zaczęła po chwili, patrząc na jego szerokie plecy. - Jakiś starszy szeregowiec. Powiedział, że nazywa się Eberhard Baum i że ty go znasz - podała mu kartkę. - Masz jego adres. Prosił, żebyś koniecznie do niego przyszedł.

Cicha radość, jaką budziło w Benderze oczekiwane spotkanie, zgasła, kiedy nie zastał Bauma samego, lecz w towarzystwie

nieznajomej mu kobiety, Klaudii Sanden. Nawet butelka haut-sautemnesu, nie od razu rozwiązała mu język.

Eberhard z miejsca wyłuszczył swój cel: potrzebował rady tak, jak niegdyś. Zresztą i panna Sanden jest przeciwna tej wojnie.

Dziewczyna nie wie, oczywiście, nic o tym, co było dawniej, ma twarz nieświadomą niczego, rejestrował Rudi Bender, zaprawiony w ocenianiu ludzi dzięki różnego rodzaju werbunkom.

- Tam na froncie dzieją się rozmaite rzeczy. - Baum poprawił palcami trochę zgnieciony koniec papierosa. - Patrzysz wciąż, jak ludzie zdychają w potworny sposób. Znajomi i przyjaciele. Wczoraj myślałeś, że jakiejś sceny nigdy nie zapomnisz, a już dziś zdarza się coś jeszcze straszniejszego. Co będzie jutro?

- Bomby i nam tutaj nie najgorzej urozmaicają życie.

- Zgadzam się, Rudi, każde nieszczęście jest gorsze od innych. Ale czy słyszałeś, co Goebbels ostatnio wygadywał w Pałacu Sportowym? Zapamiętałem to dość dokładnie: „Pytam was, czy chcecie wojny totalnej? Czy chcecie, aby, jeśli to będzie konieczne, stała się ona jeszcze bardziej totalna i radykalna, niż możemy to sobie dziś wyobrazić?” W sumie zadał dziesięć pytań. Jedno bardziej podżegające od drugiego. I na zakończenie taki bezwstydnym wnioskiem: „Jesteście częścią narodu, przez wasze usta wyrażone zostało w tej chwili stanowisko każdego poszczególnego Niemca!” Częśćka narodu... - Baum machnął ręką z odrazą. - Jesteśmy w najlepszym razie stadem bydła! Idziemy na oślep tam, gdzie nas popędzą, nie wyrażając w ogóle swojego zdania, A najgorsze jest, że człowiek sam bierze w tym udział, jakby to było całkiem oczywiste.

Klaudia Sanden czuła się jak sparaliżowana. Stała przy oknie, wstrzymując oddech. Czyżby Eberharda zawiodły nerwy? Czy nie czuje się na siłach dłużej tego znosić, bo widział już zbyt wielu umierających?

Jej wzrok powędrował w stronę gościa. Ten kiwał głową w zdumieniu. Zdawało się, że go to wszystko wcale nie dziwi. Czy Eberhard nie boi się, że Bender opowie dalej to, co słyszał? Twarz Eberharda przybrała nagle napięty, ponury, nieskończenie obcy wyraz. Dlaczego on się zajmuje takimi sprawami? Przecież i tak nie może nic zmienić. Musi wykonać każdy rozkaz. Pierwszy lepszy patrol może go postać wszędzie, czy będzie miał ochotę, czy nie. Czy wtedy w Hollabrunn chodziły mu już po głowie podobne myśli? Co w ogóle robią przeciwnicy Hitlera?

Bender nie zdawał sobie jeszcze jasno sprawy z tego, o co Eberhardowi Baumowi właściwie chodzi.

- Czy dopiero teraz to zauważyłeś?

Baum przełknął zawartą w tych słowach naganę.

- Pamiętam, że ty już wtedy mówiłeś: „Oni przygotowują wojnę”. A teraz! Teraz trzeba temu przeciwdziałać... trzeba to powstrzymać. Tylko nie bardzo wiem jak!

Klaudia czuła, że ma czoło pokryte kroplami potu. Usłyszała własne słowa wypowiedane jakby w transie:

- Zdaje się, że w naszej fabryce też są tacy, którzy chcą to powstrzymać. Ostatnio zepsuł się jeden z największych generatorów. Cała produkcja stanęła prawie na tydzień.

Bender nastawił uszu. Niby mimochodem zapytał:

- A co to za fabryka?

- Zakłady Zbrojeniowe Północ. Na Oberschöneweide - odparła obojętnie.

Przez chwilę Bender milczał zaskoczony. Historia generatora była mu znana jak najbardziej bezpośrednio. Ani Baum, ani jego

dziewczyna nie wiedzieli widocznie, że i on pracuje w Zakładach Zbrojeniowych. Postanowił od razu się do tego przyznać, bo mogli się tam spotkać kiedyś przypadkiem z Klaudią Sanden.

- Ja także jestem pracownikiem tych zakładów.

Eberhard aż krzyknął ze zdumienia:

- A to ci dopiero numer!

I czekał na słowa wyjaśnienia.

Bender jednak wstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Najważniejsze jest bezpieczeństwo towarzyszy. Wtedy, przed wojną, Baum okazał się wprawdzie godny zaufania, ale od tej pory minęło sporo lat, i to lat decydujących, które spędził w faszystowskim wojsku, pod jego nieustannym wpływem. Nie tacy jak on zmieniali się w takich warunkach gruntownie, i to przeważnie na niekorzyść.

- W jakim dziale pani tam pracuje? - zapytał Klaudię, pozornie chcąc okazać życzliwe zainteresowanie.

- Jestem kreślarką w biurze konstrukcyjnym.

Klaudia była zadowolona, że Bender zmienił tamten śliski temat. On zaś zastanowił się błyskawicznie: „To mogłaby być okazja; tam nikogo jeszcze nie mamy”. Udawał jednak, że pyta tak sobie, na marginesie.

- Cóż mam ci radzić? - wrócił do pytania Bauma. - Na tym polu nie mam prawie doświadczenia.

Czyż Eberhard Baum nie powinien sam wyciągnąć praktycznych wniosków z tego, co on mu w czasach wspólnej roboty mówił o różnicy między wojną sprawiedliwą i niesprawiedliwą?

Rozbrzmiewająca przez radio melodia marszowa urwała się. Spiker nadał ostrzegawczy komunikat o eskadrach bombowców lecących prawdopodobnie w kierunku Hanower Brunswick. Po czym bohaterskie dudnienie rozległo się znowu.

Rudi Bender wstał.

Eberhard spojrzął na Klaudię i zwrócił się do Bendera:

- Czy zgodzisz się, żeby panna Sanden pośredniczyła w kontaktach między nami? Może byś się nią trochę zajął? Ona nie ma w Berlinie żadnych przyjaciół. Wyobrażam sobie na przykład...

Twarz Bendera przybrała wyraz jeszcze bardziej nieprzenikniony.

- Oczywiście, czemu nie, panna Sanden może od czasu do czasu przekazać pozdrowienia... - Baum wpatrywał się z napięciem w jego usta. - A spróbuję pogadać z kimś i o innych jeszcze możliwościach.

Eberhard Baum przeraził się: towarzysze nie wypuszczą z rąk okazji pozyskania osoby zaufanej z biura konstrukcyjnego. Klaudia zostanie wciągnięta do tak niebezpiecznej nielegalnej roboty, a ja nie będę miał już chwili spokoju. Wyobrażałem to sobie zupełnie inaczej. Ja chcę działać, to jasne. Ale ona?

Radio zapowiedziało zbliżający się alarm lotniczy dla Berlina.

Klaudia spoglądała kolejno to na jednego, to na drugiego. Nie zamierzała teraz bynajmniej zgłębiać, co się działo w umysłach obu mężczyzn. Nurtowało ją pewne pytanie. Jedno krótkie pytanie powracające coraz częściej, coraz bardziej przypierające do muru. Co właściwie myśli ona sama, Klaudia Sanden? O tych czasach i ludziach w mundurach i bez mundurów; o odznaczonych i pozbawionych orderów; o umierających z ran i patrzących nieustannie w twarz wielopostaciowej śmierci?

Czy zastanawiałam się kiedy poważnie nad tym, co Dörnberg dawał aluzyjnie do zrozumienia o losach Sally'ego Sternheima, kiedy z całym zaufaniem zdradziłam mu kryjówkę żydowskiego jubilera? Czy w ogóle kiedykolwiek próbowałam powiązać przyczyny i skutki? Myśleć... myśleć... Ten obcy człowiek o mocno zarysowanej brodzie, krótkim, prostym nosie i jasnoniebieskich

oczach nadających jego twarzy wyraz dobroduszości, wygląda tak, jakby przywykł do rozważania, zgłębiania każdego problemu, aby potem dopiero działać. Jestem bardzo zmęczona, ale muszę zacząć rozmyślać nad tym wszystkim.

Nie zauważyła, że Rudolf Bender włożył już płaszcz i stał teraz przed nią, żeby się pożegnać.

- Chciałbym zdążyć dojść do matki przed alarmem. Może spotkamy się kiedy przypadkiem?

W drzwiach podał rękę Baumowi. Upewniwszy się, że Klaudia nie może ich usłyszeć, szepnęła:

- Już ja bym wiedział, co zrobić.

Eberhard patrzył na niego wyczekująco.

- Zdezerterowałbym.

Po czym zbiegł lekko po zaciemnionych schodach. Rozległ się trzask zamykanej bramy.

Lekarz wezwał Bauma do siebie.

- No i co, mój synu, ten tydzień ambulatoryjnego leczenia zdziałał cuda! - Patrzył na niego. Był zadowolony z wyników swojej pracy. - Mam dla pana jeszcze radosną niespodziankę. Pański pułk zażądał, aby pan do niego wrócił. Jednostka zapasowa wyraziła zgodę. Udzielam panu urlopu okolicznościowego, a potem w drogę na front.

Podpisał parę formularzy, aż atrament rozpryskiwał się na wszystkie strony. W pięć minut później starszy szeregowiec Baum stał na peronie metra zaopatrzonego w rozkaz wymarszu, w kartki żywnościowe, papierosy oraz zaświadczenie urlopowe na dwa dni.

Jeden z nich spędzili u rodziców Bauma.

Ojciec Bauma opowiadał dużo o pierwszej wojnie światowej. Dziwił się trochę, że jego syn nie jest dziś wcale agresywny, że

nie zaprzecza wszystkiemu jak zwykle, zdradzając przy tym przedziwnie lewicowe nastawienie. Sądził, że małowówność Eberharda należy tłumaczyć przygnębieniem z powodu czekającego go pożegnania i powrotu na front.

Doznania matki były zupełnie innej natury. Cieszyła się oczywiście, że chociaż przez tych parę godzin ma chłopca przy sobie. Czowała jednak, że nie należy on już tylko do niej. Widziała, że jest z Klaudią szczęśliwy. Ta dziewczyna będzie z każdym dniem coraz więcej miejsca zajmować w jego życiu, kosztem rodziców.

Klaudia i Eberhard pragnęli tylko jednego: znaleźć się sami we dwoje i snuć plany na przyszłość.

Nadeszła ostatnia noc. Ciężko nad nią bliskie rozstanie. Rozmowa wciąż utykała. Każde z nich śledziło własny tok myśli.

- Czy przekazałeś pozdrowienia żonie Helgerta? - spytała Klaudia.

- Chciałem to zrobić, ale ona wyjechała do krewnych do Hamburga.

- Trochę mnie to uspokaja, że jesteś tam razem z nim - powiedziała z zadumą.

- Tak, to chłop na wagę złota. Nasza przyjaźń trwa już dwadzieścia lat.

Przypomniało mu się, jak nędzne życie pędzą jego koledzy wśród śniegu i lodu. W pierwszej połowie stycznia odwilż i błoto po kolana. Potem trzydziestostopniowy mróz i śnieg - miejscami przeszło na metr głęboki. Tylko siedem godzin dziennego światła. Na dodatek nieustające ataki wielkiej ofensywy Czerwonych. W zimie 1941 roku panowało przekonanie, że Niemcy są zbyt wyczerpani tysiącami kilometrów marszu, aby móc twardo stawić czoło nawykłym do mrozu jednostkom syberyjskim. Ale już Stalingrad uderzył nie tylko 6 armią. Na środkowym odcinku

frontu inicjatywę strategiczną od szeregu miesięcy wyraźnie przejęło dowództwo radzieckie.

Klaudia zauważyła nagłą zmianę nastroju Eberharda i czuła rosnące przygnębienie.

Eberhard, chcąc stłumić wielki smutek, zaczął mówić ze sztuczną naturalnością:

- W lecie będę miał urlop i wtedy wreszcie weźmiemy ślub! W Lindau nad Bodensee! Tak, latem zjawiam się znowu!

I usłyszał głos Bendera: Już ja bym wiedział, co zrobić. Zdezerterowałbym!

Klaudia odpowiedziała dopiero po chwili:

- Czy nie boisz się czasami, że coś mogłoby nam w tym przeszkodzić?

Eberhard uśmiechnął się z pełnym wyższości pobłażaniem.

- Mnie się na pewno nic nie stanie. Człowiek to wyczuwa. Byłem już trzy razy ranny. Swego diabli nie biorą.

Chwilę trwało milczenie. Potem Klaudia powiedziała zacinając się:

- Jesteś przecież dla mnie przeznaczony.

Zdezerterować, zdezerterować - szeptało coś w nim. Ta myśl nękała go nieustannie. Było to równoznaczne z pozostawieniem Klaudii i ich miłości na łasce losu. Dlaczego właściwie ich miłości? Byłoby to przecież co najmniej wytworzenie stanu niepewności, w którym każda chwila mogła być ostatnia. Ponad pięć milionów niemieckich żołnierzy walczyło na froncie wschodnim. Czyżby jeden mógł rzeczywiście coś osiągnąć? Muszę to sobie jeszcze raz gruntownie rozważyć, myślał, może uda mi się wpaść na pomysł innego, pożyteczniejszego działania. Eberhard Baum nie wspominał ani słowem o Rudolfie Benderze. „Nadeszła pora pakowania plecaka”. Klucz obrócił się w zamku z cichym zgrzytem, raz i drugi... Otoczyło ich bezosobowe ożywienie ulicy.

Klaudia odprowadzała Eberharda na dworzec, chociaż wiedziała, że najbliższa godzina będzie nie do zniesienia. Chciała jednak być z nim razem do ostatniej chwili.

Hałaśliwy tłum wielkiego dworca porwał ich ze sobą.

Niezauważony pośród niezliczonych połyskujących sznurów naramiennych kroczył smukły starszy szeregowiec obok drobnej ciemnowłosej dziewczyny. Oboje nie mogli jednak zwalczyć dziwnego otępienia, jakie ich ogarnęło.

Wskazówka zegara niemiłosiernie odliczała ostatnie minuty. Pociąg został już zapowiedziany. Wśród szarych szeregów mężczyzn, czekających na tę chwilę, zapanował niepokój. Przeznaczone na rzeź ofiary, nie mogące się bronić lub zmuszone do uległości; ale byli i tacy, którzy tę wojnę uważali za swoją.

Klaudia przytuliła się mocno do ramienia ukochanego mężczyzny, usiłując zdobyć się na uśmiech.

Lokomotywa wtaczała się na dworzec jak prehistoryczny potwór, niemal bezgłośnie wlokąc za sobą ponure wagony.

Eberhardowi wydawało się to wszystko symbolem własnej bezsiły wobec przemocy z zewnątrz. Dlaczego nie mogą wyrwać się z tej klatki? I znowu usłyszał głos Rudiego Bendera: Już ja bym wiedział, co zrobić...

Milcząc, trzymali się za ręce. Upływały już ostatnie sekundy. Koła zaczęły się powoli kręcić. Baum raz jeszcze wychylił się przez okno. Pocałował ją. Widział, jak usiłuje go zatrzymać, patrzył w zalaną łzami twarz.

- Musisz wrócić... Eberhardzie! I polegaj na mnie...

Widział, jak zostaje coraz dalej za pociągiem. Machał jej ręką, potem jakiś gruby słup wsunął się między nich. Oczy Eberharda wciąż jeszcze wpatrywały się w to samo miejsce. Ale Klaudii nie było już widać.

Baum powoli odrywał wzrok od peronu. Odblask zachodzącego słońca sprawiał, że ciemne chmury na wschodzie wydawały się jeszcze bardziej ponure.

Klaudia szła ulicami jak ogłuszona. Kiedy zapaliła świece, pokój zdawał się rozmarzony wspomnieniami szczęśliwych chwil. Na małym stoliku stała jeszcze filiżanka z resztką herbaty, leżał kawałek pokruszonego ciasta i papierosy, których nie zdążył wypalić. Zapragnęła spróbować odrobiny cierpko-słodkiej herbaty, dotykając ustami brzegu filiżanki tam, gdzie jej dotykały jego usta. Potem jednak ogarnął ją lęk przed ruszaniem czegokolwiek, co on bezwiednie postawił.

Podeszła do okna i słuchała ostrego zimowego wiatru dmącego nad kominami. Eberhard owija się teraz pewnie szczelnie swoim kocem w ciemnym przedziale, myśli o niej i oddala się coraz bardziej na wschód.

Nagle wydało jej się, że coś wpadło do mieszkania przez szparę na listy. Jaskrawo zabłyśło elektryczne światło. Klaudia przeszła do przedpokoju. Leżała tam koperta. Otworzyła ją z wahaniem.

„Cieszę się, że się niedługo zobaczymy. Proponuję piątek o osiemnastej w bufecie u Wertheima, Leipzigerstrasse. Pozdrowienia, Rudolf”.

Rozdział 3

Późnym popołudniem 26 lutego działa 6 baterii obsadziły pozycję na zachodnim brzegu zamrzniętego aż do dna strumienia. Mróz stał się nieco znośniejszy. Termometr wskazywał już tylko dwadzieścia trzy stopnie poniżej zera. Za to śnieg sypał z godziny na godzinę coraz gęstszy. Bataliony radzieckie napierały. Bateria została z powrotem wcielona do własnej dywizji i użyta jako osłona styku od dywizji sąsiadującej z nią z prawej strony.

Pułkownik Krusemark nie dał się odwieść od zamiaru złożenia w towarzystwie nowego adiutanta, porucznika Altdörfera, wizyty w 6 baterii. Z powodu śnieżycy można się było nie obawiać po drodze wrogich wystąpień ze strony czerwonego lotnictwa. Volkswagen dzięki łańcuchom przeciwślizgowym stał się niemal przystosowany do pokonywania terenu. Ostatni odcinek drogi dwaj wyposażeni w białe kożuchy panowie przebyli saniami. To również nie było posunięciem szczególnie niebezpiecznym, ponieważ ani batalion piechoty, ani oddział saperów, które wraz z 6 baterią wycofały się aż na tereny rozciągające się na południowy wschód od Krasnoje-Wschód, w ciągu ostatnich dni nie były prawie atakowane przez nieprzyjaciela.

To ma duże znaczenie - myślał Krusemark - kiedy pułkownik pojawi się nagle na linii frontu niby uosobienie męstwa i doda

chłopcom otuchy. Wprawdzie Krzyż Rycerski, wręczany osobicie przez Führera i wodza naczelnego armii, przyznawano przede wszystkim za czyny mające decydujący wpływ na przebieg walk, ale z informacji panów z urzędu personalnego armii wiadomo było, że szczególnie odważna postawa na GLF - czy wśród tych śniegów można było w ogóle mówić o „głównej linii frontu”? - stanowiła bardzo wysoko oceniany dodatkowy warunek. W rezultacie liczyło się i jedno, i drugie.

Jako powołanego z powrotem do służby mogli go, co prawda, zostawić dożywotnio w stopniu pułkownika. Teraz wszystko uległo pewnemu przesunięciu. Dawniej taką stacją końcową była ranga majora. Ale gdyby można się było poszczycić Krzyżem Rycerskim... to już miałoby zupełnie inną wagę niż na przykład takie „jajko sadzone w srebrze” za dobrze spełniane funkcje kierownicze. Ten Niemiecki Krzyż w Srebrze powinni sobie przypiąć na prawej piersi wszyscy ci panowie ze sztabów korpusu czy armii. Z Krzyżem Rycerskim łatwiej byłoby zostać generałem. A generałowi znowu łatwiej zadekować się w sztabach na tyłach, gdzie powietrze jest dwa razy mniej nasycone ołowiem, a stosunki dwa razy bardziej rozległe. - Wszystko to pułkownik rozważył sobie już wielokrotnie.

Dziś jednak głównym motywem jego postępowania były inne względy. Altdörfer jest bardzo cennym adiutantem. Ale Krzyż Żelazny II klasy, medal wschodni i szturmowa odznaka artyleryjska to za mało. Stanowczo. Nawet w sztabie dywizji nie traktowano go z tego powodu poważnie. Oczyma duszy Krusemark widział już lekceważącą minę pana podpułkownika von Wenglin. Trzeba jakoś temu zaradzić. Altdörfer musi czym prędzej zdobyć Krzyż Żelazny I klasy, co mu da prawo zaliczenia się do oficerskiej śmietanki towarzyskiej, ponieważ zaś porucznik Helgert był

jednym z najbardziej godnych zaufania oficerów, przy tym zaś miał opinię śmiałka, a także ponieważ, na pewno, dziś w nocy, czy najdalej jutro rano, dojdzie tu do zbrojnego starcia. Krusemark, jako dowódca pułku, postanowił zostawić Altdörfera na dzień czy dwa w tej płodnej w odznaczenia atmosferze, jaka panowała w 6 baterii narażonej na nieustanną walkę obronną. Oczywiście nie można całkiem szczerze wtajemniczać bezkompromisowego w sprawach obowiązku i honoru Helgerta w te wszystkie uboczne cele. Wystarczy mu powiedzieć, że Altdörfer powinien wzbogacić swoje doświadczenie frontowe u boku rutynowanego żołnierza i że Helgert, jako dowódca baterii, pełniąc obecnie rolę niejako obserwatora, będzie w pełni odpowiedzialny za wszelkie działania bojowe, do czego oby nie nadarzyła się okazja. Byłby rzeczywiście powód do śmiechu, gdyby nie dało się spełnić warunków koniecznych do odznaczenia Żelaznym Krzyżem I klasy. Wymagano mianowicie liczenia tylko na siebie. Zetknięcia się twarzą z twarzą z nieprzyjacielem. Bohaterskiej obrony pozycji. Przyczynienia wrogowi poważnych strat. Dawania podwładnym wzorowego przykładu.

Tak myślał pułkownik Krusemark, gramoląc się z okrywających go w saniach koców.

Najpierw wysłuchał paru meldunków Helgerta. Ależ ten chłopak schudł, zrobił się skryty! Wszystko przez te zaszrane zimowe udręki. O tej porze powinno się wyjeżdżać do południowej Francji, we wschodnie Pireneje, do Perpignan, do Collioure czy Port Vendre! Od czasu do czasu mały wypad do Le Perthus czy na Gerberę na granicy hiszpańskiej, pod osłoną olśniewająco pięknego Mont Canigou, w możliwie skąnym przyrodziewku. I Morze Śródziemne, szafirowe Mediterranee, i mistral, cisy, pinie, szampan, schludne hotele wojskowe, dyskretne gabineciki z płomienookimi Francuzkami! Aż zatarł ręce na myśl o tych wszystkich urokach.

Sam ich przecież zakosztował. I jeszcze wielu innych. W domu towarowym „Aux Dames de France” w Perpignan nakupił najbardziej wyrafinowanych artykułów i wysłał je potem przez kurierów do domu. Chłopcy byli zadowoleni, że po doręczeniu paczki pani pułkownikowej mogą nacieszyć się swoimi dziewczętami, pułkownik zaś oszczędzał na porto. A pieniądze? Franki? Zdobywało się je przecież w sposób niesłychanie prosty i całkowicie legalny. Codziennie kazał się wykreślać z listy żywnościowej i przyjmował zaproszenia swoich dowódców baterii. Dziś do La Vistoule, jutro do La Nouvelle, następnego dnia do St. Marie, Volras la Plage - wszędzie, gdzie stacjonowały jego baterie: dziewięć lekkich, trzy ciężkie i pięć dyspozycyjnych oraz podległe mu jednostki artylerii nadbrzeżnej. Wszyscy ci dzielni dowódcy baterii wyłazili po prostu ze skóry, żeby mu dogodzić. Takie przynajmniej stwarzali pozory. A on za oszczędzone w ten sposób pieniądze robił zakupy. Żołnierzom na to nie pozwalano. Do czegożby to doprowadziło? Tak, tak, dobre były czasy.

Pułkownik Krusemark wszedł za Helgertem do chłopskiej chałupy, prowadząc pobladłego nieco Altdörfera. W kuchni przed umieszczonym na półce z naczyniami kawałkiem stłuczonego lusterka zdjął kaptur i przyjrzał się własnemu obliczu. Przyglądając włosy, przechylił głowę na bok.

Do licha, szrama przebiegająca przez prawy policzek i koło ust nadaje jego osobowości niezmiernie charakterystyczne piętno. Czuł się jak wyższy funkcjonariusz SS. Gdybyż jeszcze do tego wszystkiego przybyły generalskie szlify... Worki pod oczami sprawiały, że jego westfalska czaszka wydawała się jeszcze dłuższa. Poza tym w jego przekonaniu świadczyły one o nie byle jakiej męskiej potencji. Myślicie może - zwykł był wesoło mawiać do swoich oficerów po dziesiątym kieliszku cointreau czy benedyktyna - że ja w sześćdziesiątym piątym roku życia dam sobie przed

lustrem po pysku za chociaż jedną niewykorzystaną okazję?

O nie, moi drodzy! - Tu podniósł w górę kieliszek, oświadczając: - Nie ten najgorszy, kto lubi wypić. - Jeśli zaś który z biesiadników otrząsał się po przełknięciu, mruzczał z pogardą: - Ależ oferma!

Gdzieś blisko przeleciał z głośnym świstem lekki granat i wybuchł za wsią, wydając cichy trzask. Musiał pochodzić z daleka. W każdym razie wystrzelili go na pewno Rosjanie. Krusemark wyjrzał przez okno. - Helgert zna się na rzeczy. Jego chałupa położona była jakieś dwadzieścia metrów w bok od linii wioskowych domów, parę kroków za drogą przecinającą wieś. Z okien był widok na rozległą przestrzeń.

Na górze, na strychu, oficer-observator, plutonowy Senfleben - czy w roku 1943 znalazłaby się na froncie wschodnim bateria, która na tym stanowisku miała by oficera? - wyrwał krokwie z dachu, żeby móc wysunąć na zewnątrz lunetę baterii dowodzenia. Radiotelegrafiści dostroili już swoje radiostacje.

- No, jak tam, łączność nawiązana? - spytał łaskawie Krusemark.

Dowódca oddziału radiotelegrafistów, starszy szeregowiec Bürger, promieniał.

- Tak jest, panie pułkowniku. Dzięki naszej lotniczej radiostacji to drobiazg.

Prawda, przecież 6 bateria w związku ze swym specjalnym zadaniem bojowym została wyposażona w radiostację „Cezar” pozwalającą równocześnie strzelać i dokonywać obserwacji lotniczej, przypomniał sobie pułkownik.

Radiotelegrafista mógł od razu zademonstrować działanie swej aparatury. Była to akurat pora nadawania meldunku. Włączył przycisk.

- Uwaga, uwaga, tu „Czajka”, tu „Czajka”, wzywam „Dzięcioła sześć”. „Dzięcioł sześć” zgłosić się!

Przełączył na odbiór.

- Tu „Dzięcioł sześć”. Zrozumiałem. Koniec.

Po drugiej stronie stoku znów wybuchł pocisk. Tym razem wyraźnie cięższego kalibru.

Pułkownik Krusemark spojrzął na zegarek i mruknął zaskoczony: - O, do diabła! - jakby oprócz codziennej partyjki garibaldi ki czekały go dziś jeszcze poważne obowiązki. Wstał z krzesła.

- Polegam na panu, drogi poruczniku. Proszę pozdrowić ode mnie moich ludzi!

Usiadł, żeby wychylić kieliszek kminkówki, po czym ruszył ku drzwiom. Na odchodnym mruknął porozumiewawczo do Altdörfera, który wyprostował się lekko.

Sanie sunęły szybko przez śnieżycę i zapadający mrok, trzymając się w pobliżu Volkswagena. Pułkownik bardzo dużą wagę przywiązywał do bezpieczeństwa, jeśli dotyczyło ono jego osoby.

Zaraz po jego odjeździe Helgert udał się na stanowisko dowodzenia batalionu i wraz z jego dowódcą obszedł pozycje obronne piechoty.

Altdörfer zaczął pilnie nanosić rozmaite dane na swoją mapę, zanudzając plutonowego Senflebena i radiotelegrafistów pytaniami, czy łączność nie została przypadkiem przerwana i jak daleko mogli się już posunąć bolszewicy. Obsługujący batalion telefoniści, którzy szukali uszkodzenia na linii łączącej oba stanowiska dowodzenia, wynieśli się czym prędzej, uśmiechając się pod wąsem.

O dwudziestej drugiej, kiedy Helgert wrócił - widocznie nie było mu pilno zobaczyć Altdörfera - wszyscy odetchnęli.

Wśród śnieżycy coraz to rozlegały się strzały. Jakiś karabin maszynowy wybuchał nagle wściekłym terkotem, to znów milkł.

Jak zresztą każdej nocy na froncie. Porucznikowi i adiutantowi pułku, Alojzemu Altdörferowi, odgłosy te wydawały się jednak niepokojąco bliskie, jak na strzelnicę; tyle że kule nie odbijały się o tarcze. Nie był też pewien, czy żołnierze piechoty, stanowiący jego zabezpieczenie, byłiby rzeczywiście gotowi bronić ojczyzny, uruchamiając swój karabin 98.

Helgert narysował na mapie parę strzałek tuż przed przypuszczalną linią umocnień.

- Jak się coś zacznie, to oni powinni nadejść stamtąd.

Altdörferowi zrobiło się bardzo niewyraźnie na duchu. Siedział tu oto o paręset metrów zaledwie oddalony od nieprzyjaciela, a wszędzie dokoła, jak okiem sięgnąć, tylko noc i śnieżyca. Rozpiął sztywną dopasowaną bluzę polową i z irytacją poczuł ostry zapach własnego potu. Raz po raz spoglądał na zegarek. Tego tylko brakowało, żeby ten zarozumiały Helgert tak się władczo zachowywał. Dla oderwania myśli od sytuacji usiłował popisywać się banalnymi mądrościami z dziedziny strategii. Helgert zaś wyznaczył przez ten czas posterunek podsłuchowy, przy otaczającym ogród płocie, z poleceniem zwracania szczególnej uwagi na zbocze z lewej strony.

Podczas gdy Altdörfer snuł przypuszczenia, co by to było, gdyby Rosjanie zaatakowali ich z przodu albo z prawego boku, i jakie taktyczne posunięcia zapobiegawcze należałoby wtedy przedsięwziąć, Helgert kazał starszemu szeregowcowi Bürgerowi posmarować sobie jedną kromkę chleba marmoladą, a drugą serem z tubki i zabrał się do jedzenia. Zadawał sobie przy tym pytanie, czy jego awersję do adiutanta spowodowała skłonność tego ostatniego do intryg, czy też jakieś inne przyczyny. Nie wiedział jednak. I było mu to właściwie raczej obojętne.

W pewnym momencie Altdörfer postanowił zabłysnąć swoim asem atutowym, czyli polityką obrony.

- Bolszewicy wyobrażają sobie pewnie, że nas ten cały odwrót pakuje w cholerną kabałę. Tymczasem myślą się grubo.

My bijemy wroga jego własną przestrzenią! Po pierwsze, wyrównanie frontu oszczędza wojsko i stwarza rezerwy. Po drugie, skraca nasze linie komunikacyjne i wzmacnia wewnętrzną zwartość armii, podczas gdy u Rosjan wszystko rozciąga się w nieskończoność. Po trzecie, dzięki temu rosną nasze szanse zaskoczenia nieprzyjaciela. Bo nikt z tych Czerwonych nie może przewidzieć, kiedy i od jakiej strony zaczniemy się nagle odgryzać i kontratakować. To będzie dopiero niespodzianka dla Timoszenki, dla towarzysza Budionnego i całej reszty tych kompletnych zer! A jakie jest pana zdanie na ten temat, panie poruczniku? - zapytał z nutą czujności w głosie.

Dowódca baterii zapalił flegmatycznie papierosa, szybkim rzutem oka upewnił się, że wszyscy obecni, nie wyłączając obsługi radiostacji, mocno śpią i odparł:

- Ciekaw jestem, co by mi pan opowiedział, gdybyśmy teraz maszerowali o jakieś tysiąc kilometrów stąd na południe, w kierunku Krasnodaru i pól naftowych?

Altdörfer zarumienił się lekko, ale natychmiast odzyskał zimną krew.

- Nafta jest jednym z najważniejszych surowców narodowo-socjalistycznego potencjału gospodarczego. Aby go sobie zapewnić, musimy operować najbardziej różnorodnymi planami i chwytami strategicznymi. Chodzi tu przecież o zdobywanie dla Rzeszy nowych terenów. I nie da się tego dokonać inaczej niż za cenę krwi. Trzeba zmusić nieprzyjaciela, żeby się zaczął miotać jak ryba w sieci i wreszcie uległ. Nie będzie to zresztą zbyt wielka sztuka, zważywszy, jak żałośnie nędzna jest rasa tych muzyków, tych półzwierząt!

Stanowisko Helgerta w tych sprawach było podobne. Ale ten pyszałek budził w nim odrazę. Wyciągnął się w kącie izby i, nie zdejmując butów, przykrył się plandeką.

- Oczywiście nie sztuka będzie ich pokonać, jeśli zjawią się tu dziś w nocy. Ale jutro musimy się dalej cofać. I pojutrze... i na wszystkich innych odcinkach frontu...

Ziewnął głośno i patrzył w przestrzeń, nie zwracając uwagi na ciskający błyskawice, rozjuszony wzrok Altdörfera.

- Dziwi mnie, że takie słowa słyszę właśnie z pana ust. Pana, zawodowego oficera!

Głos Altdörfera był ostry jak brzytwa.

Nie dam się wyprowadzić z równowagi temu nafaszerowanemu frazesami kanceliście, myślał Helgert. Czasem i tępota może się bardzo przydać. Znow ziewając, odpowiedział:

- Ten szczegół, czy jestem oficerem rezerwy, czy oficerem zawodowym, interesuje tylko facetów, którzy fabrykują zamieszczone w gazetach nekrologi poświęcone pamięci bohaterów oraz gryzipiórków obliczających renty wojskowe, Czerwonym jest to raczej obojętne.

Ziewnął raz jeszcze i zamknął oczy. Altdörfer drażnił go dalej.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że nasz Führer i naczelny dowódca drugiej armii pancernej w Orle, generał Schmidt, nie panują całkowicie nad sytuacją, tu, na froncie?

Helgert zdawał sobie sprawę z tego, że teraz rozmowa zeszała na tematy konkretne i przez to stała się niebezpieczna. Ten chłopak był prawdopodobnie na usługach nie tylko Krusemarka, ale i znacznie ważniejszych osobistości. Porucznik wybrał więc najdogodniejsze wyjście.

- Drogi kolego, pan jako ekspert sztabowy nie zna cynizmu i brutalnego języka żołnierzy z pierwszej linii. Ich zapotrzebowanie na środek przeciw wszom, na wódkę z kantyny czy lubieżna

tęsknota za tęgą dziewczyną to po prostu kwestia innego opakowania. Ale za tym wszystkim kryje się żelazny pruski duch! Odwaga wynikająca z odpowiedniego traktowania obowiązku. To jest właśnie prawdziwy patriotyzm, najlepsza częśćka niemieckości. W imię tego żołnierze walczą. Za to nadstawiają karku. Może pan się jeszcze o tym przekona.

- Partii pan sobie zbytnio nie ceni?

- A to dlaczego? - zapytał Helgert spokojnie i przesunął trochę na bok Niemiecki Krzyż, bo go uwierał.

Altdörfer zachowywał się jednak nadal agresywnie, ponieważ na tym polu czuł się niepokonany.

- Czy słyszał pan przemówienie Goebbelsa w Pałacu Sportowym? „Zobowiązujemy się w życiu i w pracy czynić wszystko, co potrzebne jest do zwycięstwa. Wzbudzimy w naszych sercach polityczny zapal, który niby wiecznie płonący ogień zagrzewał nas zawsze do wielkiej walki za państwo i partię”. Radziłbym panu nie zapominać o tym, że instytucję tę należy zaliczać do tych mobilizujących czynników i ideałów, dla których jedynie warto jest żyć, umierać i zwyciężać!

- Ale to przecież oczywiste - wymamrotał Helgert półprzytomny z senności. Gdybym nie był zawodowym wojskowym, na pewno złożyłbym wniosek o przyjęcie mnie do partii! - po czym odwrócił się na drugi bok.

Adiutant pułkowy nabazgrał coś w swoim czarnym notesiku i zrobił na marginesie dwie grube kreski, żeby zaznaczyć wagę tej notatki.

- Już ja cię przejrzałem - szepnął do siebie. - Kiedyś nam się to jeszcze przyda.

Zdmuchnął świecę, z irytacją stwierdził swąd dymiącego knota i zapadł w niespokojną drzemkę.

Nagle zerwał się. Za oknami zaterkotał karabin maszynowy 42 tak głośno, jakby stał pod samym domem. Altdörfer miał nadzieję,

że po paru seriach umilknie, ale zawtórował mu drugi, a potem z furią trzeci. Pośród ujadania karabinów coraz to rozlegało się buczenie ręcznych granatów. Wysokimi łukami nadlatywały pociski z moździerzy i rozrywały się z trzaskiem. Gdzieś diabło blisko szczechało działo przeciwpancerne. Ze wszystkich stron wsi dobiegały dzikie wrzaski.

Helgert zerwał się na równe nogi.

- Połączcie mnie natychmiast ze stanowiskiem ogniowym!

Starszy szeregowiec Bürger zaczął nieustannie powtarzać swoje wezwanie. Stanowisko ogniowe wciąż się nie odzywało. Połączenie z piechotą zostało zerwane. Porucznik zdjął pistolet maszynowy z poręczy krzesła i wybiegł na dwór.

Na drodze zaroilo się. Rosjanie są we wsi! Przeklęta zadymka! Nic nie można rozróżnić, tylko cienie i kontury. Tuż przed nim na bocznej drodze padały jeden po drugim ręczne granaty. Wszędzie dokoła dudniły karabiny maszynowe; niebezpiecznie blisko gwizdały kule. Najwyraźniej piechota została zaskoczona przez wroga od lewego skrzydła. Ostrzeliwując się ostro, wycofywała się na środek wioski. Helgert paroma susami wyskoczył z ogrodu. Pod płotem, w śniegu leżał skulony żołnierz z posterunku podsłuchowego. Między brwią i skronią miał dziurę od kuli wielkości włoskiego orzecha. Lewe oko było wysadzone.

Przed stanowiskiem dowodzenia batalionu porucznik natknął się na dowódcę.

- Helgert! Otwierajcie ogień! Na całą wschodnią połowę wsi! Nie powinno tu już być ani jednego z moich ludzi!

Helgert pognął z powrotem do swej chałupy. Pociski i odłamki z wyciem śmigały wokół niego, kiedy przebiegał przez wiejską drogę. Jednym susem przesadził schodki.

- Połączenie jest? Radiotelegrafista skinał głową.

- Dawać mi zaraz do aparatu podporucznika Gengenbacha!
Bürger przekazał rozkaz. Helgert wziął od niego mikrofon.

Na skutek serii z karabinu maszynowego wyleciały z okien szyby. Z drewnianych ścian spadały odłupane drzazgi. Błazniana miska z brzękiem runęła na podłogę. Wszyscy rzucili się na ziemię.

Zanim podporucznik na stanowisku ogniowym znalazł się przy aparacie, Helgert wysłał Senflebena i obu telefonistów z pistoletem maszynowym przed drzwi.

- Głowy wciągać! - krzyknął za nimi.

Na adiutanta pułku, który klęcząc manipulował kątomierzem na swoim prowizorycznym planie ostrzału i ocierał przy tym obficie pot z czoła, nie zwracał najmniejszej uwagi.

Oficer bateryjny zgłosił się przy aparacie.

- Gengenbach... - głos Helgerta był opanowany. Gdzieś bardzo blisko wybuchła mina. Potłuczone szyby zabrzęczały.

Zupełnie wyraźnie słychać było przeciągłe „urraaa!”

Kiedy Helgert chciał dalej mówić, Senfleben zaczął jak szalony walić ze swego rosyjskiego pistoletu maszynowego. Łuski podzwaniając seriami, toczyły się po podłodze.

- Słuchajcie, Gengenbach! - krzyczał porucznik ochryple do mikrofonu. - Otworzyć natychmiastowy ogień na nasze stanowisko plus pięćdziesiąt metrów!

- Trzema drużynami! Ale szybko! Odbiór!

Przeszedł na odbiór.

- Tak jest, szybko! Skończone! - zagdakał głos Gengenbacha. Altdörfer zerwał się z podłogi.

- Pan oszalał! Ogień na własne stanowisko! A jeśli nie doniesie! Toż to samobójstwo! - wrzeszczał, sięgając po mikrofon.

Helgert odsunął go jak uprzykrzonego owada.

- Pan nie ma tu nic do gadania! Proszę to sobie zapamiętać!

Skoczył do drzwi i puścił parę serii w stronę postaci przemykających się przez rozmigotaną ogniem noc.

Po drugiej stronie drogi płonęły domy. Senfleben, który krwawił z rany od draśnięcia pociskiem, leżał już ze swymi ludźmi przy bocznej drodze. Przyłączyli się do nich żołnierze piechoty. Helgert kilkoma susami znalazł się przy nich. Po przeciwnej stronie roіło się od Rosjan, którzy ostro strzelali i stale posuwali się naprzód.

Wreszcie rozległ się huk dział: trach, trach, trach, trach! I następna grupa: trach, trach, trach, trach! Zaraz potem pociski z ogłuszającym łomotem gruchnęły w pierwsze chałupy po przeciwnej stronie drogi. Wzniosły się nad nimi pióropusze dymu.

Helgert leżał na brzuchu w śniegu. Jeden pocisk wybuchł z nim na wiejskiej drodze. To nieważne. Ale jedno działo jest wysunięte za bardzo na lewo, pomyślał z wściekłością, kiedy trzy razy pod rząd śnieg wzbił się gdzieś daleko w polu. Pośród syczącego deszczu odłamków pognał z powrotem do radiostacji.

Nowy adiutant pułku, porucznik Altdörfer, w niezbyt bohaterkiej pozie leżał na ziemi i dyszał jak po długim biegu.

Helgert zaczął spieszenie krzyczeć do mikrofonu:

- Gengenbach! Ogień celny. Prawy pluton, ta sama odległość, dwadzieścia drużyn. Lewy pluton: o dziesięć mniej! Dodać sto metrów. Dwadzieścia drużyn. Szybciej strzelać! Odbiór!

I znowu lakoniczna odpowiedź Gengenbacha:

- Tak jest, szybciej strzelać! Skończone!

Rosjanie zaczęli szukać osłony. Znow z jakiegoś domu buchnęły płomienie. Ogień piechoty wciąż jeszcze nie słabł.

Lekkie rosyjskie granatniki rozbłyskiwały co chwila, wspierając skutecznie swoich.

Helgert przebiegł naprzeciwko, do stanowiska dowodzenia piechoty. Adiutant batalionu leżał w rowie za karabinem

maszynowym, obok niego piętrzył się stos min i ręcznych granatów. Dowódca, stojąc za rogiem domu, usiłował objąć wzrokiem sytuację.

- Kryj się! - ryczał Helgert z daleka. Słyszał, jak tu i ówdzie przekazywano sobie jego polecenie.

Granaty jego baterii dokańczyły dzieła.

Cienie śmierci opadły na wieś.

Bitwa się skończyła.

Żołnierze piechoty zabrali się do zajęć stosownych do nowej sytuacji. Dowódcy plutonów i drużyn usiłowali zaprowadzić ład w ogólnym chaosie. Pościągano z placu boju jęczących rannych.

Kiedy artylerzyści wywieźli swego zabitego telefonistę saniami na stanowisko ogniowe - Senfleben, mimo odniesionej rany, nie dał się („choćbym, miał zdechnąć” - tak się wyraził) odesłać z powrotem - wyczerpany Helgert usiadł na jedynym krześle w pokoju. Drżał z zimna, ale mimo to natychmiast zasnął. Śnieg wpadał do izby przez pozbawione szyb okna.

O świcie ściągnięto batalion saperów, który dotychczas trzymano w rezerwie, ponieważ miał odpocząć po wytrwałym wysadzeniu w powietrze i paleniu siedzib ludzkich oraz wypędzeniu ich mieszkańców.

Błade zimowe słońce przenikało słabo przez nisko zwisające szare chmury. Kompanie zaczęły rozsnuwać siatkę maskowniczą wzdłuż bocznej drogi i między domami. Dokonali tego bez styczności z wrogiem.

Widocznie czerwonoarmiści, niezauważeni przez posterunki podsłuchowe, opuścili wschodnią część wsi.

Żołnierze ze stoickim spokojem znów zakopali się w śnieg. Płaskie wały ochronne rzucały kanciaste niebieskawe cienie.

Zaczęto roznosić kawę w kanistrach. Popijający gorzki gorący napój z manierek i aluminiowych kubków chłopczy nie dziwili się

nawet, kiedy nagle na wiejskiej drodze zjawiło się paru żołnierzy radzieckich bez broni, z rękami uniesionymi nieco do góry, rozglądających się bezradnie dokoła. Otrzymali oni również po kubku brunatnego płynu, po czym odmaszerowali pod strażą w głąb wsi.

W południe jakieś lekkie działo blisko godzinę nieregularnym, nękającym ogniem raziło dachy i ogrody.

Kiedy dowódca batalionu otrzymał znów meldunek o siedmiu Rosjanach, którzy pojawili się ni stąd, niż zowąd podczas ostrzału, zaczął się drapać w zmierzwioną brodę.

- Do diabła! Linia jest przecież zwarta!

- Musimy jeszcze sprawdzić trupy na polu walki, panie kapitanie - poradził mu jego adiutant.

Wysłano grupę żołnierzy dla dokonania tego zadania.

Helgert postanowił bezwzględnie przesunąć stanowisko ogniowe swojej baterii bardziej naprzód, żeby móc dzięki bezpośredniej obserwacji kierować ogień tuż przed linię piechoty. Wezwał Altdörfera, by mu towarzyszył.

Senfleben utrzymywał stałą łączność radiową ze stanowiskiem ogniowym, które było atakowane nieustannie przez samoloty szturmowe. Gengenbach ostrzeliwał je ze zdobycznych rosyjskich karabinów maszynowych i z kaemów 42. Dotychczas miał sześciu rannych.

Obaj oficerowie artylerii spotkali się z sierżantem, który prowadził pluton piechoty. Helgert wiedział, że jest odznaczony srebrną klamrą za walkę wręcz. Dowódca plutonu skrzywił wraz ze swymi ludźmi w stronę ciemnych punktów na śniegu, które w nocy stały się celem napadu ogniowego. Altdörfer i Helgert wspinali się po łagodnym ośnieżonym zboczu, aby uzyskać lepszy widok.

W odległości mniej więcej sześciuset metrów można było rozróżnić pojedynczych strzelców radzieckich. Z czarnych ruin, o

jakieś pięć kilometrów dalej, na połyskujących wzgórzach przypniętej wioski, wznosiło się parę wąskich smug dymu. Tam się pewnie gotuje czaj i popija wódkę, pomyślał przelotnie Helgert. Poza tym na lśniącej śnieżnej powierzchni nie dało się zauważyć nic szczególnego.

Altdörfer poczuł się znów nieswojo na myśl o tym, że jakiś strzelec wyborowy Armii Czerwonej może go teraz wziąć na cel.

Helgert zabrał się właśnie do układania stosu z kawałków drewna, żeby stworzyć nowy punkt obserwacyjny, kiedy za nimi, w ogródkach, rozległ się suchy odgłos strzałów. Altdörfer jednym susem znalazł się pod ścianą najbliższego domu. Zupełnie jak przyciśnięta do muru flądra, pomyślał Helgert ubawiony. Strzały w nieregularnych odstępach rozlegały się nadal.

- Chodźmy - zwrócił się porucznik do adiutanta pułku musimy przenieść tu nasze manele.

Altdörfer spojrział przerażonym wzrokiem w stronę, skąd padały pojedyncze strzały.

Kiedy Helgert, nie przejmując się nim, ruszył ku dawnemu punktowi obserwacyjnemu, tamten spiesznymi krokami znalazł się u jego boku. Byle nie zostać nigdzie samemu, upominał siebie. Nie mógł się jednak powstrzymać od zapytania, co się właściwie w tych ogródkach dzieje.

Helgert zmierzył go szczególnym spojrzeniem. Czyżby ten facet rzeczywiście nie miał o niczym pojęcia, czy tylko udaje? Czuł nieufność wobec tego kędzierzawego okularnika.

- Pewnie leżą tam ciężko ranni Rosjanie. Kto ma ich stamtąd zabrać? Ludzi nam brak, a i sań nie mamy.

Altdörfer parę razy otwierał i zamykał usta jak sęp siedzący nad ścierwem.

- Jeszcze ich ani razu nie widziałem - powiedział ochoczo.

- Nic pan nie stracił - odparł Helgert. Doszli do bocznej drogi.

- Panie poruczniku, skoczę tam na chwilę. Pewnie nie ma z nimi żadnego oficera, tylko jakiś podoficer.

Biegiem prawie Altdörfer skręcił w ścieżkę wiodącą do ciał zabitych.

Poranna zadymka przykryła martwych i rannych olbrzymim białym całunem, nie uwzględniając przy tym różnic narodowościowych. To tu, to tam sterczało spod śniegu ramię, but albo bagnet, łyskały szeroko otwarte oczy; wyłaniały się ziemisto-brunatne płaszcze i podbite kozuchem ubiory maskujące; czerwone od mrozu ciała i oblodzona broń.

Pełniący tu służbę pluton pochował już część poległych niemieckich żołnierzy piechoty. Wleczono ich aż do drogi i układano obok siebie. Szef kompanii, który przypadkiem tu się znalazł, szukał znaków rozpoznawczych poległych żołnierzy, walcząc przy tym z mdłościami.

Pluton grzebał dalej w śniegu kolbami karabinów. Altdörfer przyłączył się do szukających. Czuł własny przyśpieszony oddech. Chłopcy mieli wprawę, to trzeba im było przyznać. Jeśli ktoś natknął się na coś sztywnego, twardego, wiedział, że to trup. Jeśli zaś buty, ręka, czy co tam śnieg odsłonił, ustępowały, to w danym ciele musiało kołatać się jeszcze życie.

Właśnie podnoszono ostrożnie z ziemi jakieś ciało. Był to kapral, który jak się zdawało, stracił przytomność.

- To dowódca drużyny Lammers, z dziesiątej kompanii - powiedział ktoś półgłosem.

Zawlekli go na plandecę po śniegu do wsi.

Obrócono jakiegoś radzieckiego żołnierza. Z jego płaszcza unosiła się wilgotna para. Prawa noga, jakby zwichnięta, leżała w kałuży krwi. Kiedy lufa karabinu przesunęła się do jego głowy,

Rosjanin zamknął oczy. Wystrzał rzucił gwałtownie jego ciałem niby smagnięcie bicia. Teraz i lewa noga wyglądała jak wykręcona.

Porucznik bał się, że bliżej stojący usłyszą głośnie i szaleńczo szybkie bicie jego pulsu. Brnął dalej przez śnieg wraz z całym plutonem jak w transie.

Znów znaleźli rannego o chrapliwym oddechu. Nad jego brodą piętrzył się zlepek niewielkich różowych pęcherzyków. Postrzał płuc, stwierdził Altdörfer. Nabił swego mausera i dotknął ramienia żołnierza. Kiedy ten zauważył, że oficer odbezpiecza broń, przeszedł do następnego rannego. Pozostała jeszcze prawie połowa pola do przeszukania; jeśli o niego chodzi, to wolałby zjeść porządne śniadanie, a potem uciąć sobie drzemkę, zamiast grzebać się w tym śniegu.

Porucznika Altdörfera ogarnęło nieznanne mu dotąd podniecenie. Musiał siłą tłumić oddech. Spojrzał na głowę czerwonoarmisty, którego całe ciało pokryte było cienką warstwą śniegu. Kiedy jednak przystawiał mu lufę pistoletu do karku, ręka nawet mu nie drgnęła. Altdörfer dumny był ze swej dzielności. Następnie wypalił, ale nie mógł nie zamknąć przy tym oczu. Łuska naboju śmignęła gdzieś w lewą stronę, Rosjanina poderwało gwałtownie w górę, po czym ciało jego opadło ociężale. Głowa zabitego spoczywała teraz już obok prawego buta adiutanta pułku. Cienka strużka krwi sączyła się nad zamkniętymi oczami i bladym czołem, i niknęła wśród niezliczonych połyskujących kryształków.

Śnieg był czerwony.

Altdörfer wyprostował się, głęboko oddychając. Kolana drżały mu lekko. Jego pierś jednak wzbierała poczuciem bohaterstwa. - Ujrzeć śmierć w oku nieprzyjaciela. - Zabezpieczył pistolet, wsunął go niby szablę do futerału i nie oglądając się, podążył w stronę domu stanowiącego dawny punkt obserwacyjny. Nieliczne strzały,

jakie potem nastąpiły, nie wywarły na nim wrażenia. Twardość, tak, nieugięta twardość - rozważał - oto cecha, jaka powinna charakteryzować każdego z nas, niemieckich żołnierzy.

Przed stanowiskiem dowodzenia batalionu rozległy się śmiechy. Altdörfer przyłączył się do stłoczonej grupy. Stał tam młody czerwonoarmista, otoczony przez żołnierzy niemieckich, i mówił coś dzwicznym głosem, szeroko gestykulując. Ktoś tłumaczył prymitywnie jego opowieść.

- Ich atak był zaplanowany, celem miało być opanowanie wsi. On dostał się pod ogień artylerii niemieckiej. Rydel jego poprzednika uderzył go przy tym w głowę. Kiedy odzyskał przytomność, był już dzień i linia frontu znajdowała się poza nim. Wtedy postanowił przeleżeć w śniegu, aż wrócą jego towarzysze.

- Mógłbyś długo czekać, Iwan, i to przy dwudziestu pięciu stopniach mrozu - zaśmiał się jakiś plutonowy.

Tłumacz przełożył jego słowa.

Rosjanin spojrział na Niemca i uśmiechnął się.

- Nie wydaje mi się.

Helgert wyglądał przez rozbite okno na pole nocnej walki do momentu, kiedy Altdörfer włączył się do akcji. Odwrócił się wtedy i zgrzytnął zębami.

Gdy adiutant pułku z błyszczącym wzrokiem wszedł do izby, Helgert pomagał Senflebenowi przy rozmontowywaniu radiostacji. Nie zaszczycił Altdörfera ani jednym spojrzeniem.

Ten nie był aż tak głupi, żeby tego nie zauważyć. Nie zdołało to jednak zepsuć jego bohatersko-radosnego nastroju.

Wczesnym wieczorem radziecka piechota szturmowa wyparła Niemców ze wsi.

W trzy dni później pułkownik Krusemark z rozpromienioną miną przypinał swemu adiutantowi i prawej ręce, porucznikowi

Altdörferowi, Żelazny Krzyż I klasy do gabardynowej piersi, przy czym o mało nie urwał mu ręki. Wyciągnął potem ostatnią butelkę zdobycznego radzieckiego gruszcznika i nalał dwie pełne szklanki do mycia zębów.

Altdörfer dziękował uniżenie, zapewniając, że będzie zawsze „oddanym sługą pułkownika”.

Kiedy Helgert dowiedział się o tym odznaczeniu, złożył Altdörferowi przez telefon gratulacje. Od tego dnia przypinał swój Żelazny Krzyż tylko wtedy, kiedy to było absolutnie konieczne.

Zyskał sobie za to jeszcze jedną czerwoną kreskę w notesie Altdörfera.

Rozdział 4

Pod koniec lutego zakończono szkolenie specjalne dla przyszłych dowódców oddziałów ciężkiej artylerii przeciwlotniczej.

Dörnberg przez te cztery tygodnie nie zaniedbał ani jednej okazji, żeby zaprosić na pijaństwo wszystkich po kolei swoich zwierzchników. W efekcie osiągnął świadectwo ukończenia kursu, stwierdzające, że nadaje się bez zastrzeżeń na dowódcę oddziału, ponadto popadł w długi, które przez najbliższe miesiące dobrze dadzą mu się we znaki. „Teraz należałoby załatwić pewną sprawę, żeby raz na zawsze położyć kres przykrym kłopotom finansowym. Godzinka drogi koleją i zamelduję się u niejakiej panny Klaudii. Wtedy zachowałem się jak kompletny żóltodziób, zamiast czulić się do dziewczyny, póki szanowny teść nie wypłaci odpowiedniego posagu. Ponieważ jednak na naprawienie błędów nigdy nie jest za późno, trzeba czym prędzej zabrać się do dzieła”. - Takie oto myśli nurtowały Kurta Dörnberga, kiedy wiązał sobie śnieżnobiałą muszkę i spryskiwał się obficie Chanel nr 5. Klaudia nigdy by się nie domyśliła, w jak nieskomplikowany sposób zdobył przez wspólnych znajomych w Wiedniu jej obecny adres. Chciał się zjawić u niej o nieco późniejszej porze, aby wobec nieustannych alarmów lotniczych nie mogła odprawić go od drzwi.

W kiosku na Dworcu Anhalckim kupił róże, które Klaudia kiedyś tak lubiła, po czym, zadowolony z siebie i ze świata oraz pewny sukcesu, ostatni odcinek drogi przebył tramwajem. Zaciemnione niebieskawe oświetlenie wagonu irytowało go, ponieważ w tych warunkach nikt nie mógł się napawać widokiem jego skończenie doskonałej postaci.

Wysiadłszy z tramwaju, obciągnął skórzany płaszcz i przeszedł na drugą stronę ulicy. Drzwi wejściowe były tylko przymknięte.

Klaudia pisała list do Eberharda, wciąż jeszcze wypełniona wielkim przeżyciem spędzonych z nim chwil, chociaż to Nowe, z którym czuła się już trochę związana, sprawiało, że wiele rzeczy ukazywało jej się teraz w innym świetle. Eberhard nic o tym nie wiedział i nie powinien się dowiedzieć, że zaczęła działać w myśl jego przekonań. Bez wahania przyjęła propozycję Rudolfa Bendera. Bender powiedział jej tylko mimochodem, że Baum już przed wojną był negatywnie nastawiony do Hitlera i że właśnie dlatego szczególnie go cieszy obecna postawa dawnego przyjaciela. Eberhard mówił jej zapewne o tym, że on, Bender, należał kiedyś do partii komunistycznej i że w związku z tym miał określony pogląd na państwo Hitlera. Teraz szukał sprzymierzeńców na własną rękę. Jeśli jej zapatrywania podobne są do jego własnych, to on chętnie się z nią spotka od czasu do czasu i pogawędzi. Na początek to byłoby właściwie wszystko.

Klaudia nigdy dotąd nie zajmowała się sprawami politycznymi. W jej pojęciu politykę uosabiała dyplomacja zdobna w ordery i szarfy, kompanie honorowe, Reichstag i „Deutschland, Deutschland über alles”. Polityka nie miała nic wspólnego ze zwykłymi ludźmi, ze skromnymi obywatelami. Jej ojciec, jako przezorny przemysłowiec, już przed wojną przeniósł się do Szwajcarii i tam zbudował niewielką fabryczkę. Oczywiście jego robotnicy

zarabiali znikomą część tego, co mógł on zaoferować własnej rodzinie, ale to, zdaniem Klaudii, nie miało nic wspólnego z polityką.

Z początku Klaudia nie zastanawiała się nad kierującymi nią motywami. Po prostu chciała zjednoczyć się jak najbardziej z Eberhardem. Dla niego pragnęła to robić, ponieważ on był przekonany o konieczności takiej pracy. Dlatego jej decyzja była z góry przesądzona.

Szczególną cechą tego pierwszego spotkania z Benderem i późniejszych kolejnych z nim rozmów było to, że wszelkie solidne, ograniczające horyzont ściany zaczynały walić się w gruzy i że wiele spraw ukazywało się w całkiem nowym świetle: wojna, Związek Radziecki, Aryjczycy i Żydzi jak również miarodajni politycy NSDAP.

Klaudia czuła coraz wyraźniej, że każdy Niemiec powołany jest do tego, by występować przeciwko brunatnemu terrorowi. Wydawało jej się, że najstuszniej zacząć działać tam, gdzie miała po temu praktyczne możliwości: to znaczy w Zakładach Zbrojeniowych Północ. Kiedy więc Rudolf Bender zapytał ją pewnego wieczoru, czy podjęłaby się spełnić jakieś polecenie...

Dzwonek w przedpokoju wyrwał ją z tych rozmyślań. Sąsiedzi wyjechali na sobotę i niedzielę do córki i oddali jej na przechowanie klucze od mieszkania na wypadek, gdyby w czasie nalotów stało się coś z domem. Może to ktoś do nich?

Dzwonek zadzwieczał bardziej natarczywie. Klaudia odłożyła pióro, podeszła szybkim krokiem do drzwi i otworzyła. Na progu stał promiennie uśmiechnięty porucznik Kurt Dörnberg.

Klaudia zbladła jak ściana.

- Wolno mi chyba wpaść z kwiatami po drodze i zapytać o zdrówko.

Mówił głosem cichym i pełnym tkliwości. Rozległ się szelest papieru, kiedy porucznik odwijał róże, by wręczyć je dziewczynie.

Nagle usłyszała na schodach spieszne kroki. Wielu lokatorów domu wiedziało, że Eberhard u niej mieszkał. W milczeniu cofnęła się i zamknęła drzwi za Dörnbergiem.

Ten czuł głęboką satysfakcję, wchodząc z ukłonem do przedpokoju. Uśmiechnięty rozglądał się dokoła w poszukiwaniu miejsca na wgniecioną z fasonem czapkę ozdobioną srebrnym sznurkiem, skórzane rękawiczki i kordzik.

- Czego tu chcesz? - burknęła.

- Wybacz łaskawie, ale jeżeli sobie nie życzysz...

Ktoś zaczął niezręcznie otwierać drzwi do sąsiedniego mieszkania. Klaudia z lękiem podniosła rękę, myśląc przy tym nieustannie o Eberhardzie. Dörnberg udawał, że z wahaniem idzie za nią do pokoju. W jego oczach malował się tajony triumf. Zmieszanie dziewczyny nie uszło jego uwagi.

Klaudia powtórzyła pytanie.

- Czy mogę usiąść chociaż na chwilę? - usiłował z uśmiechem zmienić ton rozmowy.

Jej wzrok padł na rozpoczęty list. „Najdroższy mój Eberhardzie...” Przykryła go gazetą, a Dörnberg taktownie odwrócił wzrok. Następnie zdjął skórzany płaszcz, usiadł i stwierdził, oddychając z ulgą, że pierwszy krok można uznać za udany. Nic nie zdoła zderzyć z jego twarzy maski uprzejmości.

- Droga Klaudio - zaczął serdecznie - przyszedłem właściwie tylko po to, żeby cię przeprosić za moje zachowanie się wtedy. Wstyd mi przed tobą.

Patrzył przed siebie ze szczerym zatroskaniem. Czas potrzebny na działanie jego słów był z góry wkalkulowany. Klaudia zdołała już mniej więcej odzyskać zimną krew.

- To zupełnie zbędne - powiedziała i sama się dziwiła, jak opanowany był jej głos. - Dla mnie ta sprawa jest już całkowicie zamknięta. Nie mam do ciebie żadnych pretensji ani żalów.

Dörnberga ogarnęła nieufność. Stwierdził przy tym z zadowoleniem, że jego kwiaty leżą wciąż jeszcze niezauważone na krześle. Teraz należy przypuścić atak na całego. Metoda zaskoczenia przyniosła także niemieckiej armii najwspanialsze zwycięstwa. Porucznik wstał z krzesła.

- Czy pamiętasz Klaudio, wtedy, nad starym Dunajem...

Zamilkł, urzeczony wspomnieniami.

Oczy Klaudia pociemniały z oburzenia.

- Tamte czasy przestały dla mnie istnieć.

Dörnberg szybko ocenił sytuację. Teraz wydała mu się wskazana nuta tragiczna.

- A gdybym cię bardzo poprosił, żebyś raz jeszcze ze mną spróbowała? - I ciągnął coraz bardziej natarczywie. - Przecież to niemożliwe, żeby nasza wielka miłość umarła.

Oddychał ciężko.

Klaudia Sanden była już całkiem spokojna. - W lipcu wychodzę za mąż za Eberharda Bauma. W lipcu tego roku!

Dörnberg czuł się tak, jakby mu ktoś dał w twarz. Eberhard Baum? O tym nigdy jakoś konkretnie nie myślał. Sądził, że jest gdzieś daleko na wschodzie albo że już dawno został zabity. Zaciśnął pięści, aż paznokcie wbiły mu się w dłoń. Opanował się jednak i tym razem, teatralnym gestem przesunął lewą ręką po czole i z westchnieniem zwiesił głowę.

Klaudia podała mu czapkę, rękawiczki i sztylet. - Zdaje się, że nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Chociaż nie, chwileczkę. - Podeszła do sekretarzyka.

Patrzył za nią zrezygnowany, ale jeszcze nie chciał dać całkowicie za wygraną. Trzeba przynajmniej zachować możliwość

kontaktu. Jakiś pomysł przyjdzie mu potem na pewno do głowy. Za tego śmiesznego starszego szeregowca Bauma ona w każdym razie nigdy nie wyjdzie, myślał drwiąco.

Klaudia podeszła do stołu, niosąc duże pudełko po papierze listowym.

- Mam jeszcze parę twoich fotografii, chciałabym ci je oddać. Może ci się na coś przydadzą.

Dörnberg wstał. Z trudem panował nad sobą. Ona rzeczywiście chce zerwać na dobre, pomyślał bezradnie.

Klaudia Sanden czuła się jak uskrzydłona. Dzisiaj cały niedobry fragment jej życia zostanie definitywnie zamknięty. Uniosła opierające się wieko. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

Dörnberg błyskawicznie zauważył zmianę na jej twarzy i drżenie rąk, po czym przeczytał zachłannie:

„Precz z Hitlerem!

Mężczyźni i kobiety stolicy Rzeszy!

Iluż z was opłakuje śmierć najbliższych?

Zabitych na froncie i tutaj...”

Klaudia roztrzęsiona zamknęła pudełko. Na samym wierzchu leżała paczka ulotek, które otrzymała dzisiaj od Rudiego Bendera i które jutro rano, przed pracą, miała zręcznie i dyskretnie porozkładać w swoim dziale. Teraz wszystko przepadło.

- Musiałam widocznie gdzie indziej schować te zdjęcia - szepnęła i odstawiła pudełko z powrotem do sekretarzyka.

Wyprostowała się i usiłowała nadać swemu głosowi silniejsze brzmienie. - Najlepiej będzie, jeśli prześlę ci je przy okazji.

Podąła mu skórzany płaszcz. Twarz miała niemal białą.

Porucznik artylerii przeciwlotniczej zorientował się w sytuacji i zaczął ją na zimno rozważać. To ci dopiero historia: „Precz z Hitlerem!” Nieprawdopodobne! A jednak prawdziwe! Kryła się w

tym szansa dla niego. Przybrał teraz uśmiech łagodny i zniewalający.

- Czy nie jest rzeczą możliwą - zaczął ostrożnie, obrzucając sekretarzyk przelotnym spojrzeniem - że ta historia z Eberhardem Baumem jest trochę... jakby to powiedzieć, nieprzemyślana? I okazałaby się tragiczną omyłką? Bo ja nie wierzę, że kiedykolwiek o mnie zapomnisz.

Podszedł do sekretarzyka i oglądał książki. Za nimi stało fatalne pudełko.

Klaudia Sanden zdawała sobie ze wszystkiego jasno sprawę. „Ma mnie w ręku. Powinnam poddać się jego woli i zrezygnować z Eberharda. Wtedy zaniecha jakichkolwiek kroków. Tak musiałyby wyglądać jego żądanie, gdyby użył ulotki jako narzędzia szantażu wobec mnie. A gdybym odmówiła i podjęła walkę? Wtedy zajęłoby się mną gestapo i wszelkimi możliwymi sposobami zmusiłoby mnie do wyjawienia nazwisk: Rudolfa Bendera i Eberharda Bauma”.

Na chwilę uczepiła się nadziei, że Dörnberg zachowa się po rycersku. Szybko jednak odrzuciła tę myśl, kiedy zobaczyła jego twarz. Brak wyjścia z tej sytuacji zupełnie ją obezwładniał. Odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach.

- Klaudio - powiedział Dörnberg dźwięcznym, swobodnym głosem, otwierając przy tym ostrożnie drzwiczki sekretarzyka - ty zdaje się wciąż jeszcze nie wierzysz, że ja się bardzo zmieniłem.

Wreszcie miał w ręku pierwszą z tych przeklętych ulotek. Dotknięcie jej chropawej powierzchni sprawiało mu fizyczną rozkosz.

Drzwiczki lekko zatrzeszczały.

Klaudia gwałtownie się odwróciła i zobaczyła kartkę w dłoni tego człowieka, w którego miłość kiedyś wierzyła. W tej chwili stali się dla siebie śmiertelnymi wrogami. Fakt, że w decydującym momencie nerwy ją zawiodły, stanowił dla niego jednoznaczny

materiał dowodowy. Nie miało sensu zmyślanie jakiegokolwiek historii, w którą i tak by nie uwierzył. Była gotowa na wszystko, byle tylko zwrócił jej ulotkę. Na wszystko. Przez mgnienie oka pomyślała o małym pistolecie, który jej ofiarował Eberhard. Ale pistolet leżał w bielizniarce, nienabity.

Dörnberg schował ulotkę do kieszeni i napawał się jej przerażeniem. Nagle Klaudia rzuciła się na niego, zaczęła go szarpać, ale nie udało jej się odepchnąć jego ręki.

- Ależ Klaudio, maleńka - powiedział pobłaźliwie i pogłaskał ją po głowie.

Żachnęła się. Udał, że nie zauważa jej nienawiści, ponieważ konsekwentnie przeprowadzał swój plan, który wymagał od niego nienaganych manier bywalca oficierskiego kasyna, nabytych w pruskiej szkole wojennej. Chodziło tu nie o dzień dzisiejszy, o przemijającą chwilę, ale o zabezpieczoną materialnie przyszłość. A tę schował sobie właśnie do kieszeni.

Włożył płaszcz, przywiesił kordzik i całą postawą dawał do zrozumienia, że zamierza się pożegnać.

- Czy mogę cię kiedy przy okazji znowu odwiedzić?

W jego oczach lśnił triumf. Ukłonił się lekko i opuścił mieszkanie, nie czekając na odpowiedź.

Na najniższym podeście schodów przystanął, wyjął ulotkę z kieszeni i przeczytał słowo po słowie:

Precz z Hitlerem!

Mężczyźni i kobiety stolicy Rzeszy!

Iluz z was opłakuje śmierć najbliższych?

Zabitych na froncie i tutaj, pod gruzami własnych domów.

Jak długo zamierzacie beczynn timer patrzeć na tę masakrę?

Obalcie Hitlera i jego przestępczą klikę, a zapanuje pokój!

Śmierć faszystom i ich pachołkom!

Niezwykłe z siebie zadowolony Dörnberg zszedł po schodach na dół.

Przed bramą stał komendant obrony przeciwlotniczej i przepuścił go. W życzliwym i służbowym zarazem pozdrowieniu sztykownego porucznika artylerii znalazł potwierdzenie ważności własnej osoby i pełnionej przez siebie funkcji.

Kurt Dörnberg zdążył jeszcze na nocny pociąg do Hamburga.

Rozdział 5

Ilza Helgert przechadzała się w okolicy hamburskiego ratusza o pokrytym grynszpanem dachu, obejrzała wystawy sklepowe na Jungfernstieg. Kiedy dotarła do małego hoteliku, gdzie się umówiła, zaczynało się już ściemniać. Miała włosy barwy świeżo wyłuskanych z łupiny kasztanów. Jej prostolinijna, trochę surowa twarz nawet teraz, w zimie, robiła wrażenie lekko opalanej. Bardzo szczupła sylwetka każdym ruchem zdradzała sportową zaprawę. Parę dni temu Ilza Helgert skończyła dwadzieścia cztery lata.

Nudziła się trochę. Dlatego też chętnie przyjęła zaproszenie inżyniera Wielanda Altdörfera.

Spotkali się przypadkiem na posterunku policji. Urzędnik przez nieuwagę zamienił im dowody. Wieland Altdörfer znał nazwisko Helgert, ponieważ jego brat Alojzy opisał mu z dumą czyny, dzięki którym zasłużył na Krzyż Żelazny I klasy, oraz ceremonię dekoracji, przy czym pewien dowódca baterii nazwiskiem Helgert grał jakąś podrzędną rolę. Ona zaś natychmiast poznała o parę lat starszego inżyniera po jego uderzającym podobieństwie do brata, którego widziała na grupowym zdjęciu sztabu pułku przed rozbitymi czołgami.

Kiedy stwierdzili łączącą ich od dawna pośrednią znajomość, usiedli w jakiejś portowej knajpce, żeby pogawędzić. Ponieważ

jednak Ilza miała wtedy mało czasu, postanowili spotkać się właśnie dziś na dalszy ciąg rozmowy. Altdörfer poprosił o pozwolenie przyprowadzenia swego kolegi po fachu Piotra Corneliusa, który ma wprawdzie trochę rubaszny sposób bycia, ale na pewno nie będzie im przeszkadzał. Pewien bliski przyjaciel miał się postarać, żeby mogli coś zjeść bez kartek.

Ilza Helgert przejrzała się dokładnie w lustrze.

- Panowie czekają już na szanowną panią - szepnął jej usłużnie starszy kelner w przedziwnie młodzieńczej marynarce.

Uśmiechnęła się, ukazując idealnie piękne zęby. Cieszyła się szczerze na ten wieczór. Nareszcie weźmie udział w ogólnej rozmowie, w której jej mąż, siłą rzeczy, będzie coraz to odgrywał taką czy inną rolę.

Wieland Altdörfer wyłonił się z sąsiedniego niewielkiego, wyłożonego drewnianą boazerią gabinetu i pocałował ją w rękę.

Cornelius, spokojny i pewny siebie, wstał z krzesła. W rozmowie nie brał prawie udziału. Był całkowicie pochłonięty układaniem solidnego mieszczańskiego menu. Istniały zaś rozmaite ciekawe kombinacje, zarówno w dziedzinie potraw, jak i napojów.

Ilza i Altdörfer zaś odtwarzali przez ten czas przeszło trzy tysiące kilometrów liczącą drogę, jaką pułk artylerii przemaszerował na wschodzie od 22 czerwca 1941 w ciągu dwóch pór letnich i dwóch zimowych.

Kelner podał do kawy koniak hennessy. Piotr Cornelius podniósł kieliszek.

- Skoro wypiliśmy już zdrowie szanownego małżonka, pozwalam sobie wznieść toast na cześć tego, który tak wielkodusznie pozwolił nam skorzystać ze swoich bezkartkowych kulinarnych możliwości. Gdyby przypuszczał, że będziemy w towarzystwie

tak uroczej damy, na pewno wzięłyby osobiście udział w tej uczcie.
Niech żyje Kurt Dörnberg!

Kieliszki zadźwięczały. Nagle Wieland Altdörfer poczuł, że ktoś klepie go z rozmachem po ramieniu. Obejrzał się zaskoczony.

- Kurt! Czy to możliwe! Byłem pewien, że zajmujesz się teraz zestrzeliwaniem B-29 i innych superfortec?!

Dörnberg roześmiał się.

- Niespodzianki często się zdarzają, stary koniu. Dostałem trzy dni urlopu specjalnego. Skończyłem z odznaczeniem kurs dla dowódców. Chyba i na drugą gwiazdkę nie trzeba będzie już długo czekać!

Ilzie przedstawiono Dörnberga jako dobrodzieja, któremu wszyscy zawdzięczają dzisiejszy wieczór. Świetnie skrojony ciemnoszary dwurzędowy garnitur dodawał mu powagi. Nie usłyszał dokładnie jej nazwiska, ponieważ wciskał właśnie kelnerowi do ręki banknot dwudziestomarkowy.

- To dla pana - szepnął. - Niech pan przyniesie butelkę hennessy i wstawi do lodu parę butelek veuve cliquot.

Kelner poszedł spełnić polecenie.

- Zdrowie państwa - Dörnberg podniósł kieliszek koniaku na przepisową wysokość trzeciego guzika - ale w tempie, jeśli wolno prosić, żeby wszyscy zapomnieli o swoich zmartwieniach.

Pili, śmiali się i znowu pili. Szampan okazał się wyborowy, szlachetny, a przy tym łagodny.

- No co, pani Helgert chyba nie żałuje, że się tu z nami wybrała - odezwał się Altdörfer.

Kurt Dörnberg zanotował sobie skrupulatnie wypowiedziane przez niego nazwisko. Rozważając z Corneliussem plany niemieckich stoczni w dziedzinie budowy okrętów, śledził pilnie rozmowę Ilzy i Wielanda. Młoda kobieta zaczęła właśnie opowiadać

historię o zestrzelonym radzieckim lotniku, którą jej mąż widocznie ze szczegółami opisał w liście przesłanym pocztą polową. Postawa pewnego znajomego, Eberharda Bauma, który przy tej okazji o mało nie zginął, a mimo to nie czuł nienawiści do swego wroga, wydawała jej się niezrozumiała.

Kurt Dörnberg wypił kieliszek koniaku. Powoli, rozkoszując się jego smakiem. Oto słynna seryjność wydarzeń, zastanawiał się. Trafiła mi się seria jak graczowi w ruletkę. Carpe diem - korzystaj z chwili! Bardzo dokładnie pamiętał oba spotkania z tym oficerem artylerii, Helgert od pierwszej chwili wydawał mu się niesympatyczny. Fakt, że Eberhard Baum odbił mu Klaudię, sprawił, że Kurt Dörnberg znienawidził także Helgerta. A teraz tutaj, w Hamburgu, siedzi sobie oto jego żona i nie ma o niczym najmniejszego pojęcia. No, proszę, czy to wszystko nie dziwne, myślał. Niespostrzeżenie włączył się do ogólnej rozmowy.

Wymieniono niedbale aspekty dalszego przebiegu wojny na wschodzie. No tak, teraz Führer narzucił sprzymierzonym żydowsko-bolszewickim wrogom taktykę nękającą, która kosztuje ich wiele krwi i sprzętu. Kontrofensywa w kierunku Wołga-Don przewidziana jest na pewno od dawna na okres letni przez Główną Kwaterę Hitlera. Rómmel przystąpił znowu do wielkiego ataku. Wprawdzie na razie toczy się bitwa o Medenine, a więc niedaleko punktu wyjścia kampanii afrykańskiej, ale z pewnością zaraz potem nastąpi silne uderzenie, które zmiecie po drodze Tobruk i El-Alamein i zaprowadzi armię niemiecką aż nad Nil. Potem warto by dokonać wypadu na tereny naftowe na Bliskim Wschodzie. Może też Anglicy i Amerykanie zjawią się wkrótce po drugiej stronie kanału ze swoją mityczną armią inwazyjną, żeby wreszcie zaistniała okazja do ostatecznego wykończenia Dunkierki.

Kelner wciąż napełniał kieliszki. Nieustannie. Szampanem. Koniakiem. Dörnberg był niezmordowany, Ilza poczuła nagle, że głowa zaczyna jej ciążyć.

Szaroniebieski dym z papierosów otaczał ją niby murem. Mdłe opary alkoholowe wywoływały fizyczną odrazę. Wydało jej się nagle, że spada z jakiegoś mostu w wir rwącego nurtu, z którego nie może się wydobyć. Zamknęła oczy. Rękami ścisnęła kurczowo poręcz krzesła w poszukiwaniu oparcia.

Cornelius patrzył na nią nabiegłymi krwią oczyma. Odezwwał się przenikliwym głosem:

- Ależ pani jest blada. - Zachwiał się lekko i powtórzył z naciskiem: - Błada jak ściana.

Dörnberg powiedział miękko, niemal błagalnie:

- Musi pani wypić kieliszek żołądkowej gorzkiej, zaraz poczuje się pani lepiej.

Wypiła odrażająco gorzki likier. Jak przez mgłę widziała, że Cornelius i Altdörfer z pomocą kelnera, używając przy tym morza słów, zdołali dotrzeć do swych płaszczy. Obaj z trudem trzymali się na nogach, podczas gdy Dörnberg wyglądał świeżo jak po kąpieli.

Z wielkiego, bardzo wielkiego oddalenia usłyszała głos Altdörfera.

- Odwieź ją całą i zdrową...

Potem wszystko utonęło w potężnym wybuchu śmiechu.

W dwa dni później Dörnberg odwiedził swego przyjaciela Wielanda Altdörfera w stoczni. Powiedział mu, że był wczoraj na przyjęciu u dowódcy okręgu wojskowego i dlatego nie mógł zjeść kolacji z nim i Corneliusem. Po czym oświadczył z uśmiechem, że udało mu się podczas wczorajszej uczy załatwić dla inżyniera Wielanda Altdörfera, specjalisty w budowie okrętów, wymarzoną

przezeń długoterminową służbę na tyłach. Skromnie wykręcił się od wylewnych podziękowań przyjaciela.

Altdörfer w błogim poczuciu, że wprowadzie przez długi czas będzie zmuszony trzymać się z dala od frontu, ale w zamian za to zyskuje spokojną pracę tu, w Hamburgu, dla dobra Rzeszy i Führera, obiecał w podzięce za ten niezapomniany dzień wszelkie rewanżowe usługi.

Dörnberg bez ogródek przystąpił do rzeczy:

- Mam wprowadzie na pieńku z tym i owym, ale te sprawy załatwię sam. Natomiast... to jest zresztą dla mnie prawie bez znaczenia... ta mała ślicznotka, Ilza Helgert, certuje się niemożliwie.

- I ja mam się u niej za tobą wstawić - podsunął usłużnie Altdörfer, zadowolony, że się wykręci tak tanim kosztem.

Dörnberg odparł z irytacją:

- Obawiam się, że ta pani, udająca wcielenie cnoty, nie zechce milczeć na temat owej nocy.

Altdörfer podchwycił pewny siebie uśmiech doświadczonego uwodziciela.

- Czy znasz kobietę, która pisnęłaby choć słówkiem o miłośnej nocy? Za to większość mężczyzn zachowuje się odwrotnie - tu spojrział porozumiewawczo na Dörnberga.

Oficer artylerii przeciwlotniczej potrząsnął głową.

- Jeśli chcesz dokładnie wiedzieć: z tymi, z którymi mam na pieńku, muszę się policzyć do końca. A Helgerta, niezależnie od jego przyjaciela, serdecznie nie cierpię. Dlatego też sprawiło mi nie byle jaką przyjemność jego wielce szanowną, w urzędzie stanu cywilnego i przed Bogiem poślubioną małżonkę... A teraz ona mogłaby się niepotrzebnie wygadać. Rozumiesz wreszcie?

Altdörfer zrozumiał. Niejasna wydawała mu się tylko jego własna rola w tej sprawie. Czy miał przebłagać Ilzę Helgert? Czy też zaproponować jej coś w zamian za milczenie?

Dörnberg badał grunt. Czy byłoby możliwe, w razie gdyby sytuacja stała się niebezpieczna, skorzystać z interwencji jego brata, adiutanta pułku i adwokata? Wpłynąłby on w odpowiednim momencie na zmianę kursu albo podłożył kontrminy; oczywiście w odniesieniu do szanownego małżonka Ilzy Helgert.

Wieland Altdörfer pomyślał o przedłużonej służbie na tyłach i oświadczył, że można bez zastrzeżeń na nim polegać. Zapewnił też po półgodzinnej sugestywnej rozmowie, jakoby Ilza Helgert, jego zdaniem w jednoznaczny sposób, kokietowała porucznika artylerii przeciwlotniczej.

Dörnberg zapytał jeszcze na marginesie, czy Piotr Cornelius mógł poczynić podobne obserwacje.

Kiedy Altdörfer chwycił za słuchawkę i zaczął nakręcać numer, porucznik dodał jeszcze mimochodem, że nic chyba nie stałoby na przeszkodzie, by obaj w razie potrzeby powtórzyli te uwagi jako świadkowie.

Piotr Cornelius również przypomniał sobie powyższe fakty. Wprawdzie nieco bardziej mgliście, ponieważ nie był pewien, jakich korzyści może się spodziewać z tej całej historii. Zaliczał jednak pewne żołnierskie powiedzonko do swoich żelaznych zasad: „Korzystajcie z wojny, bo pokój będzie straszny” i spodziewał się po Dörnbergu odpowiedniego rewanzu.

A to było dla niego decydujące.

Rozdział 6

Od paru dni parcie wojsk radzieckich na zachód jakby nieco osłabło.

Atmosfera była spokojna. Zapadał zmierzch.

Helgert poszedł na stanowisko ogniowe, ponieważ podporucznik Gengenbach skarżył się, że mimo wzorowej pracy celowniczych, wypożyczone działa nie strzelają jak należy. Setki tysięcy granatów poszło z tego powodu na marne. Wkrótce nie będzie można w ogóle brać za to odpowiedzialności.

Gengenbach był w załodze 6 baterii już kapralem, kiedy w pobliżu Pirmassens rozpoczynała ona kampanię francuską. W Metz po trzech miesiącach awansował na plutonowego i - zgodnie ze swymi kwalifikacjami - został wysłany na kurs dla oficerów rezerwy. Podczas gdy jego dywizja została niespodziewanie przeniesiona na Górny Śląsk i uzupełniona do stanu bojowego, on przedzierał się dniem i nocą przez obszerny materiał, żeby połączyć się w porę z macierzystym pułkiem. Wrócił z głową pełną zasad taktycznych, przepisów służbowych i pedagogiki wojskowej, kiedy akcja „Barbarossa” przyjęła konkretne formy również i dla 6 baterii. Do przedmiotów nauczania należał także Clausewitz - kierowanie natarciem z marszu oraz zasady działań obronnych z wycofywaniem. Uzupełnienie tych wiadomości stanowiła bezbłędna znajomość budowy maski gazowej, kaemu 34 oraz

umiejętność zachowania się w każdej sytuacji z pruską nienagannością, poczawszy od jedzenia szparagów, na całowaniu rąbek paniom skończywszy. Nauczył się też na pamięć wielu niemieckich wierszy, ale przede wszystkim życiorysów Horsta Wessela i wybitnych osobistości związanych z pierwszą wojną światową, jak: hrabia Spee, Weddigen, Kolet, Ludendorff. Naczelna dewiza, jaką im wpojono na drogę, brzmiała: W polu niezwyciężony!

Gengenbach nauczył się tam zarówno obsługi zamka, jak i zachowania się w męskiej toalecie w warunkach wojennych. Znał hasła poszczególnych zjazdów partyjnych skomplikowany skład sztabu operacyjnego armii. Znał się na strzelaniu i wiedział, że mężczyzna nawet w wieku techniki powinien umieć jeździć konno, ponieważ najwyższe szczęście świata można znaleźć jedynie na grzbiecie konia.

Wraz z nim z tego samego kursu wrócili do oddziału świeżo upieczeni podporucznicy Billerbeck i Sagasser. Billerbeck został zmiażdżony przez ciężką lawetę działa samobieżnego na dziesięć dni przed zakończeniem koncentracji wojsk nad Sanem. Sagasser poległ 22 czerwca 1941 roku o godzinie 3.19 - a więc w trzy minuty po rozpoczęciu kampanii, ponieważ jakaś eskadra Do 17, najwyraźniej przez pomyłkę, potraktowała stanowisko ogniowe Sagassera bombami i bronią pokładową.

Od tej pory Gengenbach został oficerem ogniowym, a jego zadanie polegało na liczeniu granatów, które z mniej lub bardziej wymiernymi skutkami wystrzelił z powierzonych mu lekkich haubic 18. Teraz znał sumę wysiłku potrzebną do utrzymania w nieustannej gotowości ogniowej czterech dział.

Helgert był zadowolony z Gengenbacha, zarówno w ciągu dotychczasowych dwunastu miesięcy na wschodzie, jak i tego wieczora.

Podporucznik wyczarował z worka z brudną bielizną butelkę wielkiego napoleona i napełnił po brzegi dwie solidne szklanki po musztardzie.

Helgert sączył trunek ze znanstwem,

- Wreszcie naprawdę porządny koniak. Ta cholerna przydziałowa wódka zupełnie wypacza człowiekowi podniebienie.

Kiedy Gengenbach nogą odsuwał worek z bielizną, wypadł z niego plik map. Podniósł poskładane arkusiki z ziemi.

- Jeden do trzystu tysięcy - stwierdził lakonicznie i starannie złożył razem trzy mapy: Orzeł, Kursk, Charków. Wyraźna linia o kształcie odwróconego S. Bez jakiegokolwiek przerwy ciągnął się, podobny do przepołowionej elipsy, wielki łuk wokół Orła. Od Małoarchangielska linia szła niemal prosto na zachód, przez jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów. Było to najgłębsze wdarcie się w środkowy odcinek frontu, jakie osiągnęła radziecka ofensywa zimowa. Dalej następowały znaki zapytania i parę czerwono podkreślonych nazw miejscowości: Siewsk, Ryłsk, Stamy, Boiroimla. Licząca okrągłe dwa tysiące kilometrów linia powietrzna biegła na południowy-wschód.

I wreszcie główna linia frontu wysuwała się o jakieś sto dwaście kilometrów na wschód aż do Biełgorodu.

Helgert zapalił papierosa.

- Ładny klops, nie ma co! - w jego oczach tliła się nieufność.
- Ale chyba nie wszystko pan wynotował z wojskowego komunikatu?

- Z tych krótkofalówek nigdy nie można wszystkiego wyłapać...

- A gdyby tak teraz ruszyć od Małoarchangielska na południe w stronę Kurska i od Biełgorodu wzdłuż linii kolejowej na północ? Powstałby kocioł o powierzchni około trzydziestu kilometrów kwadratowych! I znalazłyby się w nim same doborowe oddziały szturmowe Czerwonych!

- Gdyby dały się otoczyć.

Porucznik powstrzymał się od wyrażenia pewnej uwagi. Obraz sytuacji uwidoczony na mapie był druzgoczący w swej jednoznaczności.

- Zresztą Rosjanie mogliby wpaść na podobną koncepcję i podjąć próbę wyrównania łuku orłowskiego. Według mnie wchodziłoby tu w grę też blisko trzydzieści tysięcy kilometrów - stwierdził Gengenbach.

Helgert odsunął trochę od siebie mapy i spojrzął na zegarek.

- Wrócę teraz na górę i wypiję jedną wódkę z Senflebenem i chłopcami z punktu obserwacyjnego. Dziś są urodziny Senflebena.

Bez pożegnania opuścił bunkier. Myślni był wciąż jeszcze przy oznaczeniach na mapie, o których Wielkoniemiecki Komunikat Wojskowy nie podał jeszcze prawie nic konkretnego.

Podoficer sanitarny Heizer udał się w swoich obszernych buciorach na punkt obserwacyjnych, żeby sprawdzić, czy lekarze doprowadzili do porządku ramię starszego szeregowca Bauma, który dziś właśnie wrócił. Czuł poza tym wyraźną potrzebę rozmowy z Baumem. Ten obdarzony zmysłem krytycznym architekt miał znacznie zdrowsze poglądy niż większość kolegów.

Długi Senfleben, majster stolarski z Degerloch na wschodnim krańcu Stuttgartu, miał wprawdzie wczoraj urodziny, ale ze względu na pewne braki w zaopatrzeniu przeniósł poczęstunek na następny dzień. Szef kompanii zrezygnował nawet, przy tej uroczystej okazji, ze swego przydziału wódki na rzecz plutonowego. Senfleben uśmiechał się. Od żołnierzy z taborów pożyczył staroświecki gramofon i worek pełen równie starych płyt. Były to zapewne „dary z ojczyzny dla naszych dzielnych wojaków na wschodzie”. Senfleben nie był zresztą wybredny. Grunt, żeby pudło grało.

Eberhard zakręcił piszczącą korbką. Uroczystość można już było zaczynać.

Senfleben sięgnął językiem do czubka nosa, była to sztuka, którą rzadko kto potrafił naśladować. Trzy pełne manierki odpowiadały butelce pięćdziesięcioprocentowej nalewki na malinach. To się dobrze piło i pomagało zapomnieć o wielu rzeczach. Nawet o czekającym ich wkrótce okresie grząskiego błota i o nieomylności Führera.

Nagle rozległo się ciche skrzypienie. Płyta obracała się chybotliwie. Po czym zabrzmiały pierwsze dźwięki, zduszone, jakby wychodziły z grobu. Była to chyba jakaś dawna pieśń kościelna. Ni stąd, ni zowąd płyta zaskrzeczała przeraźliwie. Senfleben wybuchnął gromkim śmiechem, uderzając się rękami po udach; zawtórowali mu starszy szeregowiec Bürger i telefoniści, a potem, chcąc nie chcąc, zaraził się od nich i Baum.

Twarz Heizera pozostała jednak niechętna, zamknięta w sobie. Był niespokojny, jakby usiłował stłumić ogarniające go przygnębienie.

Do izby wszedł dowódca oddziału telefonistów. Senfleben powitał go hałaśliwie, uściskał, wręczył mu manierkę i splunął trzy razy z racji świeżo otrzymanej przez kaprała srebrnej odznaki za rany.

- Skręć kark, stary wojaku!

Eberhard Baum zauważył zmianę na twarzy sanitariusza. Podał mu paczkę papierosów i zapalniczkę. Potem obaj wyszli przed wejście do bunkra. Palili w milczeniu.

Z wnętrza dochodziły dźwięki muzyki.

- Żeby coś tak beznadziejnie smutnego przysyłać na front! - dobiegł ich głos Senflebena.

Baum czuł, że Heizer miałby ochotę pogadać od serca. Sanitariusz patrzył przez chwilę z zadumą w przestrzeń, po czym odezwał się:

- Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do domu na urlop, mój ojciec był umierający. Mam go jeszcze w oczach: bladą, wychudłą twarz, ostro zarysowane kości policzkowe, dziwnie zatarte kontury ust. „Hannes, zapytał, znasz to?” i ledwie dosłyszalnie zanucił właśnie tę melodię - Heizer wskazał głową bunkier. Papieros Bauma z sykiem zgasł w błocie. - Potem stary powiedział: „Ta melodia jest przeznaczeniem naszego rodu. Kto ją usłyszy, ten musi umrzeć. Nie można się od tego wykręcić”.

- Nigdy nie słyszałem tej pieśni. Czy to utwór religijny?

Heizer odpowiedział jakby niechętnie:

- Tekst napisał Simon Dach. A muzykę skomponował Johann Krüger pod koniec wojny trzydziestoletniej. Widzisz, bracie - Heizer wytarł głośno nos - człowiek jest niby materialistą, ale wystarczy, że mu taka melodia wejdzie w drogę, a przychodzą mu do głowy różne głupstwa.

Eberhard Baum nastawił uszu. Materialista, materializm, dialektyczny i historyczny materializm? Rudi Bender opowiadał kiedyś o tym i jemu, Eberhardowi, wydało się to czymś w rodzaju patentowego rozwiązania wszelkich problemów nękających ludzkość. Zapytał ostrożnie:

- Co to właściwie znaczy: materialista?

- Czy naprawdę cię to interesuje? - odparł Heizer pytaniem, nieuprzejmie jak zwykle.

Baum skinął głową,

- Jest to pogląd na świat, który usiłuje przeciwstawić się wierze w życie pozaziemskie, w najwyższą istotę kierującą ludzkimi losami.

- W takim razie ty jesteś czymś w rodzaju marksisty?

Chwilę trwało milczenie. Po czym zabrzmiał z ciemności niezmienny głos podoficera sanitarnego:

- Jeśli chcesz dokładnie wiedzieć... to od trzydziestego drugiego jestem socjaldemokratą. Marksizm w pewnych punktach już prześcignąłem. Mój pogląd na najistotniejsze sprawy jest, że tak powiem, na wyższym stopniu rozwoju.

- To by znaczyło, że doszedłeś do bardziej doniosłych wniosków niż Marks, Engels i współcześni towarzysze z tego tak nam już dobrze znanego zimnego kraju?

Bauma bawiła ta myśl, chociaż sens ogólnikowych twierdzeń Heizera bynajmniej nie był dla niego jasny.

Nauczyciel ludowy z Burgenlandu mówił teraz z miną pełną wyższości:

- Osobistości takie jak Lassalle, Kautsky i Ruth Fischer mają w moim pojęciu zupełnie inny format niż Lenin, Stalin czy ten wasz Ernst Thälmann.

- Wiesz co, stary, ja na temat twoich ideologicznych wywodów nie mogę w ogóle zabierać głosu, ponieważ nie znam żadnego z wymienionych przez ciebie autorytetów, nie wyłączając Lassalle'a. Jednak komunistyczni przywódcy muszą mieć trochę więcej w głowie niż twoja pani Fischer czy pan Kautsky, bo ich bojowi uczniowie już od paru miesięcy pędzą nas przed sobą jak stado baranów. Ci są najwyraźniej wysokiego mniemania o przywódcach robotniczych i z narażeniem życia bronią ich idei. Heizerowi nie w smak było takie przesunięcie wartości.

- To prawda, że Rosjanie w lutym i marcu przypuścili na środkowym odcinku parę ataków. Nacierali także na froncie małowarchangielskim. Wypadki z okręgu Kurska poprzez Lwów aż po Sejm posunęły ich na linię Nowosil-Briancewo-Siewsk-Rylsk. To...

- ...określa się jako północny brzeg łuku kurskiego, gdzie Rosjanie od trzeciej dekady marca zatrzymali się na popas! - uzupełnił Baum.

- I zdaje się, że to było ich ostatnie osiągnięcie, bo zarówno plan przedarcia się do Połtawy, jak próba odzyskania Donbasu spaliły na panewce.

- Przez twoje usta przemawia stary Goebbels. Brawo, gratuluję.

Heizer podał Eberhardowi Baumowi papierosa na zgodę.

- Nie możesz zaprzeczyć, że SS szesnastego marca powtórnie zdobyło Charków, a osiemnastego Biełgorod i...

- ...i od tej chwili można by z czystym sumieniem znowu zacząć fajrant. Tylko że południowy brzeg łuku kurskiego przybrał nieco inną formę.

- To jeszcze na pewno nie jest wszystko - zapalił się Heizer.

Baum zmierzył sanitariusza lekko drwiącym spojrzeniem.

- Powiedz no, czy w myśl twojej ideologii Czerwoni powinni ponosić klęski? Nasze efektowne, chociaż ostatnio coraz rzadsze narodowosocjalistyczne zwyczajstwa zaczynają mi się jakoś dziwnie podobać!

Zakończył te słowa, imitując triumfalnie akordy poprzedzające komunikat specjalny Radia Wielkoniemieckiego. Heizer próbował się wykręcić.

- Należy podchodzić do sprawy w sposób filozoficzny!

- Ale kto i do której? Tak wyglądają wasze wnioski - drwił Baum. - Czy my ruszymy z łuku orłowskiego na wschód, czy oni z występu kurskiego na zachód? To jest jedyne pytanie, jakie mi się tu nasuwa. Filozofia, jak wiadomo, wiąże się raczej z poznaniem świata. Dla mnie od trzydziestego dziewiątego roku istnieje jedynie filozofia kul i grobów masowych!

Usłyszeli zbliżające się kroki. Chód Helgerta można było poznać z daleka.

- Jak się macie, chłopcy! - Porucznik położył przyjacielowi dłoń na ramieniu. - Dusze sobie na tym mrozie przeziębicie, chodźcie do środka! I gołnijcie ze mną po jednym głębszym!

W bunkrze zapanował przez ten czas nader ożywiony nastrój.

Senfleben oświadczył, że mógłby wypić całą beczkę i potrafiłby stanąć na baczność nie gorzej niż cesarski strzelec. Ale dla dobra humoru wystarczy mu również jedna manierka, byle pełna.

Helgert postawił dwie butelki oryginalnego koniaku. -Niewiele jak na pięciu chłopca, ale z głębi serca - roześmiał się Senfleben, któremu język zaczynał się już trochę plątać.

Fritz Helgert wyjątkowo lubił tego plutonowego, który pełnił zawsze w baterii funkcję oficera i strzelał lepiej niż dziesięciu młodych podporuczników razem wziętych. Ten trwa na pozycji, chociaż nieprzyjaciel buszuje już za jego plecami i wciąż uparcie ostrzeliwuje poszczególne czołgi. W walce wręcz równie szybko toruje sobie drogę pistoletem maszynowym, jak krótką, oszlifowaną łopatą polową. Nie wykorzystuje swoich ludzi, ambitny na własny rachunek.

Od roku 1941 plutonowy Senfleben tkwił zawsze w pierwszej linii okopów jako obserwator. Dwa momenty w życiu zaliczał do swoich szczytowych osiągnięć, jedno miało charakter cywilny, drugie wojskowy. Pierwszym było otrzymanie dyplomu majstra stolarskiego, równo z ukończeniem dwudziestu pięciu lat. Zapowiedź drugiego stanowiło wezwanie go przez dowódcę pułku piechoty, do którego przez długi czas był przydzielony. Szedł z niespokojnym sumieniem, usiłując sobie przypomnieć, czy podczas wstrzeliwania jakiś odłamek mógł się zabłąkać i kogoś przestraszyć, czy też sam przypadkiem nazwał którego z młodych oficerów gówniarzem. Tymczasem nowy major, który na skutek fatalnych strat w ludziach dowodził pułkiem, wygłosił jakąś mocno drętwą mowę i ku jego zdumieniu przypiął mu do wyplamionej bluzy polowej Odznakę za Walkę Wręcz.

Nawet dla żołnierzy piechoty było to odznaczenie poprzedzające Krzyż Rycerski. Artylerzystę musiało ono wynieść na szczyty chwały, pasować na autentycznego bohatera. Dla Senflebena był to więc moment triumfu; właśnie drugi z rzędu, najpiękniejszy w dotychczasowym życiu, jak sam twierdził.

Potem major zapytał go życzliwie, podczas gdy panowie ze sztabu uśmiechali się stosownie do sytuacji, o czym w tej chwili myśli? Spodziewali się prawdziwie bohaterskiej odpowiedzi, którą można będzie zapisać na czołowym miejscu w wojennym dzienniku pułkowym.

Senfleben wahał się przez chwilę.

- Najlepiej byłoby... - wszyscy aż się pochylili, żeby dokładnie zrozumieć jego słowa - żeby ta cała zaszracona wojna się skończyła i żeby Hitler puścił nas do domu. No i... - zaciął się - teraz będę musiał wciąż pamiętać o tych biedakach, których wyprawiliem na tamten świat. Za to właśnie dostałem tę blaszkę.

Reakcja obecnych panów była różnaita. Jedni potrząsali głowami z wyrazem łagodnego pobłażania, inni marszczyli czoła w taki sposób, że można na nich było bez trudu odczytać słowo: „defetyzm”.

W każdym razie wynurzenia plutonowego nie zostały uwiecznione w dzienniku wojennym.

Kiedy Senfleben zaintonował pieśń ku czci patronki artylerzystów, z refrenem „Święta Barbaro, strzeż nas, strzeż”, Baum usiadł w kącie, żeby po raz drugi przeczytać list od Klaudii. Było w nim wiele pięknych rzeczy, dzięki którym ożywały wszystkie po kolei godziny razem spędzonych dni. Jednego mu tam tylko brakowało: Klaudia ani słowem nie wspomniała Rudolfa Bendera. Teraz śpiewano „Czerwony sarafain”, po którym - jak zwykle - nastąpi „Samotny dzwonek” i Senfleben będzie podejmował beznadziejne

próby przestawienia swego chrapliwego basu na wysoki, gardłowy tenor, pomyślał Baum.

Przysiadł się do niego Heizer z lekko drwiącą miną. Bauma to zirytowało. Spytał go cicho:

- Jeśli z ciebie taki wyższej klasy marksista, to co tu jeszcze robisz? Twoje miejsce jest właściwie po tamtej stronie.

Heizer spojrzał na niego bacznie.

- Racja - powiedział obojętnie i zamilkł wyczekująco.

Baum był zaskoczony. To stanowisko wydało mu się bliźniaczo podobne do stanowiska Bendersa.

- Jeśli się nie mylę, to w ciągu tego roku, który z nami przeżyłeś, nie wyszedłeś jeszcze poza to teoretyczne stwierdzenie?! - zapytał złośliwie.

Heizer spokojnie pozwalał się egzaminować.

- Dotychczas nie nadarzyła się odpowiednia okazja. Takie przejście musi się opłacić.

- A co, twoim zdaniem, byłoby opłacalne?

Heizer nie zastanawiał się ani chwili.

- Na przykład unieszkodliwienie jakiegoś fanatycznego wyższego oficera albo znajdującego się na rzemiośle wojennym dowódcy baterii czy coś w tym rodzaju. To mogłoby się już choć trochę przyczynić do szybszego zakończenia wojny. Wiesz, to się nazywa „terror indywidualny”.

Eberhard Baum najchętniej wyrzuciłby tego stoickiego nauczyciela wiejskiego razem z jego lewicową gadaniną przez zasłonięte drzwi bunkra. Siedział sztywno wyprostowany na stołku i rzucał krótkie spojrzenia na Helgerta. Czy Heizer jest taki odważny, czy też przejrzał mnie do tego stopnia, że czuje się zupełnie pewny? Gdybym więc w dogodnym momencie zastrzelił mego prostolinijnego przyjaciela młodości Fritza Helgerta i przeszedł do

Rosjan, byłby ze mnie równy chłop. Nie, to nie jest całkiem w porządku, jeśli ma się choć odrobinę poczucia honoru. Taki postępek równałby się po prostu ordynarnej zdradzie towarzysza broni.

Heizer obserwował rozterkę tamtego i czekał cierpliwie.

- A rodzina, bliscy? - szepnął Baum.

- Będą cię mieli może o parę dni później, ale za to na pewno zdrowego i całego - odparł sanitariusz.

- Naraziłoby ich to przecież na represje.

- Nie udawaj wciąż głupszego, niż jesteś - odparł Heizer spokojnie.

Baum bronił się.

- Nie, to nie dla mnie impreza. W kraju? Bardzo proszę. Tam można unieszkodliwiać działa, czołgi, amunicję, unieruchomić maszyny czy uprawiać antywojenną propagandę. Ale tu? Gdzie wszyscy jesteśmy kolegami, wszyscy! Szeregowi żołnierze i oficerowie!

Heizer uśmiechnął się z przekąsem.

- Koleżeństwo? Słuchaj, bracie, dlaczego raz na odmianę nie użyjesz głowy do myślenia? Czyż oficerowie nie są reprezentantami klasy panującej, przeznaczonymi do prowadzenia wojny po to, żeby przysporzyć tej klasie pieniędzy i korzyści? Pełniąc tu swoje funkcje, czy chcą, czy nie chcą, przyczyniają się do tego, żeby jedni mogli opływać w bogactwo, a inni, zarówno w kraju, jak na froncie, schodzili na psy.

Baum kiwnął głową z niedowierzaniem. Wskazał wzrokiem czytającego Helgerta i szepnął:

- To on byłby w takim razie kapitalistycznym pachółkiem?

Heizer skinął potakująco głową.

- Ale nie ma pojęcia o swoim szczęściu?

- Tak to niestety bywa!

Heizer zbierał się do odejścia.

- Więc jak twoim zdaniem można by rozwiązać ten problem?
Nauczyciel ludowy przybrał wyraz twarzy pełen wyższości.

- To jest nawet stosunkowo proste. Należy tylko zastąpić idealną dyktaturę klasyczną demokracją.

- Tej, tak zwanej demokracji, zaznaliśmy w okresie od dziewięćset osiemnastego do trzydziestego trzeciego. I cóż z tego wynikło? Same gorszące wybryki! - stwierdził Baum.

- Przyczyna tkwiła w tym, że kapitaliści przyznali robotnikom zbyt mało praw do współstanowienia. My to musimy wywalczyć. O nic więcej tu nie chodzi. A teraz zostaw mnie w spokoju!

Zapałił sobie niezręcznie papierosa i przyłączył się do reszty kolegów.

To, co ten trochę zbyt doktrynerski polityk opowiada, jest nawet całkiem interesujące, dumął Baum. Nie ulega jednak wątpliwości, że ja nie zdezerteruję, wbrew Benderowi i Heizerowi. Ale to nie wszystko. Znacznie bardziej niepokojąca jest sytuacja, w jaką wrobiłem Klaudię. Miejmy nadzieję, że Bander nie wciągnie jej w jakieś niebezpieczne historie. I tak nic pożytecznego by z tego nie wynikło.

Eberhard rozejrzał się po bunkrze. Helgert ze zrezygnowaną miną siedział nad ostatnim numerem ulubionego organu Goebbelsa „Das Reich” i czytał artykuł pióra ministra propagandy Rzeszy opatrzony mottem: „Najwyższy czas popędzić maruderów”

Nastrój uczujących zbliżał się wyraźnie do punktu kulminacyjnego.

- Słuchaj, Senfleben, ty złopiesz jak smok.

Kapral z oddziału radiotelegrafistów aż się otrząsał, podając plutonowemu swój kubek z mocną nalewką malinową.

Senfleben stał szeroko rozkraczony na uginających się kolanach. Chwiał się lekko. Niepewnym ruchem sięgnął po naczynie tak, że trochę trunku wylało się.

- Do diabła z tym gównem zasranym! - zaklął, wychylił całą zawartość jednym haustem i cisnął kubkiem o ścianę. - Słyszycie, panowie, do diabła z tym gównem! - Szklistym wzrokiem spojrzął na kaprala. - Czy pan mnie zrozumiał, mętny typie?

Radiotelegrafista uśmiechnął się tylko krzywo.

- Czy mnie pan rozumiał? - ryknął nagle Senfleben jak oszalały. Potem odwrócił się i machnął pogardliwie ręką. Chwytał pełną wódki manierkę, pociągnął solidny łyk i odetchnął głośno. - Wyście już zapomnieli, coście winni przełożonemu! - Na chwilę stracił równowagę, z trudem ją odzyskał. - Ale to i tak nie ma znaczenia! Zamknął oczy i znów przystawił manierkę do ust.

- Owszem, to właśnie ma znaczenie! - Opanowany głos porucznika był ostry jak brzytwa.

Helgert czuł wzbierającą w nim tępą wściekłość, którą tłumił z coraz większym trudem. Wredny Heizer z tą swoją terrorystyczną taktyką. A więc najpierw popełnić przestępstwo, a potem wiać! I to akurat wobec mnie! A ty, mój miły przyjacielu z lat młodości, nie łudź się! Tu już nie ma żartów. Gdyby oni wiedzieli, że słyszałem każde słowo ich rozmowy...

Bliskie odgłosy ciężkich pocisków przerwały tok jego myśli. Odruchowo nastawił uszu, po czym rzucił gazetę na aparat radio-wy i spojrzął na Senflebena.

Ten zaś, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na słowa dowódcy baterii, napełnił sobie znowu kubek alkoholem.

- Na zdarowje!

Helgertowi żyły nabrzmiały na skroniach. Zerwał się jak oparzony.

- Obserwator natychmiast na stanowisko!

Senfleben zachwiał się jak rażony gromem.

Sens tego rozkazu z punktu wszystkich otrzeźwił. Patrzyli na siebie oniemiałi.

Już ja was oduczę tego urodzinowego romantyzmu na froncie, myślał porucznik. Usiadł z powrotem na skrzypiącym stołku i wziął do ręki gazetę. Miałeś pecha, Senfleben. To wcale nie o ciebie chodziło. Ale rozkaz wydałem i nie mogę go już cofnąć. To byłby koniec mojego autorytetu. Wyśpij się tam, na linii, opoju. Jutro już wszyscy zapomną o tym, co się tu dzisiaj działo. Szkoda tylko, żeś lepiej nie zalał za skórę temu radiotelegrafiście. Choć co mi właściwie zawinili ci kretyńscy kaprale?

Gdzieś blisko uderzyła seria pocisków lekkiego kalibru, napełniając noc głuchym dudnieniem.

Radiotelegrafista pomógł Senflebenowi włożyć płaszcz i przewiesił mu przez ramię pistolet maszynowy.

Plutonowy dyszał, twarz jego była bez wyrazu.

Porucznik nie podniósł w ogóle wzroku.

- Plutonowy Senfleben melduje się... odmeldowuje się.

- Idź tylko wzdłuż rowów - szepnęła kapral.

Senfleben odepchnął starszego szeregowca Bürgera, który chciał mu towarzyszyć, wsunął sobie zero osiem za cholewę, zataczając się, podszedł do drzwi i zatrzasnął je za sobą.

To jest przecież zupełnie nieodpowiedzialne, myślał Baum. Senfleben zacznie teraz błądzić w ciemnościach i zajdzie Bóg wie gdzie, a w każdym razie nie na swoje stanowisko. Co prawda twarda z niego sztuka, ale Helgerta absolutnie nie rozumiem. Fritz nie był przecież nigdy bezdusznym formalista. Tylko dlatego, że chłopina z okazji własnych urodzin zalał sobie trochę pałę, tak mu popsuć zabawę! To musiał być jakiś kaprys dowódcy. Diabli wiedzą, co go mogło tak rozsierdzić.

Z daleka słychać było wybuchające z hukiem jeden po drugim liczne pociski artyleryjskie; zbliżały się coraz bardziej niby huragan. Po chwili na całym odcinku jakby się piekło rozszalało. Noc buchała płomieniami. Granaty, broń maszynowa, miny, krzyki,

ogień karabinowy, ręczne granaty, rakiety sygnalizacyjne. Wszyscy jak jeden mąż wskoczyli do krótkiego rowu obserwacyjnego.

Helgert uruchomił natychmiast ogień zaporowy „Berta VI”, w parę minut później rozległy się za nimi głucho wystrzały własnej artylerii. Potem porucznik usiłował połączyć się z przyczółkiem obserwacyjnym, z dowódcą batalionu, ze stanowiskiem dowodzenia oddziału i z obiema sąsiednimi bateriami. Powoli obraz sytuacji stawał się jasny. Rosjanie najwyraźniej nawiązywali styczność z jakąś silną grupą uderzeniową w zasięgu 7 kompanii. Ogień czerwonych baterii sunął teraz naprzód, kierował się na punkty obserwacyjne i stanowisko ogniowe. Lekkie moździerze ostrzeliwały nieprzerwanie przedni skraj obrony. Nagle, jakoś dziwnie prędko, strzały po tamtej stronie umilkły. Starszy szeregowiec Baum, zapatrzony w mroczną noc, zaczął intensywnie nasłuchiwać. Teraz i Heizer to usłyszał. Gdzieś daleko krzyczał jakiś głos:

- Jestem ślepy! Ratunku!!! Jestem ślepy!

Heizer nie wahał się ani chwili.

- Chodź, idziemy tam!

Obaj wyskoczyli z rowu. Musiało to być gdzieś w bok od pierwszej linii posterunków. Wysoko w górze zadrżało żółtawe światło rakiet sygnalizacyjnych. Migotliwy blask niesamowicie powiększał dwie postacie przemykające się między rowami. Gwałtowny ogień karabinów maszynowych przygwoździł je do ziemi. Po chwili rakiety zgasły, a oni brnęli dalej wśród ciemności.

I znów usłyszeli rozpaczliwy krzyk, pełen nieprzytomnego bólu.

- Oślepiłem! Ratujcie mnie! Musicie...

Potem głos nagle ucichł wśród wściekłego hałasu walki. Baum chwycił Heizera za pas.

- Może mi się zdawało, ale ty chyba mówiłeś, że koleżeństwo nie istnieje?

Heizer trzepnął kolegę po ręce.

- Senfleben należy do nas. Niezły był z niego chłop. Po wojnie bardzo by się nam przydał.

- Myślisz, że go trafili? - Baum aż zadrżał na tę myśl.

- Ja nic nie myślę - burknął Heizer ze złością.

Front znów się ożywił. Rozległo się poszczekiwanie moździerzy przy akompaniamencie pistoletów maszynowych. Baum i Heizer wrócili do swego rowu. Szukanie na chybił trafił nie miało sensu.

Baum nie dawał jednak za wygraną.

- A ty byś go załatała, żeby mógł dalej strzelać do Czerwonych?

Heizer przyciągnął pasa.

- Przestańże wreszcie zadawać te beznadziejnie głupie pytania.

- Powiedz no, ty konsekwentny materialisto, gdyby Senflebenowi coś się stało, czy winę za to przypisałbyś gramofonowi czy przesądowi twego ojca?

Baum czuł, że mu się wszystko aż skręca w środku i że zwykły strach każe mu szukać zaczepki.

Sanitariusz spojrzął na niego zaskoczony, ale szybko odzyskał zimną krew.

- Gramofon czy przesąd? Ależ z ciebie osioł! Tu działa prawo natury, panie architekcie. A mianowicie wojna. Wojny będą istniały, póki istnieje ludzkość. Jeśli sytuacja historyczna dojrzeje do wojny, nikt jej nie powstrzyma. Po osiemset siedemdziesiątym nastąpił dziewięćset czternasty, a w trzydziestym dziewiątym nie mogliby jej zapobiec ani Rosjanie, ani Anglicy, ani Francuzi.

- Dotychczas zawsze myślałem, że sprawcami wojen są ludzie. Jeden kraj miał o coś pretensję do drugiego. Na przykład:

sześćset lat temu Niemcy ruszyli na wschód, ponieważ chcieli sobie zdobyć więcej ziemi. Warto zwrócić uwagę na dziwną analogię do naszego obecnego przedsięwzięcia. Hiszpanie nie tylko zrabowali skarby Inków i Azteków oraz wyniszczyli przy pomocy sztyletu i karabinu wszystko, co im stanęło na drodze, ale w charakterze ekwiwalentu wprowadzili do zdobytego kraju katolickiego Boga. Przypomnij sobie Pizarra. Sprytny to był ptaszek. Nie, nie, mój drogi, mistrzu-ideologu! Zapewniam cię: tylko ludzie mogą czuć nad tym, żeby nie było więcej wojen. Jak to było w Chinach? „The germans to the front!” - po czym wszyscy fotografowali się, trzymając za warkocz odrąbaną głowę. Albo wielcy poprzednicy Adolfa, Anglicy, którzy w połowie ubiegłego stulecia przywiązywali Hindusów do armat, jednego po drugim. Niezrównani ludzie, ci kolonialisci! Wszędzie by tylko zarabiali. Wydaje mi się, że zawsze u źródła każdej wojny była chęć zysku.

Heizer potrząsała głową z wyższością doświadczonego polityka.

- Będziemy musieli podyskutować na ten temat.

Po czym bez pożegnania ruszył na stanowisko ogniowe. Pochłonęła go niespokojna noc.

Starszy szeregowiec Bürger siedział w sąsiednim rowie na posterunku obserwacyjnym. Baum mógł więc wracać do bunkra.

Radiotelegrafista nacisnął płaszcz na głowę i chrapał donośnie. Porucznik Helgert wciąż jeszcze przeglądał „Das Reich” i zdawał się na coś czekać.

Eberhard Baum zdjął kurtkę. Helgert natychmiast złożył gazetę. Jego spojrzenie było niewątpliwym wyzwaniem. Baum usiadł obok niego i wypił podsuniętą wódkę.

- Ten Fryderyk Wielki to był nie lada spryciarz - zaczął Helgert niby niewinnie. - Nie pamiętam, w którym z jego parków

na dwóch krańcach owalnego placyku stoją dwie ławki. Siedząc na jednej z nich, można usłyszeć każde, nawet szeptem wypowiedziane słowo przez osoby siedzące na drugiej. Stary Fritz widocznie zajmował się nie tylko wojną siedmioletnią.

Eberhard Baum nie miał pojęcia, o co przyjacielowi chodzi. Powiedział z lekkim rozdrażnieniem:

- Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Żeby jeszcze więcej robiono szumu niż teraz wokół osoby Fredericusa Rexa i jego rzekomego bohaterstwa, ja go będę zawsze uważał za nieliczącego się z życiem ludzkim okrutnika. Czytałeś może „Legendę o Leasingu” Mehringa? Chociaż dla oficerów w służbie czynnej jest to pewnie lektura zakazana!

- Ani mnie to ziębi, ani grzeje - nawiązał Helgert do pierwszych słów Bauma, pomijając całą resztę. - Żeby ci ułatwić zrozumienie ukrytego sensu mojej opowieści, zdradzę ci pewien sekret: nasz bunkier też jest jakoś dziwnie zbudowany. I dzięki temu ja w pewnej mierze uczestniczyłem w waszej niedawnej rozmowie.

Starszy szeregowiec Baum zmartwił z przerażenia. Helgert patrzył na niego zimnym wzrokiem,

- Muszę ci coś powiedzieć, Eberhardzie. Znamy się już dość długo i uważam cię za mego przyjaciela. Ale jeśli ten zbuntowany szaleniec Heizer uważa, że należy popełnić jakiś „opłaczny czyn”, to mógłby przecież bez ogródek zażądać od ciebie, abys mnie przy pierwszej nadarżającej się okazji...

- Przestań, Fritz! - krzyknął Eberhard gwałtownie.

Helgert położył palec na ustach i wskazał na kaprala, który mrużąc coś, obrócił się na drugi bok, trzymał przy tym kurczowo płaszcz naciągnięty na głowę i spał dalej z obnażonym siedzeniem wypiętym na dwie dopalające się świece. Baum powiedział cicho:

- W takim razie musiałeś i to usłyszeć, że ja nie podzielałem tego stanowiska.

Helgert machnął ręką z wyrazem rezygnacji.

- Może kiedyś ten posiew wyda owoce. Chociaż nie bardzo w to wierzę, ponieważ uważam Heizera za teoretyka i pyskacza. Zresztą, już od dłuższego czasu nie spuszcza z niego ojcowskiego oka - zakończył ze złośliwym uśmiechem.

Eberhard Baum poczuł nagle zapach własnego potu. Przesunął palcem między kołnierzykiem i szyją. Kiedy chciał coś powiedzieć, Helgert brutalnie nie dopuścił go do słowa. - Słuchaj, Eberhardzie! My pozostaniemy przyjaciółmi, chociaż w sprawach politycznych nasze stanowiska są krańcowo różne. Chciałbym ci jednak właśnie dziś wyłożyć moje poglądy: jestem oficerem i uważam ten zawód za swoje powołanie, a nie tylko za źródło niezłego dochodu. Wierzę w posłannictwo narodu niemieckiego i w jego narodowosocjalistycznych przywódców. Wierzę w to równie niezachwianie jak w Boga na niebie. Uważam ofiary, jakie my i inni - również Rosjanie - musimy ponieść, za historyczną konieczność, bo tylko dzięki nim może zostać zrealizowane nasze wielkie zamierzenie zdobycia przestrzeni życiowej i terenu do działania dla naszego państwa. Tej idei będę zawsze bezwzględnie wierny. Jej obrona to sprawa honoru mojego i mojej rodziny. Uważam ją za najwyższe dobro, jakie posiadam. Wszystko się w niej zawiera. Między innymi i to, że wymagam od moich podwładnych postępowania w jej duchu!

W pierwszej chwili Baum nie wiedział, co na to odpowiedzieć, również i dlatego, że się po prostu bał. Wiedział, że Helgert jest fanatycznym idealistą. Nie mógł jednak przyznać mu racji, podobnie jak przedtem Heizerowi w jego terrorystycznych zapędach.

Helgerta najwyraźniej jeszcze coś gnębiło. - Wszyscy w ojczyźnie patrzą na nas z pełnym zaufaniem. Godzą się na największe wyrzeczenia, harują dniami i nocami, żeby wiernością odplacić się za wierność! - Umilkł na chwilę. - Pomyśl o swojej Klaudii albo, jeśli wolisz, o mojej żonie. Oczywiście i tam znajdzie się paru wariatów, którzy sypią piasek między tryby... Eberhard przypomniał sobie Bendera. Zagryzł wargi.

- ...rozrzucają rano ulotki w tramwajach; transporty broni kierują nie tam, gdzie trzeba; w fabrykach przepuszczają odpadki przez punkty kontrolne; wieczorem z głową pod kołdrą słuchają Big Bena albo dzwonów z Kremla i Międzynarodówki. I aż dygoczą z radości, kiedy ochryple głosy wrzeszczą: „Śmierć niemieckim faszystom!” A to przecież i o nas chodzi, czy ty tego nie rozumiesz? Słuchaj, Eberhardzie, muszę ci jedno powiedzieć - jego oczy były lodowate, nieprzyjazne - nie pozwolę, żeby ktokolwiek, nie wyłączając ciebie, dopuszczał się ma moim podwórku zdrady czy innych tego rodzaju świństw!

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł z bunkra.

Starszy szeregowiec Eberhard Baum doznawał mieszanych uczuć: wstydu, rozczarowania, głuchego oburzenia. Słowa Helgerta wydały mu się nagle zwykłymi frazesami stanowiącymi pokrywkę jego egoizmu. Poza tym dzisiejszy incydent z Senflebenem dowiódł, że porucznik jest zdolny nawet do brutalnych posunięć.

Baum zerwał się i ruszył za Helgertem. Noc była czarna jak atrament. Dowódca baterii stał oparty plecami o ścianę bunkra. Tłący się punkcik jego papierosa zwrócił się w stronę Bauma. Stali chwilę naprzeciw siebie.

- Dlaczego posłałeś Senflebena w tym stanie na pozycję?

Pytanie było tak agresywne, że wykluczało wszelkie uwagi o różnicy, rangi i kompetencji.

Helgert z trudem się opanował. Dręczące poczucie winy przesłoniło nagle poprzednie wydarzenie. Usiłował więc znaleźć rzeczowe usprawiedliwienie.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że po ostatniej zimie postawa moralna oddziału nie jest zadowalająca. Ludzie sarkają. Nie mają ani krzty wiary w siebie. W takiej sytuacji pomoc może tylko mocna ręka i konsekwentna dyscyplina!

- Uważasz może, że Senflebenowi brak wiary w siebie? Czyżby nagle przestał przy każdej okazji nadstawiać karku? Radzę ci, nie ośmieszaj się! - Helgert wybuchnął.

- Słuchaj, Eberhardzie, muszę ci coś powiedzieć...

- Nie potrzebujesz mi nic mówić. Po raz pierwszy zawiodłem się na tobie!

- Pamiętaj, że ja ponoszę odpowiedzialność za całą baterię!

- A więc także za Senflebena! I za własne decyzje!

Helgert machnął ręką.

- To już pozostaw łaskawie mnie. Najlepiej będzie, jeśli jutro o tym jeszcze pogadamy. Może wtedy to i owo ukaże nam się w innym świetle.

O świcie znaleziono plutonowego Senflebena - z dziurą w hełmie. Od prawej skroni ku miejscu, gdzie przedtem znajdowały się jego chytre szare oczy, ciągnął się szeroki, ciemnoczerwony ślad zakrzepłej krwi. Usta były otwarte jak do krzyku. W piersi tkwiły co najmniej trzy kule. Jedna z nich pogięta fatalnie odznakę za Walkę Wręcz.

Plutonowy Senfleben, spełniając rozkaz dowódcy baterii, kompletnie pijany szedł wzdłuż rowu na pozycję obserwatora i leżał o sto kroków od celu, na pół przysypany ziemią.

Rozdział 7

Klaudia Sanden spojrzała na zegarek. Miała jeszcze dziesięć minut czasu. O czwartej umówiła się z Rudim Benderem u wejścia do tunelu nad Szprewą. Przechadzała się po bulwarze wiodącym do przystani dla statków parowych i motorówek z miną dziewczyny czekającej na swego chłopca.

Wszystkie jej myśli biegły w tym samym kierunku. Wciąż nie mogła zrozumieć, jakim cudem zdołała cokolwiek zdziałać w ciągu ostatnich dni. Tydzień minął od momentu, kiedy Dörnberg opuścił jej mieszkanie z uśmiechem wyrażającym bardzo konkretną pogroźkę.

Zerwanie z Eberhardem Baumem i poślubienie Kurta Dörnberga - takie żądania stawiał owego wieczoru, a nie zmieniłby ich i teraz.

Klaudia, mimo swoich kłopotów, przed rozpoczęciem pracy rozprowadziła po swoim dziale pozostałe ulotki wzywające do obalenia Hitlera. Przychodziły jej do głowy coraz to nowe pomysły podrzucania ich w sposób skuteczny, a jednak dyskretny. Potem stanęła przed swoim rajsbretem i zabrała się do wykonywania rysunku przedstawiającego jakąś zmianę w konstrukcji kół obrotowych nowego modelu czołgu. Dopiero po paru godzinach udało jej się skupić nad robotą.

Potem usiłowała skontaktować się z Rudolfem Benderem, żeby mu opowiedzieć o sytuacji, w jakiej się znalazła. Okazało się

jednak, że Bender został wysłany z transportem produkcji Zakładów Zbrojeniowych do Generalnej Guberni i spodziewano się go następnego dnia.

Eberhard zostawił jej adres mieszkania Bendera. Zastała w nim matkę Rudolfa, której oświadczyła, że musi koniecznie zobaczyć się z kimś z jego przyjaciół. Ze sprawa jest ważna i niezmiernie pilna. Staruszka traktowała Klaudię bardzo uprzejmie, ale rozmawiała z tak naiwną prostotą, jakby naprawdę o niczym nie miała pojęcia. Dziewczyna powiedziała więc, że jej interes dotyczy Eberharda Bauma i wyszła.

Klaudia bała się samotnego siedzenia w domu. Za każdym razem, kiedy ktoś wchodził po schodach na trzecie piętro, spodziewała się gestapo. Prześladowało ją wspomnienie uśmiechu Dörnberga. Ale nic się jakoś nie działo.

Dzwon na wieży kościelnej uderzył cztery razy.

Klaudia zobaczyła zbliżający się patrol wojskowy z blaszany odznakami straży i opaskami na ramieniu, a o parę kroków przed nim Rudolfa Bendera. Podeszedł do niej swobodnie, przywitał się z uśmiechem i objął poufale. Kiedy po wielu stopniach wyszli z drugiej strony tunelu, Rudi ruszył nabrażem w kierunku restauracji „Rübezahl”.

Po chwili obejrzał się ostrożnie. Patrołu już za nimi nie było. Wtedy dopiero zdjął rękę z jej ramienia.

- Bardzo panią przepraszam, ale czasami... - Zaśmiał się z przymusem, usiłując uwolnić się od przykrego uczucia nieufności.
- Dlaczegoż to pani chciała się tak koniecznie ze mną zobaczyć? - spytał tonem dobrego tatusia.

Opowiedziała mu o wszystkim. Również i o więzach osobistych, jakie łączyły ją niegdyś z Dörnbergiem, a także o tym, że aktualnie i na przyszłość decydująca rola w jej życiu przypadła Eberhardowi Baumowi.

Bender spoważniał.

- Czy popełniłam błąd, że mimo to resztę ulotek... - spytała Klaudia niepewnie.

W ciągu ostatnich dni pojawiły się ich tysiące na terenie rozmaitych fabryk. Czyż bytoby możliwe ustalić wszystkie osoby, które je rozprowadzały? - Jego następne pytanie zabrzmiało ostro.

- Czy pani sądzi, że Dörnberg byłby zdolny zanieść tę kartkę na gestapo? Klaudia Sanden kiwnęła głowę ledwo dostrzegalnie.

- Jeśli spodziewa się po tym jakichkolwiek dla siebie korzyści, zrobi to bez skrupołów. Może liczy na nagrodę za swoje odkrycie.

Bender machnął ręką lekceważąco.

- Za ulotkę nie dostanie chyba nawet napiwku. Pani sobie nie wyobraża, jakiej wagi bywają dzisiejsze denuncjacje! Jak wielu zarażonych faszyzmem usiłuje się wywindować w górę po grząskiej drodze zdrady, która nie ma w ogóle granic! - W głosie Bendersa brzmiała pogarda.

- Niech się pani przyjrzy tym brunatnym zwolennikom partii! Jak szybko wschodzi ziarno zasiane wśród nich przez Hitlera. Prawie każdy piastuje jakiś urząd. Albo nosi tytuł komendanta obrony przeciwlotniczej, albo domowej straży pożarnej, łącznika czy kasjera narodowosocjalistycznej opieki społecznej lub pomocy zimowej. Niemal każdy jest członkiem jakiegoś stowarzyszenia narodowosocjalistycznego. Wszystkich wchłonął Niemiecki Front Pracy. W fabryce można mieć ogólny obraz tego stanu rzeczy. W organizacjach paramilitarnych, tworzonych przez partię, traktuje się jednakowo zwykłych obywateli i członków partii. I każdy z nich dzierży w swym ręku bodaj okruch władzy. I wszystko jest takie wielotorowe. Tu rządzi partia, tam armia. Tu SS, tam ZA. Tu Sotndendianst i gestapo, tam policja. Tu monopole i koncerny, tam ich marionetki.

I niech pani zauważy, panno Klaudio, że każdy, jak tylko może, pnie się w górę. Jedni robią to przy pomocy pruskiej urzędniczej sumienności i tępego uporu, inni przy pomocy pieniędzy i tupetu. Chcą w ten sposób uzyskać nowy sznur, i nową gwiazdkę czy też prawo noszenia pistoletu albo kordzika. Tak więc dzięki niewielkiej, dyskretnej zdradzie człowiek staje się bardziej godny zaufania, przynajmniej w oczach swoich bezpośrednich przełożonych, i zapewnia sobie murowany awans czy inne równie miłe korzyści. A to z kolei pozwala mu rozszerzyć zakres władzy i zabezpiecza przed drobnymi niepowodzeniami.

- A ich ofiary?

- Ich ofiary? O mój Boże! „Każdemu według zasług”, taki napis widnieje nad bramą obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Kto dostanie się do takiego obozu, ten ze stuprocentową niemal pewnością nie będzie już w tym życiu zagrażał swemu denuncjatorowi. A więc pozostaje rozglądać się jak najpilniej za okazją, za komunistami, za tak zwanymi wrogami narodu i defetystami! Jeśli to się okaże konieczne, nie oszczędzając nawet własnej rodziny - Rudolf Bender westchnął głęboko. - Widzi pani, dlatego właśnie za dyskretną informację ani za drobną poufałą wskazówkę nie dostaje się ani grosza. Bo gorliwych jest aż za dużo. Wyprężają oni pierś ozdobioną swastyką i czekają cierpliwie, aż stojący przed nimi szereg zostanie załatwiony, by z bijącym sercem wyszeptać swoje wiadomości.

Klaudia była wstrząśnięta. Jakąż przerażającą panoramę rozłożył przed chwilą Bender. Jej wzrok powędrował w stronę pożółkłych trzciny i bladego nieba za ciemnozielonymi koronami sosen. Nad jeziorem i lasem panował spokój. Tak, Rudolf Bender ma rację. Ukazany przez niego kalejdoskop rozkładu moralnego obejmuje wszystkich pozostających pod wpływem brunatnych Niemiec. Prawie każdy ma swoje miejsce na którymś z licznych

szczebli tej drabiny. A ona sama? Czy też ponosi za coś winę? Wystarczy w pewnych określonych sytuacjach nic nie robić, aby stać się winnym.

- Proszę mnie jednak źle nie rozumieć - ciągnął Bender. - Oczywiście i wśród narodowych socjalistów zdarzają się przyzwolici ludzie. Wprowadzeni w błąd, nie popełniają takich świństw i nie mają właściwie nic wspólnego z tą pozbawioną skrupułów hołotą. Musi pani jednak pamiętać o tym, jak trudna jest nasza walka i że powinniśmy być bardzo ostrożni.

Klaudię gnębiła w tej chwili przede wszystkim myśl o Dörnbergu.

- Motorem jego działania zawsze były i będą pieniądze - stwierdziła kategorycznie.

Bender zdawał się już orientować w sytuacji.

- Możliwe, że Dörnberg będzie próbował panią szantażować. Ale jeśli mu się to nie uda, nie pozostanie mu nic innego, jak spalić nieprzydatną już ulotkę. W każdym razie zacznie szukać innych dróg do swego celu. A tym celem są niewątpliwie pieniądze pani ojca!

- Mam więc, jeśli dobrze pana zrozumiałam, pozostać w Berlinie, nadal chodzić do fabryki i nadal...

- Temu damy na razie spokój.

Zmierzch stawał się coraz ciemniejszy. Wraz z zapadającym mrokiem wracał chłód. Ruszyli przez las ku szosie wiodącej do Müggelheim.

Rudolf Bender raz jeszcze rozpatrzył wszystkie aspekty i możliwości niebezpieczeństwa. Postanowił jeszcze tego wieczoru porozmawiać o tym z towarzyszami, żeby nie popełnić błędu, który mógłby się kiedyś okazać nie do naprawienia.

Po chwili milczenia Klaudia odezwała się:

- Czy nie zechciałby mi pan opowiedzieć trochę o swoim życiu, panie Rudolfie?

Bender spojrział na nią nieco zaskoczony, ale zaczął mówić w sposób spokojnie naturalny:

- Mój ojciec poległ w tysiąc dziewięćset siedemnastym pod Verdun. Zacząłem wtedy właśnie chodzić do szkoły. Matka szyla po domach albo najmowała się do kopania kartofli i brukwi w okolicach Münchebergu w Marchii. No, a potem chwyciłem się rozmaitych zajęć jak większość chłopców w moim wieku: roznośiłem gazety, sprzedawałem butelki i kości, ustawiałem kręgle w Schulzendorhe i Tegelorcie, żeby pomóc matce i nie wyrosnąć na niedołęgę. Wszyscy na naszej ulicy myśleli podobnie. W całej dzielnicy mieszkali tylko robotnicy i paru nędznych Żydów w chałatach i z pejzami. Już wtedy nie mieli oni łatwego życia.

Wszyscy prawie nasi chłopcy należeli do robotniczego stowarzyszenia sportowego „Jodła”. Tam mi wytłumaczono, za co właściwie mój ojciec poległ podczas pierwszej wojny światowej, co reprezentują narodowi socjaliści oraz, jak należy oceniać rządy socjaldemokratyczne i prezydenta Rzeszy Hindenburga. - Bendorowi sprawiało wyraźną trudność mówienie o sprawach osobistych. Jego relacja stawała się coraz bardziej sucha. - Kiedy poszedłem do terminu, matka zaczęła kaszleć. Gdybym dniem i nocą dodatkowo nie pracował, gruźlica by ją w końcu wykończyła na biurokratycznych oczach Społecznej Kasy Chorych i organizacji dobroczynnych. Kiedy się stale przestaje z ludźmi, których przywódcą duchowym był Karol Liebknecht i który przez udział w strajku generalnym obalił pucz Kappa w Berlinie, wtedy można sobie wyobrazić strukturę państwa, w którym warto byłoby żyć każdemu uczciwemu człowiekowi. W ten sposób zostałem komunistą i bardzo wiele myślałem o tym, co Związek Radziecki już osiągnął w tej dziedzinie.

Po trzydziestym styczniu wydawało mi się, że wszystkie nasze wysiłki i ofiary poszły na marne. Socjaldemokraci pod wpływem

swych prawicowych przywódców zaprzepaścili historyczną szansę nawiązania współpracy z komunistami. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej odtrącili wyciągniętą ku sobie rękę. Mimo ostrzeżenia Ernesta Thälmana: „Hitler - to wojna” głosili butnie w przeddzień dojścia Führera do władzy, że Hitler jako kanclerz sam siebie doprowadzi do zguby.

Wkrótce po pożarze Reichstagu narodowi socjaliści wezwali mnie na przesłuchanie, które odbywało się głównie przy pomocy bykowców, ale wypuścili mnie, udzieliwszy paru niedwuznacznych przestróg na drogę. Mimo to szybko nawiązałem znów łączność z prowadzącymi nielegalną działalność towarzyszami, którzy nie zostali jeszcze aresztowani. Tak zaczęły się milczące, zawzięte zmagania, pod nieustanną groźbą szubienicy. Śmierć faszystom! - to nasza obecna dewiza. Zwycięstwo socjalizmu! - to nasz cel. Potem odbyłem tylko dwumiesięczne ćwiczenia artyleryjskie we Frankfurcie i jako dobry fachowiec zostałem wyznaczony do służby na tyłach. - Uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. - Czy tyle wystarczy na początek?

Klaudia była pod głębokim wrażeniem prostoty tej linii rozwojowej.

Rudolfa Bendera pochłaniały jednak w tej chwili sprawy aktualne.

- Istnieje jeszcze jedno wyjście: może pani zniknąć. Nie zostawiamy bez pomocy nikogo - zawahał się - nikogo z naszych. Tylko że pani chyba jeszcze do takiej sytuacji nie dorosła. Potrzeba na to mocnych nerwów i jeszcze czegoś. - Spojrzał na nią otwarcie. - To by również znaczyło zerwanie jakichkolwiek kontaktów z Eberhardem Baumem.

Klaudia przeraziła się. Nie pomyślała o tym, chociaż leżało to zawsze w zasięgu prawdopodobieństwa. Gdyby Eberhard dostał się do niewoli, bardzo długo nie wiedzieliby nic o sobie. Dörnberg

i jego zamierzony szantaż to była tylko jedna z wielu możliwości.

Bender pożegnał ją na przystanku autobusowym.

Jechali, każde z osobna, w stronę skulonej, pozbawionej światła stolicy.

Następnego dnia po południu spotkali się zgodnie z umową w parku Treptow. Rudolf Bender nie był sam. Towarzyszył mu niepozorny człowieczek w szarej jesionce i kapeluszu z odwiniętym rondem.

Bender przedstawił go:

- To jest Ferdynand Becker. Pracuje u nas w laboratorium.

Klaudia spojrzała spod oka na nieznanego. Nigdy go nie widziała na terenie fabryki. Rudi wyjaśnił rzeczowo:

- Zastanawialiśmy się razem nad tą sprawą i doszliśmy do następujących wniosków: Dörnberg poza próbami osobistego szantażu nie może nic przeciwko pani przedsięwziąć. Mimo to chcielibyśmy, żeby pani na jakiś tydzień stała się dla wszystkich nieosiągalna. Jutro rano, zaraz po rozpoczęciu pracy, oświadczy pani swemu kierownikowi działu, że źle się pani czuje, że ma pani bóle i musi iść do domu.

Klaudia popatrzyła ze zdumieniem to na jednego, to na drugiego. Obcy mężczyzna wyjął z kieszeni jakiś papier.

Było to orzeczenie wydane przez lekarza praktykującego, doktora Bärwalda, Berlin NW 7, Friedrichstr. 92, i stwierdzające, że pacjentka Klaudia Sanden z powodu ostrego zapalenia woreczka żółciowego winna być zwolniona od pracy na razie przez tydzień.

Bender czekał, aż Klaudia przeczyta treść kartki.

- Pośle pani to zaświadczenie do działu personalnego fabryki. Jutro o dziesiątej osoba, którą pani zna, będzie panią oczekiwać na dworcu Schöneweide. Najbliższe dni spędzi pani poza swoim mieszkaniem.

Klaudię Sanden ogarnęło nagle uczucie bezpieczeństwa, świadomość, że troszczą się o nią ludzie, którzy są wrogami Hitlera i uważają ją za jedną ze swoich. Poczowała gwałtowną potrzebę określenia swojej postawy, wyłożenia tym dwom mężczyznom pobudek swego postępowania i uwolnienia się od pewnego dawnego dręczącego wspomnienia.

Zaczęła mówić:

- Kiedy się przekonałam, jak bardzo Eberhardowi zależy na nawiązaniu z panem kontaktu, zawstydziałam się. Wiem, że jest konsekwentny. Jeśli pewnego dnia zdecyduje się nie brać dłużej udziału w wojnie, będę na niego czekała, nawet gdyby to miało trwać lata. Nie ma chyba innego wyjścia... - Przesunęła dłonią po oczach. - A ja? Miałam kiedyś w Wiedniu wielu znajomych. Nawet jeszcze w pierwszych miesiącach po aneksji. Kurt Dörnberg nastawał, żebym zerwała te znajomości. Przekonał mnie, że niegodne byłoby postąpić inaczej. Od tej pory nie mogę jakoś dojść z sobą do ładu. Mam do spłacenia pewien dług. Moi rodzice mieszkali wtedy jeszcze w Wiedniu. Od lat byli zaprzyjaźnieni z rodziną żydowskiego jubilera, Salomona Sternheima, zwanego przez nas Sallym, żonatego z katoliczką. Miał on małą córeczkę, Sabinę, która na początku wojny skończyła sześć lat. Sternheim nie mógł wtedy pracować w swoim zawodzie. Kiedy się zorientował, że gestapo depcze mu po piętach, uciekł do Monachium, do przyjaciół, którzy go ukryli. Przypadkiem znałam ten adres i Dörnberg wyciągnął go ode mnie pod pretekstem, że będzie służbowo w Monachium i chciałby przy okazji przekazać Sternheimowi pozdrowienia od nas.

Dörnberg zdradził kryjówkę Sternheima przywódcom Hitlerjugend i SA, z którymi współpracował przed wstąpieniem do wojska. Sternheim został zamordowany w okolicy Gauting w tym właśnie czasie, kiedy Dörnberg przebywał w Monachium.

Wkrótce potem pani Sternheim razem z małą Sabiną zniknęły z Wiednia. Strasznie mi wstyd... Z mojej winy zginął człowiek... Tak, wyłącznie z mojej winy... Nie mogę całej odpowiedzialności za to rzucić na Dörnberga. Czy teraz pan rozumie, że nienawidzę tego całego barbarzyństwa? Że chciałabym coś zrobić?

Mężczyźni milczeli przez chwilę, po czym Rudi Bender powiedział:

- Jeśli człowiek uczy się na swoich błędach, to tak jakby za nie odpokutował. Nic nikomu z tego nie przyjdzie, że pani będzie się zadręczała nieustannymi wyrzutami sumienia. W każdym razie bardzo pani dziękuję, że ma pani do nas takie zaufanie i sądzę, że to wyznanie pani samej trochę ulżyło. Poza tym dzięki pani współpracy...

- Ach, o tym naprawdę nie warto mówić...

- Jeżeli najbliższe dni przejdą bez szczególnych wypadków, zastanowimy się spokojnie nad pani dalszymi zadaniami.

Ferdynand Becker pochłonięty był fachowym i sumiennym nabijaniem krótkiej fajki. Pociągnął parę razy, aż zasyczało i zwrócił się do Klaudii, która dopiero teraz świadomie na niego spojrzała. Był mniej więcej wzrostu Bendera, ale znacznie od niego starszy. W jego krótko ostrzyżonych, ciemnych włosach widniały już dość liczne srebrne nitki. Piwne oczy były w nieustannym ruchu. Duże, spracowane dłonie stanowiły dziwną sprzeczność z potoczystym, bezbłędnym sposobem wysławiania się.

- No cóż, Hitler niesie ze sobą strach, pół świata wciągnął w wojnę. Na wszystkich frontach co dzień umierają żołnierze. Wszędzie powstają obozy koncentracyjne, w których giną setki tysięcy Sternheimów. Wszędzie jednak istnieją ludzie, którzy nie tylko zaciskają potajemnie pięści, ale działają świadomie i planowo. Czy pani pracuje w biurze projektów?

Klaudia skinęła głową.

- W takim razie przez pani ręce przechodzą zapewne interesujące materiały. Sprawy, z którymi pani się tam styka, trzeba znać, jeśli się chce skutecznie zwalczać hitlerowską wojnę.

Fajka znowu mu zgasła. Zaczął w niej dłubać jakimś niewielkim przyrządem.

Klaudii Sanden wydało się nagle, że patrzą na nią tysiące par oczu: bladoniebieskie Rudolfa Bendera i piwne Ferdynanda Beckera, ale przede wszystkim niezliczone ilości tamtych zimnych, groźnych, ocienionych brutalnymi brwiami. Poczowała strach występujący wzdłuż ud na plecy i kark.

Jemu chodzi przecież o to, żeby im udostępniła tajemnice służbowe. Za to grozi kara śmierci. Wciąż nam to powtarzają we wszystkich pouczeniach. Kiedy ktoś dostanie do ręki te tajemnice służbowe, pozna na przykład pewne techniczne szczegóły konstruowanego aktualnie nowego modelu czołgu. Na tej podstawie nieprzyjacielski przemysł zbrojeniowy będzie mógł wyciągnąć rozmaite istotne wnioski, rozmyślała dalej. A więc działalność szpiegowska. Czy mam na to dość zimnej krwi?

Spojrzała nagle w czujne oczy Ferdynanda Beckera. Skinęła nieznacznie głową, myśląc przy tym o nieżyjącym Sallym Sternheimie.

- Żeby nie było nieporozumień - powiedział Becker - nasze zadanie polega na stwarzaniu przeszkód, zakłócaniu, odwlekaniu, na unieszkodliwianiu narzędzi mordu.

A więc nie szpiegostwo, zastanawiała się Klaudia. I na to zresztą musiałabym się zgodzić, jak na każdy inny sposób walki przeciwko Hitlerowi. Czy oni mnie naprawdę zrozumieli? Moja obecna postawa nie przekreśliła nic z tego, co się kiedyś stało. Ale cieszę się, że powiedziałam im o Sternheimie.

Następny dzień przebiegł zgodnie z planem, jaki Ferdynand ułożył i precyzyjnie przygotował. Kierownik działu życzył jej szybkiego powrotu do zdrowia, z czysto egoistycznych zresztą względów, ponieważ nie miał pojęcia, jakim cudem podoła stawianym przez władze wymaganiom przy tak okrojonym personelu.

Kiedy się okazało, że na dworcu Schöneweide czekała na nią matka Rudolfa Bendera, Klaudia Sanden wcale się nie zdziwiła. Po raz pierwszy od wielu dni wypełnił ją głęboki spokój.

Czy ten doktor Bärwald naprawdę istnieje? - pomyślała.

Rozdział 8

Ciepłe wiatry sprawiły, że ziemia całkiem rozmiękła. Głęboki muł zmuszał żołnierzy do maksymalnego wysiłku. Zalegał drogi i wszelkiego rodzaju umocnienia. Stepowe potoki i wiejskie strugi zamieniły się w rwące rzeki, po których płynęły olbrzymie kry. Pod wpływem ich uderzeń chwiały się resztki wysadzanych w powietrze mostów i zapadały się zbudowane obok prowizoryczne przejścia. Woda po topniejącym śniegu sączyła się z ocienionych parowów i północnych stoków. Z ciemnych chmur lało jak z cebra. Powstało z tego grząskie błoto, przez które czołgi brnęły, dudniąc głucho, i w którym pojazdy kołowe zapadały się bez ratunku.

Woda znosiła brzegi rowów strzeleckich i zbierała się na ich dnie. Ściany okopów obsuwały się i buty tonęły w błocie. Lepka, tłusta ziemia czepiała się kolan, łokci, ramion, wywołując reumatyzm. Płacht namiotowych używano już tylko dla ochrony przed wilgocią karabinów maszynowych i ręcznych granatów. Nigdzie nie było ani kawałka suchego miejsca. Trwało to już od tygodni, a kwiecień dobiegał właśnie końca.

Po każdym uderzeniu granatu wybuchała w górę fontanna mętnej gnojówki, która, pryskając na wszystkie strony, opadała z powrotem w błoto. A żołnierze niemieccy leżeli w miękkiej glinie z wzrokiem wbitym w przestrzeń, wypatrując czerwonoarmistów, z

którymi natura obchodziła się równie bezwzględnie. Nie dało się jednak zaprzeczyć, i stare wygi frontowe otwarcie to przyznawały, że Ruski jest mistrzem improwizacji. Ma on już z pewnością od dawna podkłady i oszalowania z desek, a teraz buduje przezornie rowy i szyby odpływowe, żeby żołnierze w bunkrach mogli siedzieć na suchym.

Cała natura tęskniła już za słońcem i latem. Wreszcie musiało się to przecież zmienić.

Tymczasem jednak niemieckie jednostki wyborowe, w pierwszym rzędzie dywizje SS, po gwałtownym kontrataku na przestrzeni Biełgorod-Charków posunęły się w marszu o dwieście prawie kilometrów na wschód, odzyskując w ten sposób blisko połowę terenu zajętego przez Armię Czerwoną na zachód od Kurska.

Wszystkie wróbla na dachach odwodowych niemieckich stanowisk dowodzenia ćwierkały o tym, że znajdujące się tam dywizje ściągnięte zostały z całej Europy i skupione na odcinkach Briańsk, Orzeł, Sumy, Biełgorod i Charków. Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych przygotowywało na rozkaz Hitlera operację „Cytadela” i zaczęło gromadzić setki tysięcy ludzi i ogromne ilości materiału, żeby móc przeprowadzić decydujące przeciwuderzenie. Armia Czerwona na środkowym odcinku zdawała się wyczerpana po swojej drugiej wielkiej zimowej ofensywie i nastawiona tylko na obronę.

W niezmiernie krótkim czasie powstał za linią radzieckiego frontu, w ramach łuku kurskiego, potężny system obronny, przy czym najsilniej umocnione zostały odcinki, gdzie spodziewano się głównych ataków armii niemieckiej. Noc w noc dokonywano tam gigantycznych robót. Sami tylko żołnierze frontu woroneskiego i centralnego kopali rowy na przestrzeni prawie dziesięciu tysięcy kilometrów. Olbrzymie zapasy broni, amunicji, paliwa, żywności i wszelkiego rodzaju materiałów płynęły ku pierwszej linii frontu

albo były magazynowane w rozmieszczonych na tyłach rezerwowych składach.

Równoległe z tymi posunięciami rozpoczęło się planowanie operatywne skierowane przeciwko koncentracji wojsk Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych w okręgu Orła. Atak i obrona powinny się nawzajem uwarunkować, aby żaden niespodziewany krok ofensywy nie pozostał bez odpowiedni.

Porucznik Helgert był pełen narastającej troski, zaniepokojony dziwnym listem Ilzy, na który zdążył dopiero pobieżnie rzucić okiem. Przysiadł na jakimś tymczasowym stanowisku ogniowym. Rozpryskujące się przy tym błoto sięgało mu aż do kieszeni. Zmusił się, żeby raz jeszcze przeczytać list uważnie, linijka po linijce.

Kochany! Niez raz już brałam do ręki pióro, żeby napisać ten list. Ale zawsze stawiała mi przed oczyma Twoja twarz i patrzyłaś na mnie tak surowo. Wracałam wtedy do zwykłych, codziennych zajęć. Dalsze odwołanie stało się jednak niemożliwe.

U nas zaczęła się promienna wiosna. – Ty tkwisz wciąż jeszcze wśród lodu i błota. Musisz znosić potworne udręki, zarówno fizyczne, jak i duchowe; będzie ich pewnie coraz więcej. Tam, na froncie, śmierć jest niezobliczalna, tutaj – codzienne bytowanie. Bardziej niż śmierć dzieli nas życie.

Jestem Ci nieskończenie wdzięczna za szczęście, jakie mi ofiarowałeś. Jeszcze teraz i w przyszłości mogłoby być tak cudownie. Dlatego strasznie bolesną jest dla mnie świadomość, że wszystko to miałoby się skończyć na zawsze. W każdym razie przez długi czas pozostawałaby przykra zadra, która mogłaby wiele zniszczyć.

Chwilami wydaje mi się, że potrafiłabym zapomnieć nawet o koszarze wojny i w tej przygnębiającej sytuacji znaleźć błysk

nadziei, snuć może bezpodstawne marzenia o przyszłości. Człowiek żyje jeszcze i wtedy, kiedy ugina się pod brzemieniem cierpienia. Teraz jednak wszystko zależy od Ciebie.

Widzę Twoją twarz, jak zastanawiasz się nad tymi słowami, i łzy napływają mi do oczu. Będę się starała trochę Ci pomóc. Jeszcze czuję w sobie dość siły. Nigdy Ciebie nie zapomnę - Twoja Ilza.

Helgert usiłował zgłębić sens tego listu, ale bez skutku. Jedno nie ulegało wątpliwości: coś nieznanego, wrogiego musiało nagle wtargnąć w życie Ilzy i nadszarpnąć łączące ich więzy.

Czuł ból w skroniach od nieustannych rozważań.

Parę eskadr samolotów Jak-7 patrolowało nad sąsiednim odcinkiem frontu. Porucznik Helgert przyjrzał im się, po czym wrócił do bunkra.

Tej nocy Fritz Helgert nie zmrużył oka. Niezgłębiona gwieździsta wspaniałość wiosennego nieba przesuwawała się powoli za półślepą szybą bunkra.

Porucznik rozmyślał wciąż o tym samym. List Ilzy jest wołaniem o pomoc. Na pewno nie pisałaby w ten sposób bez szczególnej przyczyny. Muszę jechać do niej. W tym celu potrzebny mi jest urlop. A w danej sytuacji otrzymam go jedynie pod warunkiem poważnego uzasadnienia. Nie obejdzie się więc bez argumentów natury ściśle osobistej. Trudno, przemogę się, ze względu na Ilzę.

Doszedłszy do tego punktu swoich rozważań, Helgert wiedział już, co należy przedsięwziąć, i prawie się uspokoił, kiedy podjął decyzję.

Porucznik Altdörfer był wręcz zaskoczony, kiedy w ciągu paru dni otrzymał dwa listy od swego brata Wielanda. Pierwszy

pozostawił na nim niemiłe wrażenie, ponieważ zawierał opis spędzonego w gronie kolegów w Hamburgu szampańskiego wieczoru, którego ośrodkiem była urocza Ilza Helgert.

Na sam dźwięk nazwiska „Helgert” doznawał zawsze nieprzyjemnych uczuć. Bał się, że dowódca baterii mógłby kiedy w przykry sposób napomknąć swoim oficerom o tym, jak Altdörfer dorobił się Żelaznego Krzyża. Nie opuszczało go też uczucie, że Helgert obserwował go wtedy, kiedy dobijał Rosjanina, który prawdopodobnie wylizałby się ze swego postrzału w płuco.

Drugi list Wielanda komuś z zewnątrz mógł się wydawać niewinny, ale dla wtajemniczonego zawierał w połączeniu z pierwszym sporo szczegółów całkiem interesujących. Altdörfer zestawiał je sobie: mój brat prosi, żebym zapobiegł niespodziewanemu zjawieniu się Helgerta w Rzeszy. Najwyraźniej w czasie owej pijatyki wydarzyło się coś niedobrego. Wprawdzie Wieland nic bliższego o tym nie pisze, ale zapowiada, że wkrótce mi wszystko wyjaśni.

Altdörfer postanowił więc tymczasem zaczekać.

Wieczorem dowódca 6 baterii przyjechał konno do dowódcy batalionu z prośbą o udzielenie mu natychmiast urlopu w związku z ważnymi sprawami rodzinnymi. Podporucznik Gengenbach jest wystarczająco doświadczony, aby móc odpowiednio pokierować baterią w czasie jego parotygodniowej nieobecności. Dowódca batalionu, nie pytając o powody, obiecał poprzeć podanie porucznika. W parę dni później leżało ono wraz z całą pocztą przed adiutantem pułku, porucznikiem Altdörferem, na stole podczas śniadania.

Krusemark chrupał grzanki i ze smakiem zajadał peklowany ozór wołowy, który weterynarz sztabowy zamienił w kompanii obsługi rzeźni na parę worków kartofli.

Był to najodpowiedniejszy moment dla Altdörfera. Oświadczył pułkownikowi, że jego zdaniem, przy obecnej ciężkiej sytuacji w pasie obrony dywizji, wymagającej osobistych wyrzeczeń i potrzebującej każdego żołnierza, wyjazd na urlop dowódcy baterii jest co najmniej nie na miejscu. Wygląda to niemal na...

Krusemark podniósł wzrok znad jedzenia.

- A któż to wpadł na taki dziwny pomysł?
- Helgert. Dziś wpłynęło właśnie jego podanie.

Pułkownik najwyraźniej nie spodziewał się usłyszeć nazwiska jednego ze swoich najbardziej cenionych oficerów. Poleciał Altdörferowi, żeby udzielił porucznikowi Helgertowi odpowiedzi odmownej.

W dwa dni później dowódca 6 baterii zameldował się osobiście u pułkownika, i to akurat w chwili, gdy ten szykował się do kąpiele. Rad, nierad - kazał go do siebie wpuścić.

- No, wal pan śmiało - zaczął dowódca pułku, siadając i nie dbałe wskazując miejsce porucznikowi. Lekka zgroza przejęła go na myśl, że te bałwany w łaźni mogą zapomnieć o przygotowaniu odpowiedniej ilości zimnej wody.

Helgert nie usiadł.

- Przyszedłem prosić pana pułkownika, aby zechciał raz jeszcze życzliwie rozpatrzyć moje podanie o urlop i swoją negatywną decyzję w tej sprawie.

Pułkownika to już ostatecznie zirytowało.

- Mój drogi, pan zapomina, że front to nie kółko śpiewacze. Jest chyba rzeczą zrozumiałą, że każdy żołnierz z osobna musi bezwzględnie podporządkować swoje osobiste sprawy ogółowi. Chodzi tu przecież o zapewnienie narodowi bytu na całe tysiąc lat! Na rezygnacji z własnych prywatnych interesów polega wkład we wspólne dzieło!

Krusemark był bardzo z siebie zadowolony. Takiej kłody chłopak nieprędko pozbędzie się ze swej drogi.

- Panie pułkowniku, wydaje mi się, że moje naprawdę poważne przyczyny nie przyniosą szkody wielkiej idei dobra ogółu, że przeciwnie nawet, mogą nam pomóc w naszej walce.

Dowódca pułku spojrzął na porucznika zaskoczony. Szybko odpał cios, i to nader zręcznie. Ale pułkownikowi przecież pilno do kąpieli i potem do śniadania, niech to wszyscy diabli!

- To brzmi bardzo pięknie, ale niech się pan wyrazi nieco jaśniej, jeśli łaska!

Helgert wiedział, że teraz zacznie się Canossa. Przekonany o trafności swego przypuszczenia, odmalował sytuację, bynajmniej jej nie upiększając ani nie oszczędzając własnej osoby i podkreślił, że zagrożony tu jest honor jego samego jako zawodowego oficera, a także w pewnym sensie, przynajmniej poprzez niego, honor całego pułku.

To przekonało Krusemarka. Ten energiczny Helgert na pewno zrobi tam ze wszystkim porządek i nie dopuści, żeby cień owej sprawy padł aż tu, to znaczy na niego, akurat teraz, kiedy lada chwila należało się spodziewać Krzyża Rycerskiego.

Pułkownik Krusemark kazał się natychmiast połączyć z Altdörferem i polecił mu niezwłocznie przygotować odpowiednie papiery urlopowe dla dowódcy 6 baterii, aby ten pojutrze mógł wyruszyć w drogę. Zobowiązał się osobiście poinformować 1a dywizji, podpułkownika von Wenglina, o wyjątkowości tego przypadku.

Altdörfer nie sprzeciwił się ani słowem. Pomyślał tylko o uwagach w swoim notesie.

Kiedy Krusemark żegnał swego porucznika, doznawał czegoś w rodzaju współczucia. Nie odnosiło się ono w najmniejszym stopniu do sprawy Helgerta, wynikało jedynie z wyobrażenia, co by to było za nieszczęście, gdyby on sam wpadł w podobne tarapaty.

Starszy szeregowiec Sengpiel, w cywilnym życiu drugi masażysta w jednej z berlińskich łaźni miejskich, miał ręce duże i miękkie jak nadymane poduszki. Podczas gdy Sengpiel w pocie czoła ugniatał ciało pułkownika, temu wyleciał już całkiem z głowy dowódca baterii, który w roku 1942 został odznaczony jako pierwszy oficer pułku artylerii - Złotym Krzyżem Niemieckim, zwanym przez kanonierów „ciężką swastyką na lawecie samobieżnej”, ponieważ dokonał pięciu niezależnych od siebie bohaterkich czynów na miarę Krzyża Żelaznego I klasy.

Porucznik Altdörfer kazał wezwać do siebie gońca na BMW, a sam skreślił przez ten czas szybko parę słów do swego brata Wielanda, uprzedzając go, że w najbliższych dniach należy się spodziewać przyjazdu Helgerta do Hamburga. Następnie wydobył z magazynu butelkę cointreau i polecił gońcowi doręczyć ją wraz z listem podporucznikowi lotnictwa Blachenwitzowi na lotnisku w Orle, z prośbą o natychmiastowe - jak zwykle - wysłanie.

Lokomotywa pociągu z żołnierzami jadącymi na urlop z frontu pchała przed sobą dwa płaskie, napełnione piaskiem wagony towarowe, które miały wyzwać przymocowane przez partyzantów do szyn ładunki wybuchowe. Nie było ani jednego dłuższego odcinka na tej linii, liczącej grubo ponad tysiąc kilometrów, gdzie po jednej i drugiej stronie toru nie leżałyby szczątki lokomotyw, szyn, zardzewiałych wagonów i innego kolejowego sprzętu.

Tu, w ramach łuku orłowskiego podobnie jak w innych punktach frontu wschodniego, wybuchy min zdarzały się wiele razy w miesiącu. Wozy pancerne a nawet całe pociągi, samochody ciężarowe, amunicja, samoloty, działa, mosty, nasypy kolejowe, dodatkowe sprzęt dla frontu, żywność, transporty wojsk - nieustannie

jedne po drugich wylatywały w powietrze. Wytrwale walczący partyzanci przyczyniali się do stale rosnących strat armii niemieckiej w ludziach i materiale.

Rozstawione w dużych odstępach ogromne zasieki świadczyły o bliskiej obecności niemieckich baz. Mieściły się one w przylegających do toru kolejowego niskich barakach, wyposażonych w otwory strzelnicze i otoczonych gęstą siecią z drutu kolczastego. Załoga, złożona z Węgrów lub Rumunów, którzy zdawali sobie sprawę, że są traktowani jak lepsi najemnicy, patrzyła w ślad za pociągiem niechętnym okiem.

Partyzanci nie liczyli się w ogóle z tymi twierdzami i wysadzali w powietrze tyle pociągów, na ile im tylko starczyło materiałów wybuchowych. Co noc samoloty radzieckie zrzucały trotyl i żywność. Ludzie lądowali bezgłośnie na spadochronach wśród ciemności, by zasilić tajemny front na zapleczu.

Ruch partyzancki ma niesamowite rozmiary, ale przynajmniej na środkowym odcinku robi się z tym definitywny porządek, myślał Helgert, wpatrując się nieruchomo w noc za oknami. W kwietniu wyruszają przeciwko tej armii duchów oddziały bojowe z czołgami i działami samobieżnymi, nawet siły powietrzne mają wziąć w tym udział. Używanie do tego celu wężących oddziałów policyjnych nie miało przecież najmniejszego sensu. Trzeba wreszcie osiągnąć jakieś konkretne wyniki.

Za brudnymi szybami rozciągał się mętny krajobraz. Mimo wolnego tempa pociągu plan pierwszy zdawał się przesuwać dziwnie szybko. Natomiast wszystko bardziej odległe prawie się nie poruszało i znikало niezwykle powoli z pola widzenia.

Po paru dniach jazdy pociąg znalazł się na terenie Generalnej Guberni. Szczęk i dzwonienie szyn stawało się coraz pośpieszniejsze. Ciężka lokomotywa rozpoczęła wyścig z czasem.

W wagonie narastał niepokój. Ojczyzna, ich nieustanna wielka wizja. Im bliżej celu, tym wyraźniejsza staje się radość, chociaż usta usiłują ją zataić wśród powodzi głośnych słów. Zapomniana obca codzienność czeka już na nich i wkrótce ogarnie wszystkich swoją obojętną bezosobową krzątaniną. Bohaterzy istnieją tylko w gazetach. Wielu już teraz odczuwa coraz wyraźniej głębokie rozczarowanie. Nie objawiają go jednak na zewnątrz. „Cienie Stalingradu sięgają daleko w przyszłość. Nieliczni zdają sobie z tego sprawę. Większość nie chce o tym myśleć. Ci traktują poważnie ogólnikowe obietnice, jakimi szafuje góra. Wierzą z taką łatwością, ponieważ boją się poznania prawdy i ostatecznego rozrachunku”. W ten mniej więcej sposób były żołnierz Wehrmachtu ocenił parę dni temu w moskiewskim radio nastroje panujące na niemieckim zapleczu. Trochę było w tym chyba przesady, zastanawiał się Helgert.

Ostatnie zwrotnice klekotały niecierpliwie. Zgrzytnęły hamulce i pociąg stanął.

Z głębokim westchnieniem ulgi porucznik wysiadł na hamburskim Dworcu Głównym. Ponad nim rozpościerał się bezkres ciemnej nocy. Niżej, po torach pociągów dalekobieżnych, koła dudniły dalej. Coraz nowe i nowe. Stamtąd wysyłano ludzi do rozżarzonych retort na wschód i południe. Każda lokomotywa opatrzona była transparentem: „Koła muszą się toczyć dla zwycięstwa!”

Helgert szedł już jakiś czas przez śródmieście, nie zdając sobie sprawy, dokąd zmierza.

Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się na Uferstrasse. Tuż obok wznosiły się niby stroma ściana potężne, ciężkie cienie domów handlowych. Porucznik przeciął jedną z szerokich ulic wiodących w stronę Dworca Głównego, którego odgłosy wreszcie za nim umilkły.

Do Adolphstrasse, gdzie mieszkał jego wuj, było jeszcze dość daleko.

Otworzyła mu Ilza. Gwałtownym ruchem przycisnęła prawą ręką serce. Usta jej się rozchyliły, ale nie wydała głosu.

Helgerta natychmiast uderzyła jej błądź, zdawało mu się nawet, że wokół ust powstały delikatne linie. Z pewnym trudem zdjął z ramion wojskowy plecak i odchrząknął.

- Przyjechałem na parę dni do Hamburga... całkiem niespodziewanie.

Ilza otworzyła szeroko drzwi do pokoju; jej ruchy były jakieś niepewne. Z nerwowym pośpiechem szykowała kolację, podczas gdy on wypakowywał swoje rzeczy i mył się.

Helgert usiłował sformułować pierwsze pytanie, żeby możliwie szybko rozładować nieznośnie napiętą atmosferę. Drżącą ręką podniósł do ust filiżankę z herbatą. W jego chaotycznej, spiesznej przemowie padło słowo „list”.

Opowiedziała, zacinając się, ochryplymi głosem.

Usłyszawszy nazwisko inżyniera Wielanda Altdörfera, Helgert drgnął.

- Po co on się z tobą umówił? - spytał.

- Nie rozumiesz, że to była dla mnie wielka przyjemność móc rozmawiać z kimś o tobie?

Właśnie z bratem Altdörfera, pomyślał, tego odrażającego typu.

- A kim był ten znajomy, który później się do was przyłączył?

- To był porucznik... Kurt Dörnberg.

Helgertowi coś zaświtało: Dörnberg? Kurt Dörnberg? Czyżby to był ten oficer artylerii przeciwlotniczej? Dörnberg i Altdörfer? To nie mógł być przypadek! Altdörfer od dawna szuka okazji, żeby się na mnie zemścić. Muszę się jednak najpierw wszystkiego dowiedzieć. Zaciśnął zęby i całą siłą woli panował nad sobą, żeby nie przerwać żonie.

Ilza mówiła tylko o tym, co najkonieczniejsze: jak obudziła się w nieznanym sobie pokoju i od razu poczuła, że coś się z nią stało. Kiedy się potem spotkała z Dörnbergiem w hallu hotelowym, otrzymała od niego na swoje niepewne pytanie chłodną i brutalną odpowiedź: „Stało się to, co każdy mężczyzna zrobiłby bez skrupułów w podobnej sytuacji”.

Fritz Helgert zamknął oczy. To był na pewno spisek uknuty przez Altdörfera, myślał. A może Dörnberg po prostu skorzystał z nadarzającej się okazji? Czy też zrobił to z cyniczną premedytacją? Może podczas wojny takie rzeczy są same przez się zrozumiałe i zdarzają się na porządku dziennym?

Pot splotywał mu po piersi.

W każdym razie czyn Dörnberga trafił nie tylko w Ilzę, ale i we mnie. Mój honor oficerski został splamiony. I o to temu fircykowi na pewno chodziło.

Helgert wiedział już teraz jasno, co powinien zrobić. Wyprostował się i powiedział:

- Tutaj w Hamburgu jest sąd garnizonowy. Złożę tam skargę przeciwko Dörnbergowi i tej całej klice. Tego by jeszcze brakowało, żeby mi nie przyznano racji! Nie mogę puścić płazem takiej obrazy!

Ilza przeraziła się. Proces sądowy? Na miłość boską! Cóż to wszystko ma wspólnego z jego honorem?

- Błagam cię, nie rób tego - prosiła. - Nie zniósłabym, żeby ta obrzydliwa historia miała być wywleczona publicznie, wobec obcych. To jest zresztą i z innych względów niemożliwe!

Spojrzał na nią zaskoczony.

- A to czemu?

- Bo ja dopiero przedwczoraj wróciłam z kliniki.

Helgert nie od razu zrozumiał, jaki to ma związek z całą sprawą.

- Tak? A co to było? Nic mi o tym nie pisałaś.

- Musiałam przyznać się do wszystkiego doktorowi Felgentrögerowi. Zaprowadził mnie natychmiast do zaprzyjaźnionego ginekologa. Nie było innego wyjścia.

Helgert zacisnął palce na poręczach krzesła. Zmarszczył boleśnie brwi. „Nie było innego wyjścia?” Nie mógł spojrzeć teraz na żonę.

- Jakie to było wyjście?

- Kiedy się zorientowałam, w jakim jestem stanie, poszłam do pewnej doświadczonej kobiety. Okazało się, że należy niezwłocznie dokonać skomplikowanego zabiegu. Groził mi krwotok. Nie będziemy już nigdy mieli dzieci.

Mięśnie twarzy porucznika stężały. Patrzył nieruchomo na żonę, której oczy, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, skierowane były na przeciwległą ścianę. Nagle Helgert zaczął krzyczeć:

- Dlaczego dopiero po tylu tygodniach zdecydowałaś się napisać do mnie ten okropny list? Dlaczego to wszystko zrobiłaś, nie zapytawszy mnie najpierw o radę? Dobry lekarz mógłby na pewno i później dokonać tego zabiegu! Mój honor został splamiony! Czy taką hańbę można kiedykolwiek zmyć?

Jaką ona ma nieszczęśliwą minę, myślał. Jest kompletnie od środka wypalona. Zmęczona. I spodziewa się czegoś po mnie. Wzięła wszystko na siebie, żeby mnie oszczędzić. Przecież to czyste szaleństwo. A gdyby nie usunęła tego rodzącego się życia? Gdyby pewnego dnia urodziło się dziecko mojej żony i jakiegoś obcego mężczyzny?

Z wahaniem położył rękę na karku żony.

- Doprowadzimy to wszystko do porządku. Przed sądem. O tym konkretnym paragrafie nie będzie oczywiście mowy. Możesz być pewna.

Ilza ścisnęła obiema rękami jego dłoń. Oparła głowę na jego piersi obwieszonych zimnymi orderami i rozplakała się.

Nagle zrobiło jej się słabo. Zbladła jak ściana. Mąż zaprowadził ją do łóżka i czekał, póki nie zasnęła. Potem zgasił nocną lampkę i wrócił do sąsiedniego pokoju.

Po północy, ustalwszy już niezbędne dalsze kroki, Helgert zaczął się zastanawiać nad swoim życiem.

Wzniosłe uczucie po zwycięskiej kampanii francuskiej i blask świeżo otrzymanego Żelaznego Krzyża skłoniły go, żeby zaprowadzić Ilzę do urzędu stanu cywilnego, znali się już wtedy prawie rok. Ojciec Helgerta nie miał nic przeciwko temu. Od śmierci matki rzadko się ze sobą kontaktowali. Na długo przed wybuchem wojny stary pan Helgert przeniósł się do Monachium i do dziś uważał swoją pracę w tamtejszym wielkim koncernie chemicznym za najważniejszą w świecie. Dwa razy do roku zdobywał się na konwencjonalne listy do syna.

Ilza i Fritz byli przekonani, że się kochają, że jedno byłoby uboższe bez drugiego. Na ich małżeństwo złożyły się urlipy: z okazji ślubu, doroczny, zdrowotny. Każde spotkanie było oszałamiającym spełnieniem; brali siebie nawzajem takimi, jakimi byli, nie zgłębiając jednak istoty partnera. A dzisiaj? Sam właściwie nie wiedział, jak wygląda ich stosunek.

Czy ja rzeczywiście Ilzę tak kochałem, zadawał sobie pytanie, że właśnie ją, a nie żadną inną, chciałem mieć przez całe życie za żonę? Spał z nią obcy mężczyzna. Jak może się zachowywać kobieta od strony czysto fizjologicznej, kiedy wskutek nadużycia alkoholu traci świadomość? Czy o własnych siłach dotarła do tego hotelowego pokoju? Czy naprawdę była zupełnie nieprzytomna? Bezwolna? Czy coś się przez to między nami zmieniło? A zwłaszcza przez ten zabieg? Czy coś się zmieni w wyniku towarzyskiego skandalu, jaki proces sądowy niewątpliwie wywoła?

Wczesnym rankiem, kiedy spodziewał się, że w biurach woj- skowego wymiaru sprawiedliwości rozpoczęło się już urzędowa- nie, udał się tam i złożył przeciwko porucznikowi artylerii prze- ciwlotniczej Kurtowi Dörnbergowi skargę o zgwałcenie, przy- użyciu środków oszałamiających, żony Fritza Helgerta, poruczni- ka i dowódcy baterii pewnego pułku artylerii.

Rozdział 9

Znajomość zaczęła się w ten sposób, że dowódca okręgu wojskowego w Hamburgu wydał przyjęcie dla oficerów oddziału obrony przeciwlotniczej, aby wyrazić im uznanie Führera i naczelnego wodza sił zbrojnych za zestrzelenie trzydziestu siedmiu latających fortec podczas ostatniego ataku terrorystycznego lotnictwa USA na wolne miasto hanzeatyckie. Przypadek zrzucił, że generał, gawędząc jowialnie i przechadzając się pośród stojącego zgromadzenia, zatrzymał się przy grupie oficerów artylerii przeciwlotniczej, do której należał Dörnberg. I nie uszło uwagi generała, że ów ciemnowłosy porucznik skrzywił się podczas toastu na cześć partii, wznoszonego przydziałowym czerwonym winem. Generał ujął młodego człowieka za łokieć, odprowadził go na bok i zapytał o parę rzeczy nieważnych, a pod koniec, nader ostrożnie, o najważniejszą. Kiedy się dowiedział, że ten porucznik, nazwiskiem Dörnberg, już w roku 1931 walczył w szeregach Hitlerjugend, w 1933 przyjęty został do NSDAP, a skrzywił się jedynie z powodu nędznej jakości czerwonego wina, kamień spadł mu z serca.

Po owym szczerym wyjaśnieniu młody oficer uśmiechając się promiennie, zwrócił się do pana generała z pokorną prośbą, aby zechciał w najbliższych dniach przyjąć w charakterze przeproszenia za dzisiejsze niestosowne zachowanie butelkę z piwnicy jego ojca.

Dowódca okręgu wojskowego pośpieszył w dystyngowany sposób wyrazić porucznikowi swoją życzliwość, przy czym niezliczone błękitne żyłki, jakie zawdzięczał czerwonemu winu, przybrały barwę o ton ciemniejszą.

Po otrzymaniu pierwszej porcji znakomitego trunku generał podziękował wylewnie i cytując Juliusza Cezara i generała Ludentorffa, przemówił w imieniu własnym i swego domu. Przesyłki z trunkiem nabrały z czasem charakteru stałej instytucji, dzięki której Dörnberg zyskał łaski dowódcy okręgu wojskowego i nawiązał szereg korzystnych kontaktów z jego otoczeniem.

Kiedy Wieland Altdörfer zjawił się z nieoczekiwaną alarmującą wiadomością o przyjeździe Helgerta do Hamburga, Dörnberg poczuł się nieswojo. Doszedł do następujących wniosków: Ta głupia gęś poskarżyła się małżonkowi listownie, a idiota Helgert, gnany wiernością Nibelungów, natychmiast ruszył w drogę. Teraz żona ze szczegółami mu wszystko opowie. Jednakże Helgert nie będzie chyba takim durniem, żeby robić z tego wielkie halo. Byłoby to równoznaczne z przekreśleniem jego kariery zawodowego oficera. Po takim skandalu nikt nie zaprosiłby już państwa Helgerców na herbatkę ani na galowe przyjęcie we frakach i z orderami. Dowódca okręgu wojskowego wiedział o skardze przeciwko swemu dostawcy wina już w parę godzin po jej złożeniu i niezwłocznie wezwał do siebie sędziego Najwyższego Trybunału Wojennego, doktora van Torstena, na którego biurku wylądowało owo pismo. Generał nie ferował wprawdzie żadnych wiążących wyroków, wyraził tylko swoje osobiste, oczywiście całkiem niemiarodajne zdanie, które sędzia sądu wojennego przyjął natychmiast jako wytyczną dalszego postępowania, nie miał bowiem najmniejszej ochoty znaleźć się, w wyniku niespodziewanego przeniesienia, w VI wydziale sztabu jakiejś dywizji na wschodzie.

- Niech pan poprosi do siebie tego Helgerta i niech pan go weźmie na spytki. Jeśli nie da się tej sprawie po cichutku ukręcić głowy, to trzeba raz dwa doprowadzić do rozprawy, żeby jak najprędzej wszystko poszło w niepamięć. Do jutra, mój drogi!

Doktor van Torsten zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że jego krzesło zatrzymało się dopiero o jakieś dwa metry za nim i wyciągnął rękę gestem „niemieckiego pozdrowienia”. Cała jego postać przybrała postawę na baczność, nawet robione na miarę bufiaste bryczesy.

Na sali, gdzie miała się odbyć rozprawa, zapadł już niejeden wyrok śmierci. Uznane za rozkładową działalność w armii objawy niezadowolenia, dezercja i tak zwane tchórzliwe zachowanie wobec wroga bywały prawie zawsze karane przy pomocy paru kul karabinowych. Samowolne oddalenie się z oddziału, czynna zniewaga przełożonego i tym podobne wykroczenia kończyły się z reguły kilkuletnią utratą wolności wyrażającą się przydzieleniem do jednostek specjalnych na froncie albo do pracy w zamkniętych fabrykach amunicji. Niezgodne z prawem czyny mniejszej wagi, niż wyżej wymienione, zaliczano do nieciekawych i niewartych zachodu drobiazgów.

Van Torsten kazał zaprosić oboje Helgertów do osobnego pomieszczenia, aby nie dopuścić do zetknięcia się ich z innymi świadkami.

Pod pozorami godności i ojcowskiej dobroduszości sędziego kryło się jedynie pragnienie, aby jak najrzęczniejsz przeprowadzić rozprawę i móc powiadomić generała o jej pomyślnym wyniku.

Zaczął przesłuchiwać świadków w starannie z góry ustalonym porządku. Najpierw wezwano na salę Piotra Corneliusa, który na zapytanie sędziego oświadczył pewnym głosem: - Świadek Ilza Helgert świadomie prowokowała oskarżonego.

Wypowiedź inżyniera Corneliusa, który od paru dni pracował w stoczni na Reiherstieg, dostarczyła van Torstenowi poważnego argumentu przemawiającego za oczekiwanym przez generała wyrokiem uniewinniającym. Sąd zrezygnował z zaprzysiężenia świadka.

Wieland Altdörfer odmalował wkład wszystkich członków swojej rodziny w krwawe zmagania NSDAP z bolszewizmem. Każdy spełnia to zadanie na stanowisku wyznaczonym mu przez Führera. Jego brat na wschodzie, w samym ognisku politycznych i strategicznych wydarzeń. Ten fakt właśnie stał się pretekstem do omawianego spotkania, chociaż on - pozwala sobie to zauważyć - nie ma zwyczaju przyjmować tego rodzaju propozycji ze strony kobiet. Nieposzlakowana moralność rodziny Altdörferów i jego własne poczucie odpowiedzialności wobec tak wielkich pojęć, jak rodzina i wierność małżeńska, sprawiły, że zachowanie świadka Ilzy Helgert wydało mu się szczególnie odrażające. Jest mu nad wyraz przykro, że z jego winy porucznik Kurt Dörnberg znalazł się w tak nieprzyjemnej sytuacji.

Twarze van Torstena i obu ławników wyrażały uznanie dla siły argumentów inżyniera Altdörfera i ich roli w odsłanianiu prawdy, o której ustalenie tutaj chodziło.

W ten podniosły nastrój wprowadzona została Ilza Helgert. Van Torsten poprosił ją łagodnym głosem o opowiedzenie raz jeszcze przebiegu wypadków. Ograniczyła swoją relację do tego, co najistotniejsze. Jej zdania brzmiały jasno, obraz sytuacji był idealnie konsekwentny.

- Inni świadkowie stwierdzili prawie jednogłośnie, że pani wyraźnie starała się wzbudzić zainteresowanie Dörnberga swoją osobą - zauważył van Torsten i tym razem bardzo łagodnie.

Ilza Helgert rzuciła krótkie spojrzenie za siebie. Zobaczyła Wielanda Altdörfera i Piotra Corneliusa, na ławie oskarżonych Dörnberga, który intensywnie wpatrywał się w podłogę.

Sędzia w milczeniu towarzyszył jej wzrokiem.

- No i cóż pani na to? - spytał unosząc brwi.

Ilza odpowiedziała cicho, ale stanowczo:

- Twierdzenie, że pan Dörnberg mógł się czuć przeze mnie do czegokolwiek upoważniony, jest nie tylko absurdalne, ale po prostu wyssane z palca. Przez cały wieczór prawie z nim nie rozmawiałam.

Van Torsten pokiwał głowę z wyższością.

- Tak, tak, znam się na tym. Wszyscy w takiej sytuacji okazują się niewinni. Nie może nam pani przecież wmówić, że spędziła pani noc w owym hotelu wbrew swej woli! Czy zamknęła pani pokój przed położeniem się do łóżka?

Ilza Helgert milczała przez chwilę. Czy jest sens odpowiadać na takie pytanie? Sposób, w jaki van Torsten kierował rozprawą, wskazywał przecież wyraźnie, że opinia sądu była z góry ustalona. Nie mogła jednak dać za wygraną. Chodziło przecież o jej małżeństwo, o Fritza.

- Pamiętam tylko to, co się działo w sali restauracyjnej. Nie przypominam sobie zupełnie, w jaki sposób znalazłam się w pokoju hotelowym. I nie mam pojęcia, czy zamknęłam drzwi... na prawdę tego nie wiem...

Sędzia uznał wszelkie dalsze wyjaśnienia za zbędne.

- Czy ktoś chciałby zadać świadkowi jakieś pytanie?

Nie było już żadnych pytań.

- W takim razie proszę na salę porucznika Fritza Helgerta!

Helgert nie wiedział, jaki był przebieg rozprawy. Jeden rzut oka na Ilzę potwierdził jego obawę, że był negatywny.

- Panie poruczniku - zaczął van Torsten - zwracam panu uwagę na fakt, że pan nie może tu występować w charakterze

świadka, chciałbym jednak dać panu okazję opowiedzenia nam, co pan wie o tej całej sprawie.

Usłyszawszy to wyzwanie, porucznik poczuł wzbierającą w nim wściekłość. Opanował się jednak i powiedział bardzo spokojnie:

- Przebieg wypadków odtworzyłem na piśmie i złożyłem razem ze skargą. Powtarzanie tego samego ustnie jest chyba zbędne.

Doktor van Torsten obstawał jednak przy swoim.

- Sąd chciałby usłyszeć pańską bezpośrednią interpretację tej sprawy.

- Dla mnie sytuacja jest jednoznaczna. Oskarżony dopuścił się aktu gwałtu i to w stosunku do całkiem bezbronnej kobiety. Zdawał sobie w pełni sprawę z wagi swego czynu, wiedząc, że jest ona żoną oficera, i to - pozwalam sobie podkreślić - oficera frontowego. Nie ulega to dla mnie wątpliwości!

- Pan został wprowadzony w błąd, panie poruczniku! - odparł sędzia uszczypliwie. - Oskarżony podczas przesłuchań stanowczo zaprzeczał, jakoby użył w stosunku do pańskiej żony przemocy. Przeciwnie! Świadkowie Altdörfer i Cornelius wykazali w sposób wiarygodny, że pani Helgert, powiedzmy szczerze, zdradzała ochotę zawarcia bliższej znajomości z panem Dörnbergiem.

Helgert, opanowawszy się, próbował walczyć dalej:

- Zakładam, że panowie reprezentują sąd wojenny armii niemieckiej, który zebrał się tu po to, aby dotrzeć do prawdy i potem dopiero wydać wyrok. Czy z pańskich słów nie wynika, że ten porządek rzeczy został w tym wypadku odwrócony?

Van Torsten, oburzony, uderzył pięścią w stół.

- Sąd powiadomi pańskich przełożonych o pana nieodpowiedzialnym zachowaniu podczas tej rozprawy. Sąd nie zamierza wysłuchiwać dalszych tego rodzaju pytań. Odbieram panu głos.

- Następnie zwrócił się do Dörnberga. - Czy pan ma jeszcze coś do powiedzenia?

Brzmiało to surowo, ale w tonie można było wyczuć przebłyask życzliwości, ponieważ generał sobie tego życzył.

Kurt Dörnberg zerwał się jak w szkole oficerskiej i przycisnął obie ręce do boków.

- Nie, panie sędzio!

Po czym usiadł z powrotem i dalej patrzył skromnie przed siebie.

Po dziesięciu minutach małe boczne drzwiczki otworzyły się powtórnie i sąd wrócił na salę. Sędzia Najwyższego Sądu Wojennego doktor van Torsten zaczekał, aż ławnicy dotrą do swoich miejsc i wszyscy obecni staną przed swymi krzesłami. Zaczął czytać nosowym głosem:

- W imieniu narodu ogłaszam następujący wyrok: Oskarżony z braku dowodów zostaje uniewinniony. Sąd, dzięki wiarygodnym wypowiedziom świadków, uznał za rzecz dowiedzioną, że świadek Ilza Helgert owej problematycznej nocy nie stawiała zalotom oskarżonego, porucznika Kurta Dörnberga, wyraźnego oporu, a tym samym co najmniej świadomie mu uległa. Ogłaszam rozprawę za zamkniętą.

Porucznik Helgert wyprowadził żonę z sali. Wyczuwał raczej jej obecność, niż ją świadomie zauważał. Szli do domu piechotą, zamieniając tylko najniezbędniejsze słowa. Myślni byli jeszcze na sali sądowej, zastanawiali się, jak się teraz ułożą ich wzajemne stosunki.

Kiedy usiedli w domu naprzeciwko siebie, Helgert odezwał się:

- Cała ta historia jest dla mnie absolutnie niezrozumiała. Złożyłem moją skargę w mocnym przekonaniu, że państwo wraz ze swymi organami, a więc i z wymiarem sprawiedliwości, czyni wszystko, aby nam, walczącym na froncie, udzielać moralnego

poparcia. I oto byłem świadkiem rozprawy sądowej, podczas której słowo „front” nie padło ani razu. Nie ma takiego rozkazu dziennego dywizji czy armii - nie mówiąc już o rozkazach Führera - w którym nie byłoby mowy o nietykalnym honorze niemieckich żołnierzy. Czy dzisiaj ktokolwiek wspominał o tym, że honor żołnierza walczącego na froncie jest święty? Nie przyjmuję do wiadomości tego haniebnego wyroku uniewinniającego. To przecież istny skandal! Mój pułk zrobi z tym porządek!

- Jesteś zawsze taki ufny, pełen bezgranicznej wiary - powiedziała Ilza. - Ostrzegałam cię, zanim złożyłeś tę skargę. Liczyłeś w każdym razie na to, że Dörnberg zostanie ukarany przynajmniej moralnie. I cóż się okazało? Wszyscy świadkowie zgodnie zeznali, że ja rzuciłam się Dörnbergowi na szyję. A co ty teraz o tym myślisz?

Jej oczy patrzyły z napięciem w jego usta.

- Wiesz przecież, że od razu ci uwierzyłem i mimo wypowiedzi świadków nadal ci wierzę. Oni wszyscy należą do jednej szajki. Pierwsza runda przeciwko Altdörferowi została przegrana. Nie wątpię, że to on się za tym wszystkim kryje.

- I co teraz? - zapytała cicho Ilza.

Fritz Helgert zrobił jakiś nieokreślony gest.

- Jedno jest pewne, że wyrządzono mi krzywdę. Ale ten sąd jest zjawiskiem wyjątkowym. Na pewno. Dlatego też nie dam za wygraną. Takie szuje jak Torsten, czy ci przekupni świadkowie, zawsze się zdarzały. Ale Dörnberg i jego ukryty mocodawca, wielce szanowny pan porucznik Alojzy Altdörfer, mój tak zwany kolega pułkowy...

Ilza spuściła głowę.

- Mnie chodziło właściwie o co innego.

- No, o cóż to?

- Zastanawiam się, co teraz będzie z nami?

- Wszystko zostanie oczywiście po staremu - odparł pośpiesznie. - Nie wolno ci tracić odwagi.

Ilza wyczuła w jego słowach niepewność, która i ją nurtowała.

- Nie myślałam o dniu dzisiejszym czy jutrzejszym... Przerwał jej.

- Słuchaj, to by przecież nie miało najmniejszego sensu, rodzić dzieci w czasie wojny. A potem, kto wie, co będzie...

Ilza spodziewała się, że ta chwila przyniesie jej więcej pociechy. Znała jednak swego męża i granicę wpływu, jaki miała na niego. Teraz opanowany był jedną jedyną myślą: jak najskuteczniej ma dochodzić swoich praw.

Nagle wstał, włożył płaszcz i oświadczył, że czuje potrzebę samotności.

Zimny wiatr hulał po opustoszałych ulicach. Miasto nieopstrzeżenie pogrążało się w mroku. Helgert, schodząc ku mołu St. Pauli, myślał o sprawie honorowej, jaką będzie musiał wszcząć przeciwko samemu sobie.

Do honorowej rady pułku należeli Krusemark, major Pfeiler z batalionu artylerii ciężkiej, major Meusel i jeszcze dwaj dowódcy batalionów. Stanie przed nimi jako oficer zawodowy, odznaczony dwoma Żelaznymi Krzyżami, Artyleryjską Odznaką Szturmową, Złotym Niemieckim Krzyżem, trzema Odznakami za Rany i innymi drobiazgami. Zamelduje im, że pewien sąd garnizonowy wydał wyrok świadczący o absolutnym braku troski o honor jego i jego rodziny. Dopóki ta niesprawiedliwość nie zostanie naprawiona, jego honor będzie formalnie splamiony. Koledzy pomogą mu w walce z bezprawiem. Powinien więc czym prędzej wracać do swego pułku.

Powziąwszy tę decyzję całkowicie odzyskał spokój. Z podniesioną głową ruszył w stronę domu.

Tego samego wieczoru inżynier Wieland Altdörfer napisał do swego brata, adiutanta pułku, porucznika Alojzego Altdörfera, informując go o przebiegu rozprawy. Nie ukrywał przy tym, że uważa nadal Helgerta za groźnego przeciwnika i że byłoby rzeczą wskazaną, aby jego brat poczynił odpowiednie kroki zapobiegawcze.

Tegoż wieczoru dowódca okręgu wojskowego podjął niezwykle stanowczą decyzję, sprzeczną z własnymi interesami. Kiedy sędzia Najwyższego Trybunału Wojennego doktor van Torsten zakończył relację o przebiegu rozprawy i wyraził swoje obawy w związku z zawziętym charakterem porucznika Helgerta, generał zapytał go o zdanie na temat wagi i wiarygodności wypowiedzi świadków.

Van Torsten określił ich jako zgraną klikę, na którą w razie czego zawsze można liczyć.

Generał oświadczył wtedy, że postara się o przeniesienie gdzieś porucznika Dörnberga. Wtedy wszystkie przyszłe problemy związane z tą sprawą można będzie, „w ramach kompetencji sądu”, załatwić drogą korespondencyjną.

I tegoż wreszcie wieczoru tokarz Rudolf Bender otrzymał powołanie do wojska. Nie był tym nawet zbytnio zaskoczony, zapakował swoje rzeczy do pudła po proszku do prania i upewnił się, że ma się zameldować w koszarach artyleryjskich we Frankfurcie nad Odrą, przy ulicy Hindenburga. Uzyskał zgodę Ferdynanda Beckera na to, że grupa będzie dalej pracować pod jego kierunkiem. Zejście do podziemia byłoby niewskazane zarówno ze względu na stan zdrowia matki Bendera, jak i na jeszcze poważniejsze zagrożenie ze strony gestapo. Obaj zgodnie uważali, że

Klaudia Sanden wymaga teraz szczególnej opieki. Dlatego też Bender miał się z nią pożegnać dopiero przed samym odjazdem pociągu w taki sposób, żeby nikt nie mógł jej zarzucić kontaktów z byłym członkiem Partii Komunistycznej.

Ostatniej nocy Rudolf Bender zamierzał przeprowadzić w Zakładach Zbrojeniowych-Północ jeszcze jedną w najdrobniejszych szczegółach zaplanowaną akcję, o której jego matka mogła wyjątkowo nic nie wiedzieć.

Rozdział 10

Nieustannie nękane ogniem artyleryjskim ruiny Kasara wyglądały jak otwarte trumny. O paręset metrów za wsią zwisał nad spienionym nurtem Nierucza wysadzony w grudniu 1941 roku most kolejowy linii Orzeł - Woroszyłowo-Wierchowje. Od czasu do czasu wąską drogą wśród zwałów zardzewiałego żelastwa przemykały brunatne postacie budujące posuwający się wciąż naprzód tajemniczy system umocnień. Poza tym panował zupełny spokój. Wszędzie, gdzie kiedyś była wieś, rozciągała się pustynia. Na horyzoncie białą gruzą Szyrowa i Orłówki, z których wznosiły się w górę cienkie smużki dymu.

Eberhard Baum siedział znudzony na wieży kościoła w Kasarze, głównym stanowisku obserwacyjnym 5 baterii. Został tu chwilowo odkomenderowany wraz ze starszym szeregowcem Bürgerem, ponieważ celny strzał artyleryjski zmiotł połowę tutejszej załogi.

Baum obrócił lunetę w stronę Orłówki.

Bürger zapalił fajkę.

- No i przeżyliśmy pierwsze Boże Narodzenie. Wskazał fajką odległe ruiny.

Baum odszedł od lunety.

W ciągu półtora roku front przesunął się o dwanaście kilometrów...

- Wtedy byliśmy cholernie zgonieni. Od tygodni. Poza tym Orłówka stanowiła końcowy przystanek Henschberga.

- Jakiego Henschberga?

- To był kapitan i dowódca 4 baterii. Przez dwa tygodnie wlekleśmy jego zeszytniętego od mrozu trupa na wozie amunicyjnym. Trupa bez głowy, ale za to ze sznurami naramiennymi.

- Opowiedzże dokładnie, jak to było! - zachęcał Baum radiotelegrafistę.

Ten pociągnął znowu fajkę i splunął siarczyście za balustradę wieży.

- Długo by można o tym opowiadać. Trzynastego grudnia Ruski zaszedł nas ni stąd, ni zowąd od zachodu. Przyczał się w wiosce Krapiwinka i zaczął walić stamtąd w drogę manewrową z dział przeciwpancernych i paru ciężkich karabinów maszynowych. Śnieg był wtedy głęboki na metr albo i więcej. O podejściu do położonej na niewielkim wzniesieniu wioski nie było mowy. Żołnierze piechoty przy każdej próbie padali jeden po drugim. Jedną lekką polową haubicę z obsługą złożoną z oficerów trzeba było wysunąć naprzód, żeby unieszkodliwić dział przeciwpancerne. Kapitan Henschberg pełnił funkcje celowniczego. Miał już dział w polu widzenia, ale tuman śniegu przesłonił mu widok. Wychylił się, żeby spojrzeć ponad tarczą. I stał tak jeszcze chwilę, chociaż granat urwał mu już głowę. Wtedy Helgert ściągnął język spustowy i zaczął walić jak szalony, dał dziesięć, dwanaście strzałów, podskoczył do lunety celowniczej, nastawił lepiej dział i cały brzeg wsi zniósł z powierzchni. Dzięki temu mogliśmy się posunąć na zachód.

- A dlaczego zabraliście kapitana ze sobą?

- Bo koledzy oficerowie chcieli go koniecznie pochować w ojczyściej ziemi. Ale teraz leży tutaj, w Orłówce. Ci, co jutro polegną, pojutrze też się tam znajdą.

Obok drogi do Pielewki uderzył niewielki pocisk. Z sąsiedniej okrągłej wieżyczki poderwało się z ochryplym krakaniem czarne stado wron. Wzniosło się ociężale ponad zbocze i opadło na dno parowów nad brzegiem Nierucza.

Bürger wystukał fajkę w obcas.

- Pójdę zobaczyć, czy się gdzie nie znajdzie trochę tej czarnej lury. Pić mi się chce.

I zniknął w luku wieży.

Na terenie wokół stacji kolejowej wzbijały się coraz to nowe fontanny. Dopiero w parę sekund później rozlegał się huk. Jakaś ciężka bateria artylerii armijnej miała w tym widocznie swój określony cel.

Nagle w okolicy wsi Laninskij wszczął się jakiś ruch. Zaszczekały gniewnie karabiny maszynowe. Obok toru kolejowego ukazały się żółte grzyby. Nowy suchy trzask rozległ się echem po dolinie rzeki. To musi być jedno z piętnastocentymetrowych baterii z Sarecza położonych na południe od Nowosila, zastanawiał się Baum, liczył wybuchy i robił notatki do raportu obserwacyjnego. Przy okazji cieszył się odbijającymi się w lunecie promieniami słońca, dzięki którym ciężka zima 1941/1942 stawała się nierealna. Oto zwykła, pogodna frontowa codzienność, pomyślał.

Za torem kolejowym działo się jednak wyraźnie więcej, niż Baum mógł dojrzeć. Właśnie pikowało w dół parę lśniących samolotów szturmowych. Rosjanie. Odgłos ich donośnych serii karabinów dobiegł do wieży dopiero wtedy, kiedy maszyny wznosiły się już z powrotem pionowo w górę. Za nimi pękały bez sensu dwucentymetrowe pociski dział czterolufowych stojących pod Leskami.

Na schodach wiodących na szczyt wieży rozległy się czyjeś kroki. Drzwi w podłodze uniosły się i Baum, zaskoczony, ujrzał bladą twarz swego dowódcy baterii, porucznika Helgerta.

Jednym susem odskoczył od lunety i wciągał już przyjaciela po ostatnich stopniach w górę.

- Fritz, bracie kochany! Nareszcie wróciłeś! Co robisz w piątej? Nie masz pojęcia, stary, jak się cieszę!

I z całych sił ścisnął dłonie przyjaciela. Z jego oczu biła ciepła radość.

- Ja się też cieszę, Eberhardzie. Możesz mi wierzyć. Poza tym chcę cię zabrać z powrotem!

- Jak Berlin wygląda? Wiem, że się tam nie zatrzymywałeś, ale...

- Jak wygląda Berlin? Mój Boże... - Helgert spojrzał na ruiny pod nimi i wzruszył ramionami. - Jest sporo zniszczeń, na Wedding, w dzielnicach ubogich, za Alexem, przy Moritzplatz, właściwie wszędzie. Berlińczycy bardzo by już chcieli usłyszeć w radio fanfary komunikatu specjalnego.

Kąciki jego ust opuściły się.

Baum milczał chwilę, poirytowany tymi przygnębiającymi nieco stwierdzeniami, zwykle tak optymistycznie nastawionego Helgerta.

- Nie wyglądasz zbyt radośnie, Fritz.

Tamten nie odpowiedział, podszedł do lunety i udawał, że pilnie obserwuje okolicę. Tymczasem zamknął oczy i oparł czoło o zimne żelazo. Jak dobrze robi taki chłód, myślał. Wciąż ta sama udręczona myśl: Ilza. Całą resztę radości życia diabli wzięli. Dławił go suchy szloch. Opanował go jednak i manipulował przy luncie, nie widząc zresztą nic poza krzyżem przeziernikowym.

- Co powiesz o linii frontu? Chwalebny rezultat „koncepcji odwrotu Blüchera!”

- No cóż, całkiem niezła. - Głos Helgerta był nieco zachrypnięty. - Tylko trochę za daleko wysunięta na wschód. Roszanie na

prawo od nas stoją już paręset kilometrów dalej na zachód. Może z tego wyniknąć całkiem wesoły kociołek, o którym żaden komunikat wojskowy prawdopodobnie nie wspomni...

Baum był podobnego zdania, chociaż szczególny sposób wypowiedziania się przyjaciela mocno go dziwił. Nie chciał jednak psuć chwil powitania ponurymi perspektywami frontowymi, z którymi Helgert będzie się znowu i tak stykał na co dzień.

- Co słyszać u Ilzy? - spytał.

Helgert obawiał się z góry tego pytania. Chociaż był na nie przygotowany, trafiło w niego jak piorun. Z trudem się opanował.

- Dziękuję... stosunkowo nieźle. Przesyła ci pozdrowienia.

Wrócił do lunety.

Eberhard przyjrzał się uważnie szarej, zamkniętej twarzy przyjaciela.

Ciężki odłamek uderzył w płytką leśną kotlinę, gdzie znajdował się sztab batalionu. Wszyscy tam teraz znikają błyskawicznie w bunkrach. Po chwili rozległ się za nimi głuchy huk. Czarna chmura dymu po wybuchu sunęła powoli nad kasarskim kościołem.

- To od strony Trostnikowa albo Kamionki - powiedział porucznik. - Braciszkwowie znowu się wstrzeliwują. - Chcąc zmienić temat, wyciągnął z mapnika jakiś papier. - Przeczytaj to, Eberhardzie. Zasadniczo przeznaczone jest dla dowódców batalionów, ale major Meusel chciał, żeby i dowódcy baterii się z tym zapoznali.

„Siła i morale bojowe jednostek wycofanych z terenu Wołga-Don”. Baum ze zmarszczonymi brwiami czytał tytuł tajnego pisma naczelnego dowództwa.

- Póki pamiętam - powiedział jeszcze - mam cię także najserdeczniej pozdrowić. Klaudia pisała, że wyjeżdża w parodniową

podróż służbową. Teraz jest już z powrotem w Berlinie, w naszym Berlinie.

Fritz Helgert czuł narastające wewnętrzne wrzenie. Oto stoi przede mną mój jedyny przyjaciel i przekazuje mi pozdrowienia od Klaudii. Jest z nią zaręczony. Prawdopodobnie za niego Kurt Dörnberg zemścił się na mnie i na Ilzie. Jestem o tym przekonany. Roli Altdörfera w tej grze nie udało mi się jeszcze określić. Jeżeli nie zmobilizuję całej energii, na jaką mnie stać, zostaną przez tę historię zniszczeni. Nie mówiąc już o Ilzie. A Eberhard Baum nie ma o niczym pojęcia. Nie domyśla się też, jakie napięcie wyzwolił w ciągu ostatnich paru minut. Czy on ponosi za to wszystko jakąkolwiek winę? Helgert mimo woli potrząsnął głową, chociaż wiedział, że nie jest wolny od urazy. Gdyby Eberhard nie wciągnął go w tę sprawę, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Czy Helgert będzie mógł kiedykolwiek zachowywać się wobec niego tak swobodnie i bezpośrednio jak dotychczas? Czy ich przyjaźń da się jeszcze w ogóle utrzymać? Przypomniał sobie rozmowę między Baumem i Heizerem w dniu, kiedy poległ Senfleben.

Fritz Helgert nie miał wprawy w roztrząsaniu własnego życia. Jego przodkowie byli skromnymi rzemieślnikami, którzy wszystko, co osiągnęli, zawdzięczali wytrwałej pracy. Nikomu z nich nie zależało na zewnętrznych sukcesach, na sławie czy zaszczytach. Wszyscy jednak, przy całej swej prostolinijności, posiadali nietykalną, twardą dumę, którą przekazywali z pokolenia na pokolenie. Ta właśnie duma została w nim ciężko zraniona.

Od wyżyny bierzowieckiej rowami łączącymi nadeszli dwaj monterzy liniowi. Szybko minęli skrzyżowanie, gdzie przychwycony został niejeden zbliżający się niespodziewanie napad ognio-
wy. Monterzy, śmiejąc się, znikli w bunkrze pod kościołem. Skądś dobiegał przenikliwy, miarowy odgłos piłowania. Bateria ukryta

w lesie iglastym zaczęła strzelać. Przed linią wzgórz wybuchło parę brudnych piaskowych grzybów. Dym rozwiewał się powoli.

Helgert w ogóle tego nie zauważał. Nie orientował się nawet, że Eberhard obserwuje go już od dłuższej chwili. Dopiero kiedy przyjaciel złożył niezręcznie papier, w którym nie było ani jednego pocieszającego słowa, i podał mu go w milczeniu, podniósł nieprzytomny wzrok. - Możemy już iść - powiedział bezdźwięcznym głosem. Spojrzał raz jeszcze ku bielejącej w dali kupie gruzów, która kiedyś była miasteczkiem Nowosil. Silnym pociągnięciem uniósł w górę drzwi w podłodze, ruszył pierwszy w dół po drabinie i zszedł do rowu łączącego, nie zdradzając najmniejszej ochoty złożenia wizyty dowódcy sąsiedniej baterii.

Za kępą gęstych krzaków porucznik Helgert wyskoczył z rowu... zrobił dwa kroki... podniósł bez pośpiechu lornetkę do oczu i stał tak w całej okazałości pod obserwacją nieprzyjaciela.

Baum, wstrzymując oddech, patrzył na tę nieruchomą postać. Z pół tuzina ciężkich radzieckich karabinów maszynowych wstrzelało się już w to miejsce. Ten człowiek świadomie ryzykuje, szuka śmierci...

Nie padł jednak ani jeden strzał.

Helgert, nie oglądając się, powiedział:

- Spotkamy się potem na naszym stanowisku obserwacyjnym. Odmelduj się tu zgodnie z regulaminem.

Potem ruszył prosto w stronę wzgórza i maszerował niby olbrzymia tarcza strzelnicza przez najbardziej wysunięty rejon przedniego skraju obrony w stronę stanowiska obserwacyjnego 6 baterii, swojej baterii.

Wciąż jeszcze nie padł ani jeden strzał.

Baum zbladł jak ściana. Kiedy przyjaciel znikł mu z oczu, wrócił na punkt obserwacyjny, żeby poczekać na zmianę.

Wokół wieży kościelnej ciągnęły strzępy letnich pajęczyn. Nad doliną rzeki migotały pasma rozgrzanego powietrza. Jodły wznoszące się w milczeniu na przeciwległym stromym brzegu stały się jeszcze bardziej wyblakłe.

Nad wszystkim ciążył upał.

Dla pułkownika Krusemarka dzień ten nie był bez znaczenia. Pierwszy oficer sztabu generalnego dywizji, pan podpułkownik von Wenglin, wręczył mu dziesięć Żelaznych Krzyży I i trzydzieści pięć II klasy, przeznaczonych dla jego pułku. Oznajmił mu przy tej okazji, że zdaniem generała, dywizja przetrwała wiosenne wycofywanie się, łącznie z „akcją odwrotną Blüchera” oraz wynikające z niej ustalenie linii frontu, i poniosła niewielkie stosunkowo straty w ludziach i materiale tylko dzięki temu, że poza licznymi niezwykłymi aktami odwagi pułk artylerii stanowił w każdej fazie walki jej najbardziej niezawodne oparcie. Byłoby więc na czasie zawiesić na szyi dowódcy tego pułku - tu Wenglin uniósł siedzenie o pół centymetra ponad krzesło - zasłużone odznaczenie.

Krusemark zajechał potem z fasonem przed swoje stanowisko dowodzenia, żeby rozdzielić Żelazne Krzyże i błysnąć promiennym humorem. Wtedy zjawił się u niego Altdörfer, odseparował go od panów ze sztabu i zawiadomił poufnie o wyroku sądu wojennego w sprawie Helgerta.

Pułkownik natychmiast się zasępił. Z tego wszystkiego wynikała więc jedna z tych afer honorowych, jakich generał żywiołowo nie cierpiał. Z uczuciem grozy wyobraził sobie przesłuchania, proces honorowy i jeszcze gorsze rzeczy, przy czym wynik tych wszystkich kroków mógł wcale nie mieć dla całej sprawy decydującego znaczenia. Oczywiście konieczność pociągania do odpowiedzialności kogoś z jego pułku za uwłaczające czci postępowanie byłoby ostatecznością. Pułkownik zapytał więc swego

adiutanta, czy nie widzi on sposobu ukręcenia głowy tej historii, zanim zajmą się nią czynniki oficjalne. Nie darmo jest przecież adwokatem.

Altdörfer widział taki sposób i Krusemark natychmiast doznał ulgi. Poza tym Altdörfer zdawał sobie sprawę, że nadeszła znowu pora pokazania się dowódcom baterii i batalionów: dla umocnienia swojej pozycji adiutanta pułku, która codziennie, a więc w praktyce bez przerwy była zagrożona; dla odbycia krótkiej, dyskretnej pogawędki z panem Helgertem, który w tym wypadku musiałby być beznadziejnie od niego zależny, i wreszcie - last nos least - dla pana pułkownika, zapobiegając po prostu pewnym sprawom, bardzo dlań niewygodnym.

Dni były teraz spokojne, co stwarzało sprzyjające warunki dla bezpiecznego powrotu. Altdörfer wyruszył więc, nie zwlekając, w towarzystwie swego ordynansa, a na wszelki wypadek dokooptował jeszcze radiotelegrafistę z pistoletem maszynowym i paroma zapasowymi magazynkami. Gengenbach zadzwonił do Helgerta i zameldował, że adiutant pułku był właśnie na stanowisku ogniowym, kazał sobie przekazać właściwy kabel telefoniczny i wdrapuje się teraz na wzgórze bierzowieckie.

Altdörfer wspinał się, klął i umierał ze strachu, ponieważ ostatni dwunastometrowy odcinak opadał nieco w stronę wroga i mógł być dlań widoczny. Jeszcze zanim adiutant pułku znalazł się w głębi bunkra, zdążył poddać analizie pewne poruszenie w twarzy i zachowaniu Helgerta. Porucznik był wyraźnie przybity, ale niewątpliwie zdolny jeszcze do niejednego.

Kiedy zostali sami w niewielkiej sypialni, Altdörfer natychmiast przystąpił do rzeczy.

- Nie ma pan chyba wątpliwości, że mój brat o wszystkim mi napisał.

Ta bezpośredniość miała przeciwnika zaskoczyć i sparaliżować jego zdolność rozeznania.

Słowa te dopiero po chwili trafiły do świadomości Helgerta i wtedy przybrał na całej linii postawę obronną.

- Pozwolę sobie zapewnić pana o moim serdecznym współczuciu, chociaż pan, zdaje się, nie jest o tym przekonany.

Twarz dowódcy baterii była zamknięta, nieruchoma. Altdörfer chciał już jak najszybciej wywiązać się ze swej misji.

- Zgodzi się pan chyba ze mną, że jako adwokat mam już pewną praktykę. Zawsze tak się dzieje, że małżonek, który tak jak pan padł ofiarą zdrady, nie może po prostu uwierzyć w niewierność małżonki. Zaczyna walczyć w imię własnego i jej, jak mylnie sądzi, nieskalanego honoru. Przyszedłem tu z czysto osobistych, koleżeńskich pobudek, żeby udzielić panu całkiem prywatnej, życzliwej rady.

Fritz Helgert spojrział na niego z uniesionymi wysoko brwiami i wyjął z pudełka papierosa.

Za ścianą z desek obsunęły się grudki ziemi, co pochłonęło na chwilę uwagę Altdörfera.

- Lada moment czeka pana awans. Na pańskim miejscu nie puślębym sobie własnoręcznie takiej szansy. Niech się pan rozwiedzie z żoną, i to jak najszybciej. Pozbędzie się pan w ten sposób źródła zdenerwowania, uniknie niezwykle przykrego procesu i zachowa nieposzlakowany honor!

Altdörfer był zadowolony, że wreszcie wszystko zostało powiedziane.

Helgert opanował się największym wysiłkiem woli.

- Dziękuję panu za radę i życzę szczęśliwego powrotu.

Nie doceniał jednak gruboskórności Altdörfera. Adiutant spał kował niezręcznie swoje manatki i wstał bez pośpiechu.

- Będzie pan musiał złożyć meldunek panu pułkownikowi. Pan pułkownik zapyta pana pewnie, czy pan ma jakieś propozycje dyskretnego oczyszczenia... tej sprawy, oczywiście.

- Pozwoli pan, że o to już ja się sam będę martwił.
- Nie wydaje mi się, żeby to dotyczyło tylko pana... tu chodzi przecież także o honor pułku, o honor nas wszystkich.
- Pan sobie najwyraźniej wyobraża, że pana propozycje mają coś wspólnego z „honorem”.

- Jak mam to rozumieć?

Twarz Altdörfera zaczęła nabiegać krwią.

- Pańskie wysiłki, zmierzające do wypełnienia jakiegoś zobowiązania, są tak widoczne, że naiwność od tchórzostwa dzieli tu zaledwie krok.

Altdörfer puścił mimo uszu tę zniewagę, ponieważ wiedział, że wobec braku świadków nie mógłby jej dowieść. Helgert otworzył drzwi i cofnął się w głąb bunkra.

Minęło parę tygodni, zanim pułkownik wezwał do siebie dowódcę baterii Fritza Helgerta. Ten zaś mógł skorzystać z tej okazji, by powinszować swemu zwierzchnikowi wysokiego odznaczenia Krzyżem Rycerskim.

Dowódca pułku zachowywał się tak godnie, jak nigdy, stał wyprostowany, a Krzyż Rycerski wisiał mu na szyi niby odrębna żywa istota. Potem pułkownik usiadł i zajął się lekturą jakichś pism.

Porucznik siedział na krześle w milczeniu. Jego wzrok ominął Krusemarka i zatrzymał się na wielkiej mapie sytuacyjnej. Wyraźnie narysowana niemiecka linia frontu była ostra i spoista, biła z niej niesłychana pewność siebie. Naprzeciw niej pozaczynano tylko tu i ówdzie jakąś konkretną pozycję czy numer grupy operacyjnej, za to roilo się tam od znaków zapytania.

Helgert zapomniał o pułkowniku i domniemanej przyczynie, dla której go tu wezwano. Zatopił się w studiowaniu mapy. Na północy Leningrad, którego mimo ogromnych wysiłków, podejmowanych w ciągu trwającej już dwa lata wschodniej kampanii,

najlepsze jednostki armii północnej nie zdołały jeszcze zdobyć. Dalej front ciągnął się wzdłuż linii kolejowej Kirszi-Nowgorod aż do jeziora Ilmień; był to front wołchowski. Od dolnego brzegu jeziora, trzysta pięćdziesiąt kilometrów na południe przez Wielkie Łuki aż po Wieliz: - front kaliniński Czerwonej Armii. Stąd główna linia frontu biegła na południowy wschód, przecinając linię kolejową Smoleńsk-Moskwa aż do Dorogobuża. Był to tak zwany łuk jeleński, punkt ciężkości radzieckiego frontu zachodniego. Cały teren na wschód od niego, z miastami Bołogoje, Rzew, Wiaźma, został zdobyty za cenę morza krwi i z powrotem stracony. Zaraz potem następował najbardziej rzucający się w oczy kształt - łuk orłowski. Za nim front briański i centralny. Na przestrzeni głębokiego występu na zachód z ośrodkiem strategicznym w Kursku od marca nie zaszły żadne istotne zmiany. Tu znajdował się najdrażliwszy odcinek: front woroneski. Od Woroneża do Siewska Rosjanie walcząc, przesunęli się o dobre trzysta pięćdziesiąt kilometrów, zastanawiał się Helgert, podczas gdy pułkownik wciąż jeszcze nie zdradzał ochoty zrezygnowania z efektownej pozy.

Biełgorod-Wołczańsk-Żmijew: front stepowy i czerwony front południowo-zachodni. Tam mniej więcej zaczynała się południowa grupa operacyjna, zajmującą pozycje najbardziej wysunięte na wschód: Bałaklerja-Izium-Lisiaczańsk. Tu stała 6 armia wzdłuż rzeki Mius aż po Taganrog nad Morzem Azowskim. Całkiem na południu, jakby zagubiony na końcu świata, przyczółek kubański - rzekomo strategiczna odskocznia do wypadów po naftę do Azji Mniejszej, na Bliski Wschód. Flaga wojenna Rzeszy zatknięta została na najwyższym szczycie Europy, Elbrusie.

Kiedy porucznik zamierzał skoncentrować całą uwagę na środkowej grupie operacyjnej, pułkownik zakaszłał.

Czekająca ich rozmowa nie była dla Krusemarka przyjemna, ale też nie budziła w nim szczególnego niepokoju. Zastanawiał go jednak fakt, że wyrok sądu wojennego w Hamburgu nie został dotychczas przekazany pułkowi. Prawdopodobnie zamierzano całą tę sprawę po prostu zatuszować. Skończony idiotyzm, myślał pułkownik, u Prusaków wyroki żyją swoim własnym, niezależnym życiem.

Znał zresztą przebieg rozprawy z protokolarnej niemal relacji, jaką zdał mu Altdörfer dzięki istnieniu swego brata Wielanda. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ten dureń Helgert nie zgodził się natychmiast na propozycję rozwodu. Krusemark zapalił sobie powoli cygareto, odsunął na bok wszystkie papiery i przemówił chropowatym, dość wysokim głosem:

- Muszę drogą służbową prosić pana o powiadomienie mnie o wyniku wszczętej przez pana rozprawy. Niech mnie pan fałszywie nie zrozumie! Na razie nie skłaniają mnie do tego względy natury dyscyplinarnej. Ciekawość, jak pan wie, nie wchodzi w moim wypadku w ogóle w rachubę. Chodzi tu tylko o życzenie generała, który pragnie być o tym poinformowany.

Helgert poczuł znowu nieznośne napięcie nerwów i palący wstyd. Po czym wyprężył się i powiedział cicho:

- Oskarżony został uniewinniony z braku dowodów!

Krusemark zrobił taką minę, jakby się dowiedział o wyroku śmierci, więzieniu, przeniesieniu karnym czy czymś podobnym i spojrział na Helgerta z udanym przerażeniem. Popiół spadł mu z cygara. Zmiotł go ze stołu tak, że spadał potem na ziemię niby mała śnieżna chmurka.

- A to ci dopiero! Naprawdę fatalna historia! Musimy się zastanowić, co dalej robić. Czy ma pan jakieś propozycje?

- Spodziewam się, że tu, na froncie, oddana mi zostanie sprawiedliwość, której mi odmówiono w ojczyźnie.

Pułkownik Krusemark pokiwał poważnie głową.

- Te urzędasy na tyłach wciąż jeszcze nie rozumieją, że my tu za nich karku nadstawiamy. To po prostu niesłychane! Ale oni mnie jeszcze nie znają.

Wstał i cała jego postawa wyrażała pełną grozy stanowczość.

Helgert, pobladły, również wstał. Doznał nagle uczucia bezpieczeństwa.

Krusemark nie chciał się wiązać żadnymi konkretnymi obietnicami i napomknął tylko o paru strategicznych wariantach.

- W tej chwili nie mogę oczywiście powiedzieć, co trzeba i co można będzie w tej sprawie zrobić. W każdym razie niech pan na mnie polega! Dziękuję panu bardzo. Skomunikuję się z panem.

Helgert odesłał chłopca z końmi z powrotem na stanowisko ogniowe, sam zaś postanowił przebyć owe siedem kilometrów piechotą, żeby ochłonąć i wyrobić sobie jasny pogląd na sprawę.

Pułkownik stoi po mojej stronie. Jaki on jest, taki jest, ale nie dopuści do tego, żeby któregoś z oficerów jego pułku bezkarnie obrażano. Wkrótce będzie się musiała odbyć wstępna rozprawa honorowa, a potem prawdopodobnie właściwa rozprawa. Zgodnie z zarządzeniem feldmarszałka Keitla. Jako ostateczna instancja w tych sprawach - wydał on przecież na ten temat specjalną broszurę. Na wstępnej rozprawie ustalili się, czy honor porucznika Helgerta został splamiony przez to, że na jego żonie dopuszczono się przestępstwa i sąd wojenny stanął po stronie przestępcy.

Porucznik Helgert skierował się ku wysuniętemu punktowi obserwacyjnemu naprzeciwko młyna Sobody, gdzie co noc rozpętywało się piekło. Nieraz już ścierały się tam ze sobą oddziały szturmowe. Helgert siedł transzeją naprzód. Gdzieś daleko, w dolinie Nierucza, padł pojedynczy strzał karabinowy. Groźne echo

odbijało się od jednego stromego brzegu do drugiego. W pobliżu wzbija się leniwie w górę rakietka sygnalizacyjna, rozsiewając migotliwie światło. Wszystko dokoła zaszywało się jakby jeszcze głębiej w ciemność.

Podporucznik Eiserberg, wieloletni dowódca 3 kompanii, stojącej naprzeciwko młyna, siedział w towarzystwie plutonowego Söchtinga, następcy Senflebens, popijając z zapalem wódkę. Wobec tego, że według danych statystycznych pułku piechoty dowódca kompanii ginie przeciętnie po trzech miesiącach służby na froncie, jego termin został teoretycznie już dawno przekroczony. Podporucznik Eiserberg starał się więc, póki czas, maksymalnie korzystać z napojów wysokowych.

Helgert przysiadł się do nich. Jego myśli nie mogły się odebrać od splamionego honoru. Nie wymawiał się dzisiaj od wódki. Kiedy zabierali się już do drugiej butelki, Eiserberg wstał, zapalił papierosa, wyszedł z bunkra i stanął w rowie, wpatrując się w czarny młyn po drugiej stronie. Nieraz ogarniało go wrażenie, że nie wyjdzie stąd żywy.

Helgert nasłuchiwał przez chwilę, czy Eiserberg nie wraca. Oczy miał mętne, chwiały się lekko.

- Nalej jeszcze coś do chłania, Söchting! - rzekł, podając plutonowemu szklanekę.

- Pana zdrowie, panie poruczniku.

- Twoje zdrowie, stary byku! - Język zaczął mu się płątać. -

Czy pan jest żonaty?

- Oczywiście. Mam nawet dzieci. Dwóch synków.

- Ma pan rodzinę? Prawdziwą rodzinę?

Helgert patrzył bez wyrazu na wyłożoną deskami ścianę bunkra. Oczy mu zwilgotniały.

Ale się chłop rozkleił, pomyślał Söchting. Jeszcze go w takim stanie nie widziałem.

- Prawdziwe małe dzieci, którymi się pan cieszy? Które czekają na pana w domu?

Helgert ścisnął ramię plutonowego. Oddychał mu gwałtownie prosto w twarz. Söchting skinął głową.

- Dzieci to największa radość mojego życia.

Po czym znowu napełnił szklankę po brzegi i podsunął ją trochę nieśmiało porucznikowi. Żeby ten Eiserberg wreszcie wrócił! Söchting absolutnie nie umiał dać sobie rady ze swym dowódcą baterii.

W końcu Helgert oparł głowę na szorstkim blacie stołu i zapłakał.

Grupa żołnierzy rezerwy jechała pod dowództwem świeżo upieczonego kaprała, Heinricha Heidemanna z Frankfurtu nad Odrą, przez Warszawę do Brześcia Litewskiego; potem z Mińska do Homla i wreszcie z Briańska dalej na wschód.

Było ich razem dwudziestu czterech. Większość starych wyjadaczy, którzy znali już front wschodni jak własną kieszeń, przyznawała się otwarcie, że nie ma najmniejszej ochoty wracać do tego „diabelskiego młyna”. Poza tym czekali w napięciu, gdzie zostaną przydzieleni.

Nowicjusze zaś dość się już zdążyli nasłuchać o centralnym odcinku frontu i coraz to któryś powtarzał zdanie, że niełatwo będzie wygrać wojnę na wschodzie.

Pierwsze wielkie przeciwnatarcie Rosjan odsunęło teren walk od zagrożonej Moskwy. Bitwa nad Wołgą rozpoczęła zimowiosenną ofensywę Armii Czerwonej, która wdarła się daleko na obszar zajęty przez Wehrmacht i nie tylko uczyniła wyłom w linii frontu, ale odzyskała dla sierpa i młota setki tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi.

Od kwietnia nie rozegrało się na środkowym odcinku nic szczególnego. Ale każdy posiadający jakie takie wojskowe wykształcenie orientował się, że coś się tu szykuje. Pociągi przewoziły dniem i nocą transporty żołnierzy. Na każdym dworcu stały szeregi wagonów pełnych broni. Piętrzyły się zapasy amunicji.

Teraz mamy maj, dumali żołnierze. Niech no tylko nadejdzie czerwiec, lipiec... Wtedy zaczniesz się polka. I chętnie zrezygnowaliby z pasowania na frontowych bohaterów.

Rudolf Bender przez sześć dni trwania transportu - prowadzonego przez Heidemanna, z postojami na rozmaitych wysuniętych punktach dowodzenia, przeznaczonych do manewrowania przejeżdżającymi wojskami - rozglądał się za politycznie wartościowym materiałem, nad którym opłaciłoby się popracować.

Byli wśród nich powściągliwi, którzy milkli, kiedy tylko rozmowa schodziła na bardziej istotne sprawy. Inni znów z niezawodną trafnością piętnowali zewnętrzne zjawiska, nie szukając związków przyczynowych. W większości wypadków jednak horyzont myślowy żołnierzy ograniczał się do puszek ze smalcem i sucharów, do kasyn wojskowych i sera w tubach, do podkradania skarpetek i warty w stajniach, do przydziału papierosów i proszku przeciw wszom. Ich największym marzeniem było zostać podoficerem żywnościowym we Francji albo Grecji i mieć pierwszorzędną przyjaciółkę. O kobietach, dziewczętach, ale przede wszystkim o tęgich, jędrnych babach rozprawiano nieustannie i przy każdej okazji. Zwłaszcza kapral Heidemann, dowódca transportu, według własnych relacji był w łóżku bezkonkurencyjnym zawodnikiem. Bender mimo woli uśmiechał się pod wąsem, słysząc plastyczne określenia, jakich używał dwudziestoletni kapral opisujący szczegółowo swoje miłosne wyczyny wobec

zapatrzonych w niego ze zdumieniem, zazdrością, a czasem i wyższością słuchaczy. Miał może metr osiemdziesiąt wzrostu. Mundur połowy wisiał na jego szczupłej postaci. Spod gęstych, ciemnych włosów patrzyły bystre oczy.

O polityce nie ma on wielkiego pojęcia, stwierdził Bender. Hitler, jego zdaniem, był do 1939 r. porządnym facetem, tylko zupełnie niepotrzebnie dał się wciągnąć w wojnę. A teraz byłoby trudno powstrzymać tę całą rozpędzoną maszynę. Przy tym Heidemann był całkiem inteligentnym chłopcem; jeśli wierzyć jego słowom, miał za sobą parę semestrów prawa na uniwersytecie w Getyndze. Może nas nie rozdziela, postaram się wtedy mieć go na oku. Na ogół jednak poziom ich umysłów jest nie najlepszy.

Bender przypomniał sobie przeżycia ostatnich dni i poczuł, jak gorzka, może nawet za gorzka, jest jego ocena tych żołnierzy, z których większość pozbyła się samodzielnego myślenia i własnej woli najpóźniej w chwili wkładania munduru. Powinni przede wszystkim wydobyć się z diabelskiego kręgu, który głosi:

Tam, na froncie, czeka na ciebie nieprzyjaciel, zabij go! Tak jest!

Jego i jego rodzinę! Tak jest!

Wtedy staniesz się bojownikiem za Führera, za naród i Rzeszę i zasłużysz na awans. Tak jest!

Jeśli będziesz ranny, wyleczą się, żebyś mógł kiedyś w gronie przyjaciół opowiadać o wielkich czasach, podkreślając własne bohaterstwo.

A potem tak szybko po tym wszystkim, zapomnisz, że wyruszysz na następną wojnę, jeśli nowy porządek społeczny nie nauczy cię myśleć inaczej.

Ci ludzie muszą najpierw zrozumieć, za kogo tutaj umierają, za kogo ginęli na wszystkich możliwych polach bitew ich przodkowie,

ojcowie i dziadkowie, których portrety do dziś zdobią reprezentacyjne izby, jeśli bomby ostatniej wojny nie zniosły ich z powierzchni. Muszą zdać sobie sprawę z tego, że naród, który został zaatakowany, ma prawo chwycić za broń i zabijać najeźdźców, gdzie ich tylko dopadnie. Kiedy ci chłopcy, którzy w gruncie rzeczy nie są źli, pojmą, jak bardzo zostali wykorzystani i za kogo mają wyjmować z ognia kasztany tak gorące, że nie tylko oni poparzą sobie nimi palce, ale każdy, kto wyciągnie po nie rękę - wtedy dopiero nastąpi wielka przemiana.

Związek Radziecki przekroczył próg nowej ery w dziejach ludzkości. Socjalizm będzie powoli ogarniał coraz więcej narodów i w końcu przepędzą one swoich ciemiężców. Kiedyś i naród niemiecki wejdzie na nową drogę. Wtedy zapanuje pokój. Na Holzmarktstrasse i wszędzie!

Na froncie, wśród strzelaniny - pocieszał się Bender - chłopcy będą bardziej szczerzy. Może przy pewnej dozie cierpliwości uda się zasiać tu i ówdzie jakieś ziarenko, które kiedyś wzejdzie.

Pociąg włókł się leniwie i kanonier Bender mógł spokojnie przemyśleć ostatnie tygodnie spędzone w ojczyźnie.

Zakłady Zbrojeniowe Północ. Mrówki przeszły mu po krzyżu na wspomnienie nocy przed powołaniem do wojska.

Towarzysze uknuli zuchwały plan, który po wielotygodniowych przygotowaniach został opracowany w najdrobniejszych szczegółach. Celem tego planu miało być wysadzanie w powietrze zbiegających się w podziemnych pomieszczeniach siłowni kabli wysokiego napięcia i tym samym unieruchomienie na jakiś czas całej fabryki.

Bender raz jeszcze przeżył swoją ucieczkę.

Ładunek wybuchowy został już założony. Lont leżał równiutko na betonie. Płomyk zapalił się z sykiem. Pozostało mu siedem do ośmiu minut.

Parę kroków i znalazł się przy szybie ekshaustora. Z latarką w ustach zaczął wspinać się w górę, podpierając się plecami, stopami i kolanami. Głowa bolała od wysiłku. Spodnie na lewym kolanie przetańczyły się. Nie mógł patrzeć w dół, ładunek miał zasadniczo wysadzić wszystkie główne kable i najwyżej część piwnic, ale szyb powinien pozostać nietknięty. Wspinaczka szła Benderowi coraz zręczniej. Nagle uderzył głową w coś elastycznego. Pomacał ręką. Drut! Siatka druciana! Niewinna osłona zapobiegająca, żeby nie wrzucono do piwnicy czegoś przez nieuwagę. Tego jeszcze brakowało! Czuł, że mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa. A minęły już prawie cztery minuty! Sięgnął po ciężki śrubokręt, wyciągnął go z trudem. Oстрыm katem zadrasnął sobie twarz do krwi. Usiłował podważyć siatkę. Ale pchnięcie było z tej pozycji za słabe. Spróbował odginać poszczególne oczka. Udało się. Szarpnął, dysząc, aż wreszcie druty ustąpiły. Bender obsunął się trochę, chwycił znowu mocno brzeg siatki i odchylił ją, jak mógł najszerszej. Ciepła krew spływała mu po palcach. Centymetr po centymetrze pokonał wreszcie przeszkodę. Ubranie było już w strzępach.

Zawzięcie podciągał się dalej w górę, nagle zobaczył nad sobą wiązania dachu. Minęło już sześć minut!

Przed nim, tuż obok ekshaustora, znajdowała się kłapa zamykająca wyjście na dach. Miejmy nadzieję, że księżyc nie świeci jaśniej, pomyślał i uniósł żelazną pokrywę. Ujrzał zardzewiałe szczeble zejścia zapasowego. Ściana pogrążona była w głębokim cieniu. Bender wylazł na zewnątrz. Zakręciło mu się w głowie pod wpływem chłodnego nocnego powietrza.

I wtedy na dole rozległ się huk. Bender ścisnął mocniej szczeble drabinki. Zdawało się, że cała budowla dygocze. Następna eksplozja! Szyby z brzękiem powylały z okien. Schodził po dwa stopnie naraz... jeszcze dwa, jeszcze dwa... byle bliżej ziemi.

Po drugiej stronie budynku otworzyły się z trzaskiem ciężkie dębowe wrota.

- Na pomoc! Na pomoc!!!

Nie znał tego głosu, ale był to na pewno ktoś z siłowni. Najwyraźniej nikt więcej nie zareagował na detonację. Światła nie było nigdzie widać.

Z wysokości ostatnich trzech metrów zeskoczył, odwiązał opasujący go rzemień i schował do teczki.

Teraz zaroiło się wszędzie. Z kantyny wylegli tłumnie robotnicy i urzędnicy. Skądś wydobywały się kłęby dymu, jakby gdzieś wybuchł pożar. Żeby wreszcie minąć ten przeklęty róg kantyny!

Nadjechał jakiś samochód. Pewnie Sicherheitsdienst! Tego się Bender nie spodziewał. Ten wóz chyba przypadkiem znajdował się w pobliżu.

Bender czuł, jak samo wspomnienie tej decydującej chwili dech mu zapiera.

Gwałtownym ruchem przycisnął się do ściany. Samochód śmignął obok niego i zaraz potem zatrzymał się, zgrzytając hamulcami. Dokoła panował niesamowity ruch i rwetes.

I wtedy Bender wyszedł na ulicę. O sekundę za wcześnie.

Znalazł się nagle w zasięgu oślepiającego światła reflektora poszukującego.

Ludzie rzucili się jak szaleni w jego kierunku. Ktoś krzyknął:

- Trzymajcie go! Trzymajcie! - Podkute buty zastukały po asfalcie.

Przez chwilę Bender stał jak sparaliżowany, po czym postawił wszystko na jedną możliwą kartę i uskoczył ze światła reflektora w ciemność. Całe dwieście metrów dzieliło go od magazynów. A tamci ścigali go zawzięcie. Jeśli zabiegną mu drogę z boku, to koniec. Poczł ostre klucie w śledzienie.

Błyskawicznie przebiegła mu przez głowę myśl o skutkach wybuchu. Przynajmniej jeden pełny dzień przerwy w produkcji.

Jeśli nie znajdzie z dokładnością co do metra miejsca obok kotłowni, będzie zgubiony. Stamtąd też chyba wszyscy powychodzą, bo w oknach było ciemno. Za nim rozlegał się nieustanny wrzask:

- Trzymajcie go!!!

Bender ostrym łukiem okrążył budynek magazynów, podbiegł do przygotowanych już od dawna szczelin w murze, chwycił się wbitych tam gwoździ i ostatnim zrywem energii podciągnął się w górę, kiedy usłyszał suchy odgłos strzału.

Tuż obok niego osypał się tynk.

Powtórny strzał!

Bender siedział już na murze i znów zobaczył ogień buchający z lufy. Instynktownie położył się na boku, stoczył na drugą stronę muru i pogrążył w cieniu bzu.

Nazajutrz wyjechał do Frankfurtu.

Doktor Rodber z oddziału rezerw artyleryjskich zrobił zafra-sowaną minę, kiedy podczas badania kontrolnego osłuchiwał stetoskopem klatkę piersiową kanoniera Bendera.

- Musiał się pan solidnie przemęczyć pracą. Nie podoba mi się pańskie serce. Wezmę pana zaraz do izby chorych na tydzień obserwacji.

Tak więc skutki jego „wypadku” zostały doprowadzone do porządku na koszt państwa i Bender mógł się przynajmniej raz porządnie wyspać.

Kiedy został wypuszczony z izby chorych jako „warunkowo zdolny do służby”, szef kompanii oświadczył, że on nie dałby się tak łatwo nabrać. Nic więc dziwnego, że Bender był pierwszy na liście tych, którzy najbliższym transportem mieli jechać na front.

Sztab armii rozlokował się na skraju Orła, w licznych małych budynkach. Otaczały one podłużny, wąski plac, który przypominał raczej duże podwórko. Tam to od paru już godzin dwudziestu czterech żołnierzy rezerwy czekało na swój przydział. Nudzili się wprawdzie, ale nie narzekali, zgodnie z odwiecznym pocieszającym żołnierskim porzekadłem: O tyle krótsza będzie wojna.

Podpułkownik von Wenglin brał udział, wraz ze swym dowódcą dywizji, w omawianiu sytuacji u naczelnego wodza. Przy okazji - załatwiał jeszcze mnóstwo rozmaitych spraw administracyjnych. Stał teraz w oknie pokoju głównego kwatermistrza i patrzył na zalany słońcem plac. Nowe mundury czekających tam żołnierzy zdradzały, że pochodzą oni albo z baterii ozdowieńców, albo z oddziału rezerw artyleryjskich. Niestety jednak - przeznaczeni byli dla innej dywizji, gdyż jego własna nie spodziewała się na razie posiłków. Słowo „rezerwa” wprawiało go w stan podniecenia, kiedy pomyślał o smutnym stanie liczebnym jednostek. Chociaż rosyjska ofensywa zimowa została zakończona już trzy miesiące temu, nie udało mu się jeszcze uzupełnić wchodzących w skład dywizji oddziałów. Nie szkodzi w każdym razie spróbować wycygnąć chociaż kilku ze świeżo przybyłego transportu.

W oddziale II a podkreślił niezwykle zasługi swojej dywizji, których uznanie znalazło niedawno wyraz między innymi w odznaczeniu dowódcy pułku artylerii, pana pułkownika Krusemarka, Krzyżem Rycerskim. Pułk ten poniósł największe straty w ludziach. Czy nie dałoby się więc w drodze wyjątku uzyskać przydziału paru żołnierzy z przysłanej ostatnio rezerwy?

Oficer IIa przypomniał sobie znakomite koligacje podpułkownika von Wenglina. Jemu, jako dysponującemu materiałem

ludzki, było absolutnie obojętne, kogo obdzieli tą gromadą niewiele wartych pod względem wojskowym artylerzystów. Udawał jednak surowego służbistę, zajrzał do tabeli etatów wojennych i oświadczył, że może odstąpić najwyżej ośmiu ludzi.

Von Wenglin zadowolił się tym i wyszedł na plac, żeby wybrać sobie żołnierzy według własnego uznania. Kaprala Heidemanna wziął ze względów czysto praktycznych. Rudolf Bender znalazł się również wśród wyeliminowanych, może dlatego, że obserwował z nieograniczoną ciekawością działalność oficera sztabu generalnego odzianego w spodnie z czerwonymi lampasami.

Wieczorem Bender dotarł do stanowiska dowodzenia pułku artylerii. Po załatwieniu w kancelarii wszystkich wymaganych formalności wyruszył samochodem, który zabierał pocztę dla oddziału, do 5 baterii, gdzie został przydzielony. Porucznik Altdörfer nie znał zajęcia bardziej pasjonującego jak studiowanie wszelkiego rodzaju akt. Zanim odesłał papiery rezerwowych żołnierzy do poszczególnych jednostek, rozejrzał się w nich dokładnie i stwierdził między innymi, że kanonier Rudolf Bender należał przed rokiem 1933 do Partii Komunistycznej. Odruchowo zakreślił to miejsce czerwonym ołówkiem. Nigdy nie wiadomo, kto i kiedy zechce o to zapytać.

Wniosek Helgerta o rozprawę honorową został przyjęty. Czynniki odpowiedzialne doszły na podstawie hamburskiego wyroku do wniosku, że nie da się uniknąć rozprawy honorowej przeciwko dowódcy 6 baterii, porucznikowi Fritzowi Helgertowi.

Helgert nie spodziewał się niczego innego. Jeśli cios wymierzony w szarlatanów z Hamburga miał być skuteczny, należało we wszystkich instancjach stwierdzić niewinność jego i Ilzy.

Po parotygodniowych przygotowaniach wyznaczono rozprawę akurat na dzień, w którym przypadła druga rocznica kampanii wschodniej. Miano odczytać wtedy żołnierzom rozkaz dzienny naczelnego wodza.

Helgert udał się najpierw na stanowisko ogniowe. Haubice wkopane były na zboczu kotliny położonej na północ od Berzowca. Szeroko rozgałęziony system transzei łączył bunkry załogi i składy amunicji ze stanowiskami ogniowymi dział. Podporucznik Gengenbach mógł ze swego stanowiska dowodzenia dotrzeć osłoniętymi rowami łączącymi do centrali telefonicznej, do stanowisk karabinów maszynowych oraz do bocznego punktu obserwacyjnego dla celów bezpośrednich. Nad całym terenem zajęтым przez stanowisko ogniowe rozpięta była rzadka siatka maskująca. Ludzie koczowali tam, zagrzebani głęboko w ziemi, gotowi każdej chwili znieruchomieć z przerażenia, gdyby w powietrzu rozległ się warkot radzieckiego samolotu. Za to na odległej stąd o sześćset mniej więcej metrów pozycji pozorowanej stwarzano, często sztucznie, jak najbardziej ożywiony ruch, żeby skłonić nieprzyjacielską artylerię i bombowce do marnowania amunicji.

Dowódca baterii odczytał rozkaz dzienny bez wewnętrznego przekonania, tylko dlatego, że takie otrzymał polecenie. Przeszedł potem do żołnierzy z głównego stanowiska obserwacyjnego, gdzie i on sam siedział w ziemi już od wczesnego lata, i po raz drugi wyrecytował oficjalne pismo, mechanicznie i bez wyrazu.

Wyrażano w nim wiarę w szybkie zwycięstwo, chociaż Tunis i Bizerta padły pod ciosami Montgomery'ego, a 13 maja skapitulowała grupa armii niemieckiej w Tunezji.

Była też mowa o niewzruszonym niemieckim posłannictwie i o opatrności. Helgertowi przyszło na myśl osiemset rosyjskich kobiet, które pod ścisłą strażą, w gorączkowym tempie, musiały

nocami kopać rów przeciwpancerny, biegnący po linii łuku orłowskiego i występu kurskiego, żeby można było przy jego pomocy odierać wszelkie ataki Armii Czerwonej. Kobiety te wydrążyły sobie nory w twardych gliniastych zboczach wzgórza, na którym znajdowało się stanowisko obserwacyjne, i tam się w ciągu dnia gnieździły. Mimo skąpego wyżywienia cechowała je swoista wewnętrzna pogoda. Przed paroma dniami porucznik kazał tłumaczowi zapytać którąś z nich o przyczynę tej pogody. Odpowiedź wydała mu się wymijająca. Ze spojrzeń, jakie między sobą wymieniały, można było wyczytać, że mimo rowu przeciwpancernego są przekonane o odzyskaniu wolności dzięki swym uzbrojonym rodakom.

Pismo rozwodziło się także o niemieckim bohaterstwie. Dowódca baterii czuł jednak podczas rozmów ze swymi podwładnymi, że ich postawa staje się coraz bardziej krytyczna, że coraz więcej wątpliwości budzi w nich to, co on mówi albo musi mówić.

W gazetach i rozkazach pisano na przykład, że wyniszczony nieprzyjaciół nie posiada już prawie broni, że radzieccy komisarze pędzą do walki dzieci i starców przy pomocy wielkokalibrowych pistoletów. A żołnierze niemieccy widzieli przecież, jak znakomicie strzela radziecka artyleria; jak nieustępliwy, zdecydowany przeciwnik tkwi w rowach po drugiej stronie ziemi niczyjej i że po każdym starciu budzi w nich coraz większe uznanie; jak obszar powietrzny na tym odcinku frontu dostaje się pod coraz ściślejszą kontrolę czerwonych myśliwców, samolotów rozpoznawczych i szturmowych.

Helgert oddał pisarzowi papier podpisany przez generała broni - Schmidta. Była już najwyższa pora gotować się do rozprawy. Należało dojechać konno do odległego o trzynaście kilometrów Woroszyłowa, gdzie miało się odbyć posiedzenie rady honorowej. Krąg osób z korpusu oficerskiego pułku i dywizji,

poinformowanych o jego sprawie, zdążył się już przez ten czas mocno rozszerzyć. Jeszcze parę miesięcy temu doprowadziłoby go to do pałki, dziś było mu prawie obojętne. Żywił niezachwiane przekonanie, że cała siła pułku stoi po jego stronie, że pułkownik Krusemark potraktuje, sprawę z wyżyn swego autorytetu. Oczywiście nie tylko ze względu na jego osobę, ale to w rezultacie nie ma żadnego znaczenia. Temu nędznemu Altdörferowi też da się do zrozumienia, jak nikczemne były jego propozycje. Propozycje, których rozważaniem rada honorowa w ogóle nie będzie się zajmować.

Altdörfer przywitał go z grobową miną i poprosił do kancelarii. Panowie rozpoczęli obrady o godzinę wcześniej. Wezwą go w odpowiedniej chwili.

Helgert już od szeregu dni nosił ze sobą w mapniku notatki do swojej wypowiedzi. Usiłował skupić się na temacie rozprawy, ale nie bardzo mu się to udawało.

Gdzieś daleko rozległ się gwizd „ognistego Eliasza”, który ciężko dysząc, sunął z Orła przez Seminarską, Sobakino i Zołotarewo, żeby wyładować na tutejszej stacji wszystko, co może się przydać na froncie, a więc ludzi, amunicję, towar dla kantyn, marmoladę. Fakt ten budził niezmiennie zainteresowanie nieprzyjacielskiej artylerii i jej wszelkich obserwatorów. Porucznik uśmiechnął się pod wąsem, zastanawiając się, czy rada honorowa dyskutowałaby dalej, gdyby w tej chwili parę jednostek Iłow-2 spuściło jej na głowę swój ładunek.

Słyszał wciąż strzały baterii 21-centymetrowych móździerzy! Szyby brzęczały. Helgert spojrzął w bok przez okno. Widać stąd było balon, oko tej ciężkiej broni, wznoszący się nad torem kolejowym. Teraz strzelano w stronę ruin Nowosila albo na stanowiska ogniowe w Kamionce. A może wyładowuje się właśnie jakiś transport na dworcu w Wierchowju.

Drzwi otworzyły się. Stał w nich pułkownik Krusemark. Nie był w najlepszym humorze i przystąpił natychmiast do rzeczy.

- Póki jeszcze nie jest za późno, poruczniku! Zdaje pan sobie sprawę, że najbliższe chwile będą dla pana decydujące. Jeśli stanie pan solidarnie po stronie swojej... szanownej małżonki, pociągnie to za sobą prawdopodobnie, z tej, czy innej strony, pewne drobne komplikacje. Jeśli pan tego nie uczyni, a zna pan przecież owo drugie wyjście, rozprawę można będzie zamknąć natychmiast, i to z wynikiem pozytywnym. Nie zamierzam udzielać panu żadnych osobistych rad, ale...

Helgertowi zdawało się, że źle słyszy.

- Panie pułkowniku...

- Zaraz będzie pan mógł powiedzieć wszystko radzie honorowej.

Krusemark odwrócił się zniecierpliwiony, aż jego Krzyż Rycerski podskoczył nerwowo, i dał Helgertowi znak, by szedł za nim. Po czym ruszył przodem, nie obejrzawszy się ani razu.

Panowie z rady honorowej, której przewodniczył pułkownik, siedzieli wokół długiego stołu. Miejsce naprzeciwko Krusemarka było wolne. Dwaj dowódcy batalionów i inni wyżsi oficerowie mieli surowe miny. Bezpośredni zwierzchnik Helgerta, major Meusel, skinął mu głową z powściągliwą życzliwością.

Pułkownik Krusemark zreasumował wszystko, co się dotychczas wydarzyło. Fakty, niezbędne dla odmalowania całości obrazu, sprowadził do minimum. W swojej interpretacji ściśle rozgraniczył honor porucznika i honor jego małżonki. Wyjaśnił też bez ogródek, jak on sam wyobraża sobie przebieg wypadków, i dał teraz już wyraźnie do zrozumienia, że w razie potrzeby kolega Fritz Helgert może liczyć na pomoc wysokich czynników w dyskretnym i sprawnym przeprowadzeniu rozwodu.

Helgert przekonał się więc, że od początku dobrze słyszał. Czuł się, jakby go uderzono w twarz. Kiedy udzielono mu głosu, wstał i powiedział:

- Panie pułkowniku! - Tu skłonił się lekko, jak się tego po nim spodziewano. - „Wierność jest istotą honoru”, tę zasadę ukazano mi jako wzór postępowania już w pierwszym dniu służby. Bóg mi świadkiem, że trzymałem się tej zasady i pragnę się jej trzymać do końca życia. Uczyłem się poza tym, że nie ma gorszej hańby dla żołnierza jak utrata honoru. Przeciwno mnie wszczęta została rozprawa honorowa, która się w tej chwili toczy. Cieszy mnie to, ponieważ jestem przekonany, że rada honorowa potępi stanowisko sądu hamburskiego i będzie występować w obronie oficera swego pułku wobec odnośnych władz. Nie mój honor powinien być tematem tych rozważań!

Krusemarkowi krew uderzyła do głowy. Jego głos wydawał się wyższy niż zwykle.

- Zwracam panu uwagę, że zdaje się pan nie doceniać wagi tego przypadku i z czysto egoistycznych względów usiłuje pan narzucić panom z rady honorowej rolę, która nie ma nic wspólnego z przedmiotem naszych obrad. Pan odpowiada tutaj za honor członka swojej rodziny. Pański własny honor tylko wtedy pozostanie czysty, jeśli zrezygnuje pan z solidarności wobec owego członka rodziny.

Porucznik podniósł się ociężale.

- Panie pułkowniku! Szanowni panowie! - Jego głos brzmiał ochryple. - Z tego, co zostało dotychczas powiedziane, zrozumiałem, że obiecuje mi się pomoc w całkowitym uratowaniu honoru, jeśli złożę oświadczenie, w którym sprzeniewierzę się swej wierności. - Potrząsnął głową. - Za parę godzin będę znów siedział w moim bunkrze, gotowy, i to z obowiązku gotowy do walki. Ale

przede wszystkim muszę zachęcać do boju podległych mi żołnierzy, muszę w nich wlewać zapał do naszej idei. Oni mają każdej chwili narażać życie dla nowego porządku w Europie pod wodzą Rzeszy Niemieckiej i jej rządu! Gdzie mam teraz szukać moralnego oparcia, kiedy w Hamburgu reprezentująca Wehrmacht, odpowiedzialna przed państwem instytucja mi go odmawia? Jak mam zagrzewać innych do obrony honoru pułku, jeśli temu samemu pułkowi honor jednego dowódcy baterii jest najwyraźniej całkowicie obojętny?! W co mam teraz wierzyć?

Porucznik urwał nieoczekiwanie, usiadł i dał przez to do zrozumienia, że skończył mówić, chociaż zdawał sobie sprawę z niekompletności tego, co powiedział.

Pułkownik odchrząknął i zapytał, czy któryś z panów ma jeszcze jakieś uwagi.

Wobec tego, że dowódca pułku, który z racji swej funkcji przewodniczącego rady honorowej powinien był zabrać głos, nie wyraził swego zdania, pozostali oficerowie nie mieli najmniejszej ochoty go wyręczać, zwłaszcza w obecności oskarżonego.

Porucznik Helgert nie był już potrzebny. Wyciągnął powoli ramię do „niemieckiego pozdrowienia”.

Posiedzenie rady honorowej trwało jeszcze około trzech godzin, ale już bez niego, najważniejszej przecież osoby.

Chcąc uzyskać dystans do ostatnich wydarzeń, Helgert ruszył piechotą między rzędami przycupniętych domów w kierunku porośniętego kępkami krzaków wzgórza na wschodnim krańcu miasteczka.

Jednostki odbierały właśnie przydział chleba i puszek ze smalcem. Żar lał się z nieba. Od strony frontu, odległego stąd o kilkanaście kilometrów, nie słychać było ani jednego strzału.

Rada honorowa... Roześmiał się drwiąco. Przez ten czas zdążyli tam już pewnie powziąć jakąś decyzję i nie ma wątpliwości, jak ta decyzja wypadnie.

Zatęsknił nagle za niemyym koleżeństwem swego konia.

Rozdział 11

Dzień mijał jakoś powoli i Klaudia Sanden wiele myślała podczas roboty.

Od owego tygodnia, spędzonego wiosną u Benderów, jej kontakt z nowym, innym światem, o który walczyli towarzysze, bardzo się zacieśnił. Choć świat ten był niewielki, prawie ubogi, wyposażony w nędzne mieszkanie i skromne meble, tchnęło z niego szczególne poczucie ufności, której przyczyny zaczynała stopniowo rozumieć.

Matka Rudolfa zawsze umiała służyć trafną, jedynie słuszną radą. Kiedy między Ferdynandem i Rudim wybuchały zażarte spory ideologiczne, przypominała im dzieła Marksa, Engelsa i Lenina, do których wystarczy zajrzeć w wolnej chwili, a wiele spraw się wyjaśni. Na razie rzecz sprowadzała się do problemów praktycznej natury. Pani Bender brakowało może wykształcenia teoretycznego. Jej nauczycielami byli robotnicy obsługujący maszyny i codzienna walka o chleb. Strajki stanowiły lekcję pogładową, ułatwiały zrozumienie faktu, że wymuszenie podwyżki zarobków o siedem fenigów za godzinę miało znaczenie nie tylko społeczne, ale i polityczne.

Dörnberg w ciągu ostatnich miesięcy nie dawał znaku życia. Praca Klaudii w Zakładach Zbrojeniowych posuwała się spokojnie naprzód.

Mądre oczy Ferdynanda miały nieraz okazję obejrzyć i ocenić kopię tego czy innego rysunku. Ciężkim ciosem było dla Klaudii nagłe powołanie Rudolfa Bendera do wojska. Dopiero teraz przekonała się, jak bliski stał się jej ten małowówny człowiek. Tego samego wieczora odwiedziła jego matkę, żeby jej dodać otuchy, ale sama usłyszała od niej znacznie więcej pocieszających słów.

Był już czerwiec. Eberhard zamierzał przyjechać pod koniec lipca i w Linden miał się odbyć ich ślub. Wszystkie wolne wieczory Kludia poświęcała na szycie sukien. Chciała być dla niego jak najładniejsza, co dzień inaczej ubrana. Każda chwila musi im nieść nową radość, nowe szczęście.

Wreszcie udało jej się zgromadzić wszystkie niezbędne dokumenty. Efekt niekończących się podań i żmudnej bieganiny stanowiło orzeczenie: Rasowo bez zastrzeżeń.

Ktoś zatrzasnął drzwi sali. Kludia założyła na rysownicę nowy arkusz.

Kludia Sanden dopiero wtedy zauważyła gońca Erwina Bothe, kiedy dysząc, stanął obok niej i wręczył jej jakąś kopertę. Widniało na niej jej nazwisko wypisane na maszynie. W pierwszej chwili nie mogła sobie uprzytomnić, kto mógłby przysłać jej list do biura.

Goniec powiedział:

- Pan oficer przesyła pani serdecznie pozdrowienia! - Oczy błyszczały mu przy tym z zainteresowania.

Kludia czując, jak fala ciekawości napływa ku niej od sąsiednich rysownic, zapytała zdumiona:

- A cóż to za oficer?

Było to pytanie, o jakim marzył Erwin Bothe. Znał on wszystkie oznaki stopni wojskowych Wehrmachtu, SS, SA oraz funkcjonariuszy administracji aż do Reichsleiters, nie mówiąc już o

Hitlerjugend i Jungvolk; orientował się nawet w stopniach służbowych organizacji obrony przeciwlotniczej.

- Kapitan artylerii przeciwlotniczej

Klaudia poczuła się nagle tak, jakby podłoga zaczęła się pod nią wznosić i jakby ona musiała całym wysiłkiem palców u nóg utrzymywać równowagę. Po chwili zaś ta sama gładka płaszczyzna zdawała się pochyłać w dół, niby w bezdenną przepaść. Wszystko to jednak szybko minęło. Pierwszą przytomną myślą była ochota zapytania chłopca, czy nie był to przypadkiem porucznik. Wymamrotała jednak tylko pod nosem: - Bardzo dziękuję - i zaczęła udawać że dalej pracuje. Kątownica wydawała jej się ciężka jak z ołowiu. Ręce jej drżały. Dörnberg! Nie ulegało wątpliwości. A Klaudia łudziła się nadzieją, że zrozumiał bezcelowość swoich zabiegów i już nigdy nie wróci.

Zainteresowanie jej sąsiadek osłabło. Było popołudnie i wszyscy ledwo już mogli usiedzieć z otwartymi oczyma.

Klaudia ostrożnie otworzyła kopertę i wyjęła z niej kartkę papieru. Fala krwi uderzyła jej do głowy. Ulotka! Na górnym brzegu widniała napisana ołówkiem notatka: „Dziś godz. 21.00 róg Bleislauer i Koppenstrasse. Kurt”. Czym prędzej zakryła kartkę kopertą.

Ogarnął ją paniczny lęk. Tekst ten wskazywał, że Dörnberg zjawia się nie po to, żeby prosić, ale żeby żądać. Nie mogła sobie bowiem wyobrazić straszniejszej pogroźki niż ta, jaką wyrażała ulotka.

Czy w tej sytuacji było rzeczą wskazaną załatwiać sprawę z kopią, którą miała przemycić dziś poza fabrykę i dostarczyć Ferdynandowi? Od czasu wybuchu w siłowni zaostrzono środki ostrożności na terenie zakładów; dotyczyło to również kontroli przy bramie. Bardzo niewiele zależało teraz od dobrej woli personelu wartowniczego. Każdy, kto opuszczał fabrykę, musiał

nacisnąć guzik znajdujący się koło zegara. Jeśli zapaliło się czerwone światło, trzeba było wejść do biura kontrolera, gdzie sprawdzano zawartość kieszeni. Zdarzały się nawet rewizje osobiste. To już zależało od dyżurnego wartownika.

Dzisiaj Bachem pełnił tę funkcję. Już od dość dawna dawał on Klaudii spojrzeciami do zrozumienia, że czuje dla niej wielką sympatię. Za radą Ferdynanda przyjęła raz nawet zaproszenie Bachema na kawę i ciastka. Chłopak czuł się tym zaszczycony i nigdy jej nie kontrolował. Czy mogła zmarnować taką szansę.

Mimo to ze strachem przechodziła przez bramę. Gdyby znaleziono materiały, jakie dzisiaj miała przy sobie, szubienica by jej nie ominęła. Bachem przepuścił ją jednak, o nic nie pytając.

Przy lasku Humboldta spotkała się z Ferdynandem i podała mu w milczeniu kopertę od Dörnberga. Becker zasępił się, ujrawszy ulotkę. Czytał uważnie napisane ołówkiem słowa, jakby chciał się ich nauczyć na pamięć. Nawet kopia rysunku jakiejś ważnej części najnowszego modelu czołgu nie poprawiła jego nastroju.

- Niech się pani nie martwi, panno Klaudio - pocieszył ją ponurym głosem. - Jakoś damy sobie z tym radę. Dziś wieczorem pójdę tam z panią.

Klaudia spojrzała na niego zdziwiona.

- Oczywiście Dörnberg nie powinien o tym wiedzieć. Będę się przez cały czas trzymał w pobliżu. Ale naprawdę nie wolno się pani zdradzić ani spojrzeciem, ani gestem. Zrozumiano?

- Postaram się.

- Po pierwsze, nie będzie się pani wtedy czuła taka osamotniona. Po drugie, przyjrzę się wreszcie temu panu. A po trzecie, chciałbym się przekonać, dokąd on pójdzie po waszym spotkaniu. Jeśli się to okaże konieczne, trzeba będzie może...

Klaudia wiedziała, że nie bardzo nadaje się na bohaterkę.

Marzyła o tym, żeby ten wieczór jak najprędzej minął i żeby ona nie potrzebowała już nigdy oglądać Dörnberga.

Była to dzielnica robotnicza. Wysokie, pozbawione światła koszary mieszkalne z mnóstwem nędznych domków w głębi podwórrek, szare, ponure wąwozy ulic. Kontury Dworca Śląskiego zatarły się wkrótce wśród gęstych chmur, które przyspieszyły zapadanie mroku. Ludzie tłumnie ciągnęli do domów. Nikt nie miał ochoty dać się zaskoczyć przez alarm lotniczy. Noce bywały teraz przeważnie jasne, i wtedy niezawodne, jak amen w pacierzu, zjawiała się one, czterosilnikowe latające fortece.

Klaudia dostrzegła Beckera. Był w mundurze kolejarza. Po chwili znikł za rogiem.

Kurt Dörnberg nadszedł zaraz po niej. Tym razem miał na sobie bufiaste bryczesy, czapkę polową oraz pas z pistoletem.

Dziewczyna usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co jej nakazywał Ferdynand. Niechętnie podała Dörnbergowi rękę. Uznał to za wybacalne wahanie. Obecne powitanie wydało mu się i tak o wiele stopni sympatyczniejsze niż poprzednie. Klaudia całą siłą woli zmusiła się, żeby mu pogratulować awansu.

Serce Dörnberga topniało. Tak przyjemnie było słuchać miłych słów po tych wszystkich odrażających przeżyciach, jakie miał za sobą. Koroną wszystkiego było całkiem niespodziewane przeniesienie do obozu w Senne, bezpośrednio po awansie na kapitana. W obozie tym odbywało się przeszkolenie w zastosowaniu 88mm dział przeciwlotniczych w walce lądowej, zwłaszcza przeciwko czołgom. Atrapy, które porozwieszano na sznurach nad obszarem celów na Błoniach Lüneburskich, pękały po każdym trafieniu jak puszki od konserw.

Czy na froncie wschodnim będzie to wyglądało podobnie, trudno było, na razie, przewidzieć.

Przedwczoraj nadszedł ni stąd, ni zowąd rozkaz wymarszu. Dörnberg, jako dowódca baterii, miał ruszyć do Rosji z gromadą zupełnie nieznanymi sobie ludźmi. Jedynym sensownym momentem w tym całym przedsięwzięciu był fakt, że mieli się po drodze zatrzymać na pół dnia w Berlinie. Dzięki temu wynikła możliwość zobaczenia się z Klaudią.

Czyżby ona rzeczywiście miała coś wspólnego z czerwonymi, jakby na to wskazywały te ulotki? Ta myśl wydawała mu się absurdalna. Może po prostu znalazła je gdzieś przypadkiem i przerażała się tylko dlatego, że akurat mnie wpadły w ręce.

Ostatecznie to właściwie wszystko jedno. On wyruszał teraz po raz pierwszy na front wschodni. Tylko to się w tej chwili liczyło. Dobrze byłoby nawiązać znowu jakiś kontakt z Klaudią. To mogło mu się jeszcze opłacić i przydać w przyszłości.

- Klaudio droga, mam bardzo mało czasu. Zatrzymałem się tu z moją baterią w drodze... do Jüteborga. - Niech i ona sobie lepiej wyobraża, że za parę tygodni znowu go tu zobaczy. - A ponieważ prosiłem cię ostatnio...

Rzeczywiście przystojny z niego mężczyzna, pomyślała Klaudia. Biada kobiecie, która dostanie się w jego moc.

- Pewnie na ostre strzelanie! - wtrąciła.

- Tak, tak, oczywiście. Do ruchomych celów naziemnych.

Klaudia kiwnęła głową, jakby to było i dla niej oczywiste.

- Czy mogę cię prosić, żebyś mnie odprowadziła na pociąg? Będziemy sobie mogli przez ten czas spokojnie pogadać o pewnych sprawach.

Zeszli do tunelu pod torami. Nad nimi dudniły nieustannie pociągi miejskiej kolejki.

Trwał tu ciągły ruch w jedną i w drugą stronę, i nie słabł nawet późnym wieczorem ani w nocy.

Na punktach dowodzenia ujawniły się po części poniesione przez armię straty. Tutaj można było między wierszami wyczytać, które jednostki uległy rozbiciu i gdzie ich nędzne resztki miały się zebrać. Te punkty miały również swój skromny udział w wielkich procesach dokonujących się przesunięć z Włoch na front wschodni; z serbo-chorwackich terenów partyzanckich do Karelii; z wrzącego kotła Generalgouvernement w okolice Tuluzy, do walki z Ruchem Oporu; z wybrzeży Atlantyku nad Morze Śródziemne, zresztą byle gdzie.

Punkt ciężkości znajdował się jednak na wschodzie. Tam trzeba było kierować najwięcej posiłków i wykazywać maksymalną sprawność. Tam znajdował się stały współczynnik wskazujący, że ci, którzy prowadzili wojnę zaczepną - a nie traciła ona swego charakteru, chociaż odwrót odbywał się coraz szybciej - muszą się spodziewać takiej czy innej śmierci.

Takie wysunięte bazy rozdzielcze stanowiły punkt wyjścia dla żołnierzy, oficerów i funkcjonariuszy Wehrmachtu, których się ciągle gdzieś „kierowało” i „przenosiło”, zaopatrując ich w rozkaz wymarszu i kartę żywnościową, i których nie opuszczała obłądana nadzieja, że pewnego dnia, kiedy będą wędrowali gdzieś daleko od frontu, wojna nagle się skończy.

Tutaj znajdowały się również tereny łowieckie psów łańcuchowych, które niejednej odysei wojennej położyły gwałtowny kres, a jej bohatera wpakowały do więzienia wojskowego lub do oddziału specjalnego.

Owe wysunięte punkty dowodzenia nie wiedziały jeszcze, że w ostatniej fazie wojny stanowiąc będą ostatnie ośrodki rekrutacyjne kierujących walką dowódców. Wtedy prosto stąd, z pominięciem wszelkich biurokratycznych pośrednictw, można będzie trafić do grobu. Oczywiście nie do zorganizowanego grobu, z pomnikiem, imitacjami stalowych hełmów, lwich głów i liści wawrzynu. Nie!

Ostatni żołnierze tej wojny mieli zginąć tutaj marnie wśród ruin, służąc jako bezsensowny cel nieprzyjacielskich strzałów albo zawisnąć na latarni z wypisaną przez gorliwców z SS tabliczką u szyi: „Byłem tchórzem, zwątpiłem w ostateczne zwycięstwo”, albo pod presją fanatyków popełnić bohaterskie samobójstwo pięć minut po dwunastej.

Na Mühlenstrasse ruch był mniejszy. Od pobliskiej Szprewy dochodziło wycie syreny jakiegoś holownika.

Dörnberg obejrzał się spieszenie, nie zauważył jednak nic szczególnego. Dość daleko za nim szedł tylko pochylony, starszy kolejarz. Prawdopodobnie zmierzał również w stronę dworca towarowego. Cały ten przekłety niepokój tkwił w samym Dörnbergu, odkąd wiedział, że jego jednostka wyrusza na front wschodni. Ostrożnie objął Klaudię ramieniem.

- Napędziłeś mi wtedy porządnego strachu - powiedziała cicho, jakby mu była wdzięczna za beztrioskie wyjaśnienie, które miało teraz nastąpić.

Dörnberg nie chciał, żeby ta rozmowa zbyt szybko rozładowała napięcie powstałe w związku z ulotką.

- Podobna historia przy istnieniu tak czynnej instytucji jak Służba Bezpieczeństwa naszego państwa... - pokiwał głową zafasowany - to bardzo groźna sprawa. Powinna trafić przed trybunał ludowy. A trybunał ludowy... poprzedza publiczne obwieszczenie.

Kobieta powinna odczuwać lęk przed swoim panem i władcą.

Klaudia Sanden udawała przerażenie.

- Znalazłam te ulotki w jakiejś ubikacji i nie wiedziałam potem, co z nimi zrobić, bałam się.

Kapitan artylerii przeciwlotniczej postanowił przypuścić atak frontalny. W każdym razie sytuacja nie wyglądała na beznadziejną.

- Spodziewam się, że przez ten czas zastanowiłaś się spokojnie nad propozycją, a raczej nad gorącą, serdeczną prośbą, z jaką zwróciłem się wtedy do ciebie?

Klaudia przypomniała sobie polecenie dane jej na drogę przez Ferdynanda, który oczekiwał tego pytania.

Przez szeroką bramę wjazdową weszli na teren dworca towarowego. Oba posterunki zasalutowały kapitanowi, ale go nie kontrolowały. Oficerowie mieli prawo przyprowadzać swoje panie do samego pociągu, a nawet zabierać je do wnętrza. Zwykli żołnierze musieli załatwiać swoje sprawy uczuciowe pod murem dworca.

Klaudia kazała Dörnbergowi długo czekać na odpowiedź.

On zaś, chociaż odpowiedź ta miała dla niego niezmiernie istotne znaczenie, czuł się zgnębiony nerwowym ożywieniem panującym na dworcu i posuwającymi się nieubłagalnie naprzód wskazówkami zegara. Miał nadzieję, że jego pociąg nie został jeszcze podstawiony.

- To wszystko jest takie skomplikowane. Udało mi się tylko przesunąć termin ślubu na przyszły rok - kłamała dzielnie.

Dörnberg nie wierzył własnym uszom. Czyżby naprawdę światło mu dawne szczęście, a przynajmniej na razie chociaż jeden jego promyk?

- Wydaje mi się, że wtedy przyczyną naszego zerwania był łańcuch nieporozumień. I niecierpliwość - stwierdziła wyjaśniająco.

Nie zauważyła jego cynicznego uśmiechu.

- Klaudio! - Dörnberg przystanął, chwycił ją w ramiona i ścisnął czule. - Czy mogę mieć naprawdę jakąś nadzieję?

Tuż przy nich rozległ się gwizd lokomotywy, poganiający, jego ton to wznosił się, to opadał.

Klaudia stała ze spuszczoną głową, myśląc o tym, co teraz musi nastąpić.

Dörnberg chciał jej się jeszcze mocniej wyryć w pamięci:

- Gdybyś jeszcze kiedy znalazła takie bolszewickie materiały propagandowe... to nie wolno ci zapomnieć, że jestem niemieckim oficerem i nie mogę ani na chwilę zaniedbywać moich obowiązków, choćby mnie to nie wiem, ile kosztowało. Fakt, że oddałem ci tę ulotkę, jest całkowicie niezgodny z moim sumieniem - stwierdził, wzdychając wymownie.

Klaudia pomyślała: łajdak i karierowicz, to jedyne właściwe dla niego określenia!

Dörnberg jeszcze bynajmniej nie wyczerpał swojej tyrady:

- Chciałbym, żebyś o tym wiedziała, że będę o ciebie walczył, nie przebijając w środkach. Rozumiesz? Nie przebijając!

Brzmiała w tych słowach szczerą namiętność i groźba. Klaudia nie mogła już słuchać jego głosu.

- Parę tygodni temu miałem paskudną historię z wielce szanownym porucznikiem Helgertem. Przypuszczam, że pamiętasz, jak bliska przyjaźń łączy go od lat z Baumem, przyjaźń silniejsza niż małżeństwo. Zostałem pociągnięty przed sąd wojenny i uniewinniony - oświadczył ostro, z pełną triumfu drwiną. - Helgert znalazł się w tej sytuacji ze swoją żoną, ponieważ Baum wyobrażał sobie, że zdoła mi ciebie zabrać. Baum nie ma o tym wszystkim oczywiście najmniejszego pojęcia. W przeciwnym wypadku nie mógłby przyjacielowi w oczy spojrzeć. Teraz ty o tym wiesz, Klaudio. Jeśli Baum dowie się czegoś od ciebie, skończy się raz na zawsze przyjaźń i zaufanie między tymi dwoma panami. Czy myślisz, że Baum mógłby się chociaż przez chwilę cieszyć swoim szczęściem, gdyby wiedział, że przez niego rozleciało się małżeństwo Helgerta?

Był to wywód iście diaboliczny. Krępował z góry jej swobodę działania. Dlaczego sąd wojenny? Helgert? Wszystko to było jedną wielką niewiadomą. Klaudia Sanden nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

Dörnberg nie oczekiwał też już niczego więcej, pochylił się nad jej dłonią, która spoczywała bezwładnie w jego twardej ręce, i pocałował ją. Zasalutował po wojskowemu i powiedział niemal szeptem:

- Bywaj... i do widzenia, moja Klaudio!

Becker ruszył za nim krok w krok. Na peronie przeładunkowym panował niesamowity ruch. Żołnierze i kolejarze biegali tam i z powrotem, jeździły ciężarówki. Na wielu torach stały obok siebie pociągi z transportami wojsk. Becker o mało nie zderzył się z kapitanem, który nagle wskoczył na stopień wagonu osobowego III klasy, zatrzasnął za sobą drzwi i nie pokazał się już aż do odjazdu pociągu.

Ferdynand powędrował spiesznie dalej, coraz to postukując w sprzęgła. Przy najbliższym wentylu hamulcowym stwierdził, że pociąg stoi już pod parą.

Minął go jakiś stary kolejarz. Trzymał w ręce plik papierów.

- Dokąd idzie ten transport, kolego? - zapytał Becker mimochodem.

Tamten odpowiedział wprost:

- Najpierw do Wierzbowa na dawnej granicy litewskiej.

Trudno było przypuścić, żeby tam miał stanąć uzbrojony po zęby oddział ciężkiej artylerii przeciwlotniczej.

Ciekawie będzie usłyszeć jutro od Klaudii, jaki cel podróży podała jej Dörnberg. Jedno nie ulegało dla Beckera wątpliwości: człowiek, który znajduje się teraz w drodze na wschód, nie może już mieć do czynienia z gestapo czy innymi tego typu instytucjami. Klaudia Sanden mogła się więc nie obawiać tego łobuza w szaroniebieskim mundurze.

Czapka kolejarska uwierała go niemiłosiernie. Becker tęsknił już do własnego kapelusza.

Kiedy Klaudia otworzyła drzwi swego mieszkania, zawahała się mimo woli, zanim weszła do środka. Zdawało jej się, że i tutaj zjawi się zaraz Dörnberg o melancholijnym spojrzeniu i ustach tak miękkich, że nikt nie domyślał się w nim drapieżnego wilka.

Odetchnąwszy z ulgą, usiadła i napisała do Eberharda długi list, tchnący tęsknotą i miłością.

Myślała o tym, że ten list połączy się jutro z milionami innych, tworząc nici wiążące ludzi ze sobą; listy te stanowiły często jedyny pomost pomiędzy rozdzielonymi przez wojnę sercami.

Miliony takich znaków życia sortowano, pakowano i wiązano, po czym wysyłano je na wszystkie fronty.

Niezliczone ilości tych listów, kartek, telegramów, paczek i darów miłości w ogóle nie dochodziły, ponieważ wagony pocztowe wraz z transportami amunicji i wojsk wylatywały w powietrze.

Dniami i nocami pracowały na trzy zmiany całe armie lektorów, prześwietlaczy i fotokopistów na wszystkich punktach kontrolnych. Zbierali oni, sortowali, gromadzili rzeczy podejrzane i interesujące, obojętne, czy pisane z frontu, czy z ojczyzny, dostarczając w ten sposób Służbie Bezpieczeństwa cennych „materiałów” do badania i regulowania opinii publicznej.

Jedno niepotrzebne słowo mogło zaprowadzić do więzienia albo obozu koncentracyjnego. Za „defetyzm” albo niedwuznaczną ocenę wielkiej Trzeciej Rzeszy organa wykonawcze Sonderdienstu niemal z zasady skazywały na „ścięcie”. Dopiero wtedy uważano sprawę, która „przypadkiem” dzięki poczcie polowej wyszła na jaw, za zakończoną w sposób zadowalający.

A panowie w charakterystycznych skórzanych płaszczach czy trenczach, którzy nigdy nie wyjmowali prawej ręki z kieszeni, ponieważ trzymali tam zawsze gotowy do strzału pistolet Walther-PPK kaliber 7,65 mm, coraz to wlekli do swoich podziemi na

śledztwo jakąś ofiarę. Nawet poczta polowa była narzędziem brutalnie sprawowanej władzy.

Klaudia Sanden poczuła nagle potrzebę napisania również i do Helgerta. Sama właściwie nie wiedziała dlaczego. Może pod wpływem współczucia, że spotkało go coś złego?

W każdym razie nie potrafiła wyciągnąć żadnych sensownych wniosków z ziejących nienawiścią słów Dörnberga.

Czy jej się uda podtrzymać przyjaźń łączącą tych dwóch mężczyzn, a wystawioną teraz może na ciężką próbę? Trudno było cokolwiek przesądzać, nie znając faktów ani motywów.

Coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, z tego, że wszystko robi po to, aby osłonić Eberharda. Z braku innych argumentów musiała w to uwierzyć.

Napisała, co następuje:

Szanowny i Drogi Panie! Dobry dowódczo baterii! (Tak by się powiedziało u nas w Austrii... przepraszam: w Marchii Wschodniej.) Doradczyka, jak wtedy, w Kolabrunn, podporucznika, pozwolę sobie pominać.

Ozyc się jak troskliwa mama, która wyprawia swojego synka na pierwszą dalszą wycieczkę i pisze do profesora z uprzejmą prośbą, żeby zechciał zająć się szczególnie jej pociechą i bronić ją od złego.

Moja pociecha jest pod pana opieką, Panie Profesorze, a wycieczka okropnie się przeciąga. I ja zaczynam się niepokoić o to całe przedsięwzięcie, i o wszystkich, którzy mają z nim coś wspólnego. Bóki to będzie w Pana mocy, niech Pan zwróci uwagę, czy ten pędziwiatr uważa na siebie jak należy.

A Pan? Niech Pan się za bardzo wszystkim nie przejmujcie! I tak ma Pan pewnie dość zmarłych z tymi, którzy Panu podlegają.

*Może są jeszcze jakieś własne kłopoty, w których nikt Lanni pomóc nie może, ale tylko chwilowo, bo to przez wojnę wszystko wydaje się bardziej zawile i trudniejsze do rozwiązania. Czas przyniesie jakieś dobre wyjście. Z serdeczną wdzięcznością –
Klaudia Sanden.*

Raz jeszcze przeczytała list i ogarnął ją niepokój, że może za wiele dała w nim do zrozumienia, ale nic już nie zmieniła.

Rozdział 12

Niezależnie od tego, że młyn Sobody znajdował się na jego odcinku, podporucznik Eiserberg również i z innych przyczyn nadawał się najlepiej, aby kierować akcją „Wilczy Dół” jako dowódca oddziału szturmowego. Dwanaście kilometrów za linią frontu, na terenie wokół młyna odtworzony został według najświeższych zdjęć lotniczych cały system rowów - radziecki i niemiecki. Potem tak długo udoskonalano wszystkie szczegóły, aż cały teren dokładnie odpowiadał zdjęciom i zgadzał się jak najściślej z frontową, rzeczywistością.

W dniu kiedy jeden z wyższych dowódców saperów w randze pułkownika, potężny jak filar nośny mostu drogowego, przybył na teren ćwiczeń, aby demonstrować działanie swoich oddziałów miotaczy ognia oraz najnowocześniejszą technikę minerską, wybuchła awantura z powodu braku odznak na naramiennikach Eiserberga.

Pułkownik-saper przybrał najpierw ważną minę, wystąpił parę kroków naprzód i zamierzał wygłosić wobec swoich kolegów oficerów wykład na temat najnowszego typu miotaczy ognia, kiedy nagle odkrył Eiserberga w pozbawionej wszelkich odznak bluzy polowej; dzięki żelaznej logice rozumowania uznał go za jakiegось zabłąkanego rosyjskiego ochotnika i mocnymi słowami kazał mu natychmiast stamtąd spływać.

Kiedy Eiserberg, patrząc nań bezczelnie i lekceważąc obowiązujący w pruskich kasynach ton, poradził mu, żeby łaskawie nie przerywał sobie i spokojnie gadał dalej, gruby dowódca saperów o mało nie pękł ze złości. Dowódca pułku piechoty wziął go więc czym prędzej pod ramię i szepnął mu do ucha, że Eiserberg został odznaczony liśćmi dębowymi i jest dowódcą kompanii kierującym oddziałem szturmowym, co tamtego wprawdzie niezupełnie uspokoiło, ale uczyniło skłonniejszym do pewnej wyrozumiałości.

Baum, który wraz ze starszym szeregowcem Bürgerem miał jako dowódca oddziału radiotelegrafistów towarzyszyć obserwatorowi wysuniętemu, plutonowemu Söchtingowi, podczas akcji „Wilczy Dół”, uśmiechał się złośliwie. Eiserberg zaś udawał, że nic nie zauważa. Poza tym wszyscy zwierzchnicy zasadniczo guzik go obchodzili, co zresztą przyczyniło się do tego, że nigdy nie dochrapał się stopnia porucznika.

Nie najgorsze to były dni, pomyślał starszy szeregowiec Baum na zakończenie. Tylko od czasu do czasu podczas ostrych ćwiczeń, które wymagały maksymalnego wysiłku, żeby każdy ruch, każde posunięcie grało, uświadamiali sobie naprawdę cel, któremu te staranne przygotowania miały służyć: uderzenie na liczącą sto dwadzieścia metrów linię transzei, branie za wszelką cenę jeńców, niszczenie sprzętu - bez względu na straty.

Teraz siedzieli wszyscy, dwudziestu ośmiu chłopca w schronie i czekali. O godzinie 0.45 akcja „Wilczy Dół” miała się rozpocząć i rozegrać z precyzją mechanizmu zegarka według planu, który każdy miał w głowie. Mieli jeszcze pół godziny oczekiwania. Eberhard ziewnął. Drgające światło świecy drażniło oczy. Czuł się rozbity. Nie wzruszała go nawet szczególnie myśl o tym, że w ciągu najbliższej godziny niejeden z nich zginie. Myśl ta jednak wracała wciąż uparcie, drażyła.

Jakiś cień padł mu na twarz. Wielka ćma. Gdzieś w ciemnościach miotąca się dalej.

Deszcz dudnił o zaciemnioną szybę bunkra. Nagle wyobrażenie, że ranny pozostanie wśród zasieków z drutu i szcześnie tam powolną śmiercią, zdławiło letargiczną obojętność. Zaczął palić nerwowo.

Cień znów zaczął skakać, otumaniona ćma pojawiła się z powrotem, by latać wokół chwiejącego płomyka. Jak szalona. Przewdziwne upodobanie, sprzeczne z wszelkim instynktem, już słychać było skwierczenie osmalonych ciemnych skrzydeł. Z rozpaczliwą konsekwencją owad rzucał się w sam środek płomienia. Przez jedno uderzenie serca ogieniek skurczył się, po czym objął wszystko. Spopieląca, czarno-brązowa grudka spadła ze świecy na chropowaty blat stołu.

Eberhardowi Baumowi zrobiło się jeszcze smętniej na duchu. Jego myśli krążyły wciąż między sprawami błahymi, a tym, co wydawało mu się najpotworniejsze: miliony nieznanych niemiec-kich żołnierzy, stojących tu na wschodzie z karabinem w dłoni. Materiał ludzki. Koszty własne wielkich szefów prowadzących wojnę. Niewiele więcej.

Zegar tykał nieubłaganie. Termin był tuż, tuż. Söchting jak zwykle zapomniał zabrać hełm. Bürger był spokojny. Na dobrą sprawę jego twarz nigdy nic nie wyrażała, jakby w ogóle nie miał własnych myśli. Baum poczuł skurcz przebiegający mu po twarzy. Oczy mu się zwały, wargi zacisnęły.

Deszcz padał coraz gwałtowniej. Zastrana pogoda, pomyślał, ale w sam raz dla oddziału szturmowego. Żeby się to już wreszcie zaczęło! Nagle przyszło mu do głowy, że oni, artylerzyści, nie mają tu właściwie nic do roboty. Może jako obserwatorzy wkroczyć do akcji z ogniem celowanym? Śmieszne.

Ze wszystkich bunkrów powyłazili ludzie i przycupnęli na dnie rowu. Coraz to szczękały radiostacje, pistolety maszynowe,

ładunki skupione i wydłużone, rakiety, granaty ręczne, łopaty polowe. A przecież zabrali z sobą tylko to, co najkonieczniejsze.

Co się też dzieje teraz w głowach tych wybranych żołnierzy, zastanawiał się Baum. Czy wszyscy czują taki sam strach i przemożną ochotę, żeby zerwać się i uciec stąd albo krzyknąć: Nie wytrzymam, nie, naprawdę nie wytrzymam! Odeślijcie mnie z powrotem! A jeśli wszystko to jest tylko koncentratem strachu, niczym więcej. Baum wiedział, że u większości w decydującym momencie strach ten przekształca się w obłądne przejawy instynktu samozachowawczego, który niewiele się różni od świadomej brutalności.

Byli między nimi i inni. Ci lubowali się w strzelaniu i trafianiu, przyciskali karabin maszynowy do ramienia i czekali, dopuszczali do siebie wroga jak najbliżej, ich nerwy sprawiały wrażenie, jakby obłożone były lodem, po czym nieznacznym ruchem palca pociągali za spust i młócili, a w końcu podrywali ziejącą ogniem broń, żeby i ostatniemu nie przepuścić. Oni trwali na posterunku, chociaż pociski bzykały wokół nich jak pszczoły, i dopóty kierowali serie strzałów w to samo miejsce, dopóki nie wytrzebili stamtąd wszystkiego, co żyje. I wtedy wybuchali śmiechem, cichym albo na całe gardło.

Tacy byli teraz i tutaj, jak zresztą w każdej legii cudzoziemskiej, dzisiaj... i zawsze.

Znajdowali się tu również fanatycy, którym każdy środek, służący do spełnienia faszystowskiego posłannictwa, wydawał się dobry.

Czy każdy z nich zdawał sobie jasno sprawę z tego, że będzie teraz niszczył, druzgotał, zabijał? I że nie ma innego wyjścia! Bo taki jest rozkaz!

A swoją drogą - oddział szturmowy nie składał się z ochotników. Został skompletowany przez dowódcę batalionu osobiście.

On udzielił odpowiednich wskazówek, a potem wzięto wszystkich tych dwudziestu mężczyzn do galopu.

Starszy szeregowiec Baum patrzył nieruchomo w dal, na ziemię niczyją. Gdzieś w głębi zarysowywały się ledwo widoczne poszczególne stanowiska.

- Gotowi! - rozległ się szept. Baum machinalnie podał dalej.

Eiserberg szedł, potykając się o nogi i sprzęt. Z drwiącym uśmiechem brnął przez mrok i deszcz w ten kąt rowu, gdzie znajdowało się wyjście. Stąd już od wielu dni torowano nieznacznie drogę wśród własnych zapór. Druty można było usunąć jednym chwytem. Przejście zostało też starannie rozminowane. Aż po same rowy rosyjskie.

Eberhard Baum pomyślał o Klaudii. Ale szybko myśl tę wyparły inne. Czy uda mi się z tego wyjść? Najchętniej sprabły się sam po pysku, bo obawiał się, że strach obezwładni go tam, w polu, i uczyni zupełnie bezbronnym.

Nagle wskazówka zegara jakby jednym skokiem znalazła się w punkcie X.

„X do X + 5 - ogień burzący artylerii. Oślepić nieprzyjacielskie punkty obserwacyjne!” Tak brzmiał rozkaz.

Zaraz potem ludzie obsługujący telefony polowe podnieśli ręce i opuścili je z powrotem. Akcja szturmowa rozpoczęła się.

Gromkie dudnienie potoczyło się w przestrzeń, w powietrzu zapanowało jakieś dziwne ożywienie. Granaty nadlatywały z górliwym łopotem z południowego i północnego zachodu. Wystrzelone z własnego odcinka leciały ze świstem tuż nad głowami. W odległości stu najwyżej metrów wznosiły się przed żołnierzami wśród nocy i deszczu grzybiaste fontanny ziemi. Echo pobrzmiwało groźnie w dolinie Nierucza. Niesamowita masa ognia spadała na jeden odcinek radzieckich rowów, na stanowiska

artylerii, na moździerz, na pozycje karabinów maszynowych i rowy łączące. Tam było teraz piekło na ziemi. Zjadliwie połykający dym wznosił się leniwie w górę. W ogromne, nieociosane kamienne bloki młyna Sobody, w jego krzywo osadzone koła i rozwaloną szopę waliły bez przerwy niezliczone, detonujące głucho granaty. Tu i ówdzie pojawiały się na tle strumieni deszczu drżące, żółtawe rosyjskie rakiety sygnalizacyjne.

Baum prawie nic nie widział poprzez kłębiący się wszędzie dym. Nagle zapierające dech w piersiach uderzenie cisnęło go na faszynę. Nastąpiło drugie, potem coraz więcej, jedno po drugim. Któraś bateria ich własnej artylerii strzelała za blisko! Drużyny obejmowały kolejno swoje pozycje. Przy czym wszyscy obserwatorzy wysunięci poszczególnych oddziałów znajdowali się w rowach. Tkwili tam jeden obok drugiego, otoczeni przez swoich telefonistów i radiotelegrafistów. Panował nieopisany chaos. Wleczono do okopów jęczących rannych. Wyznaczeni napastnicy stali przyciśnięci do ściany rowu.

Wskazówka zegara zaczynała ostatnie okrążenie. Po upływie pierwszych trzystu sekund ruszyli poprzez druty na ziemię niczyją.

Nieprzyjaciel najwyraźniej zdołał już opanować sytuację. Radzieckie baterie raziły ogniem zaporowym mimo łaźni, jaką im sprawiała artyleria niemiecka. Nawet na tereny bardzo odległe od właściwej akcji docierały pociski. 7-, 62-, 12-, 2- i 15-centymetrowe.

Pod wyjąką kopułą ich lotów ludzie oddziału szturmowego wspinali się na przedpole i skuleni rzucali się w sam środek wrącego kotła. Własną krwią mieli ożywić bezsensowny świstek, zwany rozkazem. Ich bezgraniczny strach przed śmiercią zostanie - począwszy od meldunku bojowego, a na komunikacie armii

skończywszy - przekształcony w chwalebne bohaterstwo.

Z kolei napastnicy znaleźli się wśród wściekłego ognia obronnego piechoty.

„X + 5 do X + 8 - skierować ogień ciężkich karabinów maszynowych na punkty celowania 3, 4, 7 i 12”.

Wobec tych szalejących karabinów maszynowych tamci przez najbliższe trzy minuty nie będą przecież mogli podnieść głowy! A więc dalej, naprzód, byle podejść na odległość umożliwiającą wdarcie się!

A jednak strzelano stamtąd nadal, i to jakoś niesamowicie blisko. Nie było sposobu uchronić się przed niezliczoną ilością pocisków i odłamków.

Eberhard Baum czuł się tak, jakby dźwigał na nogach stukilowe bryły. Potykał się o boje, kaleczył ręce o drut kolczasty. Bürger i Söchting zšli tuż za nim.

Nagle wybuchła mina. Baum rozpoznał starszego szeregowca Kaisera z 3 kompanii. Z wyrwanym prawym bokiem skręcał się z bólu, aż upadł i zsunął się do dołu po pocisku. Nie można go było stamtąd zabrać i po trzech dniach umarł z pragnienia, mimo przepływających tuż srebrzystych fal Nieruca.

Naprzód, dalej naprzód! Byle samemu nie oberwać!

Baum brnął między trupami i rannymi. Z prawej strony ktoś był przeraźliwie. Starszy szeregowiec czuł niemal, jak to obce życie broni się rozpaczliwie i wśród tego szamotania nagle nieruchomieje. Za Führera i Rzeszę! Heil!

Wpadł do dołu pełnego młazszącego błota, zdawało mu się, że niesiony aparat zmiażdży jego dyszące ciało. Deszcz dudnił głucho po hełmie. Woda spływała mu z kołnierza po szyi. Baum spojrział na błyszczące cyferki zegarka. Naprzód! Podejść na odległość wdarcia! „X + 8 do X + 13 - ogień niszczący wszystkich broni na zdobywany odcinek rowów!”

Kłęb błota wzbił się przed nim w górę. Baum przypadał do ziemi, usiłując spłaszczyć się całkiem, zaryć w nią. Teraz strzelano z obu stron. To było ponad ludzkie siły. Gwałtowny podmuch smagał go po twarzy. Zdawało się, że owe pięć minut trwają całą wieczność.

Nagle, jak ręką odjął, detonacje ustały. Ładunki wydłużone wysadziły w powietrze resztę zasieków. Walka na białą broń! Wdzierać się poprzez faszynę i atakować zryte pociskami pozycje bojowe wroga! Uderzać!

I rozpoczęli dzieło zniszczenia.

Bohaterowie - ze strachu przed karą! Najlepsi żołnierze świata - gnani przemocą rozkazu! Oszalałe z przerażenia maszyny walczące - stęsknione za czekającymi w ojczyźnie restauracyjnymi stolikami. Cyniczni mordercy - z umiłowania krwawego zajęcia.

Przypadek skierował jakiś zabłąkany 15-centymetrowy pocisk na oddział osłaniający, który właśnie wchodził do akcji. Z ośmiu ludzi pięciu poległo. Takie bywają skutki celnego strzału.

Z jednego rosyjskiego bunkra i dwóch pozycji bojowych terkotały nieustannie karabiny maszynowe. Poza tym wyglądało tak, jakby w rowie znajdowali się tylko jęczący ranni i polegli. Pociski padały gęsto jak grad.

Artylerzyści cisnęli się w sapie. Baum włączył swoją radiostację. Stanowisko ogniowe zgłosiło się wyjątkowo szybko.

- Wzywam „Wieloryba sześć”!
- Tu „Wieloryb sześć”!
- Czekać! Koniec!

Nagle ktoś ryknął Eberhardowi Baumowi nad uchem:

- Miotacze ognia naprzód! Miotacze ognia naprzód!
- Ten bunkier!

Był to głos Eiserberga. Wymachując łopatą biegł wzdłuż tranzei. Pociski latały gęsto wokół niego, ale on swoim zwyczajem zdawał się nie zwracać na nie uwagi.

Pistolety maszynowe waliły w otwory strzelnicze i wejście do bunkra. Ktoś cisnął w tym kierunku wiązkę ręcznych granatów. Drewniane drzwi zachwiały się pod wpływem uderzenia.

Z kolei nadszedł oddział miotaczy ognia. Dwóch ludzi osłaniało rosłego starszego szeregowca, który niósł na plecach cały sprzęt. Był to potężny chłop o brutalnym wyglądzie.

Eberhard Baum wstrzymał oddech. Czy w piersi tego człowieka nie ma w tej chwili żadnego wahania, czy przekroczenie tego progu nic go nie kosztuje, czy to dla niego, rzecz całkiem naturalna zgodnie z rozkazem niszczyć życie ludzkie? Może wydaje mu się, że spełnia tylko swój obowiązek? A może rośnie w nim wspańnięte poczucie siły, ponieważ ma w ręku jedną z najstraszniejszych broni?

Z szybkością strzały buchnął w górę płonący strumień benzyny. Niby syczące światło błyskawicy. W czerwonym blasku ukazało się wnętrze bunkra. Ludzie! Najpierw trafiony został prawy róg. Strzępy mundurów rozleciały się na wszystkie strony jak trociny. Ciało wstrząsnął gwałtowny skurcz. Równie szybko płomień objął drugą stronę, z której wciąż jeszcze strzelano zawzięcie. I tutaj w ciągu ułamków sekundy ciała skręcały się przedziwnie i nieruchomiały, sparaliżowane bólem. Chmura tłustego dymu pogłębiała jeszcze czerń nocy i deszczu.

Z kolei ognisty bicz uderzył w gniazdo karabinów maszynowych.

Czerwonoarmiści bronili się bohatersko. Umierając jeszcze strzelali.

Potem i tam zapanowała cisza. Płomień raził czarną, bezkształtną bryłę, jak ślepy strumień wody od dawna zgaszony pożar.

- Przerwij ogień!

Nagle strumień ustał. Mrok spadł niby barwna piłka. Trafiona amunicja piechoty coraz to wybuchała nieoczekiwanie. Niebieskawe płomyki lizały belki i deski. Gęstą falą płynął stamtąd odrażający zapach. Wszystko to razem trwało niewiele dłużej niż pięć, sześć oddechów.

Baum miał wrażenie, że pot gotuje się na nim. Mundur był czarny od wilgoci.

Żołnierze piechoty przyprowadzili dwóch jeńców, byli to młodzi, dobrze odżywieni chłopcy, okryci brezentowymi płachtami.

Teraz radzieckie granatniki zaczęły ryc okolicę. Pierwsze strzały artylerii dosięgały opanowany odcinek rowów.

Eiserberg kazał szukać rannych. Mieli już niewiele czasu.

Söchting zauważył jakiś ruch u wejścia do wąwozu. Zażądał przez radio ognia. Stanowisko artyleryjskie znajdowało się daleko z prawej strony wzgórza. Söchting poprawiał wciąż kierunek, ale uderzenia trafiały wszędzie, tylko nie w wejście do wąwozu. A stamtąd właśnie bez przerwy nadlatywały z hałasem ciężkie pociski moździerzy.

Czerwonooarmiści zorientowali się, że Niemcy chcą się wycofywać. Dlatego ich granatniki zamykały im drogę przez ziemię niczyją. A oddział Eiserberga musiał wracać właśnie tędy.

Wtedy architekt i radiotelegrafista Eberhard Baum zaczął sam dawać komendy strzelania. Söchting zauważył to dopiero wtedy, kiedy uderzenie trafiło w dno wąwozu. Baum ujął dziesięć tysięcy, dodał pięćdziesiąt metrów tak, że ogień raził teraz z prawej strony, trafiając w sam środek wąwozu. Z kolei Baum zajął dwudziestu oddziałów. Ambicja chwyciła go w swoje szpony.

Na tę komendę zmobilizowano kilkanaście oddziałów. W parę minut później cały atak skierowany został na zbocza wąwozu, a obsługa moździerzy musiała paść plackiem na ziemię.

Albo uda się unieruchomić na jakiś czas granatniki, albo trzeba się będzie na zawsze pożegnać z powrotem do domu. Söchting aż otworzył usta ze zdumienia i wydawał okrzyki podziwu całkowicie pozbawione zawiści.

Baum skierował ogień jednej baterii na młyn Sobody. Ogarnął go zapal myśliwski. Tam mógł się zacząć jakiś rosyjski oddział szturmowy i zaskoczyć nas z boku, myślał. Eiserberg miotał się po rozwalonym rowie, rycząc: - Wyłazić, panowie! Raz, dwa!

Oddział miotaczy ognia ruszył pierwszy. Piechota wracała chyłkiem, w pojedynkę.

Karabiny maszynowe strzelały tylko od czasu do czasu. Natomiast rakiety sygnalizacyjne z sąsiednich odcinków nieustannie usiłowały oświetlić mroczny teren. Deszcz pochłaniał jednak ich mętny, drżący blask.

Bürger przymocował już aparat radiowy. Twarz miał szarą. Söchting wygramolił się z sapy. Chyba już żadna cholerna mina nie wybuchnie, pomyślał i ruszył biegiem w stronę własnych rowów. Nie gwizdnęła za nim ani jedna kula.

Saperzy wysadzili jeszcze w powietrze, co się tylko dało i zaminiowali cały teren. Słysząc było grzechotanie min uzbrojonych i talerzowych.

Eberhard Baum podskoczył do bunkra, z którego wciąż jeszcze wydobywały się kłęby dymu. Wstrzymał oddech, poświecił sobie kieszonkową latarką i musiał się całą siłą opanować. Zwęglone trupy wyciągały w górę kościste ręce. Niektóre wyglądały jak śpiące murzyńskie dzieci. Niedotknięte przez ogień części ciała wydawały się odrażająco wielkie.

Zupełnie jak tamta ćma, pomyślał, jak ćma...

Gdzieś kiedyś wyczytał sentencję: „Okrutna wojna jest szybką wojną”. I to się również nie zgadzało, jak zresztą wszystko w tej narodowosocjalistycznej wojnie.

Jakiś saper odepchnął go w pośpiechu na bok.

- Modlisz się, żeby Ruski poszli do nieba?!

Jego wykrzywiona twarz wyrażała tylko strach. Drżącymi rękami zakładał minę talerzową. Oddział saperów zabierał się już do powrotu. Był najwyższy czas.

Starszy szeregowiec Baum poczuł nagle, że siły go opuszczają.

- Wiej do domu, bracie!

Saper szarpnął zapalnik i cisnął minę do bunkra. Zaryczała.

Baum poderwał się. Obaj rzucili się do ucieczki. Za nimi deski, druty, ziemia i strzępy ludzkie wzbity się w górę pośród nocy.

Serce Bauma znów waliło jak oszalałe, kiedy potykał się i gnał dalej, padał i podnosił się. Wokół niego dudniły stalowe pociski. Dotarł wreszcie do rowu. Zdawało mu się, że krew się w nim gotuje. Najchętniej położyłby się i rozplakał.

Na stanowisku panował niezwykły ruch. Söchting pierwszy go powitał.

- Eberhard!

- Jakiś znany głos dobiegł jego uszu. Wyczerpany i obojętny spojrział na tego, kto trzymał go teraz za ramiona. Otworzył usta ze zdumienia.

- Rudi!

Rudolf Bender z Berlina-Śródmieście, Holzmarkstrasse nad Szprewą.

Ta chwila zrobiła na Baumie prawie takie wrażenie, jak cała akcja oddziału szturmowego.

- Chodźże!

Weszli do najbliższego schronu dla żołnierzy. Siedział tam Eiserberg i dokonywał bilansu: z dwudziestu ośmiu ludzi dziewięciu poległo. Śmierć stwierdzona niewątpliwie. Tylko trzech z nich, zabitych tuż przed własnymi zasiekami, udało się ściągnąć. Pięciu ludzi zaginęło - to znaczy polegli, dostali się do niewoli albo sami pozostali na polu walki. Czterech lekko rannych. Wzięto dwóch jeńców. Rozkaz wykonano.

Lewy rękaw munduru Eiserberga zwiisał w strzępach. Umazana w błocie koszula była cała we krwi. Podporucznik zdawał się tego nie dostrzegać. Jego oczy otaczała gęsta sieć zmarszczek i bruzd. Podpisał swój meldunek i zamierzał wyjść, kiedy zobaczył Bau-
ma.

- Brawo, chłopcze, brawo! Gdyby nie twoja strzelanina byli-
byśmy już na łonie Abrahama! Twoje szczęście, że ci się udało,
inaczej z całą satysfakcją zrobiłbym z ciebie marmoladę!

Wszyscy, którzy przeżyli, dostali wódki, ile dusza zapagnie.

Obu czerwonoarmistów odstawiono już pod silną eskortą do stanowiska dowodzenia pułku. Chciano się tam od nich czegoś dowiedzieć.

Baum wciąż jeszcze nie mógł pojąć, skąd Bender się tutaj wziął. Rudi wyjaśnił mu w paru zdaniach, jakiemu niezwykłemu przypadkowi zawdzięcza, że wylądował w charakterze telefonisty w 5 baterii.

- Słuchaj, stary, natychmiast pogadam z Helgertem i muszą cię koniecznie przenieść do 6 baterii.

Radość Bendera nie miała granic.

- Kiedy widziałeś się po raz ostatni z Klaudią?

Rudolf Bender oznajmił, że dobrze jej się wiedzie i że, jak mu się wydaje, praca daje jej dużo satysfakcji.

Baum obrzucił go trochę zdumionym spojrzeniem.

- Po raz ostatni widziałem ją przed wyjazdem do Frankfurtu.

Dlaczego właściwie Klaudia nic o tym nie pisała, zastanawiał się Baum i zaraz potem zasnął. Po jego twarzy przebiegały nieustanne drgnienia.

Bender siedział przy nim aż do świtu.

Altdörfer czyścił sobie starannie paznokcie i zęby cienkim drewnkiem. Jaka to przyjemność pracować na stanowisku dowodzenia w tak pierwszorzędnie zorganizowanym zaopatrzeniu: śniadanie składające się ze śmietany, miodu, jajek, a więc wszystko, co Rosjanie mieli do zaoferowania.

Wobec tego, że pułkownik udał się do sztabu któregoś z oddziałów, Altdörfer uważał za wskazane podtrzymywać na stanowisku dowodzenia przynajmniej jego zapach; zapalił więc jedno z jego najlepszych cygar, Wilhelm II, świeżo przysłanych z Holandii.

Po czym przystąpił do sprawowania rządów. Najpierw wpadł mu w ręce miesięczny meldunek zmian II oddziału. Aha, zarejestrowano tam nowo przybyłych żołnierzy rezerwy. Starszy szeregowiec Retzlaff - 4 bateria, kanonier Bender -5 bateria, kapral Heidemann - 6 bateria. Potem następowała poprawka, według której kanonier pełniący funkcję telefonisty, na życzenie dowódcy 6 baterii i za zgodą oddziału, został przeniesiony z 5 do 6 baterii, a stajenny, starszy szeregowiec Biber - z 6 do 5 baterii.

Dlaczego ci idioci muszą zawsze urządzać jakiś cyrk, pomyślał adiutant. Podpisał meldunek i odłożył go na bok. Nagle coś go uderzyło. Raz jeszcze wziął papier do ręki.

- Bender... Bender? - mruzczał i przypominał sobie wreszcie. - To przecież ten rekrut, którego akta personalne są wprawdzie skromne, ale... do diabła, facet należał przecież do komunistów. No, patrzcie państwo!

Awersja Altdörfera wobec Helgerta stała się już patologiczna. Adiutant pułku doszedł więc do wniosku, że przeniesienie dawnego komunisty, a obecnie telefonisty, Rudolfa Bendera, na życzenie Helgerta do jego baterii, trzeba będzie jakoś wykorzystać.

Altdörfer postanowił sobie ten fakt zapamiętać i w odpowiednim momencie do niego wrócić. Z całym spokojem, kiedyś na pewno nadarzy się po temu okazja. Należy tylko czekać cierpliwie. Dzisiejszy letni dzień wydał mu się znowu piękny...

Dzięki interwencji dowódcy kompanii, podporucznika Eisberga, starszy szeregowiec Eberhard Baum otrzymał Żelazny Krzyż I klasy. Od tej chwili poczuł się nagle innym człowiekiem. Zaczął nawet rozważać szansę zostania oficerem rezerwy. Bo jednak człowiekiem zaczynało się być dopiero od rangi oficera. Tak przynajmniej mówili żołnierze w chwilach szczególnej goryczy.

Kiedy motywacja odznaczenia Bauma Żelaznym Krzyżem I klasy została odczytana wobec całej zgromadzonej załogi, Rudolf Bender poczuł nagle ukłucie w sercu.

„...zdany całkowicie na siebie, starszy szeregowiec Baum przejął komendę nad kilkoma oddziałami artylerii i pokierował ich ogniem, umożliwiając oddziałowi szturmowemu powrót na pozycje. Następnego dnia kompania naliczyła w wąwozie setki zabitych wrogów...”

Mimo to Bender był szczerze zadowolony, że w całym tym oszałamiającym i przygnębiającym frontowym rozgardiaszu spotkał dobrego znajomego. Wciąż jeszcze zdumiewał go przedziwny przypadek, który skierował go właśnie do tego, a nie innego pułku.

Dwa tematy, które zresztą ściśle się ze sobą łączyły, nie zostały przez nich w ogóle poruszone. Bender nie powiedział Baumowi

o tym, że Klaudia Sanden spełniała bardzo cenną robotę w grupie ruchu oporu, że tydzień spędziła u jego matki i że bardzo często widywali się ze sobą i rozmawiali. Żeby Eberharda nie denerwować, przemilczał też ową próbę szantażu ze strony Dörnberga, w której sam miał również swój udział.

Poza tym Bender nie wspominał o swojej radzie na temat dezercji. Gdyby Eberharda to naprawdę interesowało, myślał, sam szukałby okazji, żeby z nim o tym porozmawiać. Jeśli dotychczas tego nie uczynił, to znaczy, że ten problem budzi w nim niechęć. Rudi Bender był przeciwny forsowaniu czegokolwiek, zwłaszcza w wypadku decyzji, która miała wpływać na los człowieka nie w ciągu paru lat, ale przez całe życie.

Jeśli chodzi o skład osobowy jednostki, do której trafił, to stanowiła ona zlepek elementów, wobec których należało zachowywać pewne środki ostrożności.

Bender miał pełnić funkcję telefonisty przy obserwatorze wysuniętym na stanowisku Eiserberga. Rankiem 7 czerwca zjawił się na pierwszej linii podporucznik Puxheimer z 5 baterii, szukając odpowiednich celów dla ognia skrzydłowego na międzypolu rozciągającym się przed jego własnym odcinkiem. Dokonawszy pewnych, wstępnych przygotowań, zaczął sprawdzać w ostrym strzelaniu niektóre strefy ognia zaporowego swojej baterii oraz wstrzeliwać nowy ogień zaporowy. W okolicy zapanował niepokój. Rozległo się terkotanie broni ręcznej, wkrótce potem wybuchły pierwsze radzieckie granaty. Puxheimer, siedząc w solidnym bunkrze, kontynuował spokojnie swoją działalność aż do chwili, kiedy pocisk działa przeciwpancernego rąbnął prosto w szczelinę obserwacyjną.

Telefonista oberwał długą, poprzeczną szramę na czole, wnętrze bunkra przewrócone zostało do góry nogami, a Puxheimer stracił prawe ucho.

Eberhard Baum i Rudi Bender obserwowali to wstrzeliwanie, siedząc w rowie łączącym. Sanitariusz kompanijny udał się akurat do taboru batalionu po lekarstwa. Baum kręcił już korbką telefonu. Wiedział, że Heizer miał być tego przedpołudnia na głównym stanowisku obserwacyjnym. W dziesięć minut potem dzielny Burgenlandczyk stawiał się na miejscu bez tchu, zbiegłszy rowem łączącym ze wzgórza 228.

Zajął się najpierw telefonistą. Puxheimerowi zaś założył złośliwie przesadnie szeroki opatrunek, sięgający od nasady nosa aż na tył głowy, i przykleił go całymi kilometrami leukoplastu. Mimo to podporucznik zostawił pudełko papierosów i oddał się czym prędzej, aby przez najbliższych parę tygodni odpoczywać na swoim stanowisku ogniowym po przeżytych wstrząsach i opowiadać chłopcom z taborów, jakie miał niebywałe szczęście podczas swego zuchwałego manewru. Zdaniem Heizera Puxheimer mimo braku jednego ucha mógł się nadal oddawać wojennej działalności.

Sanitariusz przysiadł się w poprzecznym rowie do Bauma i Bendera. Z nieba, które zdawało się składać z szeregu podłużnych wycinków, spływał piekielny żar. Kiedy opierali głowy o ciepłą, gliniastą ścianę rowu, ogarniała ich nieprzeparta senność. Eberhard Baum zdjął koszulę.

Kanonier Bender coraz to spoglądał na niebieskie pasemko, które z góry przykrywało jakby cały rów.

- Tak mogłoby wyglądać życie z okna więzienia - stwierdził filozoficznie.

- A czy ty teraz na nie może inaczej patrzysz? - Heizer zdziwił się, że ktoś podaje w wątpliwość stan rzeczy, jego zdaniem istniejący bezspornie.

Przy akompaniamencie łagodnego, miarowego chrapania Eberhard Baum powoli przechylał się coraz bardziej na bok.

Bender nie od razu zrozumiał podwójny sens odpowiedzi sanitariusza.

- Co masz właściwie na myśli?

Heizer zmierzył nowego baczynym spojrzeniem. Wydał mu się nawet dość sympatyczny, ale zawsze lepiej uważać.

- Chciałbyś pewnie poniuchać, co ludzie myślą?

W jego głosie zabrzmiała nuta odwiecznej nieufności człowieka do człowieka.

Oho, pomyślał Bender, ten jest wrażliwy jak mimoza. A głośno powiedział:

- Przecież to chyba jasne, że siedzimy tu jak w więzieniu! - I spojrzał wyczekująco na minę Heizera. Ten zmarszczył lekko czoło. Ale przyczyną tego mógł być równie dobrze blask słońca. - Ten system rowów do złudzenia przypomina więzienne korytarze. A w dodatku jeszcze ci cholerni bolszewicy trzymają na wszystkim łapę!

Baum, chrapnąwszy nagle głośniejszym głosem, przechylił się całkiem na bok. Wyprostował się zaraz gwałtownie, rozejrzał się dokoła nieprzytomnym wzrokiem i zapytał, co się stało. Poruszał przy tym ustami, jakby łykał kruszon brzoskwiniowy.

Heizera korciło, żeby rozgryźć nowego.

- Twój przyjaciel powiada, że my siedzimy tu jak w więzieniu, a Ruski trzyma na nas łapę.

Eberhard Baum ziewnął.

- Słuchajcie, chłopcy, możecie gadać ze sobą bez obłonek, jesteście przecież z jednej parafii!

Z pewnym trudem zdołał usiąść prosto, po czym niezwłocznie usnął znowu. Termometr wskazywał temperaturę niewiele poniżej plus czterdziestu stopni Celsjusza.

Heizer i Bender nie mogli nic na to poradzić, że ich szybko umykające spojrzenia spotkały się.

- Ładny gips - powiedział Bender ostrożnie.

Mogło to znaczyć wszystko, począwszy od Puxheimera, poprzez więzienie w rowach i aż po rozmaite warianty zakończenia wojny, mogło jednak również odnosić się do uwagi Bauma.

- Dziwne określenie - burknął Heizer raźniejszym tonem.

- Po tamtej stronie sytuacja wygląda, zdaje się, lepiej... Bender wietrzył aluzję polityczną.

- Pod jakim względem?

- Pod jakim? Pod względem... strategicznym, politycznym, moralnym! Tak przynajmniej wynika z ich komunikatów radiowych.

Nie mógł właściwie mówić wyraźniej. Bender trącił Bauma lekko w bok.

- Twój kolega wyraża tu dość śmiałe poglądy! - Trwało to dłuższą chwilę, zanim Baum całkowicie oprzytomniał..

- Że też nie pozwolicie człowiekowi ani chwili spokojnie po-
spać!

Bender drażył dalej.

- Pan sanitariusz nie jest, zdaje się, pewien, czy walczy po właściwej stronie.

Heizer nie zaprotestował i Bender zapuścił wędkę jeszcze dalej.

- Mogłeś mi o tym szepnąć dwa słowa, Eberhard.

- Żebyście mi obaj dziurę w brzuchu wiercili z przejściem na tamtą stronę - burknął Baum.

- Należałem kiedyś do partii robotniczej - Heizer mimo woli zniżył głos.

- Hm - Bender kiwnął ze zrozumieniem głową i pomyślał, że tamten niewiele ryzykuje, czyniąc takie wyznanie; fakt ten musiał przecież figurować w życiorysie i nie tylko. Sam nie miał jednak ochoty opowiadać o sobie. Baum był już zupełnie rozbudzony.

- No co, a może nie?

Tamci dwaj spojrzeli na niego.

- Może jednak pierwsze państwo socjalistyczne nie bardzo mu się podoba? - badał dalej Bender.

- Powiedz no, kto mi właściwie da gwarancję, że Czerwoni wygnają wojnę? - Na twarzy Bauma czaiło się wyraźne oczekiwanie.

Heizer machnął lekceważąco ręką. Bender zaś stwierdził rzeczowo:

- Stalingrad, Kaukaz, Woroneż, Kursk. Przyczółki mostowe pod Rzewem i Wiaźmą. Przedwczoraj, 5 lipca, Hitler rozpoczął najwyraźniej rodzaj letniej ofensywy na łuk kurski. Jeśli dobrze zrozumiałem wiadomości nadawane przez eter, to nasze dywizje, które wyruszyły z rejonu Orła, posunęły się dotychczas o jakieś sześć kilometrów. Wojska ze strefy Biełgorodu przeszły już podobno około dwudziestu kilometrów w kierunku Kurska. W porównaniu z tym, co było dawniej, jest to tempo raczej żółwie.

- Sprawa nabierze rozmachu dopiero wtedy, kiedy rosyjskie pozycje obronne zostaną całkowicie przełamane - powiedział Baum.

- W zeszłym roku mieliśmy też niemiecką letnią ofensywę, która miała nawet z początku wspaniałe osiągnięcia. Koniec tej pieśni był jednak taki, że nie tylko świeżo zajęte tereny, ale także znaczne zdobycze z roku 1941 przeszły w ręce Armii Czerwonej - odparł Bender.

- Ale teraz mamy do dyspozycji każdą ilość „Tygrysów” i „Ferdynandów”, a także sześćdziesięcio- i siedemdziesięciotonowych czołgów i dział pancernych. Wszystko to są jeżdżące fortece, które wszędzie przejdą.

Baum chciał się tylko podroczyć z Benderem, bo jego argumenty w znacznej mierze trafiały mu do przekonania. Kanonier Bender odparł mu z całkowitą pewnością siebie:

- Stare wiarusy powiadają, że wyższych sztabowców w Briąnsku i służbę tyłów już całkowicie nerwy zawiodą.

Tyle razy będą musieli pakować i rozpakowywać swoje walizy, że w końcu za nimi zostaną!

- Bzdura. Kto im tam co złego zrobi? - włączył się Heizer.

- Czy wam się zdaje, że nasza rozłożysta dywizja o trzydziestopięciokilometrowej linii frontu oprze się najłżejszemu uderzeniu Rosjan?

- Ty się nadajesz do sztabu generalnego, Rudi! - stwierdził Baum, żując liść szczawiu. - Ale najlepiej do ruskiego.

Heizerowi rozmowa ta zaczęła się już dłużyć. Interesował go przede wszystkim problem przejścia na tamtą stronę, a tym samym dokonanie wielkiego czynu.

- No to co? Wiejemy?

Baum wrócił na pozycję, na której czuł się teraz pewniej niż kiedykolwiek.

- Jakie to może mieć znaczenie, jeśli kilkunastu ludzi zdezerteruje? Ogółem szare mundury nosi rzekomo około siedemnastu milionów Niemców. Czy nie lepiej będzie znaleźć się na miejscu, w kraju, kiedy nadejdzie chwila wielkich przemian? I oszczędzać się na ten okres?

Mówiąc to, Eberhard Baum zdawał sobie w pełni sprawę z faktu, że w takim razie musiałby aż do owego momentu duszą i ciałem służyć Hitlerowi. Był jednak gotów zapłacić nawet taką cenę.

- Każdy, kto zmienia front, liczy się podwójnie! - powiedział poważnie Rudi Bender. - A gdybyśmy tak przy pierwszej nadarzącej się okazji wszyscy trzej...

Heizer poderwał się i przeszedł do głównego rowu. Kiedy okazało się, że nikogo tam nie ma, wrócił nieco szybszym krokiem.

- Ja zgłaszam swój udział - oświadczył szeptem. - Trzeba tylko całą sprawę spokojnie przemyśleć. W każdym razie tylko po

tamtej stronie człowiek miałby szansę ujścia z życiem z całej awantury.

Bender spojrział z zadumą na Eberharda Bauma. Pomyślał o wypadzie oddziału szturmowego i o odznaczeniu Krzyżem Żelaznym I klasy. Nie chciał jednak całkiem zmarnować tej chwili, podjął więc próbę przygotowania gruntu dla dalszej rozmowy na ten temat.

- Zastanów się jeszcze nad tym, Eberhardzie! Mamy przecież czas - powiedział.

- Ale ja teraz nie mam już ani chwili czasu - przerwał mu sanitariusz - Dziś jest mój ulubiony klops sojowy. Potem będę się go pewnie musiał wyrzec!

Roześmiał się, wsadził czapkę na głowę i otrzepał ze spodni zeschlą glinę.

Wkraczając do głównego rowu, zderzył się z jakimś kapralem z 3 kompanii i ofuknął go ze złością:

- Uważaj, ty ofermo!

Kapral pokiwał głową. Uznał zachowanie Heizera za objaw szału okopowego.

Bep-bep-bep-bep. Po czym zadudniło: bop-bop-bop-bop. Był to ogień nękający z nieprzyjacielskich karabinów maszynowych. Ćwierkanie kul uderzających o brzeg transzei wyprzedziło jasny odgłos detonacji u wylotu lufy oraz głębszy wybuch pocisku.

Sanitariusz Heizer był już na tyle doświadczony, że wiedział, co by się stało, gdyby ktoś zapomniał, gdzie się znajduje i wyprostował się. Postrzał w głowę, panie doktorze, postrzał w głowę! Szedł dalej, lekko pochylony, jedno ramię wysunąwszy nieco naprzód.

Tak chodziły załogi pierwszej linii okopów; zarówno po tej, jak po tamtej stronie. Rowy nie mogły być głębsze, aby zgodnie z regulaminem, w razie nagłej potrzeby pozwalały na otwarcie

ognia z każdego miejsca. Musiały być poza tym wąskie, ponieważ Wielu już dosięgły wyjące odłamki pocisków czerwonej artylerii właśnie z powodu zbyt szeroko wykopanych korytarzy. Mundury żołnierzy w okopach były zawsze poprzecierane na łokciach, miały wystrzępione rękawy i kieszenie. Gliniaste ściany niszczyły wszystko. Nawet w ludzkich duszach. Nieznaczenie, ale stale podkopywały wiarę w zwycięstwo, a w najlepszym wypadku wyzwalały instynkt samozachowawczy.

Heizera myśli te wprawiły w ponury nastrój. Przypomniały mu się pierwsze rowy pod Pielewką, które kopał wiosną roku 1942. Trzy łopaty w stronę wroga i jedna za siebie. Tak się to zaczęło i potem noc w noc trzeba się było przedzierać coraz dalej przez oporną ziemię.

Dzisiaj, po półtora roku wojny pozycyjnej na centralnym odcinku, utworzył się labirynt, w którym tylko wtajemniczeni potrafili się zorientować. Co krok trafiało się na strzałki wskazujące drogę do pozycji bojowych. A w nocy? Człowiek był skazany na niepewność, ponieważ nigdy nie wiedział, czy Rosjanie nie zajęli już rowów, i gdzie może się czuć bezpieczny.

Sanitariusz Heizer patrzył nieruchomym wzrokiem na przewód telefoniczny swojej baterii, który biegł obok wielu innych wzdłuż ściany transzei, aby jak najprostszą drogą dotrzeć na stanowisko ogniowe. Oczy bolały od regularności, z jaką ciągnęły się linie okopów. Aż niedobrze się robiło od ciągłych załamania, które co dziesięć kroków narzucały wzrokowi zmianę kierunku. Na dnie rowu powietrze było nieruchome, a słońce paliło bez litości. Heizer ze zgrozą myślał o tym, że przez pół roku trwała tutaj walka ze śniegiem i że okopy nie dawały żadnej osłony przed jesiennymi deszczami lejącymi przez całe tygodnie.

Przed linią rowów ciągnęły się zasieki z drutu. Przeważnie był to płot flamandzki, to znaczy: z przodu płaski, w środku wzniesiony

i od strony rowu znów płaski. Tak to wyglądało na początku. Z biegiem czasu niezliczone kolce coraz to nowych zwojów zbiły się w coś, co zdaniem wszystkich wyższych dowódców powinno by stanowić przeszkodę nie do przebycia, gdyby za nią stali żołnierze o gorących, ufnych sercach.

Na przedpolu, w wyrafinowany sposób wykorzystując każdy skrawek terenu, rozmieszczono drut zrywowy i miny. Jedno i drugie stało w dziwnej sprzeczności z faktem, że Rosjanie prawie zawsze zdrowo i cało przechodzili przez te wszystkie zapory, pasy i pola minowe. Atakowali z niepowstrzymanym impetem, ciskali ze stoickim spokojem ręczne granaty i znikali jak widma, zagarniając posterunki i broń maszynową, i znów omijając czające się stalowe pułapki. W porównaniu z nimi niemieccy żołnierze ruszali się jak niedźwiedzie.

Heizer przypomniał sobie klops sojowy. Żywił jednak mocne przekonanie, że cały ten krwawy ludzki pot, jakim przesiąknięta była ta ziemia, nie zdoła odwlec chwili, kiedy trzeba będzie przesunąć szpilki o kolorowych główkach na mapie sytuacyjnej o spory kawał na zachód.

Nagle stwierdził, że ten Bender właściwie nie bardzo mu się podoba. Traktuje całą tę sprawę, jakby to była fraszka. Takie przedsięwzięcie powinno się bardzo dokładnie przemyśleć. Heizer uświadomił sobie, że on sam ze swym wieloletnim socjaldemokratycznym doświadczeniem nie może tu występować w charakterze autorytetu. Irytacja z tego powodu nie opuściła go nawet przy kuchni polowej.

Baum i Rudolf Bender po odejściu Heizera siedzieli przez chwilę w milczeniu.

Wreszcie Rudi zapytał:

- Słuchaj, czy na tym chłopie można murowanie polegać?

- Był przez wiele lat członkiem Socjaldemokratycznej Partii Austrii. Już chyba od roku mówi o przejściu na tamtą stronę.

- I przez cały rok nie znalazł na to odpowiedniej okazji?

Rudi Bender postanowił przyjrzeć się bliżej mrukliwemu sanitariuszowi.

- Wiesz, kogo warto by pozyskać dla sprawy?

Bender spojrzął na Eberharda Bauma pytająco.

- Helgerta!

- Dowódcę? - Bender nie był pewien, czy dobrze słyszy.

- Tak, właśnie jego. Czego ten się tknie, to się udaje.

- To twój przyjaciel, prawda?

Baum skinął głową z rezerwą. Przypomniła mu się zmiana, jaka zaszła w Helgercie od owego niespodziewanego wiosennego urlopu i ogarnęło go przygnębienie.

- Zdaje mi się, że widzisz sytuację w zbyt różowych barwach - powiedział Bender. - Zastanów się, jakie przeszkody musi usunąć zawodowy pruski dowódca baterii, żeby odważyć się na posiadanie własnego zdania.

- Czy mam z nim porozmawiać?

- Lepiej nie! - odparł Bender stanowczym tonem.

- A może ty sam wolałbyś z nim o tym pogadać?

- I zaraz potem znaleźć się w mamrze. Następnie stanąć przed sądem polowym i w końcu dostać parę twardych piguł w piersi.

- Przestań pleść głupstwa, Rudi. Helgert nigdy by czegoś podobnego nie zrobił!

- Wy, artylerzyści, zawsze uważacie, żeście wszystkie rozumy pojadali!

Eberhard Baum sam nie wiedział, dlaczego tak go nurtuje myśl o zwierzeniu się Fritzowi Helgertowi z planowanego przejścia na tamtą stronę. Czy zdecydowałby się na to, gdyby Fritz zgłosił

swój udział? Czy też spodziewał się z jego strony gwałtownej dezaprobaty? Czy może chciał wystawić ich przyjaźń na próbę, zdradzając wprawdzie przed Helgertem niebezpieczny projekt, ale w razie jego protestu zamierzając go prosić, by puścił całą rozmowę w niepamięć? Czy w ogóle można tak postąpić?

Eberhard Baum nie był tego wszystkiego pewien. Jedno odczuwał teraz z bolesną wyrazistością: a mianowicie wewnętrzne rozdarcie, jakie go od pewnego czasu dręczyło i od którego nie mógł się w żaden sposób wyzwolić.

Rozdział 13

Był to szpital podobny do wielu innych szpitali w Niemczech. Nie bardzo duży, nie bardzo nowoczesny, nie przesadnie pogodny, ale też nie pozbawiony nadziei. Teraz, podczas wojny, dachy ich opatrzone olbrzymimi czerwonymi krzyżami na kredowobiałym tle, aby jednostkom nieprzyjacielskich bombowców w porę przypomnieć konwencję genewską. Pod tym samym znakiem SS przewoziło często amunicję na front.

Za tydzień siostra Ilza Helgert miała zakończyć swoją działalność w Hamburgu i wrócić do Berlina, aby tam kontynuować pracę pielęgniarki w jakimś innym szpitalu, lazarecie czy sanatorium dla ozdrowieńców po ciężkich ranach.

Natychmiast po odjeździe Fritza na front Ilza zgłosiła się w Czerwonym Krzyżu. Z początku tylko po to, żeby znaleźć zapomnienie po ostatnich przeżyciach.

Dziś zastępowała na oddziale ocznym siostrę Marion, której narzeczony przyjechał niespodziewanie z Grecji. Tam system urlopów był widocznie lepiej uregulowany niż na froncie wschodnim.

Kiedy siostra Ilza wchodziła tego ranka na oddział oczny, musiała całą siłą woli wziąć się w garść wobec tego wszystkiego, co tam zobaczyła na schodach, korytarzach i w pokojach. Ludzie chodzący po omacku, nasłuchujące podniesione głowy, wyraz rezygnacji na twarzach zwróconych ku własnemu wnętrzu.

Niewielu z nich przekroczyło już próg, za którym życie miało swoje drobne uroki, chociaż oczy nie mogły ich zobaczyć.

Ilza Helgert szybkim, sprężystym krokiem weszła do laboratorium. Wizyta właśnie się skończyła. Tylko pacjent z pokoju 17 znajdował się jeszcze na sali operacyjnej. Jak przewidywał doktor Felgentrager, mogło to potrwać jeszcze jakiś czas, a starsza siostra miała jej dać znać, kiedy będzie potrzebna. W laboratorium nie było nikogo, mogła więc przez godzinę spokojnie pracować.

Nagle zapalił się sygnał świetlny.

Siostra Ilza obiegła na pierwsze piętro do pokoju 17. Właśnie przywieziono tam chorego. Twarz miał od czoła aż po usta grubo obandażowaną. Sądząc po bandażach krępujących piersi i ramiona, musiało go porządnie rąbnąć. Może w wypadku ulicznym albo w czasie bombardowania?

Pacjenta umieszczono w łóżku. Starsza siostra Chrasta i doktor Felgentrager usiłowali ułożyć go jak najwygodniej. Lekarz wyprostował się i wywołał Ilzę Helgert za drzwi.

- Słaba nadzieja, siostrze, jedno i drugie oko... Nawet nie operowałem. Tak zwany cud jest tu też mało prawdopodobny. To oczywiście tylko do wiadomości siostry. - Kiwnął jej głową i pochylony odszedł w głąb korytarza.

Siostra Ilza ze smutkiem w sercu weszła do pokoju chorego, gdzie stało białe lakierowane łóżko, pusty stolik nocny z pękniętym szkłem i krzesło.

Lśniące linoleum na podłodze pachniało ostro benzyną.

Starsza siostra spojrzała na Ilzę przelotnie i zwróciła się do pacjenta:

- To właśnie siostra Ilza, która będzie się panem dzisiaj opiekować. Jutro zastąpi ją siostra Marion. Niedługo znowu do pana zajrzę.

- Dziękuję - odparł ledwo dostłyszalnie.

Ilza Helgert usiadła na krześle i odezwała się, usiłując nadać swemu głosowi mocne brzmienie.

- Czy ma pan może jakieś życzenie?

- Dziękuję.

Chory zachowywał się tak, jakby chciał, żeby go zostawiono w spokoju.

Ilza podjęła jeszcze jedną próbę.

- Może poczytać panu gazetę?

Patrzyła pilnie na jego usta, żeby zrozumieć odpowiedź. Długą chwilę w pokoju panowała cisza. Wreszcie usłyszała jego głos, po raz pierwszy nieco wyraźniej.

- Dobrze, bardzo proszę. Jeśli siostra tak uprzejma.

Jego usta wydają mi się znajome. Ale chyba się mylę, bo tego łamiącego się głosu nigdy nie słyszałam.

- Będę czytała według własnego wyboru, zgadza się pan? - zaproponowała.

- Oczywiście.

Brzmiało to jednak tak, jakby wcale nie miał zamiaru słuchać.

Ilza odczytała najpierw komunikat wojskowy aż do miejsca, gdzie przechwałki stawały się coraz bezczelniejsze, budząc nawet pewne podejrzenia. Potem następowało wyliczenie awansów wyższych oficerów.

- Hamburgska filharmonia dała koncert na cele dobroczynne, osiągając wielki sukces. Generał Franco...

- Siostrzo Ilzo... - Podniosła wzrok.

- Jakiego koloru są siostry włosy?

Jakiego koloru są moje włosy? Trochę to dziwne, że ciężko ranny, który dopiero co wrócił z sali operacyjnej, interesuje się akurat kolorem moich włosów. Może chce się w ten sposób trochę rozzerwać.

- Jestem chyba szatynką.

Chory umilkł, podjęła więc lekturę: „Należy w porę rozpocząć przygotowania do zbiórki na pomoc zimową 1943/1944, żeby osiągnąć jak najlepsze rezultaty. Niewątpliwa wyższość „mocarstw Osi nad plutokracjami zachodnimi w produkcji miedzi i cyny”.

- Czy siostra długo pracuje w tym szpitalu?

- Nie. Mniej więcej od dwóch miesięcy. W klinice okulistycznej jestem w ogóle po raz pierwszy.

Chory uniósł głowę, nasłuchując w kierunku, skąd dobiegał go jej głos.

- Czy siostra jest... Ilzą Helgert? Ależ tak, to nie ulega wątpliwości! - szepnął podniecony. - Poznaję pani głos.

Chory poruszył się niespokojnie, Ilza wstała mimo woli.

- Pan mnie zna? Czy mogę wiedzieć, skąd?

Chory wstrzymał oddech. Wargi mu drżały. Wreszcie powiedział:

- Jestem Wieland Altdörfer!

Przez chwilę zdawało się, że czas się zatrzymał, Ilza czuła, że robi jej się słabo, że ogarnia ją fala odrazy. Oczy jej pociemniały.

Altdörfer nie mógł już dłużej znieść tego milczenia.

- I tak by się pani o tym dowiedziała. Najpóźniej w momencie, kiedy wypisano by moje nazwisko na czarnej tabliczce u łóżka. Od paru dni widzę wciąż to samo, a mianowicie nic. Choćby dlatego nie mógłbym zejść pani z drogi.

W jego kruchym głosie brzmiała gorycz.

Spotkał cię tylko sprawiedliwy los. Zadośćuczynienie. Odwet, odwet? O tym przecież jest wciąż mowa w komunikatach wojskowych. Jednostki niemieckiego lotnictwa przeprowadziły odwetowy atak na Londyn i jeszcze jakieś miasto angielskie. Zdmuchnąć, spalić przy pomocy fosforu. Kobiety, dzieci, drzewa, światło

dzienne sprzed ludzkich oczu. Ten człowiek będzie ślepy. Słowa doktora Felgentragera i jego zrezygnowany gest miały sens jednoznaczny. Inżynier Wieland Altdörfer będzie ślepy. Spotkała go taka, a nie inna kara!

- Czy dzisiaj nie czuje się pan trochę lepiej...? - usłyszała własny głos, który wydał jej się głuchy, obcy, niezrozumiały.

- W tej samej chwili, kiedy wielki kocioł pękł i znalazłem się wśród gorącej pary, wrzącej wody i stalowych odłamków, ogarnął mnie strach, że już nigdy nie będę widział...

Wybuch kotła? Pisano o tym w gazecie. Kilkunastu robotników było śmiertelnie poparzonych. A on stracił wzrok.

- Nigdy nie należy tracić nadziei - powiedziała beznadziejnym głosem.

- Czy świeci teraz słońce, siostrze Ilzo?

Wyrzała przez okno, chociaż świetliste krążki na stoliku dyktowały jej odpowiedź, i pogрузzyła się w myślach. Czy kiedyś i dla mnie zaświeci? I dla Fritza? Może po wojnie?...

- Właśnie wyrzało trochę zza chmur.

Altdörfer usiłował sobie wyobrazić, jak teraz wygląda na dworze.

- I co tam jeszcze widać? Kwiaty? Drzewa?

Wzrok Ilzy Helgert powędrował bezwiednie z powrotem ku rozświetlonemu oknu. Machinalnie zaczęła wylizywać wszystko, co widzi, letnia zieleń kwitnących lip, wśród których brzęczą roje pszczoł, promienie słońca odbijające się w małym stawie.

- Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co się wtedy stało. Muszę to pani powiedzieć. Kto wie, czy w ogóle kiedykolwiek wyzdrowieję. A jeśli tak, to uwolnię się przynajmniej od tego... Zeznawałem wtedy fałszywie, celowo i świadomie. Ponieważ obiecano mi za to coś, czego pani nie mogłaby mi nigdy zaoferować.

Drobna uprzejmość, rozumie pani, zgodnie z zasadą: ręka rękę myje. Teraz i to straciło wszelki sens. Bo Pan Bóg sam osobiście zwolnił mnie od służby na froncie. Na zawsze. Bez zaświadczenia na piśmie.

Ilza Helgert siedziała jak sparaliżowana. Wiedziała, że padła ofiarą spisku, jego źródła upatrywała w koleżeństwie, w przyjaźni łączącej tych mężczyzn. W poczuciu solidarności, jak się to pięknie nazywało. A tymczasem?

Altdörfer westchnął głęboko, jakby potrzebował nowych sił na wypowiedzenie tego, co zamierzał:

- W alumnacie, gdzie wychowywano mnie na wzorowego człowieka o niezłomnym charakterze i silnym pionie moralnym, mówienie o osobach nieobecnych uchodziło za czyn nie fair. Piotr Cornelius będzie się jednak musiał pogodzić z tym, że ja odstąpię od tej zasady. Cornelius należy również do ludzi, których nasze czasy wychowały do wypełniania gigantycznych zadań. Resztki tego, co w nim jeszcze nie obumarło, wyniszczyła NSDAP. Pani osoba była mu po owym wieczorze całkowicie obojętna. Bez trudu więc uległ moim, podkreślam to: moim namowom i zgodził się zeznawać na korzyść Dörnberga.

Ilza Helgert zastanawiała się nad relacją Altdörfera. Jeśli inżynier wyraźnie stwierdził, że złożył fałszywe zeznanie, wówczas sąd, skoro się o tym dowie, będzie musiał całą sprawę rozpatrzyć raz jeszcze. I wtedy okaże się też, że była to z góry ukartowana gra mająca na celu wybronienie Dörnberga. Zaświtał więc cień nadziei, Ilza czuła, jak na policzkach i szyi występują jej czerwone plamy.

Wieland Altdörfer przerwał milczenie.

- Mój brat nie o wszystkim został bezpośrednio powiadomiony. Przez pocztę polową nie mogłem mu tego otwarcie przekazać. Ale jak go znam, to potrafił on odtworzyć całą sytuację dość dokładnie i według wszelkiego prawdopodobieństwa powziął też

pewne kroki w stosunku do pani męża; po prostu żeby samemu nie zostać w to wmieszanym.

Nagle urwał i zadał sobie pytanie, czy powinien powiedzieć jej o tym ostatnim, co ją dotknie boleśniej niż wszystko inne. Czuł przed tym wewnętrzne opory. Ale dręczył go strach; strach przed tyloma sprawami. Noc, która go otaczała, zmuszała go do objawienia dobrej woli.

- Co się dzieje z moim mężem? - spytała Ilza.

Altdörfer westchnął głęboko. Z jakiej racji mam się zatrzymać w pół drogi? - pomyślał. Przecież to wszystko nie ma żadnego znaczenia.

- Mój brat pisał w ostatnim liście, co następuje: wszyscy usiłują przekonać porucznika Helgerta, że jedynym sposobem podźwignięcia się po tej klęsce byłby dla niego rozwód z żoną. Wówczas jego honor zostałby oczyszczony i znikłyby przeszkody stojące na drodze do kariery. Przede wszystkim pułk zostałby wyłączony z całej tej sprawy! Generał miał nawet oświadczyć, że wtedy chętnie widziałby go w sztabie... Tak, tak, ta przekłeta sprawa honorowa. Ale i to należy wpisać na moje konto.

Altdörfer był już kompletnie wyczerpany.

Młoda kobieta zmartwiała. Fritzowi wytoczono sprawę honorową? Z jej powodu? Nigdy nie przypuszczała, że ta historia może przybrać tak absurdalny obrót! A więc wszyscy doradzali mu rozwód jako jedyne wyjście z sytuacji. A ona nic o tym nie wiedziała. Może Fritz chciał ją oszczędzić? A może już dawno zdecydował się na ten krok, tylko nie wiedział, jak ją o tym zawiadomić? Prawo, niezależnie nawet od wyroku sądu, będzie stało jednoznacznie po jego stronie.

Nie mam zamiaru stać Fritzowi na drodze do kariery, pomyślała. Jeszcze dziś wieczorem napiszę do niego, że daję mu wolną rękę.

Spojrzała na nieruchomą postać w łóżku. Wieland Altdörfer jest również człowiekiem stojącym nad gruzami własnego życia. I musi liczyć się z najstraszliwszym losem, ze ślepotą. Potrzebował pociechy. A to należało do jej obowiązków, które dobrowolnie wzięła na siebie.

Zaczęła mówić obcym głosem; o wypadkach cudownego odzyskania wzroku, które wymyślała, i o tym, że trzeba wierzyć w wyzdrowienie. Kiedy się zorientowała, że chory zasnął, wyjrzała w stronę bramy znajdującej się na końcu małego ogródka.

Ranni obwiązani bandażami cisnęli się przed kratą. Czarno ubrani, mieli prawie zawsze twarze zalane łzami. Samochody sanitarne zaopatrywały sale w coraz to nowe kolumny rannych zebranych ze zbombardowanych piwnic i ze świeżych ruin. Ani śladu nadziei, ani śladu pogodniejszego widoku.

Ilza Helgert postanowiła zażądać rewizji procesu. Co prawda dla niej rehabilitacja nie miała już znaczenia, ale Fritzowi mogłoby to pomóc. Rozprawa honorowa przeciwko niemu, porucznikowi Fritzowi Helgertowi, okazałaby się zbędna. Czy potem nie powinno by nastąpić niczym niezakłócone szczęście? Nie. Wtedy miejsce strzaskanej miłości zajęłoby szlachetne uczucie wielkoduszności. Ponieważ go kocham, pozostaje mi tylko rezygnacja.

Wstała z krzesła i pełnymi łez oczyma raz jeszcze spojrzała na ogród. Na dworze było lato. Śpiewały ptaki. Żadne plany wojenne nie miały na to wpływu.

Ilza na palcach wyszła z pokoju.

Następnego dnia Wieland Altdörfer usłyszał z ust doktora Felgentragera, że tylko cud może mu pomóc. Od tej chwili wiedział już z całą pewnością, że jest ślepy.

Rozdział 14

Eberhard Baum uchodził za najlepszego radiotelegrafistę w pułku. Z racji jego zasług w czasie akcji „Wilczy Dół” Helgen przedstawił go w batalionie do awansu. Major Meusel wyraził natychmiast zgodę. Zaliczono mu też osiągnięcie z 1 lipca 1943 i otrzymał stopień kaprała.

Nie najgorszy to plan, myślał Helgert, najpierw Żelazny Krzyż, a teraz jeszcze awans na kaprała. Na weselu będzie mógł zgrywać ważniaka i budzić w sąsiadach bezgraniczny podziw dla swych bohaterskich czynów.

Wkrótce potem Meusel znów do niego zadzwonił z prośbą o oddelegowanie kaprała Bauma do 4 baterii celem udziału w nowej akcji. Sąsiednia dywizja miała do spełnienia pewne zadanie w pobliżu ujścia Zuszy. Chodziło o to, żeby II oddział oraz baterie 10 i 11 udzieliły jej wsparcia ogniowego. Wobec tego, że przewo-
dy telefoniczne trzeba by ciągnąć na bardzo dużą odległość, postanowiono posłużyć się radiem. Potrzebowano więc Bauma, aby jak najskuteczniej włączyć w akcję II oddział.

Dowódca baterii był zmuszony wyrazić zgodę. Mijał już drugi dzień od chwili, kiedy najmłodszy kapral oddziału przydzielony został do 4 baterii, ponieważ po ostatnim wypadzie rozpoznanowym front i tutaj jeszcze się nie uspokoił. Przez ten czas prośba Bauma o urlop została pozytywnie załatwiona. Udzielono mu też zezwolenia na ślub.

W niedzielę po południu Helgert pojechał konno odwiedzić przyjaciela. Przez całe rano na odcinku panował piekielny hałas. Jakieś 18-centymetrowe działo, znajdujące się w stronie południowo-wschodniej, wzięło na cel zarówno punkt obserwacyjny, jak i stanowisko ogniowe 6 baterii. Wyglądało to po prostu na wstrzeliwanie. Strat żadnych nie było. Helgertowi nie podobało się jednak ujadanie tego obcego psa.

Galop po przeciwstoku stanowił prawdziwy odpoczynek. Zdało się, że słowo „wojna” nie istnieje już nawet w słowniku. Porucznik zatrzymał się, klepnął kasztanka lekko po zadzie i pozwolił mu przez chwilę poszczypać trawę. Sam zaś wdrapał się na szczyt wzgórza i podniósł lornetkę do oczu. Długo rozglądał się po okolicy. W zasięgu tego olbrzymiego półkola nie było nic takiego, czego by w ciągu ostatniego półtora roku nie widział albo nie przeżył. Wsie i miasteczka, drogi i koryta rzek, wzgórza i pojedynczo stojące kościoły z kopulastymi wieżami, rzucające się w oczy kępy drzew i szarozielone bagna, tory kolejowe i żółte glinianki, drogi manewrowe i stanowiska, niezliczone stanowiska, od których roi się na każdym kroku, które wykorzystują na swoje potrzeby wszystko, co się tylko da, i które z dnia na dzień stają się coraz trudniejsze do pokonania.

Cała przestrzeń, znajdująca się w obrębie łuku o średnicy stu kilometrów, otaczającego położone nad Oką miasto, stanowiła zamknięty system obronny.

Porucznik opuścił lornetkę i zmarszczył brwi, aby gołym okiem spojrzeć w stronę Bierzowca.

Olśniewająco biały kościół tańczył w blasku upalnego słońca. Tam zaczynał się jego odcinek. Na pierwszym planie piętrzyły się splecione zasieki z drutu kolczastego, dalej ciągnęły się pola

minowe, za nimi zaś trzy czy cztery transzeje. Cały zręcznie skonstruowany system, który w razie natarcia wroga można było stopniowo blokować. Za nim znajdowały się ustawione jedna za drugą pozycje, gotowe każdej chwili do odparcia ataku, do lokalnej obrony, pozycje odvodu, zapory przeciwczołgowe, bunkry drewniane, stanowiska zapasowe dla artylerii, miotaczy min, ciężkich karabinów maszynowych, pozycje ryglowe oraz urządzenia do obrony okrężnej. Wydany wiosną 1942 roku rozkaz: zaryć się w ziemi - zapoczątkował tę gigantyczną krecią robotę. Wynikły z tego najwymyślniejsze umocnienia polowe: najsilniejszy niemiecki punkt oporu na froncie wschodnim. Ten trójkąt o ramionach Orzeł-Briańsk oraz Orzeł-Kursk stanowił od szeregu miesięcy kluczowy punkt całego frontu. Wszystkie te trzy miasta były ważnymi węzłami kolejowymi o dużej przepustowości, zarówno jeśli chodzi o transport wojsk, jak materiałów; zbiegały się tam także linie o charakterze strategicznym.

Helgert zastanawiał się: decydujące znaczenie ma tutaj fakt, że jest to punkt styczny wybiegającego daleko na północny-zachód, aż po Leningrad, frontu północnego z ciągnącym się równie daleko na południowy wschód frontem południowym. Jeśli kiedykolwiek dojdzie do tego, że potężny filar - Orzeł - zostanie obalony, wtedy oba te olbrzymie skrzydła zwisną bezwładnie i cały front wschodni rozpadnie się na dwie zupełnie ze sobą niezwiązane części. I jeśli wtedy Rosjanie tędy się wedrą...

Bateria moździerzy pod Woroszyłowem ostrzeliwała jakąś drużynę. Porucznik odwrócił się instynktownie. Powoli zszedł ze wzgórze i ruszył konno dalej.

Kasztanek raz jeszcze puścił się galopem z pianą u pyska, po czym poddał się woli jeźdźca, przeszedł w stępa i wreszcie

strzygąc nerwowo uszami, zaczął schodzić w dół, na dno wąwozu. Przeciwległe zbocze porastał ciemny las ekologiczny. Tu i ówdzie z niewidocznych schronów wznosiły się nad połamanymi wierzchołkami drzew wąskie smużki dymu.

Zlany potem koń kłonił szyję do poklepującej ją z uznaniem dłoni, po czym całą jego uwagę pochłonęło świeże siano.

Bunkier grupy radiowej, znajdujący się na porośniętym zielonym mchem zboczu, był dobrze zamaskowany. Jego tylna ściana tonęła wśród gęstego listowia. Poprzez osłonę przeciwołamkową wpadało do obszernego wnętrza jasne światło.

- Fritz, bracie, jak się masz!

- Moje uszanowanie, panie zaręczony albo jeśli wolisz: naręczony. Czego to ludzie nie wyczarują z podkładów kolejowych i szyn.

Helgert bez cienia zazdrości, ale z najwyższym podziwem, rozglądał się po schronie. Już od półtora roku prowadzimy tę wojnę pozycyjną, pomyślał.

- Bardzo tu pięknie, ale chciałbym już wracać na swoje śmieci - odparł Baum. W jego głosie brzmiało szczere przygnębienie.

- Pojeżdż najpierw na urlop, to najlepsze lekarstwo na tęsknotę. Przycisnę Meusela, żeby ci to jak najszybciej załatwił.

- To się dopiero Klaudia ucieszy! Wiesz, odkąd dzięki twojej pomocy zostałem kapralem i odkąd... - wskazał połyskujący Żelazny Krzyż - wydaje mi się, że wszystko mi się musi udać. Teraz nawet służba sprawia mi trochę frajdy. Czekaj, skoczę do telefonistów po parę fajek.

Szybkim krokiem opuścił bunkier.

Helgert pogrążył się w zadumie. Gdzie się podziały rewolucyjne poglądy Bauma, które głosił z taką swadą? Najwyraźniej coś się w nim zmieniło. Gdyby mnie teraz awansowano na kapitana

i udekorowano jeszcze jednym orderem, może bym też nabrał zapału do wojennego zawodu i uwierzył bez zastrzeżeń w opatrność i historyczną misję niemieckiego narodu? Może Krusemark, Pfeiler i Meusel staliby się znowu moimi wojskowymi wzorami?

Porucznik potrząsnął głową. To, co się stało, nie da się już wymazać, jest nieodwracalne. Postanowił spróbować porozmawiać o tym z Eberhardem, ponieważ od czasu wymiany zdań w związku ze śmiercią Senflebensa stosunki ich stały się jeszcze bardziej skomplikowane.

Drzwi bunkra otworzyły się z trzaskiem.

- Przepraszam cię, Fritz, ale zdobycie tych paru ogarków nie było wcale takie proste.

- Przecież ja mam papierosy.

- Zachowaj je dla siebie. Dzisiaj jesteś moim gościem. - Podsunął przyjacielowi paczkę papierosów. - Słuchaj, póki pamiętam, od paru dni nie daje mi to spokoju...

- No, no, czyżby i ciebie coś dręczyło?

Eberhard Baum wypalił bez ogródek.

- Pamiętasz, że telefonista Rudolf Bender jest teraz w naszej baterii?

- Oczywiście.

- Powiedziałem ci, że poznałem go podczas dwumiesięcznych ćwiczeń. Otóż to nie było całkiem ściśle. Znałem Bendera jeszcze przed wojną, działaliśmy razem w organizacjach sportowych i... - zawahał się przez chwilę, po czym dodał cicho: - antyhitlerowskich!

Helgert poczuł jakby ukłucie w sercu. Nie z powodu Bendera, jego przeszłość znał z akt personalnych. Ale że w życiu Eberharda istniało coś, co przed nim, przyjacielem, trzymane było do dziś w tajemnicy. Cóż warta jest przyjaźń, która najistotniejsze sprawy usuwa poza nawias wzajemnego zaufania? „...razem działaliśmy

w organizacjach antyhitlerowskich”... Kiedy to było? Czy tylko przed wojną, czy i teraz jeszcze? Może dlatego właśnie Eberhard ściągnął Bendera do ich baterii? A jaką rolę on, Helgert, ma grać w tej całej historii?

- Po co mi to właściwie mówisz? - spytał chłodno.

Baumowi zależało na tym, aby nieuniknione jego zdaniem przemilczanie faktów nie doprowadziło z jego strony do zdrady przyjaźni i zaufania.

- Nie chciałbym - powiedział gwałtownie - żebyś miał kłopoty, jeśli Bender zdecyduje się kiedy na krok, który może przeplątać głowę.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Wydaje mi się, że on nosi się z zamiarem przejścia pewnego dnia z rękami do góry na tamtą stronę.

Gdyby się tak bliżej temu przyjrzeć, to jest zwyczajny donos, pomyślał Helgert. Czy on sam chce się w ten sposób wyplątać z całej sprawy, czy mnie wystawia na próbę?

Helgert czuł ogarniającą go wściekłość, nieufność i głębokie rozczarowanie. Odpowiedział głośniejszym głosem, niż zamierzał:

- I chciałby to pewnie połączyć z jakimś bohaterskim czynem, prawda? Bardzo dokładnie pamiętam twoją rozmowę z Heizerem w zimie. Ten się jeszcze nie zdecydował na wyprawę przez ziemię niczyją.

Baum doszedł do wniosku, że powinien dodać jeszcze pewne wyjaśnienie w związku ze sprawą Bendera.

- Pytałem Bendera, czy mam z tobą porozmawiać. Stanowczo się temu sprzeciwił, bredził coś o sądzie polowym i pigułkach.

- Miał chłopak trochę racji.

Baum przeraził się. Czyżby Helgert był do tego zdolny?

- A jak wyglądają twoje plany, Eberhardzie? - spytał porucznik zimno.

- W moim wypadku nic podobnego nie wchodzi w ogóle w grę. Przede wszystkim ze względu na ciebie, a poza tym uważam to za nonsens, bałbym się o rodzinę w kraju... - i szeptem prawie dodał: - i o Klaudię.

Rozczarowanie Helgerta jeszcze się pogłębiło. A więc do tego doszło. Eberhard nie ma właściwie żadnego poglądu na tę sprawę. W ciągu kilku miesięcy stał się zupełnie innym człowiekiem.

- Nic mi nie odpowiedziałeś, Fritz.

- Cóż mam ci odpowiedzieć? Znasz przecież moje stanowisko!

Porucznika ogarnęło straszliwe zniechęcenie.

Idea walki przeciwko Hitlerowi to przecież kompletna utopia, myślał Baum. Najlepiej trzymać się z daleka od wszelkiej polityki. Kiedy Klaudia będzie już na zawsze do mnie należała, zastanowię się jeszcze nad tym spokojnie i obiektywnie.

Dwaj przyjaciele siedzieli w milczeniu, pogrążeni w swoich myślach i czuli, jak bardzo są sobie dalecy. Wreszcie Helgert spojrzął na zegarek.

- Chciałbym wrócić do siebie przed zmrokiem - powiedział, wstając. - Bywaj, Eberhardzie!

- Do widzenia u ciebie, Fritz. Muszę przed odjazdem zabrać swoje rzeczy. I odmeldować się.

Helgert założył koniowi wędzidło i nie oglądając się, wskoczył na siodło. Przeciął wąż na ukos i dopiero wtedy odwrócił się nieznacznie. Na dole, przed bunkrem, kładły się ostatnie promienie słońca niby blade palce. Ziemia była już szara. Daleko przed nim czyhała już noc czarna jak kobalt. A byliśmy przecież przyjaciółmi, myślał zadumany.

Spiął ostrogami Ułana i pognał w stronę swego odcinka.

Pierwszy brzask budzącego się dnia. Najbardziej złowroga pora. Oczy i uszy dokonują isticie kuglarskich sztuczek, żeby nic nie przegapić.

Wysoki kapral, Heinrich Heidemann, o ciemnej, zwichrzonej czuprynie i zawsze czujnych oczach siedział na stanowisku obserwacyjnym na Wzgórzu Bierzowieckim i wpatrywał się uważnie w linię frontu. Równocześnie nasłuchiwał dalekich odgłosów dochodzących z północnego zachodu. Wyglądało to na bombardowanie. Ewentualnie z udziałem artylerii. Niewątpliwie jakaś gwałtowna akcja. Ale gdzieś bardzo, bardzo daleko. Może pod Bołchowem. Wiatr był dziś szczególnie pomyślny.

Nagle dudnienie zaczęło dobiegać od południa. Heidemann zwrócił lornetę w prawo. To było chyba w zasięgu ich dywizji! Strzelały prawdopodobnie baterie pod Krasnym Pacharem i Michajłowskim II. Nad Kałganawską unosiły się charakterystyczne smugi dymu po wystrzałach z moździerzy. Po chwili nastąpił znów spokój. Powoli olśniewające promienie wschodzącego słońca rozproszyły na niebie ślady po wystrzelonych pociskach.

Podoficer skierował lornetę z powrotem na lewo. Obok młyna Sobody sterczały sztywno czarne, spalone kikuty. Za rzeką glinianką o stromych brzegach ciągnęły się z jednej strony kotliny ku ruinom Wygonu, z drugiej zaś ku Łopacie. Martwe pole otaczało łukiem Kasar. Jeszcze dalej na północ stały wysokie topole, wyraźnie pochylone od nieustannie wiejącego na równinie wiatru. Tor kolejowy był pokieroszowany przez niezliczone pociski zapalające. Za nim zaczynały się stare zimowe pozycje między Leniskim a Pielewką-Południe. Kręte transeje i rowy łączące bazy „Lisia wieża”, „Eskimos” i „Pies Polarny”, podobnie jak stanowiska znajdujące się za rzadkim dębowym laskiem nad ujściem Zussy, były ledwo widoczne.

Oto linia graniczna sąsiedniej dywizji. Młody podoficer wciąż jeszcze miał pewne trudności ze zorientowaniem się w szczegółach

tego rozległego odcinka frontu, z zapamiętaniem wszystkich określeń i nazw. Dowódcy chrzcili coraz to jakiś nowy punkt terenu, wykazując przy tym niewyczerpaną pomysłowość. Były tam więc: baza „Trzy Chałupy”, „Stodoła”, „Długi Rów”, „Chochla”; były setki punktów celowania kompanii i baterii, batalionów, plutonów i pułków. Obserwator musiał wiedzieć, gdzie leży „Wzgórze Traktorowe” oraz kto, kiedy i jak ma stosować ogień zaporowy, przede wszystkim zaś: jak najskuteczniej kierować ogniem przy braku ludzi.

Heidemannowi mieszały się wciąż stanowiska artylerii w Jamskiej Słobodzie, w Kamionce, w Czernyszewie. Usiłował wbić sobie do głowy, gdzie znajduje się „Kotlina Noży”, „Zagajnik”, „Łąka Fryderyka”, „Pasma Graniczne”. Potem znów porównywał teren z mapą, odnajdując „Wzgórze Trygonometryczne”, „Siodłaty Las” i „Wąwóz Kolejowy”, „Studnię”, „Szałas”, „Kuliste Drzewko”. Praktyka wydawała mu się o wiele bardziej skomplikowana niż to, czego się dotychczas nauczył z tej dziedziny teoretycznie.

Na dworcu w Wierchowju Heidemann widział dziś znowu lokomotywy i od czasu do czasu jakiś krótki pociąg. Ale to się stale powtarzało, znajdując odbicie w coraz bardziej jednostajnych sformułowaniach obserwatorów: „Słaby ruch pieszych na drodze manewrowej Nowosil-Orłówka. Trzydzieści strzałów ognia zaporowego kalibru 7,62 i 12,2 cm z okolicy »Psiego Lasu« na »Stodołę« i »Wzgórze Kościelne«. Prace przy okopach w »Wilczym Dole« i pod »Wzgórzem Traktorowym«”. Wciąż to samo. A dokoła tylko rowy i rowy.

Na cmentarzach za linią frontu wyrastały z ziemi brzoźowe krzyże. Co dzień przybywały nowe. A liczba złożonych tam na spoczynek, znanych mu osobiście, stale się zwiększała. Nawet tak niepozorne działania bojowe wojny pozycyjnej z jej nieregularnym rytmem pochłaniały wciąż nowe ofiary.

Chciał napisać list do swojej przyjaciółki we Frankfurcie, ale nie przychodziło mu do głowy nic wartego opowiedzenia. Coraz wyraźniej dochodziło do jego świadomości niezwykle pocieszające uczucie, że czas pełnienia warty dobiega końca i że wkrótce będzie mógł spożyć resztę swego przydziału i wałnąć się spać. Wreszcie zjawił się Bürger i objął wartę.

Kiedy plutonowy Söchting, który został na kilka dni zwolniony z funkcji obserwatora, wracał w południe przez wąwóz bierzowiecki na stanowisko ogniowe 6 baterii, miał na czole trzy głębokie bruzdy równoległe do nasady włosów. Coś mu się w tym wszystkim nie podobało, czuł, że po tamtej stronie zaczyna się jakiś niepokojący ruch. Jednak przyczyny tego ruchu nie można było stwierdzić przy pomocy lornetki. Nawet stare frontowe wygi w rodzaju Eiserberga ogarnęło dzisiaj zdenerwowanie, myślał. Tylko paru pyskaczy zgrywało chojraków.

Już przed południem słychać było od czasu do czasu wystrzały ciężkich pocisków. Szybko, jakby to były działa 7,62-centymetrowe, następowały wybuchy, pozostawiając olbrzymie leje o poszarpanych brzegach. Odłamki rozpryskiwały się z gwizdem na setki metrów dokoła. I to w dodatku w niedzielę, kiedy wydawano przydział wódki!

Söchting wkwaterował się do bunkra dowódcy plutonu. Panująca tam cisza nastrajała do rozmyślań. Nasza letnia ofensywa na centralnym odcinku frontu trwa już prawie tydzień. Do licha, to powinno było wystarczyć na zdobycie pierwszych obiektów operacyjnych! Na przestrzeni łuku kurskiego, posuwając się z północy na południe i z powrotem. A w środku miłe spotkanie jak we wrześnie anno 1941 na wschód od Kijowa. Jeśli się coś okraża, to po to, żeby wykończyć tych, którzy się w takim kotle znajdują. To byłoby równoznaczne z rozbiciem kilku armii. Z punktu widzenia strategicznego sprawa jest jasna: nasi chcą opanować linię kolejową

Orzeł-Kursk-Charków. Kiedy tego wreszcie dokonamy, odpadnie wciąż wisząca groza niespodziewanego ataku nieprzyjaciela na łuk orłowski. A potem? No cóż, bracie, potem... Tu Söchting zanucił: „Będziem dalej maszerować...” Potem trzeba się będzie pchać dalej, na Woroneż. Może nam się jeszcze uda załatać dziurę po 6 armii. Cholernie dużo byłoby do zdobywania! Nie tylko Woroneż może jeszcze uderzyć na Tułę, a jeśli się to okaże wskazane, i po raz drugi na Moskwę. Może należało to zrobić już w 1942, zamiast pakować się w tę piekielną awanturę nad Wołgą.

Podniecony tymi rozważaniami Söchting zajął się pielęgnacją własnego ciała. Jaka to rozkosz znaleźć się wreszcie poza okopami. Nie musieć poruszać się biegiem, w pozycji schylonej, z jednym ramieniem wysuniętym naprzód. Nie patrzeć na świat przez wąskie szpary i minimalne otwory, nie wegetować w stanie nieustannego podświadomego napięcia sygnalizującego każdy odgłos towarzyszący walkom piechoty.

Na zakończenie zabrał się do wycinania zużytą żyłką bolesnego odcisku. Mimo optymistycznego nastroju zdawał sobie sprawę, że na froncie człowiek nigdy nie może czuć się bezpieczny. Nieprzyjacielskie radio podało niedawno do wiadomości, że chociaż co roku powoływano do wojska nowych żołnierzy, ogólny stan liczebny armii niemieckiej stale się obniżał. Na początku roku 1933, kiedy Söchting wstępował do stutysięcznej armii, góra nie wiedziała, jak zahamować potok napływających ochotników. Zorganizowano wtedy czarną Reichswehrę, obozy ćwiczeń dla poborowych, kursy strzelania dla studentów, podwyższono ilość etatów. Wojskowym zawodowym było to bardzo na rękę. Większość z nich bowiem, nie posiadając żadnego wykształcenia zawodowego, miała przed sobą spokojną karierę urzędniczą z zabezpieczoną materialnie przyszłością.

- A niech to diabli! - burknął Söchting, kiedy palec zaczął mu krwawić, i cisnął zyletkę do wiadra na śmieci. Wreszcie stwierdził, że strawił cały dzień na użytecznych czynnościach i bezsensownych rozmyślaniach.

Na horyzoncie, za Wierchowjem, widać było zbliżającą się groźną burzę. Bezgłośnie migotały nieustanne błyskawice. Zapadała parna noc. Gdzieś daleko poszczekiwały karabiny maszynowe. W powietrzu panowało o wiele większe ożywienie niż podczas ubiegłych nocy. Posterunki obchodziły swoje krótkie odcinki kontrolne, a gwiazdozbiory swoje olbrzymie niebieskie przestrzenie.

Starszy szeregowiec Bürger, obsługujący punkt obserwacyjny głównego stanowiska obserwacyjnego 6 baterii na wzgórzu 228, ziewnął i spojrzął na zegarek o fosforyzujących cyfrach. Zbliżała się trzecia. Prawdziwej nocy w pełni lata w ogóle tu nie było. Zdarł kartkę z małego ściennego kalendarza: poniedziałek, 12 lipca 1943 roku. Jakie właściwie znaczenie mają dni i tygodnie na tych bezkresnych przestrzeniach.

Bürger, którego odruchy były niesłychanie skąpe, nastawił nagle uszu. W powietrzu zaterkotała znowu jakaś maszyna. Trwało to zresztą przez całą noc. Ciekawe, co ich dzisiaj ugryzło? Ten nieustanny ruch na nocnym niebie! I za każdym razem moment napięcia, kiedy ta bestia w górze wyłącza silnik albo dławi, kiedy zwalnia bomby i ostrzeliwuje się z broni pokładowej.

Odgłosy samolotu zamierały powoli. Za to na północnym zachodzie rozległo się delikatne brzęczenie. Do licha, to jest cichsze niż na przykład burza nadciągająca od Wiener Neustadt, kiedy w Nussdorf popijało się młode winko. Zupełnie jakby się powietrze samo o siebie ocierało. To dochodzi chyba aż spod Bołchowa. Tam już nieraz bywało gorąco. Chociażby w zeszłym roku. Kto wie, co

się od wczoraj mogło wydarzyć. Tutaj nie dochodzą przecież żadne rozsądne wiadomości.

Może by tak zadzwonić do Bendera, który ma teraz służbę w łączności na dole? Żeby tylko gębę do kogo otworzyć. A jeżeli to dzwonicie przeszkodzi innym? - pomyślał Bürger i ziewnął. I tak zaraz będzie zmiana. Niech już Niemisch sprawdza przewody.

Ospałym wzrokiem patrzył przez wąską szczelinę obserwacyjną. Na lornetę nożycową było jeszcze za ciemno. Nieruchome prawie, zwiewne pasma mgły spowijały teraz zbocze. Akcje jakby czekały, aż słońce wreszcie wzejdzie. Gdyby nie było wojny albo gdyby ta wojna się skończyła! A najlepiej, gdyby człowiek był już w domu...

Starszy szeregowiec Bürger zamierzał właśnie pogрузić się jak zwykle w marzeniach, kiedy nagle oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia: od północy ku południowi zaczęły strzelać w niebo niezliczone błyskawice, to ciemnoczerwone, to znów olśniewająco jasne. Przeciwległy odcinek frontu przypominał płonąca szachownicę. Bürger nie rozumiejąc, gapił się na to widowisko. Zanim się opamiętał, pierwsze pociski uderzyły na północ od kościoła. Część spadła na tor kolejowy. Większość jednak wymierzona była chyba w odcinek między Leninskim a „Wzgórzami Zwycięstwa”. Potem rozległy się detonacje. Ogłuszające, przeraźliwe jak grzmoty toczyły się jedna za drugą. Odgłosy nowych wystrzałów terkotały dalej niby uderzenia bębnow. Huki odbijały się echem. Błyski trwały nieprzerwanie. Bürger siedział jak sparaliżowany. To strzelają przecież niezliczone baterie! Nowe baterie, których istnienie nie zostało dotychczas stwierdzone, które nigdy jeszcze nie strzelały! Jednym nieprzerwanymi grzmotem raziły lewy sąsiedni odcinek.

Jak rażony prądem Bürger zerwał się, zsunął się po drabinie ze stanowiska obserwacyjnego i wrzasnął ku śpiącym w bunkrze:

- Alarm! Alarm! Wstawać! Wyłączyć! Atak! Panie poruczniku!

W paru susach znalazł się z powrotem na górze, kręcił jak szalony korbką aparatu telefonicznego. W batalionie nikt się nie zgłaszał. Zaczął kręcić dalej niesamowicie podniecony.

- Tu łącznica „Burek”.
- Stanowisko dowodzenia, natychmiast!
- Zajęte. Zadzwoń później!
- Idioto! - ryknął w tubę. Ale tamten już dawno się wyłączył.

Groźne, ale dające się odróżnić huki w dolinie Nierucza zamieniły się nagle w jeden wielki, narastający łomot. Oczy Bürgera przesuwwały się gorączkowo po przedniej linii własnego odcinka. Tam nic się nie działo. Nie padł ani jeden pocisk. Gdy tymczasem z lewej strony w I batalionie, o niecałe dwa kilometry dalej! Poczłwał ciarki przechodzące po karku. Nerwy zaczęły go ponosić.

Wreszcie połączył się ze stanowiskiem ogniowym baterii. Odezwał się Gengenbach.

- Przygotować się natychmiast do otwarcia ognia! - Bürger aż się zachłystywał.

Na dole wszyscy już się dawno zerwali. Słyszał, jak się nawzajem przekrzykują.

Cztery minuty po trzeciej. Zaczynało dopiero świtać.

Drugi radiotelegrafista z rozpiętą bluzą usiadł obok Bürgera i usiłował nawiązać połączenie. W eterze roilo się od głosów.

- Gdzie się do diabła podziewa porucznik?! - ryknął Bürger w otwór bunkra.

- Stoi w rowie!
- Nie przejmuje się.

- Niechże wreszcie weźmie w garść ten cały bajzel!

Bürger zszedł do rowu i spojrzał przez lornetkę w przestrzeń przed sobą.

Heidemann usiadł przed lunetą. Powoli lustrował cały odcinek frontu będący w jej zasięgu. Wyteżał wzrok, krew pulsowała mu w skroniach. Cholerny pech! Ledwie człowiek zdążył wrócić na front, a już w parę tygodni potem zwała mu się na kark taka piekielna draka!

Z południa nadlatywały teraz z gwizdem ciężkie pociski śmigające tuż nad grzbietem wzgórze. Za nimi, na drodze manewrowej między Berezowcem a Woroszyłowem wybuchały w górę ogromne grzyby ziemi; przybywało ich tyle i w takim tempie, że stworzyły w końcu zwartą czarną ścianę. W parę sekund później rozległ się huk groźniejszy niż wszystkie dotychczasowe i pocisk runął z wyciem na dno doliny w kierunku, gdzie znajdowało się stanowisko ogniowe 6 baterii.

Helgert wszedł do bunkra i wdrapał się na siedzenie obserwatora.

- Puść mnie.

Heidemann odsunął się i spojrzał na swego dowódcę. Nie uważał jednak na jego twarzy szczególnego podniecenia. Sam czuł się za to jeszcze bardziej niewyraźnie. Szczytem marzeń byłoby teraz znaleźć się o jakieś dziesięć kilometrów stąd. Choć i tam sytuacja mogła już wyglądać podobnie albo za parę godzin do tego dojrzała. W takim razie o sto kilometrów dalej, zastanawiał się. Ale i to znajdowało się jeszcze w ramach łuku orłowskiego! Do diabła, no to o tysiąc kilometrów! Wtedy byłoby się nieproszonym gościem w domu obcych ludzi.

- Przybyło co najmniej pięćdziesiąt do sześćdziesięciu baterii - stwierdził Helgert po chwili. - Są tam także działa kolejowe.

- Na Kasar wałą chyba głównie z ciężkich granatników!
Porucznik kiwnął głową i patrzył dalej jak urzeczony na płoną-
cą mozaikę.

- To musi być więcej niż pięćset luf!
- Sądząc po hałasie, obejmuje i sąsiednią dywizję!

Heinrich Heidemann usiłował opanować drzenie dolnej szczę-
ki.

Helgert czuł kroplę potu spływającą mu z czoła wzdłuż prawej
skroni. To już będzie koniec, pomyślał, tego uderzenia, które naj-
wyraźniej zostało z góry przygotowane, front nie wytrzyma.

Obrócił lornetę prawie całkiem na północ.

Między Leninskim i Lesikami ogień gęstniał coraz bardziej,
szeroką falą posuwał się w kierunku Setuchy. „Wzgórze Zwycię-
stwa” zamieniło się w jeden wielki kłęb dymu, dla oka nie do
przebiccia. Zdawało się, że cały kraj w blasku poranka zaczął pło-
nać. Fontanny ziemi nieustannie wdzierały się w coraz gęstsze i
ciemniejsze chmury dymu. Granaty i odłamki ryły ziemię, wdzie-
rały się wszędzie, przewracały wszystko do góry nogami. Resztki
ruin trzech wiosek na północnym odcinku zostały ostatecznie
zniesione z powierzchni ziemi. Lasek dobowy kurczył się coraz
bardziej. Transzeje, bunkry, bazy i punkty oporu były rozbijane,
druzgotane, zasypywane i znów ryte. I wszędzie tam znajdowali
się ludzie, wszędzie...

Ziemia drżała nawet na szczycie „Wzgórza 228”. Nikt z obec-
nych na stanowisku obserwacyjnym nie mówił ani słowa. Wszy-
scy czuli, że są świadkami straszliwej bitwy. W tym miejscu Ar-
mia Czerwona zaplanowała przerwanie frontu. Zaczynało to przy-
pominać bitwy wyniszczające w roku 1917.

Porucznik starał się zgłębić taktyczne zamierzenia Rosjan. Z
punktu widzenia strategicznego położenie było jasne. Łuk orłowski

miał ostatecznie zniknąć. W tym celu należało zaatakować jego najbardziej wysunięte krańce na północy i południu. W ciągu najbliższych dni z komunikatów nie będzie się można zapewne dowiedzieć, czy istotnie i tam się to równocześnie zaczęło. Pozostawało tylko jedno wyjście: wysłuchać wszystkich audycji nadawanych przez tamtą stronę w niemieckim języku przez nadajniki krótkofalowe.

Helgert zastanawiał się: tutaj, na przestrzeni najbardziej na wschód wysuniętego klina, widać już teraz wyraźnie, że to coś więcej niż lokalna większa operacja. Ten atak ma być zapewne przeprowadzony z siłą, której zadaniem jest rozbić nasze pozycje umocnione, odrzucić nasze oddziały i dokonać wyłomu w linii frontu.

Przez teren naszej dywizji przebiega nietknięta z obu stron linia kolejowa Jelec-Wierchowje-Turowka-Woroszyłowo-Orzeł: ważna arteria strategiczna. Przejście jej na stronę Rosjan może być kwestią godzin. Niemal równolegle do niej biegnie droga manewrowa Jefremow-Nowosil do Orła i dalej przez Karczew do Briańska. Jest to drugi punkt newralgiczny zarówno dla obrońców, jak i dla atakujących. A więc uderzenie prowadzone od wschodu musi się koncentrować na tym właśnie odcinku. Będzie to na lewo ode mnie, na terenie I batalionu, aż do skrzydła dywizji.

Porucznik Helgert był zdziwiony, że mimo nieustannych efektów optycznych i akustycznych oraz mimo rosnącego zobojętnienia potrafi mniej więcej logicznie rozumować. Nagle coś go zastanowiło: od 5 lipca trwa wielkie natarcie niemieckie na Kursk. Musi tam być obecnie olbrzymia koncentracja wojsk. Stawianie czoła takiej sile wymaga przecież na pewno gigantycznego wysiłku defensywnego czerwonych dywizji. Może więc ten radziecki atak na odcinek frontu na zachód od Nowosila ma charakter dywersyjny i celem jego jest osiągnięcie wojsk niemieckich

zgrupowanych na froncie centralnym! Ta myśl trochę go uspokoiła.

Naprzeciwko nieustannie błyskało się, pociski nadlatywały i uderzały w poszczególne stanowiska.

Ani jedna z niemieckich baterii nie zaczęła strzelać. Łączność przewodowa została już dawno przerwana. A nawet gdyby jeszcze istniała, nikt nie byłby w stanie obsługiwać działa.

Dowódca baterii zamknął oczy. A jeśli Rosjanie traktują to natarcie poważnie? W takim razie muszą rozporządzać takimi siłami, że nikt stąd z życiem nie ujdzie.

Nagle tuż obok uderzyły z trzaskiem ciężkie odłamki i zaraz potem znowu. Jeden po drugim. Teraz celem ostrzału było „Wzgórze 228”. Seria ciężkiego kalibru trafiła w sam środek transeji. Kilka granatów 12,2-centymetrowych wybuchło z ogłuszającym hukiem nad stanowiskiem obserwacyjnym. Jednakże kopała pancerna nie ustąpiła. Jeden granat pękł u wejścia do bunkra. Drewniane oszalowanie tylnej ściany rozleciało się na wszystkie strony.

Teraz pociski padały niesamowicie gęsto, skupiały się jednak o jakieś trzydzieści kroków przed transeją na pozycji pozorowanej i rozwalaly ją metodycznie. Czuć było zapach prochu.

Ludzie leżeli na ziemi przyciśnięci do ścian. Jeśli osłona zawiedzie, bunkier zamieni się w autentyczną kostnicę, pomyślał Helgert i usłyszał własny dyszący oddech. Odłamki padały jak grad na ziemię, na belki i płyty pancerne.

Następne pociski wzbily znowu wysokie słupy kurzu na polnej drodze wiodącej do Bierzowca. Potem niezliczone pięści pancerne zaczęły walić w wieś.

Tkwiącego w rowie starszego szeregowca Bürgera trafił w udo duży odłamek. Kiedy go znaleziono, dawno już zmarł z upływu krwi.

Ogień szerokim strumieniem przesuwiał się od wsi w stronę kotliny. Nieprawdopodobne ilości pocisków spadały teraz na stanowisko ogniowe 6 baterii.

Telefonista Niemisch kręcił jak szalony korbkami aparatów. Funkcja ta stanowiła jedyne oparcie, jakie posiadał, jedyny pewny ruch, jaki mógł wykonać. Od roku był odpowiedzialny za łączność telefoniczną ze stanowiskiem ogniowym i ze sztabem batalionu. O niczym nie myślał, nic nie odczuwał, wszystko odsunęło się gdzieś nieskończenie daleko, ale Niemisch nawet teraz był w pełni świadomy spoczywającego na nim obowiązku.

Łączność z 3 kompanią, przy której znajdowało się też stanowisko obserwatora, pozostała nienaruszona. Tam nic się w ogóle nie działo. Cała załoga zajmowała stanowiska bojowe. Eiserberg dzwonił od czasu do czasu. Przeważnie jednak stał w rowie, badając sytuację.

Kabel biegnący do stanowiska ogniowego był już kilkanaście razy naprawiany. W każdej przerwie wybiegała z dołu ekipa łącznościowców, żeby połączyć poszarpane przewody. Na razie nikt się tam nie odzywał.

Aparat łączący ze stanowiskiem dowodzenia batalionu znów był głuchy, uszkodzony po raz trzeci, chociaż przewody biegły po przeciwstoku ku zalesionemu wąwozowi. Korbka brzęczała. „Rzepa” wciąż nie zgłaszała się i bateria była zawieszona w próżni, podobnie zresztą jak zapewne wszystkie pozostałe baterie na tym odcinku, które nie zostały jeszcze zniesione z powierzchni ziemi. Telefonista przywołał gestem Heidemanna, żeby go zastąpił.

Niemisch przesunął się ku wyjściu i czekał. W czasie ulewy tylko wariat wychodzi po gazetę, stwierdził, i zawiesiwszy na szyi aparat do wykrywania uszkodzeń, przycupnął za ciężkimi drewnianymi drzwiami. Pod hełmem czuł wyraźnie pulsowanie krwi.

Radiotelegrafista wciąż męczył się bez skutku. Zmieniał długość anteny i częstotliwość, próbował nastawiać aparat coraz to na inną stację. Słyszał głosy ze stanowiska ogniowego, jakby się ono znajdowało w Afryce. Chaos przeróżnych obcych sygnałów Morse'a przechodził wszelkie granice. Utwierdzało go to w przekonaniu, że wojskowa radiostacja plecakowa „b”, tak zwany „aparat Berta”, nie spełniałaby swoich zadań nawet podczas wojny w latach 1870-1871.

Ni stąd, ni zowąd ogień ustał. Groźne dudnienie zamarło. Tylko gdzieś tam odzywały się pojedyncze strzały. I żółtoniebieskawy słup dymu wznosił się prostopadle w górę, mieszając się powoli z dziwnie poszarpaną nadrzeczną mgłą. Cisza zalegająca teraz spaloną ziemię zdawała się złowroga i podstępna.

Obie lunety przesuwwały się gorączkowo po radzieckich stanowiskach dostrzegalnych z tej odległości. Nic. Absolutnie nic. W okopach panował spokój jak nigdy. Dręczące napięcie wciąż rosło. Kiedyż oni nadejdą? Gdzie pojawi się pierwszy czołg?

Godzina trzecia czterdzieści pięć.

Nagle zagotowało się po tamtej stronie, w dwóch, pięciu, ośmiu, dwudziestu i więcej punktach naraz; najpierw wybuch kłębiastego dymu, a potem chrapliwe wycie.

- Organy Stalina - powiedział Helgert.

Reszta skinęła potakująco głowami.

Kapral Heidemann zaczął się zastanawiać, czy mógłby teraz biec, gdyby mu pozwolono uciekać, dokądkolwiek, gdzie nie dosięgłyby go żadne pociski. Czy odważyłby się przedzierać przez ten rozszalały orkan salw armatnich, który przewalał się ponad „Psem Polarnym” i „Lisią Wieżą”?

Heidemann nie był nawet pewien, czy płakałby, gdyby go tu zostawiono samego. Nie wiedział już absolutnie nic. Nagle poczuł, że zęby mu szczękają.

Ogień artyleryjski rozpoczął się od nowa.

Był to jeden wielki grzmot.

Wreszcie radiotelegrafista uzyskał połączenie. Gengenbach nadał ze stanowiska ogniowego:

- Nikt nie może się ruszyć z bunkra. Mamy dwóch zabitych i pięciu lekko rannych. Działa nie zostały chyba jeszcze uszkodzone. Przewodów nie da się już naprawić, trzeba będzie założyć nowe, jak się trochę uspokoi. Skończyłem!

Każdy miał nerwy napięte aż do granic obłędu. Mimo to jedli suchary z wyschniętą marmoladą.

Heidemann złapał się na tym, że pośród tego nieustannego huku już dwa razy mu się oczy zamknęły.

Wskazówki okrążyły tarczę zegara, wyznaczając jedną godzinę po drugiej.

Słońce nie mogło przebić stale gęstniejącej ściany dymu, mgły i kurzu. Mętne i niepozorne wznosiło się nad zamgloną linią horyzontu, rozciągając światło, jakie zwykle poprzedza burzę.

Tuż przed szóstą ogień nagle zamilkł. Cisza wyzwoliła nowe napięcie.

Wtedy Niemisch pchnął drzwi bunkra, wyskoczył do tranzei i pognął w stronę dowództwa batalionu.

Heidemann sprawdził, czy w magazynku pistoletu maszynowego ma siedemdziesiąt dwa naboje i pomyślał: Teraz jest już najwyższa pora! Lada chwila tu się zjawią. Rwący, szeroki potok zacznie się wylewać z ich okopów. Obsiada czołgi jak winne grona. Ale gdzie się wyłonią? Gdzie? Heidemann wiedział, że ta sama myśl nurtowała teraz wszystkich.

Nastawił czujnie uszu. Gdzieś daleko rozległo się delikatne brzęczenie, z każdą chwilą wyraźniejsze, napływało od wschodu coraz szerszą falą. Potężne dudnienie bombowców wypełniło ranek. Myśliwce i samoloty szturmowe zjawiły się pierwsze, żeby

w razie potrzeby zrobić porządek na niebie. W powietrzu nie było ani jednej niemieckiej maszyny. Szybkie radzieckie samoloty jak roje szerszeni śmigwały lotem koszącym nad zrytym przez pociski terenem i seriami z broni pokładowej raziły wszystko, co się jeszcze ruszało.

Pierwsza fala bombowców P-2 nadleciała w zwartym szyku. Potworzyły się luki. Rozległ się gwizd, huk wybuchów. Potem długi dywan bombowy potoczył się na tor kolejowy, daleko w głąb zaplecza.

Helgert szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w przestrzeń. Łuk orłowski zostanie teraz na wschodnim krańcu rozłupany jak orzech. Kiedy stabilność przedniego skraju obrony zostanie już raz naruszona, reszta rozleci się sama. Klęska zaczyna się rysować całkiem wyraźnie. Te przerażająco skupione siły. I nie dość, że na stanowiska niemieckie spuszczone bezmiar amunicji, to jeszcze wykazano wyższą klasę prowadzenia walki, choćby przez fakt ściągnięcia na front setek baterii aż po najcięższy kaliber. Dowództwo niemieckie najwyraźniej nie miało najmniejszego pojęcia o tej całej koncentracji. Nie wiedziało, że po tamtej stronie przygotowano niezliczone ilości moździerzy i niezliczone tony pocisków. A pułki szturmowe? A kolumny czołgów? Czy można sobie wyobrazić, że to bombardowanie urządzono tylko tak dla żartu i że zaraz nastąpi cisza? Raczej nie. Oni ruszą i wszystko po drodze stratują. Najpierw tutaj... a potem coraz dalej.

Artyleria znów włączyła się do akcji. Stało się to, co zdawało się nieprawdopodobne: ogień przybrał jeszcze bardziej na sile. Wybuchające granaty toczyły zbocze wzgórza w górę i w dół. Powietrze przesycone było ich wyciem. Sprawiało to wrażenie, jakby błady ranek wypluwał je z siebie. Po drugiej stronie doliny rzecznej błyski pojawiały się z regularnością automatu. Niebo migotało, jakby odbijał się w nim potężny wybuch wulkanu.

Od czasu do czasu ukazywały się w górze rakiety sygnalizacyjne. To czerwone, to znów białe lub zielone. Wołały one w przestrzeń: „Tu jesteśmy!” - „Przypuścić natychmiast ogień zaporowy!” - „Przyślijcie posiłki! Na pomoc!” Jednakże przecinające powietrze pociski zdawały się je rozbijać i znacznie szybciej niż zwykle strącać na ziemię. Ciężkie odłamki trafiały co chwila w zasieki, rozrzucaly nagromadzoną faszynę, rujnowały skomplikowany system umocnień.

Ogień burzący zamienił się w nieprzerwany, głucho dudniący orkan, w który tylko z rzadka wdzierały się wybuchy szczególnie ciężkich pocisków. Im dłużej to trwało, tym bardziej ludzie stawali się otępiali i apatyczni, tym szybciej rozsypywał się w proch i pył mit o niezwykłoności niemieckiego Wehrmachtu.

Nagle zadzwonił telefon.

- Tu kanonier Niemisch. Za trzy minuty przewód będzie naprawiony. Zaraz się zamelduję. Skończyłem!

Na nawiązanie łączności nikt już serio nie liczył. Söchting wpadł jak burza na stanowisko obserwacyjne. Nie mógł już wytrzymać na dole, chociaż należał mu się parodniowy odpoczynek. Helgert kiwnął mu głową i pomyślał: Dlaczego on tu właśnie przylazł, mimo tej diabelskiej strzelaniny? Może strach go obleciał, że tam, przy działach, miałby w razie czego trudniejsze warunki do ucieczki? A może nerwy go po prostu zawiodły od tego cholernego huku? Może wołał być wśród swoich? Z czystej solidarności? Kto to wie? W każdym razie będziemy tu mieli o jednogo równego kumpla więcej.

Znowu jedno skrzydło bombowców spuściło na atakowany teren swój śmiertelny ładunek. Czwarte czy piąte natarcie, liczył dowódca baterii.

- Berta sześć. Tu Meusel. Podaję dla waszej orientacji: Atak nieprzyjaciela w sile kilku co najmniej pułków. Główne uderzenie skierowane prawdopodobnie na linię rozgraniczenia dywizji. Oddziały uderzeniowe przeszły Zuszę. Sytuacja wygląda groźnie. Przednia linia obrony przekroczona. Na odcinku I batalionu wdarcie się od strony Leninskij. W tej chwili Rosjanie w sile jednego pułku posuwają się w kierunku lasek dębowy i Leski-Malinowiec. Natychmiast skierować działa na północ. Batalion daje rozkaz strzelania. Wyłom musi zostać bezwzględnie zamknięty. Dotychczas w naszym polu widzenia stosunkowo niewiele czołgów. Naliczono około trzydziestu. Skończyłem!

Dlaczego mnie to wszystko tak mało obchodzi? - myślał Helgert. Czy dlatego, że na razie mój odcinek niewiele jeszcze ucierpiał? Ze jestem czymś w rodzaju świadka równie strasznego, jak wspaniałego widowiska?

Telefon znów zadzwonił. Odezwał się monter liniowy baterii sztabu:

- Kanonier Niemisch leży pod krzakami jałowca o piętnaście kroków od naszego bunkra; prawdopodobnie zabity na miejscu. Skończyłem.

Porucznik opuścił słuchawkę. Ścisnął przycisk tak mocno, że go aż ręka zabolęła. Kto będzie następny? Co się właściwie ze mną dzieje? Mam przecież jeszcze pewne porachunki z kilkoma przedstawicielami tego państwa. Ale oto zbliżają się Rosjanie. Czy mam wyjść im na spotkanie, jeśli tu przyjdą - a przyjdą na pewno - i powiedzieć: „Zdrawstwujcie?” Tylko dlatego, że oni walczą między innymi z Dörnbergiem, Krusemarkiem i Torstem?

- Otworzyć ogień! - powiedział Heidemann, podał mu słuchawkę i przyłożył sobie do ucha słuchawkę do jednoczesnego odbioru. Stanowisko dowodzenia nadało rozkaz. W trzy minuty

później batalion spowodował kilkanaście nawał ogniowych na skupiska czołgów. Helgert zauważył, że ogień był celny.

Nad odcinkiem wzdłuż Zuszy toczyła się teraz zażarta walka powietrzna. Obie strony miały znaczne straty. Samoloty spadały na rozdygotaną ziemię, wlokąc za sobą pasmo czarnego dymu albo buchając płomieniami.

Niechby się już wreszcie zaczęło! - myślał Helgert. To czekanie jest przecież nie do zniesienia!

Jednakże nieprzyjacielskie jednostki ograniczyły się wyraźnie do trzymania całymi godzinami pod skoncentrowanym ogniem środkowego i południowego odcinka dywizji.

Okolo godziny jedenastej trzydzieści nagle wszystko ucichło.

Wtedy nieprzyjaciel wkroczył w rejon I batalionu. Pułki! Bataliony! Ich wielotysięczne „urra!” zagłuszało dudnienie czołgów.

Metr po metrze żołnierze radzieccy wypierali najeźdźców ze swej socjalistycznej ojczyzny.

Oddziały wojsk niemieckich broniły się rozpaczliwie. Po wielogodzinnej zażartej walce Armia Czerwona opanowała główny rejon obrony. Dopiero wtedy radzieckie dowództwo uznało dokonany tego dnia wyłom za wystarczający. Przez całe popołudnie jednostki zajmowały się kompletowaniem materiałów i ograniczały się do dławienia w zarodku wszelkich kontrakcji niemieckich. Ich ciężkie wozy bojowe udaremniały każde posunięcie nieprzyjaciela. Było ich zresztą znacznie więcej niż trzydzieści, jak to sobie dowódca batalionu w południe wyobrażał.

Jedna lekka i część ciężkiej baterii pułku artylerii dotarły rzekomo nie tylko do zachodniego krańca dębowego lasu, ale i do wąwozu Setuchy, skąd się potem wycofały. Które to miały być baterie, tego Helgert nie mógł się już dowiedzieć, ponieważ

łącność telefoniczna znów została przerwana.

Ile razy pomyślał o Eberhardzie, ogarniało go przygnębienie. Przyjaciel musiał znieść straszliwą łaźnię na „Wzgórzu Zwycięstwa”.

Przypadkiem udało się przechwycić jakąś rozmowę z sieci batalionu. Wynikało z niej, że 4 bateria istotnie podczas najgorszej strzelaniny z minimalnymi stratami zeszła wraz ze swymi działami do wąwozu Setuchy. Na razie nie było jednak połączenia z jej obserwatorami. Nikt nic nie wiedział o losie dowódcy baterii porucznika Krügera ani kaprala Bauma.

Przy torze kolejowym utworzono linię odvodu, zamykającą wyłom. Wieczorem pchnięto tam znaczne posiłki w postaci czołgów i piechoty, które wraz z własną i lewą sąsiednią dywizją podejmowały najsilniejsze kontrataki. Malinowiec stał się jedną wielką zbiorową mogiłą. Oddziały radzieckie wpiły się pazurami w odzyskaną ziemię i nie ustępowały ani na metr.

Helgert kazał rozwinąć nowe kable na wszystkich najważniejszych liniach, ustawić odpowiednio przodki armat i usunąć z drogi zbędny sprzęt.

Obsługa dział sprawdziła karabiny maszynowe i ręczną broń palną. Czuło się w powietrzu bliskość walki wręcz.

W nocy zdawało się, że wszystko wisi na jednej linii. W eterze szumiało od niezliczonych rozmów. Wszystkie klapki łącznic były nieustannie w ruchu.

Helgert wciąż pilnie nasłuchiwał. Czuł ciężącą na sobie odpowiedzialność za Eberharda Bauma. Dlaczego w tę sobotę nie rozmówił się z nim do końca? - myślał, przyciskając słuchawkę do ucha. Jeśli teraz usłyszę jego głos, każę mu natychmiast tutaj wracać.

Był w najwyższym stopniu niespokojny o przyjaciela.

W tej chwili odezwał się w aparacie dowódca pułku piechoty i kazał się połączyć ze wszystkimi istniejącymi jeszcze i osiągalnymi stanowiskami dowodzenia kompanii. Jego polecenia trzeba było z trudem łowić uchem. Treści odpowiedzi można się było zaledwie domyślać.

Potem zgłosił się punkt oporu karabinów maszynowych z północnego krańca wzgórza kościelnego, położonego przy drodze do Woroszyłowa.

- Brak połączenia w lewo. Rosjanie posuwają się naprzód i badają, gdzie mogą trafić na opór. Nasilone działanie patroli rozpoznawczych...

- Tak jest, jest tam także kilku artylerzystów... tak... porucznik Krüger z czwartej. Chcą właśnie mówić z waszym batalionem.

Helgert znieruchomiał. Nie miałoby sensu włączać się teraz do rozmowy. Nikt by go nie zrozumiał. Słuchawka przyklejała mu się do ucha i włosów.

Dowódca pułku nie miał już żadnych pytań.

Potem odezwał się porucznik Krüger. Pośpiesznie nakreślił sytuację. Helgert nie mógł się zorientować, z kim Krüger rozmawia. Równocześnie przekrzykiwało się nawzajem mnóstwo innych rozmówców.

Nagle Helgert usłyszał głos Eberharda Bauma. Świeży. Jasny. Złożył jakiś zaszyfrowany meldunek. Prawdopodobnie dotyczący położenia jego stanowiska obserwacyjnego.

Porucznik wstrzymał oddech.

Wtedy łączność zerwała się.

I nie udało jej się już nawiązać.

Atak Armii Czerwonej na łuk orłowski, dokonany 12 lipca 1943 roku, ostatecznie udaremnił niemiecką ofensywę na Kursk.

Przygotowanie do niej ukończono już 4 lipca. I dopiero kiedy naczelne dowództwo Wehrmachtu 10 lipca ściągnęło wszystkie strategiczne rezerwy z rejonu orłowskiego, żeby rzucić je następnego dnia do ostatecznego wielkiego natarcia na Kursk, radzieckie siły bojowe przystąpiły do działania.

Na północ od Orła i w rejonie Bołchowa posuwali się naprzód bardzo powoli. Na południe od Orła toczyły się zażarte walki obronne. Główne natarcie skierowane było na wschodni łuk niemieckiego systemu obrony.

Noc z 12 na 13 lipca 1943 roku była spokojna, jeśli nie liczyć odgłosów, jakie od czasu do czasu wydawały toczące się gdzieś daleko czołgi. Wiele czołgów. Radziecki atak na północną linię rozgraniczenia dywizji dokonał wyłomu na mniej więcej trzydzieści kilometrów, osiągając w ten sposób pierwszy konkretny taktyczny cel i przygotowując solidne pozycje wyjściowe do zakrojonych na szerszą skalę zamierzeń strategicznych.

Nie padł ani jeden strzał. Nawet wtedy, kiedy już od paru godzin było jasno. Słońce znowu zaczynało prażyć. Aż nagle o godzinie szóstej gwałtowna nawała ogniowa przegrupowanej widocznie radzieckiej artylerii runęła na oba krańce dokonanego wyłomu.

Kto nie zdążył uciec, został zabity, pogrzebany, zrównany z ziemią albo rozerwany na strzępy i wyrzucony w powietrze. Ciężkie pociski ryły teren kawałek po kawałku. Bezlitosny ogień artylerii walił niby młot kowalski tak długo, aż front zaczął znów zmieniać kształt i przez nowe, coraz szerzej otwierające się bramy, wojsko niemieckie rzuciło się do planowej jeszcze ucieczki.

Wtedy ruszyły czołgi. Dziś również natrafiły na zawzięty opór. Północne skrzydło dywizji wciągane było w ciężkie walki na coraz szerszej przestrzeni.

Przeciwko czołgom pchnięto świeżą dywizję zmechanizowaną. Zarówno nieugięte działa samobieżne typu „Ferdynand”, kalibru 8,8-cm, jak „Nosorożce” mogły najwyżej parę godzin osłabić nieco siłę natarcia.

Teraz 6 bateria zawisła w próżni podobnie jak znajdujące się przed nią kompanie. Nagle teren z lewej strony opustoszał. Na Eiserbergu wszystko się urwało. Artyleria radziecka nieprzerwaną ścianą ognia wdzierając się już na kilkanaście kilometrów w głąb, poza główną linię obrony, ponad przodkami armat i taborami, osłaniając równocześnie pracę naprzód czołgi z wyposażonymi w pistolety maszynowe strzelcami.

Baterie 5, 6 i 12 obrócone na północ w stronę Lesków strzelały jedna przez drugą. Stamtąd właśnie sunęły kolumny czołgów, strzelając bez ustanku. Lada chwila powinny ukazać się na otwartej przestrzeni pod Woroszyłowem. Na podstawie podsłuchanych radiotelegramów można było wnosić, że na odcinku sąsiedniej dywizji wyłom był znacznie głębszy.

Major Meusel zadzwonił z zapytaniem:

- Ma pan sprzęt w pogotowiu poruczniku?
- Tak jest, panie majorze.
- Niech się pan na wszelki wypadek szykuje do walki wręcz.

Wyłom ma być zamknięty w rejonie Lesiki-Setucha. Dlatego musimy się tutaj utrzymać za wszelką cenę!

- Tak jest, panie majorze. Chciałbym jednak raz jeszcze zwrócić uwagę, że moje działa stoją na stoku. Skoro tylko Rosjanie znajdą się na wzgórzach koło leśnego wąwozu...

- Wtedy ogniem bezpośrednim zepchnie ich pan stamtąd. Skończyłem!

Helgert powtórzył tę rozmowę podporucznikowi Gengenbachowi, który traktował całą sytuację jak najzwyczajniejsze w świecie manewry. W nocy kazał zgromadzić przed stanowiskiem całą zdataną do użytku broń, a przede wszystkim miny talerzowe i

magnetyczne przeciwpancerne ładunki kumulacyjne. Zależnie od rozkazu lub wymagań sytuacji bojowej, skieruje ogień bezpośredni na czołgi i ludzi albo uruchomi karabiny maszynowe czy oddziały przeciwpancerne.

Plutonowy Söchting siedział przy lunecie. Niestrudzenie wyszukiwał miejsca, gdzie spodziewał się jeszcze niemieckiej piechoty. Heidemann został w nocy wysłany do Eiserberga na stanowisko obserwatora wysuniętego. Tam wciąż jeszcze panował spokój.

Z lewej strony od wzgórza bierzowieckiego dobiegły nagle poprzez nieustanny huk artylerii jakby odgłosy strzałów T 34. Od czasu do czasu rozlegało się także terkotanie szybkostrzelnych czołgowych karabinów maszynowych. Wyraźnie słychać było grzechotanie gąsienic. Czyżby oni bez specjalnego przygotowania atakowali teraz Kasar-Północ?

- Co się tam tak roi? - Zdenerwowanie Söchtinga przerodziło się we wściekłość. Pochylił się i wyjrzał przez szczelinę dla obserwatora pomocniczego. I oto zobaczył ich gołym okiem: Rosjanie maszerowali sobie grupkami albo w szeregu jeden za drugim, zupełnie tak, jakby dla nich wojna się skończyła. Söchting aż ryknął na ten widok.

Helgert spojrzął w jego stronę.

- Czyś pan oszalał?
- Rosjanie!

Helgert wskoczył do rowu. Nie ulegało wątpliwości, zbliżali się drogą między Kasarem, a wzgórzem, tą samą drogą, której w zimie jeszcze używano, aby dostać się na słynne stanowisko trójkątne. Drugi klin w sile co najmniej dwóch batalionów już dawno okrążył Kasar. Witwały ich nikłe strzały piechoty. Nagle pojawił się także w dole, u stóp „Wzgórza 228”. Były to znów całe kompanie i bataliony!

- Zmiana stanowiska!

Na stanowisku obserwacyjnym zapanowało straszliwe zamieszanie. Aparaty radiowe, broń, mapy i plany wleczono w gorącym pośpiechu do okopów. Zostały tylko lunety, kręgi celownicze i telefony polowe. A także zabity starszy szeregowiec Bürger.

Helgertowi udało się wreszcie połączyć z dowódcą batalionu.

- Rosjanie zbliżają się do stoku. Opuszczamy stanowisko obserwacyjne. Mógłbym jeszcze przesunąć działa. Za dziesięć minut będzie to już niemożliwe!

- Rozkaz: bronić wszystkich pozycji do ostatka. My też zostajemy na stanowisku.

Bateria zaczęła nagle chaotycznie strzelać. Helgert jak oszalały kręcił korbką telefonu. Gengenbach meldował lakonicznie:

- Rosjanie są na wzgórzu. Walę w nich na wprost.

W aparacie rozległy się jakieś trzaski, po czym znów dał się słyszeć głos podporucznika:

- Zdaje się, że zbliżają się już także z lewej strony, rowem przeciwpancernym. Sztab batalionu właśnie wieje. Ale jak!

- Zaraz tam będę! - ryknął Helgert.

Potał zapalkę i podpalił szyfrowane notatki. Potem z trzaskiem naładował pistolet maszynowy i wrzucił parę zapasowych magazynków do kieszeni i za cholewy butów. Obaj telefoniści wybiegli z bunkra. Helgert za nimi jako ostatni.

Z lewej strony Rosjanie byli oddaleni od nich o niecałe dwieście kroków. Przedostanie się bezpośrednio transzeją na stanowisko ogniowe było już niemożliwe. A więc najpierw na południe, pięćset metrów rowem łączącym, a potem, na przeciwległym stoku, przebiec na przełaj do systemu rowów wąwozu między Sobodą i Bierzowcem.

Dowódca baterii gnał przodem. Szkoda, lepiej oceniałem Meusela. Gdzież się podziało jego poczucie obowiązku? Jego honor?

Honor to dobra rzecz. A nawet bezcenna! Teraz ja wam pokażę, co można wydobyć z ludzi, na czym polega honor i odwaga, jak powinno się walczyć, panie pułkowniku! - Krzycało coś w nim. Kim wy w ogóle jesteście, tchórzliwe psy, które potrafią tylko kryć się na tyłach i sprawować sądy nad innymi?

Z Wygonu i Łopaty wyłoniły się teraz całe chmary czołgów. Strzelały przed siebie, czym się tylko dało.

- Niech diabli wezmą te płytkie rowy! - zaklął Söchting, kiedy mu zerwało czapkę z głowy.

O niecałe dwadzieścia metrów od wąwozu bierzowieckiego strzelał podoficer celowniczy Balke. Söchting mknął prosto na niego.

- Idioto, nie możesz do cholery lepiej mierzyć!

Pociski wybuchały głośnie obok nich.

Plutonowy błyskawicznie poderwał się znowu. I wtedy zobaczył dziurę w samym środku czoła Balkego i jego zachodzące mgłą oczy. Koniec. Dogonił pędem resztę i zameldował o tym porucznikowi.

Na twarzy Helgerta pojawił się zły uśmiech.

Śmierć czyhała ze wszystkich stron.

Kapral Eberhard Baum usiłował przejrzeć przez chmurę dymu. Pociski padały przez nią jak grad. Wraz z radiotelegrafistą Mommerem z 4 baterii tkwił między Setuchą a wzgórzem kościelnym. Wczoraj wykurzono ich metr po metrze z bunkrów, rowów, dołów przeciwpancernych i strzeleckich. Dzisiaj pozostało im już tylko nagie, spieczone przez słońce pole. Wycofywali się z jednego wzgórza na drugie. Chwilami jednak udawało się Baumowi uzyskać połączenie ze stanowiskiem ogniowym i wtedy porucznik Krüger mógł przekazywać swoje komendy.

Czując ogłuszające pulsowanie krwi w skroniach, Baum leżał przyciśnięty do ziemi. O osiemdziesiąt metrów dalej znajdował się Krüger z jednym łącznikiem. Teraz dawał ręką nie budzące wątpliwości znaki - wiać! Mommer zerwał się błyskawicznie, zaczął zsuwać się po stoku w dół.

Baum spojrzął raz jeszcze przed siebie. Wszędzie zaczęły się wyłaniać z ziemi brunatne mundury. Jestem więc kapralem, zostałem odznaczony Żelaznym Krzyżem, a tak się okropnie boję. Wiem, co powinienem zrobić... przejść na tamtą stronę. Ilu z nas już o tym mówiło? Jak dotąd tylko dwóch, Bender i Heizer. Oni są teraz w lepszej sytuacji, zostali u Helgerta, gdzie nie ma jeszcze takiego piekła! Mój Boże, gdyby mi Klaudia radziła przejść! W tej chwili jest przecież najdogodniejsza po temu okazja! Wystarczy poleżeć tu jeszcze dziesięć minut. A nawet nie dziesięć - już za pięć, a może i za trzy minuty, Rosjanie tutaj będą! Ale co będzie z Klaudią? I z naszym wielkim szczęściem? Za kilka dni ten cały cyrk tutaj się skończy. Nasza ofensywa na południu musi przecież lada moment dać jakieś wyniki. Wtedy można będzie pojechać do domu w charakterze dumnego kaprała. Z lewą piersią obwieszoną srebrem: odznaką bojową, Żelaznym Krzyżem I klasy, srebrną odznaką za rany. A potem wesele, uznanie, błyszczące z podziwu oczy, zaszczyty, sława! I moje nazwisko na ustach wszystkich!

Moje nazwisko. Baum nastawił uszu. Wydało mu się nagle, że ktoś otworzył jakieś drzwi i on znalazł się w oślepiającym świetle. To światło zaś sprawiło, że srebro zdobiące jego pierś i kaprałskie galony stały się niepozorne i szare. Uświadomiło mu to z całą brutalnością, jakim jest tchórzem. Zawstydził się, poczuł się zdemaskowany, obudziło się w nim obrzydzenie do własnej osoby.

Czy to możliwe, że ja od miesiący sam siebie okłamuję i czepiam się tych kłamstw jak pijany płotu? - zastanawiał się.

Świadomie i z premedytacją oszukałem Fritza i zdradziłem to wszystko, co mnie od lat łączyło z Benderem. Czy nie zawiodłem również zaufania Klaudii, okazując się żalosnym egoistą?

Baum jęknął i przycisnął głowę do wilgotnej ziemi.

Parę ciężkich granatów uderzyło w stok na lewo od niego. Grudki rozprysnutej gliny spadły tuż obok miejsca, gdzie leżał Baum. Porucznik Krüger zbiegał pędem po zboczu wraz z łącznikiem. Mommer był już na dole.

Kapral, dysząc zsuwał się za nimi, przyciśnięty do wyschniętego gruntu.

Wiem, co powinienem zrobić...

Nagle z ogłuszającym hukiem przeleciały nad wzgórzem pociski 12,2-centymetrowe. Gęsty dym wzbił się w górę. Gdzież się tamci podzieli? Ze wszystkich stron słychać było szczekanie karabinów maszynowych. Baum uniósł głowę i rozejrzał się dokoła.

W tejże chwili nadleciał ze znacznej wysokości jakiś ciężki kaliber, gwiżdżąc przeraźliwie. Działo kolejowe. Eberhard Baum przywarł do ściany leja, na którego dnie stała woda.

Granat wybuchł z hukiem przypominającym uderzenie pioruna. Odłamki rozprysnęły się na wszystkie strony.

Jeden z nich trafił Bauma, poderwał jego ciało i cisnął je na przeciwległą ścianę leja. Kapral osunął się bezwiednie w grząski muł. Oczy wyszły mu na wierzch z przerażenia. Czuł gwałtowny wpływ krwi. Było mu dziwnie gorąco w plecy. Z trudem obrócił się na bok, usiłował zorientować się w sytuacji. Nic się jednak nie działo. Nasłuchiwał. Z bardzo daleka dochodziły odgłosy walki. Z gardła Bauma wydobyło się jakieś zwierzęce gulgotanie. Aż go to zdziwiło.

Głowa opadła mu powoli w chłodne błoto.

Zamknął oczy. Ogarnęło go uczucie błogości.

Klaudio... Poruszył się z jękiem i zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Atak żołnierzy radzieckich zbliżał się coraz bardziej. Mommer cisnął aparat na piasek.

- Bauma nie ma!

Porucznik Krüger odkrzyknął:

- Czekamy!

Mommer zaczął się wdrapywać po stoku z powrotem. Pociski przeciwpancerne gwizdały mu koło uszu. Wyrżał na drugą stronę wzgórza. Roilo się tam od nieprzyjacielskich mundurów.

O niecałe sto pięćdziesiąt metrów dalej leżał Baum. Mommer zaczął czołgać się powoli w jego stronę, zobaczył wielką krwawą dziurę w nieruchomych plecach. Przysunął się jeszcze bliżej, chciał stwierdzić, czy kapral żyje, kiedy usłyszał dobiegające z boku donośne „urra”. Z odległości kilkudziesięciu najwyżej metrów. Jeśli nie chciał dostać się do niewoli, to był już ostatni moment. A Mommer nie chciał! Ścigał go ogień wielu pistoletów maszynowych. Tamci znikli już dawno.

Mommer gnał przed siebie, klucząc instynktownie. Strzały padały gęsto wokół niego. Pociski rozrywające.

Koło toru kolejowego dudniły pierwsze radzieckie czołgi, ich stalowe kadłuby obłożone były deskami i cementem dla osłony przed magnetycznymi ładunkami przeciwpancernymi.

Gdzie tylko starszy szeregowiec Mommer spojrzał - wszędzie sami Rosjanie! Czyżby go otoczyli? To niemożliwe! Trzeba wiać przez wąwóz Setuchy w stronę Bierzowca! Tam ich na pewno jeszcze nie ma. Biegł dołem, u stóp wzgórza kościelnego. Tutaj odbywały się w maju występy żeńskiego zespołu śpiewaczego. Fajne dziewczuszki. Z jedną z nich Gengenbach poszedł w krzaki.

Ogień artylerii jakoś się ode mnie oddalił. A może kręcę się w kółko? Bzdura! Tam dalej widać już przecież jasne piaszczyste brzegi rowu przeciwpancernego! I nasi chłopcy muszą w nim być. Widzę nawet, że się tam coś rusza!

Zamierzał skrócić sobie trochę drogę, gdy nagle zza wzgórza, oddalonego zaledwie o jakie osiemdziesiąt metrów, wysunęły się lufy trzech dudniących czołgów. Mommer zorientował się błyskawicznie, że są to T 34 i uskoczył w prawo, chcąc jak najszybciej znaleźć się pod osłoną własnych okopów. Jeszcze dwieście kroków. Nagle stanął jak wryty. Rów przeciwpancerny był pełny czerwonoarmistów, którzy przygotowywali się widocznie do ataku na Bierzowiec.

Rudi Bender nie czuł w sobie predyspozycji na świadomego bohatera. Chociaż rzadko się rozklejał. Zbyt dobrze znał Nielitościwość wyzysku. Jednakże to, co się od wczoraj rozgrywało na przednim skraju obrony, uważał za całkowicie wystarczające dla pogłębienia swojej wojskowej wiedzy. Wszystko to, co większość artylerzystów znała tylko z podręczników, z regulaminu wojsk lądowych czy z regulaminu strzelania, a mianowicie „Zwalczanie celów z najmniejszej odległości”, zdążył przeżyć już po dwutygodniowych doświadczeniach frontowych. W pruskim wojsku ukończeniem walki jest walka wręcz - uczono w koszarach Hindenburga we Frankfurcie nad Odrą. To go właśnie w najbliższym czasie czekało.

Cztery działa baterii waliły jak oszalałe w przeciwny stok, z którego tłumnie schodzili żołnierze Armii Czerwonej. Pociski 10,5-centymetrowe czyniły długie wyrwy w ich szeregach.

Ogień karabinów i kaemów raził haubice. Że wszystkich stron rozlegały się trzaski, huki i gwizdy. Pociski skośnie uderzające brzęczały jak pęknięte struny wiolonczel. Obsługa dział pracowała

wciąż jeszcze pod taką osłoną wysokich wałów ziemnych.

Nagle pojawiło się coś, co przypominało wodę morską przed przyplływem. Nie zbliżało się jednak jak fala, ale wyłamało się z każdej kałuży, z każdej kotlinki, zza każdego wzgórzka. Rosjanie! Rosjanie! Rosjanie! W rowie przeciwpancernym! Tuż przed lufami dział! Posuwali się naprzód z nieugiętym uporem. Kanonierzy przystąpili do walki przy pomocy karabinów i pistoletów maszynowych. Pierwsi z nich zaczęli już jednak ustępować. Rozległo się bzyczenie granatów ręcznych. Wszędzie dokoła panował niesamowity hałas.

Bender wciągnął głowę w ramiona. Jeśli teraz zniknę w tym rozgardiaszu, nikt nie będzie mnie podejrzewał o przejście na tamtą stronę. Wtem zobaczył Helgerta zbliżającego się wraz z załogą punktów obserwacyjnych od strony kotliny bierzowieckiej.

Rosjanie wyraźnie zamierzali wyminąć stanowisko ogniowe. Teraz byli już za połowymi haubicami koło bunkra kuchennego. Lada chwila wedrą się do rowu łącznikowego.

Bender przycupnął pod składem amunicji.

Tylko droga do wsi była wolna.

Helgert wrzasnął:

- Wszyscy do rowu koło prawego działa!

Stał jak latarnia morska. Pociski gwizdały wokół niego, ale go nie trafiały.

Kanonierzy poderwali się, minęli Bendera olbrzymimi susami, odwrócili się, puścili serię strzałów. W rowie rozległy się czyjeś kroki, zatrzymały się.

- Bender, gówniarzu! Wyłaż!

Słowa podporucznika Gengenbacha stanowiły niedwuznaczne wyzwanie.

Bender już myślał, że mu się udało. Podjął jeszcze jedną próbę.

- Chciałem wysadzić w powietrze działo!
- Baranie!

Pierwsi żołnierze radzieccy znaleźli się niespodziewanie szybko między oboma lewymi działami i strzelali z kaemów i pistoletów maszynowych.

Pociski leciały na wszystkie strony. Nie było żadnej zorganizowanej bezpośredniej obrony.

Helgert ostrzeliwując się, ustępował ze swymi ludźmi w stronę wsi.

Podporucznik i kanonier wymknęli się w ostatniej chwili i pod osłoną rowów przeciwpancernych gonili tamtych.

Ogień artylerii walił teraz w ruiny Bierzowca, objął szeregi beładnie uciekających.

Żołnierze 3 kompanii dysząc, zbliżali się z lewej strony do odcinka Sobody. Za nimi dudniły radzieckie czołgi obsadzone przez piechotę szturmową. Nagle pojawiły się nad nimi, jak błękitne szczupaki, samoloty szturmowe. Ich bomby wzbijały w górę fontanny ziemi, jedna po drugiej. Znaczyły drogę ucieczki Niemców.

Łuk orłowski został w swym wschodnim odcinku na szerokiej przestrzeni przerwany. Dojrzał już do tego w owym roku wielkiego przełomu na froncie wschodnim.

Bender biegł i starał się zanotować w pamięci wszystko, co widział.

Przed jego oczami tłumy ludzi wraz z pojazdami, sprzętem wojennym i zwierzętami opuszczały wsie i ciągnęły drogą manipulacyjną, ostrzeliwane przez czerwoną artylerię.

Szare mundury wylęgały na nieosłonięte łąki i pola, gnane przemożnym pragnieniem, by wymknąć się stalowym kleszczom.

Gąsienice uciekających na zachód czołgów wzbijały w powietrze tumany kurzu, miażdżyły wyjące ciała własnych rannych.

Głuchy trzask rozlegał się pod rolkami zawieszenia. Wgniecione w ziemię, bezkształtne strzepy leżały potem na szerokich śladach.

Bender gnał przed siebie wraz z innymi żołnierzami 6 baterii. Nie pozostawało mu nic innego, jak biec razem z nimi.

Czerwonooarmiści wzięli szturmem trójkąt Lesiki-Setucha-Bierezowiec.

Znowu błysnęły przed nim płomienie nawały ogniowej. Ze wszystkich stron nadlatywały pociski, trafiając zawsze w tłum. Pocisków przeciwczołgowych też nie można było strząsnąć, żeby się nie wiadomo jak szybko uciekało. Odłamki zawisały w powietrzu jak pijane i spadały potem z potężną siłą. Drzewa się przewracały. Żelazo szczękało o żelazo. Domy waliły się w gruzy.

Bender biegł dalej, dysząc chrapliwie.

Nad horyzontem wznosiły się słupy dymu z płonących czołgów. Odmiany umierania były nieograniczone.

Gdybym mógł zostać w składzie amunicji, byłoby już po wszystkim. Czy podporucznik Gengenbach coś zauważył? Zostać teraz tutaj? To nie miałyby sensu. Ludzie zwracają na siebie nawzajem o wiele większą uwagę, kiedy się jeden wciąż o drugiego ociera. Okazji do zmiany frontu w najbliższych dniach na pewno nie zabraknie.

Wciąż biegł przed siebie.

Buchające płomienie. Dalej strugi krwi sączące się spod żywo-plotu, gdzie ludzie pochowali się jak strusie. Powoli wlokące się pasma dymu. Pogrzeb na miejscu.

Nagle ktoś wyskoczył z przydrożnych krzaków. Widocznie ocalał. Ale nie... Bander zacisnął zęby... ciało miał poszarpane. Jelita wypływały mu z otwartego brzucha. Ubłoconymi dłońmi usiłował jeszcze w ostatniej chwili zatrzymać uchodzące życie.

Pod jakimś domem kanonier dysząc, padł na kolana. Na zgniłej słomie leżeli ranni. Bender poderwał się. Zostawił za sobą walące się ściany, mrok, rżężenie.

Zaczął biec znowu.

Jakiś żołnierz siedział przy polnej drodze - i wszyscy, między nimi także ludzie z 6 baterii, gnani przez gwałtowny atak radziecki, mijając go słyszeli, jak coś bez sensu bełkoce, i widzieli, że czymś się bawi. Była to jego własna urwana stopa.

Z hałasem przejechał niemiecki czołg. Z przodu przywiązano do niego ciało oficera z rozrzuconymi ramionami i nogami. Miał być pewnie pochowany w poświęconej ziemi. I oto zderzenie. Metal szczeka o metal. Pozostaje dymiący wrak, na którym trup umarł po raz drugi.

W mózgu Bendera kłębiły się wszystkie te przerażające obrazy. Przenikał go strach. Kto zdoła ujść stąd z życiem? Coraz to padał na ziemię, krył się za nikłymi osłonami, czepiał się kolegów i czuł, jak oni się do niego przyciskają, kiedy zbliżał się pocisk i zabierał kolejną ofiarę. Kłucie w boku stawało się nie do zniesienia. Słony pot zalewał oczy. Nienawiść do faszystowskiej wojny rosła w nim, rozsadzała.

Z trudem zrywał się znowu, biegł dalej i natykał się na nowe obrazy.

Rozwalone czaszki uśmiechały się tępo. Coraz to potykał się o pogiete hełmy, rozrzucone między wzdętymi trupami koni o sztywno wyciągniętych nogach. Gdzie indziej znów stał przechylony na bok tył rozbitego samochodu. Na pokrytym dermą siedzeniu tkwił jeszcze trup, któremu połamane kości przebijały skórę. Nie miał w ogóle twarzy.

Poprzez panujący dokoła straszliwy hałas Bender usłyszał coś dziwnego: był to śpiew skowronka. Rozlegał się gdzieś wysoko,

radosny i beztroski. Następny pocisk zgasił jego pieśń. Wokół resztek małego ręcznego wózka leżało kilka kobiet. Poszarpane członki walały się pośród gruzów i kamieni. Obok widniał lej po granacie. Jego odłamki zryły trawę jak ostre niby sztylet pazury. Z włazu wieży pancерnej wypalonego czołgu rozpoznawczego zwisało się martwe ciało. Od pasa w dół było kompletnie zwęglone.

Bender biegł znów naprzód. Ogarniało go coraz silniejsze pragnienie, żeby się po prostu położyć i uwolnić od myślenia i patrzenia. Instykt samozachowawczy gnał go jednak dalej.

Zobaczył wóz radiowy, który wpadł na brzozę i płonął. Silnik szedł jeszcze. Kierowca miał trzon kierownicy wbity głęboko w pierś. Tajemniczo płonąła amunicja sygnalizacyjna. Musiała to być sprawka czołgu albo działa przeciwpancernego. Wyglądało na to, że tylko szyba została stłuczona. Pomocnik kierowcy siedział z jednym okiem półprzymkniętym, z cienkim pasemkiem skrzepniętej krwi między wargami. Muchy uwijały się skwapliwie nad jego obwisłymi policzkami.

Czy cała ludzkość nie powinna się zjednoczyć, żeby szaleńcy już nigdy więcej nie mogli rozpętać wojny? Powinna to zrobić... powinna..

Bender biegł, zabrawszy resztę sił, żeby uniknąć śmierci.

Zebrawi się wszyscy na jakiejś bocznej drodze. Przed nimi leżała opustoszała wioska. Działa, tabory i sztaby widocznie w porę się stąd wycofały.

Helgert zaczął liczyć. Brakowało dwunastu. Z niemal całkowitą pewnością można było stwierdzić, że ośmiu padło po drodze. Jeden rachmistrz został na południowo-zachodnim krańcu Bierozowca. Urwało mu obie nogi. Trzech kanonierów nie wyszło z rowu na stanowisku ogniowym. Z tchórzostwa? A może zostali zabici? Albo ranni? Któż to wie!

Na północnym krańcu wsi siedział oficer łącznikowy dowództwa artylerii i pułku piechoty. Helgert postanowił spróbować przez radio nawiązać łączność ze sztabem pułku. Jego ludzie porozsiadali się na ziemi.

Wkrótce na drodze ukazał się major Meusel z częścią załogi stanowiska dowodzenia. Nikt z nich nie miał broni. Dowódca batalionu był ranny w ramię. Helgert opatrzył go fachowo, zdając równocześnie sprawę z najistotniejszych wydarzeń.

Meusel jęczał.

- Piąta bateria wycofała się na południe. Mam nadzieję, że się przebiję. To zupełna katastrofa.

- Jestem nadal przekonany, że i my wyszlibyśmy z tego cało. Ale walka wręcz w tej sytuacji...

- Niech pan przestanie, Helgert. Miałem przecież rozkaz z pułku.

Porucznik wzruszył ramionami.

Kiedy jednostki radzieckie przerwały atak, żeby się przegrupować i nad polem walki zapanowała śmiertelna cisza, przed garstką ludzi, stanowiącą teraz II batalion, zjawił się wozem terenowym pułkownik Krusemark z Altdörferem. Zaczął się wraz z Meuselem i Helgertem naradzać nad nowym rejonem operacyjnym ocalałych dwóch lekkich baterii oraz nad możliwościami ewentualnego odwrotu.

Krusemark podzielił się z obu oficerami swymi wiadomościami na temat ogólnej sytuacji.

- Wyłom dokonany przez nieprzyjaciela na odcinku naszym i sąsiada z lewej strony wynosi około dwudziestu pięciu kilometrów!

- Tak sobie mniej więcej wyobrażałem! – mruknął Meusel.

- Na północy i północnym zachodzie, gdzie kliny rosyjskie są największe, wynosi to aż trzydzieści kilometrów.

Helgert zmarszczył czoło.

- A co się dzieje na południu?

Pułkownik Krusemark rozejrzał się i upewnił, że żaden z żołnierzy nie może ich usłyszeć.

- Nasza ofensywa na Kursk utknęła - powiedział.

Meusel patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Ale wszystkie dywizje pancerne, które tam uruchomiono?

- Rosjanie rzucili na łuk orłowski dziesięć armii - oświadczył pułkownik.

Helgert sięgnął do kieszeni po papierosy.

- Ich armie są jednak strukturalnie o wiele mniejsze.

- Oczywiście, ale czołg to czołg. Na lewą linię rozgraniczenia naciera trzecia armia pancerna. My mamy przed sobą sześćdziesiątą trzecią. Jak wygląda sytuacja z naszej prawej strony, nie zostało jeszcze ustalone.

Podszedł do nich kierowca pułkownika, starszy szeregowiec Schnellinger, i podał Krusemarkowi radiowy blok meldunkowy.

- Komunikat Wehrmachtu. Odebrali go ludzie z łączności dowództwa artylerii.

Krusemark przebiegł oczami tekst komunikatu. Po czym zaczął czytać głośno:

- Na północ od Biełgorodu niemieckie natarcie, wspierane przez siły powietrzne, rozbiło dwa nieprzyjacielskie oddziały pancerne i posunęło się znacznie naprzód. Kontrataki silnych jednostek pancernych i piechoty, które Rosjanie ściągnęli z innych odcinków frontu i z zaplecza na czoło i skrzydło niemieckich klinów oraz gwałtowne ataki dywersyjne w rejonie na wschód i na północ od Orła zostały odparte, przy czym nieprzyjaciel poniósł poważne straty.

Major Meusel i Helgert milczeli. Altdörfer stwierdził triumfująco:

- No proszę, nie ma więc powodów do paniki. Ataki dywersyjne w rejonie na wschód i na północ od Orła zostały odparte i nieprzyjaciół poniósł poważne straty.

Radziecka artyleria zaczęła się najwyraźniej wstrzeliwać w nowe cele. Robiło się coraz bardziej niespokojnie.

Pułkownik Krusemark dał obu oficerom do zrozumienia, że nie może im już poświęcić więcej czasu i musi ich pożegnać.

- Ruszamy, poruczniku Altdörfer, trzeba będzie zajrzeć do batalionu broni ciężkiej, czy tam u Pfeilera wszystko w porządku. Aha, jeszcze jedno, porucznik Krüger z czwartej baterii poległ na skrzyżowaniu pod Arszakoje. Wobec tego porucznik Helgert przyjmie resztę jego ludzi i działa. W ten sposób uzupełni pan mniej więcej swoją baterię. Do widzenia panom!

Porucznik Altdörfer, który nie lekceważył żadnej nadarzającej się szansy, zwłaszcza jeśli miał przy tym widoki na jakieś osobiste korzyści, powiedział, zwracając się również i do Meusela:

- Byłoby rzeczą pożądaną, żeby pan Helgert na przyszłość bardziej dbał o podległy mu sprzęt. Jestem przekonany, że przy pewnej dozie dobrej woli można było, zgodnie z rozkazem, wyprowadzić działa spod Bierzowca!

Major Meusel zagryzł wargi.

Pułkownik wszedł z powrotem do swego wozu i gestem feldmarszałka Rómmla zsunął okulary samochodowe z daszka czapki na oczy.

- Niechże pan da teraz spokój, poruczniku Altdörfer. Później o tym pogadamy. Jedźmy, Schnellinger!

Samochód ruszył, wzbijając tuman kurzu i zostawiając za sobą front.

Helgert stał jak sparaliżowany.

Meusel pożegnał się bez słowa i wraz z członkami swego sztabu udał się na poszukiwanie odpowiedniego miejsca na punkt dowodzenia batalionu.

Helgert kazał urządzić tymczasowe stanowisko obserwacyjne w dawnym chlewie. Po zapadnięciu mroku rozstawiono przyjęte z czwartej baterii haubice. Lufy ich skierowane były na Bierzowiec.

Porucznik wrócił do chlewa po północy. Kiedy wszedł, chmary much poderwały się z nieheblowanych belek. Blask jego kieszonej latarki przesunął się po brudnych, spoconych, wyczerpanych mężczyznach. Söchting, Heidemann, wielu innych i - Bender. Przez chwilę krążek światła zatrzymał się na jego twarzy, zanim zgasł.

Helgert rzucił się na wiązkę słomy, nie miał nawet siły rozpiąć pasa. Byle spać. Jedna tylko myśl chodziła mu uporczywie po głowie: porucznik Krüger poległ pod Arsakowe. Eberhard był razem z nim. Ale to przecież wcale nie znaczy, że i jego musiało spotkać coś złego. Nie, wcale nie musiało...

Rudolf Bender uniósł ostrożnie głowę. Dlaczego stary świecił mi tak długo w twarz? Nie mógł już zasnąć, przewracał się z wściekłością z boku na bok i wreszcie dał za wygraną. Na dworze panował zupełny spokój. Nie padł ani jeden strzał. Od czasu do czasu rozlegał się stłumiony krzyk ptaka albo krok wartownika. To wszystko. Bender patrzył nieruchomo w ledwie widoczne trzcinowe poszycie dachu. Przed jego oczami przesuwali się ludzie, poszczególne twarze. Bürger z poszarpanymi wnętrznościami; Niemisch, trafiony w głowę; rachmistrz, któremu urwało obie nogi; żołnierz przy ciągniku, zabite kobiety, wszędzie wykrzywione potwornie twarze, zniekształcone ciała.

Bender miał wątpliwości, czy śmierć tych wszystkich ludzi, których zwłoki tego dnia oglądał, miała w sobie cokolwiek wzniosłego.

W porannym słońcu widać było z chlewa przez lornetkę ciemniejące na horyzoncie plamy nie wysadzonych w powietrze 15-centymetrowych haubic 12 baterii; w dole zaś, koło dawnego dworca zaopatrzeniowego w Woroszyłowie, równie wyraźnie rysowały się czołgi, rozwalone przeważnie przy pomocy magnetycznych ładunków przeciwpancernych. Piechurzy, strzelcy motocyklowi, żołnierze z taborów i artylerzyści leżeli tam teraz spokojnie obok siebie albo jeden na drugim, pod czołgami albo między nimi i spali swym ostatnim snem.

Dotychczasowy rejon taborów stał się przednim skrajem obrony.

Helgert rozprostował obolałe kości. Nie spał nawet trzech godzin. Ale lepsze to niż nic.

Muchy włożyły wszędzie, do mikrofonów telefonów polowych, między paczuszki z żywnością, w dziurki od nosa, bo nikt się od nich nie opędzał, każdy chciał przede wszystkimi pospać, chociaż parę minut dłużej.

Hitler zdecydował się na przerwanie operacji „Cytadela”.

Generał broni Model objął naczelne dowództwo nad 2 armią pancerną i 9 armią. Jeszcze w ciągu nocy udało mu się osiągnąć na wschód od Orła ciągłość linii frontu.

W rejonie Bołchowa atak radziecki jakby zamarł w trakcie żartych walk.

Na przestrzeni łuku wschodniego Model uderzył dwiema dywizjami pancernymi i jedną zmechanizowaną, żeby zlikwidować nieprzyjacielskie włamania.

Na odcinku 6 baterii panował względny spokój. To znaczy

dziesiątki tysięcy granatów ostrzeliwały nieustannie jej stanowiska, ale budzący grozę atak czołgów jakoś nie następował.

Podporucznik Gengenbach z dwoma telefonistami siedział przez całe popołudnie w dołach przeciwpancernych dawnej miejscowej pozycji obronnej, która w najdrobniejszych szczegółach odpowiadała wszelkim przepisom. Ci, co ją zbudowali, nie użyli jej jednak po to, aby - jak to uprzednio niezliczoną ilość razy ćwiczyli - nieustępliwie odpierać ataki wroga, lecz po prostu w pewnym momencie najzwyczajniej w świecie ją opuścili.

Uparty podporucznik usiłował ogniem pośrednim dobrać się do kilku T 34. Po wynikach swoich strzałów mógł się zorientować, jak bardzo nieprecyzyjnie pracowały teraz działa również i innych baterii.

Na przeciwnym stanowisku siedział Helgert i wciągał tylko głowę w ramiona, kiedy cięższe pociski wybuchały w pobliżu chlewa. Jeden z czołgów wziął teraz na cel obserwatora artyleryjskiego. Wieża czołgu zachwiała się. W chwilę potem wokół Gengenbacha buchnęły w górę fontanny ziemi.

Telefoniści wpełzali do płaskiego rowu poza linię ostrzału. Gengenbach, usiłując wcisnąć się jak najgłębiej, tkwił w wydrążonym przepisowo okrągłym jednoosobowym dole, w którym teoretycznie nic mu nie groziło, nawet gdyby czołg się nad nim przetoczył. Kiedy tylko działo czołgowe milkło, wychylał się i dawał rozkaz strzelania. A kiedy musiał się chować z powrotem, ponieważ T 34 usiłował go poczęstować następnym granatem, w sąsiednim aparacie z mikrotelefonu rozległo się syknięcie: - Całujcie mnie w dupę!

W końcu T 34 odkrył widocznie cele bardziej warte zachodu i zmienił kierunek.

14 lipca po południu kolumny czołgów posunęły się znowu o parę kilometrów naprzód tak, że chlew znalazł się wreszcie na samej linii frontu.

Helgert czekał na komunikat Wehrmachtu. Radio Wielkoniemieckie dwukrotnie go już zapowiadało. Wreszcie porucznik usłyszał pierwsze słowa. Przycisnął słuchawkę do ucha.

„W rejonie na wschód i na północ od Orła, Rosjanie wzmocnionymi siłami przypuścili znów szereg gwałtownych ataków. Trwają tam wciąż niesłabnące boje, które nieprzyjacielowi, mimo poważnych ofiar w ludziach, nie dały pozytywnych rezultatów. Niemieckie rezerwy przystąpiły obecnie do kontrataku. W ciągu dwóch ostatnich dni zniszczono w tym rejonie ponad 200 nieprzyjacielskich czołgów”.

Helgert nieopanowanym gestem wyłączył aparat. Nie, to niemożliwe, pomyślał.

Kiedy spiker powtarzał tekst „powoli, do zanotowania”, Helgert wysłuchał raz jeszcze tego samego fragmentu.

A więc oni mają czelność tym setkom tysięcy, które tutaj walczą, udzielać tak haniebnie kłamliwych informacji.

Następnej nocy Mommer odnalazł wreszcie działa 6 baterii. Starszy szeregowiec był nieprzytomnie zmęczony. Radość z powodu powrotu do swoich omal go nie powaliła. Opowiedział, zachłystując się historią swej udanej ucieczki. Słuchacze reagowali tylko kiwaniem głowami od czasu do czasu. Każdy miał dość kłopotów z własnymi przeżyciami i strachem.

Chociaż Mommer ostatnim wysiłkiem woli trzymał się na nogach, pomaszerował jeszcze do chlewa. Chciał koniecznie zobaczyć się z porucznikiem Helgertem, który był najbliższym przyjacielem kaprała Bauma. Mommer wiedział o tym.

Kiedy starszy szeregowiec opowiedział porucznikowi przebieg wydarzeń, ten nie odezwał się ani słowem.

Nie drgnął nawet, kiedy usłyszał na zakończenie lapidarne zdanie:

- Eberhard Baum poległ, nie żyje.

Radiotelegrafista zauważył, jak oficer z trudem przełyka ślinę. Poczł, że go coś pali w gardle, ze współczucia dla bólu tamtego i z żalu, jaki go nagle ogarnął nad własną nędną osobą.

Wreszcie dowódca baterii zapanował nad sobą. Nie czas teraz na sentymenty, pomyślał. Może mi się uda powstrzymać tę idiotyczną łzę. Na prawe oko przecież nic nie widzę. Mommer wygląda jak facet, który w ostatniej chwili zwiął śmierci spod kosy.

- A ciebie, biedaku, tak to wszystko rąbnęło, że w kraju wpakowaliby cię do sanatorium - powiedział ochrypłym głosem.

Mommer słabo zaprzeczył, wychylił szklankę wódki i otrząsnął się. Papieros po drugim pociągnięciu wypadł mu z ręki. Zasnął zmorzony śmiertelnym wyczerpaniem.

Nazajutrz Helgert przysiadł na wiązce słomy, na której spał starszy szeregowiec i z trudem go obudził. Roje much z ich najbliższego otoczenia poderwały się z wściekłym brzęczeniem.

Dopiero po dłuższej chwili Mommer jako tako oprzytomniał i opowiedział ze szczegółami, co wiedział w ostatnich chwilach Eberharda Bauma.

- I jesteś pewny, że on nie żył?

- Panie poruczniku, obie moje ręce by się w tej dziurze zmieściły!

- W którym miejscu to było? Bliżej krzyża czy raczej w okolicy biodra?

- To musiał być duży odłamek, który trafił między łopatki, a potem obsunął się chyba trochę w prawo - odparł Mommer, a

jednocześnie pomyślał: Czy mimo to nie można mieć chociaż cienia nadziei?

- Ale przecież nie podszedłeś do niego całkiem blisko? Może tylko zemdłał?

Mommer potrząsnął głową.

- Jeżeli nawet zemdłał... to w każdym razie już się potem nie ocknął!

- Czy jesteś tego zupełnie pewny?

- Panie poruczniku, wolałbym panu przynieść lepszą wiadomość!

Zdawało się, że Fritz Helgert po prostu nie chce uwierzyć w śmierć swego przyjaciela.

Rozdział 15

Pokój był nagi, miał szarozielone ściany.. Środek zajmowało ukośnie ustawione biurko. Stał na nim aparat telefoniczny z nieporządnie skręconym sznurem, obok leżały dwa świeżo zatemperowane ołówki i kilka kartek lśniącego białego papieru. Poza tym była tam lampa. Olbrzymia czarna lampa z pięćsetświecową żarówką skierowaną na żółte krzesło przed biurkiem. Może to był przypadek. Za biurkiem stał fotel o miękko wygiętych poręczach, z dwiema poduszkami obciągniętymi jedwabiem; jedna w niebiesko-białe pasy, druga w chińskie kwiaty. Ten fotel za biurkiem wyglądał tutaj jak wyspa komfortu, jak niestosowny luksus.

W bocznym skrzydle Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy przy Prinz-Albrecht-Strasse w Berlinie było kilka takich pokoi. Większość jednak znajdowała się w suterenie, ponieważ tam można było od razu zastosować „metody specjalne”, jeśli przesłuchanie więźnia nie dawało odpowiednich rezultatów.

Unterscharführer Schulte został przydzielony do pomocy w dzisiejszym przesłuchaniu. Na razie czekał na Hauptsturmführera Fiedlera. Taki młody, a diabelnie chytra z niego bestia, pomyślał Schulte i poczuł dreszczyk przyjemnej emocji. Za parę minut wprowadzą tu z aresztu śledczego więźnia, którego jeszcze nie znał. Kiedy jednak Fiedler prowadził przesłuchanie, zawsze działo się coś ciekawego.

Schulte wyjrzał przez okno i pogрузzył się w zadumie.

Szczytem jego marzeń było zostać kiedyś autentycznym asystentem do spraw kryminalnych. Tuż przed wojną został, zgodnie z własnymi zamiłowaniem, przeniesiony tutaj ze „straży przybocznej Adolfa Hitlera” i zdążył się od tego czasu sporo nauczyć. Ale nie ma to jak kariera w wydziale kryminalnym! Tutaj bowiem na dobrą sprawę nie działo się właśnie nic szczególnego. Wciąż powtarzało się to samo. Więźniów przyprowadzano na przesłuchanie, po czym zamykano ich z powrotem. Za to, co się przez ten czas rozgrywało, całą odpowiedzialność ponosi sam więzień. Chodziło tylko o to, żeby go skłonić do mówienia. Żeby „wyśpiewać” jeszcze parę nazwisk niezatrzymanych albo już przymkniętych rodaków. Były to zresztą tak zwane proste przypadki, niesprawiające nawet tym, którzy się nimi zajmowali, specjalnych kłopotów - przepływały one tylko przy Prinz-Albrecht-Strasse w Berlinie. Ich dalsze losy były Schultemu absolutnie obojętne.

Oczywiście zdarzały się wypadki, że takich, którzy dawno ulegli, trzymało się tu nadal. Tak sobie bez powodu. Albo dlatego, że dzięki ich współpracy spodziewano się osiągnąć jakieś dodatkowe korzyści na przykład zdobyć nowe nazwiska, które mogły się przydać w jakichś szczególnie trudnych do rozgryzienia sprawach. Z takich nazwisk tworzono - podczas umiejętnie prowadzonych przesłuchań - uległych świadków albo przekonanych o swych wykroczeniach winnych.

Najpoważniejsze przypadki stanowili wielcy konspiratorzy mający bezpośrednie powiązanie z Genewą i Sztokholmem oraz maniacy opętani nadzieją, że kiedyś jakiś zamach na Adolfa Hitlera musi się udać.

No, a poza tym komuniści z ich krecią robotą. Ci na każdym kroku usiłovali sypać piasek między tryby. Zręcznie wciskali się wszędzie, drążyli, działali i organizowali, po czym nagle gdzieś

wylazło jakieś sztydło z worka. A tutaj prawie zawsze zachowywali się jak głązy. SS-man przypomniał sobie, ile się na próżno namęczył, żeby tych ludzi zmusić do mówienia. Taki by sobie raczej język odgryzł!

Hauptsturmführer wyłonił się zza zakrętu korytarza, krocząc szybkim, sprężystym krokiem, z plikiem akt w rękę. Schulte skoczył do drzwi, otworzył je skwapliwie i zameldował, że został wyznaczony do pomocy przy przesłuchiwaniu więźnia Beckera Ferdynanda.

Hauptsturmführer wyciągnął ramię kanciastym, niedbałym ruchem, rzucił z rozmachem akta Beckera na biurko, rozsiadł się na miękkich poduszkach i zaczął raz jeszcze czytać protokoły z dotychczasowych przesłuchań, coraz to coś sobie notując.

Typowy przypadek. Członek Komunistycznej Partii Niemiec. Z zawodu rzemieślnik. Pięć semestrów szkoły Gaussa. A więc prawie inżynier. Obecnie pracuje w laboratorium. Cieszył się zawsze dobrą opinią. To jeden z ptaszków wyłowionych z Zakładów Zbrojeniowych-Północ.

Ta fabryka dostarczała mu coraz więcej kłopotów. Unieruchomienie wielkiego generatora, wybuch w siłowni, braki, które coraz dotkliwiej obniżały produkcję, a przede wszystkim fakt, że nawet to, co zostało zakwalifikowane przez czynniki kontrolujące, okazywało się potem do niczego wskutek świadomie złego wykonania.

Hauptsturmführer Fiedler mógłby o tym niejedno powiedzieć. Znał wypadki, kiedy cały transport granatów wykazywał nieprawdopodobnie wysoki procent niewypałów, kiedy serie czołgów po określonym, ale względnie krótkim okresie używania, zapadały na tę samą „chorobę”, ponieważ jakiś szczegół konstrukcyjny okazywał się zbyt nietrwały albo wadliwie wykonany; kiedy piloci całych jednostek sił powietrznych mniej lub bardziej energicznie

odmawiali latania na maszynach tego czy innego typu, ponieważ liczba takich, które niespodziewanie, w tajemniczych okolicznościach zawodziły, przekraczała czasem straty podczas działań. I wszystko to instytucje odpowiedzialne za bezpieczeństwo Rzeszy musiały wyjaśniać, usuwać źródła błędów, a przede wszystkim pociągać do odpowiedzialności winnych.

Fiedler pokiwał ponuro głową. W każdym razie udało mu się uchwycić jeden koniec tego spisku w Zakładach Zbrojeniowych-Północ. Zaczęło się od tego, że pewien członek partii, po incydencie z wysadzeniem w powietrze głównego kabla, wskazał szereg osób podejrzanych. Zostały one w racjonalny sposób przesiane. Niektóre z nich zatrzymano, nie były to na pewno żadne grube ryby, w najlepszym wypadku Czerwoni.

Hauptsturmführer był przekonany, że w czasie tej akcji nie wyłowi sprawy wybuchu w siłowni, ale opierał się tu raczej na subiektywnych doznaniach.

Następnym krokiem naprzód była obserwacja dokonana przez jednego z jego ludzi, systematycznie wprowadzanych do fabryki. Oto pewnego dnia, gdy siedział w drewnianym ustępie, zobaczył mężczyznę, który napełnił świeżym papierem wiszącą na drzwiach skrzyneczkę i odszedł. Siedzący wewnątrz stwierdził po paru minutach, że papier ów to ulotki wzywające kategorycznie do obalenia rządu.

Ów zaufany wskazał potem kilkunastu robotników, którzy wydawali mu się podobni do roznosiciela ulotek. Między nimi znalazł się również Ferdynand Becker.

A potem przybyła jeszcze tajemnicza historia, która dotarła do niego za pośrednictwem kierownictwa Zakładów. Ktoś przesłał na ręce dyrektora fabryki fotokopię takiej ulotki z krótką uwagą, że

podobne karteczki rozprawdane są wśród pracowników Zakładów już od szeregu tygodni. Przesyłka została nadana na pocztę przy Dworcu Śląskim, nazwisko nadawcy było fikcyjne. Tekst ulotki Hauptsturmführer znał już od dłuższego czasu. Ten egzemplarz miał jednak zupełnie szczególny charakter.

Zameldowano więźnia Ferdynanda Beckera i wprowadzono go do pokoju. Fiedler zamknął teczkę z aktami. Untersturmführer Leistikow nie potrafił sobie z tym facetem poradzić. Poza tym sprawa ta należała do resortu Fiedlera.

Hauptsturmführer nie spieszył się. Wiedział, jak należy przeprowadzanych tu ludzi psychologicznie urabiać, żeby powstała w nich mieszanka uczuć strachu, zagrożenia i niejasnej, wynikłej z niczym nieuzasadnionego rozumowania - nadziei, dzięki której można było często wysnuć cenne dla sprawy wnioski.

Kazano Ferdynandowi osiąść na krześle przed biurkiem. Dotychczas powodziło mu się nie najgorzej. Wartownicy i dozorczy więzienni starali się, co prawda, przy każdej okazji, ot, tak dla sportu, dokuczyć swemu podopiecznemu. A ciało ludzkie ma tyle wrażliwych miejsc, choćby podczas golenia albo okolice nerek, czy też oczy.

Becker usiłował ocenić swego umundurowanego przeciwnika. Jasnowłosa. Rasowy. Błady. Wydłużona czaszka, a przy kącikach ust dwie krótkie, ostre bruzdy. Oczy niebieskie jak u lalki, a nad nimi delikatnie zarysowane białe niemal brwi. Niezwykle wypięłgnowane dłonie. Czy ten człowiek byłby zdolny czymkolwiek bić? W twarz czy w inną część ciała? Prawdopodobnie tego rodzaju funkcje spełnia za niego ten Unterscharführer stojący skromnie przy drzwiach. Rosłe, ciężkie chłopisko - takie typy rębaczy poznaliśmy jeszcze przed 1933 rokiem w czasie demonstracji. Ich polityczny horyzont składa się przeważnie z mięśni i kastetu.

Ten Hauptsturmführer jednak należy do ludzi innej klasy. Stanowi produkt teorii Nietzschego o narodzie panów. Wyniesiono go na wysoki poziom intelektualny i świadomie doprowadzono do przekroczenia granicy, za którą przestają działać wszelkie ogólnie obowiązujące zasady etyki i wszelkie skrupuły - typ władcy panującego nad wynoszoną przez Hitlera Europą przyszłości. Ten człowiek morduje zza biurka przy pomocy złotego wiecznego pióra. Jednostki, grupy mężczyzn i kobiet, w wyniku najśmielszych myślowych kombinacji profilaktycznie, żeby pozbyć się z góry ewentualnych przyszłych przeciwników. Wszystko to czyni w imię moralności swojej klasy, nie mrugnawszy nawet powieką.

Ferdynand Becker postanowił zachować maksymalną czujność.

Oficer SS czuł, że więzień go obserwuje. Pozwalał mu na to, starając się włączyć w jego tok rozumowania, wraz z nim wyciągnąć wnioski. Beckera musiał zaniepokoić fakt, że dziś przesłuchiwać go będzie wyższy rangą funkcjonariusz. To znaczy, że sprawa jego przybrała gorszy obrót.

Na pewno więc błyskawicznie usiłuje przypomnieć sobie wszystkie bajeczki świadczące o własnej niewinności, jakie mu przyszły do głowy podczas pierwszego przesłuchania, w panicznym strachu, żeby mu się która nie wymknęła, i z góry trwoni na to siły. A przecież na razie chodzi tylko o wstępne przebadanie, podobnie jak we wszystkich poprzednich wypadkach.

Fiedler lubił tę niemą grę, zwłaszcza z ludźmi, w których podejrzewał godnych partnerów. Im więcej mieli mu oni do przeciwstawienia, tym dłużej trwało ich zmaganie, które sprawiało mu sadystyczną przyjemność. Bo on miał w ręku władzę! A dzięki jego pomysłowości przejawiała się ona w najrozmaitszych formach. Nawet śpiąc z inteligentną, wyrafinowaną kobietą doznawał rozkoszy nie większej niż kiedy przed jego biurkiem siedział

taki właśnie przeciwnik, a on kroczył z uśmiechem przez płynącą ku niemu falę nienawiści.

Dzisiaj pragnął zaobserwować jedną tylko reakcję przesłuchiwanego. Jedną jedyną. To było jego celem.

Hauptsturmführer czuł w całym ciele rozkoszne podniecenie, ilekroć mierzył Beckera spojrzeniem spod przymrużonych powiek.

- Chciałem pana wypuścić już dziś rano - zaczął, machinalnie przerzucając akta. - Bardzo mi przykro, że został pan zaplątany w całą tę głupią historię. Muszę pana jednak poprosić o jeszcze jedno wyjaśnienie.

Ferdynand przygotował sobie taktykę obrony. To brzmiało rzeczowo, tak, jakby zwierzchnik rozmawiał z podległym mu urzędnikiem. Tym bardziej należy mieć się na baczności. Są to zresztą retoryczne frazesy, na które nie potrzeba odpowiadać.

- Mam nadzieję, że szybko tę sprawę załatwimy. I chyba nie weźmie pan nam za złe tej nieznaczonej zwłoki, zwłaszcza że w grę wchodzi tu nasz wspólny interes, bezpieczeństwo Rzeszy!

Uśmiech Fiedlera był niemal serdeczny.

- Zacznijmy od błahostki, z którą prawdopodobnie nie ma pan nic wspólnego. Musimy jednak i to wyjaśnić.

Otworzył teczkę z aktami i odwrócił je w ten sposób, że tamten nie mógł jeszcze ze swego krzesła nic dojrzeć.

- Proszę, niech pan to przeczyta!

Hauptsturmführer bez pośpiechu podsunął Beckerowi akta i obserwowwał jego oczy. Nic więcej.

Kiedy Ferdynand zobaczył ręcznie napisane na ulotce słowa, drgnął.

W tej chwili Fiedler uderzył go z boku w twarz. Wypielęgnowaną, twardą ręką. Nie spuszczał przy tym wzroku z oczu Ferdynanda. A więc ten zna tekst ulotki, bo jego spojrzenie prześliznęło

się po nim obojętnie, zatrzymało się dopiero na odręcznie napisanych słowach. Jeśli się nie mylę, należy przez to rozumieć, że ma z tym jednak coś wspólnego. Uderzenie ani go zaskoczyło, ani przeraziło. Przyjął je jak coś z góry spodziewanego, jak zapaśnik, który wie, że musi też oberwać. W jego oczach przez chwilę malowała się przekora zamiast strachu. Może trafił tu na jakiś ślad, a może nie; w każdym razie robię dopiero pierwsze kroki.

Fiedler przysunął teczkę z aktami z powrotem do siebie, jak gdyby nic się nie stało. Na jego twarzy nie pokazał się nawet cień triumfu. Ze znudzoną miną oglądał własne paznokcie.

Ferdynand czuł głucho dzwonięcie w lewym uchu. W oczach miał jeszcze słowa: „Dziś o dwudziestej pierwszej na rogu Breslauer i Koppenstrasse. Kurt”.

Zaczął się zastanawiać: wśród akt leżących w tej chwili przed oficerem SS znajduje się więc fotokopia ulotki, której oryginał Klaudia otrzymała z powrotem od Dörnberga i wraz z odręczną notatką wyznaczającą spotkanie przekazała mnie. Ów oryginał spaliłem jeszcze tegoż samego wieczoru.

Hauptsturmführer złapał mnie, ponieważ spodziewałem się wszystkiego, z wyjątkiem tej ulotki i zdradziłem się odruchem, który on błyskawicznie zarejestrował. Ale na tym koniec! Jeśli ta bestia wyobraża sobie, że usłyszy chociaż słowo na ten temat, to się myli. Najwyraźniej zwleka, żebyśmy zmiękł.

Klaudia czy Dörnberg? Gdyby to Klaudia popełniła zdradę, Fiedler nie zadawałby sobie tyle trudu i nie działałby tak po omacku. A więc Dörnberg. Po nim wszystkiego można się było spodziewać. Tylko on mnie w ogóle nie zna. Dlaczego w takim razie ja zostałem objęty podejrzeniem? Nie mam pojęcia. Ani ja, ani Rudi nie braliśmy pod uwagę możliwości, że ten oficer artylerii przeciwlotniczej przekaże do Sicherheitsdienstu fotokopię

tej ulotki. Czy i Klaudię wkopał przy okazji? Może moje nazwisko wydobyto dopiero po niej? Beckerowi aż się gorąco zrobiło na tę myśl. Przesunął chusteczką po karku, otarł krople potu z czoła. Nie mogło być inaczej. Biedna dziewczyna, pomyślał.

Pozwólmy działać czasowi, myślał Fiedler, nie spieszymy się. Facetowi robi się wyraźnie coraz cieplej. Hauptsturmführer patrzył na fotokopię, pogrążony w zadumie. „Punkt odczytywania zdjęć lotniczych”, charakterystyczna okrągła pieczętka jakiejś jednostki Wehrmachtu na odwrocie, ale bliższe określenie tej jednostki zostało wyskrobane. Dlaczego właściwie anonimowy nadawca sporządzając fotokopię, nie usunął tej notatki ustalającej spotkanie dwóch osób w pewnym określonym miejscu? A może pozostawił ją umyślnie? Czy uważał jej treść za nieważną, czy też mamy tu do czynienia z aktem zemsty? Tego w tej chwili nie można jeszcze stwierdzić. W każdym razie masz, bracie, szczęście, pomyślał Fiedler i uśmiechnął się pod wąsem. Udało ci się jednak ująć wreszcie człowieka, który zna nie tylko ulotkę, ale przede wszystkim znaczenie tego tekstu.

- Miał mi pan przecież coś wyjaśnić - powiedział i spojrzął uprzejmie na Beckera.

- Pański sposób bycia jest trochę zaskakujący, trzeba się do niego przyzwyczaić.

- Prawdopodobnie nie zabraknie po temu okazji.

- Nie rozumiem, dlaczego?

Fiedler obracał w palcach swój ołówek. „A. W. Faber-Castell”. Muszę mu zadać parę pytań, żeby poznać jego odporność. Wymaga to wprawdzie nieco więcej czasu i wysiłku, ale odsłoni trochę jego duszyczkę.

Teraz zacznie przesłuchiwanie, pomyślał Becker. Tego wieczoru, kiedy Klaudia odprowadziła Dörnberga na Dworzec Śląski, fotokopia musiała być już od dawna w drodze.

- Czy zna pan niejakiego Kurta?
- Kurtów jest na świecie wielu.

Dolna warga Fiedlera nieznacznie się zwężyła.

- Czy zna pan tego Kurta, którego obaj mamy na myśli?
- Nie.
- Czy spotykał się pan z Kurtem?
- Nie.
- Czy zna pan osoby, z którymi Kurt chciał się spotkać?
- Oczywiście nie.

Fiedler dał prawie niedostrzegalny znak oczyma.

W chwilę potem Schulte wkroczył do akcji. Uderzył tylko raz. Było to jakby miękkie machnięcie ciężką łapą o pazurach ze stali.

Cios wprowadził chaos w myśli Ferdynanda. Zdawało mu się, że rozpalone żelazo wbiło mu się w mózg. Chwycił się kurczowo brzegu krzesła. Zupełnie jak w 1929, w czasie demonstracji majowej, pomyślał. Ale wtedy towarzysze mnie wyratowali.

Hauptsturmführer Fiedler znowu oglądał swoje wypolerowane paznokcie.

- Zna pan tę ulotkę?
- Nie. Nigdy jej nie widziałem - odparł Becker ochryplym głosem.
- A może przypadkiem zna pan kogoś, kto sporządza takie ulotki?
- Nie.
- Albo rozprowadza.
- Nie.
- Może moglibyśmy jednak dojść jakoś do porozumienia. Cała ta historia pójdzie w zapomnienie, jeśli... Co robią teraz pana dawni przyjaciele?
- Większość siedzi w obozach koncentracyjnych, tam może pan z nimi porozmawiać każdej chwili.

Becker czuł narastającą przekorę.

Oczy Fiedlera znów spojrzały w stronę Schultego!

Ten reagował jak przyrząd radarowy, który beznamiętnie stwierdza obecności obcego ciała. Stalowy pręt spadł z sykiem na kark i tył głowy Beckera. Trzy razy.

Byle nie krzyczeć. Tej radości nie możesz im sprawić! Kiedy zaczniesz krzyczeć, może ci się wymknąć jakieś nazwisko. Musisz to znieść! Jesteś silniejszy od nich, choćby cię posiekali na kawałki. Oni mają władzę, ale nie ich będzie zwycięstwo! Jeśli on trafi raz jeszcze w to samo miejsce, to i tak...

- A reszta, Becker, ci, których jeszcze tak dobrze nie znamy?

Jaki słodki jest zapach krwi. A może to smak? Dlaczego oni tu nie mają portretu Hitlera? Miejmy nadzieję, że nie zapalą tej przekłetej lampy. Światło byłoby teraz równie bolesne jak to rozżarzone miejsce na karku. Wypaliłoby mi oczy i - gdyby trwało godzinami - doprowadziłoby mnie do szaleństwa.

- Jakie korzyści mogą pana spotkać ze strony towarzyszy? Najwyżej przykrości. A dla nas byłaby to prawdziwą przyjemnością, gdybyśmy mogli usunąć z pańskich papierów fakt, że pańskim przywódcą był kiedyś Ernst Thalmann!

Jego twarz jakby się teraz powiększyła. Stała się bardziej płaska. Pod lewą brwią ma małą bliznę. Na powiece. Może w dzieciństwie o coś uderzył. Był na pewno ślicznym dzieckiem. Miał kręcone włoski i rumiane policzki. I zawsze był syty.

- Moglibyśmy nawet współpracować. I to znakomicie. Co pan o tym myśli? Na przykład na terenie Zakładów Zbrojeniowych?

Becker zacisnął wargi i potrząsnął głową. Następny cios Schultego trafił ukośnie w prawy policzek aż po skroń. Na chwilę Ferdynand stracił równowagę. Wydało mu się bowiem, że wielka lampa stoi krzywo. Szybko wziął się jednak w garść. Twarz za biurkiem jakby wciąż rosła. Pojawił się na niej uśmiech, stawał się

powoli coraz szerszy, rozdzierał wszystko: oczy, nos, usta, te odrażająco cyniczne usta.

- Potomni nie będą nam mogli zarzucić, żeśmy się nie starali sprostać wymaganiom dnia, jak mówi Goethe. - Cichy głos Fiedlera brzmiał niemal miękko. Starannie naciągnął rękawiczki z kozłowej skórki. - Rozumie pan chyba, że wypuszczenie pana dzisiaj z technicznych względów nie jest możliwe. Naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu i proponuję, żebyśmy jutro rano wrócili do naszej interesującej rozmowy. Do tej pory będzie pan miał dość czasu na zastanowienie się.

Ferdynand Becker milczał. Porachunki między nami skończą się dopiero wtedy, kiedy tobie i wszystkim takim jak ty nie będzie wolno uprawiać tego krwawego rzemiosła. Albo kiedy założycie mi na szyję konopny stryczek. Moja osoba nie gra tu zresztą roli. Za mną stoją miliony ludzi na całym świecie; stoi prawo, które przesądza wasz upadek.

Schulte poderwał go za kołnierz do góry, kiedy Fiedler, skinąwszy mu niedbale ręką, zbierał się już do odejścia. Od drzwi odwrócił się raz jeszcze. Teraz twarz jego była naga, pełna niemaszkowanej brutalności.

- Żeby nie było między nami nieporozumień, ty świnio. Raz mi się tylko wymknąłeś! Tylko raz! Na następnym przesłuchaniu będziesz skomlał, żebym ci pozwolił zeznawać! Przygotuję dla ciebie taki program, o jakim ci się nawet nie śniło! Na kolanach będziesz błagał o kulę!

Następnego dnia po południu dozorca więzienny uważał, że nie ma sensu wlec Beckera z powrotem do celi.

- Nie jesteśmy przecież trupiarnią - burczał, a oddział eskortujący był tego samego zdania.

Towarzysz Ferdynand Becker znowu milczał.

Rozdział 16

Pod naciskiem napierającej z czterech stron letniej ofensywy radzieckiej front orłowski kurczył się coraz bardziej. Czołgi dudniły godzinami, ostrzeliwując gęsto niemieckie bazy i miażdżąc wszystko, co im stanęło na drodze. Bomby waliły w główną strefę walki i w drogi odwrotu. Nieprzerwany ogień artyleryjski raził coraz to inny odcinek niesamowicie rozrośniętego, zawitego i teraz nawet gorączkowo rozbudowywanego systemu obrony, jak również co noc na gwałt wzmacniane pozycje polowe, niszczył składy żywności, broń, ciała. Mnóstwo ciał.

16 lipca jakaś szaleńczo zuchwała radziecka jednostka pancerna wdarła się głęboko na południe, na tyły Orła i uderzyła na dworzec w Chotyńcu, przerywając w ten sposób arterię, od której zależało całe niemal zaopatrzenie korpusów i armii: linię kolejową Briańsk-Orzeł. Wprawdzie owa szpica pancerna została przez przeważające siły niemieckie zmuszona do wycofania się, ale strach przed drugim Stalingradem rósł wśród Niemców z godziny na godzinę.

19 lipca wybuchła na przestrzeni czterystu kilometrów olbrzymia bitwa.

Atakująca bezpośrednio ze wschodu 63 armia sforsowała, mimo skoncentrowanego oporu niemieckiej artylerii i sił powietrznych, Olszenię - przedostatni odcinek rzeki przed miastem i utworzyła

tam przyczółek mostowy, z którego, przypuściwszy najpierw niezwykle ostry ogień zaporowy, ruszyła dalej, aż dotarła do rzeki Oki i Optuchy, a tym samym na przedpole Orła.

Na północy Niemcy ustąpili z Uzeńska. Po trzydniowych żartych bojach ulicznych, 25 lipca padł Wołków, osłaniający filar obrony na północnym zachodzie. Stacja kolejowa Zołotariewo, położona o osiemnaście kilometrów na wschód od Orła, została wzięta przez zaskoczenie.

Na południu radzieckie kolumny szturmowe od wielu już dni wyszły poza odzyskane pozycje, przyjmując postawę ofensywną. W odległości czterdziestu kilometrów od miasta ich czołówki pancerne dotarły do Żmijewki przy wielkiej linii kolejowej biegnącej w kierunku Kurska.

Żadna z armii Modela nie została pokonana, jego dywizje unikały okrążenia. Poszczególne jednostki stapały się ze sobą, wykruszały, wykrwawiały. Groby bohaterów przy drogach stale się mnożyły, obozy jenieckie na radzieckim zapleczu zapełniały się coraz bardziej.

Niemieckie dywizje nie maszerowały w zwartym szyku ani spokojnym, mocnym krokiem, za to wytrwale się cofały. Co noc o dalszych parę kilometrów, nie licząc straconych podczas walk w ciągu dnia.

Z gorączkowym pośpiechem naczelne dowództwo armii niemieckiej ścigało wszystkie zbędne jednostki z innych frontów, byle chociaż zahamować wielostronną radziecką inicjatywę strategiczną w rejonie Orła.

Kto tylko mógł jeszcze unieść broń, był do maksimum wykorzystany, walczył z najwyższym wysiłkiem i zaciętością. Dziesięć ataków i kontrataków w tym samym miejscu i tego samego dnia nie należało do rzadkości.

Nawet najnędniejszy szeregowiec odczuwał chęć przeżycia jednego z decydujących momentów wojny.

Stosunkowo nieliczne, ale strategicznie niezmiernie ważne tysiące kilometrów kwadratowych, które dotychczas wyrwane zostały z systemu obrony niemieckiego Wehrmachtu, mogły się nieopstrzeżenie i w nieprzewidzianym czasie pomnożyć.

Generał broni Model, w krótkim skórzanym płaszczu, z laseczką i monoklem, 27 lipca, a więc w dwa dni po utworzeniu przez czerwone oddziały szturmowe na północy, na przeciwległym brzegu Oki, potężnego przyczółka mostowego, wymógł na Hitlerze rozkaz wycofania się z rejonu łuku orłowskiego.

W trzy dni później radzieckie jednostki ruszyły z północnego wschodu z obu stron Rybnicy na miasto, z którego stworzono potężne centrum obrony.

Otwarty volkswagen podskakiwał na szerokiej polnej drodze. Od kilku dni ustały ulewne i gwałtowne burze. Zamulone drogi manipulacyjne obeschły stosunkowo szybko. Oznaczało to przyspieszenie tempa pojazdów kołowych i gąsienicowych, a zwłaszcza ciężkiego sprzętu, dział szturmowych i czołgów.

Ponieważ tego dnia panował na linii jaki taki spokój, Helgert wskoczył do samochodu, żeby podjechać do taborów i tam napisać list do rodziców Eberharda.

Był to jedyny akt koleżeństwa, jaki mu pozostał do zrobienia. Zasiadł w na pół rozwalonej chłopskiej chałupie. Ile już takich listów musiał napisać!

Ale w związku z Eberhardem Baumem? Helgert zamyślił się. Czy ma zawiadomić jego rodziców, że ich syn został trafiony w krzyż przez potężny odłamek granatu i prawdopodobnie umarł bez pomocy, z upływu krwi? To nie byłoby jeszcze najgorsze. Czy jednak nie powinien ich uświadomić, że Eberhard od dawna zdawał sobie sprawę z bezsensu tej całej imprezy, ale że zabrakło

mu odwagi do zmanifestowania czynem swojej postawy? Że rozpaczliwie usiłował sam siebie oszukiwać, byle nie być zmuszonym do decyzji? Że awans na kaprała i Żelazny Krzyż co najmniej odsunęły na później tę decyzję?

O tym wszystkim nikt nie może się nigdy dowiedzieć, a już w żadnym razie jego rodzice i narzeczona. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak krótko stwierdzić, że stracił w Eberhardzie przyjaciela, którego nigdy nie zapomni.

Helgert zapalił papierosa i podszedł do okna. Na wschodzie czarne chmury dymu wznosiły się ku błękitnemu niebu. Te przekłete listy o bohaterskiej śmierci, pomyślał. Każdy, kto pisze, że śmierć tutaj, o tysiące kilometrów z dala od ojczyzny, jest czymś wielkim, koroną wieńczącą spełniony obowiązek, ten kłamie!

Oczywiście i on sam przyczynił się do śmierci swoich ludzi, a przynajmniej ich części. I w imię czego? Helgert jęknął. Strzelać, bić, kłuć, walić, nadstawiać karku - oto czego się dotychczas nauczył.

Wyjrzał na dwór. Ostatni wiersz listu wysechł już od dawna. Gdzieś daleko znowu zaczęło dudnić.

Wróbel zatrzepotał w słomie dachu, zaczął świergotać głośno z gromadką innych. Długi żuraw studzienny zaskrzypiał przeciągle.

Helgert zastanawiał się długo, czy i w jaki sposób ma napisać do Klaudii Sanden. Wreszcie doszedł do wniosku, że to już należy do obowiązków rodziców Eberharda: oni powinni zawiadomić dziewczynę o tym, co się stało.

Raz jeszcze spojrzął na zaklejoną kopertę, po czym wyszedł powoli, lekko pochylony. Nie żegnając się z nikim, pojechał z powrotem do oddalonego o kilkanaście kilometrów Orła, żeby obejrzeć nowe pozycje.

Nad miastem wisiała już od wielu dni czarna, połyskliwa chmura. Bezsensowne z wojskowego punktu widzenia wybuchy wybijały w górę wciąż nowe kłęby dymu. Odpowiedzialni za zniszczenie miasta ludzie z korpusów i sztabu armii z wielką sumiennością zabrali się do tej operacji. Należało tu wykorzystać i udoskonalić wszystkie doświadczenia zdobyte na „spalanej ziemi” i na utworzonych w ciągu dwóch ostatnich lat „strefach pustynnych”. Woń zgnilizny zatruwała powietrze. Wybuchające ładunki rozświetlały nieustannie swym migotliwym blaskiem szeregi rozwalonych domów. Ciemnoszary tuman kurzu wznosił się nad ulicami i zwalami gruzów, zstępował powoli ku dolinie Oki, wnikał w każde zagłębienie.

Pośród tego wszystkiego kolumny wojsk gnały na zachód.

Szosa wiodącą w stronę Karaczewa i Brińska pojazdy służby tyłów od wielu dni zdążyły ku Desnie. Okrążenie wciąż się zacieśniało. Liczono się z tym, że wkrótce po oburzeniu miasta nastąpi zupełna likwidacja tak niegdyś dumnym klinem wrzynającego się w teren występu frontu.

Wojna pochłonęła tak wieki, myślał Helgert, dlaczego nie miałyby któregoś dnia i ze mną skończyć? Czy nie byłoby to najlepszym rozwiązaniem wszystkich problemów?

Cóż bowiem innego jeszcze tutaj człowiekowi pozostaje? Może ten obłędny kołowrót: spełniania obowiązku, wierności i honoru, dyscypliny i posłuszeństwa. Czy owe pełne ciepłych tonów tarcze, na których widnieją słowa: „Kraj” i „Ojczyzna”? Czy nie powinienem przynajmniej moim ludziom i ich bliskim oszczędzić tego, co tutaj innych z naszej ręki spotkało i wciąż jeszcze dzień w dzień spotyka? My to nie tylko moja bateria czy mój pułk, to wszyscy, ale przede wszystkim oddziały operacyjne daleko poza linią frontu. Czy ktokolwiek czuje jeszcze jakiś niepokój

sumienia, kiedy całe wsie puszcza się z dymem, a ludzie - zawsze tylko kobiety, dzieci i starcy - płacząc, z oczyma pełnymi nienawiści, siedzą na skraju pól i od nadmiaru cierpień zapominają o głodzie? Przecież tu musi się kiedyś na Niemczech zemścić!

A wtedy? Co będzie wtedy? Całe Niemcy zamienią się w gęsty las szubienic. I każdemu oficerowi zadawać się będzie pytanie: A ty? Jak postępowaleś? Przecież wraz z innymi wdarłeś się do obcych krajów, niosąc śmierć i zniszczenie!

Helgert zadrżał na tę myśl. Zduślił w sobie nowe uczucie strachu, jakie go nagle i niespodziewanie ogarnęło.

- Kogo w tym całym chaosie interesuje, co będzie potem? - mruknął.

Helgert zatrzymał wóz pod kępą krzaków i zamaskował go byle jak. Potem powłókł się w dół, ku Ocie i stanął nad mulistą, leniwie płynącą wodą. Tutaj, o kilometr od brzegu, miały znajdować się nowe stanowiska ogniowe batalionu. Radziecka artyleria została najwyraźniej podciągnięta dalej naprzód, zaczęła bowiem badać teren przy pomocy szybkich lekkich granatów.

Helgert spojrział na most pontonowy, na którym tłoczyli się ludzie wraz ze sprzętem.

Drugi batalion pułku miał do ostatniej chwili pozostać na wschodnim brzegu rzeki i miał się przeprawić na brzeg zachodni najwcześniej w nocy z 3 na 4 sierpnia. Co miało z tego wyniknąć, nie zostało jeszcze sformułowane w żadnym ustnym ani pisemnym rozkazie. Nieco wyżej, w okolicy Seminarskiej, most drogowy był rzekomo jeszcze nietknięty. Tamtędy miała się przetoczyć, tak jak tu przez most pontonowy, fala uciekających na zachód. U północnego krańca miasta zbudowano na poczekaniu następne przejście.

Działa czterolufowe co chwila wypuszczały w powietrze lśniące snopy, żeby atakujące samoloty szturmowe trzymać

przynajmniej z dala od mostów. Saperzy spodziewali się każdej chwili rozkazu rozebrania pontonu. Rzucali tylko tęskne spojrzenia na rampę ładunkową po drugiej stronie, skąd ostatnie niemieckie czołgi odjeżdżały transportem kolejowym na zachód.

Równocześnie zaś niedaleko wschodniego krańca miasta rozlegał się coraz częściej cichy, ale wyraźny warkot silników T 34.

Czołgi wprawiały żołnierzy w stan niepokoju. Czuli sprzeczność kryjącą się między butnymi określeniami niemieckich typów czołgów i bezimiennym T 34, który stawał się uosobieniem najlepszego czołgu na wszystkich wojennych frontach. Po jednej stronie były coraz rzadziej pojawiające się „Ferdynandy”, „Nosorożce”, „Tygrysy”, „Pantery” „Szerszenie”. Po drugiej zaś - stale wzrastająca ilość wozów bojowych produkowanych na Uralu czy w Kazachstanie.

Na moście pontonowym rozległy się krzyki. Kolumna wozów amunicyjnych usiłowała przepchnąć się pod prąd zwartego nurtu wycofujących się żołnierzy. Powstało niesamowite zamieszanie.

Helgert zszedł rozjeżdżoną drogą na dół, wyciągnął pistolet i wrzasnął. W niewiele minut później konie ciągnące ciężkie, po brzegi naładowane wozy, brnęły już przez piasek na wschodnim brzegu.

Wszystko to granaty dla lekkiej haubicy polowej 18, pomyślał porucznik.

Był tam również oddział amunicyjny batalionu. Na przedostatnim wozie królował kapral Heidemann. Odłamek rozplątał mu lewe przedramię. On jednak nie chciał za żadne skarby udać się do polowego lazaretu, ponieważ zbyt wielkim respektem darzył działające na tyłach oddziały partyzanckie. Pozostał więc przy swojej baterii i wykonywał chwilowo rozmaite prace pomocnicze przy stanowiskach ogniowych.

Heidemann poznał swego dowódcę baterii, zeskoczył z wozu i zameldował:

- Wieziemy amunicję, żywność i pocztę na stanowiska ogniowe!

- Macie może coś dla mnie?

Pytanie to było równie machinalne jak co noc przeprowadzane zmiany stanowisk. Ostatecznie do obowiązków żołnierza należało cieszyć się z nadchodzącej poczty.

Pomocnik kierowcy sięgnął po jutowy worek, rozwiązał go i wyciągnął z niego plik listów. Zręcznymi palcami przerzucał jedną kopertę po drugiej. W końcu wręczył Helgertowi list od Ilzy.

Konie parszając, ruszyły dalej. Porucznik popatrzył chwilę za nimi, po czym rozerwał kopertę z berlińskim stemplem. Z trudem pojmował sens słów Ilzy. Najważniejszy fragment przeczytał jeszcze raz:

...doszłam po tym wszystkim do wniosku, że dla nas obojga będzie lepiej, jeśli nasze drogi się rozjedną. Ty będziesz wtedy mógł podejmować samodzielne decyzje, pozbędziesz się obciążeń związanych z naszą przeszłością, a ja uniezależnię się na przyszłość od Twojej wielkoduszności i konieczności poświęcania się.

Chciałabym Cię przy okazji zawiadomić, że rozważam w tej chwili pewne możliwości, które pozwolą prawdopodobnie wznowić hamburską rozprawę...

Helgert siłą woli narzucił sobie spokój. Czy nic nie zostanie mi oszczędzone? Czy uczyniłem cokolwiek, co upoważniałoby Ilzę do stawiania mi takiej propozycji? - zastanawiał się.

Nagle ziemia zaczęła dygotać. Nad miastem pojawiła się z hukiem olbrzymia chmura dymu. Prawa ściana jakiegoś wielopiętrowego domu przechyliła się powoli i runęła z trzaskiem.

Z okolicy Sobakina zaterkotały cienko karabiny maszynowe. Coraz to rozlegały się wśród nich szczekliwe wystrzały dział czołgowych. Front był pełen odłamków, dziur i wyrw. Czerwone gwiazdy nacierały coraz zawzięciej, zbliżając się jednak wciąż na opór kaemów 42 i pełnych bojowego zapалу czołgów. Potem donośny huk wdarł się w upalny sierpniowy dzień.

Przez dwa mosty pontonowe ludzie i pojazdy sunęli coraz pośpieszniej, pragnąc znaleźć się jak najdalej od strefy zniszczenia.

Odgłosy walki przybierały wciąż na sile. Porucznik Helgert nie miał czasu na osobiste rozważania. Pojechał na stanowisko ogniowe, żeby sprawdzić, czy działa jego baterii są gotowe do otwarcia ognia. Potem ruszyli dalej naprzód.

Sanitariusza Heizera nie opuszczało uczucie nieufności. Śmierć Eberharda Bauma nie zmieniła tego stanu rzeczy, przeciwnie! Heizer już od miesiąca podsycił swoje podejrzenia paroma niezbitymi dowodami. Pierwszym faktem: (który dopiero później wykazał, że ten nowy, ten kanonier Bender, musiał być fanfaronem i samochwałą) - była owa idiotyczna propozycja, żeby we trzech przejść równocześnie na tamtą stronę. Heizer przypomniał sobie, że wtedy, w rowie strzeleckim, wyraził wprawdzie na to zgodę, ale już w drodze do stanowiska ogniowego poczuł w żołądku ostrzegawcze ściskanie. Czyżby Bender nie miał okazji zostać na bierzowieckim stanowisku ogniowym i poddać się nacierającym Rosjanom? Przecież tyle tam było wtedy bunkrów! On, Heizer, był już absolutnie zdecydowany. Ale Rosjanie zaczęli akurat strzelać jak szaleni od strony wbudowanej w ziemię kuchni polowej. I nagle sanitariusz znalazł się razem z innymi w rowie przeciwpancernym: z przodu Helgen, z tyłu Gengenbach i Bender z resztą. Pognął więc z nimi przed siebie, nie mając już czasu do namysłu.

Kiedy Heizer zestawiał ze sobą poszczególne fakty: najpierw propozycję przejścia we trzech na tamtą stronę, a potem najoczywistsze tchórzostwo Bendera, dochodził za każdym razem do tego samego przekonania: ten kanonier Bender musi być prowokatorem albo nawet donosicielem.

Po śmierci Bauma dręczyła Heizera świadomość, że teraz już tylko jego łączy owa poufna rozmowa z człowiekiem, który był kiedyś członkiem Partii Komunistycznej. Kanonier nie wracał już potem do tego planu, chociaż w chaosie odwrotu nieustannie natykali się na siebie.

Poza tym Heizer musiał przez ostatnie trzy tygodnie opatrzyć więcej rannych niż w ciągu całego roku 1942 i pierwszej połowy 1943. Pakował do swej wielkiej torby tyle środków opatrunkowych, ile mu się udało zdobyć. Wszyscy dobrze wiedzieli, dlatego sanitariusz Heizer już na samym początku kampanii rosyjskiej otrzymał Krzyż Żelazny II klasy; krzyż za zasługi wojenne oczywiście też już posiadał.

Wczoraj, 2 sierpnia, spadła na Sobakino potężna ulewa granatów i żołnierze z taborami i przodkami armat rzucili się tak gwałtownie do ucieczki, że Heizer jeszcze teraz tchu nie mógł złapać. Od tej pory na zakurzonych ulicach panował prawie zupełny spokój. Piechota otoczyła miasto szerokim pierścieniem. Znajdowały się tam również punkty obserwacyjne i obserwatorzy wysunięci I i II batalionu. Mimo to w najbliższych dniach należało się spodziewać dalszych kroków w kierunku Orła.

Heizer wlaźł do pustego domu na skraju strzaskanego miasta i wywiesił przez otwarte okno brudnobiałą szmatę z czerwonym krzyżem. W ten sposób żołnierze natychmiast z daleka dostrzegą wysunięty punkt opatrunkowy Heizera. Usiadł ciężko przed drzwiami. A w razie zmiany stanowiska obserwatorzy przyjdą tu po niego.

Ponieważ w danej chwili nie przeszkadzały mu nadciągające z jednostajnym dudnieniem napady ogniowe artylerii radzieckiej, puścił wodze myślom: Jak to będzie wspaniale, kiedy reakcja i wojna zostaną pokonane i drogą prawdziwie parlamentarnego głosowania wprowadzi się w sposób legalny nowy ustrój, w którym i ja będę miał swoje miejsce. Ten Bender jednak nie podoba mi się. Jest po prostu niebezpieczny. Do tych ludzi, którzy należeli kiedyś do Partii Komunistycznej, już przed wojną odnosiłem się z rezerwą, a nawet, trzeba przyznać, z pewną niechęcią. Ten facet jaszczcze mnie kiedy wkopie!

Zaczynało się już ściemniać.

Z daleka dochodziły odgłosy strzelaniny. Sąsiednią ulicą coraz częściej przelatywały pędem konie ciągnące przodki armatnie, dudniły wozy łączności... Cóż to ma znaczyć? Nie było przecież rozkazu odwrotu. Może ciężkie działa piechoty chcą usunąć się w bok, poza zasięg ognia?

Nów nadleciało parę granatów, uderzały w ulice, płoty, dachy, ogrody. Tam, gdzie przed chwilą przejeżdżały końskie zaprzęgi, rozległ się przeraźliwy huk. Heizer wskoczył do piwnicy na kartofle, a raczej murowanego dołu za sporą stodołą. Nie najgorsza to osłona, pomyślał. Nic mnie tu nie dosięgnie. Najwyżej Ruski we własnej osobie. A i z nimi mógłbym się jeszcze jakoś dogadać.

Wybuchy rozlegały się teraz w nieregularnych odstępach, stawały się coraz rzadsze. Mrok zapadał nad okolicą. Granatniki zamilkły już od dłuższej chwili.

Heizer wylazł z piwnicy i zaczął nasłuchiwać. Zafrapował go jakiś dziwny szmer. Przypominało to jednostajne chrupanie suchej trawy przez konie. Teraz słyszał ten chrzęst zupełnie wyraźnie. Musiało to być tuż za chałupą.

Sanitariusz wszedł ostrożnie pomiędzy domy. Nagle wyłoniły się przed nim wysokie sylwetki. Konie. Ich kontury zarysowały się ostro na bardzo jasnym tle nocnego nieba. Jeden wydawał się nieruchomy. Wiatr rozwiewał im grzywę. Drugi coraz to podnosił głowę, nasłuchiwał. Potem pochylał się z powrotem i znów rozlegało się chrupanie trawy. Obok widać było leżące na ziemi czarne cienie. Od czasu do czasu jeden z nich poruszał się, nie wydając głosu, ale z nerwowym niepokojem.

Heizer podszedł aż na sam brzeg ogródka. To, co zobaczył, ścisnęło go za gardło. Ciężkie działa piechoty. Zaprzężone w sześć koni. Było tak kiedyś. Teraz lufa sterczała krzywo, skierowana ku pierwszym gwiazdom. Szprychy strzaskane, stalowe boki podziurawione jak sito. Przodek leżał przewrócony, połamany; ciężki pocisk rozrzucił na wszystkie strony broń, naboje, skrzynki z amunicją. Dwaj żołnierze leżeli skurczeni na ziemi. Sanitariusz znalazł się natychmiast przy nich. Po krótkim badaniu stwierdził, że na wszelką pomoc jest już za późno.

Kłęcząc jeszcze nad zabitym, spojrzął w górę. O trzy kroki od niego stał kary koń, pęcherzyki czerwonej piany wydobywały mu się z szyi. Pierś miał rozszarpaną aż w głąb płuca. Obok niego leżał drugi koń od pary. Ciężki kasztan. Nad wygiętym stalowym dyszlem sterczała sztywno jedna noga. Ciało było już lekko wzdęte. Drugi cień zaplątany w postronki poruszył się nagle. Był to wałach leżący niemal na grzbiecie. Teraz zaczął wierzcąc w powietrzu kopytami. Twarda uprzęż zatrzeszczała. Koń miał obie przednie nogi złamane. Dalej leżał ogier rozszarpany przez pocisk; płatanina skórzanych pasów, sprzączek, lejc, wnętrzości. Głowa zwierzęcia zwisała nad zionącym spalenizną lejmem. Zakrwawione chrapy miał szeroko rozdęte.

Koń z pierwszej pary, silny gniadosz, leżał niemal bez ruchu, z

nogami podkurczonymi pod brzuch. Od czasu do czasu tylko strzygł jednym uchem, ale leniwie, bardzo leniwie. Lewy bok miał wyrwany jakby olbrzymimi obcęgami.

Heizer wstał, wyciągnął pistolet z kabury, pociągnął za cyniel. Rozległo się kilka suchych wystrzałów - sanitariusz i tutaj przyszedł z pomocą: karemu, wałachowi i gniademu.

Nagle spochmurniał. Zaczął się rozglądać, szukając ludzi. Jego za duże buty stukwały głucho po zoranym przez pociski bruku, depały potłuczone szkło, potykały się o splecione kłęby drutów, wymijały świeże leje.

Heizer zawędrował aż na północny kraniec miasteczka. Echo jego kroków wpadało w martwe otwory okienne. Gdzieś jakieś drzwi skrzypiały na wietrze. Sanitariusz wszedł niepewnie pod podcienie domu i przysiadł.

Jakby to było u tych Ruskich? Jeśli przyjmiemy, że przy pierwszej nadarżającej się okazji zwięję do nich? Już na samą myśl o tym ciarki przeszły mu po plecach.

Kiedy po raz pierwszy znalazł się w punkcie zbornym jeńców wojennych... ten ostry zapach potu, krwi, byle jakich opatrunków i machorki, ropy i głodu. O tak, głód śmierdzi! Spojrzenia jeńców nie wyrażały zbytnej życzliwości. Prześladowało go to do dziś.

Blade światło księżyca kładło się na szczyty dachów. Poszarpane firanki trzepotały widmowo w strzaskanych okiennych ramach. Front otaczał miasto jakby krwawym pierścieniem.

Chmury rzucały przesuwające się powoli cienie na pozornie martwe, rozwalone domy. Heizer postanowił opowiedzieć swoim dzieciom w szkole o wrażeniach takiej niezwyklej frontowej nocy. O tej przeklętej drugiej wojnie światowej. Jeśli nawet zawsze będą wojny, ponieważ takie jest prawo natury, to kapitaliści i robotnicy

powinni się przynajmniej pogodzić na zasadzie: samemu żyć i innym na to pozwolić. Niejeden przywódca socjaldemokratów mówił przecież to samo: Dajcie robotnikom trochę waszego kapitału, a wszystkie problemy staną się dwa razy prostsze.

Nagle rozległo się niedaleko ostrzegawcze wycie. Potem pociski zaczęły z hukiem padać na domy i ulice. Potężny napad ogniowy z dział wszystkich kalibrów ześrodkowanych na jeden punkt!

Trzema susami Heizer znalazł się za krzywym murkiem, przycisnął się do niego i przeklinał chwilę, kiedy opuścił piwniczkę na kartofle.

Potem nastąpił ten straszny moment, kiedy sanitariusz zorientował się, że niemieckie baterie ostrzeliwiają Sobakino. Niemieckie baterie! Może i jego własna jest między nimi. Podczas kiedy on się tu godzinami wałęsał i marzył, batalion przeprowadzał zmianę pozycji. Do licha, musieli się chłopcy porządnie zdziwić, kiedy nie zastali mnie w „punkcie opatrunkowym”, pomyślał Heizer zafrasowany. Pewnie zwątpili w moje poczucie obowiązku i klną, że mnie nie ma tam, gdzie akurat jestem potrzebny.

A niemieckie granaty wciąż jeszcze ostrzeliwały miasteczko, obracając je stopniowo w perzynę.

Artyleryjskie wykształcenie sanitariusza wystarczyło na stwierdzenie, że znajduje się obecnie w nowym zasięgu wroga. Zmiana frontu, nad którą tak długo się zastanawiał, stała się nagle faktem, przyjętym jednak przez niego bez zbytowego entuzjazmu. Czuł się jak między dwoma frontami. I miał rację.

Sanitariusz Heizer chciał szybkim susem skoczyć pod najbliższy dom, żeby znaleźć się w martwym punkcie, poza zasięgiem niemieckich pocisków. Podczas tego skoku dosięgnął go jeden z tysiąca pięciuset odłamków, na jakie - zgodnie z regulaminem

- miał się rozpaść w chwili wybuchu granat wystrzelony z lekkiej polowej haubicy 18. Heizerowi wydawało się, że błyskawica trafiła go w pierś. Dłonie, którymi wpił się w czarną ziemię, stawały się coraz bardziej bezsilne.

Kiedy minął stan ogłuszenia, sanitariusz zorientował się, że odłamek trafił go w pierś i że według wszelkiego prawdopodobieństwa czeka go rychła śmierć.

Ciężkie miał konanie.

Jego jasnożółta skórzana torba sanitarna, którą do siebie przyciskał, zniszczyła się od buchającej na nią krwi.

Radzieccy sanitariusze pochowali go nad ranem.

O godzinie 23, rosyjskie dywizje szturmowe przystąpiły do kontynuowania natarcia. W pierwszych godzinach 4 sierpnia ofensywa w rejonie śmiertelnie rannego, niegdyś tak malowniczego miasta nad Oką, była w pełnym toku.

Jeden z ostatnich mostów drogowych został w ciągu nocy przygotowany do wysadzenia w powietrze. Tymczasem pilnowały go posterunki Wehrmachtu, żeby czołgi, działa samobieżne, działa szturmowe i transportery opancerzone, które działały jeszcze na wschodnim przedpolu, mogły wycofać się w ostatniej chwili. Od czasu do czasu padały w pobliżu pojedyncze strzały.

Saperzy, którzy mieli wysadzić most, czekali tylko na rozkaz. Koło południa potężne kamienne łuki miały na oczach Rosjan wylecieć w powietrze. Była to jak dotąd ostatnia wersja planów.

W mieście panował rozgardiasz ucieczki. Tam, gdzie dawniej znajdował się barwny, ożywiony targ starzyzną, rozbito teraz obóz wojskowy. Nawet oba mosty pontonowe na północnym i południowym krańcu miasta nie odciążały należycie ruchu, a tym samym chaosu na ulicach.

Pośród atmosfery napięcia, jaka otaczała ostatnich uzbrojonych żołnierzy na ich straconych pozycjach, rozlegał się od czasu do czasu warkot silników. Czasem bardzo daleko, ale czasem bardzo blisko. Potem słychać było ogień dział piechoty z północno-zachodniej dzielnicy miasta. Lekki wiatr południowo-wschodni, który zerwał się w nocy, tłumił wszelkie odgłosy. Błady księżyc oświetlał brzeg rzeki.

Przez południowy most pontonowy toczyły się teraz z głuchym łoskotem działa i wozy bojowe baterii II batalionu, wchłonięte potem przez wielki nurt ciągnący ze wschodu na zachód. Każdy żołnierz znał oddalony o 18 kilometrów punkt zborny przy drodze manipulacyjnej, gdzie o godzinie 15, mieli wszyscy dobić.

Było parę minut po trzeciej. Na pontonach w gorączkowym pośpiechu tłoczyli się członkowie kompanii saperów. Na drugim brzegu stały ich pojazdy, które miały w porę przewieźć w bezpieczne miejsce ciężki sprzęt mostowy, łodzie desantowe, łupy, a przede wszystkim ich samych.

Helgert podjechał z łącznikiem motocyklowym do mostu, żeby sprawdzić zgodnie z rozkazem, czy wszyscy ludzie batalionu dostali się na zachodni brzeg. Czekał tam teraz jakiś czas samotnie. Był zadowolony, że działa znajdowały się już po tamtej stronie i pod dowództwem podporucznika Gengenbacha posuwały się przez południowe przedmieście ku wielkiej drodze manipulacyjnej. Lada chwila powinien się zjawić Söchting z załogą punktu obserwacyjnego.

Porucznik spoglądał wciąż z niepokojem w stronę, gdzie za dwiema pętlami Oki musiał się znajdować most drogowy. Od paru minut dudniły tam gwałtownie działa czołgowe. Zdawało się, że stoją tuż za najbliższym blokiem domów. Były to prawdopodobnie „Ferdynandy”, które miały Rosjanom utrudnić szybki dostęp do miasta.

W górze, na wschodnim brzegu pojawił się nagle biegnący telefonista ze zwojem drutu przed sobą. Zwijął ostatni odcinek kabla. Przy wozie telefonicznym zdjął szpulę z ramion i wrzucił ją z rozmachem do skrzyni. Samochód ruszył przez pontony, żeby czym prędzej połączyć się z baterią.

Telefonista zszedł do rzeki i obmył sobie spoconą twarz. Otarł ją potem chusteczką i powlókł się w stronę pierwszego pontonu. Kiedy zauważył dowódcę baterii, przyspieszył kroku. Był to kanonier Rudolf Bender.

W ciągu ostatnich tygodni Helgert prawie go nie widywał, głównie dlatego, że tkwił on wciąż wraz z oddziałem telefonistów na stanowisku ogniowym. Bender zameldował się.

- Dlaczego nie pojechał pan od razu dalej wozem telefonicznym?

- Czekam na telefonistów z punktu obserwacyjnego! Oni prowadzą mojego konia!

Bender patrzył porucznikowi spokojnie w oczy. Helgert poczęstował go papierosem. Nagle przypomniała mu się ostatnia rozmowa z Eberhardem Baumem. Mam cię, bratku, czujesz już pewnie powiew z tamtej strony! Nie chciał jednak w tej chwili poruszać z Benderem tego tematu; na to potrzebny jest dystans, a nie zapalczywość. Warto by jednak poddać faceta małej próbie. Ciśnął zapałkę do wody.

- Proszę ze mną. Coś panu pokażę!

Ruszyli naprzód, lekko skręcając w bok ulicą, na której aż wrzało. Kiedy dotarli do głównej drogi, buchnął w nich huk tysięcy toczących się niestrudzenie kół i gąsienic.

Tak więc ma wyglądać wycofywanie się na nowe, z góry przygotowane pozycje? Toż to zwyczajna ucieczka, prymitywnie maskowana ponura ucieczka! - pomyślał Bender i milczał.

Zwarty potok samochodów ciężarowych, czołgów, motocykli, haubic, aut osobowych, wozów terenowych, pojazdów

gąsienicowych, dział samobieżnych i jeźdźców; grupki żołnierzy, lotników, starych i młodych, dążyły spiesznie przed siebie. Roweryści, działa przeciwpancerne, stada bydła. Reflektory, ciągniki, radiostacje. Ochotniczy personel pomocniczy, wozy ciągnięte przez konie, niezliczone zaprzęgi. Moździerze, czołgi rozpoznawcze, przodki armatnie, działa obrony przeciwlotniczej, pontony, wozy piekarnicze i armaty. A pośród tego wszystkiego razem ranni z brudnymi, z przesączonymi krwią opatrunkami. Dalej działa samobieżne, moździerze, rosyjskie traktory, stacje odwziewania, kuchnie polowe, zbiorniki z wodą, wozy łączności, działa czterolufowe, przeróżne miejscowe pojazdy. Nieprzejrane ilości sprzętu i ludzi, wciąż mnóstwo ludzi: funkcjonariusze Arbeitsdienstu, świta Wehrmachtu, kolejarze, cywile. Maszerowali oni w dwóch równoległych kolumnach, w sposób niemal zdyscyplinowany, ze spowitego dymem miasta, w szary ranek. Wiedzieli, że ścigają ich radzieckie czołgi i potęga gniewu.

- No i co? - Helgert spojrział na Bendera trochę drwiąco. - Może uda nam się trafić wśród tego rozgardiaszu do naszej jednostki.

- Przecież wszyscy wiedzą, gdzie jest punkt zborny...

Powoli potok stawał się coraz węższy. To tu, to tam widać było puste miejsca. Niepostrzeżenie zaczęła się tworzyć nowa „strefa niczyja”.

Zawrócili od drogi manewrowej i ruszyli w stronę mostu pontonowego. Kilka starych czołgów IV przejechało z nerwowym terkotem silników między domami, toczyły się to naprzód, to w tył, szukając odpowiedniej pozycji do strzału. Poranne mgły unoszące się nad łąkami i drzewami zacierają ich zarysy.

- Ładny gips, co? - podjął porucznik przerwana rozmowę.

- Ostatnim batalionem na polach walk tej gigantycznej drugiej wojny światowej będzie batalion niemiecki!

Bender musiał dobrze nad sobą panować, żeby nie popaść w ton kaprala z Braunaoi.

- To pana słowa?
- Nie, Führera, panie poruczniku!

Bestia usiłuje mnie tu zagadać, pomyślał Helgert. A ja nie mogę mu nawet zamknąć gęby.

Saperzy wyciągnęli pierwsze kotwice, kiedy ostatni już chyba piechurzy i artylerzyści zbiegli piaszczystą drogą ku rzece.

Söchting ze swymi ludźmi był tam również.

- Za nami już chyba nikogo nie ma, panie poruczniku.
- Jeśli nie liczyć Ruskich!

Teraz most rozpadał się w oczach, na wschodnim brzegu pozostało już tylko kilka łodzi desantowych. Pierwsze samoloty pojawiły się w powietrzu.

- Nikogo nie brakuje? - zapytał Helgert, odwracając się w siodle.

Söchting podjechał do niego.

- Brak sanitariusza!
- Heizera?
- Tak, kiedyśmy po niego wrócili, nie zastaliśmy go już w chałupie. Myślałem, że on sam poszedł do mostu!

Söchting patrzył na Helgerta wyczekująco. Porucznik pokiwał głową i zagryzł wargi. A więc jednak, pomyślał, dopiął chłopak swego!

- Może poszedł razem z piechotą?

W głosie Söchtinga nie było cienia podejrzliwości.

- Może - odparł Helgert i spojrzął na Bendera, który musiał słyszeć całą rozmowę. - Może jest już od dawna w drodze do punktu zbornego, kiedy my tu sobie głowę nad nim łamiemy.

Porucznik mówił głosem ochrypłym. Ruszył naprzód, ogarniała go coraz większa groza. Po niedługiej chwili zorientował się, że w mieście dudnią już czerwone czołgi. Jeszcze tylko tego teraz

brakowało, żeby cofające się kolumny popadły w panikę. Wtedy w ciągu paru sekund powstałby na drodze zator oznaczający koniec wszystkiego. Diabli wiedzą, czy nieliczne, rozklekotane niemieckie maszyny zdołają chociaż przez chwilę powstrzymać T 34.

Helgert spojrział na zegarek. Zbliżała się piąta. Czas pędził naprzód. Ze wschodniego krańca miasta dochodziły odgłosy zacieklej walki. To znaczy, że dotarli już do tej kupy gruzów, pomyślał i puścił się galopem brzegiem jezdnii. Konie gonity już resztkami sił. Strzelanina stawała się coraz mniej wyraźna. Stopniowo włączyli się w główny nurt.

Helgert przywołał do siebie Bendera i usiłował nawiązać z nim niewinną rozmowę o Berlinie.

O jakieś cztery kilometry za miastem nastąpił zator. W osiemnastotonowego ciągniku, który holował nienadający się już do użytku czołg, pękła gąsienica. Kierowca usiłował ją naprawić. Jego pomocnicy spoglądali za siebie, gdzie chmura dymu wciąż jeszcze unosiła się groźnie nad horyzontem. Nie mieli zbyt różnych min.

Bander uśmiechnął się gorzko.

- Stać wytrwale na wschodnim posterunku, dla dobra ojczyzny!

- To pana słowa?

- Alfreda Rosenberga!

Zirytowany, ale i rozbawiony Helgert spojrział spod oka na Bendera. Ten cytuje naszych wodzów z pamięci, pomyślał, i zawście trafia w samo sedno.

- A co pan powie o Baumie?

- Dziś mija dwudziesty drugi dzień od jego śmierci.

Twarz Bendera stężała.

- Zdaje się, że obaj straciliśmy w nim przyjaciela.

Kanonier nie odpowiedział.

Z lewej strony, za wierzchołkami sosen, narastał jakiś pomruk, wkrótce przekształcił się w grzmot. Samoloty szturmowe nagle spuściły bomby na drogę. Jaskrawo zaślniły czerwone gwiazdy. Maszyny przeleciały tylko nad sunącymi spiesznie kolumnami; widocznie wystrzelały całą amunicję na bardziej opłatające się cele.

Artylerzyści jechali szeroką ławą.

Bender nie bardzo wiedział, co ma myśleć o poruczniku. Czy wysłuchał dostojnych cytatów jedynie z wojskowej lojalności? Rudolf Bender postanowił mieć się przed nim na baczności. Czy ten Heizer rzeczywiście przeszedł na tamtą stronę? Jeśli Helgert cokolwiek na ten temat wie, będzie mnie teraz miał na oku. Dawniej w razie czego można było skorzystać z pośrednictwa Bauma. Teraz już nic z tego. Mogę spełnić swój zamiar tylko w sytuacji, kiedy nie będzie cienia podejrzenia o dezercję. Ze względu na matkę. Choćby dlatego nie można tego robić przedwcześnie.

Na niezbyt dużej wysokości, trochę w bok od drogi odwrotu, pojawiła się eskadra bombowców P 2. Około dwudziestu jeden maszyn. Wśród kolumny zakotłowało się w jednej chwili. Jak smagani olbrzymim biczem, rzucili się wszyscy na obie strony drogi, zostawiając pojazdy i sprzęt, szukając osłony.

Samoloty dudniąc, przeleciały ciężko nad drogą, nie spuściwszy ani jednej bomby.

Helgert ściągał je wzrokiem. Bronił się przed uświadomieniem sobie niemieckiej klęski, jak również przed uznaniem przewagi nieprzyjaciela. Bał się odkryć, które mogły wyzwolić wszystkie ukryte sprzeczności.

Ni stąd, ni zowąd zwrócił się do Bendera:

- Czy myśli pan, że Heizer zdążył w porę wycofać się, czy to było w ogóle możliwe?

Rudolf Bender machinalnie ściągnął wodze. Koń parsknął i szarpnął głowę w bok.

- Może został ranny?

Porucznik był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nic nie odpowiedział. Zasugerowany swoim podejrzeniem w ogóle nie wziął pod uwagę tej ewentualności.

- Ma pan rację - mruknął - całkiem prawdopodobne.

- Moim zdaniem Heizer był wzorowym żołnierzem i niezmordowanym sanitariuszem. Wykazywał odwagę w najtrudniejszych sytuacjach, często większą niż inni!

Porucznik był pewien, że Bender, powołując się na osobistą odwagę, bezczelnie sobie z niego kpi.

Starszy sierżant, który jako dowódca plutonu miał sześć ciężkich dział przeciwpancernych po zachodniej stronie Dworca Moskiewskiego w Orle, nastawił czujnie uszu. Po chwili zdjął hełm. Teraz mógł lepiej słyszeć.

Od paru minut odgłosy walki dochodzące z północno-zachodnich dzielnic miasta zaczęły się stopniowo nasilać. Na wschodnim krańcu strzelanina trwała przez całą noc. Na południu również było coraz głośniejsze, ale wydawało mu się to znacznie odleglejsze niż dudnienie czołgów na północnym zachodzie. Któż to może tak bezczelnie dokazywać niemal za plecami frontu? Chyba garść partyzantów, którzy dostali teraz sygnał do działania. Pewnie zamelinowało się tam parę „Tygrysów” i „Panter”, a może i ciężkich dział szturmowych, i strzelają teraz do każdego, kto im w drogę wejdzie.

Starszy sierżant słuchał wciąż z napięciem. Wszystko to interesowało go w najwyższym stopniu, ponieważ wszędzie, gdzie rozlegały się strzały, zagrożona była droga odwrotu. A on stał tu ze swoimi sześcioma pukawkami i kilkoma żołnierzami, żeby osłaniać dworzec, a najchętniej zwałby stąd, gdzie pieprz rośnie.

Włożył z powrotem hełm. Za chwilę szósta. Teraz słyszał bez trudu szczęk gąsienic czołgów zbliżających się spieszenie. Widocznie nadeszły posiłki.

Nagle rozległ się huk. Starszy sierżant aż podskoczył. Kamienie i strzępy darni przeleciały nad nim w powietrzu. Donośny trzask powtórzył się drugi i trzeci raz. Następny granat przeciwpancerny uderzył w działo. Kilku żołnierzy padło. Ranni wlekli się z jękiem w stronę dworca. Reszta próbowała dotrzeć na przeciwną stronę ulicy.

Wtem pierwszy T 34 przemknął jak cień przez plac dworcowy, strzelając w niesamowicie szybkim tempie raz po raz ze wszystkich luf.

Starszy sierżant rzucił się ostatkiem energii ku stojącemu z prawej jego strony działu. Seria przeciwpancernego karabinu maszynowego rozniosła go na strzępy. W parę sekund później żelazny kolos był już przed lewą armatą, jechał z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Bruk pękał pod jego gąsienicami. Zniosły one z powierzchni działo przeciwpancerne i resztę załogi. Za owym pierwszym czołgiem zjawiły się następne.

Oba działa ustawione z prawej strony dworca zaczęły teraz ujadać. Drugi T 34 stanął w płomieniach, uderzył z rozpędem w ruiny budynku dworcowego i wyleciał w powietrze. Odłamki trafiły w działa, wieże i rolki zawieszenia gąsienic kolejno nadjeżdżających czołgów. Drugi oberwał już na samym skraju placu. Trzeci o jakieś pięćdziesiąt metrów od prawego rogu rozwalonego dworca. Załoga wyskoczyła z niego błyskawicznie.

Potem stojące najbardziej na prawo działo znikło w chmurze dymu. Następne zostało również zniszczone. Nagle pojawiły się przed dworcem dalsze kolumny T 34.

Pozostali żołnierze oddziału przeciwpancernego przebiegli po synach do szopy, z której dobywały się kłęby dymu.

Dla ludzi gnieźdzących się w piwnicach i wśród ruin nadeszła chwila wyzwolenia.

W pół godziny później dotarły do zachodniego krańca miasta jeszcze liczniejsze radzieckie czołgi przybyłe z północy.

Na ulicy Puszkina toczyły się zaciekle walki uliczne.

Do godziny 19, część miasta została oczyszczona z nieprzyjaciela.

W ciągu nocy ostatni żołnierze niemieccy opuścili Orła.

Rozdział 17

Przed dwoma zaledwie tygodniami rozpoczęła się operacja „Cytadela”, która miała naprawić zgubne skutki radzieckiej ofensywy zimowej. Marzenie owo zostało na oczach całego świata rozbite w proch i pył przy pomocy radzieckiej stali.

W pierwszej dekadzie lipca 1943 roku niejeden żołnierz niemiecki patrzył zafascynowany na oba kliny na południe od Orła i na północ od Biełgorodu, pełne błogiej gotowości, aby co dzień dalej na zachód przesunąć barwną oznaczenie na wyrwanym z „Völkischer Beobachter” skrawku mapy. Tymczasem wszyscy zostali surowo pouczeni, że podjęte na przestrzeni dwóch i pół tysięcy frontowych kilometrów radzieckie lotnie operacje zachwiały całkowicie dotychczasową niewzruszoną pewnością siebie butnych etapowych strategów.

Rezerwy wojskowe Naczelnego Dowództwa Niemieckich Sił Zbrojnych, które jeszcze parę miesięcy temu znajdowały się daleko na tyłach, od dawna zostały rzucone na front, a w parę tygodni potem uległy rozbiciu, zniszczeniu, a w najlepszym wypadku poważnemu zdziesiątkowaniu.

Próby Naczelnego Dowództwa, aby przy pomocy psychologicznego czynnika „działania na zwłokę” wyczarować z powietrza nowe pozycje obronne, a w serca i umysły żołnierzy wpoić wiarę we własną niezwyciężoność, rozbiły się o stale rosnący strach przed grożącą katastrofą. Obiecywane wciąż za pośrednictwem

eteru i farby drukarskiej „wyczerpanie się czerwonego nieprzyjaciela” na wszystkich prawie odcinkach walki okazało się kłamstwem. Przy tym doświadczenia szeregowych żołnierzy nie różniły się prawie od doświadczeń oficerów niższych czy wyższych sztabów.

Groza czających się za plecami bagiennych terenów deprymowała wszystkie niezbyt już od nich odległe jednostki niemieckie. Perspektywa ta dręczyła również załogę świeżo przybyłej na front baterii ciężkiej artylerii przeciwlotniczej, znajdującej się w miejscowości Piereszny o kilkanaście kilometrów odległej od Jarcewa. W tym rejonie Armia Czerwona odparła skutecznie w czerwcu 1941 roku pierwsze natarcie Wehrmachtu na Moskwę.

Przez Piereszny biegła linia kolejowa łącząca Smoleńsk z Wiaźmą. Gdyby przypadkiem zdarzyło się tak kiedyś, że gdzieś bliżej frontu, w rejonie Dorogobuża, a więc o dwadzieścia kilometrów dalej na wschód, radzieckie czołgi przerwałyby niemiecką linię obrony, musiałyby bezwzględnie zostać zniszczone najpóźniej w tym miejscu, jeśli nic by ich wcześniej nie zdołało powstrzymać. Ten obowiązek wbijano co dzień do głowy szaroniebiskim wojownikom, którzy jeszcze nie zapomnieli uroków paroletniej służby na obszarze obrony kraju. Dlatego też ten fragment drogi manewrowej, jaki był stąd widoczny w kierunku frontu, szczególnie wbił im się w pamięć: przez prawie tysiąc dwieście metrów biegła ona prostą linią przez bagienny krajobraz, potem skręcała na południe, wspinała się na łagodne, zielone wzgórza i ginęła w oddali.

Teren po obu stronach drogi, już w odległości stu zaledwie kroków od ich pozycji, stawał się coraz bardziej grząski. Kto wybrałby się ze wsi nieco dalej w tym kierunku, trafiłby na podstępne moczary. Należało wątpić, czy nawet partyzanci odważyliby się tam opuścić, a oni potrafili się zdobywać na nie lada odwagę.

Wąska ścieżka, gubiąca się wśród mętnych kałuż, wiodła od prastarej puszczy, której liczne partie należały niewątpliwie do nie zbadanych rejonów tej okolicy.

Bliżej frontu, pod Dorogobuzem, ocalałe baterie oddziału 8,8-centymetrowej artylerii przeciwlotniczej wyznaczone zostały do walki lądowej jako wzmocnienie silnej pozycji ryglowej przy linii kolejowej i szosie łączących Moskwę ze Smoleńskiem. Co dzień należało się bowiem liczyć w ramach ogólnej ofensywy z próbą przebicia się Armii Czerwonej do Smoleńska.

Po nieoczekiwanym, błyskawicznym zniekształceniu niemieckiego klina w rejonie Spas-Demeńsk nastąpił trochę złudny spokój. Żołnierze szepotali jednak między sobą, że na terenie tym działają nadal dwie czerwone jednostki szturmowe, zapewne w celu stworzenia sobie dogodniejszych pozycji wyjściowych do ataku na Smoleńsk, gdzie niegdyś mieściła się Główna Kwatera Führera.

Jednostka ciężkiej artylerii przeciwlotniczej w niewielkiej miejscowości Piereszny, położonej przy drodze manewrowej, z dala od frontu, miała znakomite stanowisko. Dwa działa stały po obu stronach drogi głęboko rozśrodkowane. Oslaniające je wały stanowiły pewne zabezpieczenie przed ostrzałem naziemnym. Trzecie działo znajdowało się nieco bardziej na prawo blisko krańca wioski, o jakieś trzysta kroków stamtąd znajdowała się kancelaria. Ostatnie działo, ustawione obok dołu ze żwirem, mogło najskuteczniej czuwać nad zakrętem drogi, a przy tym działać flankująco na wszystkie niemal strony. Nawet samoloty szturmowe pozostawiały dotychczas całe stanowisko w spokoju, ponieważ działa były dobrze zamaskowane.

Kapitan Dörnberg stał nad żołnierzami jak kat nad dobrą duszą i pilnował, żeby maskowanie było stale odnawiane. Nie miał

najmniejszej ochoty narażać się na nieprzyjacielski ostrzał. Każdy odgłos wybuchającego pocisku pogłębiał jego zły humor. Wyznaczono mu bowiem bez uprzedzenia obcego dowódcę batalionu, on sam zaś został najstarszym dowódcą.

Poza tym obie pozostałe baterie miały przynajmniej szansę na przedniej linii obrony niszczyć przy odpowiedniej okazji całe kolumny czerwonych czołgów, dzięki czemu mogły malować na lufach swoich dział białe zaszczytne obręcze i gromadzić sterty orderów i odznaczeń.

Jego stanowisko miało jedną dobrą stronę: panował tu względny spokój. W oborze stała krowa dająca mleko. Hoża dziewczyna, której Dörnberg miał ochotę bliżej się przyjrzeć, dbała o zaopatrzenie kuchni w jaja, żeby urozmaicić pierwsze i drugie śniadania. Nikogo nie obchodziło, skąd te jaja zdobywała. Do obowiązków chłopów kołchozowych należało dostarczanie miodu, masła i innych produktów. Szef kompanii czuwał z umiarkowaną surowością nad utrzymaniem dyscypliny, zaś dowódca baterii myślał tylko o własnym bezpieczeństwie. I to w niesłychanie wszechstronnym sensie.

Żeby rozproszyć ponury nastrój, rznął w skata w każdej wolnej chwili. A wolne chwile trwały dla niego właściwie przez cały dzień. Partnerzy mogli się dla odmiany przesiadać, ile dusza zapagnie - nie zmieniało to jednak faktu, że byli wciąż ci sami: podporucznik Arlt, sierżant Floter rachmistrz Sommerfeld z oddziału sztabu, którego samochody zaopatrzeniowe stacjonowały tutaj, we wsi Piereszny.

Sommerfeld uświetniał każdy wieczór skata napojami, wyrobami tytoniowymi i wszelkiego rodzaju przysmakami.

Dörnberg stawiał mu w rewanżu do dyspozycji swoich ludzi, którzy sortowali konserwy, liczyli bochenki chleba i bezinteresownie spełniali wszelkie prywatne życzenia Sommerfelda.

Arlt skończył właśnie z miernym rezultatem kurs dla oficerów frontowych i awansował na prusko-niemieckiego podporucznika artylerii przeciwlotniczej. Jego twarz była teraz równie pozbawiona wyrazu, jak w dniu, kiedy wstępował do Szkoły Wojennej. Brodę miał wyraźnie cofniętą. Tylko pasek od hełmu, przesunięty do przodu, dodawał mu nieco bojowego charakteru.

Apel Führera, skierowany wczoraj do Hitlerjugend, dziś do SS, a jutro zapewne do żołnierzy II rezerwy: „Bądźcie twardzi jak stal Kruppa! Odporni jak skóra! Zwinni jak charty!” - Sommerfeld pozwolił sobie uzupełnić w związku z osobą podporucznika Arlta: „Głupi jak stołowe nogi!”

Sierzanta Flotera nikt nie zdołałby odwieść od przekonania, że oficerowie wszyscy razem wzięci - z dowódcą batalionu włącznie - nie są warci jednego sierżanta. Uważał też, że istnieją wprawdzie między nimi pewne różnice, ale że w zasadzie wszyscy, w tej czy innej formie, są przekupni.

Floter prowadził „rejestr słabostek” wszystkich swoich zwierzchników - zarówno pośrednich, jak i bezpośrednich. Wiedział, kto nie pali, i nigdy nie zapomniał stwierdzić tego z uśmiechem, częstując papierosami. Znał tych, którzy wykręcali się od wszelkich problematycznych odgórnych rozkazów poważnymi i przewlekłymi chorobami. I Floter przy każdej okazji dowiadywał się uniesienie o aktualny stan ich zdrowia. Sierzant wiedział też, kto lubi dużo i dobrze zjeść i zobowiązał osobiście kucharza, żeby każdej chwili miał do dyspozycji jakiś ekstra kąsek dla pana majora czy innego dostojnego smakosza.

Panowie siedzieli sobie właśnie przy partyjce skata, kiedy za oknami rozległo się charakterystyczne powolne terkotanie lekkich rosyjskich kaemów. Włączyły się w to natychmiast głucho wybuchy ręcznych granatów, ogień karabinów i suche poszczekiwanie pistoletów. Po chwili rozpoczął się ogień ciągły cekaemu typu

„Maxim”. Towarzyszyły mu trzaski pistoletów maszynowych.

- Rosjanie!!!

To słowo podziałało jak iskra elektryczna. Dörnberg pierwszy znalazł się przy drzwiach. Strach zlikwidował z miejsca wszelki wpływ alkoholu. Równie szybko kapitan wciągnął głowę w ramiona. Nieprzyjaciel był już we wsi. Szyby okienne brzęczały, roztrzaskiwane przez kolby karabinów. Ładunki skupione i ręczne granaty sypały się do kwater załogi baterii przeciwlotniczej. Zapłonował ogłuszający rwetes.

Kiedy Floter biegł do kuchni i wyskakiwał stamtąd przez okno, myślał jeszcze: jeżeli się okaże, że posterunki kimały, to niech ich Bóg ma w swojej opiece!

Bóg już ich wziął pod swoją opiekę. Jeden wyzionął ducha z bagnetem w szyi; drugi zaś maszerował o pięćset metrów dalej ścieżką wśród bagien pod eskortą dwóch obcych żołnierzy, ponieważ zamienił się przez ten czas w jeńca wojennego.

Jeden rzut oka wystarczył sierżantowi, aby się przekonać, że ta część wsi, w której stały działa, nie została jeszcze zajęta przez wroga. Rzucił się w tamtą stronę jak oszalały. Partyzanci! - przebiegło mu przez głowę. Za nim ciężki ciągnik stanął w ogniu. Floter widział wyraźnie jego potężną sylwetkę. Obok znów buchnęły płomienie.

Strzelanina wciąż przybierała na sile. Lekkie granatniki bombardowały wschodnią część wsi Piereszny. Wszyscy żołnierze baterii przeciwlotniczej, którym udało się stamtąd wydostać, cofali się ku działom.

Operacja ograniczona, pomyślał sierżant Floter. Już z daleka ryczał w stronę obsługi dział. Gotowi mnie te oferty wziąć za Rosjanina! A mój głos przecież znają! Nagle aż go zatkało ze zdumienia. Chłopcy rzeczywiście skierowali już działo w stronę wsi. Podczas swego szaleńczego biegu do stanowiska ogniowego

Floter zajmował się obliczaniem wysokości i nastawienia zapalnika i był już niemal pewny rezultatów. Z daleka wykrzykiwał załodze odpowiednie cyfry.

Pierwszy granat przesunął się przez automatyczne urządzenie nastawiające zapalnik do lufy. Zamek zaskoczył z trzaskiem. Szarpnięcie spustu. Złowrogi huk rozległ się wśród nocy. Lufa cofnęła się i przesunęła z powrotem do przodu. Szerzący zniszczenie wybuch nastąpił na samym środku drogi. Do diabła! Wcale nieźle! Po minimalnych poprawkach sierżant kazał wystrzelić jeszcze trzy granaty. I wtedy nadleciało coś z tamtej strony, jakby z trzepotaniem. Przekłęte granatniki! Trzasnęło gdzieś w pobliżu. Sierżant zorientował się natychmiast, że przeciwnik znajduje się o jakieś czterysta metrów na północ od zachodniego krańca wsi. Szybko po sobie następujące kolejne pociski wybuchały tuż obok działa. Floter ruszył dalej. Z powodu ostrzału i dlatego, że chciał dotrzeć do działa stojącego po drugiej stronie drogi.

Tam komenderował Arlt swoim dziecinnym głosikiem. W głowie mu się kręciło: wysokie punkty wybuchu. I strasznie długo trwało, zanim pierwszy granat znalazł się w lufie. Wybuchł bardzo daleko, gdzieś wśród bagien. Teraz Floter włączył się do akcji i już trzecim strzałem był bardzo bliski celu. Kazał strzelać dalej, aż łuski klekotały po poprzeczkach lawety.

Rosyjskie granatniki waliły dalej.

Folter poprawił odległość - bez zadowalającego rezultatu. Pociski były jedynie osłoną, która przy dużym kącie padania granatów moździerzowych nie była zbyt pewnym zabezpieczeniem.

Arlt zdał sobie tymczasem sprawę, że dawno minął okres jego zależności od sierżanta. Krzyknął więc zachłystującym się głosem:

- Kontynuować ogień, natychmiast!

W tej samej chwili za jego plecami wybuchł granat i podziura-
wił mu lędźwie jak sito.

Pierwsze działo zadecydowało o ostatecznym wyniku bitwy. We wsi strzelanina zupełnie ucichła. Coraz to jakiś głos wykrzykiwał czyjeś nazwisko. Ranni jęczeli. Przez ten czas ciągnik i dwa pancerne wozy bojowe spaliły się doszczętnie.

Kiedy wszędzie dokoła zapanował spokój i wymiana pocisków ustała, Dörnberg i Sommerfeld opuścili swoją kryjówkę w piwnicy na kartofle koło „kasyna gry” i wsunęli pistolety z powrotem do lśniących kabur. Wycie Arlta dochodziło aż tutaj.

W ciągu najbliższych godzin, a właściwie dopiero o brzasku, można było stwierdzić, co następuje: partyzanci przybyli z bagien od północnego krańca wsi i bezszelestnie zlikwidowali zdwojone posterunki. Jeden z nich, starszy szeregowiec Bergander, zginął od ciosu bagnetem. Po drugim, szeregowcu Burkhardzie, nie pozostał żaden ślad. Następnie, wykazując dość dokładną znajomość terenu, ostrzelali miejsca, gdzie żołnierze artylerii przeciwlotniczej udawali się na spoczynek.

Rezultat: pięciu zabitych, dwóch zaginionych, jedenastu rannych; kilkanaście pojazdów zniszczonych przez ręczne granaty i pociski moździerzowe.

Bateria została w ten sposób częściowo unieruchomiona.

Kapitan Dörnberg zdążył sobie do późnego rana różne sprawy rozważyć. Przede wszystkim wraz z Folterem, którego znakomite wyniki w strzelaniu zamierzał podać do odznaczenia Żelaznym Krzyżem I klasy, ułożył plan alarmowy, który przewidywał na przyszłość trzymanie połowy wszystkich załóg przez całą noc pod bronią. Następnie nacisnął czapkę i wyszedł w towarzystwie sierżanta na obchód wsi. Bez trudu można było stwierdzić, że

punkty wybuchów były znakomicie wymierzone. Świadczyły o tym dachy, szyby, ściany domów.

We wsi znaleziono tylko trzech Rosjan. Jednego rozerwał eksplodujący ciągnik albo zbyt szybko wybuchły ładunek. Drugi, z serią pistoletu maszynowego w brzuchu, wczołgał się pod wóz radiowy za warsztatem naprawczym sprzętu bojowego i tam skończył. Trzeciego załaski kolbami, ponieważ jeszcze żył. Wszyscy trzej ubrani byli po cywilnemu, ale całkowicie uzbrojeni jak żołnierze Armii Czerwonej. Partyzanci musieli ponieść większe straty. Najwyraźniej jednak w czasie bitwy pozostałych rannych przetransportowali w bezpieczne miejsce.

Kolejnym punktem programu kapitana Dörnberga było więc przeszukanie do południa całej okolicy, żeby znaleźć chociaż jednego wroga, którego można by przesłuchać. Nie miał wątpliwości, że każdego zdołałby zmusić do mówienia; o sile oddziały, najbliższych planach i tak dalej. Nie znaleziono jednak nikogo. Zapuszczać się na mokradła byłoby skończonym szaleństwem, roło się tam na pewno od siedzących na drzewach strzelców, uzbrojonych w pierwszorzędne karabiny z celownikiem optycznym, model Simonów i Tokarew, czy jak się tam zwali ich marksistowscy wynalazcy.

Podczas długotrwałej bieżaniny po wsi Dörnberg wytypował nieznacznie pewną ilość mieszkańców, którzy mu się z tych czy innych względów nie podobali. Wskazywał ich za każdym razem sierżantowi.

Po kwadransie stanęło przed nim siedmiu mężczyzn ze wsi Piereszny ze związanymi rękami. Brodate twarze nie pozwalały określić wieku tych ludzi, podobnie jak ich spojrzenia tały to, co w danej chwili myśleli.

Dörnberg doznał uczucia obezwładniającej rozkoszy na myśl o tym, że pięciu z nich mocą rozkazu w ciągu najbliższej godziny

zostanie powieszonych i umrze. Los każdego z nich zależał wyłącznie od niego.

Przesłuchał ich wszystkich po kolei.

Wszyscy twierdzili, że z partyzantami nie mieli nic wspólnego.

Kapitan przystąpił do selekcji. Decydowały motywy o charakterze czysto osobistym. Tu bezczelny wyraz twarzy, tam czapka z daszkiem, to znów błękitna żyła na grzbiecie dłoni czy niewielka wypukła blizna na szyi. Na koniec wybrał jeszcze najmłodszego. Zatrzymał go chwilę, podczas gdy resztę kazał wyprowadzić.

- Daruję ci życie, jeżeli podasz miejsce pobytu partyzantów!
- Jestem komsomolcem!

Oczy chłopca wyrażały przekorę, nienawiść i bezgraniczną pogardę.

W godzinę później pięciu Rosjan wisiało na pięciu drzewach stojących przed kwaterą Dörnberga. Każdy miał na piersiach kartonową tabliczkę, wyciętą z pudła po puszkach ze smalcem, z napisem cyrylicą: „Wiszę tu za jednego partyzanta”.

Dwóm pozostałym dano jeszcze dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

Sołtysowi kazał Dörnberg ogłosić, że wypuści ich żywych w zamian za dostarczenie jednego partyzanta. Chciał przełamać ich solidarność.

Nikogo mu nie dostarczono.

Floter wypełnił swoje obowiązki do końca. Teraz wisiało już siedmiu Rosjan.

Sierżant był zdania, że siedzenie pana podporucznika Arlta warte było co najmniej jednego rosyjskiego chłopca ekstra. Przyszło mu to jednak za późno do głowy. Trudno by to było teraz uzasadnić. A przecież przy tej okazji Rosjanie musieli się czegoś nauczyć.

Floter uświadomił sobie nagle ku własnemu zdziwieniu, że Rosjanie walczą o to, by wypędzić Niemców ze Związku Radzieckiego. I że właściwie nie można mieć im za złe, jeśli atakują niemieckie oddziały, gdzie się tylko da. A więc i w tym wypadku. Był zaskoczony, że dotychczas nigdy o tym nie pomyślał. Irytowało go nawet, że jego ludzie tak niechętnie zabierali się do egzekucji. Na niektórych wyraźnie zrobiły wrażenie lamenty stojących dokoła mieszkańców wioski. I wtedy on, Floter, sam osobiście fachowo wykonywał, co należało.

Spryskał się potem wodą kolońską, ponieważ wiedział, że Dörnberg to lubi, i udał się na wieczorną partyjkę skata.

Sommerfeld usadowił się przy stole przodem do pieca tak, że musiał patrzeć na rząd drzew za oknami.

Sierzant Floter cieszył się, że dzięki ostatniej bitwie uda mu się ominąć ten przeklęty Krzyż za Zasługi Wojenne I klasy, do którego mieli również prawo ci ważniacy na tyłach. Już co najmniej trzy razy przeczytał kopię wniosku o przyznaniu mu Żelaznego Krzyża I klasy. Czuł się teraz bohaterem i uważał, że wypada urządzić w związku z tą okazją skromną wstępną uroczystość.

Arlt z oczywistych względów odpadł na dłuższy czas z partii skata. Przyjęto więc na jego miejsce świeżo upieczonego podchorążego.

Po skończonej grze Dörnberg spał bez snów pod opieką swoich posterunków, wypuszczających co jakiś czas w górę rakiety sygnałacyjne; wisielcy za oknem nie zakłócali mu spokoju. Był dumny ze swej rasowej wyższości i konsekwentnej postawy przy wykonywaniu władzy.

Następna noc nie była już taka błoga. Winy za to nie ponosili jednak ani partyzanci, ani powieszoni chłopci, lecz list od Piotra Corneliusa. Inżynier Cornelius pisał z zimną krwią, że jego niemiarodajnym może zdaniem, znana im obu hamburska rozprawa

zostanie prawdopodobnie wznowiona, ponieważ Wieland Altdörfer, który oślepił wskutek wybuchu kotła, przyznał się do krzywoprzysięstwa.

Dörnberg rzucił karty na stół.

- Przynieś coś do chłania, Sommerfeld!

W pięć minut potem Sommerfeld, niby dobrze odżywiony szarobielski szczur, wśliznął się z powrotem do pokoju. W obydwu kieszeniach bluzy i spodni miał po jednej butelce jałowcówki. Cztery pełne kamionki były w sumie dość ciężkie.

Dörnberg nadał z punktu mordercze tempo, jednocześnie zaś szukał nerwowo wyjścia z mocno zagrożonej sytuacji.

Floter zastanawiał się: gdybym wiedział, co go tak gryzie, mógłbym mu jakoś ulżyć. W ciągu nocy postaram się z niego coś wyciągnąć. Na razie trzeba się pilnować z tym piciem. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby mnie kapitan zwałił pod stół!

Sommerfeld uśmiechnął się sam do siebie. On umiał lepiej liczyć. Kiedy miano wieszać pięciu Rosjan, poszedł przyjmować żywność. Kiedy przyszła kolej na dwóch ostatnich, pojechał do dowódcy batalionu. I mówił sobie z zadowoleniem: Ja w każdym razie nie brałem w tym udziału. Nie maczałem rąk w tej brudnej sprawie! Jeśli się coś zmieni...

Tego wieczoru Sommerfeld po raz pierwszy w życiu pił ponad swoją zwykłą miarę. Wkrótce po trzeciej musiał iść po posiłki, ponieważ Floter okazał się bez dna, a Dörnberg wciąż jeszcze pogrążony był w swoich dumaniach. Sytuacja zmieniła się dopiero wtedy, kiedy przypomnieli sobie Arlta i wypili rozweseleni zdrowie tej części jego ciała, która padła ofiarą odłamków granatu.

W parę minut później Dörnberg bez słowa wypchnął obu bełkoczących współbiesiadników za drzwi.

Floter machał za Sommerfeldern ręką, póki ten nie rozplynął się w mroku. Sierżant nie miał jeszcze zamiaru iść do łóżka. Co ja

raz postanowię, to musi być zrobione, myślał. Dotyczy to również mnie osobiście. Tak, mnie osobiście!

Jeśli stary wyobraża sobie, że Rosjanie zabrali ze sobą szeregowca Burkharda, to bardzo proszę, ale ja się nie dam nabrać, u Flotera taki numer nie przejdzie! Ja szefowi dowiodę, że Floter, ta offerma...

- Ach, co ja gadam - mruknął głośno, idąc już wąską ścieżką - chodzi o Burkharda oczywiście. No więc że Burkhard dopuścił się dezercji... I na pewno siedzi tu gdzieś niedaleko. Nie mógł przecież poprunąć.

Kiedy miał się z tego roześmiać na całe gardło, błoto prysnęło mu w twarz.

- O nie, Floter, tylko nie tak! - I usiłował trzymać się ścieżki, która była już ledwo widoczna. - No, patrzcie państwo - dziwił się - wcale nie najgorsza droga. Wciąż masz, bracie, twardy grunt pod nogami!

Pierwszy poranny brzask spowijał las na bagnach szarozieloną mgłą, rzucając jej długie pasma na wierzby, kępy wełnianki i sitowie. Sierżant już dwa razy padał na kolana i klnąc, podrywał się z powrotem.

Nagle dech mu zapało. Tam! O niecałe trzydzieści kroków od niego siedzi przecież ten przekłety Burkhard. O tam! Oparty o sosnę. Pewnie znowu kima, dupa wołowa!

Sierżant Floter odetchnął dwa razy głęboko i czuł, że się chwieje.

- Burkhard, synku kochany - wybełkotał - zaraz cię będę miał! Zzzarrraz!

Wydało mu się, że strzęp mgły usiłuje przesłonić mu zbiega. Nie było czasu do stracenia. Floter rzucił się przed siebie. Z całym impetem. Woda rozprysnęła się na wszystkie strony. Zielone wysępki darni stanowiły jedyne oparcie. Nagle stracił grunt pod nogami. Wstał natychmiast, pomyślał jeszcze przelotnie, czy nie

przydałby mu się pistolet... I wtedy zapadł się aż po biodra. Dokoła same krzaki i zwodnicze grzęzawisko. Zebrał się w sobie i ruszył naprzód niby czołg. Błoto sięgało mu już do brzucha. Ale Floter był silny. Chwytnąjąc się energicznie wszystkiego, co mu wpadło pod rękę, zdołał się znowu jakoś wydobyć.

Połowę drogi miał już za sobą. Spojrzał na swój mundur.

- Wyglądam jak dzika świnia. Każę Burkhardowi szczotką do zębów i mydłem doprowadzić to wszystko do porządku!

Sierżant marzył już o osiągnięciu tego ranka całkowitego zwycięstwa.

Mgła przesłoniła mu zbiega. Floter skoczył i wylądował na twardym gruncie. Skoczył znowu. Kiedy wyciągał z błota prawą nogę, but został w topieli.

- Teraz, bracie, nie pora na sentymenty!

Wtedy zanurzył się z głową. To go przeraziło. Pod nogami miał już tylko czarną breję, która za nic nie chciała człowieka wypuścić, choćby się nie wiem, jak wrywał.

Floter szalał z wściekłości.

- Ten idiota Burkhard! - wrzasnął.

Raz jeszcze poczuł pod stopami twarde oparcie.

- Póki mam ręce wolne, nic mi się nie może stać! Absolutnie nic!

Stwierdzenie to dodało mu sił.

Kiedy pisarz bateryjny z początkiem służby nie zastał sierżanta Flotera w łóżku, a od ordynansów Dörnberga i Sommerfelda usłyszał, że obaj dopiero przed pół godziną zakończyli swoją jałowcówkową kurację, kazał szukać sierżanta. Hasło „partyzanci” działało cuda. Cztery grupy, po dziesięciu żołnierzy każda, ruszyły z odbezpieczonymi karabinami w czterech kierunkach.

Posterunek przy drodze widział Flotera, jak spacerował, głośno rozprawiając. Dzięki temu grupa prowadzona przez podoficera

służby uzbrojenia trafiła na właściwy ślad. Dotarłszy do miejsca, gdzie zaczynały się bagna, usłyszeli w dali głos sierżanta:

- Ratujcie mnie! Na pomoc! Nie zostawiajcie mnie tu! Jestem niewinny! Ja tego nie chciałem!

Ostrożnie posuwali się naprzód po grząskim gruncie. Wołanie nagle ucichło. Żołnierze powoli szli dalej. I znowu usłyszeli zwierzęce wycie:

- Ratunku! Tonę! Bagno! Ratunku! Baaagno!

Miejsce, gdzie tego sierpniowego ranka moczary podstępnie wciągały ciało człowieka, stopniowo, ale nieubłagalnie w swej wytrwałej uporczywości, znajdowało się o pięćdziesiąt zaledwie metrów od grupy poszukujących.

Żołnierze, zdobywając się na najwyższą odwagę, szli wciąż dalej.

Jeszcze raz usłyszeli rozpaczliwy krzyk:

- Jestem niewinny!

- A siedmiu powieszonych? - odezwał się któryś. Potem rozległ się już tylko głuchy bulgot i coś jakby trzepotanie się w wodzie.

- W tym miejscu musiał zejść z drogi.

Wtem zmienacka gwizdnęły im koło uszu strzały. Żołnierze artylerii przeciwlotniczej rzucili się w panice do ucieczki.

Strzały ucichły równie nagle, jak się zaczęły.

Tym razem kapitan Dörnberg nie kazał nikogo powiesić w rewanżu za śmierć sierżanta, ponieważ wiedział z całą pewnością, że sam zapuścił się w bagno, kompletnie pijany. Partyzanci chcieli zapewne tylko przeszkodzić niemieckim artylerzystom w ratowaniu go.

W meldunku o stratach napisał, że sierżant Floter spełnił swój obowiązek w walce z partyzantami do ostatka i prawdopodobnie...

Dörnberg wyraził się w tym miejscu bardzo niejasno.

Sierżanta łatwo można zastąpić. Trzeba tylko tego nowego od początku należycie wychować.

Potem nie poświęcił już ani chwili pamięci Flotera, za to nieustannie rozmyślał nad czekającą go rozprawą. Jakież to było lekkomyślne z jego strony, że zrobił fotokopię ulotki razem z notatką ustalającą spotkanie. Od szeregu tygodni zamierzał napisać list do Klaudii. Ale czy teraz, w tej sytuacji, było to wskazane? Najpierw trzeba odwalić rewizję tego nieszczęsnego procesu - co się odwlecze, to nie uciecze!

Rozdział 18

Ordżonikidzegrad oddalony był od Brińska prawie o dziesięć kilometrów. Obydwa miasta łączyła w owym czasie żółtoszara chmura - jakby zamaszta ręka przeciągnęła w tym miejscu szeroką linię. Owa chmura, zasilana nieustannie przez tysiące stóp, kopyt, kół i gąsienic, opadała równie nieustannie w postaci gęstego kurzu na potok ludzi i pojazdów zmierzających do Ordżonikidzegradu, aby odciążyć stację kolejową w Brińsku.

Brińsk - ta nazwa miała nie byle jakie znaczenie zarówno w ustach funkcjonariusza Wehrmachtu, jak i w marzeniach zawszego żołnierza na posterunku podsłuchowym. I pięknie brzmiała. Tam przejawiała się troska, jaką ojczyzna otaczała front.

Aż tutaj docierały masywne, podwójne okna do bunkrów, zastępowane w okopach przez puste worki od piasku. Tutaj ciężkich belek z twardego drzewa, mających służyć do budowy schronów na froncie, używano do obramowania grządek kwiatowych.

Zasadnicze przeznaczenie danego obiektu można było zmienić, dokonując drobnych poprawek w towarzyszących przesyłce papierach. Bo panowie z intendentury dobrze wiedzieli, jak można dogodzić swoim przełożonym, nie naruszając przy tym przepisów - żeby wilk był syty i owca cała.

Tutaj ekwipunek każdego, od sierżanta do generała, składał się

z białego kozucha, pikowanego płaszcza, futrzanej czapki i watanianego ubioru maskującego, podczas gdy równocześnie, w trakcie tej samej trzeciej rosyjskiej zimy, o dwieście kilometrów dalej na wschód, żołnierze po prostu zamarzali.

Tu znajdowały się wielkie składy rezerw: składnica zaopatrzenia sanitarnego, park pojazdów mechanicznych, artykuły dla kantyn wojskowych, zapasy amunicji, których znaczna część w ogóle do oddziałów frontowych nie docierała.

Nie brakowało tu niczego spośród efektów niewyczerpanej pomysłowości specjalnej wojennej biurokracji.

Większość tych, którzy tutaj pobierali swój żołd, trzymała się kurczowo tego stałego punktu, ponieważ nie zdarzało się prawie, żeby tu ktoś został zabity, urlopów udzielano systematycznie, bez zakłóceń w kolejności i bez odwołań, i wszystko było ściśle uregulowane, nie wyłączając spraw sercowych. Dlatego też w pojęciach tutejszej załogi zapanował straszliwy chaos. Czy front ośmielił się cofnąć tak daleko, żeby rozrywkowe zespoły wojskowe, szpitale, kluby żołnierskie i wielkie stacje łączności z elegancką kobiecą obsługą zostały nagle zepchnięte gdzieś w nieznaną? Wobec tego cudownego porządku, zapewniającego każdemu przepisową bieliznę pościelową, białą albo w biało-niebieską kratkę - w zależności od stopnia służbowego - i jedno- lub dwuczęściową wojskową szafę - również zależnie od rangi - było to po prostu niemożliwe! Zakrawało wręcz na katastrofę!

A może jednak należało się w porę zatroszczyć o siedzące miejsce w pociągu i wynieść się stąd, z pieśnią na ustach, póki można to zrobić bez komplikacji i póki front nie wtargnął tu jak trąd, ze swymi śmierdzącymi potem kolumnami i zapachem prochu?

Dotychczasowy spokój znikł bez śladu. Również i w Ordżonikidzehradzie, od chwili kiedy niektóre, w części chociaż

ocalałe po kurskiej bitwie jednostki zostały tam załadowane na pociąg, aby nieść pomoc w okolice frontu wschodniego, gdzie ostatnio wybuchły jakieś niepokoje.

Nigdy jeszcze nie wysłuchiowano nadawanych w niemieckim języku wiadomości moskiewskich równie jawnie i regularnie w każdej kwaterze, jak od 5 sierpnia, kiedy Armia Czerwona zdobyła szturmem Biełgorod i kiedy padł Orzeł. Kiedyś na przestrzeni stu trzydziestu kilometrów od Orła w linii prostej było całkiem bezpiecznie. Teraz jednak życie w zasięgu armii stawało się z dnia na dzień bardziej emocjonujące.

Komunikat specjalny radzieckiego biura informacji głosił, że niemiecki Wehrmacht stracił w okresie od 5 lipca do 6 sierpnia w rejonie Biełgorod-Kursk-Orzeł 120 000 ludzi, 4605 czołgów, 2492 samoloty, 1623 działa i 11000 samochodów - nie licząc jeńców i łupów. Równocześnie zaś lapidarne niemieckie sprawozdanie z frontu, nadesłane 5 sierpnia 1943 roku brzmiało:

„Na przestrzeni łuku orłowskiego, w ramach skracania linii frontu, przeprowadzono w nocy z 4 na 5 sierpnia planowaną od dłuższego czasu ewakuację wojsk z miasta Orła, bez przeszkody ze strony nieprzyjaciela. Wszystkie zapasy zostały wywiezione, ważne z punktu widzenia strategicznego urządzenia - całkowicie zniszczone”.

Również oficjalny komentator z ramienia Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych, generał dywizji Dittmar, oznajmił swym aksamitnym głosem, że armia niemiecka dzięki umiejętnemu prowadzeniu walk zdołała tu osiągnąć poważne sukcesy obronne, przy znacznych stratach po stronie wroga.

Tego typu „sukcesy” zdawały się stale mnożyć. W rzeczywistości Rosjanie znajdowali się 8 sierpnia o dwadzieścia osiem kilometrów na zachód od Orła, pod Naryszkinow, dwa dni później

w Chotyńcu, o dwadzieścia sześć kilometrów na wschód od Karczewa. To znaczy o przeszło pięćdziesiąt kilometrów od Orła.

O Karczew, wielką pozycję ryglową przed Briańskiem i Desną, toczyły się przez trzy dni zażarte boje. Wczoraj, 15 sierpnia 1943 roku, miasto przeszło w ręce rosyjskich oddziałów szturmowych!

Plotki przenikały wszędzie jak kurz. Najdziwniejsze pogłoski kształtowały nastrój przybywających tu i odjeżdżających pociągami oddziałów.

Transporty kierowano w najrozmaitsze strony, ale nigdy do ojczyzny. Rzadko do wymarzonej Francji czy Bułgarii, a przeważnie tam, gdzie wojna była coraz starsza i coraz bardziej zakorzeniona i gdzie odstęp między strzelaniami stawały się coraz krótsze.

Podobne myśli nurtowały, na przykład, również starszego szeregowca Schnellingera, kiedy odstawiał ciężki samochód KFZ 15 do punktu kierowania transportem, gdzie miał małe starcie z pewnym oryginalnym sierżantem. Ten bezczelny baran etapowy domagał się do niego salutowania! Ściśle według wojskowego regulaminu. Kiedy starszy szeregowiec zamierzył się, żeby mu dać po głbie, sierżant rzucił się do swej budy, rycząc coś o meldunku i aresztowaniu.

Schnellinger uśmiechał się, spoglądając spokojnie na obydwa rosyjskie pistolety maszynowe, które traktował jako stałe wyposażenie wozu dowódcy pułku. Wprawdzie pułkownik Krusemark nigdy nawet w rękę nie miał podobnej broni, ale sam jej widok napawał go poczuciem bezpieczeństwa. Denerwował się natomiast, kiedy porucznik Altdörfer przy niej manipulował.

Schnellinger zastanawiał się, jakie zapadną za tymi murami decyzje w sprawie dalszych losów pułku artylerii. Prawdopodobnie

ciężko w ciągu ostatniego miesiąca poszkodowaną dywizję piechoty wyprawia zaraz znowu w bój, zamiast podreperować ją porządnie i podkarcić w Holandii czy na Węgrzech.

Adiutant przeglądał niedawno broszurę przeznaczoną dla żołnierzy frontowych i zostawił mu ją w wozie. Czego tam nie wypisywano! O bohaterskim Führerze, który umiał znaleźć wyjście z każdej sytuacji, któremu matki składały w ofierze swych synów, na ołtarzu ojczyzny, i tak dalej. „Armia oddycha jego oddechem, przelewa jego krew”. Każdy żołnierz gotów jest zawsze życie poświęcić dla Wielkich Niemiec. Ci, którzy to już uczynili, stanowią załóżek Nowej Rzeszy na rosyjskiej ziemi...

Na zakończenie któryś z tych ważniaków od propagandy wypocił coś takiego: „Naród niemiecki stał się obecnie wcieleniem nowej świadomości historycznej, której zawdzięczamy siły, do walki o nasz byt narodowy. Owe siły, będące przejawami życia i wiary ściśle związanych z glebą ludzi, mają charakter rdzennie narodowy. Obejmują wszystkie dziedziny naszego życia narodowego i stanowią świadectwo niemieckości i niemieckich przekonań...”

Schnellinger przekręcił kluczyk w stacyjce, zapalił silnik, wyskoczył z wozu i pchnął oba skrzydła bramy z blachy stalowej.

Po chwili pułkownik Krusemark wyszedł z budynku sztabu, z ożywieniem przekonując o czymś swego adiutanta. Obaj wsiedli do samochodu. Kierowca zatrzasnął drzwiczki, ściągnął szary maskujący futerał z prostokątnego czarno-czerwono-czarnego proporczyka dowódcy pułku, obiegnął samochód dokoła i usiadł za kierownicą. Pułkownik krzyknął dyszkantem tylko jedno słowo: - Dworzec! - po czym zwrócił się znów do Altdörfera: - Najlepiej będzie, jeśli wyślemy Helgerta. Zanim zgromadzimy w Jelni wszystko, co trzeba, on już wróci. Poza tym, szczerze mówiąc,

wolę, żeby to zawodowy oficer reprezentował nasze sprawy w wydziale personalnym armii. Pułkownik Schneidewind, w którego kompetencjach leżą etaty oficerskie, ma do zawodowców szczególną słabość. Znam go, mój drogi, dobrze go znam. Pracowaliśmy razem spory kawał czasu.

Altdörfer wiedział, że 6 bateria była jedyną mającą jeszcze do dyspozycji dwóch oficerów, w osobach Helgerta i Gengenbacha. Wszystkie inne już od tygodni były pozbawione takiego luksusu. Dlatego też adiutant pułkownika zaaprobował czym prędzej decyzję swego dowódcy, kiwając głową potakująco.

- W ten sposób Schneidewind będzie sobie mógł obejrzeć naszego Parsifala, z którego sprawa honorowa zrobiła bohatera.

Altdörfer zareagował jak zwykle błyskawicznie. - A więc pan pułkownik zamierza jeszcze przedtem powiadomić Helgerta o decyzji feldmarszałka von Keitla?

Krusemark pomyślał chwilę.

- Oczywiście. Przynajmniej będziemy mieli wreszcie z głowy ten cały kram powiedział i zaczął się zastanawiać, w jakiej formie powinien przekazać dowódcy baterii treść tajnego pisma.

Podczas gdy baterie maszerowały jeszcze drogą w kierunku Briąńska, zmuszone znosić jedno bombardowanie po drugim, Altdörfer oglądał absolutnie niewystarczające urządzenie załadunkowe w Ordżonikidzegradzie, przy którego budowie nikt zapewne nie przewidywał tak masowego najazdu Niemców. Następnie adiutant wyliczył, ile wagonów potrzeba było oraz kiedy i jakiego typu pociągi miały się tu stawić.

Przez ten czas pułkownik polerował swój Krzyż Rycerski szmatką do czyszczenia srebra i myślał, że mimo niewątpliwych osiągnięć pułku podczas wycofywania się ze strefy łuku

orłowskiego, podkreślonych znacznymi stratami w broni i sprzęcie, nie będzie mu łatwo otrzymać liści dębowych, póki nie zostanie nimi udekorowany w Głównej Kwaterze Führera dowódca dywizji. Wierzył jednak w swoją szczęśliwą gwiazdę i w nowe szanse, jakie obiecywały przyszłe walki na obszarze klina w rejonie Jelni.

Krusemark pogrążył się w studiowaniu wielkiej mapy sztabowej. A więc najpierw pociągiem, na linii Briańsk -Smoleńsk, sto pięćdziesiąt kilometrów do Rosławka, potem jeszcze sto kilometrów dalej na północ aż do tej ponurej Jelni. Jak wygląda planowany transport drogą kolejową. Od dwóch dni już wiadomo, że Rosjanie uderzyli na odcinek Spas-Demeńsk, na wschód od Jelni, i przerwali tam linię frontu. Wybrali właśnie to miejsce, gdzie wojsko Wehrmachtu znajdowało się najbliżej Moskwy.

Przez cały rok Niemcy oddaleni byli o śmieszne sto osiemdziesiąt kilometrów od Kremla. Teraz jednak będą się od niego z dnia na dzień coraz bardziej oddalali. To była prawdopodobnie jedna z istotnych przyczyn ostatniej radzieckiej operacji, myślał pułkownik. Drugą mogło być dążenie rosyjskich strategów do zapobieżenia za wszelką cenę niemieckiemu zagrożeniu skrzydła od północy, w odpowiedzi na ich atak na Briańsk.

Wszystko to było dla pułkownika o wiele bardziej zrozumiałe niż fakt, że jego pułk, który z racji poważnych strat w ludziach, poniesionych w bitwie pod Orłem, został wycofany z przedniej linii obrony, miał być bezpośrednio potem z powrotem, wciągnięty do akcji. Rosjanie nie zadowolili się bowiem zdobyciem paru miast pierwszym szturmem, lecz co dzień starali się odzyskać dalszych kilkanaście kilometrów terenu.

Pułkownik Krusemark zapalił świeże cygaro Wilhelm II i wydmuchując potężne kłęby dymu, doszedł do wniosku, że Jelnia

z punktu widzenia strategicznego stanowi południowo-wschodni bastion Smoleńska. Nie mógł pozbyć się wrażenia - a nowy rozkaz operacyjny potwierdził jego obawy - że radziecka ofensywa letnia jeszcze się nie skończyła.

Armia Czerwona zbliżyła się tej nocy do Briańska od północnego wschodu i od wschodu na odległość trzydziestu pięciu kilometrów.

Starszy szeregowiec Schnellinger dogonił Fritza Helgerta gdzieś daleko od Briańska i natychmiast zawiódł go do dowódcy pułku. Porucznik wszystkiego by się prędzej spodziewał niż rozkazu udania się czym prędzej do Berlina, aby przedłożyć pułkownikowi Schneidewindowi z wydziału personalnego armii pewne życzenia jego starszego towarzysza broni Krusemarka. Schował list z nazwiskami oficerów, których Krusemark znał od dawna i uważał za godnych zajęcia zwolnionych w jego pułku etatów, do wystrzępionej koperty i nie był pewny, czy wypada podziękować pułkownikowi za ten dowód zaufania.

Wtedy Krusemark wstał i odezwał się tonem trochę bardziej oficjalnym:

- Chciałbym panu zakomunikować coś jeszcze, co sprawi panu zapewne pewną satysfakcję.

Sięgnął po jakiś papier i wyprostował się. Dowódca baterii stanął na baczność.

- Dotyczy sprawy takiej a takiej, numer akt... To pana nie interesuje. Ale dalej - jego głos stał się wyższy - stwierdza się, że honor porucznika Fritza Helgerta pozostał nienaruszony! - Krusemark spojrział na Helgerta, którego twarz nagle znieruchomiła. Potem czytał dalej, coraz szybciej, jakby chodziło o sprawy bez znaczenia: - Jednakże dowódca pułku powinien go zobowiązać do pouczenia małżonki, aby na przyszłość zachowywała się zgodnie z

zasadami honoru, których żona niemieckiego oficera szczególnie powinna przestrzegać. Podpisano feldmarszałek Keitel. Winszuję panu pozytywnego zakończenia tej sprawy i sądzę, że są to ostatnie słowa, jakie padają na ten temat.

- Tak jest, panie pułkowniku! - odparł Helgert machinalnie.
- Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Porucznik miał jedno pytanie, które nie było pozbawione wagi:

- Pański adiutant wyraził po bitwie pod Bierzowcem pogląd, że działa szóstej baterii można było uratować i pan, panie pułkowniku, chciał ze mną o tym przy okazji porozmawiać.

Krusemark musiał się porządnie skupić, żeby przypomnieć sobie tamtą sytuację.

- Drogi poruczniku, pańskie zrozumiałe podniecenie w owej chwili splatało panu figła. Nikt nie zamierzał krytykować pana postępowania. Pan Altdörfer życzył panu tylko przy okazji przejścia dział czwartej baterii, żeby miał pan z nimi więcej szczęścia.

W jego żółtych oczach błysnęła drwina.

- Tak jest, panie pułkowniku!
- A więc, do zobaczenia w Jelni!

W umyśle Helgerta panował straszliwy chaos. Jak ogłuszony usiadł obok Schnellingera w samochodzie, który ruszył w kierunku Briańska, przeciskając się powoli przez tłumy wojska.

Tej samej nocy Helgert wyjechał pociągiem linii Homel-Mińsk. Chociaż wyczerpanie ostatnich tygodni opanowało go tak dalece, że z trudem trzymał się prosto, uświadomił sobie pewne sprawy z niezwykłą jasnością. Podczas gdy koła wiozącego go pociągu toczyły się z miarowym stukotem, porucznik zdał sobie sprawę z tego, że jego wiara w sprawiedliwość była zwykłym samookłamywaniem, które skłaniało go w ciągu ostatnich

tygodni do niemal samobójczego rzucania się w wir walki.

Jedyną okolicznością pocieszającą było przyznanie się do tego przed samym sobą.

Kiedy porucznik Alojzy Altdörfer otwierał ów list, doznawał niemiłego uczucia. Jako nadawca figurował jakiś hamburski szpital. Zapoznawszy się z treścią listu, Altdörfer omal nie zemdlął: Wieland oślepl!

Pośpiesznie przeczytał zakończenie pisma: „Pański brat pragnie Pana zawiadomić, że postanowił zrewidować pewną znaną Panu sprawę, ponieważ czuje się do tego zobowiązany wobec Boga i własnego sumienia. O wyniku wznowionej rozprawy poinformuje pana we właściwym czasie. Z głębokim poważaniem - dr Felgentrager, lekarz naczelny”.

Ta wiadomość wywarła na adiutancie pułku jeszcze większe wrażenie. Zrozumiał natychmiast, że Wieland w interesie kogoś trzeciego złożył w procesie Helgerta fałszywe zeznanie i że teraz, dręczony przez skrupuły, zamierzał bez względu na skutki oczyścić się z winy.

- Dzień dobry, panie pułkowniku!

- No co, dobrze się spało?

Krusemark rzucił niedbale na stół szpicrutę ze srebrną gałką.

- Dziękuję panu pułkownikowi za łaskawe zainteresowanie!

Krusemark był w dobrym humorze, ponieważ sztab pułku został dziś właśnie załadowany.

Adiutant odpowiadał wciąż lakonicznie. Myślał o spowodowanej przez Wielanda rewizji procesu. Wszelkie wynikające z tego korzyści spadną w każdym razie na Helgerta. Ten fakt był dla Altdörfera wręcz nie do zniesienia. W istniejącym stanie rzeczy nie mógł jednak zapobiec tej hamburskiej rehabilitacji. Wobec tego należało przynajmniej w jakiś sposób podkopać pozycję

Helgerta w pułku, a tym samym i w dywizji. Altdörfer postanowił więc puścić w ruch swoje poufne notatki.

- Czuję się zobowiązany zwrócić uwagę pana pułkownika na pewne obserwacje, jakie ostatnio poczyniłem - rzekł, zwracając się do Krusemarka. - Na podstawie posiadanych przez nas meldunków wynika niezbicie, że podoficer sanitarny Heizer z szóstej baterii przeszedł na stronę wroga!

Tu adiutant przerwał, czekając na efekt swojej relacji.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że Helgert dopuścił się w związku z tym zaniedbania obowiązków kontroli służbowej?

- Ależ bynajmniej, panie pułkowniku!

- No, widzi pan. Przy tym zamieszaniu byłyby to zbyt wygórowane wymagania, prawda?

- Oczywiście. Ale Heizer był aż do czasu przyłączenia Marchii Wschodniej formalnym członkiem Socjaldemokratycznej Partii Austrii.

Pułkownik gwizdnął przez zęby.

- To istotnie zmienia postać rzeczy. Nie zanedtao, ale jednak.

- Ja też uważam, że to jeszcze o niczym nie świadczy, panie pułkowniku! - Po tym wstępie Altdörfer postanowił wypuścić najważniejszą strzałę: - Pan pułkownik przypomina sobie zapewne, że na początku czerwca otrzymaliśmy paru nowych ludzi.

- Chodzi panu o tych ośmiu czy dziesięciu marnych rekrutów?

- Właśnie o nich, panie pułkowniku. Między innymi przydzieliliśmy wtedy kanoniera Rudolfa Bendera do piątej baterii. Z rozmowy z podporucznikiem Gengenbachem na temat wewnętrznej zwartości oddziału dowiedziałem się, że podczas bitwy bierezowieckiej kanonier Bender miał, jego zdaniem, wyraźną ochotę

oczekiwać bolszewików na stanowisku ogniowym!

- A skąd się wziął na stanowisku Gengenbacha żołnierz z piętej baterii?

- Bender na wyraźne życzenie porucznika Helgerta został przeniesiony do jego baterii, to znaczy do szóstej!

- O, do diabła! - Pułkownik czuł, że o mały włos nie zlekceważył tej historii. - A więc byłyby to już na dobrą sprawę dwa wypadki w tej samej jednostce.

Spicrutą strzepnął pyłek ze swych juchtowych wysokich butów.

- Panie pułkowniku, ten Rudolf Bender był dawniej czynnym członkiem Partii Komunistycznej!

- Do pioruna! - Krusemark nie miał odwagi mówić dalej. - Przecież to są niedwuznaczne symptomy świadomego podkopywania morale w łonie armii! Czyż ten kretyn Helgert nie widzi, że jego pole krety ryją?

Pułkownik, wzburzony, zaczął chodzić po izbie tam i z powrotem.

Altdörfer doszedł do wniosku, że nie zawadzi wsunąć tu jeszcze pewną uzupełniającą uwagę, która dałaby asumpt do dalszych przemyśleń.

- Czy mogę wyrazić pewne dość interesujące przypuszczenie, jakie mi przyszło do głowy, panie pułkowniku?

Ten zatrzymał się przed swoim adiutantem, gotów go wysłuchać.

- A jeśli Bender wcale nie przypadkiem przeszedł do Helgerta? Jeśli coś już wiedział i do czegoś konkretnego dążył, jeśli miał jakieś określone zadanie do spełnienia?

Pułkownik przeraził się.

- Poruczniku Altdörfer! Jest pan politycznie wyrobionym, czujnym oficerem! - Altdörfer stuknął skromnie obcasami. - Niech

pan kontynuuje swoje obserwacje, nikomu o tym nie mówiac. Juz
ja w odpowiednim momencie wkroczę i wyciągnę konsekwencje.
Może pan na mnie polegać!

Rozdział 19

W Mińsku porucznik Helgert przesiadł się do pociągu wiozącego żołnierzy na urlop z frontu, na zachód, jeszcze parę godzin jazdy i znajdzie się w Berlinie. Pierwsze miedziane promienie słońca pojawiły się na horyzoncie. Nocne cienie zaczęły powoli znikać, sierp księżycy stawał się coraz bledszy. W przedziale dla oficerów śmierdziało potem, proszkiem dezynfekcyjnym i złymi czeskimi papierosami vlasta. Czas dłużył się niemiłosiernie.

Helgerta drażnił najbardziej nie zaduch, ale ścisk, konieczność siedzenia obok siebie po sześciu; to wzajemne wypytywanie się z niezdrową ciekawością; ten bezmiar bohaterskich czynów i perswazyjnych sposobów mordowania, nieodłącznych przejawów morale Wehrmachtu. Helgert wyszedł na korytarz, zasunął za sobą skrzypiące drzwi i zapalił papierosa, chociaż język szczypał go już od nikotyny.

Coraz gęściej pojawiające się po obu stronach torów wsie i miasteczka zapowiadały zbliżanie się do stolicy Rzeszy.

Słońce przekroczyło już swój najwyższy punkt na niebie, kiedy gwarny tłum wysiadających otoczył porucznika. Pozwalał się biernie nieść tej niespokojnej fali, zdążającej ku wyjściom. Ogarnął go dziwny stan chwiejności. Dawniej jego przyjazdy tutaj miały zupełnie inny charakter. Złożone z wielu rozmaitych czynników uszczęśliwiające uczucie „powrotu do domu” opanowywało

wtedy wszystkie myśli. Tłum otaczających go ludzi, którzy odbywali wraz z nim tę samą drogę i na krótki czas wyrwali się spośród tych samych potworności, aby zastać na miejscu inne nieszczęścia, traktował zawsze tylko jako swoje własne tło. Ich losy nic go dotychczas nie obchodziły.

Porucznik Helgert opuścił dworzec. Klakson samochodu wyrwał go nagle z zamyślenia. Przed nim wyrosła nieoczekiwanie ogromna chłodnica. Zgrzytnęły hamulce. Przez ułamek sekundy mignęło mu przed oczyma gniewne spojrzenie. Jednym susem uskoczył w bok, ruszył szybko dalej i po chwili zapomniał już o tym incydencie.

Wziął się mocno w garść. Przede wszystkim należało wypełnić służbowe polecenie.

Bendlerstrasse.

Miała się ona stać pojęciem znaczącym więcej niż Kreml czy Pentagon; żądał tego Führer.

Tutaj miano ustalić nową hierarchię państw w skali światowej, z Rzeszą Niemiecką i Adolfem Hitlerem na czele.

Tutaj znajdował się punkt rejestracyjny dla sześćdziesięciu przeszło państw i osiemdziesięciu procent całej ludności ziemi, która zamieszana była w tę wojnę.

Tutaj bojowe prusactwo ze swastyką i szubienicą stało się potwornym symbolem zniszczenia.

Tutaj rezydował Wehrmacht, trzeci, obok NSDAP i rządu Rzeszy, równorzędny filar, chociaż w walce o władzę szala przechylała się coraz bardziej na stronę Heinricha Himmlera.

Tutaj trzymano rękę na taktycznym pulsie najkrwawszej bitwy narodów, jaką kontynenty dotychczas przeżyły.

Tutaj rządził wbrew wszelkim zasadom strategii wojennej talent Führera i naczelnego wodza Wehrmachtu.

Tutaj sporządzano komunikaty Wehrmachtu, które miały podnosić na duchu rodaków, jeśli nie słuchali oni „wrogich stacji”.

Tutaj fachowcy preparowali liczby strat, aby brunatna opinia publiczna nie została zachwiana w swej wierze w ostateczne zwycięstwo.

Tutaj oficerowie sztabu generalnego ustawiali codziennie po wyjściu sprzętaczek mnóstwo kolorowych chorągiewek i szpileczek oznaczających armie, korpusy i dywizje z kierunkiem na Bendlerstrasse.

Tutaj wreszcie zdecydowano o losach każdego Niemca.

Kiedy zdwojone posterunki u wejścia hałaśliwie prezentowały broń, Helgert obejrzał się, myśląc, że dotyczy to kogoś innego. Jego spojrzenie przesunęło się po długich, szarych fasadach. Potem wkroczył w półmrok niezliczonych korytarzy.

Reszta przedpołudnia minęła już w iskrzącym się barwami kalejdoskopie: zdobne w orderzy, jedwabiem podszyte wytworne mundury, śnieżnobiałe kołnierzyki, misterne szpady z lwią głową o czerwonych szklanych oczach zamiast rękojeści, buty z lakierowanej skóry i ostrogi jak do tańca; niesłychanie rozbudowany system adiutantów; gładkie twarze, sfumiony patos wysokich sztabowców, na każdym kroku delikatne podkreślanie świadomego dystansu.

Kierownictwo wojny było całkowicie nastawione na wielkie zwycięstwa.

Ukradkowe spojrzenia padały to na wielką łąkę na prawym bucie Helgerta, to na nieprawidłowo przyszyty trójkąt na spodniach, to na krawat z przydziału. Spinek u mankietów porucznik również nie posiadał, ponieważ do noszonych przez żołnierzy trykotowych bawełnianych koszul nie były one w ogóle potrzebne.

Helgert przebył niejedną barierę, zanim stanął przed kapitanem, który niby solidny rygiel bronił wstępu do najwyższego przybytku pułkownika Schneidewinda. Ten ostatni znajdował się właśnie w kasynie. Wymknął się tam jak zwykle bocznymi

drzwiami, które uniezależniały go od kontroli przedpokoju.

Kapitan radził Helgertowi przyjść następnego dnia, ponieważ sam miał ochotę coś zjeść. A poza tym wszystko należy załatwiać drogą służbową. Za parę dni sprawa dotrze prawdopodobnie do pana pułkownika.

Helgert mimo to postanowił zaczekać.

Adiutant nie zamierzał jednak dopuścić tego nieokrzesanego wojownika przed oblicze swego szefa, nie znając powodu jego wizyty.

Helgert złożył „Volkischer Beobachter”. Kapitan śmieszył go.

- Za kilka dni będę w Jelni. Czy pan przypadkiem wie, gdzie to leży? - zapytał niby naiwnie.

Kapitan musiał się rzeczywiście chwilę zastanowić, zanim uświadomił sobie mniej więcej, gdzie taka miejscowość może się znajdować. Nie przywiązywał jednak do tego zbyt wielkiej wagi i powołał się na obowiązujące tu przepisy, na których opiera się każde przyzwoite dowództwo armii.

Wtem w pokoju obok trzasnęły drzwi. Pan pułkownik Schneidewind posiliwszy się, wrócił do swego biura.

Helgert podniósł się i przesunął nieco kaburę pistoletu, żeby go pas nie uwierał. Na tym skończył swój wojskowy makijaż. Po czym ruszył w stronę drzwi znajdujących się za plecami kapitana. Ten wstał również i przybrał postawę, jakiej nie powstydziliby się sam Leonidas. Porucznik odsunął go na bok, nie oddając nawet należytego szacunku dwóm złotym gwiazdkom. Następnie zapukał głośno w drzwi i wszedł, na nic nie zważając.

Pierwszym szczegółem, jaki go uderzył w osobie pułkownika personalnego, były wysoko w górę uniesione brwi wyrażające zdziwienie i naganę zarazem.

Helgert przekazał mu pozdrowienia i kartkę od pana pułkownika Krusemarka, po czym przedstawił się krótko, po wojskowemu.

Wielu konkretnych obietnic nie mógł zawieźć pułkownikowi Krusemarkowi po godzinnej rozmowie, w czasie której kapitan Cerber przytasczył na polecenie Schneidewinda wszystkie potrzebne akta personalne. Przy wielu wymienionych przez Krusemarka nazwiskach stawiał po odpowiednich wyjaśnieniach krzyżyki. Kilka jednak nazwisk pozostało i wchodziło w rachubę jako ewentualny zasilek dla frontu.

Najpierw jednak straty pułku należało zastąpić uczestnikami pierwszej wojny światowej i podchorążymi.

- To oczywiście jedynie do prywatnej wiadomości mego przyjaciela Krusemarka. Reszta zostanie załatwiona drogą służbową przez dywizję II a.

- Tak jest, panie pułkowniku!

- Niech pan ode mnie pozdrowi starego dzielnego Krusemarka. I niech mu pan powie, że pewien wysoki dowódca artylerii bardzo się nim ostatnio interesował!

Helgert był wolny. Nie zwracając uwagi na kapitana, zdjął z wieszaka czapkę i wyszedł.

Czy warto tak się męczyć dla tego gigantycznego aparatu władzy, którego rozległe korytarze dzisiaj przewędrował? W szkole wojskowej musieli się na pamięć uczyć całej tej struktury. Helgert usiłował ją sobie przypomnieć.

Nad całością spraw wojskowych stoi Naczelne Dowództwo Wehrmachtu. Z Adolfem Hitlerem u szczytu, Naczelnym Wodzem Wehrmachtu. Podlegają im trzy gałęzie Wehrmachtu: Naczelne Dowództwo Armii, Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej, ze swymi aktualnymi naczelnymi dowódcami. Technicznym kierownikiem całego przedsięwzięcia, w randze ministra - szefem

Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu - jest mój przyjaciel Keitel. Najważniejszym wydziałem, od którego zależy każdy strzał, jest Sztab Operacyjny Wehrmachtu kierowany przez Alfreda Jodla i jego zastępcę generała Warlimonta, szefa Wydziału Obrony Kraju. Potem następuje długi szereg niezliczonych innych wydziałów, na przykład Ogólny Urząd Wehrmachtu z powszechnie znanym panem Reinickem na czele, któremu podlegają wszystkie sprawy dotyczące jeńców wojennych czy Wydział Prawny Wehrmachtu. To jest zresztą zaledwie drobna cząstka całości. A ile przybyło dzięki wojnie!

Kiedy Helgert znalazł się w ciasnej budce telefonicznej, fabryki i biura otworzyły widocznie swoje podwoje, bo na ulice zaczęły się wylewać potoki ludzi. Usłyszał trzask w słuchawce, po czym odezwał się jej głos.

- Ilzo! - powiedział ochryple, przypominając sobie wszystko, o czym należało porozmawiać.

Była niesłychanie zaskoczona. - Skąd dzwonicz? - Jesteś tutaj?

- Z Linkstrasse, za Potsdamer Platz!

- W takim razie za pół godziny mógłbyś tu być? - Chciała zyskać jeszcze trochę czasu.

- Mam różne sprawy do załatwienia. To musi potrwać. Co najmniej godzinę.

- Na jak długo przyjechałeś? Masz urlop?

- Ależ skąd. Później ci opowiem!

- Przyjdź prędko, Fritz, dobrze? - poprosiła, zabrzmiało to całkiem naturalnie.

- Tak, tak, oczywiście!

Helgert odłożył słuchawkę i poczuł strach przed czymś nieznanym, decydującym. Ale może to tylko jego nerwy nie były zupełnie w porządku.

Włóczył się bez celu po labiryncie ulic śródmieścia. Wreszcie znalazł się przed dużym blokiem, gdzie był jego dom.

Jednym długim spojrzeniem objął Ilzę, w której oczach malowała się radość.

Eberhard Baum i Orzeł jego obecne służbowe zadanie i przesunięcie jednostki między Smoleńsk i Kaługę; czekająca go przykra wizyta u rodziców Bauma; ostatnie naloty na Berlin i praca Ilzy w szpitalu; o tym wszystkim rozmawiali do późnej nocy.

Nadeszła pora, żeby przejść do spraw istotnych.

- Otrzymałem twój list, Ilzo!

Ilza od dawna na to czekała.

- Jaki jest twój stosunek do mojej propozycji?

- Uważam, że jest absolutnie nieuzasadniona.

Ilza odpowiedziała spokojnie:

- Mówiłeś dzisiejszego wieczoru o tylu rozmaitych rzeczach, ale ani słowa nie wspomniałeś o rozprawie honorowej, jaką ci wytoczono. To znaczy, że twoje zaufanie do mnie zostało jednak trochę zachwiane. Nie ma sensu, żebyśmy sobie stwarzali oboje jakieś złudzenia. Szybkie cięcie będzie najmniej bolesne.

Była bardzo błada.

Helgert odpowiedział z wahaniem:

- Sprawa honorowa została zakończona. Nie mówiłem ci o niej nie z braku zaufania. Nie chciałem cię po prostu niepokoić. Między nami nic się przecież nie zmieniło. Cieszę się, że dzięki wojnie wszystko się tak prędko zbliżyło. Dla mnie ta historia jest już całkowicie zakończona!

Zdawał sobie sprawę, że jego słowa brzmią nieszczerze, Ilza też to czuła. Chciała, żeby wszystko między nimi było jasne.

- W takim razie mój list okazał się bezprzedmiotowy. - I nie ma sensu mówić o rozwodzie i innych podobnych głupstwach.

Ponieważ Ilza musiała następnego dnia wstać o czwartej, wkrótce poszli spać.

Helgert przewracał się niespokojnie z boku na bok. Dlaczego nie mogę pozbyć się świadomości, że ona popełniła wobec mnie coś niewybaczalnego? To oskarżenie jest niesłuszne, ale odczucia są niezależne od woli. Czy ja Ilzę naprawdę kocham?

Ilza oddychała prawie niedostłyszalnie. Miała taką ochotę wyciągnąć rękę i pogłaskać go, ale nie śmiała. Nie pocałował mnie, kiedy przyszedł ani kiedy kładliśmy się spać. Ale ja go będę zawsze kochała, nawet jeśli stanę mu się całkiem obojętna.

Następnego dnia Helgert udał się do rodziców Bauma.

Na stacji przy Friedrichstrasse wysiadł z kolei podziemnej, aby piechotą dojść do Spittelmarkt. Czekał na spotkanie przygnębiało go jeszcze bardziej od chwili, kiedy rozmawiał przez telefon z ojcem Eberharda; ten zmęczony głosem zmienionym z bólu po stracie jedyne syna i... postarzały,

Fritz Helgert szedł, ociągając się, w stronę domu rodziców Eberharda Bauma. Po drodze patrzył z przerażeniem na ślady zniszczeń, jakie pozostawiły na każdym kroku rozliczne bombardowania. Do lejów po bombach, ruin i porastających trawą gruzów Berlina - strategiczne centrum osi Berlin-Rzym-Tokio - musiał się już przyzwyczaić, podobnie jak i do faktu, że tysiące ludzi zginęło w jego murach i to w sposób jeszcze bardziej żałosny niż żołnierze na frontach.

Czy mieszkańcy tego miasta wyobrażają sobie czasem choćby we śnie, że ich Berlin, podobnie jak tyle wielkich miast Związku Radzieckiego - Charków, Orzeł i inne - też załamię się kiedyś, że jego mosty wylecą w powietrze, fabryki zostaną unieruchomione, że sieć elektryczna, gazowa i wodociągowa będzie przerywana i że

całą jego przestrzeń pokryją cuchnące trupy zwierząt i zwłoki zabitych? Z twarzy przechodniów trudno wyczytać, czy się często nad tym zastanawiają.

Nie tylko zapadający wieczór, ale jeszcze bardziej fakt, że mimo zwlekania i ociągania się dom rodziców poległego przyjaciela wciąż się przybliżał, pograżył ulice i przyszłość w ponurym półmroku, podczas gdy przeszłość i wspólnie z Eberhardem spędzone chwile przybierały we wspomnieniach jasne, pogodne barwy.

Czy nasza przyjaźń zerwała się wtedy w dębowym lasku pod Leskami, kiedy Eberhard opowiedział mi o uprawianej przed wojną nielegalnej działalności przeciwko narodowym socjalistom, o której ja, jego najbliższy przyjaciel, nic nie wiedziałem? Już w parę dni później zupełnie inaczej to oceniłem. Eberhard był moim przyjacielem do ostatniej chwili.

Oto już dom, w którym mieszkają jego rodzice.

Helgert zadzwonił do drzwi. Ktoś podszedł spiesznym krokiem. Przez ułamek sekundy ojciec Bauma stał nieruchomo w progu. Wydał się porucznikowi starszy o wiele, wiele lat; gęsta sieć zmarszczek pokrywała twarz; wargi się zwężyły, oczy przybrały twardy wyraz.

Usiedli w milczeniu i obaj zastanawiali się, jak zacząć rozmowę. Nagle Baum zapytał gwałtownie:

- Czy wiadomo z całą pewnością, że mój syn został zabity na miejscu?

Helgert udzielił mu odpowiedzi, która miała rozwiać wszelkie wątpliwości, chociaż to, co mówił, nie zgadzało się ze znaną mu prawdą.

Powoli bladły nabrzmiałe błękitne żyłki na zaciśniętych dłoniach Bauma.

- Dziękuję panu. Straszna byłaby dla mnie świadomość, że mój syn umierał może samotnie, pozbawiony pomocy...

Wtedy weszła do pokoju matka. Kiedy Helgert wstał, oparła głowę na jego ramieniu i rozplakała się. Łagodnie gładził jej rękę.

Rozmowa potoczyła się dalej. Przesuwały się w niej lata dziecinne Eberharda, jego młodość. Nagle wydało się wszystkim, że on sam znajduje się wśród nich, roześmiany.

- Eberhard był szlachetnym człowiekiem. Żołnierzem, który wierzył, że spełnia swój obowiązek. Ja jednak mam coraz poważniejsze wątpliwości, czy ta wojna jest wojną sprawiedliwą. Pozwoliłem sobie wmówić, że walczy się w niej o wzniosłe ideały. Naprawdę jej celem jest całkiem przyziemny łup: ruda, nafta, zboże. Goebbels podobno nawet otwarcie o tym mówił. Nie wolno zamykać na to oczu. A jeśli to prawda... w takim razie czy ci biedacy, którzy polegli podobnie jak Eberhard, mogą spokojnie spać? A ci inni, którzy wciąż jeszcze nadstawiają karku? Strasznie trudno znaleźć na to wszystko odpowiedź.

Porucznik był głęboko wzburzony.

Ten biedny Fritz Helgert porządnie się przejął śmiercią mojego Eberharda, myślał stary Baum. To, co w tej chwili powiedział, jest tak niesłychane, że jedynym usprawiedliwieniem może być tu wpływ silnego szoku po pełnych napięcia ciężkich walkach.

Baum czuł potrzebę konkretnej rekompensaty za swego poległego syna, sensownego uzasadnienia jego śmierci. Tym uzasadnieniem winno być, jak sądził, coś zupełnie innego: nieugiętość! Bezwzględna nieugiętość! Właśnie teraz trzeba wytrwać za wszelką cenę, aż do ostatniego naboju! Nie, do ostatniego żołnierza!

Wilhelm Baum brał udział w pierwszej wojnie światowej jako ułan gwardii. Widział Verdun i Dooiaumorit, dwa razy uczestniczył w walkach nad Marną. W roku czternastym i osiemnastym. Bił się we Flandrii, w Galicji, nad Isonzo, znał także bitwy z czołgami,

bo przed Cambrai patrzył na to, jak Anglicy i Amerykanie przypuścili atak swoimi stalowymi potworami na gąsienicach.

I Baum o przyprószonych siwizną skroniach wyprostował się, uświadomiwszy sobie dwie rzeczy: własne bohaterstwo, które do dziś winno było pozostać bez skazy i obowiązek przyjscia temu młodemu oficerowi z pomocą w odzyskaniu patriotycznej postawy. Uczynił to w płynnych, wymownych słowach i na chwilę zapomniał dzięki temu o własnym bólu.

Jak też Eberhard Baum oceniał swojego ojca? Może większość myślała tak jak ten starszy pan - nie tylko jego pokolenie, ale także Senfleben, Söchting, a nawet Eiserberg? Jeśli śmierć Eberharda miała mieć jakiś sens, to powinien on być polegać nie na podtrzymywaniu wojny, ale na przyspieszeniu jej zakończenia. Fritzowi Helgertowi brakowało jednak siły przekonywania, by spontanicznie tamtemu odpowiedzieć, by mu wyraźnie dowieść, że się myli. Słowa starego Bauma wpadły mu w ucho niby monotony szum, ale ich treść w ogóle do niego nie docierała.

Matka nie zabierała w ogóle głosu; jednym jej pragnieniem było trzymać teraz w ramionach swego nieżyjącego chłopca, odgarnąć mu włosy z zimnej twarzy i raz jeszcze popatrzeć mu w oczy.

Kiedy Helgert późnym wieczorem wracał do domu, blade ramiona reflektorów poruszały się widmowo na tle czarnego nieba - nocne reflektory świetlne drugiej wojny światowej.

Rano Ilza Helgert musiała iść do szpitala. Miała dyżur również ostatniego dnia pobytu porucznika w Berlinie i najbliższej nocy, kiedy miał on wsiąść w pociąg wiozący żołnierzy z urlopu do Smoleńska, aby stamtąd dotrzeć na odcinek frontu pod Jelnią. Pocałował żonę na pożegnanie w policzek, a ona odeszła, nie urońwszy ani jednej łzy.

Po południu Helgert wybrał się w odwiedziny do Klaudii Sanden. Miał nadzieję, że przynajmniej tutaj będzie mógł służyć pociechą i dodać trochę sił. Jednakże zanim zdążył wyrazić swoje współczucie, Klaudia powiedziała po prostu:

- Tak się cieszę, że pan przyszedł. Potem przyniosła herbatę i ciasto.

- Eberhard bardzo to lubił.

Po raz pierwszy padło jego imię.

Spojrzał na nią ukradkiem. Nalewała herbatę - ręka jej nawet ani drgnęła. Jakie myśli mogą ją teraz nurtować? Najbardziej osobiste i pewne pytanie: po co?

- Opowie mi pan... o nim?

Przesunął się z krzesłem poza zasięg jaskrawego światła lampy, jakby w niewyraźnym półmroku łatwiej mu było panować nad uczuciami. Ciekawe, czy ona wie o istnieniu tego Bendera? - pomyślał przelotnie.

Klaudia postawiła na stole duże pudło po papierze listowym.

- Mały Mommer przysłał mi jeszcze mnóstwo zdjęć.

W milczeniu oglądali fotografie z ostatniego czerwca: bunkier i koledzy; Rosjanie w łachmanach; kościół w Kasarze i strzelające działo 6 baterii. I parę z okresu przygotowań do, akcji. Dalej rów, a w nim roześmiani piechurzy z drągami, które miały przedstawiać wroga, przed nimi również roześmiani napastnicy w bojowej pozie, trzymający przed sobą pistolety maszynowe niby mandoliny.

Po krótkim wahaniu Klaudia pokazała Helgertowi ostatnie zdjęcia Bauma. Zostały one wykonane z samolotu i ukazywały fragment zniszczonego radzieckiego okopu, w którym leżały niepochowane jeszcze zwłoki niemieckich i rosyjskich żołnierzy w pozycjach, w jakich dosięgły ich stalowe pociski. Przez twarz dziewczyny przebiegło lekkie drżenie.

Helgert wzruszył nieznacznie ramionami. Czy tam, na froncie ktokolwiek przejmuje się jeszcze widokiem zabitych?

Tutaj jednak wszystko wygląda inaczej. Klaudia zna front z anonimowych, nimbem bohaterstwa owianych komunikatów. Te zdjęcia muszą robić na niej straszliwe wrażenie, ponieważ każdy zabity przypomina jej Eberharda. Okrucieństwem było przesyłać jej wszystkie te fotografie.

Helgert poczuł nagle, że Klaudia już od dłuższej chwili obserwuje go w milczeniu. Odłożył zdjęcia na miejsce, po czym dotknął niechcący ręki dziewczyny. Wstał i zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Sucho, zwięźle, jakby mówił do siebie, opowiedział jej o wydarzeniach z 13 lipca. Za każdym razem, kiedy zawracał, wzrok jego padał na skuloną postać na krześle.

- Czy on coś przeczuwał?...

Helgert potrząsnął głową.

- Eberhard był absolutnie pewien, że wróci cały i zdrowy.

Klaudia patrzyła w przestrzeń, jakby poprzez niego. Zaczęła mówić monotonnym głosem:

- Byłam z matką w Lindau, kiedy nadszedł telegram z Berlina. Myślałam, że oszaleję. Krzyczałam: Nie! To nie może być prawda! Oni się pomylili! Wszyscy! Eberhard przecież powiedział, że wróci, obiecał mi...

Milczała potem przez dłuższą chwilę, patrząc tępo przed siebie. Wreszcie odezwała się głosem prawie niedosłyszalnym:

- Jestem skazana na dalsze życie... jak wiele innych kobiet, niewinnych i takich, które pokutują w ten sposób za swoje winy.

Helgert podszedł do niej.

- Musi się pani opanować, Klaudio - po raz pierwszy wymówił jej imię. - Eberhard wyobrażał sobie zawsze, że pani jest dzielną kobietą.

- Że ja jestem dzielna? - powtórzyła z goryczą. - Właściwie

kogo można nazwać dzielnym? Czy tych wszystkich mężczyzn, którzy walczą na przestrzeni od Koła Podbiegunowego aż po Afrykę na wszystkich morzach i w końcu giną? Czy oni są dzielni!? Czy też ci, których zostawili w domu, złamanych?

Helgert był wstrząśnięty. Te słowa wyrażały o wiele więcej niż skargę kobiety z powodu śmierci narzeczonego.

- Czy pan zadał sobie kiedy pytanie, po co to wszystko i dla kogo? Dla kogo, na miłość boską? Ja mam być dzielna?

Dzielny byłby ten, kto by się starał przyspieszyć koniec wojny!

Porucznik przypomniał sobie front i swoich ludzi. Nikt z nich nie chciał wojny, ale wszyscy biorą w niej udział. I w każdej chwili na wszystkich frontach padają ludzie, zabici, rozerwani na strzępy, wijący się z bólu i krzyczą, krzyczą tak, że kto raz to usłyszał, ten nie może zapomnieć ich głosu całymi latami. Kiedy człowiek czuje, jak mózg kolegi z szeregu rozpryskuje mu się na twarzy albo kiedy widzi męki konającego, nie chce tej wojny z całej duszy. Ale wszyscy ponoszą za nią winę przez swoją bierność i obojętność.

Jednakże ci, którzy walczą z Niemcami, którzy ich teraz przed sobą pędzą, bronią swojej ojczyzny. I tu tkwi zasadnicza różnica. Nie, pomyślał porucznik, słuszność nie jest po naszej stronie.

- To prawda - powiedział i kiwnął nieznacznie głową.

Jego stanowisko zdziwiło Klaudię. Musiał przeżyć wiele ciężkich chwil, pomyślała. Może śmierć wielu kolegów znieczuliła go. Dotychczas nie zdradził się właściwie ze swymi myślami. A na pewno można mieć do niego zaufanie; zawsze będzie gotów przyjść człowiekowi z pomocą, bezinteresownie, jak prawdziwy przyjaciel. Jej myśli zataczały coraz szersze kręgi. Kto mi jeszcze został na świecie? Tylko matka Rudolfa. Eberhard poległ. Nie wiadomo nawet, czy został w ogóle pogrzebany. Rudi Bender

jest gdzieś daleko na wschodzie. Ferdynand w więzieniu, aresztowano go na terenie Zakładów.

Zadrzała na to wspomnienie. Jak odważnie ten towarzysz Becker kroczy raz obroną drogą! Ludzie giną nie tylko tam, w polu, ale i tutaj, na tym cichym froncie. Ta walka ma jednak inny charakter. Wymaga prawdziwej odwagi. Tutaj nadużywane słowo „bohaterstwo” nabiera nowej treści, która dopiero po wojnie zostanie należycie zrozumiana.

Klaudia zastanawiała się dalej: Czyżby Eberhard nie więcej nie mówił? Czy nie myślał o tych wszystkich ważnych sprawach, do których podczas ostatniej bytności przywiązywał taką wagę? Nie miał pewnie odwagi rozmawiać o tym z Helgertem. Ale i jego musiało to nieustannie nurtować.

Jeśli ona w ten sam sposób myśli jak mówi, dumął porucznik, to zna również Rudolfa Bendera albo wie o stosunkach łączących go z Eberhardem. Jest jednak o wiele bardziej konsekwentna od niego.

- Pan jest bardzo podobny do Eberharda!

- Czyżby? Nie wiedziałem o tym. Nasze poglądy były w każdym razie podobne. Ideały chyba także. Tylko drogi, jakimi dochodziliśmy do nich, były różne. Eberhard umiał szybko pokonywać wszelkie przeszkody, szedł zawsze w blasku słońca.

Helgert przyglądał się biedronce, która pośpiesznie wędrowała po obrusie.

- A pan? - spytała Klaudia cicho.

Porucznik potrząsnął głową.

- O mnie trudno powiedzieć coś ciekawego. Zwyczajne życie, suche jak ankieta personalna. Niech pani lepiej opowie o sobie.

- Zostanę chyba w Berlinie i będę musiała dalej robić rysunki techniczne - odparła posłusznie. - Potem chciałabym się dokształcić artystycznie. Może kiedyś uda mi się coś w tej dziedzinie osiągnąć i znaleźć dzięki temu nowy sens życia.

Poza tym...

Podziw Helgerta dla Klaudii Sanden wciąż rósł. Miała odwagę zaczynać wszystko od początku. I miała zdecydowany pogląd na tę wojnę, podobny jak...

- Czy pani zna Rudolfa Bendera?

W pierwszej chwili Klaudia przestraszyła się, ale natychmiast zapanowała nad sobą.

- Bendera? Nie, nigdy mię słyssałam tego nazwiska.

Helgert poczuł nagle jakiś wewnętrzny niepokój. Pożegnał się szybko, niemal chłodno, jak po sumiennym spełnieniu bojowego zadania.

Z ulicy spojrział w górę ku jej oknu, pomachał jeszcze ręką.

Klaudia powoli zamknęła okno. Jutro porucznik Helgert wyjedzie z powrotem na front. Wojna nikogo nie wypuści ze swoich szponów. Ta beznadziejność jest okropnie przygnębiająca. Dlaczego zapytał mnie o Bendera? Jeśli Eberhard powiedział mu tylko, że spotykali się kiedyś na terenie klubu sportowego, to mogliby teraz porozmawiać o Rudim jak o wspólnym koledze. Ale Fritz Helgert natychmiast po zadaniu tego pytania i po jej odpowiedzi pożegnał się i wyszedł. Przedtem jednak poparł jej gwałtowne wystąpienie przeciwko wojnie. Przecież to było z jego strony wyraźne poparcie. A może nie? Ogarnęła ją fala niepewności.

Czy to w ogóle było do pomyślenia, żeby zawodowy oficer Wielkoniemieckiego Wehrmachtu zgadzał się z poglądami robotnika, żeby je przyjmował za swoje?

Nagle uspokoiła się. Może wszystko to wyphywało z jej napiętych nerwów. Byłoby przecież rzeczą najnaturalniejszą w świecie,

gdyby Eberhard ani słowem nie wspomniał Helgertowi o politycznych zapatrywaniach Rudolfa Bendera.

Matce Rudolfa nie przyznała się do wizyty porucznika.

Pociąg odchodził zaraz po północy.

Helgert szedł ulicami pogrążony w myślach. Zdawało mu się, że wszystko i tutaj oddala się od niego coraz bardziej jakby znany mu, ograniczony świat zaczynał się zapadać.

Porucznik Fritz Helgert czuł się samotny, ale go to nie martwiło.

Rozdział 20

Kapral Heinrich Heidemann, siedząc na swym niewygodnym, ale przewiewnym i umożliwiającym rozległą obserwację miejscu, usiłował jak najdokładniej obliczyć, o ile więcej ludzi można by aktualnie w Niemczech przewozić, gdyby na każdym błotniku ciężarówki jechała jedna osoba, kiedy jego wehikuł podskoczył, mijając dziurę po pocisku i o dziesięć metrów dalej stanął, przechyliwszy się na jedną stronę. Heidemann, który ufundował kierowcom paczkę papierosów za podwiezienie, zeskoczył, żeby dwa pozostałe kilometry dzielące go od miasta odbyć piechotą. Niech sobie tamci sami radzą ze złamaną przednią osią.

Heidemann widział już z daleka długi most przerzucony nad doliną Desny i nad korytem rzeki, która tu, niedaleko źródeł, wygląda tak niewinnie ze swymi licznymi łachami i ślepymi odnogami.

- Przeklęta spiekota! - zaklął ze złością i rozpiął koszulę i bluzę munduru tak daleko, że widać było jego nieowłosiony, białawy tors aż po pępek. - Już choćby przez to do końca życia nie zapomnę tego zasranego bajzlu. Jak się to świństwo lepi do bioder, pod pachami, na krzyżu! God save the queen i bawełnę. Bryczesy z naszytą skórą i długie buty z ostrogami - w dwudziestym wieku! Przecież to można pęknać ze śmiechu! I onuce pachnące oryginalnym szwajcarskim serem.

Za następnym zakrętem drogi manewrowej ukazał się cmentarz wojskowy z długimi szeregami grobów.

Heidemann przystanął zaskoczony.

- Do diabła! - mruknął. - Prawie wszędzie widać rok 1941. Z datą tegoroczną też jest niemało. Może doprowadzili tu zabitych na froncie, żeby wszyscy sobie razem porządnie leżeli.

Kapral Heidemann poczuł nagle pewien zapach, który mu zaraz coś przypominał: zeszłe lato, kiedy musiał zakopać paru poległych. Na ten potworny odór nie pomogłaby żadna gazowa maska.

Heidemann przyglądał się tym niezliczonym szeregom. I lasowi krzyży. Większość była z brzoźowego drzewa. Na niektórych przybito tabliczki z porządnie wypalonymi nazwiskami, Żelaznymi Krzyżami i swastykami w charakterze ozdoby. Wiele było jednak bez nazwisk. Gdzie się mogły podziać ich papiery? W domu nikt nic o nich nie wie. Kapral, przejęty, przełknął ślinę, wydmuchał nos, starał się myśleć o czymś pogodniejszym, ale mu się to nie udawało.

Jelnią do późnego lata 1941 roku budziła niemiłe skojarzenia. Szybkie grupy operacyjne metodą stosowaną przez Blitzkrieg wdarły się wąskim klinem głęboko na rosyjskie zaplecze, żeby przygotować kocioł i utworzyć jego wschodnią ścianę. Grupy te zostały wtedy nagle odcięte przez Rosjan.

Heidemann próbował wyobrazić sobie tę sytuację od strony znajdujących się w niej żołnierzy: tkwić tak gdzieś w głębi obcego kraju, mieć z każdym dniem coraz mniej amunicji, coraz mniej żarcia. W dodatku czterdziestostopniowy upał. Dręczące pragnienie i strach. Co też ci chłopcy sobie wtedy pomyśleli? Wojna z Rosją trwała dopiero kilka tygodni i musiała się składać z samych zwycięstw. Ktoś powinien się przecież tutaj przebić! Nikt się

jednak nie zjawił. Ani tutaj, pod Jelnią, ani dalej na północy, pod Jarcewem. Za to Rosjanie atakowali nieustannie dniem i nocą. Znaleźć się w oblężeniu to najcholerniejszy pech, jaki może człowieka spotkać, stwierdził kapral Heidemann i powlókł się w stronę długiego mostu przerzuczonego przez saperów nad doliną Desny.

Wszystkie bataliony i plutony zostały wtedy wybite co do nogi, rozważał dalej. Ale przecież w jakimś momencie musieli oni zdać sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Dlaczego nie zerwali się, nie rzucili pustych karabinów, nie skapitulowali przed Ruskimi? Ten problem wydawał mu się teraz, w dwa lata później, szczególnie palący.

Kapral Heidemann ujrzał przed sobą pierwsze domy, jedne kryte słomą, inne nowoczesne, o dachach z pomalowanej na czerwono blachy. Dziwne miasto ta Jelnia. Przypominała mu trochę miasteczka Marchii, Kyritz, Neuruppin czy Juteborg.

Panowała tu jakaś niezwykła cisza. Uderzało go to już w zeszłym tygodniu, kiedy wysiadali z pociągu tuż pod tą miejscowością. I teraz znowu. Nie wynikało to z faktu, że nikt nie strzelał. Nie, ludzie i wszystko, co żyło, zdawało się z zapartym tchem na coś czekać.

Ze składów bazy łączności Heidemann otrzymał kilka zwojów kabla telefonicznego, parę naprawionych mikrofonów, ręczne aparaty, taśmę izolacyjną, noże składane do cięcia kabla, a nawet dwa komplety lamp do aparatów „Berta”. Kazał sobie złożyć to wszystko w kacie i rzucił inspektorowi łaskawie paczkę papierosów, które sierżant będzie mu oczywiście musiał potem zwrócić. Przez ten czas uzupełnił sobie ukradkiem część brakujących rzeczy, których rzekomo nie było na składzie, i wpakował je do olbrzymich kieszeni swojej polowej bluzy.

- Przyjadę po to jutro w południe albo jeszcze dziś wieczorem. Ale dołóż tam tego i owego. Na wszelki wypadek!

Jak się okazało, w Jelni nie było naprawdę nic ciekawego. Rodzaj żołnierskiego klubu, po którym spodziewał się zaspokojenia zwyczajnego głodu i rozmaitych innych, od dawna zaniedbywanych potrzeb życiowych, miał do dyspozycji tylko niemiecką herbatę i papierosy eckstein. Ani wódki, ani dziewcząt... Kiedy przypomniał sobie Frankfurt... Heidemann pograżył się w marzeniach i zdrzemnął się przy tym. Głowa kiwała mu się na to jedną stronę, to na drugą. Kiedy nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu i powiedział: - W imieniu prawa aresztuję pana! - tak się przeraził, że o mało nie spadł z krzesła.

Był to Fritz Helgert, który śmiał mu się teraz prosto w twarz.

Kapral powoli wracał do przytomności.

- Przecież to niemożliwe, żeby pan już tu był, panie poruczniku! - Jakież on jest błąd, pomyślał, patrząc na niego.

- Ma pan zupełną rację. Ale podwiózł mnie tu pociąg towarowy.

W pół godziny później nadjechał samochód pancerny ze sztabu batalionu. Zabrali ze składów sprzęt łącznościowy i ruszyli na nowe stanowiska.

Wieczór zapadał, pogłębiając ciszę, która zdawała się sięgać aż po Pawlinowo. Tam kończył się świat, to znaczy ten świat, który leżał w zasięgu władzy swastyki. Nieco dalej znajdował się Spas-Demiańsk, zajęty parę dni temu przez Armię Czerwoną, co było już ogólnie wiadome, niezależnie od komunikatu Wehrmachtu.

Porucznik pograżył się w swoich myślach. Był już 24 sierpnia. Przez ten czas na środkowym odcinku frontu wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Wojna pozycyjna przekształciła się w gigantyczną bitwę ruchomą: 15 sierpnia padł Karaczew. Po zdobyciu

Biełgorodu, tego samego dnia, kiedy Orzeł się poddał, Rosjanie posunęli się na południowym odcinku o całe sto kilometrów dalej na zachód. Linia kolejowa Charków-Połtawa została przerwana.

Komunikat Wehrmachtu z 23 sierpnia podał:

„Również i w rejonie Charkowa oddziały armii i SS toczą zarte boje z radzieckimi jednostkami pancernymi i piechotą. Charków, który w trakcie kampanii wschodniej nieraz zmieniał właściciela i dziś jest już tylko kupą gruzów, przeszedł znów w ramach planowego wycofywania się naszych wojsk w ręce wroga”.

Charków był jednak drugim co do wielkości miastem Ukrainy, potężnym ośrodkiem przemysłowym i najważniejszym węzłem kolejowym południowej Rosji. Posiadająca niesłychanie doniosłe znaczenie linia kolejowa Moskwa - Orzeł - Kursk - Charków znalazła się więc automatycznie we władzy Rosjan i przebiegała obecnie równoległe do nowej linii frontu. Najszybsze nawet przesunięcia wojsk z jednego punktu zapalnego w drugi stały się teraz dla dowództwa Armii Czerwonej możliwe.

Porucznik nie mógł nie myśleć o upadku Charkowa. W trakcie ofensywy zimowej radzieckie oddziały szturmowe po zlikwidowaniu 6 armii w Stalingradzie toczyły walki ofensywne na przestrzeni przekraczającej sześćset kilometrów. Potem zabrakło im widocznie sił, żeby utrzymać się na gruzach i musiały oddać Charków nieprzyjacielowi. Teraz znów przystąpiły do ataku i wyparły niemieckie dywizje wyborowe daleko na zachód. Gdzie miały się one zatrzymać, jeśli jesienią grząskie błoto paraliżowało wszelkie ruchy? Za to Briąnsk trzymał się wciąż jeszcze. Słaba to pociecha. A co będzie się działo tutaj, w rejonie Jelni? Kraj był płaski jak deska. Czołgi mogłyby tu urządzać wyścigi.

Heidemann zdał mu zwięźle sprawę z sytuacji, która wydała się Helgertowi dziwnie podobna do sytuacji pod Orłem. Jak to pięknie określono miasto nad Oką?

„Punkt zwrotny - punkt orientacyjny - kręgosłup”. Pozostał strzaskany krzyż środkowego odcinka.

A tutaj? Bunkrów w ziemi nie można było kopać, najwyżej płytkie doły strzeleckie, ze względu na wodę gruntową. Rozległe łąki były nieustannie mokre, mapa wykazywała znaczne przestrzenie bagien. Ludzie układali wokół namiotów sterty wyciętej darni, żeby stworzyć sobie chociaż minimalną osłonę przed niewielkimi bombami spuszczanymi przez dudniące co noc „latające traktory”.

Helgert zagłębił się w studiowaniu notatek, jakie porobił u pułkownika Schneidewinda, żeby móc natychmiast zdać sprawę Kru-semarkowi.

Zaraz po przybyciu na miejsce porucznik musiał stoczyć bitwę z komarami i innymi dokuczliwymi stworami, nie osiągając zresztą zadowalających rezultatów. Nawet moskitiery niewiele pomagały. Za to pocił się człowiek pod nimi niesamowicie.

Helgert zaobserwował tutaj pewne dziwne zjawisko, które odbiegało od dotychczasowych taktycznych zwyczajów: na niemieckim odcinku przedni skraj obrony stanowił zwartą, nieprzerwaną linię. Przebiegała ona niedaleko torów kolejowych, brzegiem miast, wzdłuż stoków. Wiele do maskowania tam nie było, ale jednak: trochę stanowisk, i to obsadzonych, chociaż niezbyt świeżymi oddziałami. Było to bowiem zbiorowisko ciężko poszkodowanych jednostek. Jeśli tak miały wyglądać operacyjne czy zgoła strategiczne odwoły armii - to pożałuj Boże!

Po stronie rosyjskiej natomiast spore przestrzenie były najwyraźniej w ogóle nie obsadzone. W odległości sześciuset czy

ośmuset metrów widać było od czasu do czasu pojedynczego żołnierza wędrującego przez pole albo znikającego w jakimś budynku, w którym prawdopodobnie znajdowała się baza. Poza tym nic się nie działo.

Rosjanie nie zamierzają tu długo popasać, myślał Helgert. I absolutnie nie liczą się z tym, że moglibyśmy zaatakować ich luźny front. Albo dowództwo stojącej naprzeciwko dywizji czy armii jest lekkomyślne, albo zdaje sobie sprawę z żalosego stanu naszej siły bojowej. Może oni rzeczywiście mają nad nami tak znaczną przewagę, że mogą sobie na tego rodzaju postawę pozwolić.

Helgert dochodził do coraz mocniejszego przekonania, że strategiczny i taktyczny system planowania czerwonych jednostek jest bardziej realistyczny i efektywny niż niemiecka szablonowość, której niedoskonałość stawała się z każdym dniem wyraźniejsza.

W miejscu, gdzie tory kolejowe zaczynały się oddalać od niemieckiego przedniego skraju obrony, znajdował się gorący zaułek rozbrzmiewający nieustanną strzelaniną. Helgert obejrzał sobie dokładnie ten najbardziej wysunięty przyczółek frontu już pierwszego dnia. Dzisiaj znowu wybrał się tam razem z Banderem. Ostatnio starał się jak najczęściej przebywać w jego towarzystwie.

Odcinek, który miała ubezpieczać 6 bateria, usytuowany był wyjątkowo niekorzystnie. Lufy dział skierowane były niemal dokładnie na wschód. Wzdłuż torów kolejowych ciągnął się wąski, długi na kilometr pas, którym Armia Czerwona wdarła się między pozycje niemieckie. Gdyby działa miały strzelać w tę stronę, trzeba by nie tylko obrócić o dziewięćdziesiąt stopni, ale przede wszystkim cholernie uważać, żeby nie trafić w znajdującą się o pięćset metrów dalej własną piechotę.

W tym punkcie ciężkości tkwił podporucznik Gengenbach, pełniąc funkcje obserwatora.

Jeszcze dalej, z prawej strony kapral Heinrich Heidemann objął stanowisko obserwacyjne, które miało zwracać uwagę na sąsiedni odcinek i udzielać wsparcia ogniowego.

Główne stanowisko obserwacyjne znajdowało się tuż przy torach kolejowych. Rezydował tam Söchting.

Helgert odbył z plutonowym długą rozmowę i oświadczył, że uważa jego stanowisko za pułapkę na myszy.

Söchting uzupełnił natychmiast jego stwierdzenie:

- Z prawej strony, koło zakrętu torów, jest wzgórze, a na nim stoją trzy cekaemy i jedno działo przeciwpancerne. - Tu pokiwał znacząco głową. - Jeżeli Ruski ruszy do ataku, to nie tylko zmiecie z powierzchni cały przyczółek, ale jeszcze zaskoczy od tyłu tych, którzy siedzą za torem.

- W takim razie nie można dopuścić do tego ataku - zawyrokował mądrze Bender.

- To już jest w rękę Boga i strzelców przy karabinach maszynowych - odparł plutonowy.

Helgert odezwał się dźwięcznym głosem:

- Wszystkie baterie pułku są w ten punkt wstrzelane. Jeśli okaże się, że Czerwoni mają na niego chrapkę, zostaną poczęstowani skoncentrowanym ogniem, w myśl zasady starego Guderiana: „nie klepać - grzmocić”!

- Wolałbym kilka dział szturmowych - odparł Söchting.

- Jutro je panu dostarczę!

Porucznik wsunął plutonowemu do kieszeni butelkę likieru firmy „Oskar Ulrich Sp. Komandytowa” i ruszył dalej ze swym łącznikiem, kanonierem Rudolfem Benderem.

O dwa kilometry dalej na południowy wschód leżało boczne stanowisko obserwacyjne Heidemanna. Widok na tory zasłaniało mu prawie całkowicie znajdujące się z lewej strony wzgórze.

Zdaniem Heidemanna Rosjanie byli stąd oddaleni co najmniej o tysiąc metrów. I wyraźnie go to cieszyło. We wsi przed stanowiskiem obserwacyjnym nie zauważył dotychczas żadnego prawie ruchu.

Cała okolica pogrążona była w takiej ciszy, jakby wstrzymała oddech.

Późnym popołudniem porucznik wracał ze swym towarzyszem przez nie uprawione zarośnięte chwastami pola. Tuż przed Jewlańskimi Utaszkami zeszedli z drogi manewrowej i skierowali się w prawo przez pas rzadkiego lasu w stronę namiotów.

- Czy zna pan Klaudię Sanden, Bender?

Zadając to pytanie, Helgert sadowił się niezręcznie na trawie i złośliwie zerkał spod oka na kanoniera.

- Jeśli wiem, była to narzeczona kaprała Bauma - odparł Bender, ociągając się. Myślał przy tym: Otóż i dalszy ciąg przesłuchania zaczętego na drodze manewrowej przed Briąńskiem.

- Parę dni temu w Berlinie pytałem pannę Sanden o pana.

Bender miał się na baczności. Powiedział chłodno:

- A w jakim celu zadał pan jej to pytanie, panie poruczniku?

- Och, tak sobie. Okazało się zresztą, że ona pana nie zna.

Czego on właściwie chce ode mnie? Bender zastanawiał się nad tym po raz już nie wiadomo który. Wymamrotał coś niezrozumiale.

- Dlaczego należał pan kiedyś do partii komunistycznej? Chodzi mi o to, co pana w niej pociągało?

- To było tak dawno... - Albo chcesz mnie sprowokować, albo zaczynasz już także mieć tego wszystkiego dość, rozważał kanonier. Czy on rzeczywiście spotkał się w Berlinie z Klaudią? Dlaczego miałyby się nie spotkać? Pewnie był u rodziców Bauma i tam ją zastał. A jeśli przy tej okazji zadał jej jakieś podchwytliwe pytanie i ona się niechcący zdradziła?

- Musiał się pan przecież kierować jakimiś racjami, obierając taką, a nie inną postawę polityczną! „Międzynarodówka walczy o prawa człowieka” czy coś w tym rodzaju! - Helgert czekał niemal z napięciem na to, co teraz nastąpi.

- Na początku lat trzydziestych sytuacja u nas była niewesoła...

- Racja - potwierdził Helgert - miliony bezrobotnych. - Partia Komunistyczna miała jednoznaczny pogląd na przyczyny i groźny rozwój tej sytuacji.

- Kryzys światowy.

- To nie była przyczyna, tylko skutek systemu kapitalistycznego.

Porucznik po raz pierwszy czuł się zaskoczony.

- Uwierzę, jeśli mi pan to udowodni. - W tej chwili mniej chodziło mu o odpowiedź na to pytanie niż o zasadę. Prowokował więc dalej: - Czy NSDAP po objęciu władzy przez Hitlera nie dotrzymała słowa? „Nikt nie będzie głodował, nikt nie będzie marzył... Praca i chleb dla wszystkich!”

- Pamiętam, że Hitler nie tylko przed, ale głównie po 30 stycznia korzystał z poparcia wielkich monopoli.

- Co to ma do rzeczy?

- Taka sobie uwaga na marginesie. Potem interesy uległy odwróceniu: zbrojenia, lekka tendencja waluty do inflacji, łupy z zewnątrz. Saara, Austria, Sudety, Czechosłowacja, zwalczanie elementów niaryjskich. Dla koncernów wynikły z tego kolosalne zyski, wskutek czego wiele spraw udało się zatuszować. - Może on nie ma żadnych złych zamiarów, tylko po omacku szuka drogi, doszedł Bender do wniosku.

Ten chłopak roztacza jakieś przedziwne koncepcje, o których nigdy nie słyszałem, myślał Helgert. Nie mogę jednak dłużej tego słuchać, bo gotów uwierzyć, że biorę jego argumenty za dobrą monetę.

- A jaki jest dzisiaj pana stosunek do tych spraw?
- Hitler w myśl zaleceń swoich kontrahentów rozpętał wojnę przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Zyski wzrosły niebotycznie...

Helgert przerwał mu brutalnie:

- Mnie interesuje pana stosunek do Partii Komunistycznej.
- Partia została w trzydziestym trzecim zlikwidowana.

W ten sposób z nim się nie dogadam, stwierdził dowódca baterii, muszę spróbować innej drogi.

- Powiedział pan: wojna przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Ale pan bierze w niej przecież udział! I to całkiem sumiennie, jak zdążyłem zauważyć!

- Zostałem powołany do służby wojskowej, żeby spełnić mój „patriotyczny obowiązek”. Tak to było sformułowane w piśmie, które otrzymałem. - Bestia chce mnie przycisnąć do muru, myślał Bender z wściekłością. Nie ulega wątpliwości, że Eberhard z nim rozmawiał.

Porucznik uśmiechnął się pod wąsem.

- Dla pana, byłego komunisty, głos Moskwy powinien mieć teraz szczególną wymowę. Co dzień może pan słuchać na krótkich falach: „Armia Czerwona walczy o przyszłość całej ludzkości.”

- Oni mówią też bardzo wyraźnie, co o nas myślą!

- No, niechże się pan nie krępuje, rozmawiamy przecież o poglądach wroga.

- A więc dobrze. Jeśli pan jest takim gorliwym słuchaczem krótkich fal, to nie powiem panu nic nowego. Rosjanom chodzi przede wszystkim o to, żeby wypędzić wroga, który najechał ich ojczyznę, i rozbić niemiecki imperializm oraz stworzony przezeń krwawy system terroru zagrażający światu swym dążeniem do ekspansji!

- Wielkie słowa, panie telefonisto...

Baterie batalionu zaczęły nagle gwałtownie strzelać. Sądząc po kierunku, skąd dochodziły echa wybuchów, celem ich był pas przed trzecią kompanią zajęty przez Rosjan.

Coraz to nowe serie pocisków wylatywały z luf. Porucznik zerwał się.

- Ruszajmy, Bender! Tam się robi gorąco!

Rzucili się biegiem w stronę stanowiska ogniowego. Kiedy tam dotarli, panował już znowu spokój. Gengenbach zameldował, że na owym pasie pojawiła się kolumna czołgów. Jeden płonący czołg, trafiony przez granat, znajduje się o niecałe pięćdziesiąt metrów od niego. Reszta wycofała się. Cholernie niespokojny zaulek. Trzeba się będzie zatroszczyć o to, żeby pułk wyraził swoje uznanie dla przeprowadzanych tam akcji. Nie zawadziłoby zdobyć parę orderów.

Wieczorem owego 27 sierpnia nie było już chyba ani jednego większego kawałka terenu, którego by nie wymacała radziecka artyleria; nie czyniła tego bezustannie, ale przerwy były krótkie.

Helgert wydał rozkaz, żeby wszyscy, którzy nie byli potrzebni na linii, okopali się wokół stanowiska ogniowego. W nocy udał się raz jeszcze do Gengenbacha, ponieważ spodziewał się ataku na jego odcinku. Na przyczółek Czerwoni nie zechcą uderzyć bez przygotowania, myślał, bo i dla nich byłoby to przedsięwzięcie ryzykowne.

Przed stanowiskiem obserwacyjnym podporucznika znajdowało się stanowisko dowodzenia kompanii Eiserberga. Jakkolwiek Gengenbach czuł się pewnie, mając pod boki tego zuchwalca, to jednak niepokoił go fakt, że Eiserberg w swoim sposobie kierowania walką nie opierał się nigdy na istniejących wzorach. Często nie zgadzał się on wręcz z elementarnymi zasadami taktyki - polegał na spontanicznych aktach brawury.

Kiedy księżyc zaszedł, Helgert udał się z Gengenbachem do bunkra piechoty. Eiserberg wyciągnął z kieszeni papierosa. Porucznik wyraził zdziwienie, że wbrew tradycyjnej procedurze nie pojawiły się na jego piersi ordera. - Musiałem je zostawić w starych spodniach - odparł z roztargnieniem dowódca kompanii.

Helgert miał wrażenie, że tamten w ciągu ostatnich miesięcy postarzał się o wiele lat. Natomiast jego pewność siebie zdawała się przybierać na sile.

- Wie pan, że dowódcą drugiej kompanii jest sierżant? - Eiserberg uśmiechnął się i napełnił po brzegi parę aluminiowych kubków fuzlowatą wódką. - Ale chłopak trzyma fason, nadstawia karku, gdzie się tylko da! - Wychylił kubek wódki i skrzywił się. - Czysty spirytus.

- Oby jutro rano o tym zapomniał.

- A co ma się jutro stać? - spytał Eiserberg obojętnie.

- Spodziewam się Ruskich!

Eiserberg zrobił przeczący ruch ręką.

- Wykluczone. Na razie mają nas po dziurki w nosie. I w dodatku nie znają jeszcze najwyraźniej ostatnich informacji Modela.

W jego głosie czaiło się wyczekiwanie.

A jednak pomyliłem się w mojej ocenie Eiserberga, myślał Helgert. Wcale nie jest inny niż reszta. Cechuje go pycha właściwa ludziom, którzy nie chcą zrezygnować ze swoich osobistych sukcesów i wzbraniają się przed uznaniem zmienionej sytuacji.

- Jeśli będzie spokój, to tym lepiej - powiedział sztywno i wstał.

- No, widzi pan - roześmiał się Eiserberg. - I znowu jesteśmy razem. Żeby tak człowiek miał chwilę czasu i mógł spokojnie podumać o obecnej sytuacji. - Podniósł się i zaczął ściągać

blużę. - Za dwie godziny zrobię następny obchód. Zobaczysz pan, jeszcze wszystko będzie dobrze!

Helgert patrzył w milczeniu, jak tamten rozkłada brudny koc.

- Wie pan co, wielce szanowny i wyżej postawiony towarzyszu broni, gdybym nie był takim nic nie znaczącym rekwizytem niemieckiego Wehrmachtu, dawno bym już pana sprowokował do zaproponowania mi bruderszaftu. Dobranoc.

Helgert wyciągnął do niego rękę.

Kiedy wracał w nieprawdopodobnie jasną księżycową noc na główne stanowisko obserwacyjne, sam sobie tłumaczył, że nie warto tak się martwić. Położył się w jednoosobowym ziemnym dole. Świeżo ścięta trawa na jego dnie pachniała oszałamiająco. Porucznik długo nie mógł zasnąć. Drozdy opiewały wstający ranek, jakby chciały zapowiedzieć dzień pokoju. Porucznik rozprostował zeszywniałe członki i owinął się z powrotem brezentową płachtą chroniącą przed żądnymi łupu komarami. Na pewno jeszcze sporo czasu upłynie, zanim kucharz przyśle kawę.

Nagle zagrzmiała nawała ogniowa radzieckiej artylerii. Wszystkie zmysły Helgerta napięły się do ostateczności. Wyskoczył ze swego dołu i spojrzął w stronę, skąd dochodził odgłos strzałów. Szczyt wzgórza wieńczyła migotliwa promienista korona. Ogłuszający huk nie ustawał przez jakieś dziesięć minut. Granaty padające na stanowiska przy torze kolejowym nie miały prawie żadnego znaczenia.

Łączność z Söchtingiem została natychmiast przerwana. Kiedy kłęby dymu nieco opadły, na wzgórzu, gdzie teoretycznie powinny się być znajdować niemieckie cekaemy, stała grupa czerwonych czołgów, strzelających z dział i broni automatycznej. W parę minut później brązowe mundury pojawiły się wokół wzgórza.

Gengenbach dał rozkaz otwarcia ognia. Miał wrażenie, że rów koło torów zaczął nagle walczyć z odwrotnym frontem. W jego zaułku też się przez ten czas ożywiło. Siedem czerwonych czołgów toczyło się właśnie w stronę 3 kompanii.

Podporucznik ryczał tak, że jego komendy słychać było jeszcze o pięć kroków od słuchawki telefonu polowego.

- Wystrzelić trzeci ładunek! Cała bateria! O sto dwadzieścia mniej od linii zerowej! Trzydzieści dwa, sto! „Ważka” dwieście dziewięćdziesiąt sześć! Ognia!

W dwadzieścia sekund później rozległy się cztery wystrzały. Potem i to połączenie diabli wzięli.

Teraz Rosjanie zaczęli się od strony wzgórza posuwać gwałtownymi zrywami coraz bardziej naprzód. I tutaj wykonali manewr całkowicie zaskakujący wroga. Nie skręcili w stronę toru - tam bowiem szalał ogień zaporowy ciężkich granatników i karabinów maszynowych - lecz uderzyli na drogę manewrową biegnącą w kierunku Jewlańskich Utaszek.

Helgert rozumował błyskawicznie: nieprzyjaciel pcha się od razu w głąb. Niemcy, których pozostawia za sobą, powinni się przygotować do obrony okrężnej. To się jednak zawsze zdąży zrobić. Ale daleko w prawo wysunięte stanowisko obserwacyjne Heidemanna nie może poprzez zasłaniające widok wzgórze dojrzeć, jaki kierunek przybrali o natarcie. I najdalej za kwadrans kapral Heidemann zostanie odcięty! Odległość, jaka go stąd dzieli, wynosi około tysiąca metrów. Radzieckie oddziały szturmowe pędzą przed sobą naszych piechurów po stoku wzgórza w dół. Niebawem i tutaj nastąpi to samo.

Porucznik połączył się z plutonowym Bernsteinem na stanowisku ogniowym.

- Natychmiast przesunąć przodki. Skierować działa na zachodni brzeg Jewlańskich. Jeśli nasza piechota utworzy tam

zaporę, strzelać wprost na wieś! Jeśli piechota się nie utrzyma, zmiana stanowiska do Razbiegajewki. Posyłam wszystko do Razbiegajewki. Zrozumiano?

- Tak jest! Panie poruczniku, chciałem jeszcze...

- Co tam znowu?

- Podporucznik Gengenbach melduje, że plutonowy Söchting ze swymi ludźmi przebił się do niego.

- Dziękuję! Skończyłem!

Kierowca samochodu rozpoznawczego otrzymał również rozkaz powrotu do Razbiegajewki.

Odgłosy walki wciąż przybierały na sile. Kable telefoniczne w szybkim tempie ulegały zniszczeniu.

Dziki wycie nadlatujących granatów zdawało się teraz koncentrować na niewielkiej grupce artylerzystów. Padały straszliwie gęsto.

Jak pod Bierzowcem, pomyślał porucznik. Wykańczają nas, tutaj także. Znowu nastąpi przełamanie frontu, o którym nie będzie mowy w żadnym oficjalnym komunikacie. I teraz my w tym uczestniczymy. Nie jako obserwatorzy, ale jako bezpośrednio zainteresowani. Skąd oni biorą na to siły? Nam chodzi już tylko o przetrwanie. O nic więcej. Reagujemy tylko na ich akcje. Z prawej strony siedzi Heidemann ze swymi ludźmi. Z moimi ludźmi. To przekłete wzgórze zasłania im widok!

Porucznik rzucił się biegiem naprzód, w kierunku Heidemanna, zamierzał ubiec czoło atakujących oddziałów radzieckich. Chciał ocalić swoich żołnierzy. W parę minut potem miał już Rosjan z lewej strony za sobą.

Tuż przed stanowiskiem obserwacyjnym zobaczył Heidemanna tkwiącego w dole z gotowym do strzału pistoletem maszynowym. Ciężko dysząc przepadł obok niego.

- Gdzie są telefoniści?

- Rąbnął w nich pocisk.
- Wszyscy zginęli?
- Wszyscy. - Kapral dygotał.
- Prędzaj! Czerwoni przełamali front z lewej strony! W tej samej chwili z prawej strony nadjechały trzy T 34, ciągnąc za sobą ogromny tuman kurzu; waliły wprost na nich.

Obaj przypadli plackiem do ziemi.

Czołgi potoczyły się dalej; strzelcy nie dali w ogóle znać o sobie.

Dwaj artylerzyści pognali przez ubity teren ku drodze głównej. Po twardej, gliniastej powierzchni bieгло się lżej i prędzaj.

Rosyjska piechota zeszła już tymczasem ze wzgórza i zbliżała się coraz bardziej do wsi. Czerwonoarmiści znajdowali się teraz na prawo do nich.

Ze wszystkich stron słychać było terkotanie pistoletów maszynowych.

- Prędzaj, Heidemann!

Kapral dyszał coraz głośniejsze, myślał o długich szeregach krzyży na cmentarzu nad Desną i nie czuł już prawie ciężaru twardych wysokich butów.

Czołgi zniknęły wśród niskich drzew przed pierwszymi domami. Radziecka piechota podeszła już do wsi na odległość pięciuset metrów. Jej amunicja smugowa przerzucała barwne wstęgi ku słomianym dachom.

Na samym brzegu wsi, przy głównej drodze, znajdował się lej po bombie. Dwaj artylerzyści jednym susem wylądowali na dnie dołu czterometrowej głębokości. Heidemannowi oczy wylazły z orbit. Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

Helgert już wychylał się z leja. Czołgi strzelały teraz w nieregularnych odstępach, zapewne w stronę ruchów pod domami. Coraz to rozlegały się serie ich cekaemów.

Z prawej strony wzniosła się nad drogą skarpa, ku wyżej położonym ogródkom. Tamtędy nie można było przejść. Po drugiej stronie, obok drogi manewrowej, biegł płytki, suchy rów. Była to jedyna możliwość dotarcia do wsi.

Jak okiem sięgnąć porucznik widział atakujące oddziały radzieckie. Czerwoni strzelcy zbliżali się zrywami. Na ogień artyleryjski nie zwracali prawie uwagi. Ich własna artyleria raziła ciężkimi pociskami odległe cele na zapleczu wroga. Samoloty szturmowe nie troszczyły się też chwilowo o kontynuowane z powodzeniem natarcie i ostrzeliwały kolumny, które szukały nowych dróg odwrotu.

Dowódca baterii skinął na Heidemanna.

- Wyskakuj pierwszy. Podeprę ci nogę!

Kapral przyczołgał się do niego, sapiąc, kucnął pod brzegiem leja i napiął wszystkie mięśnie. Helgert podstawił mu pod stopę obie dłonie. Kiedy Heidemann przebiegał przez drogę, dokoła niego padały kule czołgowego kaemu, aż błoto rozpryskiwało się na wszystkie strony. Po chwili kapral uśmiechnął się do Helgerta z pobliskiego rowu.

Był już wielki czas.

Porucznik raz jeszcze głęboko zaczerpnął powietrza. Kiedy odbijał się od dna leja, grudki ziemi obsunęły się pod nim, stopa mu się ześliznęła. Przez ułamek sekundy klęczał na brzegu drogi, poderwał się natychmiast i pobiegł pięć kroków przed siebie. Usłyszał trask i głową naprzód runął do rowu. Kiedy chciał się podnieść, opadł z powrotem bez sił.

Wokół nich wybuchła piekielna strzelanina. Czerwona piechota ruszyła do ataku na wieś.

- Pan krwawi!

Heidemann ściągnął porucznikowi spodnie, rozciął mu but składanym nożem do cięcia kabli. Po wewnętrznej stronie lewego kolana tryskała jasna czerwona krew. Drżącymi rękami kapral

owinał kolano bandażem. Noga poniżej i powyżej rany zaczęła w oczach sinieć. Z trudem wciągnęli z powrotem spuszczone spodnie.

O sto zaledwie metrów od nich rozległo się triumfalne „urra!” radzieckich oddziałów. Zadudniły silniki czołgów.

- Szybko, panie poruczniku!

Kapral skoczył naprzód. Helgert chciał się poderwać, ale mu się nie udało. Lewa noga ciążyła mu jak martwy kloc. Spróbował raz jeszcze. Pociemniało mu przed oczami. Opuściły go resztki sił i energii.

Heidemann przyczołgał się ku niemu z powrotem.

- Panie poruczniku!

Jego oczy wyrażały strach i bezradność.

- Spływaj! - mruknął Helgert.

Kapral myślał, że się przesłyszał.

- Masz natychmiast wracać do baterii!

Heidemann nie zważając na różnicę rang, zaczął z całych sił wlec swego dowódcę, ale zdołał przesunąć ciężkie ciało zaledwie o krok naprzód. Spróbował raz jeszcze. Ręce mu drżały.

Helgert wyciągnął pistolet.

- Ruszaj w tej chwili! Widzisz przecież, że nie dasz rady!

Wtedy kapral Heidemann pognał przed siebie z rozpaczą w oczach. Może uda się jeszcze jakoś ściągnąć stąd porucznika. Goniły go okrzyki „urra!” i niezliczone kule. Bez przeszkód dotarł do zakrętu wiejskiej drogi i pędził dalej, trzymając w garści Q8, gotów walczyć o życie do ostatka.

Nagle na samym końcu wsi usłyszał czyjś głos wykrzykujący jego nazwisko. Heidemann rozejrzał się przerażony. Za jakimś domem zobaczył podporucznika Gengenbacha z dwoma radiotelegrafistami i kilkoma żołnierzami z 3 kompanii; wszyscy mieli odbezpieczone pistolety maszynowe.

Jednym susem znalazł się przy nich i oznajmił im dysząc, że porucznik Helgert leży ranny na drugim końcu wsi, w przydrożnym rowie.

Rosyjscy piechurzy podchodzili właśnie do pierwszych domów.

W tej samej chwili Bender wcisnął swój karabin do ręki Heidemannowi i puścił się pędem naprzód, gnany chęcią niesienia pomocy rannemu dowódcy baterii.

- Stój! - ryknął Gengenbach.

Bender nic nie słyszał i nic nie widział.

Kiedy Gengenbach już miał strzelić, ujrzał Eiserberga, który wyskoczył o dwa domy dalej i gestem piłkarza podciął Benderowi nogi. Ten potknął się parę razy. Wtedy Eiserberg chwycił go za kark i zaciągnął wśród gwizdu kul pod osłaniającą ścianę.

Porucznik Helgert widział, jak brązowe postacie kocim krokiem skradają się przez ogródki w głąb wsi. Przesunął do przodu zapadkę zabezpieczającą swego „Walthera”. Czerwony punkt ostrzegawczy zdawał się z niego drwić. Lewa noga aż po biodro była jak z ołowiu. Szok wprowadził go w stan otępienia. Nie mógł skupić myśli. Chciał się tylko na jednym skoncentrować: zanim Rosjanie go tu znajdą... Skulił się, ścisnął prawą ręką chłodną stal. A może chwila wymaga od niego czegoś zupełnie innego? Wszystko było mu właściwie całkiem obojętne.

Nagle usłyszał ostre, krótkie komendy, potem kroki i zobaczył, jak czterech, pięciu, sześciu Rosjan wskakuje po kolei do rowu i czołga się w kierunku środka wsi. Tam brzęczały teraz głównie ręczne granaty. Jego nie zaszczycono ani jednym spojrzeniem.

Helgert przesunął zapadkę zabezpieczającą to w jedną, to w drugą stronę. Obrócił się na plecy. Lewa nogawka była napięta.

Dopiero teraz zauważył, że Heidemann rozciął spodnie nad kolanem i but aż do kostki. Nie czuł bólu tylko dziwną otępiałość, jakby całe ciało doznało gwałtownego wstrząsu. Odgłosy walki oddalały się z każdą chwilą i coraz bardziej cichły. Za to błyszczące kręgi w jego mózgu stawały się coraz jaskrawsze.

Porucznik Helgert odzyskał przytomność dopiero wtedy, kiedy ktoś chwycił go za nogi. Ktoś drugi podtrzymywał go za ramiona. Obaj czerwonoarmiści wywlekli go z rowu i zanieśli do prymitywnego wózka sanitarnego. Nad jego bocznymi ściankami przymocowano rusztowanie dla dwóch par noszy. Na jednych leżał zalany krwią żołnierz radziecki, który wyglądał na nieprzytomnego. Sanitariusz zajęty był właśnie opatrywaniem go. Na drugich noszach ułożono Helgerta niezbyt uprzejmie, ale też nie brutalnie.

Pod nim wił się, jęcząc z bólu, jakiś niemiecki sierżant, a obok leżał radziecki kapitan z szeroko otwartymi oczami.

Wreszcie rozległo się cmoknięcie i dwa małe, nędzne koniki ruszyły.

Helgert obejrzał się. Jechali tą samą drogą, którą biegł z Heidemannem w tak obłądnym tempie tylko w odwrotnym kierunku.

Obok woźnicy leżał jego mapnik i pas. Z kabury wystawał „Walther”, zabezpieczony, ponieważ nie było widać czerwonego punkcika.

We wsi pod ostatnim stanowiskiem obserwacyjnym Heidemanna panował niezwykły ruch; pełno tam było czołgów, piechoty, dział przeciwpancernych i ciężkich granatników Czerwonej Armii.

Trzynastu Niemców, lżej lub ciężiej rannych, ułożono na świeżej słomie w pierwszym domu na brzegu wioski. Nikt nie

odzywał się ani słowem. Każdy usiłował we własnym zakresie uporać się ze swymi ranami i z niewolą.

Helgert czuł się tak, jakby wszystko w nim wygasło. Nawet świadomość, że jest jeńcem, specjalnie go nie przerażała. Ale też nie cieszył się myślą, że wszystko, co go przez tyle ostatnich miesięcy dręczyło, wreszcie się skończy. Do izby weszła rosyjska lekarka. Porucznik obserwował ją apatycznym spojrzeniem. Może była tylko felczerką ubraną na białą, szeroką w biodrach, bardzo młodą. Łamaną niemiecką pytała każdego po kolei o rany. Wtedy Helgerta ogarnął strach, odwieczna nieufność wobec nieznanego przeciwnika doszła nagle do głosu. Moja noga, pomyślał, a jeśli mi ją zaraz utną! Poczł występujące na czole krople potu. Palcami wpił się w szeleszczącą słomę.

Lekarka podeszła do niego i zapytała o coś urywanymi słowami o twardym brzmieniu, których sensu nie rozumiał. Z zaciśniętymi zębami potrząsnął głową.

Powtórzyła:

- Zmienić opatrunek?
- Nie. Nie potrzeba. To był tylko rykoszet!

W jej oczach błysnęła lekka drwina, kiedy przechodziła do następnego rannego.

Porucznik odetchnął.

Pod wieczór zjawił się stary żołnierz z obwisłymi wąsami i przyniósł kociołek z dymiącym jedzeniem. Postawił przy każdym miszkę gęstej zupy i włożył do środka po drewnianej łyżce.

Za oknami słycać było monotony krok posterunku.

Była to noc pełna udręki. Ranni jęczeli. W przeciwnym kącie ktoś bredził nieprzytomnie zanim umarł.

Helgert usiłował zasnąć. Wciąż jednak budziły go odgłosy cierpienia. Od czasu do czasu zapadał w krótką, błogą drzemkę, ale zaraz budził się przerażony.

W niewoli, w rosyjskiej niewoli! I dotychczas włos mi z głowy nie spadł, zastanawiał się. Mogli mnie przecież zakatrupić jak psa, tam pod Jewlańskimi Utaszkami. Do diabła, ależ mnie boli to cholerne kolano. O zastrzyku przeciwężcowym nie ma tu przecież mowy. Tym lepiej, przynajmniej się wszystko skończy. Tylko biedna Ilza. Zaginiony. Najgorsze, co ją mogło spotkać. Chyba mam gorączkę.

Ciekawe, czy Heidemannowi się udało? A może bateria nie wydoszła się w ogóle z tego okrążenia? Wszystko to razem diabła warte. Muszę się z tego jakoś wylizać. Nie mogę tu zdechnąć. A może czekasz już na mnie, Senfleben? Może nadeszła pora wyrównania tego rachunku. Krew zmywa się tylko krwią. Tak się przecież mówi. Nawet w SS. Dziwne.

Potem i te myśli wygasły.

Nagle Helgert zaczął z uwagą nasłuchiwać. Czuł narastające nerwowe napięcie. Równomierne, głębokie, odległe jeszcze dudnienie zdawało się przenikać przez wszystkie okna. Porucznik uniósł nieco głowę. Ranek rozjaśniał już trochę blade nocne niebo. Daleki odgłos przybierał wciąż na sile. Teraz już wiedział: to samoloty! Ciężkie maszyny. Może dźwigały bomby na Jelnię albo na Smoleńsk. Głęboki pomruk silników posuwał się jednak na wschód. Czyżby to byli Niemcy? Od dawna się to już nie zdarzało. Jak na eskadrę bombowców, lecieli piekielnie nisko.

Teraz jedna szyba niedomkniętego okna z lewej strony zaczęła brzęczeć do wtóru. Helgert wsłuchiwał się uważnie w donośne dudnienie. Nie ulega wątpliwości, to Stukasy! Niemieckie bombowce nurkujące. Ju 87! Przecież ich w ogóle nie ma! Skądże by się nagle wzięły? Kilka takich ptaszków o sztywnych nogach widział ostatnio nad Orłem. Potem już ani razu. Czyżby zamierzały rozpocząć prywatną ofensywę przeciwko Kremlowi? Porucznik roześmiał się drwiąco.

I oto nagle usłyszał wycie lotu nurkującego. Oczyma wyobraźni ujrzał tyle razy oglądany obraz, jak samolot przechyla się, przechodzi w stromy, szybki lot nurkujący, jak bomba się od niego odrywa i zabójczo wymierzona spada na upatrzony cel, po czym maszyna w ostatniej chwili z wyciem podrywa się z powrotem w górę.

Gwałtowne uderzenie wstrząsnęło ziemią, aż cały dom się zachwiał. Potem jeszcze jedno i jeszcze, aż w końcu nie można ich już było rozróżnić. Helgert słyszał krzyki i bieganinę.

Spróbował wstać. Całym ciężarem oparł się na zdrowej nodze. Udało się. Posuwał się przy pomocy obu rąk, ciągnąc martwą nogę za sobą. Nie zwracając uwagi na krzyki innych rannych, czołgał się w kierunku drzwi. Nie były zamknięte. Przełaził do sieni. Zewnętrzna brama była szeroko otwarta.

Wciąż jeszcze pięćsetkilogramowe bomby sypały się na wioskę. Na drodze nie było żywego ducha. Helgert rozpaczliwym wysiłkiem dążył w stronę przydrożnego rowu; jeśli już ginąć, to przynajmniej na otwartym polu. Śmiertelny strach dodawał siły rękom, które wlokły bezwładne ciało.

Czołgał się wciąż dalej naprzód, coraz to ręce się pod nim ugiwały, ale zaraz z nową energią wspierał się na nich. Przed oczami tańczyły mu barwne kręgi. Bluza i spodnie były w strzępach. Męczył się wytrwale jak na placu ćwiczeń. Trzydzieści, czterdzieści metrów miał już za sobą.

Wszędzie dokoła słychać było odgłosy walki.

Gdzieś daleko toczyły się przez pole stalowe kolosy. Niemieckie czołgi! Patrzył, jak zbliżają się, strzelając. Kanciasta czarna swastyka o białych brzegach widoczna była z daleka. Czy Helgerta zwrócone były ku niej nieruchomo z niedowierzaniem. Własne czołgi na odcinku! To chyba fatamorgana, złośliwy gorączkowy majak.

Nie! To dudniąca rzeczywistość! Te czołgi strzelają! Autentyczny kontratak! Nasi znowu nacierają! Niemiecki Wehrmacht mnie wyratuje, nie zostawi na łasce losu. Bender jest sabotażystą, buntownikiem, wywrotowcem! On kłamie, nie ma racji - słyszał w sobie krzyk.

Porucznik nie widział radzieckiej piechoty, która wycofywała się zreżcznie ze wsi, wytrwale stawiając opór nieprzyjacielowi. Słyszał zbliżające się wycie nowej fali Stukasów. Łzy popłynęły mu po twarzy. Wszystko jeszcze będzie dobrze.

Opadł bez sił na ziemię, wyciągnął się, łkając.

Rozdział 21

Hauptsturmführer Fiedler był bardzo niezadowolony, że tyle tygodni nie posunął się ani krok naprzód w sprawie Zakładów Zbrojeniowych-Północ. Więźnia Beckera nie zdołał dotychczas nakłonić do żadnych sensownych zeznań. Fiedler zestawiał wszystkie fakty, jakie miał do dyspozycji: zgromadził już sporo ulotek tej samej treści, z czego wynikało, że ilość będących w obiegu musi być znacznie większa. Ów tajemniczy egzemplarz z odręcną notatką znał jednak jak dotąd tylko Ferdynand Becker.

Fiedler wiedział, że może trafić na ślad tej sprawy jedynie przy pomocy zeznań Beckera, dzięki przypadkowi albo też - co było najbardziej prawdopodobne - drogą precyzyjnego, na szeroką skalę zakrojonego śledztwa na terenie Zakładów Zbrojeniowych i poza nimi.

Fiedler raz jeszcze spróbował szczęścia z Beckerem. Jedynym rezultatem tej próby był zmaltretowany do ostateczności człowiek, który mimo maksymalnego nakładu energii ze strony oprawców, milczał, chwilami zdawało się, że kołaczą się w nim już tylko resztki życia.

Kiedy mianowano Himmlera ministrem spraw wewnętrznych, zaostrzył się znacznie kurs również i na terenie działalności Fiedlera. Hauptsturmführer przekonał się przy tej okazji, że w ciągu roku 1943 bunt przeciwko reżimowi i akcja sabotażowa

wyraźnie przybrały na sile tak, że konieczne się stało stosowanie tym surowszych środków zaradczych. Ze czcią przypomniał sobie wymowną obietnicę ministra propagandy Rzeszy, doktora Josepha Goebbelsa, z bojowego okresu przed rokiem 1933: „Głowy się potoczą” - oraz konieczność realizowania tej zapowiedzi, i to przede wszystkim, przez niego, oficera SS.

Aby jego działalność dała zadowalające rezultaty, należało rozpocząć systematyczną, precyzyjną pracę nad złożeniem w sposób naukowy całej tej skomplikowanej mozaiki. A więc Hauptsturmführer Fiedler zaczął znowu od początku: kim jest Kurt i kto z Zakładów Zbrojeniowych - Północ ma do czynienia z jakimś Kurtem? Taki był pierwszy punkt jego programu.

Fiedler puścił w ruch nową armię swoich podwładnych i w parę dni później popadł w niestychane zdumienie, kiedy się przekonał, jak rozpowszechnione było na terenie fabryki zwykłe niemieckie imię „Kurt”. Kazał sobie sprowadzić tych Kurtów jednego po drugim. Nielicznych spośród nich trzeba było po przesłuchaniu nadal śledzić. Paru po prostu zapomniał odesłać do domu.

Między innymi, w ramach tej planowej akcji, zjawiła się przed jego obliczem niejaka Klaudia Sanden, cała spowita w patriotyczną żałobę. Fiedler raz jeszcze przebiegł wzrokiem swoje notatki. Panna Sanden była kiedyś zaręczona z oficerem o imieniu Kurt, twierdziła jednak, że już od dłuższego czasu nie utrzymuje z nim żadnych kontaktów. Żałobę nosi po swoim poległym narzeczonym, architekcie, kapralu Eberhardzie Baumie.

Zdaniem Fiedlera, Klaudia Sanden nie miała nic wspólnego z ulotką, ponieważ w ogóle nie zareagowała, kiedy ją przed nią położył. Jednakże opanowanie i precyzja, z jaką odpowiadała -

z jednej strony, i łzy żałoby - z drugiej, jakoś nie bardzo do siebie pasowały. Uznał to za objaw schizofrenii, której przyczyny wydały mu się interesujące. Fiedler nie miał w tym wypadku żadnych konkretnych podejrzeń, ale uważał, że ostrożność nigdy nie zawodzi. Po krótkiej rozmowie przeprosił w nienagannej formie Klaudię Sanden, oświadczył, że nie będzie jej już więcej niepokoił i poprosił o zachowanie dyskrecji wobec współlokatorów i kolegów w Zakładach Zbrojeniowych. Ze zrozumiałych względów. Wyraził jej poza tym wdzięczność za chęć służenia mu bezinteresowną pomocą i życzył wszystkiego najlepszego na dalszej drodze życia. Heil Hitler!

Brama Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy na Prinz-Albrecht-Strasse w Berlinie otworzyła się przed Klaudią Sanden. Całym wysiłkiem woli starała się nadać swojej twarzy obojętny wyraz, ale nie potrafiła ocenić, czy podczas tego przesłuchania zachowywała się w sposób nie budzący żadnych podejrzeń.

Nie miała już teraz wątpliwości: Dörnberg sporządził fotokopię ulotki i dostarczył ją do Sicherheitsdienst, jeszcze zanim spotkał się z nią przed Dworcem Śląskim.

Wzbudziłam jednak pewne zainteresowanie - pomyślała. Nie wiem tylko, czy ktoś jeszcze poza mną był w związku z tym podejrzany. Sam fakt wezwania mnie dowodzi, że co do mnie istnieją jakieś zastrzeżenia. Gdyby jednak Dörnberg podał moje nazwisko, przesłuchanie inaczej by wyglądało. Ta irytująca uprzejmość! Te niewinne niby, a podstępne chwytły! I nagle całkiem nieoczekiwanie: „Może pani wracać do domu. Dziękuję, nie będziemy pani więcej niepokoić”.

W skrzynce na drzwiach jej małego mieszkania zastała list od Fritza Helgerta, wysłany przed trzema tygodniami. Był to już drugi od jego powrotu na front. Przepraszał ją raz jeszcze, że

wyszedł od niej tak nagle, nie wyjaśniając przyczyny. List był krótki, pisany wyraźnie w pośpiechu. Na końcu porucznik Helgert zapewniał Klaudię, że nigdy nie zapomni chwil spędzonych u niej.

To wygląda jak jakiś urok. Kiedy człowiek mu się poddaje, wtedy przestaje istnieć Sicherheitsdienst i troska o aresztowanych i straconych przyjaciół. Strach ustępuje. Ja również nigdy nie zapomnę tego wieczoru, kiedy właściwie po raz pierwszy naprawdę poznałam porucznika Helgerta, mimo odświeżonych wspomnień i bólu z powodu Eberharda i mimo mojej gwałtownej reakcji na słowo „dzielny”. Tak, ten wieczór wciąż powraca w moich myślach. Kiedy zamykam oczy, czuję dziwną więź łączącą mnie z Fritzem Helgertem. Czuję po prostu jego obecność i to mnie uszczęśliwia.

Wieczorem, pod osłoną ciemności, Klaudia poszła odwiedzić panią Bender. Zaoszczędziła dla niej kawałek masła i trzy jajka.

Twarz matki Bendera schudła wyraźnie. Kaszłała teraz często, ale twierdziła, że nic ją nie boli, tylko jest trochę słaba, poza tym czuje się dobrze.

Klaudia dyskretnie położyła małą paczuszkę na kredensie, za puszką na chleb. Znała skromność pani Bender i wiedziała, że potrafi być czasem uparta.

Czuła potrzebę podzielenia się z kimś swoimi przeżyciami. Staruszka słuchała w milczeniu, jak to było w jej zwyczaju. Kiedy padło nazwisko Fiedler, w jej oczach pojawił się wyraz nienawiści.

- Towarzysze wybadali, że ten sam Fiedler naszego Ferdynanda... Fiedler to nie człowiek, to potwór!

Klaudia przeraziła się.

- A jeśli Ferdynand wymienił moje nazwisko?

Matka Bender spojrzała na nią uważnie.

- Moje dziecko, Ferdynand jest komunistą. Nazwiska przyjaciół... Zdrada? - potrząsnęła głową. - Nie, to wykluczone!

- Przepraszam, nie jestem tak silna jak wy wszyscy.

- Nikt nie ma pani tego za złe, że wyrosła pani w świecie, w którym wszystko opierało się na pieniądzach, a nie na przekonaniach. Ferdynand zawsze postępował w myśl swoich przekonań. Poświęciłby za nie życie...

Klaudia była zawstydzona. Ale strach nie opuścił jej serca.

Do restauracji „Chatka” na Chausseestrasse w dzielnicy Wedding wszedł, rozsuwając zielone zasłony zaciemniające, dobrze ubrany pan około czterdziestki. Przystanął na chwilę, zdjął okulary i zaczął je powoli przecierać chusteczką. Obrzuciwszy z ukosa spojrzeniem pustawy lokal, skierował się, lekko utykając, ku znajdującym się naprzeciwko wejścia do kuchni drzwiom z napisem na emaliowanej tabliczce: „Pokój związkowy”.

W małym pokoiku siedział mężczyzna, który kazał sobie właśnie podać drugą szklankę piwa. Nowo przybyły powiesił płaszcz na wieszaku i poprosił kelnerkę o chytrych oczkach, żeby i jemu przyniosła jedno jasne.

- Dobry wieczór, Pawle!

- Dobry wieczór, doktorze. Nie gniewaj się, że tutaj się z tobą umówiłem.

- A cóż mi to szkodzi. - Doktor Bärwald położył na stole paczkę francuskich papierosów i zapalił jednego. Po pokoju rozszedł się ostry zapach dymu. - Musiałeś mieć jakieś po temu powody.

Tamten odparł bez żadnych wstępów:

- Klaudia została wezwana do SD na przesłuchanie. Naszym zdaniem zrobiono to tylko dla porządku, w ramach śledztwa prowadzonego na terenie Zakładów Zbrojeniowych.

- To znaczy, że jej tam nie zatrzymali? - spytał pośpiesznie doktor Bärwald.

- Nie. Ale dziewczyna porządnie się wystraszyła.

- Trudno się jej dziwić.

- Liczymy się jednak z tym, że wkrótce znowu ją tam zaproszą. Czy wtedy się nie załamie...

- Jakie macie w takim razie zamiary? - zapytał doktor Bärwald, pociągając łyk pozbawionego zupełnie piany piwa. - Cóż za obrzydliwy sikacz!

- Chcielibyśmy wyprawić ją z Berlina i wysłać do rodziców do Szwajcarii.

- Nie będzie to takie proste. A jaka ma być w tym moja rola?

Tamten pochylił się ku niemu i spytał cicho:

- Czy nie mógłbyś wypisać jej zaświadczenia lekarskiego, które by ją zwalniało od pracy w Zakładach Zbrojeniowych?

Lekarz zaczął znowu przecierać szkła swoich okularów.

- Drogi Pawle, to byłoby możliwe tylko w wypadku ciąży. Nie masz pojęcia, ile starszych kobiet decyduje się na dziecko, byle uzyskać takie zwolnienie.

- Ale gdybyś wydał zaświadczenie. Przewlekłe przypadłości wątrobiane czy coś w tym rodzaju.

Doktor Bärwald potrząsnął głową.

- Mogę najwyżej dać jej zwolnienie chorobowe na sześć tygodni. Potem musi już zdecydować lekarz urzędowy.

Paweł zaszepił się.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy zdążyli wszystko załatwić w ciągu sześciu tygodni.

Lekarz zaczął się zastanawiać.

- A może zrobimy tak: wypiszę jej najpierw zwolnienie na dwa tygodnie. Potem popracuje parę dni i znowu wezmę ją na badania z powodu pogorszenia stanu zdrowia. Tym razem na sześć tygodni.

- Możesz to zrobić?
- Sądzę, że tak. Przyślij mi ją jutro rano w godzinach przyjęć.
- Doktor Bärwald wstał i zdjął płaszcz z wieszaka. - Niech z nią przyjdzie matka Bendera. Już przeszło pół roku jej nie widziałem.

Paweł uśmiechnął się.

- Często o tobie opowiada. Jak ci dała w skórę, kiedy byłeś małym chłopcem i kradłeś jabłka.

- To wspomniała kobieta. Dzięki niej trafiłem do was! - Spojrzał na zegarek. - Wybacz, ale mam jeszcze wizytę u chorego.

Następnego dnia rano Klaudia Sanden i pani Bender zjawiły się w godzinach przyjęć u doktora Bärwalda. Lekarz opisał dziewczynie charakterystyczne objawy towarzyszące zapaleniu woreczka żółciowego i sposób, w jaki ma się zachowywać, gdyby jej kazano stanąć przed lekarzem urzędowym.

Przy tej okazji doktor Bärwald poddał dokładnemu badaniu starą przyjaciółkę Klaudii, panią Bender. Prześwietlenie wykazało otwartą gruźlicę, obydwa płuca były zaatakowane.

Klaudia zbladła.

- Trzeba w takim razie podjąć natychmiast jakieś kroki! Zastosować wszystkie możliwe środki leczenia!

- Środki leczenia? Najbardziej skuteczne sanatoria w Schwarzwaldzie zajęte są na szpitale wojskowe. A zdobycie miejsca dla osoby prywatnej może trwać miesiącami, bywa nawet zupełnie beznadziejne. Nie ma pani pojęcia, kto się tam kuruje. - W głosie Bärwalda brzmiała bezgraniczna pogarda. - Elita partyjna, rządowa i wojskowa od dawna ewakuowała swoje żony, przyjaciółki i dalszych krewnych na tereny niezagrożone nalotami. Jeśli pani towarzysze nie znajdą jakiegoś wyjścia, ja nic tu nie mogę poradzić...

W nocy odbyła się narada z Pawłem. Propozycja Klaudii, żeby umieścić panią Bender w Arosie u jej rodziców na tak długo, jak to będzie potrzebne dla jej zdrowia, nadała kierunek dalszym rozważaniom. Nie ulegało wątpliwości, że ojciec Klaudii im pomoże.

Opierając się na tym, Paweł ustalił, że pierwszym etapem podróży będzie Wiedeń. Tam wiele rzeczy, zwłaszcza jeśli chodzi o wyjazd do Szwajcarii, znacznie łatwiej można zorganizować. Są tam doświadczeni towarzysze, którzy już niejednego przemycili za granicę. Należało więc w Wiedniu przygotować wszystko tak, żeby pani Bender mogła bezpiecznie dostać się do Bazylei, a stamtąd, korzystając z pomocy rodziców Sandenów, do sanatorium.

Następnie Paweł wyjaśnił Klaudii, dlaczego i ona powinna opuścić Niemcy.

Towarzysze pracowali gorączkowo. Ze zmuszone składanych szczegółów powstawała mozaika, od której spistości zależało, czy obie kobiety dotrą bez szwanku do zbawczo neutralnej Szwajcarii, której Hitler dotychczas jeszcze nie tknął, jakkolwiek jego plany agresji od dawna ją już obejmowały.

Dni płynęły teraz w udręce wyczekiwania. Już tylko godziny dzieliły Klaudię od wyjazdu do Wiednia, gdzie miała zostać wprowadzona w swoją nową rolę. W kilka tygodni potem Klaudia Sanden zamieni się w fotografice Steffi Lindmayer, zameldowaną od dłuższego czasu w Wiedniu na Wahringer Strasse 34.

Gdy tylko sprawy dojrzeją tak, że można będzie bez ryzyka wyruszyć z Austrii do Szwajcarii, Klaudia przedzierzgnie się z kolei w zamieszkałą w Wiedniu na Ring 17 projektantkę mody Heli Altendorfer, która będąc obywatelką szwajcarską, zamierza swój urzędowo potwierdzony urlop spędzić u rodziców w Lozannie. Klaudia znała na pamięć wszystkie dane personalne obydwu

kobiet. Nie odbiegały one zresztą zbyt od jej własnych.

Natychmiast po przybyciu do Wiednia miała się podjąć pewnego drobnego zadania, o którym miano ją poinformować już na miejscu. Bardzo się na to cieszyła.

Ciągły niepokój związany z planowaną na koniec października ucieczką sprawiał, że Klaudia pisywała teraz do Helgerta znacznie częściej niż dawniej. W pierwszych listach nie wspominała prawie o sprawach osobistych, przeważnie dzieliła się z nim swymi spostrzeżeniami na temat aktualnych problemów. Teraz zaczęła opowiadać mu o tym i owym ze swego życia, nawet o chwilach spędzonych z Eberhardem Baumem. Głuchy ból po śmierci narzeczonego ulegał wtedy jakby uśmierzeniu. Stwierdziła ze zdziwieniem, że myśli o Helgercie miały dla niej wcale nie mniejszą wagę niż wspomnienia związane z powoli blednącą przeszłością.

Od chwili kiedy porucznik Helgert zawiadomił ją, że w czasie działań bojowych pod koniec sierpnia został ranny w nogę, martwiła się tym nieustannie. Nie zmniejszała niepokoju Klaudii jego uwaga, że tylko dzięki temu może pisać tak długie listy i że ma dużo czasu na rozmyślanie, gdyż leży przy taborach i kuruje się. Klaudia uważała ten zamęt uczuciowy za wynik nerwowego napięcia, w jakim ostatnio żyła.

Strach przed ponownym wezwaniem z gestapo nie opuszczał jej ani na chwilę. Teraz, kiedy zostało już ustalone, że za dwa dni ma nastąpić wyjazd do Austrii, gdzie towarzysze będą na nią oczekiwali, Klaudia patrzyła na Berlin tak, jakby go widziała po raz ostatni.

Nagle uświadomiła sobie fakt, że będzie musiała zerwać kontakt z Helgertem, ponieważ wkrótce Klaudia Sanden przestanie istnieć. Ta perspektywa sprawiła jej niemal fizyczny ból.

Zastanawiała się gorączkowo nad możliwościami dyskretnego poinformowania porucznika o nowym adresie.

Czy jej anonimowe listy dotrą do niego? A nuż przejdzie do innej dywizji i będzie miał zmieniony numer poczty polowej. Wtedy i to by się skończyło. Może Helgert mógłby chociaż raz napisać do Wiednia. Do Steffi Lindmayer. Można by mu powiedzieć, że to jej przyjaciółka. Nie. Te dwa nazwiska nie mogą być wymieniane obok siebie. Ale Fritza Helgerta trzeba koniecznie w jakiś sposób uprzedzić.

Tylko jedna osoba mogła jej w tym pomóc, Ilza Helgert. Jako jego żona musiała wiedzieć o ich korespondencji. I na pewno chętnie zawiadomi męża, że przez jakiś czas nie będzie otrzymywał listów do Klaudii.

Słońce, mimo drugiej połowy września, grzało jak w lecie. Klaudia pojechała metrem z dworca Śródmieście.

Dworzec Wedding. Postacie ludzi migały przed jej oczyma jak kolumny cyfr w statystykach. Wielka armia bezwolnych poddanych Führera. Czy tego chcieli, czy nie. Jedyńm ich hasłem było: przetrwać.

Kiedy Ilza Helgert poprosiła ją do mieszkania, Klaudia nie potrafiła podać żadnej sensownej przyczyny swojej wizyty. W pokoju usiadły naprzeciwko siebie, Ilza przemówiła pierwsza.

- Nam nie pozostaje nigdy nic innego, jak pogodzić się ze swym losem. Ukochanego człowieka właściwie nic nie może zastąpić. Ale kiedy się zabliźni rana? Kiedy wreszcie przyszłość przestanie być niepewna i zagrożona? Tyle jest na świecie cierpienia, którego kresu wcięż nie widać.

Ostatnie słowa były prawie niedoślyszalne.

Klaudia Sanden zdała sobie nagle sprawę z tego, że nie może prosić Ilzy Helgert o przekazanie porucznikowi swego wiedeńskiego adresu. „Cierpienie, którego kresu nie widać”. Kiedy

usiłowała rozszyfrować to zdanie, przypomniały jej się aluzje Dörnberga, Ilza Helgert robi wrażenie podobnie zawieszanej w próżni jak jej mąż. Nie jest szczęśliwa, ale nie różni się tym od nas wszystkich.

- Przyszłość niezagrożona? - powtórzyła Klaudia. - Kiedyś taka chwila wreszcie nadejdzie. Nie będziemy jeszcze wtedy mieli celu, tylko skorupy naszej strzaskanej przeszłości. Ale na pewno odzyskamy chociaż nadzieję!

Ilza Helgert potrząsnęła głową.

- Ja znam już treść mego dalszego życia. Jest to niesienie pomocy. Niesienie pomocy innym ludziom. - Patrzyła przez chwilę w dal, zamyślona. - Jednego tylko pragnę: żeby wojna go oszczędziła.

- Tak, żyjemy w strasznych czasach - powiedziała Klaudia.

- Właśnie my, kobiety, tak byśmy chciały innym pomóc, ale często nie wiemy nawet jak. Myślę, że pani mąż też przeżył wiele ciężkich chwil w trakcie tej wojny. W najbliższym czasie nie będę mogła tak często do niego pisać. Mam mnóstwo pracy...

W tej samej chwili poczuła się tak, jakby zdradzała czyjąś tajemnicę. A jeśli Ilza Helgert nie wie nic o tej korespondencji? Krew uderzyła jej do głowy. Zaległo przykre milczenie.

Klaudia Sanden zauważyła zmianę na twarzy Ilzy. Czyżby podejrzewała ją o romans ze swym mężem? Ta myśl tak Klaudię przeraziła, że zaczęła się tłumaczyć:

- Pani mąż był od wielu lat zaprzyjaźniony z Eberhardem. - Ona przecież o tym wie. Co ja wygaduję? - Byłam mu wtedy niezmiernie wdzięczna, że mnie odwiedził. Tak niedawno widział Eberharda... rozmawiał z nim... była to jakby ostatnia więź... - Urwała bezradnie. Jej jąkanie brzmiało jak usprawiedliwienie. Mięła nerwowo chusteczkę, A więc wszystko się rozstrzygnęło, myślała Ilza. Ta korespondencja stanowi jeszcze jeden dowód na

to, że nasze drogi się rozchodzą, nawet jeśli między tymi faktami nie ma związku. Nic nie zdołało uratować naszego małżeństwa. Może dopiero bieg ostatnich wydarzeń pchnął go ku Klaudii Sanden, może łączy go z nią więcej, niż kiedykolwiek łączyło ze mną.

Ilza zasunęła story zaciemniające i zapaliła światło.

Klaudia wydawała jej się teraz bardziej obca niż w pierwszej chwili.

- Pani osobiste plany uległy zapewne zmianie?

Klaudia przeraziła się. Odpowiedziała ochryplym głosem:

- Chciałabym kiedyś spróbować sił na polu artystycznym...

Ale czy z tego można żyć?

Wzruszyła ramionami. Pożegnała się spiesźnie, dziękując Ilzie za serdeczne słowa.

Kiedy Ilza Helgert zamknęła za gościem drzwi, czuła się tak, jakby ta rozmowa odbyła się tylko w jej duszy.

Miłości nie można wymusić, myślała. I nie można zatrzymać czegoś, co się wymyka. Pozostaje mi rezygnacja; rezygnacja z mojego męża... z Fritza Helgerta. To boli. Ale trzeba się będzie pogodzić z istniejącym stanem rzeczy.

Zostałam teraz zupełnie sama. Będę jednak miała pracę, zawód, bo nie chcę wyłączać się z życia. Nigdy nie jest za późno.

Był to najdłuższy list, jaki Klaudia napisała dotychczas do Helgerta.

Szukała w nim oparcia przed wielkim zagrożeniem, jakie ją z zewnątrz osaczało.

Rozmowa z Ilzą nie została w jej liście wspomniana, znalazła w nim tylko pośrednie odbicie.

Rozdział 22

Wszędzie, gdzie kompania sanitarna rozkładała swój główny punkt opatrunkowy, obstawiając się licznymi flagami Czerwonego Krzyża, zalegały mroki cierpienia i równocześnie kiełkowała nowa nadzieja.

Można tam było spotkać oddanie sprawie prawdziwego humanizmu, ale także obojętność i cyniczne eksperymentowanie na obiekcie noszącym miano - człowiek. Śmierć grała tu główną rolę. Za to ponosiła jednak winę w pierwszym rzędzie wojna, a w drugim dopiero ludzka niedoskonałość.

Na cienkiej warstwie słomy leżeli ranni, którzy po odpowiednim opatrzeniu mieli już sami starać się o to, by przetrwać.

Przetrwanie polegało tu przede wszystkim na utrzymaniu się w ogóle przy życiu, następnie zaś na dostaniu się w porę do pociągu sanitarnego. „W porę” zaś oznaczało znaleźć się w drodze, zanim Armia Czerwona opanuje najbliższe odcinki frontu.

Jedną z form owego przetrwania było uzyskanie wymarzonego długoterminowego urlopu zdrowotnego gdzieś w górach Taunus czy w Schwarzwaldzie. Z tym łączyła się nadzieja na zakwalifikowanie do „służby garnizonowej w kraju” albo przy wyjątkowym szczęściu - na uznanie za „niezdolnego do służby wojskowej”.

Punkt opatrunkowy kompanii sanitarnej stanowił rodzaj śluzy, która mogła się otworzyć zarówno w jednym, jak i w drugim kierunku.

Operował doktor Roeber. Tydzień po tygodniu, odkąd w ostatnich dniach sierpnia zaczął się łuk jelneński, zjawiali się na jego stole coraz to nowi umundurowani pacjenci. Chirurgowi migotało przed oczami.

Na dworze zapadał już wieczór, kiedy wniesiono kolejnego rannego. Podczas gdy operatorowi posypywano dłonie talkiem, a asystujący lekarze pośpiesznie sterylizowali i układali instrumenty, dokoła rozlegały się szepty budzące szczególne zdziwienie w doktorze Roeberze, który pedantycznie przestrzegał, aby przygotowania do operacji odbywały się w absolutnym milczeniu. Każdy chwyt musiał funkcjonować jak tryby w bezgłośnym mechanizmie.

Szum na sali dotyczył najwyraźniej żołnierza, który otrzymywał właśnie narkozę, ale nie raczył nawet liczyć, jak tego wymagały przepisy.

Krople eteru padały równomiernie na kłębek waty przed zielonkawą twarzą mężczyzny, który z zamkniętymi oczami leżał na stole operacyjnym. Obok niego rzucona na stołek bluza wojskowa, bez żadnych oznak stopnia.

- Brzuch - szepnął jeden z asystentów.

Lekarz spojrzał zafascynowany na minimalny ślad, jaki odłamek zostawił tuż pod pępkiem. Spojrzał na zegarek. Środek oszłamiający powinien być już podziałać.

Chirurg raz jeszcze zgromadził resztki energii, jakie mu tego dnia pozostały. Pracował szybko i pewnie. Wszystko dokoła zniknęło.

Po czym zajrzał do otwartego wnętrza ciała, w którym zawarte było życie. Jego oczy przesunęły się z rozpaczą po beznadziejnie poszarpanych jelitach. Nie było na to ratunku. Żadnego.

Czuł pulsowanie krwi w skroniach. Zaszył z powrotem szerokie cięcie. W środku kryła się śmierć.

Roeber wyszedł za drzwi, palił, chciwie się zaciągając. Był tak wyczerpany, że nie mógł nawet zebrać myśli.

Jeden z jego asystentów podszedł do niego.

- Kto by pomyślał, że go to spotka tak daleko od frontu!

- Kogo? - zapytał lekarz, wyrwany ze swego otępienia.

- No, tego dzielnego chłopca, podporucznika Eiserberga. Dziś po południu był w sztabie dywizji, zdaje się, że na jakimś przesłuchaniu w sądzie wojennym. Kiedy wracał na motorze do siebie, jakiś niemiecki bombowiec musiał dokonać awaryjnego zrzutu bomb, ponieważ kilka Ruskich deptało mu po piętach. O jakieś dwieście metrów dalej złożył następne jajko!

- Eiserberg? Ten, co ma liście dębowe?

- Tak, tak, właśnie on. Widocznie jednak odłamek o tym nie wiedział!

- Więc ten z odłamkiem w brzuchu to Eiserberg?

Tamten skinął potakująco głową.

Nazajutrz wczesnym rankiem doktor Roeber chodził już między rzędami swoich „przypadków”. Gnało go do podporucznika Eiserberga, który w jego przekonaniu mógł nie przetrzymać nocy.

Otóż i on. Zmieniona, szara twarz, niepodobna do tej, którą lekarz miał jeszcze w pamięci. Roeber z trudem wykrztusił parę słów:

- Jakże się pan czuje, panie podporuczniku?

Dowódca kompanii zwrócił ku lekarzowi swoje spokojne oczy.

- Dziękuję panu, że mi pan uratował życie. Moja żona i nasza mała Agnieszka też będą panu za to wdzięczne. Mało kto z kolegów wiedział, że ja w ogóle mam rodzinę.

W głosie Eiserberga nie było teraz ani śladu cynizmu. Roeber zrobił jakby obronny gest ręką. Potem poklepał tamtego po ramieniu. Wzruszenie ścisnęło go za gardło.

Tuż obok umarł w ciągu nocy jakiś żołnierz, nie miał ani książki żołdu, ani znaku rozpoznawczego. Dla niego niepotrzebne już było miejsce w sanitarce jadącej do szpitala polowego, wystarczała płachta brezentowa.

Lekarz szedł dalej, zgarbiony; od jednego żołnierza do drugiego, pełen chęci niesienia pomocy. Na plecach czuł wzrok umierającego podporucznika. Miał jednak i przypadki nastrajające bardziej optymistycznie.

- No, pan się w czepku urodził, poruczniku! Takie szczęście jak pana zdarza się tylko w medycznych anegdotkach. - Roeber przysiadł się do Helgerta - Widzę jeszcze pana oczy, kiedy wyjmowałem sondę z pańskiego kolana i podchodziłem z nią do światła!

- I pomyśleć, że są tacy, co twierdzą, że Ruski źle strzela!

- Rzeczywiście. Trafił dokładnie między ścięgna i kości. Krwawe wylewy stanowiły tylko niewinne dodatki. Przez te dwa tygodnie, które pan u nas spędził, nastąpiła ogromna poprawa. - Pochylił się ku Helgertowi i szepnął: - Niech się pan trochę zajmie Eiserbergiem! Zna go pan przecież od dawna. - Wskazał dyskretnie podporucznika. - Odłamek w brzuch. Sprawa beznadziejna.

Helgert kiwnął głową i przełknął ślinę. Eiserberg i „sprawa beznadziejna”? To niemożliwe! Roeber musi się mylić! On nie ma przecież pojęcia, kim jest Eiserberg. To nie żaden zwykły piechociarz. To po prostu Eiserberg, którego nie ima się żadne niebezpieczeństwo. Eiserberg jest uosobieniem hartu. Jakiego właściwie hartu? Gwarantującego zwycięstwo? Czy podnoszącego na duchu, kiedy się bałem? Boję się, że Eiserberg odejdzie!

Między dwoma rzędami skręcających się z bólu rannych sanitariusze nieśli żołnierza, który umarł obok Eiserberga. Doktor Roeber stłumionym głosem kazał im położyć na opróżnionym miejscu porucznika Helgerta.

Potem odszedł bez pożegnania, żeby kontynuować to, co w cywilu nazywa się „wizytą”.

Ten łagodny wrześnieowy dzień, spędzony przez dowódcę baterii w tymczasowej kwaterze punktu opatrunkowego, przyniósł jeszcze parę wydarzeń, które nie należały do normalnego programu.

W kilka minut później wśród wypełniających pomieszczenie jęków załśnił Krzyż Rycerski. Dopiero po dłuższej chwili Helgert poznał we wchodzącym pułkownika Krusemarka. - Mój drogi poruczniku! - Pułkownik zwrócił się ku „swemu” dowódcy baterii z maksymalną życzliwością, jaką tylko można było zademonstrować. - Jak się pan czuje? Przynoszę panu pozdrowienie od naszego dumnego pułku! - Dotknął lekko palców Helgerta. - Proszę mi się tylko grzecznie sprawować i robić wszystko, co doktorek każe. Pogadam jeszcze o panu z Roeberem.

Skinął łaskawie głową leżącemu obok ciężko rannemu i odezwał się teraz uroczystym tonem:

- Widzi pan, pańska ucieczka z niewoli stanowi dowód prawdziwie niemieckiego ducha wojskowego, dyscypliny i poczucia obowiązku. Dał pan piękny przykład, jak wielkich rzeczy można dokonać, wierząc niezachwianie w Führera i broniąc sumiennie honoru niemieckiego oficera. Trzeba by o tym napisać do „Reichu”!

Potem Krusemark przysunął się bliżej i powiedział poufnie:

- Chciałbym jeszcze z panem omówić pewną służbową sprawę!

Służbową sprawę? Helgert nie miał pojęcia, o co tu może chodzić. Baterią dowodził przecież Gengenbach. Zresztą porucznik

nie orientował się zupełnie w obecnej sytuacji na froncie.

Głos Krusemarka brzmiał teraz natarczywie.

- Niech pan sobie wyobrazi, że dwa tygodnie temu kanonier Bender w tej dziurze, jakże się ona nazywała, Jewiańsk, czy coś w tym rodzaju...

- Jewlańskie Utaszki, panie pułkowniku!

- Słusznie, słusznie, wie pan, ten Bender, telefonista z pańskiej baterii, chciał pana wtedy ratować, kiedy pan leżał w błocie sam, odcięty od swoich. I to ratować bez broni. W ogóle bez broni!

I rozejrzał się groźnie dokoła.

- Skąd on mógł wiedzieć, że ja tam leżę - spytał Helgert nieufnie.

- Kapral Heidemann spotkał go w grupie kilku piechurów i artylerzystów i opowiedział im o tym, strasznie przejęty!

Porucznik zaczął się błyskawicznie zastanawiać: Najwyraźniej Bender chciał w owej chwili zamieszania wprowadzić wreszcie w czyn swój tak dawno już powzięty zamiar. A ranny dowódca baterii byłby znakomitym alibi. A to dopiero kawał drania! Helgert sam się sobie dziwił, że go to nawet specjalnie nie oburzało.

Spojrzał na pułkownika i usłyszał słowa wypowiedane widocznie przez jakiegoś innego Helgerta:

- Bender jest dzielnym żołnierzem. Wierzę, że gotów był mnie ratować, ryzykując życie.

Pułkownik Krusemark poczuł, że zamiera w nim radość z tego spokojnego ranka spędzonego w odległości szesnastu kilometrów od frontu, pod osłoną Czerwonego Krzyża. Jego głos stał się o jeden odcień chłodniejszy.

- Jest pan zbyt łatwowierny, mój drogi. Może to pana znowu wpakować w jakąś niedobrą sytuację.

„Znowu”, pomyślał porucznik z goryczą.

- Kanonier Bender zamierzał zdezerterować! Jedyne zimna krew i szybki refleks dwóch doświadczonych oficerów zapobiegły temu czynowi! Teraz czeka go już tylko jedno: sąd wojenny!

Kąciki ust mu opadły.

- Panie pułkowniku...

- Spokojnie, spokojnie, mój synu! Nie powinien pan się teraz denerwować. A zresztą leży tutaj lżej chyba ranny podporucznik Eiserberg. On będzie panu mógł opowiedzieć coś więcej na temat sprawy Bendera!

- Tak jest, panie pułkowniku!

Krusemark wyciągnął szyję i wypiął pierś z Rycerskim Krzyżem.

- Wkrótce znowu wpadnę tu do pana. A teraz uszy do góry!

Pułkownik Krusemark przypomniał sobie teorię swego adiutanta, że Helgert trzyma z komunistami. Była to oczywiście absolutna bzdura, teraz, kiedy porucznik przedał się tak bohatersko z niewoli do własnego pułku. Jednak próba dezercji podjęta przez Bendera dowiodła, że w 6 baterii działają jakieś wywrotowe elementy, o czym sam Helgert, skończony idiota, nie miał w ogóle pojęcia. Już on, Krusemark, jako dowódca pułku, postara się o wykończenie kanoniera Bendera i przywrócenie porządku.

Po wizycie pułkownika Krusemarka nastąpiło drugie doniosłe wydarzenie tego dnia.

Dwa granaty nigdy nie wpadają do tego samego dołu. Wobec tego ja tu nie zdechnę, pomyślał Helgert, kiedy go położono na opróżnionym miejscu obok Eiserberga.

Przywitali się słabym „halo!”, przy czym Helgert natychmiast zauważył, jak bardzo zaostrzył się teraz nos Eiserberga. Twarz

miał powleczoną ową woskową bladością, jaką człowiek żegna życie, jeśli śmierć zostawia mu na to trochę czasu.

- Dziwne - powiedział podporucznik - ale teraz, kiedy ten cały bajzel jest już za człowiekiem, to go nagle strach oblatuje!

- Co ci znowu strzeliło do głowy!?

Helgert usiłował zdobyć się na beztróskę w tej ciężkiej chwili.

- Bracie kochany! A co ty myślisz, że ja strzelałem zawsze w powietrze?

Porucznik wiedział, że mało było strzelców lepszych od Eiserberga, ale w tej chwili nie bardzo rozumiał, o co tamtemu chodzi.

- Niejednego wykurzyłem z dołu ręcznym granatem. I zawsze z odległości czterdziestu kroków. Dalej nie można było, bo piguła po czterech i pół sekundach wybucha.

Zdawało się, że wyobraża sobie właśnie taki rzut.

- Czasem stoją przede mną ci... rozszarpani, dziś w nocy na przykład. Człowiek nawet wszystkiego nie pamięta, kiedy łopata, a kiedy z pistoletu maszynowego... ale jak oni staną przed tobą, to o wszystko cię pytają.

- Nie denerwuj się, Eiserberg. Kto z nas na froncie nie zabił? Strzela człowiek przecież nie byle gdzie, ale celuje, a potem leżą trupy... mogłeś ty ich trafić, mogłem ja!

Eiserberg był jednak bardzo zajęty własnymi myślami. Jego głos brzmiał teraz ochryple.

- To nie o to chodzi. Na wojnie nie tylko się zre, pieprzy i rozkazuje. Muszą być ostatecznie i tacy, co strzelają. Ale powiedz mi, Helgert, znamy się przecież już parę dobrych lat, czy nigdy nie przychodziło ci do głowy, że uczestniczysz w tej gigantycznej jatce dla zabawy garstki szaleńców? Oczywiście nie mówię tego poważnie... żartuję...

- Jak się wyliżesz, Eiserberg, na pewno będziesz patrzył na to wszystko zupełnie inaczej!

- Jeżeli się w ogóle kiedykolwiek wyliżę, wrócę z wzniosłym i dumnym poczuciem spełnionego obowiązku i narodowosocjalistycznej godności do domu, a tutaj zostawię mego zastępcę...

Ta myśl zdawała się go bawić przez chwilę.

- Jeżeli uda nam się wyjść z życiem z tej imprezy, to powinniśmy Bogu dziękować - powiedział Helgert.

Eiserberg uśmiechnął się.

- Bóg jest dobry. W jego imieniu błogosławi się broń na wszystkich frontach, żeby jak największą ilość wrogów zamieniła w kaleki. Księża z krzyżem w ręku szepczą umierającym do ucha, że giną za wielką sprawę. W imię Boga judzi się jedne narody przeciwko drugim...

- Rosjanie się nim jednak nie posługują - stwierdził Helgert żartobliwie.

- Rosjanie? - Eiserberg się zasępił. - Oni rzeczywiście muszą wyruszać na wojnę bez jego błogosławieństwa. Wiedzą jednak, że u nas ewangelicy i katolicy księża z krzyżem i srebrnym łańcuchem na szyi od pierwszego dnia asystują tej makabrze i uświęcają każdy czyn, który przyczynia się do zagłady jak największej liczby radzieckich obywateli. Może jednak rację mają ci, którzy twierdzą, że ludzie po to wynaleźli Boga, żeby z pomocą jego imienia ujarzmić słabszych od siebie!

Helgert potrząsnął głową.

- Tak przecież nie można...

Eiserberg machnął ręką zirytowany.

- Róbcie sobie, co chcecie, ale beze mnie. Ja odchodzę. Ale wpierw dołożę do garści orderów w mojej kieszeni jeszcze tę opaskę, którą przez tyle lat miałem na oczach!

Nagle Helgert przypomniał sobie, że Bender ma stanąć przed sądem wojennym. Zaczął więc ostrożnie:

- Jak to właściwie było z tym Benderem?

- Z jakim znowu Benderem?

- No, to ten kanonier, który mnie chciał ratować!

- Aha, i w którego sprawie musiałem wczoraj zeznawać w sztabie dywizji?

- Prawdopodobnie tak.

- Ten chłopak jest z wojskowego punktu widzenia zupełnie zielony, po prostu niewypierzone piskłę. Jakże on mógł sobie wyobrazić, że zdoła ciebie, ciężkiego kłoca, wytaszczyć spośród kotłowniny Ruskich!

- Czy myślisz, że on naprawdę chciał to zrobić? - Eiserberg zapalił się.

- Ależ oczywiście! Chciał ratować swego starego. Nic więcej!

- Nie podejrzewasz, że to niewypierzone piskłę chciało sobie pofrunąć?

Helgert czuł w sobie narastające napięcie.

- Nie sądzę. Ale nikomu nie można zajrzeć do duszy. Kto w takiej sytuacji chce wiać, ten musi mieć źle w głowie. Chciałem go tylko uchronić przed niebezpieczeństwem. I wyraźnie to powiedziałem tym ważniakom z sądu wojennego. Chłopcu nic się nie stanie. Nie dojdzie nawet do rozprawy.

Helgert zaczął się zastanawiać: dlaczego więc pułkownik twierdzi, że wypadek jest jednoznaczny? Coś się tu nie zgadza!

- Nie, nie, opaskę trzeba stanowczo zerwać - upierał się Eiserberg, wpatrując się w mętne światło za szybą. - Zmierzamy do katastrofy, Helgert! Bo wciąż tylko krzyczeliśmy „heil!” i daliśmy się prowadzić jak barany! Wszyscy, i ci w mundurach, i tamci w cywilu. W całym narodzie serce rośnie, kiedy nasz ukochany

Führer z każdym krokiem coraz bardziej zbliżał się do wojny. Myśleliśmy o „narodowej niezależności”, kiedy Adolf ustawiał już chorągiewki oznaczające jego armie na Uralu i w Afryce. Wołaliśmy: „precz z Wersalem!”, kiedy marszałek Rzeszy już planował, jak zalać wrogom sadła za skórę. Dlaczego udawaliśmy, że nie widzimy, iż w naszym kraju leje się krew, jeszcze zanim wybuchła wojna? Poprzestaliśmy na stwierdzeniu: „takiego a takiego zamknęli” albo „Żydów pakują do obozów koncentracyjnych”. Ale czy kogo kiedy wypuścili?

Ręce bohatera Dębowych Liści były przeźroczyste mimo śladów gliny, które na nich pozostały po upadku z motocykla. Niebieskawa sieć żył stawała się coraz bardziej widoczna.

- Czy ty czasem nie przesadzasz? - spytał Helgert.

- Czy nie przesadzam? - Eiserberg oddychał coraz szybciej. - A może ci się wydaje, że kiedy pewnego dnia dostaniemy w kuchnię, obojętne czy na wschodzie, czy na zachodzie, zwycięzcy nie odtrącą tych nielicznych nawet, którzy mieli naprawdę dobrą wolę? Kto nam jeszcze kiedykolwiek uwierzy?

- Co to znaczy: kiedy dostaniemy w kuchnię?

- Czy ty wciąż jeszcze zamierzasz wygrać tę wojnę?

Jakaż to ironia losu, pomyślał Helgert, że Eiserberg właśnie dzisiaj daje wyraz swoim poglądom, w chwili swojej śmierci.

Co mam mu na to odpowiedzieć? Tutaj, na tym krótkim odcinku między postaniem na słomie a brzozowym krzyżem, nie ma miejsca na kłamstwa. A jednak muszę kłamać wbrew przekonaniom, że on ma rację. Byłoby rzeczą niewybaczalną umacniać go w przekonaniu, że to wszystko, co robił w ciągu swojej wojskowej służby, było niepotrzebne. Albo podkreślać, że jego działalność przyczyniła się do rozlewu krwi po jednej i drugiej stronie, i do pogłębienia katastrofy. Muszę mu udzielić jakiejś pociechy na jego ostatnią drogę.

- Nie uważam, żeby sytuacja była beznadziejna - powiedział.
- Nie beznadziejna... - Eiserberg chciał się roześmiać, ale twarz mu się tylko boleśnie wykrzywiła. - Oj, bracie, muszę uważać na ten świeży szew, bo jeszcze dłużej trzeba będzie czekać na powrót do domu. - Podkurczył trochę kolana. - Czy ty wiesz, dlaczego ja się tak rzucałem?

- Bo jesteś cholernie odważny!

- Bzdura! Z początku byłem dumny z tego, że mnie wszyscy uważają za bohaterskie cudowne dziecko. A potem przywykłem do tych pochlebstw. Z każdym jednak krokiem wstecz rósł we mnie strach: a jeśli kiedyś u nas stanie się to, czego myśmy tutaj dokonali! Chciałem temu przeszkodzić z czysto osobistych względów. Oto i cała moja moralność, przyjacielu!

Helgert przeraził się. A więc te myśli nurtują i innych, nawet ludzi o znacznie mocniejszych nerwach.

- Szkoda, żeśmy o tym wszystkim wcześniej nie pogadali - szepnął.

Eiserberg spojrzał artylerzyście w twarz, jakby go dzisiaj widział po raz pierwszy.

- Zbyt często ładowaliśmy broń i strzelali. Wciąż tylko ładowaliśmy i strzelali. Bezmyślnie. Aż nagle wszystko potoczyło się samo, przyzwyczailiśmy się do tego - do zabitych, do niesprawiedliwości i do własnego otępienia.

Zamknął oczy. W kącikach jego ust pojawiła się odrobina białej piany. Pierś wznosiła mu się gwałtownie i opadała.

Zjawił się młodszy lekarz i wstrzyknął morfinę.

Wargi Eiserberga poruszały się jeszcze przez chwilę. Potem wyglądał tak, jakby zasnął.

Już się nie obudził.

Na noszach podporucznik odbył swoją ostatnią drogę, nie dłuższą niż czterdzieści kroków, a krótszą od odległości, z której rzucał ręczne granaty.

- Oskarżony kanonier Rudolf Bender zostaje skazany za dezercję na śmierć przez rozstrzelanie.

Sędzia Scheube, zadowolony z siebie, spojrzał raz jeszcze na skazanego. Po czym wygłosił uzasadnienie wyroku:

- 30 lipca w Bierezowcu, o sto kilometrów na wschód od Orła, oskarżony kanonier Bender usiłował podczas ciężkich walk obronnych zostać na stanowisku ogniowym swojej baterii, która miała chwilowo przejść w ręce atakujących bolszewików. Oficer baterijny, podporucznik Gengenbach, zdołał mu w tym przeszkodzić, ale nie wyciągnął z tego incydentu należytych konsekwencji.

Scheube zdjął okulary i spojrzał z wyrzutem po obecnych.

- Próba dezercji! Proszę to sobie wyobrazić! - I ciągnął dalej pouczającym tonem: - Niestety, pan podporucznik Gengenbach siedział na drewnianej ławie w kącie pod oknem, najbardziej ze wszystkich świadków oddalony od Scheubego. Z przejęciem wycierał gumą nieaktualne już oznaczenia z planu strzelania i mało interesował się dotychczas tym, co się tutaj działo. Kiedy usłyszał swoje nazwisko i komentarz sędziego, zwrócił się do siedzącego obok porucznika Altdörfera i powiedział, nie usiłując nawet zniżyć głosu:

- Może mnie ten osioł w dupę pocałować.

- 28 sierpnia oskarżony powtórzył swój wyczyn we wsi Jewlańskie Utaşki. Tym razem opuścił utworzoną właśnie niemiecką linię obrony i rzucił się na oślep przed siebie, żeby przyłączyć się do wdzierających się do wsi Czerwonych. Słyszając wołanie podporucznika Gengenbacha: „stój”, potem „stój, bo strzelam!”, Bender zaczął biec jeszcze prędzej. Jedynie dzięki osobistej inicjatywie świadka, podporucznika Eiserberga, któremu udało się przewrócić

oskarżonego, jednoznaczny już tym razem jego zamiar przejścia na stronę wroga został udaremniony.

Absurdalność twierdzenia oskarżonego, że chciał on iść z pomocą swemu dowódcy baterii, porucznikowi Helgertowi, który leżał ranny za linią rosyjską, wykazał porucznik Altdörfer. Pełniąc funkcje adiutanta pułku, pan Altdörfer obserwował zachowanie się oskarżonego od pierwszego dnia przydzielenia go do pułku. Jako świadomemu swej odpowiedzialności oficerowi nie był mu obojętny fakt, że Bender był czynnym członkiem rozwiązanej Partii Komunistycznej. Pan porucznik w porę podzielił się tą uwagą ze swym dowódcą pułku i dostarczył sądowi cennych materiałów.

Panowie! Nie będziemy tu sobie mydlić oczu. Ten dezertor nie tylko był kiedyś aktywnym komunistą, ale pozostał nim do dziś! Tutaj, na froncie dał nam tego niezbite dowody! Na elementy tego rodzaju nie ma miejsca w państwie narodowosocjalistycznym. W obecnej sytuacji, kiedy nasza armia toczy tak zawzięte boje z wrogiem, należy je wyrwać z korzeniami. Dlatego w tym wypadku mamy do dyspozycji tylko jeden rodzaj broni: śmierć!

Bender stał nieruchomo przed krzesłem. Śledził oczyma defiladę mundurów, orderów i zimnych twarzy, która wylewała się teraz przez niskie drzwi na pogodny dzień wrześniowy. Czuł głucho dudnienie własnego serca.

Strażnik pchnął go lekko.

- Ruszaj!

Na dworze stały dwa następne posterunki. Spojrzeli na kaprała pytająco. Ten skinął głową. Wyrok śmierci. Szli za nim w milczeniu starsi mężczyźni z wyrazem współczucia w oczach.

Drzwi chaty, w której znajdowała się cela Bendera, zamknęły się za nim, skrzypiąc. Matowy półmrok wypełnił izbę. Bender

usiadł na ławie pod piecem, zobojętniały, wypalony w środku.

Skazany na śmierć za dezercję. To była ironia, chociaż krwa-
wa. W każdym razie jeśli chodzi o Jewlańskie Utaszki. Musiało
się przecież wreszcie coś stać. Patrzył tępo w ziemię, chciał po-
myśleć, ale nie mógł się w żaden sposób skupić.

Dopiero po paru godzinach zaczął w miarę jasno i logicznie ro-
zumować. Kiedy został powołany do wojska, otrzymał polecenie:
albo prowadzić robotę w oddziale, albo przejść do Armii Czerwo-
nej. Pierwsze okazało się wskutek niekorzystnych okoliczności
niemal beznadziejne. Pozostała więc zmiana frontu. W Bierzow-
cu mu się nie udało. Przez parę następnych tygodni były poważne
trudności. Zasztyfowanym listem zawiadomiono go, że partia
musiała rozwiązać jego grupę, ponieważ następcą Ferdynanda
Beckera został aresztowany i stracony, że Ferdynand znajduje się
wciąż jeszcze w szponach Sicherheitsdienstu, a matka jego, Ben-
dera, ma być w najbliższym czasie wyekspediowana do jakiegoś
neutralnego kraju. Mógł więc działać swobodniej. Jego obowią-
zkiem było decydować się szybko i energicznie. Ale kiedy? I przy
jakiej okazji?

Tymczasem sąd wojenny skazuje go na śmierć za to, że w Jew-
lańskich Utaszkach zamierzał zdezerterować.

Dlaczego właściwie rzucił się tak na oślep przed siebie? Czy
rzeczywiście chciał ściągnąć ранnego dowódcę baterii, żeby go z
powrotem zeszyto i uczyniono zdolnym do dalszego udziału w
zaborczej wojnie? Nie! Wierzył, że uda mu się pozyskać porucz-
nika Helgerta dla swojej sprawy. Gdyby jego odwaga, umiejętno-
ści i ambicja służyły nie fałszywym, ale słusznym celom, można
by w nim zyskać cennego sprzymierzeńca. W każdym jednak
razie on, komunista Rudolf Bender, nie miał zamiaru w Jewlań-
skich Utaszkach przechodzić na stronę wroga.

A co z tego wynikło? Że za parę godzin będzie musiał umrzeć. W imię czego właściwie? Ferdynand to wie, podobnie jak wiedział zamordowany towarzysz, jego następcą. Ale ja mam być ofiarą pomyłki. Nie, nie i jeszcze raz nie. Jeśli już mam umierać, to moja śmierć musi mieć jakiś sens.

Rudi Bender przyłożył gorące czoło do szyby i zaczął się zastanawiać, jak by tu się wydostać z więzienia.

Gdzieś daleko rozległy się pojedyncze strzały, które przekształciły się w końcu w wielogodzinne, nieustające, głucho dudnienie. Tam rozbija się w perzynę linie dołów strzeleckich i chwilowe gniazda oporu, myślał Bender. A T 34 toczą się i toczą. Niedługo oddziały radzieckie dojdą do Desny. Za białawymi pniami brzoź rozpościerał się czerwony wieczór. Cienie zaczynały gęstnieć. Noc powoli okrywała wszystko swoim welonem. Od strony frontu wciąż jeszcze dochodził jednostajny pomruk.

Wartownik przyniósł więźniowi dwie cienko posmarowane pajdy chleba i kubek zalatującej ługiem herbaty. Bender usiłował zwalczyć paraliżujące go znowu wewnętrzne otępienie. Był jednak straszliwie znużony. Tup... tup... tup... Cisza.

I z powrotem. Tup... tup... tup... Cisza. Po czym odgłosy powtarzały się, tylko w odwrotnym kierunku. Bender podniósł głowę zdziwiony, z początku nie mógł sobie uświadomić, co to takiego, nasłuchiwał dalej. Nie ulegało wątpliwości: były to kroki postępowania.

Na wschodzie pierwszy brzask przenikał przez liście drzew.

Bender zerwał się gwałtownie z ławy pod piecem. Przetarł oczy. Co to było? Czyżby naprawdę zasnął? Ile też godzin mogło upłynąć bezproduktywnie? Ostatnia noc! Minęła! Ogarnął go nagle paniczny strach. Było już na pewno po trzeciej.

Pobiegł do drzwi. Zaczął nimi szarpać. Wrócił do okna. Uderzył głową w okienną ramę.

Krajobraz pogrążony był w rzadkiej mgle. Trawa srebrzyła się od rosy.

Kroki umilkły. Wartownik widocznie nasłuchiwał. Po chwili podjął znów swój marsz.

Głuchy wystrzał rozdarł ciszę wczesnego poranka. Cienki gwizd przeleciał nad dachami. Wybuch nastąpił daleko za wsią.

Potem spokój budzącego się dnia zapanował znowu nad okolicą.

Rudi Bender postanowił zaryzykować ucieczkę. Wpił się paznokciami w ramę okienną, spróbował nią poruszyć.

I znowu rozległ się odgłos wystrzału. Tym razem jakby z mniejszej odległości. Pocisk zbliżał się z przenikliwym wyciem, wybuchł tuż na skraju wsi. Niemal bezpośrednio po nim nadleciały trzy następne granaty. Słysząc było grzmiące detonacje. Z kołchozowych plantacji chmielu tłuste kłęby dymu wypęzły leniwie na drogę.

We wsi zapanował niepokój. Drzwi trzaskały. Ludzie przekrzykiwali się nawzajem. Gdzieś błysnął ogień karabinu maszynowego.

Wartownik przestał się teraz interesować więźniem, którego w każdym wypadku czekała śmierć; los, którego on sam, żołnierz wyznaczony do trzymania warty, starał się możliwie jak najdłużej unikać.

Bender nie spuszczał z niego oka, szarpiąc z całych sił okienną ramę. Na dworze robiło się coraz jaśniej, a we wsi roiło się od żołnierzy.

Próba ucieczki była teraz przedsięwzięciem wręcz humorystycznym.

Mimo to w Bendera wstąpiła nagle zupełnie innego rodzaju nadzieja. Czy nie wyglądało na to, że radzieckie baterie znajdują się teraz znacznie bliżej niż wczoraj po południu? A jeśli

Rosjanie zaatakują? Może wdarliby się aż tutaj i sztab dywizji musiałby zarządzić odwrót i zmianę stanowiska? Co by się wtedy stało?

- Wtedy wykończyliby mnie jeszcze prędzej - powiedział głośno do siebie. A może jednak... A może...

Była już co najmniej piąta. Rozległ się warkot startera. Odgłos silnika wznosił się i opadał. Może jednak...

Ogień artylerii przybrał nagle znowu na sile - zdawał się koncentrować u wejścia do wsi.

Czyżby sztab dywizji znajdował się tak blisko frontu? Nagle Bender usłyszał spieszne kroki. Zobaczył przechodzącego pod oknem dowódcę warty. Potem dobiegły go odgłosy jego rozmowy z wartownikiem. Jeden z nich odszedł. Zdawało się, że zjawił się ktoś jeszcze. Zaraz potem otworzyły się drzwi.

Stał w nich ksiądz. W szarym mundurze z fioletowymi wypustkami noszonymi przez duchownych. Na szyi miał zawieszony na srebrnym łańcuchu krzyż - pieczęć śmierci.

Bender patrzył na księdza, nie ruszając się z miejsca. Dziesięć lat temu wystąpił z Kościoła, a dzisiaj chciano mu urządzić specjalne przedstawienie, które podkreśliłoby jeszcze tragicomiczny charakter całego tego procesu.

- Mój młody przyjacielu - zaczął ksiądz. - Spotyka cię wyjątkowo ciężki los i musisz się teraz przygotować na to, że staniem wkrótce przed obliczem Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Nagle rozległ się twardy trzask działa czołgowego i zaraz potem huk wybuchającego pocisku. Powtórzyło się to raz jeszcze! Do tych odgłosów przyłączyło się przenikliwe terkotanie innych rodzajów broni automatycznej.

Teraz słyhać było mniej donośne wybuchy, jakby od strony starego spichrza. Ręczne granaty i miotacze min - pomyślał Bender.

Wodniste oczy duszpasterza zaczęły biegać niespokojnie, aż zatrzymały się na oknie. Na wiejskiej drodze panowało nerwowe ożywienie. Wyciągnięto ze stajni konie. Rzucano na samochody ciężarowe skrzynie, sprzęt i broń. Piechota z klekoczącymi karabinami maszynowymi i skrzynkami amunicji maszerowała spiesznie naprzód. Zaraz potem śmignął ciężki wóz terenowy generała. Na zachód. Nie było na nim czarno-biało-czerwonej chorągiewki dowódcy.

Najtłuszcjsze szczury opuszczają pierwsze... pomyślał Bender.

Teraz zaczęły przelatywać ze świstem granaty niemieckiej artylerii. Powietrze zdawało się dzwonić. Daleko, bardzo daleko rozlegały się wybuchy.

Gdzieś szczekało zajadłe działo przeciwpancerne. Terkotały przeciągle serie cekaemów.

Duchowny zwrócił się znowu do Bendera roztargnionym głosem:

- Mój synu...

Do izby wpadł starszawy kapitan, był zgrzany, hełm zwisał mu na karku.

- Proszę księdza!

- Dobrze, dobrze, za chwilę będziemy gotowi! Proś Pana Boga o przebaczenie za swoją winę.

Skazaniec zacisnął pięści.

- Powtarzaj za mną: Ojcze nasz, któryś jest w niebie... Bender zagryzł wargi i milczał uparcie.

- Idziemy! - krzyknął kapitan, czując przykrą sprzeczność między uroczystym nastrojem księdza i atakującymi Rosjanami.

Kanonier Rudolf Bender włożył czapkę i sztywnym krokiem ruszył za tamtymi, stanowczo jednak zdecydowany skorzystać z okazji, gdyby się takowa w ostatniej chwili nadarzyła. W tym zamieszaniu zapomnieli związać mi ręce - pomyślał i trzymał

je nieruchomo, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Obaj wartownicy mieli karabiny maszynowe na ramieniu. Znaczyło to, że czeka ich jeszcze kawałek drogi.

Obok rozwalonego budynku kołchozowego Bender zobaczył pluton egzekucyjny. Hełmy, karabiny i nic więcej. Potknął się. Jego istnienie zależało już tylko od tych stu niespełna kroków! Zobaczył kupę żółtego piasku nad świeżo wykopanym dołem. Swoim grobem!

Tam był kres wszystkiego - jego życia, walki o przyszłość, która nie będzie już dla niego. Tam kończyło się i to, co mógł dać z siebie dotychczas partii; o wiele mniej, niż sam pragnął. A mimo to nie opuszczała go rozpaczliwa nadzieja, jakieś dziwne poczucie siły.

Nadleciała seria wyjących ciężkich pocisków. Runęła na wieś z dzikim łoskotem, wywołując szereg następujących po sobie detonacji. Wyglądało to tak, jakby ognista pięść uderzyła w drogę, domy, ludzi i ziemię. Ciężkie moździerz! Wszędzie dokoła wzbity się pionowo w górę grzyby dymu.

Nieprawdopodobna siła cisnęła Bendera o ziemię. Odłamki padały gęsto na prawo i lewo. Gdzieś rozległ się czyjś krzyk. Jeszcze jeden! Bender przetoczył się w bok, wpił się dłońmi w piasek i glinę, nie chciał teraz za nic, by go trafił przypadkowy pocisk.

Nie widział, jak spod brzoźowego lasku u wejścia do wsi ruszają radzieckie czołgi. Nie widział też skradających się przez pole brązowych postaci.

Chociaż świst odłamków jeszcze nie ucichł, Bender poderwał się jak sprężyna. Napięcie, energia, strach i nadzieja gnały go naprzód. Za nim rozległ się najpierw wystrzał z karabinu, potem jeden po drugim z pistoletu maszynowego. Dołączyły się do nich jeszcze dwa, trzy pistolety, wywołując piekielny hałas.

Nagle spośród kłębow dymu i kurzu wyłoniła się niewyraźna sylwetka T 34. Bender nie zastanawiając się, przypadł do ziemi. Gwałtowny błysk poprzedził wystrzał.

Słyszał za sobą rozpryskujące się na wszystkie strony kamienie.

Zaczął znowu biec naprzód, mijał opuszczone pojazdy, przeskakiwał trupy, notował w pamięci twarze, ruchy, zatarte obrazy.

Zerwany kabel chwycił go jak lasso. Przewrócił się jak długi, dysząc stanął znów na nogach. Byle dobiec do czołgu! Byle do czołgu! - pulsowało mu we krwi. Poczul się nagle tak, jakby miał ołów w butach. Wszystkie mięśnie przestały działać.

Stałowy kolos wznosił się ponad nim, wypuszczając ciemnoszare kłęby dymu. Gąsienice piszczały, aż świdrowało w uszach.

Bender zatrzymał się dopiero w ramionach oddziału szturmowego kroczącego za T 34. Śmiał się i płakał równocześnie. Znalazł się wreszcie u celu, chociaż nie był to jego ostatni cel.

Rozdział 23

W duszną atmosferę popołudnia, wypełnioną rozpalonymi cieniami kładącymi się na kępach krzewów, zmęczonymi ciałami koni i nieustannym strachem żołnierzy, że kiedyś w tym wyścigu na zachód stracą kontakt ze swoimi i odcięci zostaną przez czerwone dywizje, wdarł się niezbyt daleki strzał karabinowy. Wobec tego, że przedni skraj obrony oddalony był stąd o kilkanaście kilometrów, a reszta taborów pułku artylerii znajdowała się w półkolistym lasku po przeciwnej stronie płaskiej, szarej łąki, strzał ten wywołał ogólne poruszenie.

W parę minut później przybiegł zdyszany plutonowy Erdmannsdorf, który stał na posterunku w położonej z południowej strony dolinie, na którą widok zasłaniało sąsiednie wzgórze. Wpadł do namiotu dowódcy taborów, zielony ze zdenerwowania:

- Sierzancie, partyzanci mnie ostrzeliwali!

Tamten odwrócił zziąjanego plutonowego lewą stroną ku światłu.

- Przecież tobie, bracie, krew wali z ramienia jak cholera!

Bluza munduru i rękaw koszuli były w strzępach, krew spływała aż po palcach. Plutonowy, który od samego początku kampanii wschodniej pełnił w pułku funkcje rymarza, skurczył się nagle i upadł jęcząc na trawę.

Wezwany sanitariusz, szewc bateryjny, odbył tylko trzydniowy kurs pierwszej pomocy i nie miał jeszcze wiele okazji wypróbowania swych umiejętności w praktyce. Niezręcznymi, drżącymi rękami usiłował opatrzyć rannego.

Przez ten czas sierżant pognął do dowódcy baterii i w krótkich słowach zrelacjonował mu całe zajście.

Porucznik Helgert nie dał mu skończyć sprawozdania.

- Natychmiast wzmocnić posterunki! Pchnąć dwie drużyny w stronę dotychczasowej pozycji Erdmannsdorfa, a potem przez dolinę, żeby nawiązali łączność z resztą naszych albo z innymi taborami dywizji.

Sierżant powtórzył spieszenie rozkaz i pobiegł z powrotem, wywołując po drodze poszczególne nazwiska, po czym zniknął na czele dobrze uzbrojonego oddziału, który przed pasem krzewów podzielił na dwie grupy.

Helgert odwrócił się ostrożnie na bok. Ta przeklęta noga! Proces gojenia był bardzo powolny. Nie chciał za nic w świecie pograć się w bałaganie pozycji na tyłach i żeby przestrelone kolano „ślimaczyło się”, jak mówili żołnierze, w lazaretach będących wciąż w trakcie ucieczki. Tutaj, wśród swoich własnych taborów, czuł się równie bezpiecznie jak na łonie Abrahama, a przy tym miał zapewniony spokój i optymalną opiekę.

Wkrótce po śmierci Eiserberga, rozbity wewnętrznie, zameldował się z powrotem w swoim oddziale. W dzień zaszywał się razem z długą kolumną końskich zaprzęgów w napotykaną po drodze wysepki lasu i pilnował, żeby wszystko zniknęło pod zielono-brązową warstwą ściętych gałęzi, ponieważ radzieckie samoloty rozpoznawcze potrafiły wypatrzeć każdy ruch na zajęтым przez wroga terenie. W nocy leżał na pustym wozie amunicyjnym, którego jedyne wygody stanowiła skąpa wiązka słomy i dwie wojłokowe derki o ostrym zapachu, i pozwalał się wieść w

wytyczonym z góry kierunku. Ilekroć spojrział w górę na układy gwiazdne, kurs okazywał się zawsze ten sam: na zachód.

Miał więc teraz dniem i nocą dość wolnego czasu, aby porozmyślać o wszelkich możliwych sprawach. Niepokoił go rozwój działań wojennych, ale także chwilowe przerwy w docieraniu poczty. Szczególnie brakowało mu wtedy wiadomości od Klaudii Sanden, do których ostatnio przywykł.

Z początku pytania Klaudii dotyczyły tylko Eberharda Bauma. Potem wynikła z tego wymiana myśli, która mogła znaczyć wiele, ale też bardzo mało. Wczoraj pisała:

„...Pana życzenia dotyczące mojej osoby są naprawdę miłe, ale ja sama nie mam prawie żadnych. A właściwie mam jedno wielkie pragnienie, które jednak musi pozostać niewypowiedziane i niespełnione, ponieważ leży ono w sferze nierzeczywistych marzeń, w której można bujać tylko samotnie, ale gdzie czasem bywa się nawet szczęśliwym. Chwilami wydaje mi się, że Panu brakuje nieograniczonej wiary w coś, może w jakiegoś jednego człowieka...”

Przeczytawszy ostatnie zdanie, poczuł się tak, jakby stanął nagle w blasku reflektorów. Wydało mu się, że ta kobieta domyśla się wielu rzeczy, które go nurtują, ale o których nigdy z nikim nie rozmawiał.

Wtedy dobiegł go z daleka jakby drugi strzał. Zaczął nasłuchiwać.

Przypomniał sobie Jelnię, ten złowrogi zaulek frontu. Raz jeszcze przebiegł myślami działania bojowe ostatnich kilku tygodni. Łuk jelineński został zaatakowany przez skoncentrowane siły radzieckie w postaci czołgów, artylerii i bardzo szybko operujących dział salwowych. W cztery dni później ten klin frontu przestał istnieć.

Samo miasto padło wieczorem 30 sierpnia, w tym samym czasie, co na południu Taganrog.

W nocy oddział minął bokiem Jelnię, pozostawiając za sobą źródła Desny.

Grób Eiserberga i kolejna częśćka ostatecznego zwycięstwa znalazły się po stronie nieprzyjaciela. Znalazł się tam również Bender, o którym nikt nie wiedział na pewno, czy zginął rozstrzelany przez Niemców, czy też, jak wielu innych, podczas niespodziewanego ataku na oddział I dywizji. Może udało mu się przejść do swoich ukochanych Czerwonych. W każdym razie - szkoda chłopca. Helgert sam się dziwił, że mu go teraz wyraźnie brakuje.

Przypomniawszy sobie, jak leżał na pozbawionym resorów wozie amunicyjnym, zaciskając zęby z bólu. Strzępy, którymi wciąż owijał przestrzelone kolano, po paru minutach znów nasiąkały krwią. Czuł się bezradny, godzien litości i dzielny zarazem.

Nagle wóz podskoczył gwałtownie. Jaskrawe błyskawice ukazały się daleko na czarnym nocnym horyzoncie. Minęło około trzydziestu sekund, zanim huk eksplodującej stali ekrazytu, dynamitu i prochu przetoczył się niby gniewna fala po dziesięciokilometrowej drodze, jaką odbył uciekający na południowy zachód od miasta oddział artylerii. Kiedy zaciekle walki w domach i na ulicach miasta dobiegły końca, olbrzymie składy amunicji na skraju milczącej Jelni zostały przy pomocy zdalnego zapłonu elektrycznego wysadzone w powietrze.

Tysiące stosów granatów wszelkiego kalibru, setki tysięcy naboju, ładunków specjalnych, zapalników, półki pełne koszy, skrzyń, amunicji karabinowej, pocisków moździerzowych zamieniły się w stromą ścianę ognia wznoszącą się wysoko pod nocne niebo.

Czerwone migotanie niezliczonych wybuchów wywołało jeszcze większy popłoch. Uprząż wrzynała się koniom w piersi.

Żołnierze usiłovali przyspieszyć kroku. Spojrzenia kierowców wędrowały wciąż tam, gdzie na niebie stała płomienna luna. W jej blasku maszerowały czerwone dywizje ze swymi moździerzami, strzelcami wyborowymi i oddziałami szturmowymi; poszerzały one wciąż wyłom, który z początku dokonany został na odcinku liczącym około pięćdziesięciu kilometrów.

Kiedy znowu przystąpią do ataku? Kiedy znajdziemy się w następnym okrążeniu? Czy w ogóle uda nam się stąd wydostać?

Taki był stały bieg myśli cofających się Niemców, od czasu do czasu tylko przerywany szczególnie dotkliwie dającym się we znaki głodem i pragnieniem albo zuchwałymi wyczynami partyzantów, którzy podkładali coraz więcej min w drewnianej obudowie pod uczęszczane w obu kierunkach drogi odwrotu i strzelali niespodziewanie w ciemnościach z pistoletów maszynowych tak, że znowu paru żołnierzy w szarozielonych mundurach padało z krzykiem na ziemię.

Wieczorem szalały niemieckie oddziały burzące, wysadzały w powietrze chałupy, zaminowywały pośpiesznie ulice, po czym wojsko ruszało dalej na zachód. A rosyjskie pułki sunęły za nimi niby cienie, podobnie jak na wielu innych odcinkach długiego frontu.

Radziecka ofensywa gnała naprzód od wybrzeży Morza Czarnego aż po Smoleńsk.

Na początku miesiąca niemiecka linia obrony w rejonie Rylsk-Siewsk została przerwana na odcinku o szerokości blisko stu kilometrów. 8 września po krwawych bojach Zagłębie Donieckie przeszło w ręce Rosjan. Potem padło słynne uzdrowisko Jałta na Krymie; 15 września - Nieżyn, a tym samym ostatni mocny punkt oparcia przed środkowym Dnieprem.

Przed paru dniami, 17 września, również i Briąnsk uległ szturmowi radzieckich armii. Na przestrzeni około tysiąca kilometrów trwał jeden wielki odwrót niemieckiego Wehrmachtu z ciężkimi, niepowetowanymi stratami w ludziach i w materiale.

Żołnierze dawno zapomnieli Jelnię; właściwie już w Poczinku, tuż nad Sożem, kiedy czerwone natarcie znów przybrało na sile.

Nagle stało się jeszcze raz przerażająco aktualne hasło Kru-semarka, rzucone w rozkazie dziennym z któregoś lipca 1941 roku: „Naprzód, nad Dniepr! Za wszelką cenę!” To wezwanie zmobilizowało wówczas żołnierzy do niesłychanych wręcz wyczynów marszowych.

Teraz, pod koniec września 1943 roku, hasło to mogło doprowadzić do jeszcze szybszego, niepożądanego w tym wypadku odwrotu. Wśród żołnierzy panowało ogólne przekonanie, że za szerokim Dnieprem czeka ich nie tylko spokój, ale i bezpieczeństwo; było to niezmiernie kuszące, nawet jeśli miało trwać krótko. Czerwona Armia gnała ich przed sobą już od lipca.

Daleko za nimi płynąca Desna czy nędzny strumyk Soż nie budziły ani przez chwilę owego poczucia bezpieczeństwa, ponieważ takie rzeki nie stanowiły dla radzieckich saperów żadnej przeszkody. Ciężka broń Armii Czerwonej najwyżej na parę godzin wyłączała się wskutek tego rodzaju przeprawy z udziału w codziennym frontowym koncercie.

Jednakże kilkukilometrowej szerokości Dniepr - to zupełnie co innego! Żołnierzom robiło się weselej na duchu, kiedy o tym pomyśleli. Wszędzie ustawiliby się armię, która udaremniałaby każde przedsięwzięcie nieprzyjaciela. Ruchome rezerwy zapobiegałyby wszelkim najmniejszym nawet akcjom Ruskich i likwidowałyby minimalne choćby przyczółki. I wreszcie można by się wyśpać i najeść do syta.

Zbliżające się głosy wyrwały porucznika z zadumy. Sierżant odprawił oddział i przybiegł do Helgerta, żeby mu się zameldować. Wręczył przy tym swemu dowódcy pół bochenka komiśnego chleba. Porucznik wziął zniekształcony nieco chleb do ręki i spojrział na niego przelotnie. Nagle coś zwróciło jego uwagę; na górnej powierzchni bochenka znajdowała się okrągła dziurka z czarnym brzegiem, chleb można było rozłożyć na pół, a przez środek jego przebiegał wyraźny ślad po strzale. Helgert spojrział na sierżanta.

- Znaleźliśmy to o kilka metrów od jego posterunku. I jeszcze to.

Rzucił na stół połowy parometryrowej długości gruby sznur. Porucznik sięgnął po sznur, wahał się przez chwilę.

- Samookaleczenie?

Sierżant kiwnął potakująco głową.

- Zawiesił widocznie karabin na gałęzi i do języka spustowego przywiązał sznur. Potem przyłożył lufę do chleba, który trzymał na ramieniu, i pociągnął za sznur.

- Ilu o tym wie?

- Wszyscy, którzy teraz ze mną byli.

Helgert spuścił wzrok, zrezygnowany.

- Przesłuchajcie go. Jeżeli potwierdzi waszą teorię, poślijcie go do dywizji. Jeżeli jej zaprzeczy, przyprowadźcie go do mnie.

Plutonowy przyznał się bez najmniejszych oporów. Motywując swój czyn, oświadczył, że nie mógł dłużej żyć w nieustannym strachu przed niespodziewanym strzałem z zasadzki; w dodatku piętnaście miesięcy nie był w domu. Miał nadzieję, że w ten sposób załatwi jedno, i drugie. Porucznik dołączył do pisemnego meldunku swoją opinię o plutonowym Erdmannsdorfie, w której stwierdzał z naciskiem, że ten na ogół tak sumienny i rozsądny

żołnierz musiał widocznie ulec poważnemu załamaniu nerwowemu, zaczął bowiem ni stąd, ni zowąd gadać zupełnie od rzeczy.

Sierżantowi polecił przemówić rytmarzowi bateryjnemu do rozumu i wymienić mu okoliczności, które mogą spowodować skazanie go na śmierć, na mniej lub więcej lat więzienia albo pozwolić mu wyjść cało z tej opresji. Od tego, czy on zachowa się głupio, czy sprytnie, zależeć może ostateczny wynik sprawy.

Otóż i jeszcze jeden taki, co nie ma ochoty brać w tym dłuższy udziału, myślał Helgert. Jego motywy nie były nawet szczególnie oryginalne. Nie można go zaliczyć ani do zapalonych zwolenników narodowego socjalizmu, ani do jego wrogów. Jak należałoby go ratować? Z chwilą gdy Erdmannsdorf przyznał się do swego czynu, zlikwidował właściwie wszelkie możliwości pomocy.

Ostatnie wydarzenie poruszyło nurtujące porucznika od dawna problemy. Nękały go one przez cały następny tydzień, a nawet miesiąc.

Kiedy podpułkownik von Wenglin w skrócie powtarzał I a dywizji treść rozkazu, pułkownik Krusemark czuł wciąż jeszcze lekkie drżenie kolan. Otrzymał polecenie wyruszenia 12 października z kilkunastoma szeregowcami, paroma pojazdami i jednym doświadczonym, chwilowo niekoniecznie w oddziale potrzebnym oficerem, najpierw do Czaus, położonych nad jednym z dopływów Soża, potem zaś do Mohylewa, a więc wciąż jeszcze na wschód od wymarzonego Dniepru, by przygotować tam pozycje odwodu dla dywizji. Krusemark pożegnawszy się, podziękował za okazaną życzliwość i ruszył z powrotem do stanowiska dowodzenia pułku.

Powziął już stanowczą decyzję. Poruszy teraz wszystkie możliwe sprężyny, żeby uwolnić się wreszcie od swego pułku i zająć jakieś ciepłe miejsce w pobliżu naczelnego dowództwa. Kogo by

tu zabrać ze sobą zamiast Altdörfera? To byłoby oczywiście najwygodniejsze wyjście. Wtedy jednak major Meusel, który jako najstarszy po śmierci majora Pfeilera dowódca batalionu musiałby w jego zastępstwie dowodzić pułkiem, byłby pozbawiony pomocy i oparcia w kimś zorientowanym. Gdyby pułk znalazł się w trudnej do rozwiązania sytuacji, mogliby odwołać Krusemarka z powrotem na front i wtedy świeżo zdobyty teren, zapewniający mu osobiste bezpieczeństwo, stałby się znów iluzją. Nie, Altdörfer musi zostać przy pułku.

Jedynym odpowiednim do tego zadania człowiekiem był Helgert. Dziwne, że ten młody człowiek wciąż staje na jego drodze. Przeszłone kolano porucznika wciąż jeszcze wymaga leczenia tak, że najwcześniej za parę tygodni będzie on zdolny do służby liniowej. Może potrwa to nawet dłużej. Poza tym ten zawodowy oficer, dowódca baterii porucznik Helgert, miał w przekonaniu pułkownika pewne moralne zobowiązania. A w ramach pełnienia tych fantastycznych funkcji będzie musiał harować jak dziki osioł. Stanowił też pewne zabezpieczenie na wypadek zetknięcia się oddziału z partyzantami - obawa przed takim zetknięciem była jedynym elementem dysharmonii w ogólnym błogostanie pułkownika.

Rejon wokół Nowego Bychowa i droga biegnąca od Bobrujska aż do Homla uchodziły za szczególnie gęsto obsadzone przez partyzantów. Wenglin przestrzegał go szczególnie przed bagiennymi terenami na południowy wschód od Czaus i wokół Czerikowa.

Altdörfer i partyzanci! Boże, zmiłuj się! Natomiast Helgert potrafi strzelać równie niezawodnie i w każdej sytuacji ze zdobytych broni rosyjskiej jak i niemieckich karabinów maszynowych.

Krusemark był bezgranicznie zadowolony z siebie, z uznania, jakim cieszy się w dywizji, a także z wojny, która miała wciąż

w zanadru jakieś nowe, niespodziewane możliwości dla niego i jego kariery.

Chcąc podnieść własny autorytet, pozostawił pułkowi rozmaite polecenia i rady na czas swej nieobecności.

Mimo ożywionej działalności organizacyjnej w „sztabie specjalnym Krusemarka” Helgert miał jednak dość czasu na wszelkiego rodzaju rozmyślenia. Wojna wydawała się tutaj, na tyłach, jakaś przedziwna, nierzeczywista i tylko wysłuchiwanie w dzień i w nocy przez wojskowy odbiornik wszystkich możliwych komunikatów pozwalało orientować się jako tako w aktualnej sytuacji.

W zestawieniu z tym, co się ostatnio rozegrało na froncie wschodnim, rozmiary bitew pod Orłem i Jelnią zdawały się blednąć. 20 września upadek Jarcewa otworzył drogę na Smoleńsk, który Armia Czerwona zdobyła szturmem w pięć dni później, uzyskując tym samym klucz do całej Białorusi. Już tylko pięćset kilometrów dzieliło ją w tej chwili od granicy Rzeszy. Linia Desny znajdowała się od dawna daleko poza frontem.

Na początku października walki toczyły się na tych mniej więcej terenach, co w roku 1941. Dwie trzecie przestrzeni zdobyte niegdyś przez „dumny” niemiecki Wehrmacht wróciło w posiadanie Rosjan. Wschodnia część Ukrainy, spichlerz Europy, przestała już żywić niemiecką armię Frontu Centralnego; oznaczało to nowe ograniczenia żywnościowe w ojczyźnie.

Ostatnio większe odcinki obrony na wschód od Dniepru zostały w drodze nieustannych ataków kolejno przerwane. Kijów leżał już w zasięgu radzieckiej artylerii, Dolny bieg Dniepru, tej decydującej teraz dla niemieckich losów rzeki, był aż po stolicę Ukrainy niemal całkowicie opanowany przez Armię Czerwoną. Zaciekle boje toczyły się już w okolicy Dniepropietrowska.

I stała się rzecz niewiarygodna: zanim jeszcze „sztab specjalny Krusemarka” podjął swoje prace, szaleńczo odważne radzieckie oddziały przednie utworzyły na zachodnim brzegu Dniepru, na północ od Kijowa, w pobliżu Pierejaślawia i na południowy wschód od Kremienczuga, przyczółki, które stanowiły dla nich oparcie wobec nieustannych niemieckich kontrataków, a także przysparzały im samym baz wypadowych i przygotowywały pola bitew na najbliższą przyszłość.

Wobec takiej sytuacji spełnienie marzenia niemieckich żołnierzy, że Dniepr po wszystkich udrękach okresu bagiennego stanie się niezachwianą pozycją zapewniającą spokój i sytość, było wysoce problematyczne.

Ostatnia wielka naturalna linia obrony na rosyjskim terytorium została już beznadziejnie nadszarpnięta! Armia Czerwona wdarła się na południe i zachód od Homla. A także w rejonie łuku dniprzańskiego na południowy wschód od Kremienczuga. I to wszystko po cztery miesiące trwającej bitwie; „superbitwie”, jak ją określano w komentarzach Radia Wielkoniemieckiego.

Porucznik z potworną jasnością zdał sobie sprawę, że wojna może się skończyć dopiero po całkowitej likwidacji niemieckiej armii. Od kilku tygodni dręczył go jednak jeszcze jeden problem. Coraz częściej słyszał w moskiewskich audycjach o „Narodowym Komitecie Wolne Niemcy”, który został utworzony w lipcu i składał się z byłych jeńców wojennych i antyfaszystów. Komitet ten zwrócił się pod koniec września z wezwaniem do Wehrmachtu, żeby obalił Hitlera i żeby generałowie niezwłocznie wycofali armię do granic Rzeszy. Uratuje się w ten sposób życie setkom tysięcy niemieckich żołnierzy i położy kres wzajemnemu mordowaniu się całych narodów.

Była to całkiem rozsądna propozycja. Porucznik miał jednak poważne wątpliwości, czy w Niemczech istnieje taka potęga, która byłaby w stanie obalić Hitlera.

Minęły ostatnie dni października, listopad zaczął się łagodnie jak nigdy; było tylko parę stopni mrozu i cienka warstwa śniegu pokrywała pola.

Kiedy Helgert pewnego ranka odstawił kule, Jewlańskie Utaszki stanowiły dla niego już tylko jeden z wielu epizodów, które poprzedziły ów dzień sierpniowy i jego zranienie.

Pułkownik, który tego przedpołudnia załatwiał jakieś sprawy w sztabie korpusu, zjawił się właśnie na stanowisku dowodzenia. Nawet i tutaj, na zapleczu, kazał sobie wypisać na drzwiach to taktyczne określenie. Był wyraźnie w znakomitym humorze.

- Drogi poruczniku, niech się pan mocno trzyma!

Zdjął szare rękawiczki z jeleniej skóry, ściągając pedantycznie z każdego palca po kolei, po czym wrzucił je do ozdobionej srebrnym sznurkiem czapki i rozkoszował się napiętą uwagą, z jaką jego obecny adiutant czekał w służbistej postawie.

- Jak daleko stąd odbywa się budowa umocnień na odcinku południowym?

Helgert, zdziwiony tą dygresją, zameldował w skrócie o wszystkim, co mu się wydawało warte wzmianki: o wykopanych już rowach, wzniesionych zasiekach i zaporach minowych, stanowiskach karabinów maszynowych i zaopatrzeniu w amunicję.

Krusemark kiwał głową aprobująco.

- A więc na tydzień przed nadejściem armii będziemy ze wszystkim gotowi?

- Tak jest, panie pułkowniku!

Dowódca pułku naprostował swój Krzyż Rycerski i zapalił cygaro.

- My nigdy nie zajmiemy tych stanowisk!

Napoleońskim gestem wsunął prawą dłoń między trzeci i czwarty guzik munduru z wytwornie lśniącego sukna tak, że przedramię spoczywało na Złotym Niemieckim Krzyżu.

Helgert nie od razu go zrozumiał.

Pułkownik potraktował go z pobłażliwą wyższością.

- Cała dywizja, podobnie jak jej ocalałe jednostki, zostanie rozwiązana. Dla pułku oznacza to: batalion broni ciężkiej będzie istniał niezależnie w ramach artylerii wojsk lądowych. Pierwszy i trzeci batalion zostaną połączone; ten świeżo utworzony batalion w stanie bojowym przejdzie do dywizji stojącej na lewo od nas. Czwarta i szósta bateria zostaną jako nowa 6 bateria wcielone również do artylerii wojsk lądowych. Nie wiadomo jeszcze, kto obejmie nad nią dowództwo. Piąta, sztabowa bateria Meusela i sztab pułku - niech pan się teraz nie przewróci - zostaną załadowane na pociągi i opuszczą ten zimny kraj kierując się na Bałkany. Jest to oczywiście tajemnica służbowa, na razie przeznaczona tylko dla pana.

Krusemark usiadł, nalał sobie do szklanki czerwonego wina, pociągnął ze smakiem i spojrzał wyczekująco na porucznika.

Pierwszą myślą Helgerta było: A więc nie wiadomo jeszcze, kto obejmie dowództwo nad 6 baterią. Gdyby mnie z nią rozdzielono, odebrano by mi coś, co było ze mną zrośnięte od początku kampanii rosyjskiej. Dlaczego właściwie nie miałbym jej dostać?

Krusemark źle rozumiał jego milczenie.

- Ach, prawda, zapomniałem panu powiedzieć, że pan oczywiście pojedzie ze mną. Nie chciałbym rezygnować z pańskiej pracy w sztabie pułku!

Dowódca baterii patrzył na pułkownika, nic nie rozumiejąc. Czuł się tak, jakby mu usunięto grunt spod nóg.

A więc jednak rozstanie z moimi chłopcami! Heizer, Bender, Erdmannsdorf - to klucz do tej decyzji. Nie mają już do mnie zaufania i dlatego nie chcą mi powierzyć frontowej jednostki. Wykończą mi moich chłopców, tylko ja mogłem ich jeszcze z tego wyciągnąć. Zaciśnął zęby.

- Gdzieś na Bałkanach, a może we Włoszech czy we Francji wystawię jeszcze młody, bojowy pułk w ramach nowej dywizji! Co pan na to?

Twarz Krusemarka przybrała triumfalny wyraz.

Helgert myślał: wtedy, pod Jewlańskimi Utaszkami, podczas naszej ostatniej rozmowy, Bender mówił o tym, że Rosjanom chodzi przede wszystkim o wyzwolenie swojej napadniętej ojczyzny i o rozbicie niemieckiego imperializmu, a wraz z nim krwawego systemu terroru zagrażającego całemu światu. Powoli zaczynam to rozumieć. A ja, skończony idiota, doszedłem wtedy w Jewlańskich Utaszkach do wniosku, iż Bender nie miał racji tylko dlatego, że udało mu się odzyskać „wolność”!

Teraz, kiedy wreszcie zdecydowałem się z tym wszystkim skończyć, to przeniesienie zamyka wszelkie możliwości zrealizowania mego zamiaru. Podnieść rękę do góry na pierwszej linii można tylko wtedy, kiedy się wie, że człowiekowi z tyłu nic nie grozi. Ale poza sztabem Krusemarka? Pod podejrzliwym okiem Altdörfera? Wykluczone!

- A to dopiero numer! Jak się panu pułkownikowi udało osiągnąć te wszystkie cenne zmiany? Kiedy zostaniemy załadowani?

Porucznik z zimną krwią potraktował pułkownika oczekiwaną porcją pochlebstw.

Krusemark poczuł się wreszcie zadowolony. Zaczął od niechcenia przerzucać pocztę służbową jak ktoś, kogo to już właściwie nic nie obchodzi. Nagle coś sobie jeszcze przypomniał.

Uważał, że nadeszła najodpowiedniejsza chwila rozstania się z najbliższymi współpracownikami. Pozostał jeszcze Schnellinger. Jako kierowca nie był najgorszy. Ale za długo chodziliśmy w jednym zaprzęgu. Ileśmy już razem przeżyli od roku 1941? Oczywiście niejedną przysługę mi przez ten czas wyświadczył. Ale przecież każdy na jego miejscu musiałby robić to samo. Nie, nie, Schnellinger także zasłużył na pozostanie na środkowym odcinku. Odwdzięczę mu się jeszcze na zakończenie i wyszukam dla niego jakąś przyzwoitą baterię. Która by się najlepiej dla niego nadawała? To przecież jasne! Szósta! Dawna bateria Helgerta! Idealne towarzystwo dla Schnellingera.

Krusemark zatarł ręce. Wszystko to gromada marionetek! Obojętnie, czy kierowanie nimi nazwie się rozkazem, czy władzą. Grunt, żeby odpowiednio tańczyły! Jednego przesunie się tu, drugiego tam. Do ciepłych słonecznych krajów albo... jak mi się żywnie spodoba.

Następnego wieczora zjawił się porucznik Altdörfer. Pułkownik ułożył z nim razem szczegółowy rozkaz pułku dla wszystkich dowódców oddziałów.

Kiedy nazajutrz po południu pułkownik Krusemark został wezwany do jakiegoś wyższego sztabu w Homlu, Altdörfer zaprosił Helgerta na wódkę. Otworzył butelkę rumu negrita i napełnił kieliszki.

- Wypijmy zdrowie czcigodnego porucznika Alojzego Altdörfera, który bezinteresownie pomógł swemu koledze Helgertowi oczyścić splamiony honor.

Helgert gwałtownie odstawił swój kieliszek na stół.

- Zdawało mi się dotychczas, że tylko członkowie sądu honorowego mieli z tą sprawą do czynienia.

- To jeszcze jeden dowód pańskiej naiwności. Już oni by pana wykończyli, spokojna głowa. Gdyby nie ja...

Drzwi trzasnęły za Helgertem.

Na wiejskiej drodze panował niespokojny nastrój związany ze zbliżającym się frontem. Już w najbliższych dniach, może i godzinach, miała się tu zjawić i jego bateria, żeby obsadzić nowe stanowiska.

Moi chłopcy mają zostać tu i brać dalej udział w tych morderczych walkach, kiedy ja pojedę sobie gdzieś na południowy zachód, gdzie chwilowo nie ma prawdopodobnie żadnych działań wojennych, gdzie można spokojnie prowadzić ćwiczenia i zbiórki na koszarowych dziedzińcach. Czy moi ludzie, jak Gengenbach i Söchting, nie pomyślą, że wykorzystałem pobyt w sztabie Krusemarka, aby się wygodnie urządzić?

Moi chłopcy - a może to jest w ogóle fikcja? Fakt, że ja uważam ich za moich kolegów, wcale nie dowodzi, że oni uważają mnie za swego kolegę. Oczywiście byli na mnie zdani; poza tym moją osobę otaczał rodzaj nimbu, ponieważ nieraz udało mi się wyciągnąć baterię z trudnej sytuacji, bez zbyt wielkich strat. Czy oni nie powinni mnie jednak w gruncie rzeczy nienawidzić za to, że mogłem zmuszać ich do rzeczy, które są sprzeczne z ich interesami? Tak, ja, porucznik Helgert, jestem sam zmuszony i zmuszam ich do udziału w tej wojnie, do atakowania albo cofania się - zależnie od życzenia tych, którzy tę wojnę prowadzą.

Może by mi się udało wyprowadzić ich żywych z tej historii. Musi przecież istnieć jeszcze jakaś możliwość pozostania przy mojej baterii.

W kilka dni później sztab Krusemarka został przeniesiony z Czhaus do Mohylewa nad Dnieprem, aby tam wraz z resztkami rozwiązanego pułku wsiąść do pociągu.

Helgert siedział obok Schnellingera. Pułkownik Krusemark, zajmujący z Altdörferem tylne siedzenie, rozmawiał ściszym głosem ze swym adiutantem.

Z gorącym współczuciem patrzymy w stronę dzielnych obrońców naszej ojczyzny, którzy wciąż bohatercko opierają się nieustannym atakom Czerwonych. Ani na chwilę nie słabnie nasze zaufanie i nasza wiara w niezłomność niemieckiego Wehrmachtu, który 19 listopada pod Żytomierzem znowu odparł nieprzyjaciela.

„Co się dzieje z Łancem? Od pierwszego dnia kampanii jest Łan wciąż na najbardziej wysuniętej linii frontu, wciąż narażony na niebezpieczeństwo. Gdybym mogła roztoczyć nad Łancem chociaż minimalną opiekę! Wydaje mi się jednak, że Łanowi niebezpieczeństwo jest pod innymi skrzydłami. Jestem przy Łanach wszystkimi myślnami i najlepszymi, najserdeczniejszymi życzeniami. Leńska H.

Podczas jazdy przez bagniste pola Helgert otworzył list od Klaudii Sanden. Na kopercie podany był obcy mu nadawca. Kiedy zaczął czytać ostatnią stronę, na jego czole pojawiła się głęboka bruzda.

Na dole było jeszcze postscriptum:

Przez parę najbliższych tygodni będę na urlopie zdrowotnym w Wiedniu. Pod adresem: Steffi Lindmayer, Währingerstr. 81. Jest to moja dawna bliska przyjaciółka, która natychmiast mi Leński list doręczy. Nie wiem jeszcze dokładnie, gdzie zamieszkałam.

Śnieg zmieszany z deszczem wpadł do otwartego wozu. Porucznik postawił kołnierz, otulił się szczelnie płaszczem i zaczął rozmyślać nad tym dziwnym listem. Żadna cenzura nie mogła się do niego przyczepić, chociaż między wierszami można tam było wyczytać katastrofalną sytuację niemieckich sił bojowych.

„Wydaje mi się, że Pana miejsce jest pod innymi skrzydłami.”
Zastanawiające zdanie. Może wyraża ono bardzo osobiste uczucia? Miłość?

Porucznikowi wydało się, że krew mu uderzyła do głowy.

- Ależ z pana marzyciel, poruczniku! - W głosie Krusemarka brzmiała drwina. - Dziś i jutro mamy jeszcze mnóstwo roboty. Czy wszystkie papiery potrzebne na drogę są już gotowe?

- Jeszcze niezupełnie, panie pułkowniku!

- No, proszę, A więc do dzieła!

- Tak jest, panie pułkowniku!

Krusemark wysiadł z samochodu i zamierzał właśnie przekroczyć próg pieczolowicie dla niego przygotowanej ostatniej kwatery na rosyjskiej ziemi.

- Panie pułkowniku... - Dowódca pułku obejrzał się.

- Czy mogę zwrócić się do pana pułkownika z pewną osobistą prośbą.

- Śmiało, wal pan!

- Chciałem prosić pana pułkownika o pozwolenie objęcia z powrotem dowództwa mojej baterii. Jestem oficerem liniowym, nie nadaję się do pracy w sztabie.

Krusemark aż otworzył usta ze zdumienia. Przyjrząwszy się najpierw z niedowierzaniem porucznikowi, wyjął monokl z oka i zaczął trząść czerwoną z gniewu głową.

- Człowieku, jest pan najbardziej niezdyscyplinowanym elementem, jaki mi się zdarzyło spotkać!

- Panie pułkowniku, czy mogę...

- Teraz ja mówię! Muszę panu powiedzieć, że po pierwsze nie mam zamiaru dezawuować siebie wobec dywizji i korpusu, korygując własne propozycje. Po drugie wyraźnym życzeniem pana generała było posłanie pana po odpowiednim przygotowaniu pod moim kierunkiem na Akademię Sztabu Generalnego, a

potem przyjecie do sztabu dywizji. Czy pan zdaje sobie w ogóle sprawę z tego, że te sklecone z ocalałych resztek jednostki zostaną wprowadzone do działania na zachód od Kijowa, a więc w najgorszym punkcie środkowego odcinka?

- Panie pułkowniku...

- Niech mi pan łaskawie oszczędzi wszelkich dalszych komentarzy w tej sprawie. Jak żyję, nie widziałem tak bezgranicznej niewdzięczności!

Helgert przyłożył prawą dłoń do czapki.

- Zapomniałem jeszcze o jednym. Niech pan poinformuje w moim imieniu Schnellingera, że nie będzie mi już potrzebny. Zostanie przeniesiony do 6 baterii, z którą pan, dzięki Bogu, nie będzie miał nic wspólnego. Wóz obejmie natychmiast starszy szeregowiec Schmitthefer. Żegnam pana!

Helgert znowu machinalnie podniósł dłoń do czapki i przez chwilę jeszcze patrzył w drzwi, za którymi zniknął pułkownik. Potem odwrócił się powoli i ze spuszczoną głową podszedł do samochodu.

Twarz Schnellingera wyrażała szczerą radość.

- Jak to dobrze, że będziemy teraz znowu sami. Dokąd jedziemy, panie poruczniku?

- Do rampy przeładunkowej.

- Z panem można przynajmniej po ludzku pogadać, jak starego nie ma.

Zapуścił silnik.

Fritz Helgert przez chwilę patrzył w milczeniu przed siebie. I właśnie ja muszę mu to powiedzieć. Cholernie mi żal tego sympatycznego chłopca.

- Schnellinger!

- Słucham, panie poruczniku!

- Pułkownik uważa, że pan będzie tutaj potrzebny ze względu na pana wieloletnie doświadczenie na wschodzie.

Schnellinger udał, że ruch na drodze pochłania całą jego uwagę. Zacisnął tylko nieco usta.

- Spodziewałem się tego.

- Dlaczego?

- To trudno powiedzieć. Ale czułem, że stary w jakimś momencie będzie się chciał mnie pozbyć.

Zadzwoił telefon polowy. Altdörfer podniósł słuchawkę.

- Tu dywizja, oddział szósty. Proszę porucznika Altdörfera.

- Przy telefonie.

- Mówi sędzia Trybunału Wojennego, Werner.

- Dzień dobry, panie sędzio.

- Chciałbym pana prosić, żeby pan przed swoim przeniesieniem załatwił jeszcze pewną sprawę. Plutonowy Erdmannsdorf został przez sąd polowy skazany na śmierć za samookaleczenie się i tchórzostwo wobec wroga w decydującej strategicznej sytuacji. Zgodnie z rozkazem dywizji pańska jednostka musi wyznaczyć pluton egzekucyjny: jednego oficera i dziesięciu żołnierzy. Do jutra do dziewiątej rano należy złożyć meldunek o wykonaniu wyroku. Szczegóły zostaną omówione z dowódcą plutonu. Niech pan go do mnie przyśle dziś o dwunastej. Ma pan jakieś pytania?

- Nie, natychmiast powiadomię o tym pana pułkownika.

- Dziękuję. Skończyłem.

Altdörfer z wolna odłożył słuchawkę; na jego twarzy pojawił się złośliwy grymas. Po chwili zapukał do drzwi Krusemarka.

Pułkownik słuchał relacji adiutanta ze znużoną miną. Raz tylko rzucił okiem na jego nieruchomą twarz.

- Niech pan wyznaczy dziesięciu ludzi ze sztabów pododdziałów. Wolałbym oszczędzić naszym chłopcom tego widowiska.

- A dowódca plutonu?

Głos Altdörfera brzmiał obojętnie.

Obaj panowie spojrzeli jeden na drugiego.

- Nie ulega wątpliwości, kto ponosi polityczną odpowiedzialność za to pozałowania godne wydarzenie. Erdmannsdorf od początku kampanii wschodniej należał do 6 baterii!

- A więc pana zdaniem...

Altdörfer nie dał sobie odebrać efektu psychologicznie przygotowanej akcji i wtrącił czym prędzej:

- Uważam, że moralnym obowiązkiem pułku jest powierzenie tej funkcji dowódcy odnośnej baterii!

Pułkownik wstał.

- Nie oczekiwałem od pana żadnej innej propozycji. Proszę mi tu przysłać Helgerta za pół godziny.

Altdörfer spełnił polecenie, zanim minęło owe pół godziny. Helgert stawiał się przed uśmiechniętym Krusemarkiem, niczego się nie domyślając, i zastanawiał się: może jednak raz jeszcze rozpatrzył moją prośbę i zmienił decyzję? Czuł narastające podniecenie. Pułkownik odezwał się wysokim głosem:

- Mam dla pana polecenie, które powinno pana ucieszyć. Niewątpliwie zdaje pan sobie sprawę z tego, że owa niedawna historia honorowa rzuciła pewien cień na pańską osobę. Przykra afera z Benderem znów postawiła pana w oczach niektórych przełożonych - czy słusznie, czy nie, trudno to teraz stwierdzić - w niezbyt korzystnym świetle.

Pod Helgertem ugięły się kolana. Zdawało mu się, że pułkownik znajduje się gdzieś bardzo daleko od niego, jakby go widział przez olbrzymią wklęsłą soczewkę. Tylko jego głos brzmiał głośno i wysoko jak dźwięk piły.

- Nieznany mi dotychczas fakt samookaleczenia się plutonowego Erdmannsdorfa, który był również członkiem pańskiej baterii, dopełnił po prostu miary!

Przecież to się stało dwa miesiące temu, myślał Helgert. A on twierdzi, że nic o tym nie wiedział?

- Żeby raz jeszcze dać panu dowód mojej osobistej życzliwości, chcę panu umożliwić publiczne odcięcie się od tych wybryków. Erdmannsdorf został skazany na śmierć za zbrodnię wobec narodu niemieckiego. Pozwalam panu wykonać ten wyrok. Nie wątpię, że jest mi pan za to wdzięczny. Dalszych wskazówek udzieli panu porucznik Altdörfer. Techniczne szczegóły znajdzie pan w odnośnych przepisach służbowych; jeśli nie ma pan w tej dziedzinie doświadczenia.

- Rozkaz, panie pułkowniku.

Helgert nacisnął zmiętą czapkę na wzburzone włosy i patrzył tępo na Krusemarka. To przecież niemożliwe! Mam kazać rozstrzelać człowieka z mojej baterii za to, że sam zranił się w ramię!

- Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Żółte oczy pułkownika lśniły jak u rysia.

- Jedno pytanie... właściwie nie, chciałem tylko...

- Chciał mi pan pewnie podziękować za ojcowski stosunek do pana. Przyjmuję do wiadomości.

I otworzył przed porucznikiem drzwi.

Przygotowania do załadunku jednostek nie pozwoliły Helgertowi aż do wieczora ani na chwilę wytchnienia. Kiedy żołnierze rozeszli się, pognało go w dół, nad rzekę. Błady księżyc wynurzył się z mroku i igrał z wodami Dniepru. Niby milcząca czarna bryła piętrzył się kraj po drugiej stronie rzeki. Tu i ówdzie bieleły nieliczne łąty śniegu. W tym roku nawet „generała Mroża” nie można było obarczyć odpowiedzialnością za ten niekończący się łańcuch klęsk.

Ponad tym wszystkim było roziskrzone gwiazdami niebo. Obce, zimne i tajemnicze. Daleka linia frontu przywdziała już swoją wieczorną koronę ze smug reflektorów.

Niepostrzeżenie noc objęła wszystko w posiadanie, gasząc z wolna bezlitosny żar walki, w którym stopniała znaczna część niemieckiego wojska.

Helgert pomyślał, co by było, gdyby tak teraz poszedł na drogę i pierwszym lepszym samochodem wiozącym amunicję pojechał na front szukać swojej baterii. Natychmiast jednak zdał sobie sprawę z bezsensowności takiego kroku. Zanim by tam dotarł, już cały pułk wiedziałby o jego ucieczce ze sztabu.

Jutro rano, o godzinie ósmej, podniosę szablę i zakomenderuję: „Cel!” Z prawej strony zaszczekają karabiny, a z lewej, oddalony tylko o dziesięć kroków, będzie stał Erdmannsdorf. Jego życie zależy od tego jednego słowa, od tego ostatniego słowa, jakie z sobą zabierze.

Szedł z powrotem, nie dostrzegając ani ulic, ani ludzi. Noc ciągnęła się bez końca aż do chwili, kiedy Helgert zapiął sprzączkę swego hełmu.

Porucznik kroczył sztywno przed plutonem, ponieważ bał się wzroku żołnierzy. Kotlinę na północno-zachodnim krańcu miasta otaczała szerokim pierścieniem żandarmeria. Przedstawiciel sądu wojennego stał między duchownym katolickim i lekarzem. Helgert kazał żołnierzom stanąć w dwuszeregu i zakomenderował „spocznij”, po czym poszedł się zameldować.

Kiedy prowadzono plutonowego Erdmannsdorfa ze związanymi rękami, porucznik omijał go wzrokiem. Ksiądz podszedł do skazańca i przemawiał doń szeptem. Erdmannsdorf nie poruszył się.

Przyroda jakby zastygła w niesamowitej ciszy. Na koniec duszpasterz uczynił pośpiesznie znak krzyża i cofnął się na swoje miejsce.

Wprawnymi rękami strzelcy przywiązali plutonowego do niedużego pała. Sędzia skinął lekko głową.

Helgert stuknął obcasami, wyciągnął szablę i oparł ją na prawym ramieniu.

- Baczość!

Zabrzmiało to jak fanfara. Pod Erdmannsdorfem ugięły się kolana.

- Cel!

Karabiny stuknęły o brzegi hełmów.

Porucznik miał uczucie, że musi ostatkiem sił odepchnąć olbrzymią granitową płytę, która lada chwila zwali mu się na pierś. Ale jego prawa ręka jak sparaliżowana leżała na rękojeści szabli. Wyczuwał palcami zarys lwiej głowy. Lewą rękę przycisnął do płaszcza jak w czasie ćwiczeń, kiedy jeszcze był rekrutem. I potężna płyta wali się na niego.

Jego usta otwierają się:

- Pal!

Donośny huk rozrywa ciszę poranka.

- Opuść broń!

- Repetuj broń!

- Na ramię broń!

Rękawiczki z głośnym kłaśnięciem walą w kolby karabinów.

- W prawo zwrot! Spocznij! Marsz!

Wsunął szablę do pochwy i dotknął ręką hełmu.

Otóż i koniec - pomyślał. - Nie powinienem był wykonać tego rozkazu. Stałem się zbrodniarzem, ponieważ nie przeciwstawiłem się barbarzyństwu. Czy w ogóle możliwe jest zmazanie takiej winy! Musiałbym dać ekwiwalent, który by wszystko przeważył. Ale Erdmannsdorf nie żyje, ja go rozstrzelałem. A przecież tak często miałem na ustach słowo „uczciwość”...

Lekarz niepewnym krokiem podszedł do ciała zwisającego na palu.

Załadunek jednostek był w pełnym toku. Pociąg, którym miał odjechać sztab pułku, miał wkrótce po północy opuścić

pomocnicze rampy załadunkowe w Mohylewie, jechać na północ wzdłuż Dniepru i począwszy od Orszy, wejść na główny tor biegnący w kierunku Mińska i Brześcia Litewskiego. Dalej istniały rozmaite możliwości: albo przez Warszawę, Wrocław i dalej na południowy wschód. Albo wprost przez Berlin na zachód.

Helgert nie mógł się nawet pożegnać ze swymi ludźmi, chociaż znajdowali się teraz na wschodnim krańcu Czausów o niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd. Po prostu nie było czasu na trzygodzinną jazdę tam i z powrotem. Mimo tego bezspornego faktu znowu opanowała go myśl, że ich zdradził - ich, wspólnych poległych towarzyszy i samego siebie.

Krusemark zorganizował jeden wagon osobowy trzeciej klasy i kazał go doczepić do pociągu mającego transportować sztab pułku i jego baterię. Noc rozszalała się wilgotną zawieją, która jeszcze potęgowała powszechne pragnienie, by jak najszybciej stąd odjechać.

W końcu pociąg złożony z bydlęcych wagonów i platform ruszył powoli z miejsca.

Rozpoczęła się pierwsza godzina 25 listopada 1943 roku.

Pułkownik nalał wszystkimi jałowcówki i trącił się z Altdörfem, Helgertem, z weterynarzem sztabowym i pułkowym lekarzem, którego dopiero przed dwoma tygodniami przysłano tu z zachodu, oraz dowódcą baterii. Nawet ordynansów wciągnięto jowialnie do uczestnictwa w tej doniosłej chwili. Potem raz jeszcze odwrócili głowy ku nielicznym światłom oddalającej się z wolna stacji w Mohylewie.

- Po dwuipółrocznej służbie na Wschodzie dla Führera!

Leciutkie drzenie w głosie pułkownika Krusemarka pozwalało odgadnąć, jak bardzo zazdrościł on również z tego powodu swoim rówieśnikom, którzy w tym czasie przebywali na słonecznym

Południu, wojowali w ojczyźnie lub siedzieli w wyższych sztabach. To drżenie dotyczyło wszystkich niewykorzystanych możliwości, ale bynajmniej nie poległych z jego pułku ani tych, których tu pozostawiał. Teraz już „Order Drogi Manewrowej” musi stać się namacalnym dokumentem jego doświadczenia zdobytego na Wschodzie i jego roszczeń. Wybiła godzina, która powetuje dotychczasowe zaniedbania. W pojęciu pułkownika powinna ona być nastąpić znacznie wcześniej.

W sąsiednich przedziałach panowała cisza. Tam głowy zaprzątnięte były innymi myślami. Po odrocie zimą 1941 roku, przegrane bitwy w lecie i jesienią 1943; a teraz znowu odwrót. Przeszło cztery lata wojny. A jaki będzie koniec?

Daleko na horyzoncie błyskało się. Po obu stronach autostrady Moskwa-Wiaźma-Smołeńsk od wielu dni nacierały radzieckie dywizje pancerne. Niedaleko Orszy pociąg zatrzymał się parę minut. Tutaj jeszcze silniej dawało się odczuć przejmujące drżenie ziemi i powietrza. Koła znów zaczęły się toczyć; toczyły się i toczyły.

Pułkownik mianował Helgerta komendantem pociągu, a to dlatego, że nie chciał go mieć w pobliżu swojego przedziału. W nocy porucznik spał razem z wartownikami w pierwszym wagonie towarowym. „Sześć koni albo czterdziestu ludzi” - głosił napis na zasuwanych drzwiach. Początkowo trzęsienie pociągu zdawało się nie do wytrzymania. W końcu jednak, mimo swej uporczywości, zaczęło działać przedziwnie usypiająco.

Helgert szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ciemność. Ten stukot kół po szynach zagłuszał wszystko. Bam... Bam... Bam... Wagon podskakiwał, koła i osie zgrzytały, w uszach waliło jak młotem, łoskot wżerał się w mózg! Wciąż bez przerwy: bam... bam... bam...

Dopiero parę minut po drugiej. Borysow. Mińsk, Baranowicze zostały już poza nimi. Przed południem powinni być w Brześciu Litewskim.

Porucznik podszedł ostrożnie do drzwi i uchylił je. W wąskiej szparze widać było przemykający cichy, prawie (bezsłyszalny krajobraz: „Reichskommissariat Ostland”. Pod Brześciem zawadzą o „Reichskommissariat Ukrainę”.

Wilgotny chłód objął go całego. Nagle myśl o Klaudii wyparła wszystkie inne. Helgert zamierzał z tym skończyć. Tak dalej być nie mogło. Noc użycza zawsze jasnego spojrzenia, to zrozumiałe. A więc zacznę tak: „Droga Klaudio”, nic więcej.

„Droga Klaudio, oboje wiemy dobrze, jak wyglądają nasze sprawy. Niewiele godzin dotychczas dane nam było spędzić z sobą, ale coś przyszło bez naszej woli. Wiesz, że życie, obecne czasy i ta wojna stawiają temu veto. Jestem żonaty i mam wobec Ilzy zobowiązania. A Ty czy mogłabyś się zgodzić, by ktoś zajął miejsce Eberharda? To byłaby pomyłka, miraż, a nie wytęsknione szczęście. Zostańmy na zawsze dobrymi przyjaciółmi. To także daje uczucie cichego zadowolenia. A o tamtym zapomnijmy.”

Zamknął oczy i ogarnął go jakiś dziwny spokój. Szyny dalej śpiewały swoje miarowe: bam... bam... bam... Osie stukały niez mordowanie, a sprzęgła dźwięczały metalicznie. Helgert zamknął drzwi i położył się. Splątane myśli przeszły w niespokojny półsen.

Zdawało mu się, że znowu czuje nieznośny ucisk chwiejącego się przy każdym kroku hełmu. Przed nim idzie Erdmannsdorf, który ma ręce aż po łokcie skrępowane z tyłu grubym sznurem. Za każdym potknięciem dwaj atletyczni żandarmi podrywają go ze śmiechem z powrotem w górę. Kiedy go przywiązano do białego

pala, Helgert postanowił opuścić miejsce egzekucji. Odwrócił się i zobaczył zbliżających się długim szeregiem żołnierzy z jego własnej 6 baterii. Chciał do nich krzyknąć, że ten rozkaz jest dla wszystkich przymusem i usprawiedliwieniem. W tym momencie poderwał go z miejsca huk eksplozji.

Zgrzytnęły hamulce. Pociąg stanął. Kilka karabinowych strzałów smagnęło czerń nocy. Potem zapanowała cisza. Helgert z pistoletem maszynowym w rękę wyskoczył w ciemność i zdyszany biegł ku lokomotywie. Załoga kaemu posuwała się ostrożnie, w pewnej odległości za nim. Pół metra toru wyleciało w powietrze. Nic więcej się nie stało. Wyrwa znajdowała się między dwiema napełnionymi piaskiem lorami przed lokomotywą.

Nikogo nie było widać ani słyszać. Noc nie wydawała się już taka czarna. Helgert czuł się jak na patelni, dał więc rozkaz swoim ludziom, żeby się rozproszyli. Kto wie, czy nie kryje się tu gdzieś grupa partyzantów z wycelowanymi kaemami, które za chwilę wystrzelą.

Jakiś słaby, niezbyt odległy błysk światła zwrócił jego uwagę. Posunął się ostrożnie w tamtą stronę. Kolczasty żywopłot zakrywał niewielkie ognisko.

Helgert podniósł pistolet maszynowy do biodra. Nagle zobaczył dwóch ludzi z przewieszonymi karabinami. Podeszedł jeszcze trochę bliżej. Okazało się, że byli to Węgrzy.

- Halo, koledzy!

Obejrzeni się i zobaczyli porucznika bez pasa, bez płaszcza, z gotowym do strzału rosyjskim pistoletem maszynowym.

- Chodźcie ze mną!

Spojrzeni po sobie. Do toru było stąd niecałe pięćdziesiąt kroków. Helgert poszedł przodem, nie oglądając się.

Węgrzy z wahaniem podążali za nim wzdłuż nasypu ku pociągowi.

Pułkownik Krusemark stał z karabinem w ręku i rozglądał się wokół wojowniczo. Maszynista tłumaczył właśnie, że bez żadnej pomocy bezpiecznie przeprowadzi pociąg przez wyrwę. Altdörfer wciąż jeszcze krył się za plecami grupki żołnierzy. Możliwe, że tak to tylko wyglądało.

Węgrzy mówili jako tako po niemiecku. Służyli w bazie zabezpieczenia toru znajdującej się niedaleko stąd. Partyzantów wprawdzie nie widzieli, słyszeli jednak eksplozję i strzały z karabinów. Zdarzało się to każdej nocy. Nic nie można było na to poradzić.

Pułkownik był blady ze wściekłości i strachu.

- Trzeba by paru z was w łeb palnąć, to byście lepiej pilnowali dróg transportu dla niemieckiego Wehrmachtu! Przekłęta hołota!

Rozległ się ostrzegawczy gwizd lokomotywy, która ostrożnie ruszyła z miejsca. Koła drugiej lory centymetr po centymetrze przetoczyły się ponad uszkodzonym odcinkiem. Wszyscy przyglądali się temu z napięciem.

- Można ich ukarać dla przykładu! - Altdörfer zjawił się teraz przed obu węgierskimi żołnierzami.

Helgert poczuł delikatne klucie z tyłu głowy. Zacisnął wargi.

Pułkownik ruszył powoli w stronę wagonu osobowego. Nie lubił podejmować decyzji, których skutków nie dało się w pełni przewidzieć.

Przednia oś lokomotywy zbliżyła się do wyrwy. Artylerzyści mieli tylko jedno pragnienie: wydostać się z tej nieprzyjemnej okolicy na światło dzienne. Szybko wyskakiwali na tory.

- Spływajcie!

Węgrzy zrozumieli gest Helgerta.

Altdörfer rozejrział się naokoło. Czuł, że sytuacja przybiera fatalny dla niego obrót, więc szybko się przestawił:

- Nie słyszycie, że macie spływać, bydlaki!

Już po kilku krokach obaj żołnierze ze służby bezpieczeństwa torów zniknęli w ciemnościach. Altdörfer spostrzegł teraz, że stoi sam z Helgertem na początku wolno toczącego się pociągu. Puścił się więc biegiem do oddalonego jeszcze co najmniej o sto metrów wagonu osobowego. W następnej sekundzie rozległ się strzał oddany z bardzo bliska i najwidoczniej przeznaczony dla adiutanta.

Helgert mimo woli wcisnął nieco głowę w ramiona i nasłuchiwał, ale nic więcej nie nastąpiło. Skoczył więc na stopień swojego wagonu.

W Krakowie przekazano pułkownikowi tajne instrukcje. Nieśpieszno mu było zapoznać się nimi. Być może dotyczyły one dalszego etapu jazdy albo zachowania się żołnierzy na terenie protektoratu czy też innych jeszcze głupstw. Rzucił Altdörferowi zaklejone koperty - niech on się tym zajmie. Adiutant przerzucił pisma i nagle wzburzony zerwał się z miejsca.

- To niesłychane!

Krusemark obejrzał się.

- Pan pułkownik ma się jak najszybciej udać do Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych! Pan pułkownik zostaje mianowany dowódcą wojsk artyleryjskich zgrupowania Zachód!

Karlfriedrichowi Krusemarkowi wystarczył ułamek sekundy, by ocenić wagę tego przeniesienia. Zbyt długo to, co teraz nastąpiło, było przedmiotem jego marzeń i świadomych przygotowań. Przyjął gratulacje adiutanta i zaczął natychmiast pakować walizki.

Jak niewiele myślał pułkownik o szczątkach pułku artylerii pozostałych na froncie wschodnim, tak i teraz przestały go już

interesować losy sztabu i jednostek podążających tym i następnymi pociągami drogą, która nie była już jego drogą.

Führer i Wojskowe Biuro Personalne stwierdzili akurat przed Bożym Narodzeniem 1943 roku, że istnieje niejaki pułkownik Krusemark, który został powołany do wyższych celów. Nominacja na generała leży już z pewnością gotowa w jakiejś szufladzie, w której, to się w kraju bardzo szybko okaże.

Krusemark włożył płaszcz i oświadczył, że z Krakowa odchodzi wiele pociągów bezpośrednich do Berlina. Poza tym warto by może zapytać na lotnisku o możliwości szybszej komunikacji.

Altdörfer stał, trzymając w ręku drugi dalekopis. Pułkownik widząc, że oczekuje od niego decyzji, wydał pomruk niezadowolenia i uniósł lekko w górę prawą brew.

Adiutant oświadczył obojętnym tonem:

- Należy natychmiast wysłać do korpusu dowódcę baterii.

Pułkownik uznał, że zajmowanie się w tej doniosłej chwili tak banalną sprawą jest nie do zniesienia.

- Kogo pan proponuje? - spytał z przyzwyczajenia.

- Ja bym radził porucznika Helgerta. Będzie panu pułkownikowi głęboko wdzięczny!

Altdörfer nie krył swego szyderstwa.

Pułkownik Krusemark pomyślał o bitwie o zachodni brzeg Dniepru i o tym, że w tych ostatnich dniach roku jeszcze niejedno może się wydarzyć. Wobec tego, że on sam nie będzie miał teraz okazji czuwania nad krnąbrnym dowódcą baterii, bitwa zimowa może stanowić idealną szansę ukrócenia w sposób naturalny jego samowoli. Karlfriedrich Krusemark nie wahał się więc dłużej.

- Znakomicie, Altdörfer, znakomicie! Niech pan zawiadomi Helgerta o mojej decyzji, kiedy dobijecie do następnego miejsca

postoję. Teraz nie ma już na to czasu. Dokąd teraz jedziemy... przepraszam... jedziecie? Pan obejmie po mnie oczywiście komendę nad transportem.

Porucznik i adiutant pułku Alojzy Altdörfer, zdany teraz na własne siły i przynajmniej na parę dni wyposażony we władzę, podał pułkownikowi trzecie pismo.

- Do Wiednia.

Zwolniony przed chwilą z obowiązków dowódcy pułku, Krusemark kiwnął łaskawie głową i włożył czapkę.

- Oczywiście wkrótce was tam dogonię! Mam nadzieję, że z obustronnym pożytkiem dopłyniemy jakoś razem do końca wojny.

Pułkownik otworzył drzwi przedziału i zeskoczył na szyny.

Altdörfer niósł za nim walizki.

Karlfriedrich Krusemark nie obejrzał się ani razu. Na dworcu pożegnał swego byłego adiutanta, włożywszy uroczyście monokl do oka:

- Życzę panu wszystkiego najlepszego! Proszę pozdrowić ode mnie moich ludzi! Niech spełniają zawsze swoje obowiązki równie sumiennie jak ja spełniałem moje, oczywiście o wiele trudniejsze, i spełniać będą wszędzie, gdzie ojczyzna tego ode mnie zażąda! Führer jest z nami!

Po czym przyłożył niedbale dwa palce do daszka czapki.

Rozdział 24

Jedno tylko wyjście z zadymionej hali Dworca Franciszka Józefa w Wiedniu było otwarte. Patrol żołnierzy Wehrmachtu stał obok kranów do mycia rąk. Kilku panów ubranych po cywilnemu, niepozornie wyglądających, kręciło się w pobliżu, udając niezainteresowanych.

Zgodnie z rozkładem jazdy pociąg bezpośredni z Berlina zbliżał się właśnie do końca ostatniego przelotu Korneuburg-Wiedeń. Pracownicy poczty dworcowej czekali z wózkami na peronie, żeby wyładować listy i paczki.

Kilka minut później pociąg wpadł do hali. „Najpierw zwyciężyć - potem podróżować!” Te słowa Goebbelsa widniały zarówno po obu stronach węglarki, jak i we wszystkich możliwych punktach dworca. Wśród szarego tłumu wysiadających rzadko zdarzali się nieumundurowani. Na nich to koncentrowała się uwaga niepozornie wyglądających panów. Lwią część zajęć pozostawiali żandarmom z połyskującymi odznakami w hełmach. Jakiś średniego wzrostu mężczyzna około czterdziestki, dźwigając na ramionach narciarski plecak ze stelażem, a w ręku torbę podróżną z żaglowego płótna, szedł, śmiejąc się i głośno perorując wśród gromadki dziewcząt z gitarami.

Urlopowicz-pomyślał gestapowiec stojący przy samym przejściu. - Że też takich się w ogóle toleruje w piątym roku wojny.

Skierował wzrok na następne osoby cywilne.

Tymczasem urlopowicz pożegnał się z dziewczętami. Od paru tygodni nie miała kontaktu z towarzyszami. I to ciągle czekanie i rosnący strach. Jednak czekająca ją wyprawa to przecież nie spacer. Potrzebny jej będzie ogromny zapas energii. Powinna w każdej chwili wiedzieć, że tu chodzi o wszystko - o życie.

- Klaudio, muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

- No, słucham?

- Straciliśmy jednego przyjaciela.

Myśli jej się skłębity, próbowała odgadnąć.

- Kogo?

- Towarzyszkę Bender.

Był to dla niej straszliwy cios.

- Matkę Bender.

Paweł skinął głową. Usta miał teraz mocno zaciśnięte.

- Oczywiście płuca! Powinniśmy byli o wiele wcześniej zająć się jej zdrowiem. Jeszcze przed paru tygodniami mówiłam jej o tym u lekarza. Wszyscy wiedzieliśmy przecież...

Paweł potrząsnął głową i patrzył na Klaudię z przerażającym spokojem.

- Towarzyszkę Idę Bender rozstrzelało gestapo. „Zastrzelona w czasie ucieczki”, jak oni to określają.

Klaudia Sanden ukryła twarz w dłoniach. Suche łkanie wstrząsnęło jej ciałem. To niemożliwe! Biedna staruszka! Zastrzelona w czasie ucieczki! A zatem plan został odkryty. Stąd pytanie Pawła, czy się boję.

Ręka Pawła znowu spoczęła na jej ramieniu.

- Ostatniego dnia, podczas rewizji w jej mieszkaniu, znaleziono szwajcarski paszport z jej fotografią, ale wystawiony na inne nazwisko. Zabrali ją. W kilka dni później dowiedzieliśmy się, że została rozstrzelana. Jesteśmy pewni, że nie powiedziała ani słowa...

Klaudia oparła głowę na stole. Płakała rozpaczliwie. Paweł niespokojnie spoglądał ku drzwiom.

- Musisz się opanować, Klaudio, słyszysz?

- Mam już tego dość! To ponad moje siły. Oni z pewnością i mnie śledzą. W każdej chwili mogą przyjść. Źle zrobiłam, że napisałam do Helgerta, chociaż nie wolno mi było tego zrobić. I co teraz będzie? - Zanurzyła obie ręce we włosach.

- Czy podałaś swoje nazwisko jako nadawcy?

- Nie, Steffi Lindmayer.

Mięśnie twarzy Pawła zadrgały gwałtownie. Masz ci los! - pomyślał. - A więc Helgert wie, że ona jest w Wiedniu. Prawdopodobnie odpisał jej, adresując do Steffi Lindmayer. Teraz jednak nie ma sensu robić jej wyrzutów - to by ją tylko jeszcze bardziej wytrąciło z równowagi. Przeceniliśmy ją. Miała się przed nikim nie ujawniać, a jednak podała swój adres, nie myśląc o następstwach.

Machnął ręką, tak jakby korespondencja z Helgertem nie miała żadnego znaczenia.

- Ja już tego dłużej nie wytrzymam - poskarżyła się Klaudia. - Ta ciągła ucieczka przed pościgiem, ta męcząca nieufność tną na każdym kroku.

- Nie wolno ci teraz tracić odwagi, Klaudio! Nasza walka z każdym dniem ma coraz lepsze widoki powodzenia, jest coraz skuteczniejsza. A ty chcesz dobrowolnie kapitulować? W Szwajcarii praca jest znacznie bezpieczniejsza. Jesteś tam potrzebna. Pomyśl, ilu towarzyszy patrzy na ciebie!

Klaudia wpatrywała się w zawity wzór na serwecie.

- Sądzisz, że jestem potrzebna?

- Oczywiście! Nie tylko nam! Wszystkim! Może to zabrzmieć patetycznie, kiedy powiem: cały kraj ciebie potrzebuje! Podobnie jak każdego z naszych bojowników!

- Czy to wszystko rzeczywiście ma sens?

- Ależ naturalnie! Pragniemy...

- Pragniecie zawsze zwyciężyć - jutro, wkrótce, wszystko jedno, kiedy. Stale wierzycie, że przybędą nowi bojownicy, którzy tego dokonają. Ale co się dzieje ze starymi? Rudi Bender przepadł gdzieś na Wschodzie. Ferdynand aresztowany... Jego następcą stracony. Matka Bender rozstrzelana. Ja uciekam. Czym się można pocieszać w tej sytuacji?

- Kiedy z ważnych powodów musiałem jechać do ciebie, nie pytałem, czy to ma jakiś sens, ponieważ wiem, że każdy czyn przeciwko systemowi przybliży nas do wolności. Solidarność towarzyszy jest silniejsza niż brutalność SD.

Klaudia milczała zaskoczona. Po chwili rzekła cichym głosem:

- Postaram się... proszę, nie przejmuj się mną. To tak trudno pokonać strach.

- Dobrze to rozumiem.

- Czy dowiedziałeś się czego o Ferdynandzie? - Twarz Pawła stała się nagle szara i zapadnięta.

- Niewiele wiemy. Przed kilkoma dniami przewożono grupę więźniów z Prinz-Albrecht-Strasse do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. W czasie transportu pociąg został zbombardowany. Byli zabici i ranni, również spośród SS-manów. Przy tej okazji kilku towarzyszom udało się zbiec. Dwóch z nich zatłukli na nasypie kolejowym... jak psy. Po Ferdynandzie zaginął od tej chwili wszelki ślad...

Klaudia nie miała odwagi odetchnąć. Na próżno usiłowała sobie wyobrazić mękę kryjącą się za tymi kilkoma zdaniem. Paweł wstał i sięgnął po plecak.

- Pewnego dnia bramy więzienne zamkną się za tymi, którzy całą ludzkość wtrącili w nieszczęście. Większą część okresu „Tysiącletniej Rzeszy” mamy już poza sobą. Przetrwamy! Nienawiść nawet i nam w tym dopomoże.

Klaudia wyciągnęła do niego rękę, nie ocierając chłodnych już łez.

- Zobaczmy się, Klaudio... po wojnie, z pewnością! - powiedział Paweł z uśmiechem. Drzwi cicho zamknęły się za nim.

Przejechał ostatni wagon. Fritz Helgert machał ręką, aż go ramię zabolalo. Żołnierze z załogi kaemów wykrzykiwali niezrozumiałe słowa pożegnania. Pociąg niepostrzeżenie kurczył się, w końcu stał się już tylko wąskim prostokątem.

Porucznik przypomniał sobie Altdörfera, który nieumiejąc ukryć triumfu i szyderstwa, powiedział do niego:

- Wyrażnym życzeniem pana pułkownika było, aby pan znalazł się z powrotem w szeregach walczących na najtrudniejszym aktualnie froncie ojczyzny. Ja osobiście zgadzam się z panem, oficerem zawodowym, że obaj całym sercem powinniśmy się cieszyć z tego szczęśliwego zrządzenia losu. Naprawdę zasłużył pan sobie na to.

Scena ta rozegrała się po dwudziestominutowym postoju na dużej bocznicy towarowej na zachodnim krańcu Wiednia w momencie, kiedy z lokomotywy rozległ się pierwszy gwizd sygnalizujący odjazd transportu wojskowego. Gdyby Altdörfer i pułkownik Krusemark przeczuwali, że tym odesłaniem go z powrotem dają mu do ręki życiową szansę...

Helgert schował do kieszeni płaszcza zlecenie podróży służbowej oraz skierowanie na front i potykając się, ruszył przez tory. Najśluszniej byłoby udać się od razu na Dworzec Wschodni i sprawdzić, kiedy odchodzi najbliższy pociąg na front przez Brześć Litewski - pomyślał,

Pociąg odchodził dokładnie za godzinę.

Porucznik oddał plecak do przechowalni bagażu i poszedł się przejść.

Za godzinę... za mało nawet i na to, żeby wpaść do Klaudii. Poza tym mało prawdopodobne, żeby ją teraz, wczesnym popołudniem, zastał u Steffi Lindmayer. Klaudia... Zatrzymał się

gwałtownie. Czy to jeszcze wyglądało na przyjaźń, rozsądek, chęć zapomnienia?

Jeszcze trzydzieści pięć minut. Najwyższy czas, żeby się zatroszczyć o jakieś miejsce. Inaczej wszyscy ci intendenci, inspektorzy i inne gryzpiórki etapowe porozwalają się na wyświechtanych siedzeniach, a on będzie sterczał na korytarzu. Nie śpiesząc się, wrócił na dworzec.

Myśl o Klaudii nie dawała mu jednak spokoju. Zaczął studiować rozkład jazdy. Następny pociąg na Wschód odchodził o siódmej dziesiątej. A więc dopiero jutro. Znów powędrował do przechowalni bagażu. Następnie zaczął wertować plan miasta, szukając Wahringer Strasse. Okazało się, że znajduje się ona najwyżej o pół godziny drogi od dworca.

Pociąg odchodził za dziesięć minut.

Helgert nie mógł się zdobyć na to, żeby wsiąść i wpatrywał się w ten frontowy pociąg przeznaczony wyłącznie dla wojskowych. Panowała tam taka sama atmosfera jak we wszystkich tego typu pociągach na wszystkich dworcach Niemiec. Jak przez sen usłyszał okrzyk: „Proszę wsiadać, drzwi zamykać!” - i nie odwrócił głowy, kiedy wagony toczyły się obok niego. Porucznik Fritz Helgert podjął decyzję. Powoli poszedł z powrotem tą samą drogą w blasku bladego zimowego słońca. Nie było w nim żadnej skryztałizowanej myśli, tylko niejasne uczucie, że jego krok staje się coraz mocniejszy, szybszy, coraz bardziej zamaszysty.

Odczytał na tablicy nazwę ulicy i gorąca fala napłynęła mu do twarzy. Machinalnie wyciągnął z kieszeni notes, aby się upewnić, czy numer domu się zgadza, mimo że liczba „34” wbiła mu się w pamięć jak szyfr. Całkiem niespodziewanie spotkały się ich spojrzenia. Klaudia Sanden stała o jakieś dziesięć kroków przed nim.

- Fritz!

Podszedł do niej sztywnym krokiem.

Wszystko wokół nich zdawało się wirować: domy, drzewa, ulice, zimowe niebo. W nagłym porywie Helgert ścisnął jej dłoń, usiłując następnie ratować się konwencjonalnymi słowami powitania. Brzmiały one obco i nie miały nic wspólnego z istotą rzeczy.

W milczeniu weszli na pierwsze piętro.

Niezwykłość tej chwili uświadomił sobie Helgert dopiero wtedy, kiedy opadło wzburzenie wywołane ich nagłym spotkaniem. To ja, porucznik Fritz Helgert, jestem tutaj, w Wiedniu, w pokoju Klaudii Sanden. Pełen niepokoju i sprzecznych uczuć. Jutro rano pojadę z powrotem do punktu dowodzenia w Berdyczowie, aby odszukać gdzieś w polu swoją baterię. A gdzie mam właściwie dziś nocować? W hotelu? Na wojskowej kwaterze?

Na stoliku stała fotografia: roześmiana twarz Bauma. Tuż obok dostrzegł Helgert swoje zdjęcie, które jej niedawno przysłał. Zaciął wargi. Na wprost okna wisiał portret Klaudii, o którym opowiadał Eberhard, zrobiony najwidoczniej przez jakiegoś doświadczonego fotografa. Ostatnie blade promienie słońca kładły się płasko na prostej ramce. Ich odbicie nadawało czarodziejskiego blasku jej ogromnym oczom. Helgert długo wpatrywał się w portret.

Kiedy nagle po cichu otworzyły się drzwi, wzdrygnął się.

Kludia wniosła herbatę i postawiła na chwilę na fortepianie.

- Czy bardzo długo to trwało?

Helgert zapewnił skwapliwie, że nie, wprost przeciwnie.

Manipulowanie filiżanką i łyżeczką przyniosło pewne odprężenie. Helgert automatycznie chwalił ciasteczka. Kludia popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem i uśmiechnęła się. W tej chwili Helgert uświadomił sobie, że przecież jadł już takie w

Berlinie. To były ulubione ciastka Eberharda. Roześmiał się trochę sztucznie i umilkł.

Ich wzajemne skrępowanie stało się wyraźne dopiero wtedy, gdy Klaudia sprzątnęła ze stołu. Helgert spróbował stanąć na neutralnym gruncie.

- Słyszałem od Eberharda, że pani doskonale gra na fortepianie. Czy to będzie z mojej strony wielka bezczelność...

Klaudia natychmiast usiadła do fortepianu.

- Jeśli nie będzie pan zbyt surowy!

Muzyka. Kiedyż to on ostatni raz słuchał muzyki! Jej ręce formowały dźwięczne akordy. Melodia wydała mu się znajoma. Zastanawiał się. „Wciąż słyszę twoją pieśń...” czy coś w tym rodzaju. Tak, to z filmu „Pożegnalny walc”. Wstał, podszedł do niej i spojrzał jej przez ramię. „Chopin, opus nr 10, 3 etiuda” przeczytał. A przecież ta melodia brzmiała tak podobnie. Z igłową lekko przechyloną Klaudia była cała pochłonięta grą i tą muzyką. Pożegnalny walc... Na chwilę stanął mu przed oczami obraz odjeżdżającego pociągu. Teraz jednak ta myśl nie miała w sobie nic niepokojącego.

Bez żadnego niemal przejścia zaczęła grać „Marzenie”, Schumann. Oto chwila marzeń - pomyślał Helgert - kiedy człowiek zapomina o śmierci, granatach i nadchodzącej nieuniknionej klęsce. Jaka piękna linia karku! Co też on teraz czuje? Wydaje mi się, że jestem tu już od wielu dni. Z nią mógłbym mówić także o Eiserbergu i naszej rozmowie w chwili jego śmierci. Tak, na pewno. Może nawet o Senflebenie. Czy rzeczywiście posłałem go na śmierć? Możliwe, że byłby poległ tuż obok mnie, przy jakiejś innej okazji. Niejednego już granat dosięgnął nawet w najgłębszym dole. Na przykład Bergera w okopie na wzgórzu bierzowieckim. A Erdmannsdorf? To było dotychczas najstraszniejsze.

- Fritz, czy pan w ogóle słuchał? - Już dobrą chwilę Klaudia przypatrywała mu się w milczeniu.

Helgert spojrzał na nią zmieszany.

- To było bardzo piękne... cudowne. Być może w mniejszym stopniu słuchałem, niż odczuwałem. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłem takiej chwili...

Delikatny rumieniec oblał jej twarz. Wolno zamknęła fortepian.

- Czy zależało pani na tym, żeby to usłyszeć? - badał Helgert.

- Tak - powiedziała spokojnie. - Wiele razy marzyłam właśnie o takiej chwili, chociaż zawsze się jej bałam.

Podniosła się i stanęła przed nim. Czuł na twarzy jej oddech. Przyciągnął ją do siebie. Nagle wszystko stało się proste i samo przez się zrozumiałe. Zaczął ją całować - usta, oczy, pachnące włosy i znowu gorące usta.

Śnieg bielejący na dachach nadawał nocy szczególnego blasku.

Leżeli mocno do siebie przytuleni.

Była to chwila, w której można było wszystko powiedzieć.

- Gdybyż ta noc mogła trwać wiecznie! - odezwał się Helgert. W jego słowach zabrzmiała udręka.

Gdzieś na wieży rozległo się bicie zegara. Klaudia podświadomie liczyła rozedrgane nad dachami dźwięki.

- Dlaczego tylko noc? - spytała.

- Ponieważ noc zaciera w pamięci wspomnienia. Z nastaniem dnia wraca świadomość, że człowiek sam siebie łudzi, wraca wszystko to, o czym chciałby zapomnieć.

- Wierz mi, Fritz, że tylko dzięki tobie moje życie może odzyskać sens... i że my oboje tylko ze sobą możemy być szczęśliwi.

Helgert złożył głowę na jej ramieniu i zamknął oczy. Uczuciem błogości napełniła go pieśczość jej chłodnej dłoni, którą delikatnie gładziła jego czoło. Będziemy szczęśliwi... Ujrzał przed sobą

twarz przyjaciela. Czy rzeczywiście odbierał coś temu umarłemu? Miłość Klaudii? Z biegiem lat byłaby się przecież wykruszyła, zagłuszyłoby ją płynące naprzód życie. Czy został on gwałtem wymazany z jej pamięci? Czy jakiegokolwiek wartości uległy obniżeniu? Nie. Jej wyznanie było uczciwe.

- Wierzę ci, Klaudio. Ja też jestem o tym przekonany. Nasze drogi są ze sobą złączone. Na zawsze.

- Słuchaj, obudziło się we mnie pragnienie, jakiego nigdy nie odczuwałam; chciałam mieć z tobą dziecko!

Nagle zjawiała się myśl o Ilzie. W jego małżeństwie na pierwszym planie stały zupełnie inne sprawy: najpierw kariera, potem wojna. Potem nastąpiły wydarzenia, pod naporem których przeszłość okazała się pomyłką, Ilza także musiała to zrozumieć.

Helgert zdawał sobie sprawę, że w ciągu paru godzin w Wiedniu nastąpiło ostateczne rozstrzygnięcie. Teraz nie było już odwrotu. Zamierzał porozmawiać o tym z Ilzą i powiedzieć jej, że w jego życie weszło coś silniejszego: miłość, która wymazała tamte lata i z całą oczywistością rozwiązała wszelkie problemy. Oczywiście nie umknie się przy tym nowego bólu. Ale po tym wszystkim, co zaszło, i przy ich wzajemnym stosunku - dla obojga będzie wybawieniem, jeśli mu Ilza zwróci mu wolność.

- Porozmawiam z moją żoną - powiedział znienacka Helgert.
- Między nami nie powinno być żadnych niedomówień.

Klaudia słuchała z bijącym sercem. Tamto inne wyrosło niby mur wokół niej. Jutro w południe będę jechała z fałszywym paszportem w nieznaną. Możliwe, że już w tej chwili gestapo jest na moim tropie. Następnej nocy odbierze mnie ktoś na dworcu w Bazylei. Potem wszystko potoczy się dalej. Prawdopodobnie w zupełnie innych warunkach. I pomyśleć: że ten leżący obok

mnie mężczyzna nic o tym nie wie. Jemu, najdroższemu z ludzi, nie mogę tego powiedzieć. A on mógłby mnie natchnąć siłą, która pozwoliłaby opanować resztki strachu.

Zobaczyła przed sobą oczy Ferdynanda i matki Bender. Z nagłą gwałtownością przylgnęła do Helgerta. Jakąż on ma rozjaśnioną twarz, zupełnie inną niż dziś po południu. Fritz - to jest silniejsze niż SS czy polujące na ludzi zbiry na szwajcarskiej granicy. To także odrobina pociechy po stracie matki Bender; a nawet pewne złagodzenie nieuchronnego rozstania i dręczącego czekania w całkowitej niepewności.

Fritz Helgert spojrział na zegarek. Widocznie błędem było z jego strony przypuszczać, że Klaudia wie cokolwiek o konspiracyjnej pracy Eberharda przed wojną albo że znana jest jej postawa polityczna Rudolfa Bendera, rozważał. Czyż w przeciwnym razie nie musiałyby mówić o tym tej nocy, która ich tak bardzo do siebie zbliżyła? Może była związana przysięgą? Zdecydował się, że skończy z tym przy pierwszej sposobności, ponieważ nonsensem był wszelki sprzeciw militarny. Gdyby jej o tym powiedział teraz, na chwilę przed rozstaniem... czyby go zrozumiała? Może by ją to przeraziło?

- Fritz, za godzinę musisz jechać. - Szarpący ból targnął sercem Klaudii. Nie było ucieczki.

Czy mimo wszystko nie powinna podjąć próby ratowania go? Teraz, w ciągu tych niewielu minut, które im jeszcze zostały? Ogarnięta panicznym lękiem przycisnęła wargi do jego ust.

Delikatnie wyswobodził się z jej ramion i podeszedł do okna. Za godzinę...

Za oknem odchodzący mrok walczył beznadziejnie z jasnością, która nadchodziła wraz z porankiem.

Klaudia śledziła wzrokiem każdy ruch Helgerta. Za godzinę... Pojedzie z powrotem na front i będzie dalej walczył po fałszywej stronie.

Helgert odwrócił się spokojnie, kiedy poczuł ręce Klaudii na swoich ramionach. Jeszcze raz namiętnie poszukał jej ust.

- Wróć do ciebie. Do Wiednia, dokądkolwiek, słyszysz... do ciebie! Wtedy zostaniesz już na zawsze moją żoną.

- Tak, Fritz, chcę być twoją żoną.

Klaudia walczyła ze łzami. Nie wolno jej było nic mówić, ale przecież powinna mu powiedzieć... Jego listy będą się tu gromadzić i pozostaną bez odpowiedzi. Czyż nie sparaliżuje to wszystkich jego postanowień? Pewnego dnia poczuje się oszukany i wyrwie miłość ze swego serca. Nie, nie! Towarzysze, tylko towarzysze mogą jej dopomóc.

- Musisz już iść na dworzec! - Wydało jej się szyderstwem, że właśnie ona mu o tym przypomina.

Walczyła z chęcią ubrania się szybko i odprowadzenia go, by jeszcze te ostatnie cenne minuty spędzić razem z nim. Ale to by tylko przedłużyło mękę pożegnania.

Helgert pochylił się i ucałował jej ręce. Dobrze, że Klaudia nie idzie z nim na dworzec. Kiedyś powróci do niej, tak, to pewne. Ale kiedy?

- Bardzo wiele myślałem o naszej rozmowie wtedy w Berlinie.

Klaudia wstrzymała oddech.

- Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym, kto jest prawdziwym bohaterem...

Skinęła nieznacznie głową.

- Uważam, że trzeba być wyrozumiałym dla tych, którzy rzucają broń, ponieważ zrozumieli, iż hasło „naród bez przestrzeni” jest kłamstwem. Że niesłuszne jest dla takich celów z entuzjazmem iść na bohaterską śmierć.

Klaudia oparła się o niego, czując nagle budzącą się odrobinę nadziei.

Helgert cicho mówił dalej:

- Bardzo mi wówczas pomogłaś swoją wskazówką.
- Fritz...
- Słucham, Klaudio.
- Czy przyrzekasz, że będziesz unikał wszystkiego, co mogłoby zagrażać twojemu życiu?

Odpowiedział jej długim pocałunkiem.

Było to jakby przypiecztowaniem sojuszu.

Drzwi zamknęły się cicho. Kiedy jego mocne kroki przebrzmiały, Klaudia machinalnie zabrała się do pakowania walizki. Następnie spaliła dowód osobisty wystawiony na nazwisko Steffi Lindmayer.

Rozdział 25

Ręka podniosła się z wolna, zatrzymała się na chwilę, po czym jej cień zsunął się z twarzy zmarłego. Oczy były teraz mocno zamknięte; z głową lekko przechyloną na bok i z opuszczonymi kącikami ust robił wrażenie śpiącego.

Adiutant przekroczył ostrożnie skrzynkę od amunicji, na której leżały nasiąknięta krwią chustka, pistolet, książka uposażenia, półowka znaczka rozpoznawczego i kilka papierosów. Spuścizna po poległym. Usiadł na wiązce chrustu w drugim kącie i oparł głowę o lśniący od wilgoci nie ociosany pień wspierający ścianę bunkra, kompletnie wyczerpany.

W żelaznym piecyku buzował ogień. Ilekroć pocisk padał gdzieś bardzo blisko, niebieskavo-zielony dym pod wpływem podmuchu wciskał się do ciemnego wnętrza bunkra i płomienie przygasały na chwilę. Przez szparę w rozpalonych do czerwoności drzwiczkach pieca chybottliwe światło padało na zabłocone spodnie poległego i na twarz dowódcy pododdziału, którego wąskie wargi drgały raz po raz. Czoło przecinała mu pionowa zmarszczka. Spoglądał teraz niespokojnie na mapę, na której znaki taktyczne, grube czarne i czerwone kreski, linie dzielące i strzałki kierunkowe tworzyły beładnie postrzępione półkole wokół miasta Radomyśl. W jednym miejscu na północno-wschodnim krańcu tego pasa znać było wielokrotne wycieranie oznaczeń i nanoszenie ich od nowa: był to kołchoz Rudomino.

Stamtąd to przytaszczyli tego poległego podchorążego, który leży tu teraz, póki go w jakiejś spokojniejszej chwili o świcie nie zabierze na tyły wóz dowożący żywność. Dwa dni przed podchorążym poległ pod kołchozem oficer łącznikowy. Tam też musi się natychmiast udać podporucznik, który ma tu przybyć dziś wieczorem.

Kapitan Kurt Dörnberg, dowódca oddziału ciężkiej artylerii przeciwlotniczej, klął w duchu, że też to jemu przypadło w udziale tkwić w tej przeklętej dziurze pod Radomyślem, gdzie dzień po dniu pociski padały jak grad.

Dotychczas zawsze dopisywało mu szczęście. Kiedy front pod Jarcewem został przerwany i armia radziecka w połowie września ruszyła na Smoleńsk, Dörnberga wraz z jego ludźmi błyskawicznie przerzucono nad Dniepr. Nadeszły potem dni pełne niepokoju: to w górę rzeki, to w dół, od jednego przyczółka mostowego do drugiego, były one często utrzymane przez Rosjan zrazu niewielkimi siłami, stopniowo jednak wyposażono je w taką ilość broni i sprzętu, a przede wszystkim żołnierzy, że, jak się to mówi, w szwach pękały. I znów los okazał się dla niego łaskawy, kiedy to spóźnił się ze swym oddziałem do Kijowa. Z wdzięcznością wspominał wiodący na zachód szeroki trakt, który umożliwił odpowiednio szybko ucieczkę.

Niemieckie pyrrusowe zwycięstwo pod Żytomierzem 19 listopada przyniosło kapitanowi Złoty Krzyż. Strata dwóch dział i jednej trzeciej załogi, która w zamian za to pozostała na „polu chwały”, nie była jego zdaniem zbyt wysoką zapłatą.

Również w czasie niemieckiego kontrataku na zachodnie skrzydło klina kijowskiego udało się Dörnbergowi wyjść bez szwanku. W wyniku tej próby ponownego przedarcia się nad

Dniepr w ciągu trzech tygodni na placu boju pozostało tysiąc czołgów i niezmierna ilość piechoty. Kapitan splunął na zamarznąłą ziemię.

Podczas niemieckiej operacji jednostki Armii Czerwonej nadciągnęły z Żytomierza, Korostiena i Brusilowa. W połowie grudnia 1943 roku główny punkt ciężkości walk ciągle jeszcze znajdował się 90 kilometrów na zachód od Kijowa, a najbardziej zaciekle boje toczyły się na odcinku między miastami powiatowymi Malin i Radomyśl.

Oddział artylerii przeciwlotniczej został wycofany ze sztabu Żytomierz-Kijów, gdzie szczególnie ruchliwa rosyjska artyleria udaremniała każdy wypad, i przerzucony na teren Radomyśla dla wzmocnienia beznadziejnie topniejących jednostek niemieckich.

Z prawej i lewej strony rozciągały się nieprzebyte podmokłe lasy; zarówno nad rzeką Tietierew jak i wzdłuż Irszy. Teraz bagna były zamarznęte i miały wystarczającą siłę nośną. Rosyjskie patrole rozpoznawcze i grupy wypadowe wciąż się tu zjawiały, niepokojąc niemiecką służbę tyłów.

W końcu atak niemiecki załamał się ostatecznie. W równej mierze przyczynili się do tego Rosjanie, jak i nagła zmiana pogody na parę dni przed Bożym Narodzeniem. Odwilż. Cały teren zamienił się, po raz drugi w ciągu niewielu tygodni, w bezbrzeżne morze szlamu.

Kapitan Dörnberg spojrzął na swojego adiutanta.

- Kiedyż on się wreszcie zjawi? - zapytał z groźbą w głosie.

Dwaj łącznicy rozmawiający szeptem przy wyjściu z bunkra podnieśli głowy. Adiutant wstał ociężale i wrócił w wąski krąg światła.

- Wobec stałego ognia nękającego na wszystkich drogach dojścia musi mieć sporo czasu, żeby dotrzeć tu cało - rzekł z troskany.

- Jeśli nie przyjdzie do północy, każę go na powitanie oddać pod sąd za tchórzostwo wobec wroga.

Adiutant wzruszył ramionami. Niedwuznaczna pogarda zawarta była w tym geście.

Ziemia zatrzęsała się od paru potężnych wybuchów cięższego kalibru. Systematycznie i z precyzją nieprzyjacieli przeorywał mały lasek położony o kilka kilometrów za pierwszą linią. Parę wilgotnych bryłek ziemi spadło ze sklepienia na rozłożoną mapę. Kapitan gwałtownym ruchem zmiotł je wprost na poszarpany płaszcz zabitego.

Adiutant zapalił papierosa.

- Panie kapitanie, czy uważa pan, że utrzymywanie stanowiska obserwacyjnego przy kołchozie ma jeszcze sens? Rosjanie chcąc okrążyć miasto, a tym samym odciąć występ frontu, puszcza czołgi na oba skrzydła, ale na pewno nie zaatakują w tej chwili frontalnie. Tą metodą brali dotychczas wszystkie duże miasta.

- Coś panu powiem: tam gdzie stoi oddział Dörnberga, nie ma mowy o cofaniu się choćby na krok ani na flankach, ani gdziekolwiek indziej. Rozkaz Führera! Proszę to sobie zapamiętać!

I kto to mówi! - pomyślał adiutant. - Rozkazy Führera odnosiły się zawsze tylko do innych. Ciebie samego nigdy jeszcze nie widziałem na przodzie, kiedy się robiło gorąco.

- Powinniśmy skierować uwagę tam, skąd należy oczekiwać działań szturmowych i czołgów, a nie tam, gdzie nam granatniki zupełnie niepotrzebnie sprzątają ostatnich oficerów...

Płachta namiotowa u wejścia odchyliła się i jakaś szczupła postać wkroczyła do bunkra. Grudki ziemi wtoczyły się w ślad za nią do środka.

Płomienie świec w latarkach chwiałały się gwałtownie od podmuchu śnieżycy. Przybyły zsunął z głowy kaptur ubioru maskującego.

- Arlt! - wykrzyknął adiutant.
- Melduję swój powrót ze szpitala i gratuluję panu kapitanowi nominacji na dowódcę pododdziału. - Oczy Arlta błyszczały.

Dörnberg od niechcenia wyciągnął rękę do podporucznika, nie patrząc na niego.

- Dziękuję. - Zimnym jak lód głosem rzucił rozkaz: - Niech pan siada!

Arlt przywitał się ukradkiem z adiutantem i w milczeniu usiadł na skrzynce z nabojami. Jego podbródek wydawał się teraz wyraźniej zarysowany i nie tak bardzo cofnięty. W ogóle Arlt miał teraz wygląd bardziej męski.

- Z pewnością poinformowano pana na tyłach o znaczeniu stanowiska obserwacyjnego w rejonie kołchozu Rudomino.

Wzrok podporucznika padł nagle na sterzący nieruchomo but, z którego skapywały krople brudnej wody.

- Z lewej strony, na wschód od kołchozu, spodziewam się czołgów, które uderzą wprost na Radomyśl.

Twardy ton ściągnął uwagę podporucznika z powrotem ku mapie.

- Pan musi to w porę rozpoznać, choćby pan miał w tym celu sam przejść do bolszewików!

Podporucznik znowu odwrócił oczy i tym razem wzrok jego przywarł do krwawych strzępów bandaża na piersiach nieruchomo leżącej postaci.

- Chociażby Rosjanie rozpoczęli atak, musi pan tam zostać. Musi pan bronić tego stanowiska do ostatniego człowieka, żeby sztab mógł tutaj spokojnie pracować.

Żrenice podporucznika rozszerzyły się nagle, kiedy wzrok jego ogarnął w całości woskową twarz zabitego. Podchorąży.... Kołchoz Rudomino... przedwczoraj oficer łącznikowy, przed paroma

godzinami Sommerfeld właśnie o tym opowiadał. A teraz...

- Zrozumiał pan?

Podporucznik rozejrzał się wokół, wstał:

- Tak jest!

I oto po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy.

- Dziękuję - zadziwaczało niby szkło.

Oto co się w ciągu paru miesięcy zrobiło z tak wesołego pozornie kompana do skata - kapitana Dörnberga. Koleżeństwo? Arlt skrzywił się. Chodzi tu tylko o to, żeby posyłać ludzi na śmierć. To wszystko.

Przecisnął się przez otwór wyjściowy. Otoczyły go światła frontowej świecy. Jeszcze hen przed kołchozem pochwytyły go ogniste ramiona.

Podporucznik Arlt zacisnął zęby. Poczuł w sobie zarówno strach niepewności, jak i wstyd, że go upokorzono i zdradzono. Powiedział sobie, że ma obecnie lepszy start i że postąpi tak, jak powinien.

Nie zamierzał ginąć bohaterską śmiercią w kołchozie Rudomino, poświęcając się dla swego dowódcy.

Nocny ogień nękający rosyjskiej artylerii i granatników był równie silny jak przed tygodniem. O świcie niespodzianie ogień zdawał się cichnąć na całym odcinku. Odzywały się tylko pojedyncze strzały z kilku działek lekkiego kalibru. Dalej na północ, w rejonie Malina było nieco głośniejsze. A na południowym wschodzie, w okolicy Korostyszewa grzmiało nawet całkiem nieźle.

Pewnie jakaś próba korekty frontu - pomyślał kapitan Dörnberg. - Takie rzeczy kończą się zwykle zmianą gospodarza jakiejś miejscowości lub niedostępnego zakątka lasu. Lepiej niech się to dzieje u nich niż u nas. Kiedy robi się jasno, widmo i tak najczęściej przestaje straszyć.

- Czy pomyślał pan o tym, że zgodnie z dewizą „Gott mit uns” niemieccy żołnierze powinni dziś obchodzić wieczór wigilijny?

Adiutant zdumiał się.

- Nie miałem pojęcia, że to już znowu święta.

Pokiwał głową, przerzucając kartki kalendarzyka.

- Niech pan każe przynieść kawałek sosny i ubrać czymkolwiek. I niech się pan postara dla mnie o jeden poncz na dzisiejszy wieczór. Więcej już tam pewno nie zostało.

- Tak jest, panie kapitanie! Pogadam jeszcze z Sommerfel-dem, może wykombinuje coś dobrego.

Dörnberg włożył czapkę.

- Wyjdę rozejrzeć się trochę. Zrobiło się teraz nieco spokojniej.

Między brzozaami przenikał już brzask wstającego dnia. Kapitan szedł wolno przez las, aż otworzył się przed nim widok na linię frontu. Mimo krótkiego snu i tak wczesnej godziny czuł się znakomicie.

Akcje kapitana Dörnberga znowu poszły w górę, odkąd w godzinę po otrzymaniu Krzyża Rycerskiego poległ jego poprzednik. Zdarzyło się to przed dziesięciu dniami, akurat kiedy Dörnberg otrzymał z dywizji wiadomość, że sąd w Hamburgu opowiedział się po jego stronie i odrzucił wniosek inżyniera dyplomowanego Wielanda Altdörfera o rewizję wyroku w sprawie Helgert/Dörnberg. Treść memoriału sąd wojenny uznał za zmyśloną; przypuszczalnie przez Altdörfera, na skutek nieszczęśliwego wypadku. Całkowita niepoczytalność świadka Wielanda Altdörfera została urzędowo stwierdzona.

Dörnberg zatarł ręce. W dywizji dano mu do zrozumienia, że po otrzymaniu Niemieckiego Krzyża w ciężkich walkach o szlak Żytomierz-Kijów nic nie stoi na przeszkodzie, by mógł szybko awansować na majora.

Na dalekim przedpolu miasta widać było niewielki ruch. Jakiś pojazd na gąsienicach przedzierał się po zasypanej, prawie niewidocznej ścieżce wiodącej od długiego, postrzelanego budynku fabrycznego do czegoś w rodzaju wieży ciśnień. Dwa samoloty rozpoznawcze przeleciały tuż nad wierzchołkami drzew, zmierzając najwidoczniej wzdłuż rzeki Tietierew w kierunku Malina. Od strony północno-wschodniej, między rzeką i lasem usadowiły się średniego kalibru moździerze. Być może paru chłopców z tej i z tamtej strony zostało między liniami. Także wtedy, gdy obchodził pagórek, aby się dostać do grupy radiowej, nie odkrył nic szczególnego.

Dowódca tej grupy zameldował, że przed chwilą Arlt przekazał wiadomość, iż wokół kołchozu Rudomino panuje teraz znowu spokój.

Dörnberg ruszył z powrotem, myśląc po drodze o świątecznym placku.

Wtem nastąpiło nagłe natarcie ogniowe. Dwa pociski, które trafiły w drzwi bunkra, rozerwały adiutanta. Walące się ze stropu belki zmiażdżyły jednego łącznika i zwłoki podchorążego.

Ogień artyleryjski w ciągu paru minut przybrał rozmiary orkanu. Od północnego wschodu aż daleko w dół, ku południowemu wschodowi horyzont ział ogniem.

Kapitan, leżąc za grubym pniem brzozy, przycisnął głowę do ziemi.

W tej chwili rozległ się potężny huk i pocisk trafił prosto w łącznicę telefoniczną, rozrzucając na wszystkie strony deski, bębny kablowe, przewody i ciała. A potem deszcz granatów spadł na schron dla łączników. Nie zostało nic, tylko gruzy i krew. Wokół bez przerwy gwizdały kule. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się grupa radiowa, było teraz kłębowisko lejów, sprzętu i wyjących z bólu rannych.

Długotrwały ogień rosyjskiej artylerii przeorał cały porośnięty lasem pagórek.

Uciec stąd, byle tylko uciec od tych gwiazdkowych darów - myślał Dörnberg. W ciągu paru minut znalazł się na otwartej przestrzeni, wśliznął się do głębokiego leja.

Cały ten obszar kotłował się pod straszliwym gradem wszelkiego rodzaju pocisków radzieckiej broni. Wsie Małaja Racza, Mircza i Worsowka spowite były w czarne obłoki dymu. Z malińskiego lasu rozbrzmiewały tylko nieliczne strzały. Na południowym wschodzie poprzez dym i kłęby pyłu nic nie można było rozpoznać. Środek natarcia znajdował się między Radomyślem a drogą Żytomierz-Kijów.

Dörnberg wstrzymał nagle oddech. Drżącymi rękami przycisnął do oczu lornetę. Ależ tak! W głównej strefie walki pokazały się czołgi! Obraz tańczył mu przed oczami. Nie ma wątpliwości: T-34 i masa radzieckich ciężkich wozów bojowych. Rosjanie atakują! W taką pieską pogodę atak na całej linii! Tego nikt tu nie wytrzyma! Kto wie, gdzie są nasze czołgi? Ciężkie działa przeciwpancerne? A moje działa? Nie minie godzina, a czerwone bataliony uzbrojone w pistolety maszynowe znajdą się pod wzgórzem, uwieszone gęsto niby winogrona na cuchnących naftą czołgach. Muszę wydać rozkaz zmiany stanowiska sztabu. Z tamtego chyba niewiele zostało. Czy z powrotem do lasu na wzgórze? Bzdura! Możesz tam tylko dostać w łeb jak tamci. Trzeba zebrać gdzieś resztę żołnierzy i uciekać stąd! I tak wkrótce zaczniesz się znowu ogólny odwrót.

Dörnberg przeskakiwał z jednego leja do drugiego coraz szybciej, aż po paru kilometrach znalazł się na nieco spokojniejszym terenie. Tu natknął się na kilka czołgów P IV, które na łeb, na szyję wycofywały się na zachód. Uciekały, zanim się nieprzyjaciel w ogóle pokazał.

A przecież generał dywizji Dittmar w swoim radiowym komentarzu do sytuacji strategicznej i politycznej wojska tak się wyraził: „Walczyć o inicjatywę!”

Kapitan Dörnberg uczeplił się maszyny prowadzącej i przykucnął za wieżyczką. Jeśli ktoś w ogóle zdoła ująć się, to czołgi - myślał. Z tyłu ciągnął sznur najrozmaitszych pojazdów, a siedzący w nich ludzie byli tak samo przekonani o możliwości ucieczki z grożącego im okrążenia.

Wtem stal uderzyła o stal. Czerwone czołgi zaczęły strzelać ze sporej odległości. Ogień artyleryjski nacelowany był na umykającą kolumnę, ale pociski rzadko trafiały. Dörnberg jeszcze mocniej przycisnął się do wieży i P IV sunęły dalej.

Nagle na tle ciężkich śniegowych chmur z hukiem pojawiły się niebieskoskrzydłe samoloty szturmowe.

- Przekłete Ruski - krzyknął kapitan i zeskoczył z czołgu, kiedy pierwsze maszyny nurkowym lotem rozpoczęły atak. Pociski raketowe świstały bez przerwy, aż większość niemieckich czołgów stanęła w płomieniach na bagnistym polu. Buchające dymem trumny.

Dörnberg znalazł się znowu pod nawałą niecelnego ognia rosyjskiej artylerii. Jednym susem zniknął w najbliższej wyrwie, przygniatając leżącego tam zabitego kaprała o straszliwie zmasakrowanej twarzy. Oddech Dörnberga stał się nagle świszczący, kolana odmawiały posłuszeństwa. Nie mogę dopuścić, żeby mnie tu granaty na dobre przygwoździły, bo lada chwila będę miał Rusków na karku. Do niewoli? Ja? Nigdy!

Po twarzy Dörnberga przemknął szyderczy uśmiech. Jeśli Niemcy wojnę przegrają, źle będzie z tymi, co się dadzą złapać. Być kapitanem i dowódcą pododdziału - pięknie; zostać majorem - jeszcze lepiej; ale moja kariera dopiero się rozpoczyna. Dlatego muszę zawsze uważać na właściwą falę, po czym odsunąć się,

aby w odpowiednim czasie znowu się pojawić! Trzeba więc szybko czmychnąć z tego kotła tworzącego się wokół Radomyśla!

Kiedy ogień artyleryjski skoncentrował się przejściowo na innych odcinkach, Dörnberg stanął na zabitym kapralu, żeby łatwiej wydostać się na górę. Ciało jeszcze zupełnie miękkie, pewnie poległ najwyżej pół godziny temu - pomyślał kapitan, odetchnął głęboko i wyskoczył z dołu. Jego chłodno pracujący umysł kazał mu zdążyć w kierunku ciągle jeszcze stojącej otworem bramy na zachodzie.

22 grudnia padł Korostyszew, a następnego dnia Korostień, węzłowy punkt pięciu wielkich linii kolejowych.

Z niesamowitą siłą, mimo jak najgorszych warunków atmosferycznych, Armia Czerwona rozpoczęła atak 24 grudnia 1943 roku na przestrzeni 80 kilometrów między Radomyślem a Popielnią, na południe od drogi manewrowej Kijów-Żytomierz, bez pardonu rozdzierając niemiecki front. W ciągu tygodnia wyłom ten rozszerzył się do blisko 300 kilometrów. Działające na coraz większej przestrzeni główne uderzenia sięgały na północy aż poza Korostień, a na południu zmierzały w kierunku Berdyczewa.

Naczelne Dowództwo Wehrmachtu rozpaczliwie gromadziło w centrum natarcia wszystkie siły, aby zapobiec oskrzydleniu Żytomierza, którego północne przedpole zaatakowały 29 grudnia radzieckie oddziały uderzeniowe. W ciągu sześciu dni z ośmiu niemieckich dywizji pancernych i czternastu dywizji piechoty pozostały tylko szczątki.

Ostrzeliwane nieustannie osiedla, folwarki, zagrody waliły się i bez śladu znikwały z powierzchni ziemi.

Nieznane dotąd wioski liczące niekiedy po kilkuset zaledwie mieszkańców, znajdowały się nagle na ustach całego świata, ponieważ tam właśnie nieprzerwany strumień żelaza zmusił

najeźdźców do podjęcia ostatecznych decyzji i spowodował załamanie się frontu.

Z niezliczonych miasteczek pozostały tylko rozwiewane przez wiatr popioły i wypisane na tabliczkach nazwy, w które wpatrywały się martwe oczy.

Wielkie miasta zamieniały się w kupy kamieni, między innymi dokonywało się systematyczne miazdzenie dywizji niemieckiego Wehrmachtu.

Rok wielkiego przełomu był już bliski kresu.

Fritz Helgert w zbryzganym krwią mundurze leżał przy drodze prowadzącej do opuszczonej wsi. Obok niego Mommer i Schnellinger. Po drugiej stronie drogi garść jego ludzi: telefoniści, radiotelegrafisci, rachmistrze - wśród nich Heidemann i Söchting. Żałowane resztki. Helgert nie wiedział, gdzie się podziiali ludzie ze stanowiska ogniowego i z kolumny amunicyjnej. Prawdopodobnie większość znajdowała się wśród tych licznych nieruchomych płam na rozmiękłym śniegu, tworzących mozaikę śmierci w zawierusze zimowej bitwy, toczącej się na zachód od Dniepru. Bomby i zesrodkowany ogień artyleryjski rozbiły poprzedniego dnia jego pozycję wraz z całym sprzętem.

Helgert czuł suchość w gardle. Pomyślał o tym, jak bolał nad pozostałą w Rosji baterią, kiedy z Krusemarkiem i sztabem pułku jechał pociągiem na zachód.

W parę dni potem, kiedy wybrane oddziały dywizji opuściły Mohylew, pozostałe baterie, podporządkowane teraz artylerii wojsk lądowych, zostały okrężną drogą przerzucone pośpiesznie do Żytomierza i szybkim marszem doprowadzone w strefę frontową na południe od Malina. Ich zadaniem było skuteczne wspieranie na nowo podjętej w dniu 6 grudnia niemieckiej ofensywy „kierunek Dniepr”.

Helgert był szczęśliwy, gdy w parę tygodni później przejmował z powrotem swoją dawną „szóstą”, uzupełnioną ludźmi z 4 baterii.

Kiedy ścisnął rękę podporucznikowi Gengenbachowi, walki toczyły się wciąż jeszcze w tym samym miejscu, nie przynosząc Wehrmachtowi ani śladu widocznych zdobyczy terytorialnych, nie mówiąc już o sukcesach ofensywnych. Armia Czerwona znowu z olbrzymim rozmachem przystąpiła do ataku.

Wraz z zagładą baterii dokonał się w Helgertcie decydujący przełom. Zaprzętała go już tylko jedna myśl - jak uratować przynajmniej część swoich ludzi. Tylko wtedy, gdyby się razem z nim poddali, mieliby szansę uniknięcia katastrofy.

Radzieckie dywizje pod Żytomierzem rozpoczęły już manewr okrążający i odcięły południowe oraz zachodnie drogi dojazdowe, jak również prawie wszystkie linie kolejowe. Tylko na północy pozostał wąski przesmyk.

Niekończący się sznur pojazdów, dział, ludzi i zwierząt ciągnął z wiosek, które jeszcze przedwczoraj stanowiły etapy niemieckiej armii. Płynął po obu stronach znajdującej się pod stałym ostrzałem drogi manewrowej ku niedającym żadnej osłony otwartym łąkom i polom, prawie bezśnieżnym. I zawsze, i wszędzie wpadał w koszarne piekło rosyjskiego ognia zaporowego.

Ci, którzy pozostali przy życiu, próbowali, nie zważając na kolumny, w pojedynkę dotrzeć do zbawczej drogi wiodącej na zachód. Większość zamieniała się w nieruchome plamy rozsiane po ziemi. Inni wpełzali pod krzaki jak dzikie zwierzęta, kiedy poczują nadchodzący koniec. I znów szły nowe pułki ze swym sprzętem, gnały w obłądnym strachu naprzód, obojętne na to, czy czeka je zagłada, czy nie, byle tylko być w ciągłym ruchu.

Z każdą godziną w południowo wschodniej części miasta kłębiło się coraz więcej jednostek z grup bojowych, które przed tygodniem, w wieczór wigilijny, wyparte zostały ze swych rejonów i teraz, ogarnięte paniką, chciały się wymknąć z rozżarzonych kleszczy.

Helgert czuł się tak wolny, jak nigdy od 1 września 1939 roku. Czas dojrzał, i porucznik był już gotów rzucić broń.

Po drugiej stronie drogi zjawił się nagle jakiś SS-Sturmführer w daleko na kark zachodzącym hełmie i przyglądał się podejrzliwie grupie artylerzystów z gotowym do strzału pistoletem maszynowym.

- Jakież to randze u nas odpowiada? - zapytał Schnellinger.

- Porucznikowi - odparł machinalnie Mommer. SS-man spostrzegł teraz Helgerta i jak zając skoczył przez drogę.

- Ilu pan ma ludzi? - spytał pośpiesznie porucznika.

- Niech pan sobie sam policzy! - odrzekł Helgert, nie wstając. Sturmführer rozejrzał się z pośpiechem.

- Proszę pójść ze mną do komendanta, Sturmbannfuhrera Brinkmanna. Jemu podlegają wszystkie jednostki na tym terenie.

Artylerzyści w napięciu patrzyli na swego dowódcę, który podniósł się powoli, przewieszając przez ramię pistolet maszynowy.

Wszystkie jednostki - to dobre! - pomyślał Helgert, nie mogąc ukryć uśmiechu.

- Söchting! Trzymaj mi ludzi mocno w garści.

- Tak jest, panie poruczniku!

O jakieś dwieście kroków, idąc ku środkowi wsi, znajdowało się stanowisko dowodzenia mieszczące się w masywnym budynku jakiegoś warsztatu, wokół którego porozstawiane były stare maszyny rolnicze. SS-mani, w panterkach w brązowo-żółto-zielone

plamy, okopali się w owym warsztacie, inni kryli się w byle jakich rowach za domami. Helgert określił ich liczbę na około pięćdziesięciu, najwyżej sześćdziesięciu uzbrojonych w ciężką broń żołnierzy, którzy musieli widocznie zostać odcięci.

- Jakiego to ptaszka złowiliście? - zaskrzypiał jakiś głos, kiedy Stürmfuhrer podszedł z Helgertem do wrót warsztatu.

Komendant siedział w mrocznym pomieszczeniu, trzymając w ręku szklankę napelnioną żółtawą wódką. Tuż przy wejściu ustawiony był karabin maszynowy 42.

- Podejdźcie no bliżej! Potrzebujemy ludzi zdolnych do noszenia broni.

Porucznik niedbałym ruchem przyłożył rękę do daszka.

- Helgert.

- Brinkmann. Nazwiska nie mają tu znaczenia. Czy widział pan czołgi u północnego wylotu wsi?

Helgert skinął głową i usiadł na czymś w rodzaju tokarki. Następnie sięgnął po papierosa.

- Pan, zdaje się, zapomina o różnicy szarż - powiedział tamten z niezadowolaniem i pociągnął duży łyk.

- Chyba nie po to mnie pan tu wzywał, żeby mi to oznajmić.

Dowódca lekceważącym gestem skwitował te słowa i wychylił szklankę do dna.

- Niech no pan słucha, artylerzysto bez haubicy. Musimy utrzymać tę wieś. Dziwi się pan, co?

- Cieszę się!

Miejmy nadzieję, że inni zacierzewieni amatorzy obrony nie są równie pijani, w przeciwnym razie gotowi w końcu sami sobie uwierzyć, pomyślał Helgert. Tym bardziej jednak trzeba się mieć na baczności.

- A pan będzie nam w tym pomagał. Pan i pański nędzny oddział.

- O, wiem, że SS działa zawsze z szaloną odwagą. Ale może pan mi krótko przedstawi swój plan obrony. Naturalnie tylko tę część, która mi jest bezwarunkowo potrzebna do wykonania mojego zadania. Rozkaz Führera.

Tamten, zdumiony, podniósł się powoli.

- Człowieku, niechże się pan nie wygłupia.

Gdzieś niezbyt daleko stąd kilka czołgów znowu otworzyło ogień. Helgert oceniał odległość na jakieś dobre dwa tysiące metrów od północnego krańca wsi.

Sturmbannführer stał przez chwilę na niepewnych nogach. Potem ujął podporucznika za ramię i pociągnął ku drzwiom.

- Moi ludzie zajmują środek wioski i ustawiają zaporę przed północną grupą domów. - Uśmiechnął się. - Ucieczka nie wchodzi w rachubę, panie poruczniku. Tak nas nauczono.

Ach, więc taki ty jesteś! - pomyślał porucznik.

- Niech pan idzie ze mną - mruknął Brinkmann, wsuwając do kieszeni pistolet. - Wprowadzę pana w sytuację.

Helgert spojrział ku swoim ludziom i podniósł kilka razy prawą rękę w górę. Czekał, aż Söchting przyprowadzi oddział.

Sturmbannführer szedł przodem, nieco za szeroko stawiając nogi, gwizdał przy tym jakąś melodię, która składała się z wielu rozmaitych wojskowych marszów.

Ostatnie posterunki SS pozostały teraz dość daleko w tyle. Z miejsca, gdzie się kończyła linia domów, widać było gołym okiem grupę rosyjskich czołgów na otwartym polu. Helgert określał ich liczbę na co najmniej trzydzieści.

Brinkmann nie odrywał oczu od czołgów. Potem wskazał oddalone o jakieś czterysta kroków wyraźnie rysujące się lekkie wzniesienie.

- Tam się pan okopie ze swoimi bombardierami i kiedy czołgi ruszą, zatrzyma je pan. Zrozumiano?

- Söchting!

- Tak jest!

- Niech pan ostrożnie przeprowadza ludzi do tej skarpy. Ja z Heidemannem przyjdę za wami.

Artylerzyści ruszyli naprzód poprzez nieregularny ogień nękający.

Heidemann przysiadł obok na ziemi i obserwował strzelające od czasu do czasu czołgi. Ten lub ów wysuwał się raz po raz nieco do przodu, widocznie, żeby uzyskać dogodniejszy kąt strzału.

Sturmbannführer uśmiechnął się złośliwie.

- Tej hołocie wystarczy tylko dać stosowne rozkazy, a gotowi są zrobić wszystko.

- Pytanie tylko, co jest stosownym rozkazem. Czy pan rzeczywiście sądzi, że dwudziestu pięciu ludzi zdoła przez dłuższy czas powstrzymać atak czołgów?

Brinkmann odwrócił się i krzyknął:

- Mam już dość pańskiego aroganckiego zachowania! Pan odpowiada za to, żeby żaden Rosjanin nie przedostał się do wioski, choćby mieli zginąć wszyscy pańscy pupile. Zrozumiano? Nie mam ochoty narażać przez was swoich ludzi.

- A ja nie poświęcę bez potrzeby ani jednego człowieka - odparł porucznik.

Twarz Brinkmanna pobladła z wściekłości.

- Co pan raczył powiedzieć?

- Że nie poświęcę bez potrzeby ani jednego człowieka. Głos Helgerta był cichy, ale pełen stanowczości.

Sturmbannführer postąpił krok naprzód.

- To znaczy, że odmawia pan wykonania rozkazu?! - wycedził.

- Bardzo dobrze mnie pan zrozumiał.

- Więc zastrzelę pana własnoręcznie, podły zdrajco! - To mówiąc, wyciągnął pistolet.

Helgert błyskawicznym ruchem szarpnął w górę pistolet maszynowy. Jego seria zagłuszyła krzyk i słaby odgłos wystrzału ręcznego pistoletu.

Sturmbannführer upadł na wznak i już się nie poruszył.

Śnieg wokół zabarwił się na czerwono.

Moje palce są zimne jak stal pistoletu - pomyślał Helgert. - Jestem zupełnie spokojny. Te kule wymierzyłem własnoręcznie w moją przyszłość. Rozkaz, który sobie dałem, był ważniejszy niż wszystkie, jakie dotychczas bez namysłu wykonywałem. Także za ciebie strzelałem, Erdmannsdorf, i za tych, którzy na mnie czekają, z tej i z tamtej strony frontu. To był początek.

Oderwał wzrok od zabitych i popatrzył w oczy Heidemannowi.

- Naprzód! Uciekamy stąd!

Kapral ruszył pierwszy.

Za nim, nie oglądając się, podązał długimi krokami porucznik, kierując się w stronę falistego pasma pagórków. Następnie poprowadził swoich ludzi jeszcze kilkaset metrów dalej, w kierunku czerwonych czołgów, aż do płaskiej kotliny, z której już prawie nie było widać obsadzonej przez SS wioski.

Przed nimi, na lewo od jakiejś płonącej zagrody, widać było już pojawiające się w nieregularnych odstępach błyski wystrzałów. Wyglądało na to, że od południowego wschodu na okrążony teren wkraczają już czołgi. Wszyscy z napięciem patrzyli w tym kierunku.

Kapral Heidemann podniósł się:

- Pójdę się trochę rozejrzeć!

Wdrapał się po lepkim śniegu na zbocze. Nowe serie pocisków kalibru 7,62 cm zabręczały w powietrzu i kapral musiał paść na ziemię.

- Uważaj, Heidemann, uważaj!

Ale on śmiał się tylko i szedł dalej, aż znalazł miejsce, z którego mógł lepiej widzieć. Nagle podniósł głowę nasłuchując. Coś się tam działo w powietrzu. Bombowce? Myśliwce? Samoloty szturmowe? Teraz już zdołał je rozpoznać: P 2. Dwumotorowe bombowce. Leciały na średniej wysokości, znikając od czasu do czasu za jakimś obłokiem. Prawdopodobnie obrzucą teraz zdrowo swoimi bombkami wszystkich, co się znaleźli w tym zaciągniętym już prawie worku. „Wesołego Alleluja!

Heidemann w skupieniu kiwał głową i nie zazdrościł nikomu z tych, którzy parę minut później będą musieli odbierać to błogosławieństwo. Nie troszcząc się już o huczącą w górze eskadrę, wdrapał się na następny pagórek, aby wyraźniej zobaczyć swoją najbliższą przyszłość.

Artylerzyści pochowali głowy w ramiona, kiedy bombowce dudniąc, przelatywały nad nimi.

Starszy szeregowiec Mommer leżąc na plecach, wpatrywał się w maszyny. Ale bomb nie było.

- Ulotki - powiedział Mommer po chwili lakonicznie, kiedy w powietrzu nagle zaczęło coś błyskać i migotać, niby brzoźowe listki w letnim powiewie.

Podał swemu dowódcy paczkę papierosów.

- To dopiero było piękne miasto. Pamięta pan, panie poruczniku, jak w połowie lipca czterdziestego pierwszego doszliśmy wreszcie po z górą trzydziestogodzinnym marszu do Żytomierza?

- Oczywiście, Mommer. Wieczorem dywizyjna orkiestra dała dla nas ostatni koncert na rynku, z „Marszem gladiatorów”, „Fredericus Rex” i tym podobnymi numerami.

- Aha. A potem pomaszzerowaliśmy dalej, na Malin.
- Przyczółek mostowy Malin - porucznik w zamyśleniu skinął głową. - Wtedy, w końcu lipca, dywizja miała przeszło cztery tysiące poległych i rannych. Dźwięk tej nazwy wywołuje umarłych z grobów.

- I dlaczego właściwie nadstawialiśmy wtedy karku? - odezwał się po chwili starszy szeregowiec.

- Co ty, Mommer...

- Nic, ja tylko tak.

Helgert popatrzył na niego uważnie.

- Byliśmy przecież niezwykłymi bohaterami błyskawicznej wojny. Nikt z nas nie mógł przeczuwać, że spotka nas klęska.

Mommer skinął głową. Niedopałek jego papierosa z sykiem wpadł w rozdeptany śnieg.

- Dlatego uciekamy dziś jak stado baranów.

Ten już długo nie wytrzyma - pomyślał Helgert. Po chwili uwagę jego odwróciły kroki nadchodzącego Heidemanna.

- Oprócz czołgów są też działa 7,62. Rosjanie najspokojniej w świecie pchają je przed sobą.

To mówiąc, odpiął swoją manierkę i podał ją porucznikowi. Helgert wypił i otrząsnął się. Bimber najczystszej wody! Ale jednak dobry na śnieżycę i rozdygotane nerwy. Skąd ten spryciarz w ciągu paru minut coś takiego wytrząsnął!

Porucznik pograżył się w rozmyślaniach. Mommer źle sformułował swoje pytanie. Nie dlaczego, a po co nadstawialiśmy wtedy karku? Tak powinien był zapytać. Ale czy on, jako dowódca baterii, mógłby mu na to autorytatywnie odpowiedzieć? Dzisiaj? Ponad zaśnieżonym wierzchołkiem pagórka popatrzył na wschód. Tamci wiedzą, po co. Ale my? No, po co ja, na przykład, nadstawiałem karku?

Po to, żeby Baum zginął i Bürger, i Senfleben, żebym musiał dowodzić plutonem, który rozstrzelał Erdmannsdorfa...

A teraz mój honor oficerski diabli wzięli. Może nawet już dawniej. Może we wrześniu 1939 roku. Nie wiem. Co ja w ogóle wiem? Tylko to jedno chyba na pewno, że temu reżimowi dłużej służyć nie będę.

Dorobek jego dotychczasowego życia to tylko pistolet za cholewą, świadomość własnej przeszłości i paru prawdziwych towarzyszy. A poza tym? Rozbite małżeństwo. I pozyskana miłość. Pomyślał nagle o Klaudii. Z jej powodu Baum nie zrealizował swego zamiaru przejścia na tamtą stronę. A on, Fritz Helgert, właśnie z jej powodu musi teraz złożyć broń. Dla jej miłości, tak, także dlatego. Jej ostatnie słowa tak mniej więcej brzmiały: „Przyrzeknij mi, że będziesz unikał wszystkiego, co mogłoby zagrażać twojemu życiu”. Będzie czekała... Będzie czekała na jego powrót.

Ci ludzie, którzy tu obok niego leżą, też chcą wrócić do domu, ich także ktoś oczekuje. I Erdmannsdorf chciał wrócić do domu. A on, Helgert, kazał go rozstrzelać, sam osobiście zakomenderował: „Pal!”

A dziś z tym Brinkmannem? Kto właściwie wydał ten rozkaz? Po raz pierwszy w życiu odmówiłem wykonania rozkazu.

A skutek? „Zabójstwo towarzysza broni” - nazywałoby się to w obliczu sądu wojennego. Nikt nie uznałby tego za „działanie w obronie własnej” ani za „nieszczęśliwy wypadek”. Przeczulenie!

Heidemann nie powiedział na ten temat ani słowa. Być może pocieszył się określeniem „w obronie własnej”.

- Panie poruczniku... - Plutonowy znowu stał przed nim.
- Słucham, Söchting!
- Jeśli chcemy się stąd jeszcze wydostać, musimy się diabelnie spieszyć.

Söchting dostrzegł leciutki uśmiech na ustach dowódcy baterii i obojętność, z jaką się Helgert odwrócił, jak gdyby to była

niedziela i jakby milczały wszystkie plujące stałą lufy.

Za wsią zaterkotał nagle ogień karabinów maszynowych. Były to najwidoczniej kaemy 42 SS-manów i rosyjskie pepesze. Od czasu do czasu kilka głośniejszych detonacji z dział T 34. Więc jednak czołgi! Czyżby przyszły z drugiej strony?

Helgert przyłożył do oczu lornetkę i patrzył na esesmańskie pozycje rysujące się gdzieś na śniegu. Mimo woli potrząsnął głową. Nie było wątpliwości. Rosjanie zaatakowali wieś od zachodu i SS-mani walczyli teraz na odwróconym froncie. A zatem w pełnym toku był nie tylko planowy atak Armii Czerwonej zmierzający wprost do okrążenia Żytomierza, ale także akcja rozbijania kotła.

Kilku żołnierzy w cętkowanych panterkach bieгло przez pola w stronę kotliny. Ucieczka na wschód - pomyślał porucznik. - Z pewnością widzieli leżącego Brinkmanna. Parę sekund później rozległ się przejmujący świst i huknęło w sam środek biegnącej grupy. Kilku żołnierzy zwinęło się w kłębek i znieruchomiło. Jeden wił się na ziemi, krzycząc. Potem granaty zaczęły starannie omiatać brzegi wzgórza. Widocznie znajdowali się teraz w widłach szybkiego ognia jakiegoś dywizjonu artylerii.

Helgert opuścił lornetkę. W odległości niecałego kilometra sunęła powoli w stronę wsi grupa rosyjskich wozów bojowych. Z dziwnym uczuciem człowieka nie biorącego czynnego udziału w toku wydarzeń przyglądał się Helgert ich manewrom taktycznym.

Pociski zaczęły znowu walić we wzgórze i w leżącą za nim kotlinę. Był teraz wśród nich także kaliber 12,2 cm. Nasilenie ognia stało się nie do wytrzymania.

Porucznik podniósł rękę w taki sposób, alby wszyscy to widzieli. Czekali na ten znak. Ale on wskazał ręką na wschód.

Po chwili wahania skoczyli jak koty poza teren zasięgu ognia i niecałe sto metrów dalej przypadli do ziemi w jakiejś lepszej kryjówce. Stary nadal ma dobrego nosa - myśleli. - Tutaj powietrze jest znacznie mniej nasycone żelazem.

Porucznik popatrzył na swoich ludzi. Oczy niektórych spoglądały na zachód chłodno lub bez szczególnego wyrazu. Jeśli któreś z nich wyrażały niepokój, to jedynie z powodu czekającego ich marszu. Pewno myśleli sobie: gdybyśmy, stare frontowe wygi, teraz się dobrze zawzięli, to jasne, że byśmy się stąd wydostali. I to nawet w ostatniej chwili! Piękny byłby numer!

Tylko parę kilometrów dzieli ich od ziewającej ogniem bramy do złotej wolności. Żytomierz nie jest jeszcze w rękach Rosjan. Gdybyśmy tam zdążyli przed nimi, to można by potem pruć dalej na zachód. Ze Stalingradu do Żytomierza jest tysiąc dwieście kilometrów w linii powietrznej; do dawnej granicy polsko-rosyjskiej tylko trzysta. Damy sobie z tym radę. Byle tylko nie oddalać się zanadto od tej furtki, która z godziny na godzinę staje się coraz węższa. A więc można, jeśli nie zawiodą siły, doświadczenie i instynkt, jeszcze raz się wymknąć. Jeszcze tylko ten jeden jedyny raz! Tak myśleli ci, którzy czepiali się oklepanego frontowego powiedzonka: „Führer jakoś to urządzi!” Czepiali się możliwości jakiegoś cudu, który jeszcze miał nastąpić. Propaganda Goebbelsa wzmówiła im już tak wiele cudów.

Czy to nie ja ich tak usposobiłem? - przyszło na myśl porucznikowi. Ale z twarzy Söchtinga, Heidemanna, Mommera i Schnellingera można było odczytać zaufanie innego rodzaju: „To, co ty zrobisz będzie słuszne; wierzymy w ciebie, niech się dzieje co chce!” Tak samo jak tamci mieli dość tej wojny.

Byle tylko nie zawahać się przed najbliższymi godzinami! Nie ma nic do stracenia, a wszystko można zyskać. Zechciejmy na

koniec trochę więcej ufać własnemu sądowi, niż to robiliśmy przez ostatnie dziesięć lat. Nie jesteśmy już zwolennikami Hitlera, a tym bardziej jego czyścibutami.

Starszego szeregowca Mommera dławił taki sam strach jak owej nocy pod Woroszyłowem, kiedy poległ porucznik Krüger i Eberhard Baum. Mommer pragnął wtedy za wszelką cenę znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Ale ucieczka przed niewolą wiodła na drogę ciągłego niebezpieczeństwa. Mommer miał już tego dość. Nie chciał raz jeszcze czołgać się przez cuchnący kanał po to, aby po drugiej stronie nasypu kolejowego wpaść znowu na rosyjskie oddziały. Nie chciał znaleźć się nagle, porażony strachem, przed zamaskowanymi T 34, nie chciał również, aby nocą ogień własnych oddziałów przygwoździł go do ziemi. Do końca życia nie chciał już mieć do czynienia z pojęciem: sąd doraźny. Pragnął na koniec mieć zabezpieczoną przyszłość i był zdecydowany sam pójść tą drogą, jeśliby nikt inny nie wpadł na tę myśl.

Starszy szeregowiec Mommer nie zamierzał w tym zamieszananiu stawiać ryzykownych pytań. Niewola - to złe wyjście. Ale jednak najlepsze zabezpieczenie życia przed tą masową rzezią. Niewola kiedyś się skończy, a wówczas można będzie znowu spokojnie wykonywać swój zawód.

Jak gęsta zasłona wznosił się dym, gdzie czoło ataku radzieckich batalionów podchodziło coraz bliżej pod Żytomierz. Piechota prowadziła wściekły ogień. Liczne zmotoryzowane pułki niemieckiej piechoty usiłowały rozpaczliwie rozewrzeć zaciskające się kleszcze. Podejmowane próby kontrataków były likwidowane w ciągu paru minut.

Schnellinger obojętnie przypatrywał się makabrycznemu widowisku, odkrawając przy tym składanym nożem piątkę chleba w sposób, do jakiego ten chłop spod Magdeburga z dawien dawna przywykł.

Lekko zarobiony chleb - myślał. We Francji i w Rosji Schnellinger jeździł z pułkownikiem Krusemarkiem jako elegancki kierowca samochodem osobowym. Na każdą noc odpowiednia kwatery i zawsze jakaś część smacznych kąsków, które organizował dla pana pułkownika i stanowiska dowodzenia. Cóż to znaczy „organizował?” Kradł! Nazywajmy rzeczy po imieniu!

Schnellinger nigdy sobie tym głowy nie zaprzątał. Kiedyś jednak za wszystko w życiu trzeba płacić. Oto teraz przedłożono mu rachunek, nie zamierzał wykręcać się od zapłaty. Czy ci tam przed nim zawsze mieli co jeść? A cóż go to, u licha, może obchodzić. Każdy musi sam myśleć o sobie. A Rosjanie? Czy zawsze mieli coś do zarcia? Zatopiony w myślach odgryzł nowy kęs chleba. Kto mu go będzie dawał w najbliższej przyszłości? Bardzo prawdopodobne, że właśnie ci komuniści. No tak - pomyślał - trzeba to sobie wreszcie wyraźnie powiedzieć.

Podczas licznych podróży służbowych z Krusemarkiem Schnellinger widział kilka obozów w Niemczech, nie mówiąc już o Polsce. Za każdym razem skóra mu cierpła na widok grupy jeńców przynoszonej z jednego obozu do drugiego. Wlekli się wtedy w drewniakach przez zakurzone ulice wsparci na wyciętych gdzieś własnoręcznie kijach. Podarte spodnie ściągnięte papierowym sznurkiem. Niektórzy w zniszczonych, byle jak połatanych płaszczach; na ramionach plecak z całym mizernym mieniem; u boku pogięta puszką od konserw służąca za talerz i kubek. Wychudzeni jak szkielety; zawsze głodni. Obwisła skóra, zniszczona i gąbczasta! Ślady rozlicznych chorób na zawsze wryte na twarzach. Ich oczy bez wyrazu patrzyły zawsze w tym samym kierunku, stale oczekując kolczastych drutów nie do przebycia i wartowników - gdziekolwiek by ich rozkaz skierował.

Do tych więc nieszczęsnych postaci, zżeranych nostalgią, będzie i on wkrótce należał - razem z milionami tych, którzy z pewnością już są po tamtej stronie. To nic. Trzeba będzie i to jakoś przetrwać.

Może będzie mógł tam pracować na roli. Wszędzie, gdzie przeszła wojna, pola są w opłakanym stanie. A większość mężczyzn pewno na froncie. Może to nawet będzie sposób zrobienia tu czegoś dobrego.

Kilka serii ciężkich granatów wybuchło gdzieś w pobliżu i śpiew ich odłamków zaabsorbował teraz umysł i instynkt Schnellingera. Wcisnął głowę w ramiona, włożył od dawna nieużywany hełm i w zamyśleniu żuł dalej swój chleb.

W małej, osłoniętej od ognia kotlinie o kilkadziesiąt kroków dalej na zachód leżało jeszcze paru ludzi z innych jednostek. Byli to ci nieliczni, którzy aż dotąd przetrwali w tym piekle.

Plutonowy Söchting, roztropny zawodowy wojskowy z Westfalii, spojrział na jaskrawoczerwoną tarczę słońca zniżającą się teraz szybko ku zachodowi.

Jutro Sylwester. Rosjanie z całą konsekwencją wykorzystują i ten ostatni dzień roku, aby przyspieszyć koniec wojny. Żytomierza już pewnie dziś nie zdobędą, choćby nawet podeszli tam i skoncentrowali wszystkie siły. To po prostu zbyt trudne przy tych błotnistych drogach i wezbranych rzekach. Ale z nimi nigdy nic nie wiadomo. Wcale niewykluczone, że zjawią się tu jeszcze oliwkowe żuki ze stali, wiozące oddziały szturmowe. Wtedy będzie jedno tylko wyjście: zwiewać czym prędzej z tej pętli! Oto moment, który trzeba przetrwać. A może istnieje jakieś inne jeszcze rozwiązanie?

Co też sobie inni myślą? A dowódca, porucznik Helgert? Ten śmiałek, który potrafi przemknąć się przez najgorszy ogień i który bez trudu mógłby i dziś wyprowadzić stąd swoich ludzi? Dlaczego uśmiechał się przedtem tak dziwnie?

Söchting złowił jedną z niezliczonych ulotek rozrzuconych wokół, wirujących w zimnych i wilgotnych podmuchach wieczornego wiatru. Ano, zobaczymy - pomyślał i zabrał się do czytania z pedantyczną dokładnością, aby choć na parę minut zapanować nad niepokojem. Jego usta poruszały się, wypowiadając słowa: Niemieccy żołnierze i oficerowie walczący na tym odcinku frontu!

Jesteście całkowicie otoczeni! Wszelkie wysiłki są daremne! Zwracamy się do was z apelem: my, żołnierze Armii Czerwonej, nie żyjemy do was nienawiści. Rzućcie broń i zgłóście się z załączoną poniżej przepustką do najbliższego czerwonoarmisty! Nikt nie będzie do was strzelał! Ratujcie własne życie! Otrzymacie wyżywienie i osiągniecie wreszcie spokój! Wasze rodziny będą wam wdzięczne, kiedy po zakończeniu wojny cało i zdrowo powrócicie do ojczyzny!

Wielu takich jak wy, niemieckich żołnierzy i oficerów, zrozumiało już, że nonsensem jest umierać za Himmlera, Goeringa i Goebbelsa, których jedynym celem jest ujarzmienie pokój miłujących narodów i którzy bez skrupułów poświęciliby dla tego celu każdego żołnierza. Hitler i jego klika to wasi grabarza, grabarze waszych ojców, matek, synów i przyjaciół! Połóżcie kres bezsensownemu rozlewowi krwi, a otworzy się przed wami lepsza przyszłość.

Söchting skrył się błyskawicznie przed kilkoma niebezpiecznie blisko wybuchającymi pociskami i zaczął rozmyślać. Jak będzie wyglądał jego kraj, kiedy wreszcie pewnego dnia ucichną działa? Zniszczone domy. Porosłe zielskiem ruiny. Gruzy. I znów ruiny. Bez końca. Jeżeli jeszcze gdzie stoi jakaś ściana, to okna w niej są ślepe, a wszędzie po kątach gnieździ się nędza... i byli żołnierze frontowi - kaleki! Zniszczone twarze, naznaczone już stygmatem śmierci. Generacja pokonanych.

Inaczej wyobrażał sobie swoje życie, kiedy w 1932 roku jako zawodowy wojskowy zobowiązywał się do dwunastoletniej służby w stutysięcznej armii. Nie chciał już słyszeć o bezrobociu, pragnął zdobyć mundur i pozycję, a potem, z pieniędzmi otrzymanymi jako odprawa przy przejściu do cywila, zostać urzędnikiem - w urzędzie celnym albo w sądownictwie. To był sen. Awans na plutonowego doszedł nawet do skutku. Ale wielkość Prus diabli wzięli. Wiedział o tym już od miesięcy! Wciąż jednak odsuwał od siebie tę myśl i sądził, że jako zawodowy podoficer ma specjalny obowiązek bezwarunkowo wytrwać. „Połóżcie kres” - napisano w ulotce. Gdzie może być ścieżka wiodąca do lepszych Niemiec? Trzeba jej szukać.

Ogień artyleryjski wyrwał Söchtinga z zamyślenia. Zdawał się najwyraźniej przycichać, już tylko rzadkie detonacje rozbrzmiewały po okolicy. Söchting czuł w sobie nieznośnie wzrastające napięcie.

Zaczął powtórnie studiować wilgotną kartkę. Była tam jeszcze druga część, w której znaczna liczba żołnierzy i oficerów - byłych członków walczących pod Żytomierzem dywizji niemieckich - znajdujących się obecnie w niewoli, swymi podpisami potwierdzała treść ulotki. Przy każdym podany był stopień wojskowy i jednostka. Söchting czytał nazwisko po nazwisku. Nagle jego wzrok zatrzymał się i ponownie przesunął wzdłuż tej samej linijki.

Söchting spojrzał na porucznika. Ten kreślił na śniegu patykiem krzywe linie i zdawało się, że jak wszyscy czeka tylko na to, aby się wreszcie ściemniło.

Plutonowy potykając się, podszedł do swego dowódcy i podał mu kartkę. Helgert spojrzał, nie okazując zainteresowania.

- Cóż to, Söchting, uważasz, że nie stać nas na samodzielne decyzje? Przecież obaj dostatecznie dużo przeżyliśmy i wieleśmy się nad tym zastanawiali. Wystarczy się tylko rozejrzeć!

Popatrzył badawczo na plutonowego, zniął kartkę i rzucił ją na ziemię.

Söchting pokiwał głową, podniósł kulkę z powrotem i wygładził ją na kolanie. Z głęboką powagą położył palec na jednym z podpisów i podsunął dowódcy pod sam nos.

Helgert mimo woli zaczął czytać. Nagle poczuł że litery tańczą mu przed oczami. Bo oto zobaczył z całą dokładnością wypisane słowa: „Kapral Eberhard Baum. 6 bateria, pułk artylerii...”

W uszach zabrzmiał mu jakiś świdrujący dźwięk.

Söchting odwrócił się i zawołał:

- Chłopcy! Eberhard Baum żyje! O, tu, patrzcie, podpisał się na tej ulotce!

Szeregowiec Mommer zatoczył wokół szeroko rozwartymi oczyma.

- Baum żyje?

Teraz wtrącił się Heidemann:

- To jeszcze niczego nie dowodzi. Mogą to być równie dobrze odbitki podpisów z książeczek znalezionych przy poległych. No cóż, wkrótce będziemy mieli okazję przekonać się naocznie, jak to się robi!

To mówiąc, rzucił szybkie spojrzenie na swego dowódcę leżącego parę metrów dalej.

- Słusznie, Heidemann. Należy się panu ta szansa. Będę o tym pamiętał!

Tym razem za dużo powiedziałem i popełniłem gafę nie do darowania - pomyślał kapral. Cóż jednak miał jeszcze do stracenia? Prawie nic poza najbliższym, bardziej niż wątpliwym urlopem i kaprałskimi naszywkami. A może porucznik rozumiał to

dosłownie? Twarz ma wprawdzie bledszą niż zwykle, ale ani śladu nerwowego napięcia. Położył tamtego fircyka z SS. To przecież o czymś świadczy! Czyżby i on miał już tego dość? Jestem piekielnie ciekawy, co będzie dalej. Stary zamierza zostać, nawet ślepy by to spostrzegł. Uwaga: zaraz każe nam się ustawić i w zwartym szeregu pomaszujemy na spotkanie Ruskim. Kompania - śpiew! Uśmiechnął się mimo woli i zaczął cichutko nucić.

Nagła nawąta ogniowa rozpędziła ich na wszystkie strony. Porucznik Fritz Helgert wciąż jeszcze trzymał w ręku ulotkę i nie szukał sobie kryjówki. Przenikała go tylko jedna myśl: Klaudia! Płonącymi oczyma wpatrywał się w miasto, w którym zapalały się krwistoczerwone światła.

Klaudia, Eberhard, Klaudia, Eberhard i ja. Coraz szybciej powtarzały się w jego umyśle te imiona, zaczynały wirować, nagle wydało mu się, że ogarnia go uczucie absolutnej pewności, iż Eberhard Baum żyje. Będę go szukał we wszystkich zakamarkach tego szarego świata za kolczastymi drutami. Nie spocznę, póki się z nim otwarcie nie rozmówię. Jak stanę przed nim, moim przyjacielem? Nie jest hańbą, Eberhardzie, przyznać się, że także twoje poszukiwania i twoje wątpliwości działały na mnie pobudzająco. Możliwe, że to właśnie twoje zarzuty wówczas, kiedy zginął Senfleben, sprawiły, że szybciej dojrzała moja świadomość i zrozumiałem to, co nadchodzi. A Klaudia? Nie chciałem ci jej zabierać. Kiedy pewnego dnia wrócimy do domu, ona wytłumaczy ci to w ten sam sposób, jak ja to teraz usiłuję zrobić. My się kochamy, Eberhardzie, kochamy się nade wszystko w świecie!

- Panie poruczniku, ogień artyleryjski przesunął się do przodu! Teraz przyjdą czołgi!

Miał przed sobą wyburzone twarze żołnierzy. Przez parę sekund Helgert wchłaniał je w siebie, w końcu powiedział:

- Kto chce iść do Führera, musi się pospieszyć! Słyszycie?

Powiódł wzrokiem kolejno po wszystkich.

- Reszta do mnie! - zawołał jasnym, donośnym głosem.

Zabrzmiało to jak sygnał trąbki.

W oddali dudniły już silniki czołgów. Söchting podniósł prawą rękę w górę i krzyknął jak podczas ćwiczeń:

- Kryj się!

Fritz Helgert stał w milczeniu. On mnie zrozumiał, on pójdzie za mną - myślał z radością.

Oczy wszystkich żołnierzy, z prawej i lewej strony kotliny, były teraz utkwione w nim, wpatrywały się w niego przez moment pełne niedowierzania i zdumienia. Kilku ludzi rzuciło się naprzód, wdrapało się na szczyt wzgórza i raz jeszcze obejrzawszy się w popłochu za siebie, pędzili szybko, coraz szybciej.

- Zdrajcy! - zawołał któryś z nich histerycznie, ale zabrzmiało to słabo i jakby z wielkiego oddalenia.

Coraz głośniejszy szcęk gąsienic, jakby na rozkaz kogoś niewidzialnego, zwrócił się w stronę znikających sylwetek. Porucznik wyprostował się. Nie patrzył na tych, których wolność, jeśli nawet ujdą stąd z życiem, będzie się znów składała tylko z terroru i klęsk. Nie patrzył też na widoczne już wyraźnie szare postacie w hełmach bez wywiniętych brzegów. Widział teraz tylko tych, którzy się zdecydowali zostać i liczył: dziewięć, dziesięć. Razem było ich jedenastu. Wśród nich Söchting, Heidemann, Schnellinger i Mommer, którzy już składali broń na jedno miejsce, nie potrzebowali im tego mówić.

Ta decyzja nie przysłała im wszystkim łatwo.

Helgert postąpił parę kroków naprzód i stanął na skraju kotliny.

Heidemann wygładził swoją brudną białą chustkę do nosa i przymocował ją do lufy karabinu. Potem wdrapał się na pagórek i kamieniami podpierając kolbę, ustawił karabin niby maszt flagowy, na którym powiewała w podmuchach wilgotnego wiatru biała chustka.

Ogień artyleryjski gradem pocisków raził teren położony na zachód od nich. Z rzadka tylko padały strzały karabinów.

Jakiś człowiek biegnąc od lewego krańca kotliny, to znikał za nielicznymi krzakami, to znów się pojawiał, zatrzymał się na chwilę, widocznie, aby się rozejrzeć. Zrobił przy tym lekki półobrót.

Helgert widział go wyraźnie jak przez lornetkę. Nagle wstrzymał oddech; poczuł, że oczy otwierają mu się szeroko, a ręce wysuwają się do przodu obronnym gestem. To przecież niepodobiestwo! Po prostu niemożliwe. To widmo, twór rozigranej wyobraźni, wyczerpania nerwowego!

Jego wzrok usiłował przeniknąć szarość zmierzchu. Czyżby to był Dörnberg? Kapitan artylerii przeciwlotniczej Kurt Dörnberg?!

Seria nadlatujących z wyciem granatów rzuciła go na ziemię. Tamten także upadł, ale zaraz znów się poderwał, popędził w stronę, gdzie stał Helgert... minął go.

To był on, SS-Sturmführer. Bez hełmu, z włosami mokrymi od potu, przyklepionymi do wykrzywionej strachem twarzy. Gnał wielkimi susami, usiłując uciec swojemu losowi.

Helgert, dysząc, przecierał oczy.

Ogarnął wzrokiem cały teren pogrążający się w coraz głębszym mroku. Wszędzie widać było idące do ataku czołgi: sunęły poprzez leje, przewracały drzewa, rozgarniały mury i ruiny, nic nie mogło ich powstrzymać.

Spojrzał na swoich ludzi. Stali na stoku wzgórza, obserwując pole walki. Mommer opierał się lekko o Heidemanna, który

wpatrywał się tylko w swoją białą flagę. Söchting wsadził ręce w kieszenie panterki. Czekali.

Dlaczego właściwie wtedy w sierpniu, w czasie tych kilku godzin niewoli, tak bardzo bałem się Rosjan? Dali mi jeść i opatrzyli mi ranę. Ujrzał przed sobą drwiące oczy młodej lekarki. Ogarnął go wstyd.

Teraz mam to już poza sobą - pomyślał. - Oni mi z pewnością pomogą znaleźć nową drogę.

Czołgi były już o niecałe sto metrów od kotliny.

Fritz Helgert podszedł do swoich żołnierzy, którzy teraz może po raz pierwszy okazali mu bezgraniczne zaufanie.

Po raz pierwszy także ze spokojem spoglądali ku toczącym się na nich stalowym kolosom z czerwoną gwiazdą.

Biała chustka powiewała na wietrze.

Spis treści

Osoby występujące w powieści	5
Rozdział 1	7
Rozdział 2	36
Rozdział 3	55
Rozdział 4	75
Rozdział 5	84
Rozdział 6	91
Rozdział 7	113
Rozdział 8	125
Rozdział 9	140
Rozdział 10	151
Rozdział 11	182
Rozdział 12	196
Rozdział 13	222
Rozdział 14	230
Rozdział 15	280
Rozdział 16	292
Rozdział 17	316
Rozdział 18	332
Rozdział 19	345
Rozdział 20	362
Rozdział 21	387
Rozdział 22	399
Rozdział 23	420
Rozdział 24	452
Rozdział 25	465